

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143

ROK SIÓDMY. — TOM XXVII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1890.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1890.

STANISŁAW GÓRSKI

KANONIK PŁOCKI I KRAKOWSKI.

Stanisław Górski, sławny zbieracz t. zw. Tomicyanów, których dotąd kosztem biblioteki kórnickiej wyszło dziewięć tomów, był w ostatnich czasach znów kilka razy przedmiotem badań i dochodzeń, — i dlatego sądzę, że nie będzie od rzeczy zestawić tu wszystko, co o jego życiu zebrać mi się udało: bo od r. 1871, gdzie pierwszy raz o nim pisałem, przybyła mi niejedna nowa wiadomość, która może i na spór co do autorstwa Wojny kokoszej rzuci niejakie światło.

Stanisław Górski urodził się d. 8 września 1489 r.¹ w Górze, w województwie płockiem, z ojca Stanisława Górskiego herbu Bogorya. Bratem jego był Mikołaj Górski, który r. 1535 z Stanisławem razem służył w kancelaryi królewskiej; krewnymi jego byli Aleksy Górski i pani Leśniowska. Za młodych lat zawarł — jak dr. Wawrzyniec Wszerecki w swojej

¹ Tę datę podaje Górski we wstępie do Tomicyanów wydania Działyńskiego; napis zaś w katedrze na Wawelu daje mu lat 74, zamiast 84, które według własnego pisma powinien był mieć przy śmierci. Sądzę jednak, że rok, przez Górskiego podany, zasługuje na wiarę, bo zgadza się z wiadomością Wawrzyńca Wszereckiego, że był żonaty i sędzią ziemskim, co byłoby niemożliwem, gdyby wstępując do Akademii krakowskiej, miał tylko lat 19. Ale Wszerecki, jako penitencyaryusz kościoła płockiego, który r. 1614 umarł, mając lat 76, mógł dobrze znać Górskiego osobiście i najlepsze o nim posiadać wiadomości.

„Notitia Masoviae“ donosi — śluby małżeńskie i miał potomstwo; piastował także czas jakiś urząd sędziego ziemskiego plockiego¹. Śmierć małżonki była niewątpliwie przyczyną, że zawód i życie świeckie porzuciwszy, udał się do Krakowa, gdzie d. 23 października r. 1518² wpisał się do pocztu słuchaczy uniwersytetu Jagiellońskiego, aby przygotować się do stanu duchownego. Potem przeniósł się z Krakowa do Włoch, aby się dalej wykształcić w naukach, i tu zaprzyjaźnił się z Karolem Antonim Marchesinim. Uzyskawszy tytuł notaryusza publicznego, powrócił do kraju, gdzie, jako człowiek zdolny i głowa jasna, zwrócił na siebie uwagę, wskutek czego podkanclerzy koronny i biskup krakowski, Piotr Tomicki, przyjął go do grona swoich domowników i wyrobił mu urząd sekretarza (scriba) w kancelaryi królewskiej; już r. 1530 występuje on jako „scriba aulae serenissimi regis Poloniae“.

Przez naukę, prawosć charakteru i pilność w wykonywaniu obowiązków urzędu swego zdołał sobie w wysokim stopniu zaskarbić zaufanie podkanclerzego, i był od niego używany w sprawach zawikłanych i tajnych. Tomicki wysoko go cenił i w listach swych pochlebnie się o nim wyraża. Tak pisze do Krzyckiego: „rogo plurimum Dominationem Vestram Reverendissimam, ut ad omnem vacationis alicuius occasionem auctoritate sua praesto nostro Gorski esse velit, adolescenti plane recto et tranquillitate atque modestia non illiberali praedito“, — a na innym miejscu: „qui (Gorski) mihi multos annos servit diligenter estque de me sua fide et virtute bene meritus“. W liście zaś do Piotra Gamrata, biskupa kamienieckiego,

¹ *Notitia Masoviae* mówi o nim tak: „Stanislaus Boguria de Gora Gorski, canonicus Cracoviensis et Plocensis archidiaconus; vixit primo in matrimonio, fuit iudex terrestris Plocensis, reliquit prolem; qui studiis annos multos dedit insenuitque libris et curis. Coegit noster in unum recondita quaedam regum consilia et acta inter eos et alios monarchas gesta, quae in libros concinnata archivo regio intulit in posterum rememoranda, probanda, sequenda“. Rękopis ten jest dziś własnością ks. Smoleńskiego, kanonika plockiego, w Sikorzu pod Plockiem.

² *Metricae studiosorum pars II*: (1518) „Stanislaus Stanislai de Gora dioecesis Plocensis 23 Octobris 4 grossos solvit“.

takie o nim daje świadectwo: „Qui cum est industrius iuvenis et suis officiis de me bene meritus, continere non possum, quin illum Dominationi Vestrae commendem“.

Górski nie posiadał — jak się zdaje — wielkiego majątku, a biskup staranny zawsze o dobro swych podwładnych, chcąc Górskiego za liczne usługi hojnie wynagrodzić, wyrobił mu we wrześniu r. 1533 probostwo „in villa regia Ploczko“, a nieco później kanonię plocką.

Testament Tomickiego spisał Górski, jako notaryusz publiczny; biskup i o nim nie zapomniiał, zapisując: „Stanislao Gorski, canonico Plocensi, notario florenos 80; panni Italici brunatici elegantis cubitos 10; pro almusio 20 florenos et equum gradarium do, dono et lego“.

Po śmierci Tomickiego, która nastąpiła d. 29 października 1535 r., przeszedł Górski w służbę królowej Bony, której został sekretarzem, i której towarzyszył w podróżach do Litwy i na sejmy; kiedy jej służbę opuścił, niewiadomo.

Dalsze dzieje Górskiego, o ile ich służba dworska nie wypełniła, łączą się ściśle z kapitułą krakowską, która go wskutek mandatu biskupa Piotra Gamrata d. 8 sierpnia r. 1539 przyjęła do swego grona¹.

Górski, będąc kanonikiem, pilny brał udział w posiedzeniach kapituły; jeżeli zatem w latach 1540, 1541 aż do 16 lipca 1542 akta o nim nie wspominają, to dlatego, że w tym czasie bawił z królową na Litwie — jak tego dowodzi list jego r. 1540 z Wilna pisany. Również r. 1544 przebywał Górski dłuższy czas do końca października poza Krakowem; z listów jego wiemy, że towarzyszył wtedy dworowi na sejm do Piotrkowa, a potem do Warszawy i Brześcia litewskiego. Dnia jednak 31 października już był z powrotem w Krakowie. Od końca r. 1548 do połowy maja 1549, tudzież w sierpniu tegoż roku nie był w Krakowie; nie wiemy jednak, gdzie się wtedy

¹ *Acta actorum ab anno 1524 ad annum 1543*, fol. 229. Z początku piszą go w aktach często Janem Górskim, co jednak nieraz poprawiono na „Stanisław“. Dalsze notatki o Górskim wyjęte są z tychże *Acta actorum*, a mianowicie z tomów III — VI.

obrać. W kwietniu zaś r. 1550 jeździł w towarzystwie biskupa i króla z kilku innymi kanonikami na sejm do Piotrkowa; d. 1 sierpnia już znów był w domu.

Dnia 16 lipca 1542 r. wyznaczyła mu kapituła wieś Garlicę, a d. 30 marca 1543 r. dom kanoniczy na zamku, wakujący po śmierci Jana Naropińskiego z warunkiem, aby dom ten gruntownie zrestaurował, i to w przeciągu pięciu lat, obcych ludzi w nim nie osadzał i porządek przyzwoity utrzymywał. Na Garlicy Górski długo nie gospodarował, albowiem już 7 września 1543 r., po śmierci kanonika Jerzego Myszkowskiego, archidyakona krakowskiego, otrzymał wieś Brzezcie z poleceniem, aby w niej zaprowadził polepszenia.

Przy nowym podziale dóbr kanoniczych, który nastąpił d. 19 kwietnia r. 1552, utrzymał się Górski przy wsi Brzezcie. Nie było mu jednak przeznaczonem trzymać ją, jak dotąd, w spokoju. Sąsiadem jego był Stanisław Sprowa, starosta opoczyński, właściciel drugiej połowy wsi Brzezcie, który nie szanując praw kapituły, przywłaszczał sobie pola brzeskie i obrać je na rolę dla siebie lub na pastwiska. Górski, poniosłszy wskutek tego nie mało strat pieniężnych, i nie mogąc sobie dać rady z panem starostą, zrzekł się d. 13 czerwca tej wsi, prosząc, aby kapituła ją komu innemu wyznaczyła, któryby „eam ex faucibus istius tyranni eripere et in libertatem pristinum integritatemque asserere et vindicare sciret, vellet et posset“. Kapituła przychyliła się do jego prośby, i oddała ją Rafałowi Wargawskiemu, kanonikowi krakowskiemu, kustoszowi wrocławskiemu i naczelnemu notaryuszowi skarbu koronnego, którego wpływowe stanowisko pozwalało żywić nadzieję, że złamie opór krnąbrnego starosty. Po wielu trudach przyszła ugoda do skutku w r. 1554. Górski zaś otrzymał po śmierci doktora Jakóba z Kleparza d. 18 kwietnia r. 1553 wieś Wąsów.

I na Wąsowie długo nie posiedział nasz kanonik, bo już d. 13 lutego 1554 r., po śmierci Bartłomieja Gątkowskiego, oddano mu wieś Łosoškowice z warunkiem, aby swoim kosztem wykończył tamże dom mieszkalny.

Na sesyi kapitulnej d. 4 stycznia r. 1555 wyznaczono

Górskiemu wieś Grębałów, wakującą wskutek wyniesienia Feliksa Ligezy, kanonika krakowskiego, na arcybiskupstwo lwowskie; a d. 25 września 1556 r., po śmierci Stanisława Borka, nadano mu wieś Raciborowice. Na Raciborowicach utrzymał się Górski przez czas długi, bo dopiero 19 grudnia r. 1567 zamienia je na wieś Goszcza, ale już dwa lata później zrzeka się tejże dobrowolnie; Grębałów jednak trzymał aż do samej śmierci. Musiał być panem łagodnym dla swych poddanych i czynszowników, skoro r. 1564 mieszkańcy wsi Wilczyce i Grębałów, którzy latem przez grady i burze w zbożu, paszy i ogrodach ogromne ponieśli szkody, pod jego i Drzewickiego udali się opiekę, prosząc, aby im opuszczono czynsz, przypadający na św. Marcin — i nie zawiedli się.

Pomimo zarządu dóbr mu powierzonych, który mu zapewne niemało czasu zabierał, zawsze był gotów do każdej pracy, skoro tego kapituła lub który z kolegów wymagali. Gdy np. r. 1555 kanonik Wargawski, jako sekretarz królewski, przymuszony był opuścić Kraków, aby pojechać naprzeciwko króla, z Wilna powracającego, Górski nie wahał się przyjąć na siebie zarządu Brzezia i prowadzenia wszystkich jego interesów.

Często też wydelegowała go kapituła, gdy chodziło o rozsądzenie sporów i zaprowadzenie porządku; mianowicie pomiędzy psalterzystami krakowskimi panowały częsta niezgoda i liczne spory, w których miał udział także imiennik Górskiego, Stanisław Górski, kanonik wiślicki. Takie spory miały miejsce r. 1551, w których rozjemcami byli: Górski, Rafał Wargawski i Zygmunt Stężycki; w takiej samej sprawie bierze udział jeszcze r. 1562 i 1565.

Gdy r. 1551 powstały spory z Janem Bonarem, kasztelanem oświęcimskim, z powodu, że ludzie jego z Niegoszewie przeprowadzili kanał przez terytorium wsi kapitulnej Rudawy,— Górski i Mikołaj Ocieski pojechali do niego, aby zniewolić go do zniesienia fosy; a r. 1556, gdy skonstatowano, że świątynicy (sanetuarii) w dobrach kapitulnych były kim się wyręczają w pełnieniu swych obowiązków, i gdy kapituła uchwaliła, aby

każdy swą powinność odrabiał osobiście lub za pośrednictwem osób odpowiednich, — czuwanie nad wykonaniem uchwały poruczyła Górskiemu i sufraganowi krakowskiemu, polecając, aby w razie potrzeby wymierzali nawet karę cielesną (flagella). W tym samym roku należał Górski do komisji, która lustrowała domy kanonicze.

I sprawy pieniężne powierzała mu nieraz kapituła. W r. 1552 obrano Górskiego i Stanisława Słomowskiego kolektorami kontrybucji, uchwalonej na ostatnim synodzie piotrkowskim, i odebrali od nich przysięgę; ciż sami odebrali d. 8 kwietnia rachunki od byłego egzaktora kontrybucji, Piotra Porębskiego. Po śmierci zaś biskupa krakowskiego, Zebrzydowskiego, wydelegowała go kapituła d. 13 czerwca 1561, aby razem z drem Zygmuntem Stężyckim, Piotrem Porębskim i Wojciechem Podolskim porozumiewał się z egzekutorami testamentu względem sum niektórych, które biskup winien był kapitule.

I bogaty w klenodye i kosztowności skarbiec katedry krakowskiej był dla niego przez wiele lat przedmiotem zajęcia. Kapituła, chcąc mieć dokładny inwentarz, kazała takowy sporządzić; gdy jednak robota żadną miarą nie postępowała, poruczyła wykonanie jej d. 8 lutego 1552 r. Górskiemu, Maciejowi Drzewickiemu i Piotrowi Porębskiemu. Roku 1560 sprawiono trzy klucze do skarbcza, z których jeden Górskiemu powierzono. W początku r. 1563 odbyto rewizję skarbcza głównego, jakoteż skarbcza, przy grobie św. Stanisława się znajdującego, i kapituła poleciła nowy sporządzić inwentarz, w której to pracy, oprócz Górskiego, brali udział Stanisław Słomowski, sufragan i kantor krakowski, Jan Korzbok i Marcin Izdbieński.

Takie samo polecenie otrzymał Górski z innymi kanonikami 26 maja 1564 r., z tym jednak dodatkiem, aby skarbiec wtych „iniquis et periculosus temporibus“ staranniej był strzeżony.

Więcej bez porównania przysparzały mu pracy i mitregi budowle, których kierunek i dozór poruczyła mu kapituła. Tak wystawił on i Mikołaj z Szadku, profesor św. teologii, r. 1553 kościół w Pabianicach, a kapituła, tę robotę im narzucając,

oświadczyła wyraźnie, że czyni to dlatego, „cum nemo alius videretur aptior“.

Gdy r. 1558 chodziło o restaurację katedry, a mianowicie o odbudowanie dzwonnicy (*turris campanilis*), która była runęła (*collapsa*), kapituła również Górskiemu poruciła prowadzenie roboty, jako prefektowi budowli, oraz koledze jego z r. 1553, dodając im do pomocy kanoników: Piotra Myszkowskiego, scholastyka krakowskiego, Andrzeja Przeclawskiego i Wojciecha Kijewskiego, i poleciła im, aby w tej sprawie zawarli kontrakt z włoskim architektem Galiario. Siedm lat, pomimo sędziwego wieku, oddawał się Górski tej budowli, a dopiero 25 maja 1565 r. zrzekł się tych obowiązków uciążliwych; poczem d. 22 czerwca zdał ze swoich czynności rachunki. Po Górskim objął dozór i kierownictwo budowy Stanisław Dąbrowski, archidyakon gnieźnieński i kanonik krakowski.

W październiku r. 1566 pojechał Górski, z polecenia kapituły, w sprawach katedry krakowskiej i sandomierskiej razem ze scholastykiem Maciejem Drzewickim, drem Steżyckim, Marcinem Żydowskim i Łukaszem Podoskim do biskupa Filipa Padniewskiego, aby też sprawy omówić i ułożyć.

Testamentem przekazał biskup Tomicki kapitule historię Długosza w 4 tomach. Ledwie rozesła się wieść o tem, gdy ze wszech stron zgłaszano się po nią, aby ją przepisać. Jestto niewątpliwie objaw charakterystyczny, wskazujący, że w owym czasie wielkiem jeszcze było zamięłowanie dziejów ojczystych. Za wypożyczającego jednak musiał który z kanoników ręczyć — i dlatego wspominają akta kapituły krakowskiej nieraz o kronice Długosza. Zaraz z początku wypożyczył ją Jan Tarnowski, kasztelan krakowski; a gdy jej w oznaczonym czasie nie oddał, upominała się kapituła o swoją własność r. 1539 i 1540, gdzie Pawła Kraszowskiego, jednego z poręczycieli, i naszego Górskiego po odbiór jej wysłała. Roku 1553 ręczył Górski własnym skryptem wobec kapituły za Jana Ocieskiego, kancelarza koronnego, który pierwszą część tejże kroniki wypożyczył; to samo uczynił, gdy Ocieski, oddawszy pierwszą część, wypożyczył drugą r. 1555. Po Ocieskim wypożyczył natych-

miast pierwszą część za poręczeniem Górskiego ks. kanonik Łącki, a po jej oddaniu znów Jan Wityński, kanonik krakowski. Przy schyłku życia Górskiego miał też kronikę u siebie Wojciech Padniewski, z którym kapituła wiodła spór, bo nie chciał jej wydać; Górski jednak nie był wtedy poręczycielem.

Charakterystyczną jest i ta okoliczność, że, gdy r. 1552 Zebrzydowski, biskup krakowski, w jakiejś sprawie wystosował do kapituły list „paulo acerbius“ napisany, kapituła poleciła ułożenie odpowiedzi Górskiemu; chodziło zapewne o odpowiedź ciętą i dosadną, — a Górski nie należał do przyjaciół biskupa. Szkoda, że życie Zebrzydowskiego, przez Górskiego napisane, zaginęło; dowiedzielibyśmy się bowiem z niego немало ciekawych szczegółów i historyjek.

W początkach r. 1572 chorował Górski i dlatego na posiedzeniach kapituły nie bywał; z choroby swej już się nie wydźwignął, albowiem śmierć zakończyła d. 12 marca 1572 r. jego żywot pracowity. Zostawił testament, który się niestety nie przechował; egzekutorami tegoż byli Stanisław Dąbrowski i Walenty Kuczborski, kanonicy krakowscy, oraz Stanisław Sadowski, konsul krakowski, którzy go d. 14 marca na posiedzeniu kapituły odczytali, prosząc, aby kapituła wyznaczyła dla niego miejsce wiecznego spoczynku w kaplicy św. Tomasa, czyli w grobowcu Piotra Tomickiego, byłego jego pana (heri sui) — co też uzyskali, jak o tem świadczą następujące nagrobki:

*Stanislaus Gorski, Cracoviensis et Plocensis canonicus,
heri suo Petro Tomicio, Cracoviensi episcopo,
regni Poloniae procancellario, appositus
beatam expectans resurrectionem quiescit.
Suscipe, terra, tuo corpus de corpore sumptum
Reddere, quod valeas, vivificante Deo.*

oraz :

*Ossa Stanislai Gorski,
Cracoviensis et Plocensis canonici,
Anno Domini MDLXXII
sepulta
Aetatis suae 74. (sic).*

Stanisław Górski należał niezaprzeczenie do najpracowitszych ludzi wieku XVI. Trzeba znać zbiory, które po sobie zostawił, aby należycie ocenić jego trudy i mozół, by podziwiać jego staranność i zdumiewać się nad pracą olbrzymią, którą wykonał. W którym czasie zaczął zbierać materyały do swych zbiorów, trudno dziś powiedzieć; ale prawdopodobną jest rzeczą, że powziął tę myśl po śmierci Piotra Tomickiego, aby pracą swą postawić dobroczyńcy „monumentum aere perennius“.

O zbiorach i pismach jego pisałem obszernie w mojej rozprawie „O Stanisławie Górskim, kanoniku krakowskim i płockim i jego dziełach“, umieszczonej w VI tomie „Roczników Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego“; niema zatem potrzeby jeszcze raz wszystkiego powtarzać. Tutaj zamierzam zastanowić się tylko nad jednym z jego dzieł wcześniejszych, tj. „Conciones in maximo totius regni Poloniae conventu apud Leopolum de republica habitae anno Domini 1537“, które r. 1877 pod imieniem Stanisława Górskiego w pierwszym tomie „Archiwum Komisji historycznej“ wydałem. Czynię to zaś dlatego, że w ostatnich czasach pojawiły się zdania odmienne, zaprzeczające autorstwa tegoż dziełka Górskiemu, ale zarazem także nowe materyały, które pozwalają sprawę tę dokładniej wyświecić.

Dziełko to, które się bezimiennie mieści w Tomicyanach i niektórych innych rękopisach, przypisałem Górskiemu głównie z tego powodu, że z tekstem tychże obchodzi się tak, jak ze swoją własnością, i to tak dalece, że aż trzy redakcyje rozróżnić możemy. W kodeksie wilanowskim, w którym znajdują się bruliony, użyte do t. zw. kodeksu Karnkowskiego, ofiarowanego przez niego r. 1568 senatowi, liczne poczynił zmiany, nie tylko stylistyczne, — coby niewiele znaczyło, bo to i inni wydawcy zwykli czynić — lecz także zasadnicze, które autor i tylko autor powinien robić, bo każdy inny ściągnąłby na siebie zarzut fałszerstwa. Dawniej przypisywano to dziełko Stanisławowi Orzechowskiemu, a za jego autorstwem wystąpili na nowo Bostel w pierwszym zeszycie Kwartalnika

historycznego z rozprawą: Górski czy Orzechowski?—oraz dr. Józef Korzeniowski w znakomitej, młodemu autorowi zaszczyt przynoszącej rozprawie: „O autorach żywota Piotra Kmity i Opisu wojny kokoszej. Kraków 1887“.

O pierwszej rozprawie niewiele da się powiedzieć; albowiem Bostel, dowodząc, że autor „Conciones“ nie mógł być podczas wojny kokoszej we Lwowie, sam zbija tem rezultat swej pracy, jakoby Orzechowski był tymże autorem, skoro Korzeniowski ścisły przeprowadził dowód, że Orzechowski osobiście brał udział w zjeździe lwowskim. Nad ostatnią zaś rozprawą, która każde twierdzenie z wielką erudycją na nowych materiałach opiera, tutaj głównie zastanowić się zamierzamy.

Ponieważ niegdyś byłem zdania, że „Vita Petri Kmithae de Wisnicze, palatini Cracoviensis“ nie jest dziełem Stanisława Górskiego, lecz że autor jej czerpał z Tomicyanów¹, — co dla naszej kwestyi nie jest bez wagi, albowiem autor, mówiąc o wojnie kokoszej (rozdz. VII), przypisuje „Conciones“ Stanisławowi Orzechowskiemu temi słowy: „Extant conscriptae hae ipsae furentium hominum conciones in ipsis castris ad Leopolum habitae, ita ut dictae sunt, per hominum turbulentum ac seditiosum Stanislaum Orzechowski, Petri Kmithae servitorem, qui declamationibus illis et eorum insanis orationibus, veluti belle ac sapienter perorantibus multum tribuere videretur“, — Korzeniowski racjonalnie postąpił, że takie zdanie moje stara się obalić, i to czyni tak po mistrzowsku i w sposób tak przekonujący, że się wcale nie dziwię, że zdania wszystkich przeciągnął na swoją stronę. I ja mu przyznaję, że dowiódł niewątpliwie, że Orzechowski podczas wojny kokoszej był we Lwowie i przysłuchiwał się owym mowom tam mianym, oraz że wywody Korzeniowskiego co do autorstwa „Vita Petri Kmithae“, którą Górskiemu przypisuje, i mięby przekonały, gdyby nie była okoliczność, która cały rezultat czyni przynajmniej

¹ Nadmieniam, że cały VII rozdział Żywota opiera się na XVII tomie Tomicyanów, mianowicie na *Conciones* i rozprawie Stanisława Górskiego: *Acta conventus generalis Cracoviae turbulenter acti et furiose finiti 1536*, zkład całe ustępy o Gamracie i Chojeńskim zostały wypisane.

wątpliwym. Tę okoliczność, o której mówię, zbywa Korzeniowski zdaniem, że niepodobna przypuścić, ażeby dwaj ludzie tak się bezwzględnie z sobą zgadzali, tak samo czuli, myśleli, mówili, nienawidzili, jak autor Żywota Kmity¹ i Górski — i ztąd właśnie wyprowadza wniosek, że Górski jest autorem Żywota. Co powie p. Korzeniowski, gdy mu przytoczę innego autora, który również jak autor Żywota Kmity, jest wielbicielem Tomickiego, Szydłowieckiego i Chojeńskiego; który tak samo jak on, wbrew tylu innym źródłom, wbrew chociażby powszechnej tradycyi, która uznaje w Maciejowskim ideał nieposzlakowanego człowieka i książęcia Kościoła w owych czasach zepsucia i niewiary, z innej zupełnie strony patrzy na niego²; który jak on sądzi królową i ludzi współczesnych; który — co jest najdziwniejszym zbiegiem okoliczności — napisał Żywot Piotra Kmity i Samuela Maciejowskiego, tak samo jak autor Żywota Kmity. Idąc za zdaniem p. Korzeniowskiego, musimy koniecznie twierdzić, że te dwie osoby: autor „Vita Petri Kmithae“ i biskup krakowski, Filip Padniewski — bo o nim tu mówimy — są jedną i tą samą osobą. Padniewski zaś był rówieśnikiem Górskiego i z nim równocześnie umarł 1572 r.

Że panu Korzeniowskiemu wiadomość o Filipie Padniewskim zgola jest nieznaną, to nie dziwi nas wcale, bo jego pisma, o których mówimy, nie są drukiem ogłoszone, a po części nawet zaginęły; dlatego musimy tutaj nieco obszerniej o nim i o nich pomówić.

Filip Padniewski³ urodził się roku 1511 w Skórkach w Wielkopolsce, gdzie później rodzicom swym postawił na-

¹ Korzeniowski l. c. str. 8.

² Korzeniowski str. 7.

³ Filip Padniewski jest autorem pamiętnika, wydanego przezemnie pod tytułem: *Diarium cuiusdam domesticī Petri Tomicki episcopi Cracoviensis*, w V tomie *Monumentów Pol. hist.*; albowiem autor tegoż pochodzi także z Skórek w Wielkopolsce, gdzie rodzice jego mieszkają: wynika to z następujących notatek jego: „28 Januarii (1534). Piotrovia concessi domum versus. — 3 Februarii. In *Skurki*. — 9 Aprilis. *Domo exivi die nona*. — 21 Aprilis. *Redii Cracoviam ex Polonia maiori*“. — Na Padniewskiego wskazuje także notatka inną ręką na okładce książki, w której się mieści pamiętnik, później dopisana: „*Nativitas Philippi Jacobi Padniewski 1511*“.

grobek. Roku 1532 był już w służbie Piotra Tomickiego pod rozkazami Górskiego, którego nazywa „dominus noster“; po śmierci Tomickiego przeniósł się roku 1536 w służbę Jana Chojeńskiego, biskupa płockiego. Zostawszy księdzem, prędko dostąpił zaszczytów i dostojęństw: był kanonikiem krakowskim, a około r. 1550 kantorem; od roku 1559—1560 był biskupem przemyskim i podkanclerzym, a po śmierci Zebrzydowskiego został biskupem krakowskim 1560—1572.

Padniewski miał żylkę pisarską: jest wiadomość, że wiersze pisał; zbiory listów jego posiadały niegdyś Archiwum główne w Warszawie i biblioteka Żaluskich. Wspominają także autorowie o innem dziele jego, którego tytuł jednak różni różnie podają — i tak: „Elogia decem illustrium Polonorum, qui Sigismundi senioris tempore aut doctrinae fama aut bellica gloria inclaruerant“ — albo: „Elogia virorum toga sagoque illustrium conscripta culto sermone Latino“ — albo nareszcie: „Philippi Padniewii episcopi Cracoviensis de viris aetatis suae et gentis illustribus liber“. W Elogiach tych znalazły umieszczenie następujące osoby: 1) Andrzej Krzycki, arcybiskup gnieźnieński. 2) Piotr Tomicki, biskup krakowski i podkanclerzy koronny. 3) Jan Chojeński, biskup krakowski i kanclerz koronny. 4) Piotr Gamrat, arcybiskup gnieźnieński i biskup krakowski. 5) Samuel Maciejowski, biskup krakowski i kanclerz koronny. 6) Krzysztof Szydłowiecki, kasztelan krakowski i kanclerz koronny. 7) Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński. 8) Hieronim Łaski, wojewoda sieradzki. 9) Piotr Kmity z Wiśnicza, wojewoda krakowski i marszałek koronny. 10) Jan hrabia z Tarnowa, kasztelan krakowski.

Te jednak „Elogia“, z których Paprocki niektóre w całości w swym herbarzu drukuje, i które także rękopis biblioteki Ossolińskich nr. 77 zawiera, można uważać tylko za nagłówki, któreimi Padniewski poprzedzał żywoty przez siebie napisane, za krótkie streszczenie obszerniejszych żywotów. Z tych obszerniejszych żywotów znam dotychczas dwa, tj. Piotra Tomickiego i Piotra Gamrata, które się w kodeksie nawrzyńskim, opisanym przezemnie w wstępie do mego wydania

„Conciones“, znajdują. Podczas gdy Elogium Tomickiego liczy 20 wierszy — „Petri Tomicii vicecancellarii regni et episcopi Cracoviensis vita. Padnievio episcopo Cracoviensi autore“, obejmuje stronic 15 in folio, a w odpisie biblioteki Ossolińskich ¹ kart 15 in folio; Elogium zaś Piotra Gamrata liczy wierszy 24 — w rękopisie zaś 6 stronic gęstego pisma.

Bohomolec cytuje ² Elogium Tarnowskiego przez Padniewskiego napisane, nazywając je życiem tegoż krótko zebraniem; ale nie wszystko, co z niego przytacza, znajduje się w Elogium rękopisu biblioteki Ossolińskich, liczącym 15 wierszy. Widać, że to był żywot obszerniejszy. I Górski ³, mówiąc o Janie Łaskim i jego bratańcach: „qualis vir fuerit archiepiscopus et nepotes eius, haec ex vita eius ... cognosci possunt“, zdaje się mieć na myśli Żywot Jan Łaskiego, przez Padniewskiego napisany.

Ztąd śmiało wniesć można, że tak samo się ma z innemi Elogiami, że każdemu Elogium odpowiada osobny żywot obszerniejszy.

Ponieważ dr. Korzeniowski tyle wagi przywiązuje do zgodności zapatrywań Górskiego i autora „Vita Petri Kmithae“ — zatem porównajmy zdania autora Żywota i biskupa Padniewskiego.

Według Korzeniowskiego ⁴, autor Żywota osobiście najwyżej stawia Tomickiego i Szydłowieckiego — tak samo Padniewski w Elogiach i w Żywocie Tomickiego nie wytyka im żadnych wad, zna tylko ich cnoty; trzecim w tem gronie jest biskup Chojęński, o którym tak się wyraża: „si cum Tomicio pontifice conferendus esset aliquis, alium praeter hunc (Chojęński) haberemus neminem“ — podczas gdy Żywot ⁵ nazywa go poprostu „alter Tomicius“.

O Maciejowskim Samuelu mówi autor Żywota w ten sposób ⁶: „Multa insuper bona mensae regiae, datis super ea pri-

¹ Nr. 2470.

² Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego piórem Stan. Orzechowskiego. Wyd. Turowskiego, str. 93.

³ Rękop. bibl. Ossolińskich, nr. 2304, k. 49 b.

⁴ Str. 6. ⁵ Rozdz. VII. ⁶ Rozdz. VIII.

vilegiis et pecunia accepta distribuit, vendidit ac dissipavit et alia id genus suorum amore a recto abductus indigna Quae in vita eiusdem episcopi latius sunt perscripta". — To samo powiada o nim Padniewski w Elogium temi słowy: „sed aetas posterior, erumpentibus quae diu occultabant vitiis, omnem illi superioris vitae atque temporis famam et gratiam inquinavit ita, ut ea re diutius se vixisse quam necesse illi fuit, ab omnibus putaretur"; a wyraźniej jeszcze na innem miejscu: „sed gratia illa atque potentia, dum per ambitionem et cupiditatem multa ageret *facultatesque regias et Reipublicae, quarum custos esse debebat, pernicioso in posterum exemplo exhauriret atque distraheret*, in summum eum odium omnium hominum statim adduxit adeo, ut eius fama et dictis et scriptis multorum velut male merentis de Republica proscinderetur atque laceraretur" ¹.

O Tarnowskim pisze autor Żywota Piotra Kmity: „Tarnovio, homini *superbo*, iracundo, iniuriam nunquam obliviscenti, implacabili, affectibus laboranti et in conciliis de Republica in singulos annos *mutabili ac vario*" — a Padniewski w rękopisie przez Bohomolca ² widzianym mówił, iż Tarnowski przy schyłku wieku swego skaził sławę, tylu pięknymi dziełami nabytą, przez zbyteczną chęć górowania nad innymi, a przez to wielkie rozruchy czynił w Rzeczypospolitej; nakoniec zaś przez niestateczność umysłu swojego odmienił wiarę przodków swoich, i poszedł za zdaniem rozsiewających podówczas błędy; — a Elogium w rękopisie biblioteki Ossolińskich kończy o nim temi słowy: „ad postremum tamen seditiosorum quorundam hominum sermonibus et consiliis deditus *inconstantia vitae* mutationeque religionis omnem prioris vitae cursum foedavit".

Jeżeli według autora Żywota ³ po śmierci Szydłowieckiego i Tomickiego królowa Bona „statim totam potentiam imperandi et confundendi omnia ad se transferens, episcopatus, palatinatus, castellanatus et cetera regni officia vendere coepit", —

¹ Znany opinie Padniewskiego i Żywota o Maciejowskim; szkoda, że nie wiemy, jakie o nim miał zdanie Stanisław Górski.

² Ob. przyp. 2 na str. poprzedniej. ³ Rozdz. VI.

to tę samą myśl znajdujemy w Elogium Gamrata: „nam haec (regina) tunc et Rempublicam regebat et honores distribuebat“.

Wielkiem także jest podobieństwo tego, co Żywot i Padniewski o życiu Gamrata piszą:

*Vita Petri Kmithae*¹:

Erat autem Gamratus ex terris submontanis patre plebeio ortus, sed qui possessionibus coemptis a nobilibus ex uxore ducta nobili, nobilis est reputatus. Is initio Erasmi Ciołek episcopi Plocensis Romae diu degentis marschalcus erat, nullis literis imbutus, corpore vasto et procero...

Padniewski:

[Gamratus] ortus est... sub montibus Sarmaticis, patre incertum equitene an plebeio. Matrem habuit honestissimam ex equestris ordinis familia... In scholis tamen literarum elementa perceperat, deinde quum annum ingressus esset XX, traditus ab amicis in fidem et clientelam Erasmi Cziolkonis episcopi Plocensis. Statura fuit excelsa...

Czy jest możliwem—moglibyśmy powiedzieć z Korzeniowskim—aby dwóch ludzi tak samo sądziło, lubiło i nienawidziło, jak autor Żywota i Padniewski? — czy z tego nie wynika koniecznie, że tym imiennie dotąd nieznanym autorem Żywota jest właśnie Padniewski?

Z tego, cośmy przedtem mówili, wypływa samo przez się, że Elogia bardzo niedostateczne tylko dają nam wyobrażenie o Żywotach przez Padniewskiego napisanych. Gdy weźmiemy pod uwagę Elogium Piotra Kmity, obejmujące w rękopisie 9 wierszy, nie możemy żądać, aby nam dało jasne jakieś wyobrażenie o „Vita“, którą napisał Padniewski. Tekst Elogium w całości jest taki:

„Petrus Kmity, ut opibus et dignitate nullo sui temporis fuit inferior, ita eos magistratus, quos gessit, gravitate perpetua et autoritate summa sustinuit. Peculiaris vero erat in eo animi magnitudo atque in Deum pietas. Proinde et religionis Christianae per manus sibi a maioribus traditae assertor et propugnator extitit vehementissimus, cum ea a seditiosis egentibusque et novandarum rerum cupidis hominibus oppugnaretur, qua una re vel praecipuam nominis immortalitatem meruit.

¹ Rozdz. VII.

Obiit annis amplius LXX exactis. Kmitarum quoque vetus et illustris familia in ipso defecit“.

Gdy to Elogium porównamy z drukowanym Żywotem, łatwo przekonamy się, że streszcza bardzo powierzchownie rozdziały I, X i XI. I Żywot przyznaje, że „marschalcatum curiae“ i „magnum marschalcatum regni... ex sua, regis et regni dignitate gessit“; podnosi jego „animi magnitudo“, oraz że „*Deum pie casteque coluit*“. Słowo zaś „religionis Christianae per manus sibi a maioribus traditae“ wyrażają ostatecznie tę samą myśl, co „rituque veteri ecclesiae Romanae“ Żywota. Ostatniemu zdaniu Elogium odpowiadają w Żywocie słowa: „in quo stirps mascula Kmitharum extracta est et terminata“.

Nadmieniam jeszcze, że „Vita Petri Kmithae“ i Żywoty przez Padniewskiego napisane, mają tę charakterystyczną właściwość wspólną, na którą kładę nacisk, że mówią naprzód o cnotach i zaletach swych bohaterów, a potem obszernie o ich wadach i błędach. Wyjątek stanowią naturalnie Żywoty Tomickiego, Szydłowieckiego i Chojeńskiego. Zwracam także i na to uwagę, że wyraz „tyrannis“ i „tyrannus“ również obu jest wspólnym.

Według Korzeniowskiego: Górski i autor Żywota — według moich wywodów: Padniewski i autor Żywota wyrażają w swych pismach te same poglądy na rzeczy i ludzi. Kto więc z nich napisał Żywot Kmity? To, co według Korzeniowskiego przemawia na korzyść Górskiego, świadczy w równej mierze i za Padniewskim.

Żeby zaś Górski był autorem Żywota Piotra Kmity, jest tylko domysłem Korzeniowskiego, żadnem świadectwem wyraźnem nie stwierdzonem: w Tomicyanach takowego niema, — bo i petersburskie rękopisy, które w tym celu dla mnie przeglądał pan Stanisław Ptaszycki, nie zawierają go. Również nie wiemy znikąd, aby Górski napisał Żywot Maciejowskiego, bo twierdzenie odnośne Korzeniowskiego jest tylko wynikiem jego hipotezy, wypływającym z wzmianki o nim autora Żywota. Na korzyść zaś Padniewskiego świadczy przedewszystkiem ta okoliczność, że jak Elogia pokazują, rzeczywiście

napisał żywoty sławnych mężów swego czasu, a pomiędzy nimi i żywoty Piotra Kmity i Maciejowskiego. Króciuchne zaś Elogium Piotra Kmity wskazuje wyraźnie na Padniewskiego, jako autora drukowanego Żywota.

Wspólność poglądów na rzeczy i ludzi, które łączą z Padniewskim Górskiego, da się łatwo wytłómaczyć osobistymi ich stosunkami; za młodu służyli obaj razem pod Tomickim. Padniewski jako młodszy, był poniekąd uczniem Górskiego, którego w swym Pamiętniku nazywa „noster dominus“; kolegowali także dłuższy czas z sobą, jako kanonicy kapituły krakowskiej. Młodszy Padniewski wprawdzie prześcignął starszego Górskiego, który do śmierci pozostał kanonikiem, podczas gdy tamten był jego biskupem. Przypuścić jednak należy, że Padniewski, który w ten sam sposób jak Górski patrzył na świat i ludzi, i jako biskup zachowywał przyjacielskie stosunki z Górskim, którego znał od młodości, — że zatem zbiory Górskiego nie były dla niego zamknięte, że z nich mógł czerpać do woli, jak i Górski prawdopodobnie znał i korzystał z pism Padniewskiego, na co już przedtem zwróciłem uwagę; być nawet może, że Górski dla niego właśnie — Korzeniowski sam na str. 11 coś podobnego przypuszcza — zbierał pisma Orzechowskiego, z których więc i Padniewski mógł korzystać i znaki na marginesie porobić. I z listów Górskiego mógł Padniewski czerpać, jak to autor „Vita Petri Kmithae“ czynił, albowiem Górski był rodzajem dziennikarza, który nowiny rozsyłał różnym panom i dygnitarzom. Listy takie, jakie pisał do Hozyusza i Dantyszka, wysyłał zapewne „mutatis mutandis“ i do innych osób, i może także do Padniewskiego, kiedy ten bawił dłuższy czas gdzieś na wsi w oddaleniu od stolicy; a jako stary znajomy mógł do niego równie poufale pisać jak do Hozyusza.

Przytoczywszy tu wszystko, co przemawia za autorstwem Padniewskiego, niechęć bynajmniej twierdzić, aby mój wywód całą kwestyę ostatecznie już rozstrzygnął. Na upartego bowiem utrzymywać można, że Elogium Piotra Kmity niczego nie dowodzi, że chociaż Padniewski napisał żywoty Kmity i Maciejowskiego, to i Górski takie pisać mógł. — a ponieważ Żywot

Piotra Kmity przechował się bezimiennie, przypuścić można, że „Vita“ przez Padniewskiego napisana zaginęła, a Żywot Kmity przez Górskiego napisany przechował się. Z takimi argumentami byłaby walka na próżno, bo rozstrzygnąć ją mógłby w przyszłości tylko przypadek, któryby odkrył nam nowe rękopisy Górskiego i Padniewskiego. Zataić jednak nie chcę tutaj jednej okoliczności, któraby pozornie za hipotezę Korzeniowskiego świadczyć mogła, tj., że żywoty Tomickiego i Gamrata są o wiele spokojniej i oględniej pisane, aniżeli „Vita Petri Kmithae“ w rozdziałach VI i VII, z których w wielu miejscach bije ton cierpki i zgryźliwy, nie licujący wcale z spokojem, panującym w innych rozdziałach. I nie dziwnego — bo mamy w nich, a mianowicie w rozdziale VII dosłowne po większej części wypisy z Górskiego, jak o tem poprzednio już wspomniałem. Nasuwa się więc mimowoli pytanie, na które zwracam uwagę, czy te ustępy — druga połowa rozdziału VI i wielka część VII — nie są ustępami później dopiero dodanemi, bo ich związek z całością jest bardzo luźny (co uderza mianowicie w ustępach o Odrowążu i w anegdotkach o Gamracie¹), a wielkość VII rozdziału nie stoi w żadnym stosunku do objętości innych rozdziałów. Wartoby było, aby kto szczegółowo porównał „Vita“ z XVII tomem Tomicyanów, czy po wydzieleniu wszystkich miejsc ztamtąd wyjętych, nie otrzymalibyśmy tekstu więcej jednolitego, ściślej połączonego i bardziej kolorytowi innych rozdziałów odpowiadającego, aniżeli obecny.

Aby rozstrzygnąć kwestyę, którą Korzeniowski w drugiej części swej rozprawy się zajmuje, kwestyę, kto był autorem

¹ Ustępy te poprzedza uwaga (str. 211 wyd. Działyńskiego): „De quo quidem Odrowąsii iudicio et distributis cancellariatibus, quoniam horum mentio est facta, quo res ut acta est, sciatur attingendum hic breviter videtur“. Po niej następują na str. 211—215 wypisy po części dosłowne z Górskiego *Acta conventus generalis Cracoviae turbulentor acti et furiose finiti 1536*. Na str. 215 zaś łączy się tekst Żywota słowami: „Solutis sic, ut supra scriptum est, comitiis illis Crac.“ bez przymusu z tekstem na str. 211. Nie wątpię o tem, że to miejsce zostało później dodane przez kogoś obcego, a nie przez autora.

„Conciones“, jestto rzecz zupełnie obojętna, czy Padniewski napisał Żywot Kmity czy Górski, — bo skoro Orzechowski podczas kokoszej wojny był we Lwowie, moje pierwotne przypuszczenie, jakoby autor Żywota, pomyłką tekstu kodeksu Karnkowskiego spowodowany, Orzechowskiemu autorstwo „Conciones“ przysądził, traci na znaczeniu; a skoro dziś wiemy, że albo Padniewski albo może Górski, ludzie światli i dobrze znający czas i społeczeństwo, są autorem tegoż Żywota, — musimy przyjąć jego wiadomość o „Conciones“ i Orzechowskim, jako zasługującą na wiarę. Czy ztąd jednak wynika, aby Orzechowski był autorem tego dziełka, które w trzech redakcyach dziś znamy?

W kronice pisarzy miejskich poznańskich znajdujemy pod rokiem 1537 wiadomość, że „extant hae controversiae“ tj. mowy podczas wojny kokoszej pod Lwowem miane, „elegantistylo a nobili Poloniae iuventute conscriptae“. Ta wiadomość, którą do ksiąg wciągnięto może jeszcze w roku 1538, poświadcza nam, że młodzież polska mowy te na miejscu spisała, oraz że kursowały już rok później bezimiennie w opracowaniu łacińskim, bo to oznacza niewątpliwie „elegans stylus“. Już samo wyrażenie „iuventus“ pozwala nam domyślać się, że nie jeden człowiek, lecz kilku je spisało. Jestto bowiem praca, która — mojem zdaniem — w wieku, gdzie nie było stenografów, przechodziła siły jednego człowieka, chociażby najzdolniejszego. O jednym z tej młodzieży daje nam wiadomość Żywot Kmity: „Extant conscriptae hae ipsae furentium hominum conciones in ipsis castris ad Leopolim habitae ita, ut dictae sunt per hominem turbulentum ac seditiosum Stanislaum Orzechowski, Petri Kmithae servitorem etc.“ Na owym zjeździe mówiono niewątpliwie po polsku; jeżeli Orzechowski je spisał „ita, ut dictae sunt“, tekst ich był prawdopodobnie polski, co i „Conciones“ potwierdzają, w których mowa Tarnowskiego przechowała się jeszcze po polsku.

O innym pisarzu „Conciones“ podaje nam wiadomość jeden z kodeksów dzikowskich¹, w którym przy „Conciones“

¹ Korzeniowski l. c. str. 23.

znajdujemy następującą uwagę: „Communicatae mihi hae conciones Jacobo a Michalow Michalowski tribuno Lublinensi, a generoso domino Petro Zbylithowski, iudice palatinatus Cracoviensis, viro octuagenario, quas manu parentis sui — qui tunc praesens aderat — *conscriptas* habuit et ita, non aliter rem esse eam gestam, sub conscientia sua tradendo illi eas dixit“. „Multae autem in iis, quae sunt thypo traditae, abbreviatae sunt et multae desiderantur“. O kopii właściwej tu niema mowy, bo musimy „conscribere“ koniecznie brać w tem znaczeniu jak powyżej; ztąd moglibyśmy równem prawem wniesć, że nie Górski, nie Orzechowski, lecz Zbylitowski, ojciec Piotra, był autorem „Conciones“, i to tem bardziej, że sam poświadcza, że tak a nie inaczej rzecz pod Lwowem się miała. Nie sądzę jednak, aby tak to miejsce należało rozumieć. Zbylitowski był niewątpliwie tylko jednym z tych młodzieńców, którzy w spisywaniu owych „Conciones“ mieli udział.

Jeżeli zatem Maciejowski ze Lwowa już mógł przesłać królowej Bonie niektóre mowy, to widać, że zapewne każdego dnia je przepisywano na kilka rąk, i że te, które były po polsku, naprędce tłómaczono, aby je w celach agitacyjnych jak najprędzej rozpowszechnić. Taki egzemplarz wyłowił zapewne Maciejowski i przesłał królowej.

Spisanie zatem mów, mianych pod Lwowem, i przepisanie ich na kilka rąk, jest dziełem kilku młodzieńców, pomiędzy którymi Orzechowski, jak Korzeniowski przypuszcza, mógł odgrywać rolę bardzo wybitną. Ale ja także nigdy tej czynności Górskiemu nie przypisywałem, i nigdy nie utrzymywałem, aby w spisywaniu ich jakikolwiek miał udział; ja twierdziłem tylko, że wstęp i zakończenie, oraz ustępy krótkie, łączące jedną mowę z drugą, oraz treść niektórych mów, przez ową młodzież niespisanych, do niego należą.

Czy mógł to napisać Orzechowski, który, według zrozumienia Korzeniowskiego, sam spisał wszystkie mowy? Przeciwnemu przemawia zdanie, którem całe dziełko się kończy: „Quare intra dies octo, quum notatos locos haberem. haec ita, ut potui, singula perpolivi“.

Z tego wynika, że autor dziełka, o którym tu mowa, otrzymał na czas krótki, bo na 8 dni, streszczenie mów pod Lwowem mianych (*locos notatos*), i w tym czasie tak dobrze, jak mógł, swoje dziełko wypracował. Orzechowski zaś, gdyby był autorem tych właśnie „*Conciones*“, nie miałby żadnej potrzeby ich na ośm dni sobie pożyczać, aby korzystając z sposobności je opracować; bo skoro je pisał we Lwowie, posiadałby i tak już skrypt własny.

Autor dziełka, który treść mów niespisanych krótko streszcza według pamięci, nie podaje ani mowy Górki¹, kasztelana poznańskiego, mianej w pierwszym dniu zjazdu z polecenia królewskiego, ani treści jej, ponieważ od nikogo nie była spisana; gdyby wtedy był obecnym, gdy Górka mówił, byłby ją przynajmniej krótko scharakteryzował; tego jednak nie czyni. Orzechowski zaś był tam na miejscu, i dziesięć lat później o ówczesnej mowie i wymowie Górki wspomina: „*Multa de literis, multa de ingenio ac de tua eloquentia a multis dicebantur, quibus ego facile assentiebar. Nam ipse coram iam olim apud Leopolim Valachico bello haec in te cognoveram, cum tu motus illos gravissimos, qui concitabantur in illo bello, singulari tua eloquentia sedares*“². Nie byłby Orzechowski, gdyby był autorem dziełka, tej znamienitej mowy choć kilku zdaniami nam odtworzył, jak to czynił z innemi? Sądzę, że tak. — Z tych to powodów należy — mojem zdaniem — porzucić hipotezę Korzeniowskiego, jakoby Orzechowski był autorem dziełka w Tomicyanach umieszczonego, choć główna treść mów pojedynczych od niego pochodzić może — co też w jednym wypadku sam Górski potwierdza.

Jak już mówiłem, mowy, miane r. 1537 pod Lwowem, były spisane na miejscu w obszernem streszczeniu, bo o dosłownem ich powtórzeniu nie mogło być mowy jeszcze w owych

¹ Górski charakteryzuje jego wymowę i charakter w ten sposób: „*Andreas de Gorka. castellanus Poznaniensis et capitaneus Maioris Poloniae generalis. affectate et composite loquens cum philanthia, avarus, ut etiam pater, et de re privata sollicitus*“. (Ręk. bibl. Ossol. 2304. K. 114).

² Korzeniowski. str. 18. :

czasach. Mowy te, czy spisane zaraz po łacinie, czy potem dopiero na prędce przetłómaczone, nie mogły posiadać stylu pod każdym względem wzorowego, i kursowały niewątpliwie bezimiennie pomiędzy szlachtą. Że Orzechowski w nich miał udział, że pierwszy je wszystkie może razem zebrał i połączył, o tem zapewne autor „Conciones“ nie wiedział, gdy je sobie na ośm dni wypożyczył; lecz później dopiero wieść o tem mogła się rozejść, a około r. 1566, gdy autor Żywota Kmity pisał i Górski przygotowywał kodeks t. zw. Karnkowskiego, fakt ten mógł być powszechnie już znany. Jak się powiedziało, mowy, naprędce spisane, nie celowały zapewne zbyt gładkim stylem, gdy je autor „Conciones“ na tydzień otrzymał; pierwszą rzeczą musiało być, skoro ich tekst chciał posiadać, aby go przepisać; a przepisując, wygładził go (perpolivi) i zaopatrzył w ów wstęp i zakończenie, i połączył jedną mowę z drugą krótkimi uwagami. Mając te mowy za własność bez pana, mógł sobie tak postąpić, jak postąpił. Tym jednak autorem może być tylko Górski, w którego zbiorach znajdujemy je w najdawniejszych tekstach. Układając nowe zbiory, kompletuje „Conciones“ i nieraz przerabia i tekst mów i uwagi własne, tak że aż trzy redakcyje rozróżnić możemy. Odsyłając po dalsze dowody do mego wydania tych „Conciones“, zawsze utrzymywać będę, że dopóty Górski sam tylko powinien być uważanym za autora, dopóki kto nie dowiedzie, że z innemi pracami znanych i nieznanymi autorów, w Tomicyanach umieszczonemi, w ten sam sposób się obchodzi, jak z „Conciones“. Sposób zaś, w jaki Korzeniowski na str. 19 zmiany, przez Górskiego w tekście „Conciones“ porobione, tłómaczy, nie da się żadną miarą ani uzasadnić ani usprawiedliwić,—mówi bowiem: „Widzieliśmy już poprzednio, jak Górski, bez skrupułu korzystający z Orzechowskiego, pilnej jednak poddaje cenzurze te jego mniemania i frazesy, które się z jego własnem przekonaniem nie zgadzały. Widzieliśmy jak skreślił zdanie o odwołaniu się króla do szlachty w sprawie małżeństwa z Barbarą. Takiej samej krytyce poddaje teraz i „Conciones“.—Nie sędzę, aby wolno było te dwie czynności różne stawiać jako równorzędne. Auto-

rowi, czerpiącemu do swej pracy z innych źródeł, wolno przejmować tekst dosłowny, albo wyjmować z niego tylko, co mu przydatne, co z jego zapatrywaniem się zgadza. Nie jest obowiązany wcale zdawać sprawy dlaczego tak, a nie inaczej czyni — bo to rzecz sumienia i krytyki; dziś wymagamy, aby autor, wypisujący drugiego, źródło wymieniał — w owych czasach miano inne co do tego zdanie. Zupełnie inaczej ma się rzecz z „Conciones“; korzystać z nich wolno w sposób, jak się komu podoba, a autor Żywota Kmity to także uczynił. Ale zbieracz Tomicyanów, gdyby w ten sposób postąpił z dziełami i listami obcych osób, gdyby w nich według swego widzimisię zmieniał, co mu się nie podoba lub z czem się nie zgadza, byłby poprostu fałszerzem i całe Tomicyana nie miałyby najmniejszej wartości. Górski jednak był światłym i uczciwym człowiekiem, i wiedział dobrze, co się godzi, a co nie. W zbiorach swych — przeglądawszy więcej tomów, aniżeli kto inny, mogą mieć o tem sąd — gdy natrafiał na rzeczy, które mu się nie podobały albo wstrętne mu były, to ich nie wykreślał i nie napisał co innego na ich miejscu, lecz oburzeniu swemu daje wyraz uwagą na marginesie lub między wierszami lub wykrzyknikiem jakimś, i to zawsze w taki sposób, że każdy wie, co jego jest, a co jest wyrazem autora. Jeżeli Górski z „Conciones“ inaczej postępuje, jest to właśnie najsilniejszy dowód, że to jego praca, że to jego własność, a nie dzieło obce.

Że zaś w późniejszym wieku, gdy liczył blisko 80 lat, na zdarzenia, 30 lat przedtem zaszłe, patrzył już innemi oczami, to się nie wyda dziwnem nikomu, który zna świat i ludzi. Jeżeli zaś Bostel sądzi, że Górski już r. 1537 miał tak odmienne zdania, to miejsca, przez siebie z kodeksu biblioteki Ossolińskich (l. 77) przytoczone, źle rozumiał i mylnie tłómaczył Górski bowiem tych komentarzy o poezjach Krzyckiego i „Asiana diaeta“ nie pisał współcześnie, — jak Bostel przypuszcza — lecz, co najmniej, 20 lat później; bo wspomina w nich, że trzecia córka Szydłowieckiego, która się po śmierci ojca urodziła (posthuma), wyszła za mąż za Mikołaja Radzi-

willą, wojewodę wileńskiego (od r. 1551) i kanclerza wielkiego litewskiego (od r. 1550)¹, oraz o śmierci Piotra Kmity² — „in quo stirps mascula Kmitarum defecit sterilis“ — a więc najwcześniej około r. 1553. Wyraz zaś „recens“, dwa razy w tych komentarzach użyty, odnosi się „ad sensum“ faktów objaśnionych, a nie do czasu, w którym autor pisał.

Żałować należy, że nie posiadamy krytycznego wydania pism Górskiego, któreby nas objaśniło, w którym czasie jakie pismo jego powstało i jakim uległo w ciągu lat zmianom, i któreby razem zebrało i wszystkie listy jego, których sporą liczbę w oryginałach przechowują różne biblioteki. O takim wydaniu sam kiedyś marzyłem, gdy pracowałem w Kórniku nad IX tomem Tomicyanów — ale okoliczności stały na przeszkodzie. Dziś nieraz bardzo trudno osądzić, — jak to i w poruszonej kwestyi ma miejsce — jakiego zdania był Górski w pewnym czasie długiego swego żywota, i czy zawsze był tak zgryźliwym, jak w latach późniejszych. Znamy wprawdzie następstwo jego zbiorów, ale nie znamy czasu, w którym powstały, z wyjątkiem ostatniego tj. Karukowskiego, który przypada na r. 1568, i dlatego trudno się w nich zorientować, gdy chodzi o jego własną opinię.

Nim skończę, niech mi wolno będzie wyrazić zdziwienie, dlaczego p. Korzeniowski ową autobiografię Orzechowskiego, z której Bohomolec korzysta lub raczej wypisuje, z takim niedowierzaniem traktuje? — Nie sądzę, aby Bohomolca można posądzić o rozmyślne fałszerstwo lub o nieznajomość łaciny; a że autobiografia dziś jeszcze nie jest znana w tekście łacińskim, nie może być powodem, aby mieć ją za apokryf, również jak za takowy nie uważam odkrytej przez Korzeniowskiego apologii, choć do tej chwili jeszcze nie jest wydana. W rękopisie bibl. Ossolińskich (l. 435) autor, piszący o Przeworsku i Urzejowicach, cytuje ją także w łacińskim języku³; żałuję, że go w tej chwili nie mam pod ręką, bo go wypożyczono.

¹ Ręk. 77 str. 85.

² Tamże str. 96.

³ *De Stanislao Orzechowio Roxelano stemmatis Okrzyge, herede olim Zurawicensi, brevis dissertatio*. K. 253—255.

Nie sędzę także, aby Orzechowski już r. 1537 miał być kanonikiem przemyskim i plebanem w Żurawicy, kiedy wówczas jeszcze nie miał lat 24 skończonych i według autobiografii dopiero kilka lat później został księdzem, — a jeszcze mniej rozumiem, jakim sposobem kanonik przemyski i pleban w Żurawicy zarazem ma być sekretarzem i dworzaninem Piotra Kmity, któremu niby przy układaniu mów pomagał. Wyrazy „servitor Petri Kmithae“, przydane mu przez Żywot Kmity, nie odnoszą się do r. 1537, lecz do czasów późniejszych.

Skoro w aktach przemyskich rzeczywiście występuje kanonik Stanisław Orzechowski już r. 1537, czy to nie będzie krewny jego? Tożsamość imion i nazwisk często się powtarza, a w aktach kapituły krakowskiej znajduję, oprócz naszego Stanisława, jeszcze dwóch Stanisławów Górskich, z których jeden był podstarościm krakowskim, a drugi psalterzystą krakowskim i kanonikiem wiślickim.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO KOMPOSTELI.

III.

MONTSERRAT.

Podróż z Sewilli do Tarragony. — Walencya. — Tarragona. — Ks. Feliks Różański. — Ogólny widok Montserratu. — Wspomnienia dziejowe. — Pierwsze kaplice na Montserracie. — Osiedlenie się Benedyktynów. — Walki z Maurami. — Zwycięstwo Karola W. — Znalezienie statuy Najśw. Panny. — Zbudowanie nowego klasztoru i kościoła. — Dary królewskie. — Pielgrzymki. — Losy kościoła i statuy Najśw. Panny podczas najazdu francuskiego i zamieszek XIX wieku. — Dzisiejsze gospody. — Wnętrze kościoła. — Biblioteca de la Virgen. — Camarin. — Opactwo montserrackie. — Cueva de la Virgen. — Pustelnie. — Powrót do kraju.

Wracaliśmy tą samą drogą, na Kordubę i Alcazar; ztąd zaś puściliśmy się ku wschodowi, linią, idącą na Chinchilla i La Encina do Walencyi. Wszędzie oko nasze spotykało to pożółkłe pola, na których wieczorem wielkie płonęły ognie, to znowu łyse góry, dźwigające tu i owdzie na swoich szczytach ruiny starych zamków — ale życia i zieleni mało. Dopiero kiedyśmy wjechali na niziny, ciągnące się nad morzem Śródziemnem, zobaczyliśmy szerokie łąny ryżu, albo prześliczne winnice i ogrody, nad któremi palmy daktylowe roztaczały swe korony. Sama Walencya leży pośród wspaniałego ogrodu (*Huerta*), przetrzyniętego ośmiu kanałami (*acequias*), które od czasu Maurów co 14, a w lecie co 8 dni wodą z rzeki Turia zasilają całą okolicę. Jestto miasto znaczne, bo liczy 106.000

mieszkańców, a szczyli się tem, że wydało na świat wielkiego misyonarza, św. Wincentego Ferreryusza (ur. 1346 † 1419) i patrzyło na ostatnie chwile wielkiego rycerza, Don Ruy Cid el Campeador († 1099). Godną widzenia jest katedra arcybiskupia (*La Seo*), jak niemniej słynne kolegium *Corpus Christi*, założone roku 1605 przez błog. Jana de Ribera na to, by służyło za wzór duchowieństwu hiszpańskiemu. Więcej też życia umysłowego pośród kleru w Walencji, niż gdzieindziej; za to pewna część mieszkańców tchnie duchem rewolucyjnym i Kościołowi wrogim: wszakże dopiero w tym roku motłoch, podburzony przez tajemne sekty, chciał zburzyć dom OO. Jezuitów. Nie dosyć im też, że kosztem trzech milionów franków wybudowali ogromny teatr na ulubioną namietnię *corrida de toros*, ale mają jeszcze osobną arenę (*lidiadero de gallos*), gdzie koguty staczają z sobą krwawe zapasy. Podczas najazdu Napoleona I bili się dzielnie z oddziałem francusko-polskim pod wodzą generała Suchet, ale wreszcie musieli się poddać (9 stycz. 1812 r.).

Z Walencji jechaliśmy piękną i żyzną równiną, którą w latach 1810 i 1811 zrosiła obficie krew polska; bo właśnie przy oblężeniu Tortosy i Murviedro miała główne zadanie Legia nadwiślańska, z generałem Chłopickim na czele¹. Obok tego ostatniego miasta widać na górze ruiny słynnego Saguntum, zburzonego w r. 219 p. Chr. przez Hannibala, po siedmiomiesięcznej nader uporczywej walce.

W Tarragonie zatrzymaliśmy się prawie dwa dni, chcąc wypocząć po męczącej podróży i odwiedzić bawiącego tam ziomka, ks. Feliksa Różańskiego. Wreszcie 2 września dojechaliśmy koleją do stacyi Monistrol. Okolica była zarówno piękna jak bogata, bo obok drogi słały się to ogrody i winnice, to wille i fabryki, zwłaszcza obok miast Sabadell i Tarrasa, to wzgórza porośłe laskami; a kiedyśmy za Olesą przejechali głęboki wąwóz i śmiały wiadukt, odsłonił się przed nami Montserrat, tak majestatyczny i wspaniały, że mimowolnie wyrwał się z ust okrzyk podziwu.

¹ Z. L. Sulima „Polacy w Hiszpanii“ (1808—1812). Rozdz. XV.

Wystawmy sobie półkoliste pasmo gór o czterech milach w okręgu, wznoszące się z pośród doliny katalońskiej do wysokości 1408 $\frac{1}{2}$ metrów ponad poziom morza, u stóp swoich oblane z jednej strony wodami wartkiego Llobregatu, na stokach pokryte winogrodem, drzewami i krzewiną, u szczytu zaś zakończone nagimi skałami, mającemi przeróżne kształty, to stożków i piramid, to baszt i wieżyc, to olbrzymich grzybów lub mnichów. Dodajmy do tego dziwną grę kolorów, bo od szarej barwy skał dziwnie odbija zielen drzew i czerwonawa ziemia pól, — a będziemy mieli słaby obraz Montserratu, któremu jednak najwięcej kraszy dodaje ta okoliczność, że tu Najśw. Panna założyła jedną ze swoich stolic. Toż każdy chrześcijanin wierzący, a cóż dopiero pielgrzym z obczyzny, wita zdaleka Jej kościółek, przyczepiony, niby gniazdo orle, do stromej ściany.

Ale zkadże się wzięła sama nazwa? Oto ztąd, że te skały wyglądają tak, jak gdyby były piłą poprzerzynane: *mons serratus*¹. Miano je także zwać *Mont-estorcil* (*mons quasi tortus*), a to dlatego, że — według ludowej legendy — popełniały z bólu, kiedy na Kalwaryi krzyżowano Zbawiciela. Nadto pobożność ludu widzi w tych górach podobieństwo do okrętu, iż na nich osiadła Najśw. Panna, jakby łódź mistyczna, przewożąca ludzkość do portu niebieskiego. Arabi nazwali je *Gius-taus*, tj. skały ciągle czuwające, a Karol Wielki *Montsiat*; — ale utrzymała się pierwsza nazwa.

Na stacyi Monistrol czekał na nas ogromny dyliżans o sześciu mocnych mułach, które w krótkim stosunkowo czasie zawiozły nas do miasteczka Monistrol, leżącego w kotlinie nad Llobregatem, a ztąd po skromnym obiedzie na górę do klasztoru; ale bo też mayoral nie szczędził im słów zachęty, a leniwszych częstował batem i ostremi kamykami. Podziwialiśmy cudowny widok i przepyszną drogę, lecz więcej jeszcze

¹ Na tej podstawie opat z Montserratu ma w herbie piłę, poprzerzynającą góry.

zajmowały nas wspomnienia dziejowe, które tu w streszczeniu podaję ¹.

Według starej tradycyi mieli poganie zbudować tu świątynię na cześć bogini Wenery (około r. 196 po Chr.), ale Archaniół Michał zburzył takową (r. 253); poczem chrześcijanie, chroniący się w górach przed prześladowaniem, wzniesli na temże miejscu kaplicę pod jego wezwaniem. Nieco później, gdy liczba wiernych wzrosła, stanęła na wschodniej stronie druga kaplica, ku czci ŚŚ. Męczenników Acisclusa i Wiktoryi, którzy za Dyoklecjana śmierć dla Chrystusa w Hiszpanii ponieśli. W wieku VI przybył tu uczeń św. Benedykta, Quiricus, a zwabiony pięknoscią tych gór, które mu Monte Casino przypominały, założył u ich stóp, nad brzegami rzeki Rubricatus (*Llobregat*), mały klasztor *Monasteriolum*, od którego dzisiejsze miasteczko Monistrol początek i nazwę wywodzi. W skromnej kaplicy tegoż klasztoru umieścił kamienną statuetkę Najśw. Panny, przywiezioną z ziemi włoskiej. Jego towarzysze pociągnęli wyżej, i jużto w licznych grotach oddawali się życiu pustelniczemu, już dla chrześcijan, mieszkających po stokach gór, sprawowali duchowną posługę.

Na początku wieku VIII, miasto pobożnych ich śpiewów, dziki okrzyk *Allah akbar* odbił się o strome ściany Montserratu; wtargnęli tu Maurowie i zburzyli ów klasztor, wskutek czego synowie św. Benedykta rozprószyli się po jaskiniach, utworzywszy dla większej łączności dwa wspólne ogniska, tj. kaplice św. Piotra i św. Marcina. Niebawem osiadła tu znaczna liczba chrześcijan, uciekając przed krzywą szablą arabską. W tymże czasie zaszedł fakt, który nadziemskim blaskiem opromienił Montserrat.

W Barcelonie, w kościele św. Justa i Pastora, czczono od niepamiętnych czasów drewnianą statuetkę Najśw. Panny, wyrzeźbioną — jak podanie głosi — przez św. Łukasza. a przy-

¹ Por. *El amigo del viajero en Montserrat*. Manresa 1876, i Zschokke *Reise-Erinnerungen aus Spanien*. I. Th. 35 sq.

niesioną z Jerozolimy przez jednego z uczniów apostołskich¹, — zkaąd poszła jej nazwa *Jerosolymitana*. Kiedy Maurowie najechali Hiszpanię, postanowił ówczesny biskup barceloński Piotr, wraz z gubernatorem miasta, gotem Erigonim, wywieść tę statuetę do gór montserrackich, — i tak rzeczywiście uczynił (22 kwietnia 718). Zasięgnawszy rady pewnego pustelnika, ukryli ją w podziemnej grocie, której wejście gęste krzewy zasłaniały. Nikt zresztą o tem nie wiedział, bo ci trzej mężowie zabrali z sobą tajemnicę do grobu.

Tymczasem po ciężkim pogromie ocknął się duch w rycerzach katalońskich; a że na równinie nie mogli sprostać licznym hufcom muzułmańskim, przeto kilku z nich na skałach Montserratu pobudowało sobie obrotne zamki, jak: *La Guardia*, *Otger*, *Collgató*, *Marro* i *Montsiat*, zkaąd niespodziewanymi napadami trafil najezdców. Dzięki tej straży mogli Benedyktyni wznieść nowy klasztor w górach, podczas gdy lud prosty pasał trzody i uprawiał pola na niższych stokach. Wnet jednak zawrzała i tu długa a zacięta walka. Maurowie nie wdarli się wprawdzie na szczyty strasznych *Gius-taus*, czyli skał czuwających, ale zburzyli klasztor i zajęli warownię Marro (r. 730), która lat 40 w ich mocy pozostała. Dopiero Karol Wielki wyrzucił ich z tamtąd, odniósłszy 22 list. 797 r. świetne zwycięztwo, które później (r. 871) rycerz Ainsulf upamiętnił wzniesieniem kościółka św. Cecylii. Odtąd ucichł szczeł oręża, bo półksiężyc musiał ustąpić z Katalonii przed tryumfującym krzyżem; natomiast przyszedł czas Bożych dziwów.

Było to w roku 880. Pasterze rycerza Riusech, pasąc kozy i krowy w jarach Montserratu, zobaczyli raz w sobotę nad wieczorem jakieś światła, migocące tuż nad ziemią. To samo powtórzyło się w następną sobotę; w trzecią zaś i czwartą usłyszeli nadto precudną muzykę, i to w miejscu, leżącym poniż kaplicy św. Michała. Sprawdził

¹ Według *El amigo de los viajeros en Montserrat*, przez samego św. Piotra.

to tydzień później sam rycerz Riusech, i bez zwłoki doniósł o tem zjawisku biskupowi z Manresy Gottomarowi, który nakazawszy trzydniowe modły i posty, wybrał się sam na zwiady. Owe światła ukazały się znowu — bo była to sobota — a za ich śladem odkryto grootę, napelnioną jasnością, i znaleziono w niej tę samą statuetkę, którą przed 162 laty biskup Piotr i Eri-goni z Barcelony przynieśli. Pełni radości, rzucili się wszyscy na kolana i pozdrowili Królowę niebios pieśnią *Salve Regina*, zlewającą się harmonijnie ze śpiewem Aniołów. Biskup Gottomar wziął sam posąg Najśw. Panny na ręce, ale nie mógł go dalej zanieść, jak na ono miejsce, gdzie dziś jest krzyż zatknięty; za natchnieniem Bożem ślubował zbudować tu kościół, statuetkę zaś umieścić tymczasem w benedyktyńskiej kapliczce pod wezwaniem św. Aciscłusa, przyczem straż nad nią objął świątobliwy pustelnik, Jan Gari (albo Garin). O tym pustelniku, jego upadku i niezwykłej pokucie dziwne rzeczy głosi legenda ludowa; ale ta opowieść, użyta za kanwę do ballad i romansów katalońskich, nie wytrzyma pobłażliwej nawet krytyki. Tyle wiemy z dziejów, że około r. 896 Wifrid, hrabia barceloński, zbudował klasztor na Montserracie i wprowadził doń z San Pedro de las Puellas w Barcelonie Benedyktynki, których pierwszą ksienią została jego córka Rikwilda, podczas gdy Gari aż do swej śmierci w r. 898 pełnił tamże wszelakie posługi. Otóż te zakonnice objęły pieczę nad statuą Najśw. Panny, umieszczoną w kaplicy, którą biskup Gottomar gwoli wykonania swego ślubu r. 882 był zbudował. W r. 986 miejsce ich zajęli Benedyktyni z klasztoru Ripoll; Benedyktynki zaś wróciły do Barcelony. Odtąd rosło z każdym rokiem nabożeństwo do *Nuestra Señora de Montserrat* i podnosiła się powaga Jej sług, zwłaszcza gdy Benedykt XIII, uważany w Hiszpanii za papieża, acz był tylko antypapą, po odbyciu pielgrzymki w r. 1410, klasztor Benedyktynów do godności opactwa wyniósł.

Pierwszy opat, Marcos de Villalba (od r. 1417), zbudował nowy klasztor w stylu bizantyńskim, który atoli po r. 1470 ustąpił miejsca budowli gotyckiej, wzniesionej przez opata Ju-

liana de la Rovere, późniejszego papieża Juliusza II. Inny opat, Garcia de Cisneros, podzielił zakonników swoich na cztery klasy, tak, że jedni spełniali funkcje kapłańskie, inni oddawali się bogomyślności jako pustelnicy, inni służyli jako bractwowie lub uczyli w szkole¹. Najwięcej atoli zasług położył opat Garriga; on to bowiem kosztem 200.000 dukatów, a pracą 32 lat (1560—1592) wznosił wspaniałą kościół, poczem 2 lut. 1592 nastąpiła uroczysta konsekracja przy udziale biskupów, zebranych na sobór prowincjalny, później zaś — 11 lip. 1599 — niemniej wspaniałe przeniesienie statuy Najśw. Panny, w obecności króla Filipa III i niezliczonych tłumów. Kaplica, w której ta statua przez 700 lat spoczywała, została zburzoną w r. 1755, kiedy zakładano kamień węgielny pod nowy klasztor, mający stanąć na tem miejscu.

Wspaniałą była stolica Najśw. Panny na Montserracie: wewnątrz lśniła od złota, a w jej skarbcu mieściły się drogocenne dary, które tu królowie i możni ślali na wyścigi. Sam np. Filip II kazał Stefanowi Jordanowi, słynnemu mistrzowi z Valladolid, zrobić do wielkiego ołtarza wspaniałe *retablo*, na które wyłożył 29.000 dukatów; a już się nie mówi o złotych lub srebrnych lampach, o kosztownych monstrancyach lub bogatszych jeszcze koronach Najśw. Panny, z których jedna tylko 50.000 dukatów kosztowała.

Począwszy od wieku X, Montserrat, podobnie jak Santiago, ścigał tłumy pielgrzymów, a między nimi były i ukoronowane głowy, jak Ferdynand Katolicki z żoną Izabellą, Karol V, Filip II, Filip III, Filip V, Ferdynand VII, Izabella II, Don Juan d'Austria, arcyksiążę Karol, infantka Marya, żona cesarza Ferdynanda III itd. Tu także Święci szukali natchnienia lub pomocy. Tak np. św. Piotr z Nolasku, dopełniając ślubu, modlił się tu długo u stóp „Perły Katalonii“ (r. 1218), i otrzymał tę łaskę, że Najmiłościwsza objawiła mu w Barcelonie, aby pod Jej godłem założył zakon ku wyku-

¹ W XVII wieku było tu 70 zakonników, 16 eremitów, 20 bractw, pracujących w szkole.

pywaniu jeńców chrześcijańskich. Trzysta lat później (r. 1522) przybył tu św. Ignacy Loyola, i takim w modlitwie rozgorzał płomieniem, że miecz rycerski zawiesił obok ołtarza, szaty i pieniądze rozdał między ubogich, a sam w licej odzieży udał się do Manresy, aby usługiwać chorym w szpitalu i zatapiać się w rozmyślaniu o rzeczach Bożych.

Przyszły atoli i na Montserrat ciężkie chwile, w których modlitwę i śpiew zagłuszyła wrzawa wojenna. Zaledwie w r. 1792 zajęli zakonnicy nowy klasztor, aliści w ośmnaście lat później zjawiają się tu zwycięskie orły napoleońskie. Pierwszy oddział pod generałem Desvaux, który zażądał tylko żywności, ale nie tknął się skarbów, został zaraz wyparty; kiedy jednak junta barcelońska klasztor i wyższe pustelnie zamieniła na warownie, wtargnął tu jen. Suchet z liczniejszym wojskiem (25 lip. 1811), zmusił Hiszpanów do ucieczki, pustelnie zburzył, skarbiec złupił, a odchodząc, klasztor i kościół podpalił (11 paźdz. 1811)¹. Wówczas to statua Najśw. Panny, którą zakonnicy w pustelni *San Dimas* byli ukryli, wpadła w ręce Francuzów, ale nie doznała od nich szwanku ni zniewagi. Po raz trzeci zawrzała tu walka w r. 1812: kiedy zaś Francuzi stanowczo mieli ustąpić z Montserratu (31 lipca), wysadzili w powietrze część budynków, których płomienie pierw nie zniszczyły.

Benedyktyni wzięli się energicznie do odbudowania ruin, i sprowadzili tu statwę Najśw. Panny; ale podczas zamieszek rewolucyjnych w r. 1823 musieli ją wynieść do Barcelony, zkąd w czerwcu 1824 wróciła na swą stolicę. Po wybuchu strasznej wojny domowej i zniesieniu klasztorów w r. 1836, opuściła znowu Montserrat wraz z zakonnikami, by w Barcelonie w domu pobożnego Don Pablo Jorba szukać chwilowego schronienia; ale po wstąpieniu na tron Izabelli II, zajęła dawne miejsce w zrestaurowanym już kościele (7 wrześ. 1844). Benedyktyni dźwignęli z gruzów klasztor i stare gospody, lub

¹ Przy szturmie na Montserrat nie było — jak się zdaje — Polaków, chociaż pod dowództwem jen. Suchet zostawała także Legia nadwiślańska, i staczała w północnej Hiszpanii, a zwłaszcza pod Saragossą, nader krwawe boje.

zbudowali nowe; wzmogły się też pielgrzymki, zwłaszcza od-
kład za przyczyną Najśw. Panny uśmierzoną została cholera,
grasująca w Katalonii (r. 1854 i 1865). Wdzięczna za to Bar-
celona odbyła tu uroczystą procesję (6 list. 1865), a wspaniał-
szym był jeszcze obchód tysięcznej rocznicy znalezienia sta-
tuy (8 wrześ. 1880).

Pod wrażeniem tych wspomnień zajechaliśmy na plac
obszerny, otoczony z jednej strony murem, z drugiej wyso-
kimi budynkami, a mający nad sobą skalną ścianę o fantasty-
cznych kształtach. Gdyby jeden z tych kolosów oderwał się
od swej podstawy, zmiażdżyłby wszystkie te budynki; ale
przezorni Benedyktyni przywiązali je mocnym łańcuchem, bo
opieką Najśw. Panny. Za ledwie dyliżans stanął, już się zjawił
służący klasztorny, by nas zaprowadzić do *Despacho de aposen-
tos*, gdzie nam w gospodzie *Santa Teresa* przeznaczono obszerny
pokój o trzech przedziałach z wygodnymi łózkami. Takich gos-
pód (*aposen-tos*) jest kilkanaście; prócz tego istnieje osobny
dom dla ubogich (*casa de los pobres*). Według reguły Benedy-
ktynów, każdy kto zapuka do ich furty, ma prawo do trzy-
dniowej gościnności; ponieważ jednak niepodobna wyżywić
tyłu pielgrzymów, — bo wszakże od maja do 3 września było
ich przeszło 6.000 — przeto założono osobną kawiarnię i re-
staurację (*fonda*), gdzie jest stół dosyć tani i dobry. Rodziny
mogą mieć własną kuchnię w gospodach; są tu także dwie
studnie z wyborną wodą, sklepik z żywnością (*despacho de
comestibles*), poczta (*correo*), trafika (*estanco nacional*) i apteczka
w klasztorze. W wypadku nagłego kataru żołąkowego, o jaki
tam w lecie nietrudno, radzi, jak umie, lekarz zakonny; zre-
szta prawie codziennie przyjeżdża z Monistrolu uczeń Esku-
lapa, przypominający nieco słynnego Sancho Pansa. Słowem,
muszę oddać wielkie pochwały roztropności i uprzejmości OO.
Benedyktynów, a nie mogę utaić życzenia, aby i po naszych
Kalwaryach zaprowadzono choć w miniaturze podobne urzą-
dzenia.

Po krótkiem wytechnieniu udałem się z jednym towarzy-
szem — bo drugi w drodze zaniemógł — do kościoła Najśw.

Panny. Na boku zostawiamy różne gospody, resztki gotyckiego *clauastro* z XV wieku i ruin z r. 1811, dalej odnowiony klasztor i *tienda de medallas*, czyli sklep ze świętościami,—a wchodzimy bramą na obszerny dziedziniec, zamknięty z dwóch stron wysokimi gmachami, z trzeciej główną facyatą o pięknym dosyć portalu. Wnętrze kościoła, mającego 23·32 metrów wysokości, a 15·45 m. szerokości, stanowi jedna tylko nawa z dwoma szeregami kaplic po bokach i z półkolistym absydem. W kaplicach, po części odnowionych, jest parę obrazów nienajgorszego pędzla; ponad nimi ciągnie się galerya, zakończona chórem Benedyktynów, który tuż nad wielkimi drzwiami spoczywa. Koniec nawy przegradzają w szerz żelazne kraty, tworząc tem samem drugie presbiteryum; dawniej były tu ławki rzeźbione, ale spłonęły w r. 1811. Zniszczało również w tym pożarze piękne *retablo* wielkiego ołtarza, i dopiero w najnowszych czasach dano mu obramowanie z drzewa, w stylu romańsko-maurytańskim. Obok ołtarza widać cztery posągi (św. Benedykta, św. Scholastyki i dwóch Aniołów) i cztery kandelabry z bronzu,—nad nim zaś *camarin* czyli kapliczkę Najśw. Panny, siedzącej niejako na wzniosłym tronie, i z wysokości błogosławiącej świata. Na widok tej statuy, co takie przeszła koleje i tyle u stóp swoich gromadziła pokoleń, mimowolnie pochyła się czoło i zginają się kolana, podczas gdy z serca wyrywa się gorąca, rzewna, słodka modlitwa do Królowej niebios, co tam na górnym Montserracie odbiera holdy od niezliczonej rzeszy Błogosławionych, i wraz z nią wstawia się za biedną ziemią.

Nazajutrz odprawiliśmy u Jej stóp Mszę św., a zbyteczna dodawać, że pamiętaliśmy nietylko o sobie i swoich, ale i o tym narodzie, który po stracie korony i swobody nie przestaje nazywać Najśw. Panny swoją Królową, w Jej opiece i w miłosierdziu Bożem pokładając nadzieję szczęśliwszej doli. Następnie zwiedziliśmy zakrystę, gdzie jest ołtarz gotycki, wyrzeźbiony w r. 1868 przez mistrzów barcelońskich Cerdà i Mauricio Rovira, marmurowe *lavatorio*, brązowe kandelabry i piękne skrzynie na szaty kościelne; w jednej z nich prze-

chowywano do r. 1811 szpadę św. Ignacego. W przyległym skarbcu, zwanym *Biblioteca de la Virgen*, mieściły się kosztowne dary, nagromadzone przez wieki; ale zrabowali je poczęści Francuzi w r. 1811, a poczęści sami Hiszpanie w czasie wojen i zamieszek; dziś widać tu srebrne wota, tablice pamiątkowe, ręce i nogi z wosku, kapelusze i czaka żołnierzy hiszpańskich itp. Ztąd po marmurowych schodach, których ozdobą są piękne posągi króla Dawida i Archaniołów, wchodzi się do górnych kaplic, mających nad drzwiami różne napisy, jak: *Tribuna*, *Iamua coeli*, *Paradisi porta*, *Maria*, *Salud de los enfermos*, *Consoladora de los afligidos*, a będących niejako przedpokojami sali tronowej (*Sala del trono*). Jeden z zakonników otwiera nam drzwi, zapaliwszy świece, i oto znajdujemy się tuż za statuą Najśw. Panny, w tak zwanem *Camarin*. Sama statua jest drewniana (z jednego kawałka), poślōcona i pomalowana, a przedstawia Najśw. Pannę, siedzącą na tronie z Dzieciątkiem Jezus na ręku, które trzyma świat w swej dłoni; ale nic z niej nie widać, prócz czarniawych rąk i twarzy o nader miłym wyrazie; resztę pokrywają drogie szaty, na głowach zaś błyszczą złote dyademy, ozdobione drogimi kamieniami. Według zwyczaju ucałowaliśmy ze czcig. rączkę Najśw. Panny, obwieszoną różańcami. Powiadają, że zakonnik trzyma niektórych pielgrzymów za rękę i patrzy bacznie na ich usta, aby snadź któryś z wielkiej pobożności nie odgryzł jakiego klejnotu; ale nas ten zaszczyt nie spotkał.

Wyszedszy z kościoła, zboczyliśmy do klasztoru, w którym mieszka do 50 Benedyktynów, mających tu rodzaj internatu dla chłopców, i zakład przygotowawczy dla misjonarzy w koloniach hiszpańskich (*del Ultramar*). Od XV wieku posiadał opat tutejszy władzę prawie biskupią nad oddzielnem terytoryum (*abbas nullius*), i dopiero Pius IX dekretem z 12 sier. 1874 wcielił Montserrat do dyecezyi barcelońskiej. Za klasztorem jest ogród z wielką cysterną, a za nim cmentarz z kapliczką, i taras, ozdobiony posągami Apostołów. Widok ztąd imponujący, bo tuż nad głową piętrzą się prostopadłe skały z ruinami pustelni na wierzchu; u stóp otwiera się głęboka

przepaść, której dno przepływa bystry Llobregat; dalej zaś ciągnie się szeroka dolina aż do morza i aż do Pirenejów.

W powrocie do gospody spotykaliśmy liczne gromadki pielgrzymów, ciągnących tu na święto Narodzenia N. Panny Maryi, i witających nas uprzejmie: *Buenos dias*, bo arcychrześcijańskiego pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, nie znają Hiszpanie. Była między nimi i młodzież z sąsiednich miast, żadna raczej zabaw i wycieczek, niż modlitwy i odpustu; toż nieraz po drogach rozlegały się śmiechy lub wesołe piosenki. Raz nawet jakaś czarnobrewa chciała się popisać narodową cachuchą, ale jedno słowo: *Ave Maria*, wymówione przezemnie półgłosem, kiedy tę grupę mijałem, przypomniało jej, że tu nie miejsce dla tańców. Wieczorem zebrali się pielgrzymi w kościele na całogodzinną serenadę, jaką codziennie chór chłopców pod sterem zakonnika urządza na cześć Najświętszej Panny. Jestto rodzaj różańca benedyktyńskiego, przeplatanego to modlitwą, to śpiewem i muzyką, a kończącego się pieśnią: *Salve Regina*. Głosy były czyste i dobrze wyrobione, śpiew melodyjny, acz może zanadto przypominający operę; toż Hiszpanie słuchali go jakby jakiego koncertu, siedząc na krzesłach z założonemi rękami. Słowem, na Jasnogórze hiszpańskiej nie widziałem tej żarliwości, z jaką modli się lud polski, albo jaką podziwiałem w Lourdes u Francuzów klasy wyższej.

Nazajutrz po Mszy św. zwiedziłem z ks. Krementowskim kaplicę św. Michała. Drogą wygodną, staraniem OO. Benedyktynów wyrzniętą pośród gęstych zarośli, dostaliśmy się na płaskowzgórze, na którym stoi *capilla de San Miguel*. Od r. 196 po Chr., była tu świątynia sprosnej Wenery, ale — jak twierdzi legenda — sam św. Michał obalił ohydne bożyszcze w r. 253: poczem chrześcijanie zbudowali tu kaplicę pod wezwaniem tegoż Archaniola, jako „patrona gór Montserratu“. Straż nad nią objęli później Benedyktyni, którym wicehrabina Riquildis, wraz z synami Wislabertem i Janem, darowała w r. 1142 sąsiednie terytoryum, zwane odtąd *Cuadra de San Miguel*. Kaplicę tę zburzyli sami Hiszpanie w r. 1811, by nie służyła Francu-

zom za basztę obronną, ale odbudowano ją później: a od r. 1870 odbywa się tu w dzień św. Michała, 29 września, uroczyste nabożeństwo. Nieco dalej, gdzie dziś wznosi się krzyż, była w wieku VIII warownia Otger (*Castillo Otgarío*). Z tego miejsca, zwanego *Miranda*, przecudny roztacza się widok: z jednej strony na przepaścisty jar, z Llobregatem u spodu — z drugiej na klasztor i sterczące nad nim skały.

Po południu wybrałem się z tymże towarzyszem w góry, by zwiedzić bliższe pustelnie. Tuż za studnią *Fuente del portal* zwróciliśmy się na prawo, i ścieżką stromą, ale nie najgorszą, poczęliśmy się wspinać na skały, co nam przypomniało wybieczki tatrzańskie. Po lewej został głęboki jar, dzielący Montserrat prawie na dwie połowy; dnem jego płynie *Torrente de Santa Maria*, po bokach zaś rosną niskie dęby, gęste krzewy i bujna trawa. Cisza zaległa dokoła, bo niema tu szalasów, jak w Tatrach, a pielgrzym lub turysta rzadko tu zabłądzi; cicho też i uroczyscie zrobiło się w duszy, zwłaszcza, że na pamięć przyszli ci mężowie święci, którzy tu, jakby pszczołki Boże, porobili sobie ule, by wyrabiać miód bogomyślności.

Już w wieku VII niektórzy Benedyktyni, żądni życia pustelniczego, usunęli się pomiędzy skały i groty Montserratu, a liczba ich wzrosła, kiedy Maurowie zburzyli klasztor (*Monaasteriolum*), u spodu założony. Miłośników samotności nie brakło i później, gdy już stanął klasztor Benedyktynów na górze; ale dopiero w r. 1320 przeor Jan pobrał im pustelnie według pewnego planu i nadał ściślejszą organizację. Odtąd pustelnicy odbywali pierw nowicyat w klasztorze, i składali profesję, wskutek czego zostawali zawsze w zależności od klasztoru, a natomiast odbierali od niego duchowną i materialną pomoc.

Dla lepszego nadzoru, postanowiono nad nimi kapłana, z tytułem: *Vicario del Abad y Vicario de la montaña*, i osadzono go obok kaplicy św. Anny, uważanej niejako za parafię pustelników. Raz w tydzień zaopatrywano ich w skromną żywność, którą sobie sami przyrządzali; jeżeli zaś który zachorował, przenoszono go do klasztoru. Pustelnicy przez cały rok, nie

wyjawszy nawet słabości, nie jedli mięsa; prócz tego mieli surowy post od 13 września aż do Wielkanocy. Ich domki, w liczbie 13, obejmowały izbę mieszkalną, kuchenkę i kaplicę; ich życie, ujęte w ścisłe karby, dzieliło się między modlitwę, pokutę, czytanie duchowne i pracę ręczną. Zawsze samotni i milezący, tylko w dni święte schodzili się do kaplicy św. Anny, gdzie ojciec wikaryusz odprawiał dla nich Mszę św., słuchał ich spowiedzi, dawał im Ciało Pańskie i udzielał potrzebnych nauk. Tu odprawiali nawet procesye — i było zapewne śliczny widok, kiedy trzynastu „Aniołów ziemskich“ krążyło po górach ze świecami w ręku, podczas gdy ich śpiew głośnie echem odbijał się o skały. Do dziś dnia pokazują miejsce, z kąd brzmiała pieśń *Salve Regina*. Nadto cztery lub pięć razy zstępowali do klasztoru, by wraz z braćmi mieć udział w większych uroczystościach. Była to zatem jakby miniatura Tebaidy, której, niestety, koniec położył najazd napoleoński. Ponieważ niektóre pustelnie służyły Hiszpanom za warownie, przeto Francuzi zburzyli je w r. 1811 pociskami z dział; inne niszczyły później same, kiedy ponad Hiszpanią przeleciał wichher rewolucyi.

Na trzeci dzień po południu pożegnaliśmy Montserrat, unosząc z sobą najmilsze wspomnienia. Prawdziwie, góra to święta i dziwnie piękna, jakby Syon hiszpański, godzien ze wszechmiar widzenia. Ktokolwiek tedy wybiera się za Pireneje, niech nie mija Montserratu, a jeżeli jest czcicielem Najświętszej Panny, dozna tam, przed jednym z Jej tronów, nader słodkich uczuć, — jeżeli jest miłośnikiem natury, znajdzie tam widoki, które napelnią duszę zachwytem. Na mnie przynajmniej wywarł Montserrat silniejszy urok, niż Rigi-Kulm w Szwajcaryi, a podobny nieco, jak Tabor w Ziemi świętej; toż jeszcze ze stacyi Monistrol i z okien pociągu, idącego do Barcelony, śledziłem go oczyma, dopóki zębate jego szczyty nie skryły się za inną górą. Szybko, bo pociągiem pospiesznym, przelecieliśmy piękną Katalonię, mając po lewej kończyny Pirenejów, po prawej morze, którego fale posrebrzył niebawem księżyc swem światłem; a tejże nocy przejechaliśmy

granicę francuską. Powrót do kraju był tem miłszy, że po drodze mogliśmy uczcić *Notre-Dame de la Garde* w Marsylii, *Notre-Dame de Fourvières* w Lyonie, i *Unsere liebe Frau* w Einsiedeln; jakie zaś wrażenie ogólne wywieźliśmy z Hiszpanii, opowiem w następnym rozdziale.

Ks. Dr. Józef Pelczar.



NOWA AUTONOMIA POZNAŃSKA.

Ktokolwiek czyta gazety wielkopolskie, spotykał się w ostatnich czasach z niezwykle mi wiadomościami, odnoszącemi się do organizacyjnej czynności około urządzenia prowincjonalnej autonomii. Wiadomości te zwykle brzmią tak, że do pewnego ciała administracyjnego wybrano lub zamianowano tylu a tylu członków, między którymi bardzo często bywa kilku Polaków.

Od dość dawna zwykliśmy dowiadywać się z gazet tylko o usuwaniu Polaków z urzędu; tem dziwniejsza więc, że tu Polacy zdają się być zasadniczo przypuszczonymi do urzędów, oczywiście przeważnie honorowych — nie wiadomo, czy na stałe, czy też na próbę. Objaw ten, bądźco bądź w danych stosunkach niezwykle, wart, żeby mu się przyjrzeć zbliska, i zastanowić się nad istotą owej autonomii prowincjonalnej, z której Polacy zasadniczo nie są wykluczeni.

Ustawa, którą W. Ks. Poznańskiemu, czyli — jak się mówi urzędowo — prowincyi poznańskiej, przyznano prawa urządzenia się sposobem „autonomicznym“, nosi datę 19 maja 1889 r., a polega w głównych punktach na ustawie o ogólnej administracyi krajowej z 30 lipca 1883 r. Autonomię tę nie wszystkim prowincjom nadano odrazu.

Księstwo Poznańskie jest ostatnią z prowincyj państwa pruskiego, której prawo do „autonomii“ ostatecznie przyznano. Nazywa się to urzędowo wielkiem dobrodziejstwem i zrówna-

niem prowincyi wschodniego centrum z resztą państwa. W r. 1883, kiedy ogólną ustawę o autonomii prowincjonalnej uchwalono, jeszcze „dojrzałość“ Księstwa dla „dobrodrobiejstwa“ tego zdawała się niedostateczną; a i teraz pewno nie byłaby autonomia znalazła przystępu do naszych stron, gdyby ze sfer najwyższych nie wyrażono stanowczego życzenia, że dojrzałość naszego kraju na ten eksperyment uważaną być ma za wystarczającą.

Sejm więc uchwalił odnośną ustawę — ale nie przez akces kraju naszego do ogólnego prawa, obejmującego wszystkie inne prowincye, lecz znów drogą wyjątkową. Nie będziemy porównywali punkt po punkcie autonomii poznańskiej z autonomią innych prowincyj; podamy tylko szkic autonomii naszej, bo uważny czytelnik domysli się odrazu, na czem polegają różnice i odmiany, zawierające resztki nieufności do stosunków i ludzi naszego kraju.

Dotychczasowa administracja pruska po prowincyach była jednolitym ciągiem biurokratycznej hierarchii. Na czele prowincyi stał naczelny prezes z rozczłonkowaną na cały szereg departamentów rejencyą, od której bezpośrednio zależały urzędy powiatowe. W pierwszym rzędzie landrat czyli radca ziemiański, z biórem swem i sejmikiem powiatowym, który rozpada się na różne komisyje, obrabiające sprawy komunalne powiatu. Prócz tego policyjna władza w Księstwie, odmiennie od innych prowincyj, wykonywała się przez t. zw. komisarzy dystryktowych i żandarmeryę. Wszystko to pozostaje z wyjątkiem komisyj powiatowych; a obok tego urządza się nowy szereg władz autonomicznych: mianowicie na czele dyrektor krajowy, rodzaj generał-starosty, wydział prowincjonalny, rada prowincjonalna, wydział departamentowy dla każdego obwodu rejencyjnego w prowincyi, i wydziały powiatowe, którym sejmik powiatowy może polecić administracyę spraw powiatowych. wykonywaną dawniej przez landrata i sejmikowe komisyje.

Na czele administracyi autonomicznej stoi dyrektor krajowy, wybierany przez wydział prowincjonalny, ale potwierdzany (w Księstwie) przez króla. Ten wydział prowincjonalny

jest najwyższą zbiorową władzą autonomiczną; składa się z 7 do 13 członków i tyleż zastępców, wybieranych przez sejm prowincjonalny, za potwierdzeniem ministra spraw wewnętrznych. Wydział ten wybiera do rady prowincjonalnej 5 członków; ale na czele jej stoi naczelny prezes prowincyi lub jego zastępca, a minister deputuje prócz tego do niej wyższego urzędnika administracyjnego. Dalej wybiera wydział prowincjonalny 4 członków wydziału departamentowego czyli obwodowego, a wydziałów tych bywa w prowincyi tyle, ile jest obwodów rejencyjnych. Na czele wydziału departamentowego staje mianowany przez króla prezes rejencji obwodowej, a jemu do boku dodani, także z ramienia królewskiego, jeden sędzia i jeden urzędnik wyższy administracyjny. Wybranych członków wydziału departamentowego zatwierdza naczelny prezes prowincyi.

Teraz przychodzimy do organizacji powiatowej, na której czele pozostaje, jak dotąd, landrat czyli radca ziemiański. On też przewodniczy w wydziale powiatowym, składającym się z 6 członków, mianowanych przez naczelnego prezesa z szeregu powiatowców, podanych przez sejmik powiatowy. Członkowie ci wybierają się na lat 6; ale drogą dyscyplinarną złożeni być mogą każdego czasu z urzędu. Temu to wydziałowi powiatowemu sejmik powiatowy może polecić administrację spraw powiatowych, ale też każdego czasu polecenie to cofnąć może.

Taki jest w najgrubszych zarysach szkic naszej organizacji. Opuszczam wszelkie szczegóły, żeby nie nużyć czytelnika drobiazgami, prawie niezrozumiałemi dla nieobeznanego ze stosunkami miejscowemi.

Na pierwszy rzut oka zdaje się, że cała organizacja ta ma właściwie na oku tylko pomnożenie urzędów i urzędników, po części honorowych, po części płatnych; gdyż członkowie wydziału powiatowego mają pobierać zwrot kosztów,łożonych na jazdy i t. p. wydatki, ponoszone w interesie urzędu. Wytnikną więc ztąd nowe koszta i ciężary, jak niemniej z urządzienia biór dla każdego ciała autonomicznego. Mianowicie też

w stosunkach powiatowych, pod względem administracyjnym, u nas w nowej organizacyi uproszczenia stosunków dopatrzeć się trudno. Zależność władz powiatowych od landrata jest przy nowem urządzeniu większą, jak była przy dawnem, bo komisyje powiatowe wybierał sejmik, a członków wydziału wybiera naczelny prezes, naturalnie w porozumieniu z landratem. Sejmik może sobie wprowadzić zastrzedz samodzielne kierownictwo spraw powiatowych, nie zdając wszystkich kompetencyj na wydział; ależ w takim razie maszyna administracyjna staje się jeszcze ociążalszą, jak była za rządów komisyj sejmikowych. Dlatego też większa część powiatów, uprzedzając życzenie rządu, bez ogródki przelewa kompetencye swe na wydziały.

Z tego zestawienia wynikałoby, że nowe urządzenie autonomiczne w Prusiech, a mianowicie w Poznańskim, nie koniecznie należą do rzędu ulepszeń. Ale baczycь trzeba, że władze autonomiczne nie tylko mają kompetencye administracyjne, lecz także i sądowe w sensie administracyjnym. Najniższą instancją jest wydział powiatowy, drugą jest wydział departamentowy czyli obwodowy, a trzecią osobny, t. zw. najwyższy sąd administracyjny w Berlinie. Kontroli i werdyktom tych instancyj podlegają wszystkie władze prowincjonalne, poczynawszy od żandarma i woźnego, a czynności władz tych już nadal nie będą wyłącznie poddane nadzorowi i sądom samychże instancyj biurokratycznych. To jest wielka i główna korzyść z tego urządzenia. Dotąd w sporze jakimkolwiek z władzą o sprawę administracyjną było się prawie bezbronnym wobec zeznania organu wykonawczego, popierającego zeznanie swe przysięgą urzędową, raz na zawsze przy objęciu urzędu złożoną. Teraz w ciągu instancyj nieinteresowanych łatwiej się znajdzie uznanie dla słuszności.

Tyle o istocie nowej autonomii; a teraz przypatrzmy się jej bliżej szczegółowo ze stanowiska stosunku naszego do niej.

Zaznaczyliśmy już na wstępie, że nie tylko nie zostaliśmy z tej organizacyi zasadniczo wykluczeni, ale owszem, i to systematycznie, zostaliśmy do niej przypuszczeni i powołani. Nie

będę tu wyliczał całego szeregu nazwisk osób polskiej narodowości, które bądź wybrane, bądź mianowane zostały dla wszystkich wydziałów, i to właśnie w chwili, kiedy poza tą organizacją autonomiczną stoi niewzruszenie zasada, żeby Polaków, w ich własnym kraju, do urzędów nie przypuszczać. Musiała więc chyba bardzo potężna woła objawiać w tej mierze swe życzenia, niekoniecznie zgodne z życzeniami niechętnej dla nas biurokracyi prowincjonalnej. Widać to mianowicie ztąd, że stosunkowo najskąpiej uwzględniono nas w wydziałach powiatowych, zależnych od landrata i naczelnego prezesa. Mówi się, że nadano nam w wydziałach tyle miejsc, ile na nas przypada wedle statystyki; ta oczywiście w wielu powiatach przemawia przeciwko nam, są przecież jeszcze powiaty, z których tworzymy większość. O ile jednak zauważyłem, nigdzie więcej miejsc nam w wydziałach nie odstąpiono jak polowcy, żeby pan landrat mógł swym głosem zawsze przeważać na stronę niemieckiej większości.

Bądźco bądź, przypuszczenie nas do prowincjonalnej autonomii tam, gdzie nas można było usunąć zupełnie, jest w samych stosunkach faktem nie małego znaczenia, a zdaje się, że na fakt ten w kraju zamało zwrócono uwagi i nie wyzyskano go politycznie. Do tego zapewne odnosi się uwaga Miquela w pruskiej Izbie Panów, rzucona podczas gorących obrad i sprzeczek nad sprawozdaniem komisji kolonizacyjnej, że Polacy odepchnęli rękę, którą im podano. Jestto o tyle zarzut niesłuszny, że ręki nikt nie odpychał; ale i to pewna, że z faktu zastanowienia godnego, możeby się było należało wydobyć znaczniejsze korzyści polityczne, przez nawiązanie jakiegoś znośniejszego stosunku z koroną. Tem więcej, że w samym początku zaprowadzenia nowego porządku, ze strony rządu objawiono, jak na tutejsze stosunki, niebywałą powolność. W sejmie prowincjonalnym jeden z posłów polskich, konserwatysta i umiarkowany, podał do protokołu bardzo ważne oświadczenie. Wiadomo jest, że w Prusach zachodnich przy zaprowadzeniu autonomii prowincjonalnej w pewnej mierze Polaków także przypuszczono na razie do admi-

nistracyi. Tam bowiem, podobnie jak w innych prowincjach niemieckich, zaprowadzono jeszcze podział powiatów na wójtostwa. W każdym z tych wójtostw urzęduje autonomiczny wójt (*Amtsvorsteher*), jako władza administracyjna i policyjna, podczas gdy w księstwie pozostała instytucya komisarzy dystryktowych, mianowanych z góry. Nie wszędzie w okolicach polskich Prus zachodnich można było dobrać na wójtów osoby pochodzenia niemieckiego takie, któreby w wójtostwie miały należytą powagę; chcąc nie chcąc powołano więc na urząd ten obywateli Polaków. Ale już przy pierwszych wyborach okazało się, że władza polityczna wymagała od wójtów Polaków, żeby się zaparli swego narodowego stanowiska, i agitowali na rzecz kandydatów rządowych; ci zaś przeciwnie uważali, że stanowisko urzędowe zupełnie nie przeszkadza prawom obywatelskim, i kilku z nich należało oczywiście do komitetów wyborczych. Wytoczono im za to procesa dyscyplinarne i odjęto urzędy. Ze względu więc na tego rodzaju doświadczenia, postawiono w sejmie prowincjonalnym oświadczenie, że skoro w naszej autonomii obywatele powoływani być mają do pełnienia urzędów honorowych, takowi urzęda te przyjmować będą w przypuszczeniu, że stanowisko urzędowe nikomu przeszkadzać nie może w wyznawaniu takich czy owakich zasad politycznych i w wolnem, swobodnem wykonywaniu praw obywatelskich. Do tego to protokółarnego oświadczenia posłów polskich, przyłączyli się także wolnomyślni Niemcy z obawy, żeby i onych nie traktowano następnie także jako *Rechtsfeindów*, skoro podczas wybrań agitować lub wybierać będą wedle swego politycznego widzimisię. Oświadczenie to ani w sejmie prowincjonalnym, ani ze strony władzy politycznej, ani z najwyższej sfery, zatwierdzającej, nie doznało zaprzeczenia, i stanowić będzie nadal polityczną *magnam chartam*, rękojmię polityczną dla autonomicznych urzędników. Tak rzeczy stanęły, i na takiej zasadzie śmielej dziś wchodźć możemy do rządzących powiatem ciał autonomicznych. A może i dlatego uważano za stosowne nie sprzeciwiać się polskiemu oświadczeniu, że jak już wyżej wspomnieliśmy, główna władza po-

licyjna pozostaje przy naszej organizacyi zawsze jeszcze w ręku nieautonomicznych komisarzy dystryktowych. Bądźcobać i w tej mierze powolność władzy była uwagi i zastanowienia godną, bo nie licowała już z gasnącemi snąc wtedy gwiazdami systemu bismarkowskiego.

Cała maszynerya nowych urządzeń nie jest jeszcze zupełnie unormowaną i w bieg puszczoną, nie można więc dziś jeszcze orzec stanowczo, czy bieg ten pójdzie gładko, zwłaszcza też dla nas. Wszędzie, do wszystkich stopni władz autonomicznych nas przypuszczono, chociaż nie w takiej liczbie, jakbyśmy byli pragnęli; teraz zależeć będzie po części od nas samych, czy się na stanowiskach utrzymać zdołamy, skoro przypuszczać można, że na razie nie zaraz się powtórzy procedura, zastosowana do polskich urzędników autonomicznych Prus zachodnich. Przypuściwszy więc, że dobra wola władzy nie skończy się, jak ongi w Prusach, za łada podmuchem niemieckiego szowinizmu, należałoby życzyć, żeby autonomiczni nasi uczestnicy władzy, szczerze i pilnie zajęli się obowiązkami swymi, a nadto żeby umieli pracować. Na szczerej chęci oczywiście zbywać nie będzie; ale pod względem zmysłu administracyjnego i doświadczenia w sprawach administracyjnych, bodaj czy nie zależeliśmy pola, raz dlatego, że nas usuwano, a następnie i dlatego, że z wygody i pruderyi politycznej, czyli naszej rzekomo patryotycznej, sami się usuwaliśmy od wglądania w sprawy gminne, powiatowe, administracyjne i policyjne, pozostawiając wszystko samowoli biurokratów. Nie koniecznie zatem wykluczoną jest możebność, że w nowych wydziałach powiatowych i t. d. autonomiczni ochotnicy nasi „pracować“ będą pozornie, a w istocie landraci z sekretarzami przeprowadzą wszystko, bo rzeczywiście „robić“ będą za wszystkich. Nie wykluczona jest nadal i ta możebność, że naczelny prezes, jeżeli jemu i jego podwładnym nie zaimponujemy chęcią do pracy i skutecznością pracy, przy następnych wakacjach polskie miejsce osadzać będzie znów Niemcami, tłómacząc się, naturalnie z przesadą odpowiednią przed instancjami wyższemi, że Polaków do „służby“ użyć nie można. Bardzo

to niedawno temu, jak w tym sensie odzywał się w parlamencie jeden z kulturników kujawskich, zapewniając orędowników żądań polskich z centrum, że zupełnie inaczej sądziliby o Polakach, gdyby skazani byli „w domu“ razem z nimi pracować. Była to naturalnie perfidya, bo i u Niemców, zwłaszcza w stanie ziemian dorobkiewiczów, mnóstwo jest niedołęgów, z którymi landraci i żandarzni trudniej sobie dają radę, niż z fantazyą czy powierzchownością polskich „powiatowców“. Ale jednak ta i tej podobne perfidy zawsze zrobić mogą swoje na naszą niekorzyść.

Ważną też jest kwestya, jakie stanowisko zajmie nowy pan generał-starosta wielkopolski, czyli po prusku pan *Landes-director*, obecnie pan *Posadowsky-Wehner*.

Jestto członek starodawnej rodziny polskiej, która za Sasów dzierżyła w Rzeczypospolitej wysokie dygnitarstwo, ale następnie — zapewne właśnie przez stosunki saskie — zniemczała zupełnie. Jak ongi podczas wojny francuskiej telegramy rozpowszechniane na świecie, najczęściej podpisywane bywały przez generałów „polskich“, — owych Podbielsky'ch, Lewinsky'ch, Lescynsky'ch, Krensky'ch i t. p., — tak i w administracji krajowej system bismarkowski gonił za tem, żeby urzędy obsadzać częściowo przynajmniej *Musterpolakami*, t. j. Polakami. których nazwiska wprawdzie polskość przypominają, ale których poczucie zupełnie się rozeszło z tradycjami polskimi. Do takich Polaków należy i p. Posadowsky. Jestto urzędnik ze szkoły bismarkowskiej; za jego rządów robił swą karierę urzędniczą. Czy doszedłszy do wysokiego i dobrze płatnego urzędu, przestanie być biurokratą bismarkowskiego autoramentu, przewidzieć nie można. Jako landrat i radca rejencyjny nie odznaczył się nigdy szczególną sympatją dla nas. Po zatwierdzeniu na urzędzie, przedstawił się Najjaśniejszemu Panu. Czy i jakie wtedy odebrał wskazówki, wykaże się z praktyki jego panowania.

W. S.

POJĘCIA RELIGIJNE PERSÓW

ZA ACHEMENIDÓW.

Persya poczyną być znaną od czasu Cyrusa. Wielki ten wojownik, zrzuciwszy jarzmo Medów, zagarnął Babilon, podbił cały niemal zachód Azji — i dał początek państwu perskiemu, które za dynastyi Achemenidów, przeszło dwa wieki, pierwszorzędną odgrywało rolę w dziejach ówczesnego świata.

Historya Persyi z tej epoki spisana była przez pisarzy klasycznych, którzy albo byli współczesnymi świadkami zdarzeń, albo też z dobrych czerpali je źródła. Nowoczesne badania potwierdziły prawdomówność dawniejszych autorów, szczególnie zaś Herodota, w tem wszystkim, co się odnosi do stosunków politycznych, społecznych i obyczajowych; inaczey się ma rzecz względem religii.

Wiadomości dostarczane przez klasyków o religii Persów są nader szczupłe, nie zawsze ze sobą zgodne, i nie odnoszą się do tejże samej epoki, i tegoż samego wyznania. Ksenofont opisuje obrządek ofiarny Persów, i twierdzi, że ofiary te składali Zeusowi, Słońcu i Ziemi. Herodot przywodzi więcej szczegółów, zaznacza z naciskiem, iż nie stawiają oni ani świątyni ani posągów swym bogom, i że mają o nich całkiem inne pojęcia aniżeli Grecy. Obrządki religijne, jakie przytacza, są często wręcz z sobą sprzeczne, i dają do myślenia, iż istniał podówczas w Persyi dwojaki przynajmniej obrządek, a każdy z nich odpowiadał innemu pojęciu, a więc i wyznaniu religijnemu. Strabon jest o wiele późniejszy; pisał już za dynastyi

Partów, i nazywa Persów „czcicielami ognia“; niektóre szczegóły obrzędów, które sam własnemi widział oczyma, są zupełnie takie same, o jakich mówił Herodot. Te najgłówniejsze źródła klasyczne, ani same oddzielnie, ani zestawione razem, nie dawały dobrego pojęcia o religii Persów: jednakże, ponieważ w czasach późniejszych, za dynastyi zwłaszcza Sasanidów, Persowie byli przeważnie czcicielami ognia, stąd podciągano też zwyczajnie pod to wyznanie i Persów z epoki Achemenidów. Badania dopiero piśmiennictwa erańsko-indyjskiego, przede wszystkim zaś odkrycie pomników staro-perskich, dozwoliły sprostować dawniejsze mniemanie. Zanim przystąpimy do rozpatrzenia nowych źródeł, musimy przebiec krytycznie zapiski klasyków, tyjące tego przedmiotu; pomimo niedostatków są one cenne, i służą za tło do obrazu, przedstawiającego rzeczywisty stan pojęć religijnych Persów.

Ksenofont przebywał długi czas w Persyi, i wiele ksiąg zostawił nam o Persach, lecz jego opowiadanie, jakkolwiek zajmujące, nie jest ścisłe; szczegóły, jakie przytacza np. o Cyrusie Wielkim, są tak drobiazgowo, jak gdyby je podawał naoczny świadek. tymczasem, jak wiemy, żył on w sto przeszło lat po nim. Zresztą Ksenofont pisze bardzo mało o pojęciach religijnych Persów; a jeżeli z powodu jakiego większego obchodu wspomina o nich, to tylko pobieżnie. Oto wyjątki:

Po mojej śmierci — mówi Kambyzes — tron ma należeć do syna mego Cyrusa, jeżeli mnie przeżyje. On to, kiedy sprawy powołają go do Persyi, będzie składał bogom ofiary za was, jakie ja im dziś czynię; kiedy zaś nie będzie w kraju, wówczas powierzyście ten święty urząd najgodniejszemu z naszego rodu... (Cyrus) przeznaczył ofiary, i według obrządku perskiego składał je na wzgórzach bogom, opiekunom swej ojczyzny, słońcu i innym bóstwom: przyczem tę czynił modlitwę: „Zeusie, boże mych ojców, Słońce i wy wszyscy bogowie“... Przy składaniu ofiar wykonywał taniec na cześć bogów, według obyczaju perskiego... Skoro przybyli na pole poświęcone, ofiarowano Bogu najprzód byki, które były palone zupełnie; potem na cześć Słońca palono konie; następnie ofiarowano żertywy Ziemi, według obrządku przepisanego przez Magów, nakoniec opiekunów bohaterom Syryi... Skoro otworzone zostały podwoje pałacu, wpro-

wadzone najprzód cztery piękne byki; miały one być ofiarowane Zeusowi i innym bóstwom, wskazanym przez Magów. U Persów bowiem zachowuje się ten zwyczaj, iż co się tyczy kultu bogów, należy iść za radą tych, którzy są ich sługami¹.

Oto prawie wszystko, co Ksenofont zostawił nam o religii Persów. Żałować należy, że Ksenofont, umiejący pewnie po persku, zamiast „Zeusa“ nie przytoczył nam nazwy perskiej; żałować szczególniej należy, że żyjąc długi czas w Persyi, tak skąpe pod tym względem zostawił nam wiadomości; jednakże szczegóły przez niego podane, ważną są dla nas wskazówką. Palenie koni i byków nie było zwyczajne u późniejszych Aryów; z tego rodzaju ofiarami nie spotykamy się ani w Aweście ani w Wedach, jakkolwiek w obudwóch tych księgach są wzmianki o dawniejszych ofiarach tego rodzaju. W Chorda-Awesta, mianowicie zaś w Yeszie V. i IX., jacyś bohaterowie składają na raz całopalenie ze „stu koni, tysiąca byków i dziesięciu tysięcy mniejszych bydła“. Podanie o podobnych ofiarach przechowało się u Indów. Wedy wspominają o *Aśwa-medha*, „końskiem całopaleniu“, które niegdyś było praktykowane, przyczem hymny 162 i 163 z *Mandala* I-ej śpiewane były. Z tego wynika, że ofiary tego rodzaju musiały być spełniane przed rozłączeniem się Eranów i Indów, a zatem w czasach, sięgających po za wiek XX przed naszą erą. Ten rodzaj ofiar dotrwał w Eranie do Cyrusa, a nawet prawdopodobnie do późniejszych Achemenidów, skoro znajdujemy o nim wspomnienie u *Athenusza*². I *Arianus*, opowiadając o grobowcu Cyrusa, pisze:³

¹ *Cyrop.* VIII, 3, 5, 7.

² Królowie perscy składali codziennie ofiarę z wołów, osłów i jeleni. *Deipnosophistai*, ks. III. Znakomity Eranista, profesor uniwersytetu w Lowanium, Mgr. de Harlez, pisze z powodu tych ofiar: „Il est évident, que ces rites avaient bien quelques rapports éloignés avec ceux de l'*Avesta*, mais que ce livre n'était point le code sacré de la Perse, au temps des Achéménides, que ses prescriptions n'y étaient point suivies. Ceci nous est confirmé par les traits de ressemblance, que l'on voit entre les holocaustes pratiqués par Cyrus et les sacrifices offerts par les héros antiques, selon les Yeshts V et IX. Pour les auteurs de ces Yeshts, le culte du grand roi était celui de l'antiquité la plus reculée“... *La religion de la Perse antique était éranienne, mais elle n'était pas avestique. Avesta.* Intr. p. CCXIII.

³ Ks. VI, rozdz. 8.

Po schodach wewnętrznych wchodziło się do izby, zajmowanej przez Magów, którzy, od śmierci Cyrusa, mieli przywilej opiekowania się tym grobem. Król przeznaczał na ich potrzeby jednego barana codziennie; nadto pewną ilość mąki i wina, a co miesiąc konia, którego mieli składać w ofierze na grobowcu.

Ogólnie z zapisek Ksenofonta nie można nic prawie wnioskować o religii Persów; daleko więcej poucza nas w tym przedmiocie Herodot:

Persowie — pisze Herodot ¹ — nie mają zwyczaju wznosić posągów, ani świątyń, ani ołtarzy; przeciwny zwyczaj uważają za niedorzeczny, albowiem — jak mi się zdaje — nie przypuszczają, aby bogowie mieli kształty, jakie im przyznają Grecy. Persowie składają zwyczajnie ofiary Zeusowi na szczycie gór; Zeusem nazywają całe sklepienie niebios. Składają również ofiary słońcu, księżycowi, ziemi, ogniovi, wodzie i wiatrom. Tym tylko pierwotnie ofiarowywali. Lecz przyjęli od Asyrów i Arabów zwyczaj ofiarowania również Afrodycie niebieskiej; Asyrowie nazywają tę boginię Militą, Arabowie Alitą, a Persowie Mitrą. Ofiara, składana przez Persów bożkom wyżej wymienionym, odbywa się następującym sposobem. Nie stawiają całkiem ołtarza, nie rozpalają ognia, nie czynią libacyj, nie używają ani fletu, ani opasek, ani ziarn. Skoro który z nich chce złożyć obłatę, prowadzi przeznaczoną ofiarę na miejsce czyste, i owinawszy wieniec laurowy około swej tyary, wzywa boga. Niewolno mu składać ofiary za siebie samego tylko; powinien ją czynić za wszystkich Persów i za króla. Po rozplataniu żertwy i upieczeniu, składa mięso na ziołach, przeważnie na koniczynie. Wówczas Mag obecny rozpoczyna modlitwy — ofiary bowiem mogą być składane tylko w obecności Maga — poczem ofiarujący zabiera mięso i robi z nim co chce... W wielkiej czci są u nich rzeki; nie wolno nikomu ich zanieczyszczać. Obrządek z ciałem umarłego zachowuje się w tajemnicy. Mówią, że żaden Pers nie jest pogrzebiony, dopóki ciało jego nie jest pożarte od ptaków lub psów. Wiem z pewnością, że Magowie tak postępują — czynią to całkiem otwarcie; co się tyczy Persów, napuszczają oni trupy woskiem i grzebią je w ziemi. Magowie różnią się od innych tem szczególnie, iż sami zabijają zwierzęta własnymi rękami,

¹ Hist., ks. I.

jednakże nie zabijają ani psów ani ludzi; uważają za rzecz chwalebną zabijanie urówek, węży i innych gadów, a nawet ptaków.

Persowie tedy nie stawiali bogom posągów, a jednakże barbarzyńcami nie byli, sztuka u nich kwitnęła, mieli znakomitych artystów — jak świadczą dzisiaj gruzy ich wspaniałych pomników; nie stawiali posągów, albowiem nie przyznawali — jak mówi Herodot — bogom kształtów ludzkich: nie byli zatem bałwochwalcami. Tenże sam autor pozostawił nam opis zdarzenia, które uwydatnia zapatrywanie Persów na bogów pogańskich.

Kambyzes po niepomysłnej wyprawie do Górnego Egiptu powrócił do Memfis właśnie w chwili, kiedy Egipcyanie obchodzili z wielką okazałością nowe pojawienie się Apisa. Skoro się dowiedział o przyczynie tej uroczystości, kazał przywieść przed siebie owego bożka Egipcyan. Oto, jak Herodot opisuje całe to zajście:

Ten Apis, nazywany również Epaphus, jest to młody byk; jego matka raz tylko może być cielną. Egipcyanie mówią, iż błyskawica z nieba zapładza taką jałówkę. Ten byczek odznacza się pewnemi zewnętrznemi znamionami: mianowicie sierść jego jest czarna, na czole ma trójkątną centkę białą, na grzbiecie wizerunek orła, pod językiem zaś chrząszcza; włosienie jego ogona jest podwójne.

Skoro kapłani przyprowadzili Apisa, Kambyzes, jak szalony, wyciągnął swój sztylet, by mu zadać raz w brzuch: lecz skaleczył go tylko w udo. Poczem odezwał się szyderczo do kapłanów: „Niegodziwcy! czyż bogowie mają ciało i krew? czyż mogą odczuwać razy zadane żelazem? — Ten bóg wart jest zepewne być bogiem Egipcyan, ale nie pozwolę, żebyście wy sobie ze mnie sztydzili“. Następnie kazał ich oćwiczyć różgami... Skończyła się tym sposobem cała uroczystość. Co się tyczy Apisa, chorował jakiś czas w świątyni wskutek otrzymanej rany — i wreszcie zdechl. Kapłani złożyli go w grobowen¹.

¹ Ks. III, 28, 29. Mariette miał podobno odkryć grobowiec tego Apisa. Opowiadanie Herodota jest zabarwione pewną — conajmniej — niechęcią ku Persom. Kambyzes był gwałtownym pewnie, szalonym jednak nie był: miarą jego zdrowych pojęć są słowa wyrzeczone do kapłanów.

Nie stawiali również Persowie świątyn, pomimo że byli religijnymi i oddawali cześć Bogu: a wzięwszy na uwagę, cośmy powiedzieli o składaniu ofiar przez Persów, z powodu zapisek Ksenofonta, wnioskować można, że przechowali najdawniejszy kult swych przodków.

Kult ten polegał na składaniu ofiar „Zeusowi“. Herodot po persku nie umiał ¹, nie znał prawdopodobnie nazwy Boga w tym języku; używa wyrazu Zeus, przyjętego przez Greków dla oznaczenia najwyższego Boga. Co ojciec historyków przez ten wyraz rozumiał, wiedzieć nie można: jednakże zostały ślady najdawniejszych pojęć Greków, z których widocznie się przebija, że pierwotnie Zeus oznaczał Istotę Najwyższą w znaczeniu jednobożnem ². Czy takie znaczenie dawali Persowie Bogu, którego Herodot nazywa Zeusem, z zapisek tego autora trudno dociec; z wyrażenia zaś, że „Zeusem nazywają całe sklepienie niebios“, wnioskować tylko można, że Persowie, zarówno jak spokrewnieni z nimi Indowie, Boga uważali za Twórcę niebios: *Dyaus* „niebo“, *Dyausz-pitar* „ojciec-nieba“ — zkaąd następnie powstały wyrazy: *Zeus*, *Deus*, *Zeus-piter*, *Ju-piter*.

Ściśle biorąc rzecz, z tekstu Herodota nie można nabrać dokładnego pojęcia o religii Persów; za jednobożnością jednak,

¹ Jako jeden z dowodów może służyć błędne mniemanie Herodota, że imiona wszystkich królów perskich kończą się na *s*. Z wyjątkiem Cyrusa i Dariusza, końcówki innych imion są na *a* — i tak: Chszajarsza, Artachszatra, Wistaśpa, Arsama, Arżyaramna.

² Rzeczą jest pewną — pomówimy kiedyś o tem obszerniej — że zanim filozofowie greccy przez rozumowanie doszli do pojęcia jednobożności, pojęcie to już pierwiej istniało wśród nich, jako podanie przekazane od przodków. Tak między innymi twierdzi i sam Arystoteles; a na poparcie przytacza ustęp z pieśni Orfeuszowych:

Zeús prwotés géneto, Zeús hōtatos árkhégarounz.
Zeús kephalḗ, Zeús méssa, Diós dh̄en pánta tétonkai.
Zeús pothḗn gaítes te kal oúranou ásteróountoz.
Zeús h̄rotergéneto, Zeús ámbrotos ēpheto nómeti.
Zeús pnoitḗ pántων, Zeús ákamátou porós órmeti.
Zeús pántou híza, Zeús h̄lios h̄dh̄ sekhēnē.
Zeús basilēbz, Zeús árchēs ápántων árkhégénēthios.
pántas gar krótas aḗthos phós ēs poloktēthēs
ēz isrh̄s kratēthēs anenēgkato. méremena híziōn.

oprócz względów wyżej przytoczonych, przemawia jeszcze i ten, że Herodot nie wspomina całkiem o innych bożkach perskich: mówi wprawdzie, iż składano ofiary słońcu, ziemi, wodzie i t. d., lecz tego bliżej nie oznacza, — a więc nie można ztąd wnioskować, że Persowie uważali je za bogów. Co się tyczy boga czy bogini Mitry, Herodot wyraźny kładzie nacisk, iż Persowie przyjęli ją od Arabów. w czym — jak to zobaczymy — ma zupełną słuszość; a zresztą fakt ten odnosi się do ostatnich królów z dynastji Achemenidów.

Pozostaje jeszcze wytłómaczyć niektóre praktyki obrzędowe, o których wspomina Herodot — mianowicie praktyki Magów. Historyk grecki nie jest ani jasny ani stanowczy w swem opowiadaniu. Według tekstu, wyżej przytoczonego, zdawałoby się, że Magowie są poprostu kapłanami Persów, a ztąd ich wyznanie religijne musi być zarazem wyznaniem tych ostatnich; a jednakże w dalszym toku wyraźnie zaznacza, że obrzędy, szczególnie pogrzebowe, są całkiem różne, a Magowie praktykują je w tajemnicy — wynika zatem, że Magowie stanowili oddzielną sektę. Sprzeczność tedy jest widoczną.

Posiadamy jeszcze świadectwo innego pisarza, mianowicie Strabona. Geograf grecki potwierdził wiadomości Herodota o Persach, a nadto dodał swoje własne spostrzeżenia. Skrzętnie badał on w Kapadocyi miejscowe obrzędy religijne, które tam praktykowali Magowie, jak to wyraźnie zaznacza; jednakże ponieważ żył i pisał za dynastji Partów, ztąd wiadomości przez niego podane, nie mogą być stosowane do epoki Achemenidów, która właśnie jest przedmiotem niniejszego rozbioru. Na razie tedy Strabon nic nam nie pomoże; nie możemy jednak pozostawić kwestyi Magów bez rozwiązania, gdyż ona stanowi tu jądro rzeczy.

Religia, jaką wyznawali i starali się szerzyć Magowie, nosi nazwy: magizmu, mazdeizmu, zoroastryzmu; jej wyznawców nazywają też „czcicielami ognia“. Jest rzeczą pewną, że Persowie za dynastji Sasanidów wyznawali zoroastryzm; ztąd, idąc zwłaszcza za bałamutnemi wyrażeniami pisarzy greckich, wyrobiło się mniemanie, że i za czasów Achemenidów Perso-

wie byli czcicielami ognia — co nawet wielu z dzisiejszych badaczy utrzymuje. Otóż na mocy właśnie świadectw pisarzy klasycznych, a również opierając się na nowych nabytkach wiedzy, osiągniętych w ostatnich czasach, stanowczo twierdzimy, że Persowie za czasów Achemenidów nie byli wyznawcami zoroastryzmu.

Najprzód sam wyraz „Magus“, „Mag“ niewiadomego jest pochodzenia. Niektórzy orientaliści twierdzą, że wyraz ten jest aryjski: w napisach Dariusza stoi *Magus*; w Aweście¹ wyraz *Móghu*, znaczy, według de Harlez'a, to samo co kapłan; pisarze arabsko-persey średnich wieków nazywają kapłana, czciciela ognia, *Mogh*; dzisiejsi Gwebrzy dają mu nazwę *Mobet* (skrótcone z *Mogpat*); w sanskrycie wyraz *Maha* „wielki“ odnosi się do tego samego źródłosłowa. Inni uczeni źródłosłów tego wyrazu upatrują w języku asyryjskim. Schrader² sądzi, że *Mag* pochodzi od *im-ga*, „znakomity“, „dostojny“, a wyraz ten spotyka się często w napisach babilońskich; Delitzsch³ utrzymuje, że wyraz *mahu* w babilońskim narzeczu znaczy „przewielebny“; do asyryjskiego języka dostał się w brzmieniu *magha*, i jest jednoznaczającym z wyrazem *asipu* „wroźa“ albo „tłómacza snów“.

Taka sama niepewność panuje co do pochodzenia samychże Magów. Pisarze klasyczni nazywają Magami kapłanów chaldejskich — i tę samą nazwę dają kapłanom perskim. W Chaldei Magowie stanowili kastę, zajmowali się spostrzeżeniami nad biegiem ciał niebieskich, a zarazem astrologią i tak zwaną „magią“; w Persyi Magowie byli zwolennikami nauki Zoroastra, a również oddawali się magii tak, że samą doktrynę Zoroastra nazywali Grecy magią, a Zoroastra Magiem⁴. Tożsamość nazwy i urzędu nastrocza myśl wspólnego

¹ Yeszt XLIV, 25.

² KAT², S. 417—421.

³ *The Hebrew Language viewed in the light of Assyrian Research*, p. 14.

⁴ Ob. Apulejus. *Florid.* p. 19. édit. Attib. Pliniusz mówi, że Hermisses pisał o *tota arte magica* i tłómaczył doktrynę Zoroastra. *H. N.* XXX, 1, 2: *ἡ ὅλη τέχνη ἡ μαγική*. Clem. Al. *Strom.* str. 357: toż samo Plut. *De Iside*, 46. Platon doktrynę Zoroastra nazywa *μαγική*. Obszerniej pisze o tem de Harlez w *Avesta*.

pochodzenia. Czy sama rzecz wraz z nazwą wytworzyła się najprzód w Persyi, a raczej w Medyi, a następnie przeszła do Babilonu, czy też przeciwnie,—o tem przeniczącą klasycy, a nowocześni badacze na jedno zgodzić się nie mogą; prawdopodobniejsze jest jednak to drugie przypuszczenie.

Cywilizacya asyryjska starszą jest od medyjskiej. Asyrowie niejednokrotnie zagony swoje rozpościerali na Medyą, wpływ ich kultury tak w piśmie klinowem jak i w architekturze, zwłaszcza perskiej, jest widoczny; nadto jeżeli weźmiemy na uwagę, że cywilizacya asyryjska wraz z babilońską rozwinęły się na prastarej kulturze Sumeru i Akkadu, która na kilkadziesiąt wieków przed naszą erą pilnie uprawiała magię, jak o tem świadczą liczne cegielkowe księgi ciągle jeszcze odgrzebywane, a ten przedmiot traktujące,—to wniesć ztąd należy, że magia w południowej Mezopotamii wzięła początek.

Oprócz podobieństwa nazwy jest również podobieństwo i samej doktryny. Magizm czyli naukę Zoroastra rozbiierać będziemy osobno i szczegółowo; zanim jednak to nastąpi, choć w kilku słowach przedstawić musimy jej treść, i wskazać jej związek z doktryną kuszyckich Akkadów.

Zoroastryzm uważany był w Europie jako doktryna wzniosła, a sam Zoroaster porównywany bywał z mędrcami starożytnymi. Takie mniemanie przekazali pisarze klasyczni; a filozofowie XVIII w., dla poniżenia chrystyanizmu, apoteozowali tak naukę jako i jej twórcę. Łatwo im to przychodziło, gdyż ani ci, dla których pisali, ani oni sami o Zoroastrze i zoroastryzmie nie wiedzieli. Skoro okazały się pierwsze próby tłómaczenia Awesty na język europejski przez Anquetil-Dupéron'a, wielkie zdziwienie ogarnęło uczonych. Jeden z nich, znakomity Indyanista Sir William Jones, zaznaczył oburzenie swoje listem, który tu zamieszczamy¹. Najniesłuszniej zarzuca

¹ „On possédait déjà plusieurs traités attribués à Zardusht ou Zaratusht, traduits en Persan moderne; de prétendues conférences de ce législateur avec Ormuzd, des prières, des dogmes, des lois religieuses. Quelques savans, qui ont lu ces traductions, nous ont assuré, que les originaux étaient de la plus haute antiquité, parce qu'ils renfermaient

tłomaczowi tendencyjne fałszowanie tekstu. Dzisiaj wiemy, że jakkolwiek tłumaczenie Anquetil-Dupperon'a nie było doskonałem, wiernie jednak przedstawiało rzekomą mądrość samej nauki, o czeniu z terażniejszych doskonałych już tłumaczeń mogliśmy się przekonać. Zoroastryzm, jakkolwiek oparty w części na pierwotnych pojęciach Aryów, tak jest przesycony praktykami często wstrętnymi, najczęściej śmiesznymi, a zawsze niedorzecznymi, iż główny dogmat i strona etyczna toną w oceanie gusiel, przesądów i zabobonów, których ślady odnajdują się w doktrynach ludów z Akkadu i Sumiru.

Zresztą, pomijając trudną do udowodnienia genezę magizmu jako takiego, mamy dostateczne dowody na to, że magizm, który rozwinął się z czasem w krajach podległych Persyi, i nazywał się potem mazdeizmem albo zoroastryzmem, nie był pierwotną religią Persów, nie był nią za czasów Achemenidów.

Magowie stanowili kastę albo sektę, jak nas pouczają pisarze klasyczni. Wprawdzie Herodot uważa Magów za jedno z sześciu plemion, zamieszkujących Medyą, lecz jego wyrażenie raczej należy brać w znaczeniu kasty, aniżeli plemienia¹.

beaucoup de platitudes, de bévues, et de contradictions: mais nous avons conclu par les mêmes raisons, qu'ils étaient très-modernes, ou bien qu'ils n'étaient pas d'un homme d'esprit, et d'un philosophe, tel que Zoroastre est peint par nos historiens. Votre nouvelle traduction, Monsieur, nous confirme dans ce jugement: tout le collège des Guèbres aurait beau nous l'assurer; nous ne croirons, jamais que le charlatan le moins habile ait pu écrire les fadaïses, dont vos deux derniers volumes sont remplis... Ou Zoroastre n'avait pas le sens commun, ou il n'écrivit pas le livre, que vous lui attribuez: s'il n'avait pas le sens commun, il fallait le laisser dans la foule, et dans l'obscurité; s'il n'écrivit pas ce livre, il était impudent de le publier sous son nom. Ainsi, ou vous avez insulté le goût du public en lui présentant des sottises, ou vous l'avez trompé en lui donnant des faussetés: et de chaque côté vous méritez son mépris". *Sir William Jones's Works*, vol. X., p. 408, 437.

¹ „Auf Herodots Angabe schliesslich, dass die Mager ein „Stamm“ der Meder gewesen, wird ein übergrosses Gewicht schwerlich gelegt werden dürfen, da dieselben, nach Herodots eigener Darstellung, nicht sowohl ein Stamm, als ein „Stand“, nämlich der medische Priesterstand waren (vgl. schon M. v. Niebuhr, *Gesch. Assurs und Babels*, S. 154). Die

Agathias (z VI w.) pisze¹: „Ardeszyr praktykował obrządek Magów, i oddawał się tajemniczym naukom (magii); za jego wpływem kasta Magów stała się możną i pyszną. Ta kasta istniała przedtem, lecz nigdy dawniej nie doszła do tych zaszczytów i nie nabrała takiej zuchwałości, jak obecnie; przeciwnie, pogardzaną ona była przez dostojników. Teraz wszyscy okazują im uszanowanie; wszystko się tu robi według ich wskazówek i rad, i to tylko w Persyi uważane jest za słuszne i zgodne z prawem, co uzyskało potwierdzenie Magów“. To samo prawie mówi Ammian Marcellin²; nadmienia nadto, że Ardeszyr zgromadził wiec, złożony z kilkunastu tysięcy Magów, na którym został obrany najwyższy Mag — *Mogpatan mogpat*.

Obrzędy, praktyki i przepisy mazdeistów nie zgadzają się całkiem z perskimi.

Wiemy dziś dobrze, że wyznawcy Zoroastra uważali za najcięższy grzech grzebanie umarłych; wystawiali i wystawiają po dziś dzień trupy na pożarcie psom i ptakom drapieżnym. Otóż Persowie — według Herodota — powlekali zwłoki umarłych woskiem i chowali je w grobowcach, a jak wiemy zkądinąd, czynili to królowie z dynastyi Achemenidów. Jakim sposobem przypuścić można, żeby ci królowie, wyznający publicznie pobożność w swych napisach, tak gorszący mogli dawać przykład, jak stawianie sobie lub swoim poprzednikom grobowców, wykuwanie ich w skałach, przyozdabianie ich rzeźbami i napisami, widocznymi dla wszystkich?

Möglichkeit aber, dass mit der Sache bezw. dem Amte auch der Name „Mager“ von Babylonien nach Medien gelangen konnte, wird Niemand bestreiten wollen“. Schrader, KAT², S. 420.

¹ Ks. II.

² Ammian Marcellin żył za czasów Sapora; zostawił wzmiankę o Magach, która rzuca nieco światła na ich pochodzenie. Oto ten ustęp: „Hujus originis apud veteres numerus erat exilis ejusque ministeriis Persicae potestates in faciendis rebus divinis solemniter utebantur. Verum aucti paulatim in amplitudinem gentis solidae concesserunt et nonnulli villasque inhabitantes nulla murorum firmitudine communitas et legibus suis uti permissi, religionis respectu sunt honorati“. *Rev. gest.*, XXIII, b, 32; XVII, 5.

Dalej, obrządek ofiarny opisany przez Ksenofonta nie jest obrządkiem mazdeistów. Brak tam, jak zauważył de Harlez¹: „*homy, drouów, zoatrów, baresmy* i innych czynników niezbędnych w mazdeizmie. Persowie nie używają nawet zwykłych libacji“.

Co więcej, Persowie, i to najuczeńsi, nie znają całkiem przepisów mazdeizmu.

Kambyzes opanowawszy Egipt, zapragnął, zdaje się, naśladować Faraonów — choć Herodot inny powód tego podaje — i wejść w związki małżeńskie ze swą rodzoną siostrą; w tym celu zebrał przyboczną radę. Posłuchajmy opowiadania pisarza greckiego²:

Kambyzes zakochał się w jednej ze swych sióstr. Chcąc ją poślubić, ponieważ rzecz podobna dotąd się nie zdarzała, zwołał sędziów królewskich i pytał ich, czy istnieje prawo, pozwalające bratu poślubić siostrę. Ci sędziowie wybierani są wśród Persów. Sprawują swoje obowiązki do zgonu, chyba że są przekonani o jaką niesprawiedliwość; są oni tłumaczami prawa i sędziami w sporach: wszystkie sprawy podlegają ich wyrokom. Zapytani przez Kambyzesa, dali odpowiedź, która z jednej strony zgodna była z prawem, a z drugiej nie narażała ich na żadne niebezpieczeństwo: mianowicie powiedzieli mu, że nie znajdują w Persyi żadnego prawa, któreby pozwalało bratu poślubić siostrę — lecz istnieje prawo, które pozwala królowi perskiemu robić, co mu się podoba... Po tem oświadczeniu Kambyzes zaślubił osobę, którą kochał.

Z przebiegu sprawy wynika, że prawo perskie, ani ówczesne ani dawniejsze, nie pozwalało na związki kazirodzkie; zoroastryzm zaś nie tylko pozwalał na takowe związki, lecz je zalecał, pochwalał i nadawał osobom takie związki zawierającym przywileje, które jakkolwiek dziwne są i wstrętne, przez mazdeistów musiały być cenione³. Kambyzes zatem i Persowie

¹ *Aresta*, *Introd.* p. CCXII.

² *Ks.* III, 31.

³ W Fargadzie VIII, Wendidadu znajdują się przepisy, mające na celu oczyszczenie tych, którzy dotknęli się trupa. Ten wyjątek tylko po łacinie może być oddany:

za jego czasów ani czasu jego poprzedników, nie znali owego przywileju, a w każdym razie nie uważali go za swój; mazdeistami tedy nie byli.

Inny jeszcze dowód. Jak wiadomo, mazdeizm uznawał dwa pierwiastki, dobry i zły: Amesza-Spenta i Anro-Mainyus; pierwszy z nich sprawiał wszystko, co było dobrego na świecie — drugi wszystko, co było złe. Otóż w napisach staro-perskich nietylko niema wzmianki o tym drugim pierwiastku¹, ale znajdują się ustępy, dowodzące, że Persowie nie uznawali dualizmu. I tak Daryusz w napisie bagastańskim wzywa Achuramazdę, ażeby ukarał tych, którzyby śmieli napisy jego niszczyć². To wyrażenie sprzeciwia się wprost mazdeizmowi, według którego kary wymierzał Anro-Mainyus, a nigdy Amesza-Spenta, który jest duchem Auramazdy.

Jeżeli dodamy nadto, że język księgi liturgicznej Magów, jakkolwiek aryjski, nie jest perski, — że nazwy miesięcy i dni, jakich w swej księdze używali, nie są całkiem perskimi, — a wreszcie, że Daryusz w swym napisie, mówiąc o samozwańcu Gaumata, nazywa go tylko „Magiem“, podczas gdy innych buntowniczych satrapów zowie jednych Medami, a drugich

32, 33, 34. Qualis debet esse *mesma*, qua lavandi sunt, qui cadaver portaverunt? Debet-ne esse urina vaccae, jumenti, an masculi, an feminae?

35. Ahura Mazda respondit: Eam debere esse vaccae vel jumenti, nequaquam vero viri vel feminae.

36. Excepto duplici genere personarum:

37. Eorum videlicet (tum viri quam feminae), qui matrimonio juncti sunt in primo gradu consanguinitatis.

Ten stopień pokrewieństwa odnosi się do siostr i matek nawet. De Harlez robi tu następujące uwagi: „Ce genre d'inceste, recommandé par la loi religieuse de l'Eran, faisait obtenir un mérite supérieur à ceux, qui l'avaient commis; de là, la singulière faveur dont ils sont ici les objets... Il s'agit ici même des mères et des soeurs“. *Avesta*, p. 91, 231.

¹ Ten dowód, jakkolwiek negatywny, tak jest jednak ważny, że Oppert, który utrzymuje, że Persowie wyznawali mazdeizm za Achemenidów, starał się naciągnąć wyraz *anija*, użyty w napisach staro-perskich, jako nieprzyjaciół, do znaczenia przenośnego Anro-Mainyusa; pp. Kossowicz i de Harlez dosadnie odparli to twierdzenie.

² „Auramazdas-tui peremtor sit, atque tua stirps ne existat amplius, haec-tibi Auramazdas subvertat“. Kossowicz, *Inscr. Beh.*, tab. IV, 17.

Persami: to zawnioskować możemy, że ani Magowie Persami nie byli, ani ich wyznanie nie było perskiem¹. Ustaleni pierwotnie w Medyi jako kasta, wyżsi wiedzą, silni organizacją, potrafiliby wobec ludu, stojącego na niższym szczeblu oświaty, nabrać znaczenia i wpływu. Niebawem przedostali się do Persyi, gdzie na dworze królów zajmowali wysokie godności, a nawet — chociaż byli innego wyznania — przewodniczyli przy składaniu ofiar. Za panowania Achemenidów obrządki swe i praktyki religijne trzymali w tajemnicy — jak mówi Herodot; lecz za dynastyi Arsacydów publicznie sprawują swe obrzędy, w niektórych przynajmniej prowincjach. Sami królowie perscy z dynastyi Partów nie byli wyznawcami zoroastryzmu; na medalach i monetach, bitych za ich czasów, obok portretu króla znajdują się wyobrażenia bożków greckich. Niektórzy jednak satrapowie, zarządzający samodzielnie prowincjami, wchodzącymi w skład ówczesnego państwa perskiego, umieszczali na swych monetach godło mazdeizmu, ołtarz ogniowy. Jest tedy rzeczą prawdopodobną, że za tej dynastyi mazdeizm rozwinął się w Persyi i wzmógł się o tyle, że Ardeszyr, który był Magiem, mógł z taką łatwością obalić tron Arsacydów, zawładnąć państwem, dać początek dynastyi Sasanidów — i uczynić mazdeizm religią panującą.

Zbierając razem i streszczając świadectwa przytoczonych klasyków, przychodzimy do wniosku, że Persowie za dynastyi

¹ „Une nouvelle preuve irréfragable nous est fournie par la différence des calendriers. Les mois persans s'appellent *Vjachna, Garmapada, Atryadiya, Anamaka, Thurawahara, Adukan, Thaigarshi, Markazano*. Aucun de ces noms, à part peut-être le troisième, n'a rapport aux idées religieuses. Les jours se comptent par leur numéro d'ordre. Les mois aveistiques, au contraire, portent tous les noms des génies célestes auxquels ils sont consacrés. Ce sont les mois des Fravashis, d'Asha Vahista, de Haurvatat, de Tistrya, d'Ameretat, de Khsathra Vairya, de Mithra, des eaux, du feu, de la loi, de Vohumano et de Spenta-Armaiti. Il en est de même des jours, comme on peut le voir au *Sirozah*. La Perse n'a adopté l'*Avesta*, son calendrier et ses génies protecteurs des temps, que longtemps après Darius I. Cette remarque avait déjà été faite en partie par M. J. Halévy dans ses savantes communications, faites à la Société de linguistique“. *Avesta*, p. de Harlez, II édit. Introd. p. CCXIII.

Achemenidów nie byli bałwochwalcami, nie wyznawali zoroastryzmu, zachowywali prastary obrządek ofiarny, a ztąd musieli zachować pojęcia religijne, przekazane im od przodków; na czem zaś polegały te pojęcia, popytamy świadectw arcywiarogodnych, jakimi są wierzytelne kroniki miejscowe i współczesne zarazem.

(Dok. nast.).

Ks. W. Zuborski.

DZISIEJSI TRĘDOWACI I ICH APOSTOŁOWIE.

Nieraz, patrząc na rozstrój moralny i rozterkę społeczną, która wiek nasz cechuje, z obawą pytać przychodzi, ażali nie bliskim już dzień końca i sądu, kary i sprawiedliwości nad ślepym, grzesznym i upadłym światem. A wraz przypomina się straszny los miast, ogniem niebieskim spalonych, chociaż Pan odwlekał karę i obiecywał zmiłowanie, byle w obrębie Sodomy dziesięciu znalazło się sprawiedliwych. Więc i dla ludzkości zasługi kilku wybranych starczyłyby dziś za tarcz i puklerz mocny, odwróciłyby klęski, wyprosiły przebaczenie i czas poprawy. Tymczasem zdawaćby się mogło, iż już niema Świętych na ziemi; słyhać skargi i narzekania, jakoby owi wybrańcy do innych należeli wieków, podczas gdy XIX stulecie, ubogie w wiarę i cnotę, nie wydaje już z siebie bohaterów dawniejszego pokroju, apostołów i cudotworców, rwących całe pokolenia ku wyżynom. Zniżenie poziomu, stanowiące wybitną naszej epoki cechę, odejmuje nawet zasłudze ów poetyczny i skrzydlaty blask, wytwarzający złotą Świętych legendę. Niezaprzeczenie ubóstwo nasze wielkiem jest pod tym względem, i daleko nam do tych wybranych momentów dziejowych, które w ślicznym poemacie p. t.: „Korona Świętych Pańskich“ jeden z naszych poetów utrwalił, przypominając chwilę, kiedy w klasztorach krakowskich jednocześnie żyło mnóstwo świę-

tych zakonników. Z tych jeden oglądał w zachwycie zgotowaną sobie za wysokie cnoty koronę. Wiedzion pokorą, jał tłómaczyć aniołowi, iż ów wieniec świętości nierównie więcej się należy znajdującemu się w pobliżu innemu bratu zakonnemu; i tak niebiańska korona przechodziła coraz to w inne miejsce starego grodu, wymówkami pokory coraz to na inne przenoszona skronie. Aż dopiero w nocy, po całodziennem spieraniu się kto jej najwięcej był godzien, ujrzano nieśmiertelną aureolę, błyszczącą nad całym grodem, gdzie tyłu naraz błogosławionych przeważało modlitwą i zasługą szalę zmiłowania dla kwi-tnącej naonczas Rzpltej.

Piękne to podanie — jeżeli się nie mylimy — przez ks. Hołowińskiego w udatny. wiersz przybrane, nie jest jedynem odbiciem epoki, zwanej w Polsce wiekiem Świętych. Poto-czniejsza legenda opowiada, iż pewnego dnia św. Jan Kanty dostał w podarunku koszyk jabłek. Nie tknąwszy ani jednego, posłał je w darze bł. Szymonowi z Lipnicy, zamieszkałemu u Bernardynów na Stradomiu, — ten znowu bł. Izajaszowi Bone-rowskiemu do Augustyanów, — Izajasz Stanisławowi Kaźmierczukowi do Bożego Ciała, — Stanisław mansjonarzowi Świętosławowi u Panny Maryi, — Świętosław Michałowi Gedrojcowskiemu braciszukowi przy kościele św. Marka, — ten zaś osobiście zaniósł ten koszyk jabłek mistrzowi Janowi z Kęt, nie wiedząc, iż onto dał był pierwszy początek tej kołędzie bratniej, która w ten sposób ku niemu wracała.

Czasy to były bujniejsze i bogatsze w Świętych. Ale i dziś, choć ich świat mniej wydaje, nie zatracił jednak poczucia wielkiego znaczenia świętości, korzy się w uczczeniu zasługi, na jaką się sam zdobyć nie umie. Wystarczy przypomnieć tłumy, zwabione do Ars rozgłosami cnoty ubogiego plebana, działalność błogosławioną księdza Bosco, a teraz, w ostatnich miesiącach, okrzyk podziwu, z jakim protestancka Anglia dała poznać światu heroizm katolickiego kapłana, poświęcającego się posłudze trędowatych na wyspie Molokai, w archipelagu Sandwich czyli Hawaj. Dziwne są zrządzania Opatrzności, niedościgle drogi Boże! Nawykły do bohaterstw swych misyo-

narzy Kościół katolicki, nie dziwi się żadnemu poświęceniu, nie rozgłasza żadnej ofiary, aby nie zmniejszyć zasługi ziemskim uznaniem. Ale Bóg nie chce pod korcem ukrywać światła przewodnich, i na górze je umieszcza wysokiej, zkadby przyświecały siedzącym w cieniu śmierci pokoleniom. Tym razem narzedziem rozgłosu cudów miłosierdzia, dokonywanych w ustronnej wyspie Polinesyi, miał być duchowny anglikański, a za nim cała Anglia, nie skora do płonnych zapalów, lecz gotowa zawsze uchylić czoła przed poświęceniem, którego sama nie czuje się zdolną.

Józef Damian de Venster urodził się na dniu 3 stycznia 1840 r. w Tremeloo, wiosce położonej opodal od belgijskiego miasta Lowanium. Rodzice jego należeli do średniego stanu, a byli gruntownie pobożnymi chrześcijanami. W dwudziestym roku życia, młodzieniec udał się do sąsiedniego miasta dla odwiedzenia starszego brata, zakonnika w zgromadzeniu Najśw. Serc Jezusa i Maryi. Tam, nagle tknięty powołaniem, postanowił naśladować przykład braterski, i oddać się wyłącznej służbie Bożej, nie wśród Trapistów, jak o tem dawniej nieraz myślał, lecz w szeregach misyonarzy wyż wspomnianego zgromadzenia, które, z powodu swej paryskiej kolebki, nazywają Ojcami *Piepus*.

W 1863 r. Damian Venster zaledwie był odebrał mniejsze święcenia, gdy starszy jego brat Pamfiliusz otrzymał rozkaz od przełożonych, aby niezwłocznie na daleką pospieszył misyę. Wtem ciężka choroba nie dała mu odpowiedzieć temu wezwaniu. Wobec smutku brata, Damian zapytał, ażaliby nie mógł go zastąpić? Przystali na tę zamianę przełożeni, i młody kleryk puścił się w daleką żeglugę, która z Bremerhaven do wysp Sandwich trwała całe pięć miesięcy, na okręcie żaglowym, bardzo dla podróżnych niedogodnym. Za przybyciem do stolicy archipelagu Hawai, Honolulu, ks. Damian otrzymał święcenia kapłańskie, i dłużej tam zrazu zamieszkał, rozpoznając się w swem nowem otoczeniu i siedzibie.

Wyspy Hawai czyli Sandwich położone są wśród Oceanu Spokojnego, na połowie drogi między Ameryką a Australią.

Odkrył je w r. 1778 słynny kapitan Cook; ale przez długi czas odwiedzali je zaledwie handlarze morscy i statki kupieckie, a pierwsze zetknięcie z cywilizacją posłużyło jedynie do demoralizowania krajowców: dostarczaniem im gorących trunków, w których aż nadto zasmakowali. W 1820 r. kilku duchownych protestanckich przybyło z Ameryki na te wybrzeża, aby rzucić tu zasiew prawd wiary chrześcijańskiej. Katolicycy misjonarze później zawitali w te odległe strony, a pierwszy ich kościół stanął dopiero w r. 1839. Znalazło się wkrótce sporo wyznawców katolickiej prawdy na archipelagu Sandwich; byli oni atoli rozpierzchnięci w przeróżnych osadach, i misjonarzowi wypadało uciążliwe odbywać podróże, wśród gór niedostępnych i znacznych przestrzeni, aby odszukiwać garstki wiernych, i nieść im pociechy wiary.

W jednej z takich apostolskich wędrówek, po dziesięcioletnim niemal pobycie w tych stronach, Ojciec Damian po raz pierwszy dotarł do Molokai, wyspy, na którą wyrzucano trędowatych, bardzo licznych wśród ludności archipelagu Hawaj, i to dla odłączenia ich od reszty mieszkańców i przeszkodzenia szerzeniu się zarazy. Ojciec Damian niejednokrotnie spotykał nieszczęśliwych, tą straszną dotkniętych plagą, w różnych częściach swej rozległej parafii. Mimo czujności rządu, ukrywano nieraz na łonie rodzin smutną tajemnicę, byle opóźnić godzinę rozstania; gdy zaś takowa wybiła, rozpaczliwe pożegnania nieraz rozdzierały serce dobrego Pasterza. Towarzysząc miejscowemu biskupowi, Ojciec Damian dotarł nareszcie do Sybiru trędowatych, — jeśli tę nazwę godzi się przystosować do czarownej wyspy, na której wieczne panuje lato, a przyroda najpiękniejsze rozacza czary. Zaledwie w tej dolinie cieniów śmierci, najpiękniejszym słońcem zwrotników opromienionej, stanął Ojciec Damian, aliści usłyszał jakby głos wewnętrzny, nawołujący go do pozostania i poświęcenia reszty życia posłudze biednych trędowatych. Dotychczas zrzadka tylko pojawiał się tu jaki wysłaniec pociechy i pokoju, mąż Boży, kapłan katolicki i apostoł prawdy. Tknięty żądzą zupełnej ofiary, znęcony osobiwem posłannictwem, Ojciec Damian rzucił się

do nóg swego biskupa, błagając go, aby mu było wolno w Molokai na zawsze pozostać. Takich poświęceń niepodobna nakazać, ale też zakazywać nie wolno. Wzruszony biskup przyjął ofiarę, pobłogosławił zamiarom, i odpłynął — zostawiając Ojca Damiana wśród wybranej przezeń trzódki biednych trędowatych. Zanim jednak wyjechał, przemówił do tej wydziedziczonej kolonii: „Dotychczas, dziatki moje, sami zostawaliście na tej wyspie; odtąd przestaniecie być sierotami. Zostawiam pomiędzy wami kapłana, który pragnie wam być ojcem i bratem, i tak ukochał was na ziemi, tak umiłował dusze wasze w wieczności, iż nie zawahał się zamieszkać wśród was i stać się jakoby jednym z was, aby z wami żyć i umierać“.

I tym sposobem, — pisał następnie Ojciec Damian — dzięki osobliwej Opatrzności Zbawiciela, który w ciągu swego śmiertelnego żywota tyle miłosierdzia okazywał trędowatym, osiadłem w Kalawao, na wyspie Molokai, w maju 1873 r. Miałem wtedy lat trzydzieści trzy, i cieszyłem się silnem zdrowiem.

Z jakim to nieprzyjacielem rozpoczynał Ojciec Damian wieloletnią walkę? Co za drogę poświęcenia sobie obierał? Na czem właściwie zasadza się owa straszna choroba, o której świat niemal był zapomniiał, mniemając niebacznie, iż ona należy do zabytków przeszłości, i nie zagraża już społecznym pokoleniom? — Wiedzeni ciekawością, zajrzeliśmy w łamy szacownego angielskiego czasopisma: *The nineteenth century*, aby tamże z rozprawy doktora Morella Mackenzie, zatytułowanej: *The dreadful revival of Leprosy*, zaczerpnąć kilka danych o istocie i rozwoju plagi, która z okazji zgonu Ojca Damiana ponownie w całej wystąpiła grozie, wobec ludzkości ślepo zapewnionej, iż trędowatych tylko w Piśmie św. i w średniowiecznych kronikach szukać trzeba i znaleźć można. Czytelnik gotów się zadziwić, jakim sposobem przyboczny lekarz nieśczęśliwego cesarza Fryderyka, sir Morell Mackenzie, specjalista na cierpienia gardlane, zabiera dziś głos w sprawie wstrętnej zarazy? Tłómaczy się on sam na wstępie, mówiąc, iż zawsze osobliwie interesował się trądem, tem więcej, iż ta cho-

roba rzucać się zwykła z szczególną złośliwością na krtań i gardło. Studyował też zarazę od najdawniejszych lat, mianowicie gdy w Wiedniu, pod kierunkiem sławnego Hebry, badał przeróżne choroby skórne, a później zwiedzał główne siedziby trądu w Europie, szczególnie w Norwegii, w Hiszpanii, i—ktoby się tego domyślił? — w dwóch ulubionych stacyach klimatycznych: w San Remo i Madeirze. Sławny laryngolog zstępuje tedy w arenę z zapasem osobistych doświadczeń i głębszych badań, a czyni to z ową zaczepnością, która charakteryzowała jego stosunek do innych lekarzy Frydrykowych, i niebawem burzę wywołała przeciw angielskiemu przybyszowi wśród całego ciała medycznego w Prusach, a do pewnego stopnia i wśród niemieckiego ludu. Nagłe i gwałtowne rozbudzenie uspionej do czasu plagi przypisuje on bowiem lekkomyślnej nieostrożności i nieznajomości rzeczy swych kolegów, mianowicie w Anglii.

Trąd jest zresztą zarazą bardzo falującą, czego ślady pozostały w historii, wspominającej niekiedy częściej trędowatych, aby następnie o nich zupełnie przemilezać. Widocznie choroba srożyła się naprzemian i znikwała niemal z powierzchni ziemi, odpowiednio do zmiennej kolei pomyślności lub nędzy. Hekroć głód, mór lub przeciągłe wojny obniżały żywotność ogółu ludzkości — natychmiast pojawia się trąd w następstwie innych klęsk i plag, którym towarzyszył wiernie. Nadzwyczajne rozmnożenie się liczby trędowatych po wojnach krzyżowych, zbudziło mniemanie, iż choroba ta przyniesioną została ze Wschodu, chociaż prawdopodobnie znajdowała się już uprzednio na gruncie Europy. W początkach XVI wieku plaga ta ustępować zaczęła, i w stosunkowo krótkim czasie zanikła prawie zupełnie w większej części europejskich krajów.

Ostała się jednak w kilku warowniach, zkąd się wyprzeć po dziś dzień nie dała. Hiszpania nigdy się nie pozbyła trędowatych; liczba ich wciąż rośnie, mianowicie w południowych prowincjach, a niedołęstwo rządowe ani zapobiedz złemu, ani sporządzić odpowiedniej statystyki nie umie. Portugalia obok Norwegii najwięcej posiada trędowatych, ale podobnież żadną

cyfrą nie sprawdza ich pocztu. We Włoszech trafiają się ogniska zarazy w Rivierze, bagnach Convacchio i Ferrary, oraz w Sycylii, gdzie się złe podobno obecnie rozszerza; w wyspach Egejskich, w Tessalii i Macedonii, dość częste znachodzą się wypadki choroby, rozwielniożnionej na Krecie. Gdzie zaś trąd prawdziwie przerażająco się szerzy, oto w Rosyi. mianowicie w nadbałtyckich prowincyach, tak dalece, iż musiano niedawno założyć osobny dla trędowatych szpital w Rydze. W Petersburgu rzadsze zapisać przychodzi wypadki, objawiające się też sporadycznie w Węgrzech i Rumunii. W Szwecyi, gdzie ta zaraza z początkiem wieku bardzo grasowała, dziś prawie zupełnie wygasła; natomiast Norwegia jest największem dziś w Europie środowiskiem trądu, ograniczonego wszelako do pewnych prowincyj, których nie przekracza.

Tymczasem we wszystkich innych częściach świata tkwi zaród trądu, i najwidoczniej w obecnej chwili się rozszerza. Niepodobna podać dokładnej liczby trędowatych, zamierających stopniowo na całej powierzchni ziemi, atoli niewątpliwie są ich obecnie miliony; w ostatnich latach plaga ta najwidoczniej się wzmogła. Sumienne badania wykazały, iż zaród trądu potrzebuje mniejwięcej pół wieku, aby się rozwinąć i dojrzeć; zaczem wynika, iż jeżeli odpowiednie środki nie zostaną szybko podjęte, straszne żniwo śmierci i bólu w niedalekiej zezjdzie przyszłości. Sir Morell Mackenzie wspomina groźny przykład tych właśnie wysp Sandwich, na których żył i cierpiał Ojciec Damian, gdzie trąd wprowadzony w r. 1850 przez obcych marynarzy, dziś już tyle ofiar pochłonał. Pierwszą iskrę idącej plagi spostrzegł dr. Hillebrand w wiosce nadmorskiej, opodal od Honolulu, w 1853 r. Urzędowo jednak nie stwierdzono zarazy aż po rok 1859. Wtedy liczba wiadomych trędowatych już okazała się wcale znaczną: na 67.000 mieszkańców archipelagu, było ich 230 jawnie zarażonych. Umyślono tedy zagaic systemat odosobnienia, wyrzucając do Molokai wszystkie strasznej choroby ofiary. Z kolei znalazło się tam od r. 1866 około trzech tysięcy, a dziś jeszcze wyspa nieszczęśliwych zawiera ich blisko 1100.

Do Ameryki głównie przenoszą zarazę emigranci chińscy, a czepia się tam ona przeważnie żydów. Francya przez annekcyę Nizzy zdobyła sobie jedno z siedlisk choroby, ustającej wszelako w jej granicach, a rozszerzająca się tylko w jej koloniach, gdzie raz po raz wśród misyonarzy, marynarzy, żołnierzy i kupców francuskich trąd dobiera sobie ofiary. I w Anglii niema wprowadzić wyhodowanej, domowej zarazy, ale niemniej częste zapisać przychodzi wypadki trądu wśród ludzi, którzy przebywali w koloniach, gdzie ta plaga częstym bywa gościem. Angielskie czasopismo lekarskie świeżo ogłosiło nieurzędową statystykę, wedle której z początkiem ubiegłego roku niemało w samymże Londynie znajdować się miało trędowatych. Sir More Mackenzie wspomina przykład chłopca, znajdującego się dotychczas w jednej ze znaczniejszych szkół publicznych, o którym silne można mieć podejrzenie, iż mu wszczepiono w Indyach wraz z ospą i zaród trądu. Niema wątpliwości, iż w każdym kraju zdarzają się podobne sporadyczne wypadki, zakryte przed ogółem, a wiadome tylko lekarzom chorób skórnych, którzy sami jedni poświadczyć mogą prawdziwość tego twierdzenia angielskiego medyka.

W Indyach Wschodnich szybki wzrost zarazy najstraszliwiej się przedstawia. Na wyspie św. Trójcy (Trinidad) w r. 1805 wytknięto trzy pierwsze ofiary; a w r. 1878 było ich już 860 na ludność 120.000 mieszkańców. Liczby te dość wymownie przemawiają, wskazując mianowicie jedną groźną prawdę: jako w tym przeciągu czasu cyfra trędowatych o cztery razy prędzej od samejże ludności urosła! Angielska Guyana jeszcze straszniejsze daje obliczenia; tam bowiem przypada jeden chory na 250 zdrowych mieszkańców. W Nowej Zelandyi trąd osobne przybiera cechy, zamykające się w obrębie nadbrzeżnej okolicy jeziora Taupo. Zaraza ta nie czepia się białych przybyszów, z wyjątkiem t. zw. Pukeha Maoris, czyli tych, którzy stosunkami lub małżeństwem łączą się z tubylcami. Istniał wśród Maorisów obyczaj mordowania zarażonych trądem, a obawa zatrucia się wstrzymywała ich jedynie od folgowania ludożerczym ich skłonnościom wobec ciał tych nieszczęśliwych. Dziś

rząd owym hekatombom przeszkadza, a wraz i liczba trędowatych ogólnemu ulega prądowi, rosnąc ustawicznie, aczkolwiek zawsze w jednej tylko okolicy. Są trędowaci i w Kanadzie; jest ich moc wielka w Indyach angielskich, gdzie — co najmniej — 250.000 doliczyć się ich można. I w Przylądku Dobrej Nadziei i w australskich koloniach ten sam znaczy się postęp, zagrażając metropolii i dziesiątkując jej poddanych, a nawet synów; upadło bowiem mniemanie, iż przywilejem białego szczepu jest ubezpieczenie od zarazy. Rośnie tedy suma cierpień ludzkich, rośnie groza strasznej klęski. Czy można ją odwrócić? Angielski specjalista nie waha się odpowiadać na to pytanie potakująco, wskazując dwa środki zwyczajne: z jednej strony usunięciem przyczyny złego — z drugiej przeszkodzeniem jej rozszerzeniu.

Niestety! co do pierwszego niewiele da się zrobić; uczony bowiem laryngolog otwarcie przyznaje, iż medycyna niema dotąd pojęcia o właściwej przyczynie oraz istocie zarazy. Różnice klimatu, gruntu i plemienia nie zgola nie stanowią; pokazało się, iż trąd wszędzie znaleźć się może, chociaż niewątpliwie pewne odrośle ludzkiej rodziny więcej od innych są wystawione na tę okrutną plagę. Od początku nauki medycyny upatrywano źródło zarazy w gatunku pożywienia, głównie odnosząc do ryb początek i przyczynę trądu. Sztuka lekarska dotąd żadnem odkryciem nie stwierdziła ludowego mniemania; żaden Pasteur, ani Kirchow nie zadał sobie pracy odszukania bakcyllów trądu w łonie zimno krwistych wód mieszkańców. Uчени szydzą po trochu z rybiej genealogii tajemniczej zarazy; a jednak podania gminne zbyt często bywają oparte na pewnikach doświadczenia. W tak odległej starożytności, jak za dni Areteusa, upatrywano w mieszaniu ryb z mlekiem przy jednym obiedzie powód nieunikniony trądu. Stare przysłowie prowanekie utrwała toż mniemanie, dowodząc, iż skutkiem pożywiania ryb najczęściej trąd się rozwija. Południowcy przypisują straszną chorobę obyczajowi jedzenia niemal surowej ryby; niektórzy lekarze odnoszą źródło złego do strucia się zgnilemi. Dzisiejsza medycyna, mimo uogólnionej mikroboma-

nii, zaprzecza prawdzie tego twierdzenia, które za całkiem bezpodstawne uważa. A jednak odnajdujemy takowe wśród Maorisów Nowej Zelandyi, którzy zarodek trądu, właściwego swej ojczyźnie, upatrują w pożywaniu karpików, rojących się w wodach jeziora Taupo. Instynkt ludowy rzadziej się myli od nauki samej; dla tego zamiast wysmiewania utartego wśród gminu przekonania, lepiejby odszukać w rybach złośliwego pierwiastku, a może inokulacją wyhodowanych zarodków ochronić bardziej wystawione jednostki od niechybnej zarazy i śmierci.

Niedarmo bowiem stary zakon zupełnie izolował trędowatych. Zaraźliwość tej strasznej choroby — zdaniem angielskiego uczonego — żadnej nie ulega wątpliwości. Owszem, przypisuje on, może zbyt apodoktycznie, rozwielenie się w ostatnich czasach strasznej plagi poniechaniu dawnych środków ostrożności, i przyjęciu w medycynie zasady, iż trąd się nie dzieli stycznością z zarażonymi, wbrew wielowiekowemu doświadczeniu. W r. 1862 pierwszy alarm został dany skutkiem powiększenia się liczby trędowatych w Antyllach. Angielskie kolegium lekarskie wydało wówczas, na żądanie komisji kolonialnej, kwestyonaryusz, dotyczący natury i przyczyn zarazy. Nadeszło 250 odpowiedzi, z których lekkomyślnie osnuto wywody, przyczyniające się nierównie więcej do rozszerzenia trądu od wszelkich innych czynników. *Patres conscripti* angielskiej nauki orzekli bowiem jednogodnie, iż zaraźliwy charakter tej okrutnej choroby jest czystem uprzedzeniem, i że niema najmniejszej ostrożności do zachowania w stosunku z trędowatymi. Odrazu rozwarto ich schroniska, zaniechano środków odosobnienia, sfolgowano ustawy sanitarne. Ze zwykłą skrajnością zdania Sir Morell Mackenzie zapewnia, iż jeżeli niegdyś tysiące ginęły, dziś dziesiątki tysięcy trędowatych umiera w obrębie brytańskich posiadłości, skutkiem owej złowrogiej odezwy najwyższych medycznych w Anglii powag.

Samże wzrost zarazy bezpośrednio po ogłoszeniu, że takowa nie istnieje, powinien był otworzyć oczy ślepym tej opinii głosicielom. Śmierć ojca Damiana i nieuleczalna choroba,

której znamiona już się pono przejawiają u jednego z jego towarzyszków, wymownie odpowiada na lekkomyślne zdania angielskiego kolegium medycznego. Wystarczy dodać przykład, zaczerpnięty podobnie z wysp Hawaj, iż na 66 kokuasów czyli pomocników szpitalnych w Molokai, było ich w r. 1888 23 zupełnie okrytych trądem, a w 11 zaraza nurtować poczyniła. Wszystkie bliższe zbadania wykazują nieuniknioną ostatecznego zarażenia się; niema tedy innej rady, jeno odłączanie dotkniętych ofiar od zdrowej społeczności. Wszakże ani ojciec Damian, ani Sir Morell Mackenzie, każdy z innego punktu widzenia, nie są za rozdzieleniem małżeństw, byle takowe stanęły na wysokości żądanego poświęcenia. Sprawdzono, iż trędowaci rzadko bardzo się rozradzają: na 3000 blisko osadników w Molokai, podczas ośmnastu lat zaledwie 26 dzieci przyszło na świat, a z tych tylko dwoje było trędowatych; gdzieindziej potomstwo 160 trędowatych nie uległo zarazie przez całe trzy pokolenia, poddane lekarskiej obserwacji. Trąd zda się nie być dziedzicznym, tembardziej, iż rzadko kiedy się zdarza, aby rodzice trędowaci jeszcze płodzili dzieci, uległszy tej strasznej chorobie.

Jedyną tedy obroną — wskazuje angielski specjalista — to wznowienie ustaw mojżeszowych, trzymanie się obyczaju średnich wieków, oddalanie zarażonych dla ocalenia zdrowych. Nie jest to zresztą aktem okrucieństwa. Chorem, a zwłaszcza podobnym chorem, lepiej bywa w otoczeniu jednakich i wspólnych niedoli, aniżeli tam, gdzie sami stanowią wstrętny wyjątek. Medycyna, jak dotąd, zleczyć ich nie umie, ale znaleźć może mnogie środki przyniesienia im ulgi lub opóźnienia postępów zarazy. W jaki zaś sposób służyć dziś można najskuteczniej trędowatym, uczy nas przykład ojca Damiana, na którego wskazuje Sir Morell Mackenzie daleko bardziej, aniżeli na lekarzy, ferujących lekkomyślne wyroki. „Niema powodu mniemać — pisze on w domówieniu swej nad wyraz ciekawej rozprawy — aby podobny przykład nie miał znaleźć naśladowców wszędzie, gdzie trąd nowe wybiera ofiary. Nie wygasł przecież w męskich duszach ogień zapału i poświęcenia; płeć zaś,

którą katolicki Kościół pięknie nazywa *devotus femininus serus*, zawsze dostarczy gotowych służebnie chorych; a i doktorów nie zbraknie, dopóki tak niezbadane zostanie pole dla naukowych dociekań“. Utylitarny Anglik jedną zawodzi zwrotkę, że przedewszystkiem potrzeba pieniędzy, aby wyprzeć i z korzenia wyrwać najstraszniejszą plagę, której ciało ludzkie ulega: pieniędzy na urządzenie schronisk ustronnych, na zgotowanie dogodnych dla tych rozbitków przystani, nawet na studia tajemniczej choroby. Przypomina się to, co w swoim czasie opowiadano o bajecznych honoraryach, wypłacanych przez cesarza Fryderyka przybocznemu lekarzowi swemu, gdy doczytujemy się ustępu, w którym zlekka podrwiwa sobie z projektu uchwalenia nagrody 500 funtów za odkrycie bakcyllu trądu, kiedy Pasteur otrzymał blisko 20.000 funtów wynagrodzenia za podjęte w dziedzinie zarazy winogrodu studia i wynalazki! Pieniądzy tedy woła Sir Morell Mackenzie, pieniądze żąda, choćby dla odszukania ochronnego wirusu, któryby ubezpieczył ludzi, wystawionych na zetknięcie z trędowatymi, od niezawodnego ulegnięcia straszliwej chorobie.

A tymczasem ojciec Damian, ubogi i bezbronny, stawał sam jeden wśród umiłowanej i przybranej trzódki nieszczęśliwych. Miejscowość, na ich osamotniony pobyt naznaczona, wslawiona dziś jego poświęceniem, wyspa Molokai, pod względem bujności i piękno przyrody mało sobie ma równych na świecie. Klimat tu zawsze łagodny, niebo wiecznie roz pogodzone, zwrotnikowa roślinność bogatsza, niż gdziekolwiek. Z zachodniej strony rozciąga się ku morzu szeroka, zielona płaszczyna, odłączona od reszty wyspy murem z granitu, stromemi skalami, gęsto porośłemi bluszczem. Mur ten nieprzebyty z jednej strony, morze z drugiej, w ciasnym obrębie zamyka świat trędowatych, zamieszkałych w dwóch osadach, rozbudowanych na tem wybrzeżu. Aż do przybycia ojca Damiana w r. 1873, była to przystań niedoli i zbrodni, istne piekło cierpienia i grzechu. Zwątpiwszy o doczesnej i wiecznej przyszłości, trędowaci szukali zapomnienia w pijaństwie, wyrabiając sobie na miejscu zgubny trunek z miazgi rośliny, zwanej *ki* w mowie

krajowej, a będącej odmianą znanej w naszych cieplarniach draceny. Napój ten doprowadza do szału, pod którego wpływem straszne tu działy się rzeczy. Hasłem tej wydziedziczonej rzeszy było bezprawie: „Tu niema już żadnego prawa!“ powtarzali ochotnie, przydając moralne zepsucie do niszczącej ich ciała zarazy. To też śmierć przyspieszonem tu gospodarowała żniwem. Kiedy ojciec Damian stanął w Molokai, liczba trędowatych wynosiła blisko tysiąc; połowa z nich mniej więcej wyznawała rzekomo katolicką wiarę. Śmiertelność była bardzo znaczna: wymierało ich tygodniowo około dwunastu. Ale poczet nie zmniejszał się wcale, odnawiany nieustannym dowozem nowych osadników niedoli, skwapliwie wyszukiwanych po całym archipelagu wysp Sandwich. Straszne przytem odbywały się sceny: bądź gdy wyrywano zarażonych z łona ich rodzin, usiłujących do ostateczności smutną zakryć tajemnicę, — bądź gdy żałobny statek odbijał od brzegów wśród rozpaczliwych na wieki pożegnań, — bądź gdy w przystani Molokai za przybyciem nowych gości dawniejsi mieszkańcy rozpoznawali bliskich lub znajomych, jednaką dotkniętych plagą. A okropne bywają jej objawy, usprawiedliwiając spowszedniałe wyrażenie trądu grzechu, który w nas zaciera obraz i podobieństwo Boże. Co grzech czyni dla duszy, to owa choroba robi z ciałem, tracącem powoli wszelki kształt i ludzkie podobieństwo. Najprzód zmieniają się rysy, rosną i grubieją, następnie ohydne następuje ropienie twarzy lub członków, a tajemnicza choroba toczy powoli zewnętrzną powłokę, wtedy dopiero targając się na organiczne i żywotne części, gdy już cały człowiek stał się podobnym do chodzącego trupa, a zgniłizna grobu już go ze szczętem przeżarła.

Ojciec Damian wiedział z góry, iż nieuniknione przeznaczenie prędzej czy później go dosięgnie; nie mniej odważnie zabrał się do pasterzowania wśród tej garstki zbłąkanych i zropaczonych. Łagodne usposobienie wyspiarzy ułatwiło mu jego zadanie. Odrazu pozyskał sobie ich zaufanie, zdobył uległość, zapewnił przewagę. Niebawem udało mu się zwalczyć pijaństwo, wprowadzić pewien ład, dyscyplinę i karność w tę rzecz-

pospolitą nieszczęśliwych. Że zaś miał rzadki dar administracyjny, jał szukać sposobu osłodzenia losu tych biedaków, opóźnienia rozwoju choroby, ułagodzenia cierpień. Postarał się przedewszystkiem o zaopatrzenie mieszkańców wyspy w dobrą wodę, na czem im dotąd zbywało — i odkrył wyborne źródła, które temu niedostatkowi zapobiegły. Po tem pierwszym zwycięstwie dobry pasterz jał obmyślać coraz to nowe środki niesienia ulgi i pociechy swym owieczkom; a udało mu się to tak dobrze, że po kilku latach niejeden z trędowatych głośno powtarzał, iż gdyby wraz uzdrowieniem miał opuścić Molokai, woli stokroć nigdy nie być wyleczonym.

Cieszył ich ojciec Damian w życiu, cieszył mianowicie w godzinę śmierci. Podczas kilkunastoletniego jego apostołstwa wśród trędowatych, obliczono, iż przeszło dwa tysiące z nich zaopatrzył na drogę wieczności. Nie dziw, że z takim plonem dusz zbawionych i pocieszonych, słodko mu było przebywać w tym wydziedziczonym ziemi zakątku.

Pewien podróżnik amerykański — bo gdzież ciekawość anglo-saksońskiego plemienia nie dotrze — w r. 1881 zwiedzał osadę trędowatych i pierwszą niemal o niej dał wiadomość: z barwnych jego opisów, warto tu kilka przypomnieć szczegółów i rysów:

„Nad drogą, wijącą się między morzem i wioską, stoi kapliczka, a krzyż wieńczący jej stropy, i drugi krzyż postawiony na cmentarzu, świadczą, że tu owi nieszczęśliwi nie są osieroceni. Bramę, wiodącą do kościółka i cmentarza, otworzyły nam dzieci, igrające tu w licznej gromadce. Powitały nas grzecznym ukłonem, a gdy uchyliły kapelusza, spostrzegłem z grozą, iż wszystkie te biedne twarzyczki strasznie były poorane okropnemi, nieraz krwawiącemi się ranami. Że tu rzadko obcy jawi się przybysz, prędko nas otoczyła zgraja ciekawych, nie cisnących się wszelako ku nam, owszem. rozstępujących się starannie przed nami. W miarę jak ich przybywało, każda nowa postać wydawała nam się ohydniejszą od poprzedniej, aż w końcu mniemać mi przyszło, iż chyba niepodobna, aby ludzkie ciało mogło do większego dojść przed-

śmiertnego zniszczenia. Szliśmy tedy naprzód, otoczeni tłumem, który jednak przestrzegał sumiennie, aby się zanadto ku nam nie przybliżyć. Wtem drzwi od kościółka się rozwarły, i ukazał się nam młody ksiądz, odziany w zużytą nieco rewerecę, z rękoma poczerniałemi od słońca i pracy, lecz z obliczem, od którego biło zdrowie, pogoda, energia i słodycz. Dźwięczny jego śmiech, miłe i serdeczne powitanie, wszystko to w nim wskazywało człowieka zdolnego dokonać najtrudniejszych rzeczy. Był to ojciec Damian, dobrowolny wygnaniec i jedyny nietrędowaty wśród tej osady trędowatych“.

Nasz amerykańsin z podziwem opisuje życie tego „najszczęśliwszego z misjonarzy“, jak się sam nazywał. Otaczają go wciąż przybrane dzieci, nawet pod własnym jego dachem; on zaś, jako jedyny środek ostrożności, sam skromne sobie gotuje pokarmy, sam pierze własną i kościelną bieliznę — zresztą na nic nie zważa, i wciąż się wystawia na zarazę, która wyjątkowym przywilejem przez lat trzynaście się go nie tknęła, jakby dla cudownego jego apostołstwa. „W niedziele i dni świąteczne — pisze jeszcze wyżej wspomniany podróżnik — ojciec Damian z kolei w obu wioskach odbywa ranne nabożeństwo, i w obu też odprawia nieszpory i popołudniową katechizację... Lekarzem jest on ciał, zarówno jak i dusz, a nadto cieślą, mularzem, ogrodnikiem, nauczycielem, urzędnikiem, a nawet grabarzem. Wszystkie zna rzemiosła, i nie cofa się przed żadną posługą, którą mniema być pożyteczną dla swych drogich trędowatych“.

Powtórzmy jeszcze rzewny opis Mszy św. niedzielnej w Kalawao: „Zdawało mi się, iż ta Msza św. miała cechę żałobnego nabożeństwa; wszyscy bowiem zgromadzeni już byli skazani, i większa część owych żyjących istot znajdowała się już u wrót śmierci. Ojciec Damian wskazał mi maleńką trybunę po lewej stronie ołtarza. Stało tam krzesło, otoczone kratą, której się nigdy żadna ręka trędowata nie dotknęła. Zabrałem tam miejsce, i znalazłem się tuż obok celebransa, naprzeciw zgromadzenia wiernych. Wszyscy, począwszy od schludnie przybranych ministrantów, aż do siedzącego w kru-

chcie żebraka, byli mniej więcej zeszpeceni trądem; niektórzy z nich w straszny nawet sposób. Kościółek był pełny. Śpiewano proste pieśni chórem; niektóre głosy wydały mi się drżące i zachrypnięte... Pobożność tych biedaków była tem rzewniejszą, iż z natury swojej Hawajczycy są poniekąd roztrzepanemi, wesołemi dziećmi, zdolnemi jednak okazywać najwyższą skrucę za swe winy... Jakiż onego dnia miałem przed sobą widok! — co za sprzeczność między tym obrusem śnieżno białym, tem jarzącem światłem, złotemi naczyniami, tym młodym kapłanem pełnym i siły i zdrowia i świętości, śpiewającym mocnym i dźwięcznym głosem modlitwę Pańską, *Pater noster*, podczas gdy u jego stóp klęczało dwóch ministrantów, już piętnem śmierci naznaczonych, dalej zaś tłum, na którego trudno było spojrzeć bez wstrętu. Niektórzy nie zdawali się już należeć do świata żyjących, i jakoby z grobu powstawali... Woń nieznosna napępiała powietrze. I w takich to warunkach ojciec Damian święte w Kalawao dopełniał obrządki, łącząc się z boskim Mistrzem swoim. Wspominałem wciąż słowa z ewangelii św. Łukasza: *A gdy wchodził do jednego miasteczka, zabieżeli mu dziesięć mężów trędowatych: którzy stanęli zdaleka. I podnieśli głos mówiąc: Jezusie, nauczycielu, zmiłuj się nad nami*¹. Zdawało mi się, iż i ci chyba wołali do Pana i otrzymali miłosierzną odpowiedź... Daleki jęk fali uderzającej o wybrzeża towarzyszył jednostajną skargą tej uroczystej chwili, tak pełnej zarazem smutku i pociechy!“

Powoli heroiczna praca i ofiara ojca Damiana, oraz jej błogie skutki nabrały pewnego rozgłosu, zwłaszcza w tem olbrzymim angielskiem społeczeństwie, zawsze żadnem nowych wrażeń, a ciekawem nowych wybrzeży. Żeglarska i wędrowna żyłka wyspiarzy raz po raz wiodła którego z synów Albionu na przestworza Oceanu Spokojnego. Tym sposobem metropolia zasłyszala o kolonii trędowatych i bohaterskim jej kierowniku. Wiadomość o tak bezmiernem poświęceniu wzruszyła szlachetniejsze dusze, a dziwnem Opatrzności zrządzeniem najwięcej

¹ Luk. XVII. 12, 13.

się dla tej sprawy zapalił pewien duchowny protestancki, p. H. Chapman, który z tolerancją, poczynając się za dni naszych wyrabiać na łonie anglikanizmu, odtąd za zadanie życia obrał sobie niesienie pomocy dziełu katolickiego misyonarza, z którym się odtąd połączył w duchowej społeczności i Świętych obcowaniu. Nietylko bowiem stał się pośrednikiem w zbieraniu składek i mnożeniu jałmużn na rzecz biednych trędowatych, nietylko zapalał serca uwielbieniem dla dzieła ojca Damiana i jego osoby, — ale nadto zawiązał z dzielnym misyonarzem stałą korespondencję, która pozwala wnikać w tajniki duszy piszącego. Kilka ustępów z rzeczzonego listowania najlepiej nam da poznać ojca Damiana.

Pod koniec 1885 roku z prostotą oznajmia zamorskiemu przyjacielowi, iż go straszna nie oszczędziła zaraza: „Zdaje się, że i mnie obecnie dosięgła ta okropna plaga. Nawet do Honolulu już mi teraz wyjechać się nie godzi, skoro jestem trędowatym. Zjadliwe mikroby rozsiadły się już na dobre w uchu i lewej nodze; brwi już mi wypadły z jednej strony — niezadługo będę bardzo zeszpecony. Odkąd już nie mam żadnej wątpliwości co do rodzaju mej choroby, czuję się spokojnym bardzo i poddanym, a szczęśliwszym, niż kiedykolwiek, wpośrodku mego ludu. Bóg najlepiej wie, czego mi do zbawienia potrzeba, a w tem przekonaniu łatwo codziennie z serca powtarzać: *Fiat voluntas tua*. Módl się za chorego przyjaciela, i zechciej mnie i moje biedne owieczki polecać modłom wszystkich sług Bożych“.

Dziwnym jest ten stosunek dwóch ludzi, należących do odrębnych wyznań, ślących sobie wzajemnie przez dalekie morza zamianę szlachetnych dążeń dusz, rwących się ku wyżynom. Anglikanin skłania się przed cnotą katolickiego kapłana; ten do wyrazów wdzięczności łączy i żądę zdobycia Prawdy duszy godnej ją posiąść w całej pełni i pięknie. Pod datą 26 sierpnia 1886 roku ojciec Damian odpisywał na serdeczne słowa i dary p. Chapman: „Błogosławię Panu, który w tobie zapalił zrozumienie zupełnej a słodkiej z siebie ofiary, przykładem biednego księdza, spełniającego proste tylko swego

powołania obowiązki. Jak to słusznie uważasz w swoim liście, Przenajświętszy Sakrament jest rzeczywiście dla nas wszystkich podniętą, wiodącą do zupełnego ludzkich ambicij wyrzeczenia. Gdyby nie ciągła obecność boskiego Mistrza w naszych ubożuchnych kaplicach, zapewne nie byłbym potrafił wytrwać w postanowieniu dzielenia losu trędowatych z Molokai, zwłaszcza, iż skutki przewidziane onego postanowienia już się na dobre przejawiają. Ale skoro Przenajświętsza Komunia jest chlebem powszednim kapłana, czuję się szczęśliwym i zadowolnionym w tem trochę wyjątkowem położeniu, w jakim spodobało się Opatrzności mnie postawić...

„To co mi mówisz o węzłach, łączących cię z anglikańskim Kościołem, prowadzi mnie do wspomnienia o pewnym, wykwintnie wykształconym mężu, który do niedawna należał do Episkopalnych amerykańskich. Nawróciwszy się na wiarę katolicką, odbył rekolekcyę u Trapistów; zaczem tknięty żądzą ofiary, przybył w te strony z zamiarem osiedlenia się w Molokai i dopomagania mi w staraniach, niesionych około poprawy losu trędowatych. Zamieszkał obecnie przy mnie, jako brat pełen współczucia, i wyręcza mnie w służeniu chorym. I on podobnie — aczkolwiek nie jest kapłanem — codziennie czerpie moc swą i otuchę w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza. Nie wątpię, iż podziwiać będziesz potęgę łaski Bożej w tym nowym towarzyszczu, jaki mi został przydanym; pozwól mi zatem modlić się za ciebie i za was wszystkich, ażebyśmy się zjednoczyli w wierze i w jedynym prawdziwym Kościele apostołskim, w Chrystusie Panu naszym, i jednakiem zbawieniem wiecznem!... Co do zamierzonych składek na rzecz mych biednych trędowatych, to tylko odpowiem, że jest ich co najmniej sześciuset, dla których najmniejszy datek prawdziwym okazałby się dobrodziejstwem. Co do mnie, złożywszy śluby ubóstwa, niczego dla siebie nie potrzebuję. Niechże błogosławieństwo Boże zostanie z wami i z wszystkimi, którzy mi dopomogą w niesieniu ulgi moim chorym biedakom. — J. Damian de Venster“.

Zachęcony tym listem przyjaciół trędowatych, p. Chapman,

postanowił za pośrednictwem *Times'a* odezwać się do szerszej publiczności — i dał pohop nowym składkom, które mu pozwoliły obfitsze do Molokai słać ofiary, a tym sposobem zapewnić ojcu Damianowi możność dokonania wszystkich przezeń wymarzonych planów. Dzięki owemu materalnemu poparciu, hojną ręką z Anglii dawanemu, zdołał urzeczywistnić najśmielsze swe zamiary. Potrafił przed zgonem uorganizować całość dzieła, które już teraz jednym naprzód idzie torem. Zanim dokonał ziemskiej swej pielgrzymki, zbudował na tem wybrzeżu blisko czterysta domków i dwa kościoły; zapewnił sobie współpracownictwo dwóch braci zakonnych, którzy przybyli ochotnie dzielić z nim wszelakie niebezpieczeństwa i trudy; narreszcie otrzymał i przybycie kilku siostr miłosierdzia franciszkańskiej reguły, które stanęły jak dobre anioły przy łożu kończących swe umęczone życie trędowatych.

A tymczasem choroba samegoż ojca Damiana szybko postępowała naprzód. Pod koniec r. 1887 rozeszła się po Europie omylna wieść o jego zgonie. Zaprzeczając tej przedwczesnej wiadomości, ojciec Damian pisał co następuje:

„Niestety! Bóg mnie dotąd nie odwołał z tego nędznego żywota, i jeszcze tu pozostaję na czas niewiadomo jak długi, aczkolwiek jestem już prawie do niczego. Nie od dziś, jak wiecie, Opatrzność mnie naznaczyła piętnem tej wstrętnej zarazy. Ufam, że przez całą wieczność za tę łaskę potrafię Bogu dziękować, skoro mi ona skróca drogę do niebieskiej ojczyzny, i prostszym ku niej wiedzie torem... Aczkolwiek trąd już silnie napoczął me ciało i dobrze zeszpecił oblicze, czuję się jeszcze silnym i jędrnym, a straszne bóle w nogach ustały. Dotąd na szczęście choroba rąk się nie tknęła; mogę więc jeszcze codziennie odprawiać Mszę św. Łaska ta największą mi jest pociechą“. W późniejszym jeszcze liście czytamy: „Że mam pełno zajęcia, czas szybko uchodzi, a radość wewnętrzna, która mi serce zalewa, utrzymuje mnie w przekonaniu, iż jestem najszczęśliwszym z wszystkich misyonarzy. Zaczem, ofiara z zdrowia, której Bóg odemnie żądał, zapewne celem nadania większej rodzajności memu posłannictwu, wydaje mi się być

rzeczą małej wagi, choć dla mnie korzystną — i podobno mogę potrochu w duchu św. Pawła się odzywać: „Umarłem, ale żywię w Bogu z Chrystusem“. List ten kończył się słowy: „Do widzenia w niebie“.

Pod koniec 1888 r. inny wielbiciel bohaterskiej ojca Damiana cnoty, niepospolity angielski malarz, pan Edward Clifford, postanowił zbliżyć poznać i przypatrzeć się dziełu i osobie Bożego sługi. Gdy oznajmił, że wyjeżdża na wyspy Sandwich, zewsząd jął otrzymywać mnóstwo najróżniejszych przedmiotów do rozdzielania pomiędzy trędowatych, wedle woli ich pasterza. Opatrzony wielką ilością datków i darów, oraz jakąś oliwą, której przypisywał moc łagodzącą dotkliwie trądu bóle, udał się do Molokai, zkąd niebawem następne słał znajomym opisy: „Dziwna to wyspa! piękna w swoich świętych i w swej przyrodzie, straszna tajemniczością swych przepaści i wulkanów. Morze tu szafirem błyska, powietrze miłe i łagodne. Biedni trędowaci wyglądają dziwnie szczęśliwi. Wszystko tu dla mnie nowem i niespodzianem. Wystawiałem sobie tę miejscowość, jako rodzaj piekła; i rzeczywiście pod wielu względami jestto piekłem — a jednak myślę czasem, ażali tu niema rozkoszy, gdzieindziej wcale niezaznanych. Nie ulega wątpliwości, że trędowaci wolą nigdy nie odzyskać zdrowia, aniżeli Molokai opuścić. Cierpienia ich nie są zawsze równie dotkliwe, a jednak, jednak... niemasz nic okropniejszego!

„Ojciec Damian przeszedł wszystkie moje oczekiwania. Człowiek ten wzbudza łatwo nietylko uwielbienie ale i miłość; ani mu się śni, że w nim jest materyał na męczennika i świętego: miły, prosty, wesoły, serdeczny, robotnik niezrównany, mistrz malarski, cieśla, organizator, kasyer! Trąd niestety już go głęboko napiętnował; ale mi się zdaje, że mu moje lekarstwo pomaga, i że opuchnięcie czoła nieco ustąpiło. Mniej też czuje w nocy duszności, za co niech Bogu będą dzięki! Ale jestto środek, do którego trudno przyjdzie trędowatych nakłonić, jakakolwiek się onego skuteczność pokaże. Ojcu Damianowi obecnie pomagają dwaj kapłani z jego zakonu i trzy zakonnice. Niema protestanckich misjonarzy na wyspie; dla-

czegoż to katolicy zawsze więcej od protestantów okazują poświęcenia“? W następnym liście jeszcze się p. Clifford ludził nadzieją, że jego lekarstwo poskutkuje: „Cieszą mnie oznaki, że ojcu Damianowi jest lepiej; w niedzielę mógł Mszę św. odprawiać, co mu się już od wielu nie zdarzyło miesięcy; zawsze wygląda on prawdziwie szczęśliwy, — a jednak można sobie wyobrazić, czem być musi dla serca, dla nerwów, dla natury ludzkiej jednym słowem, to ciągle zetknięcie z najstraszliwszą plagą, a przytem wciąż bez wytchnienia pracować, jak on to czyni, we wszystkich kierunkach... Siostrzyczki zakonne przedziwnie są pogodne i łagodne; matka Maryanna lubi malarstwo i posiada wyrobiony zmysł artystyczny“.

Ojciec Damian nie rad był rozgłosowi, jaki pod koniec życia uczepił się jego dzieła. Powtarzał i pisał, że pragnie pozostać nieznanym światu; uraził się niemal na swych bliskich, gdy list dla rodziny przeznaczony, ogłoszono drukiem w „Rocznikach rozkrzewiania wiary“. Powtarzał zawsze, iż niema co mówić o prostym księdzu, spełniającym prostą też powinność.

Z zapisków p. Clifforda, ogłoszonych w tymże szacownym miesięczniku: *The nineteenth century*, — gdzie nierzadko spotkać się można z artykułami kardynała Manninga obok rozpraw Gladstona — z tych tedy zapisków angielskiego w Molokai gościa, jeszcze parę uszczknijemy szczegółów. Gdy lekarz rozpoznał w ojcu Damianie pierwsze oznaki trądu, wahał się czy mu to powiedzieć trzeba, czy nie weźmie nadto do serca owej wiadomości. Przyjął ją atoli z niewzruszonym spokojem: „Zawsze się tego spodziewałem, — rzekł pogodnie — od pewnego zaś czasu byłem tego pewnym“. I natychmiast powrócił do swych zwykłych zatrudnień, z niczem niezamąconą swobodą ducha. Gdy p. Clifford dokończył portret ojca Damiana, ten, popatrzywszy się chwilę na własny wizerunek, trochę smutno dodał: „Co za szpetność! nie wiedziałem, że choroba już tak znaczne postępy uczyniła“. Można się domysleć, iż Molokai nie obfituje w zwierciadła. Odmiana trądem wyrządzona musiała być tem wydatniejszą, iż ojciec Damian zamlodu był postaci wcale uderzającej: wysokiego wzrostu, o szlachetnych

i regularnych rysach. „Podczas mego pobytu na wyspie — pi-sze dalej p. Clifford — zajmowałem domek, dla gości zbudo-wany. Nigdy doń ojciec Damian nie chciał wchodzić, z obawy, aby zarazy nie przynieść. Wieczorem zasiadał na stopniach otwartej werandy, i tam ze mną rozmawiał ze zwykłym wdzię-kiem i wesołą pogodą; a tymczasem gwiazdy migotały nad nami, cała zaś dolina tonęła w świetle księżycowym... Stra-szne niekiedy burze szaleją na tej wyspie; wstrząsają jej po-sadami wichry gwałtowne. Niebo tylko wiecznie pogodne, zawsze lśni się słońcem lub gwiazdami błyska...

„Ojciec Damian oraz towarzysze jego żyją z tym całym światem trędowatych na stopniu najczulszej przychylności; ciągle się z nimi stykają, a nie tylko o nich aż do końca tkliwą mają pieczę, ale nadto sami częstokroć ostatnie im oddają po-sługi, i do grobu składają. Po ludzku sądząc, niema podobień-stwa, aby którykolwiek z nich uszedł zarazie. Trędowaci bar-dzo dobrze śpiewają; jeden z nich, posiadający dźwięczny ba-ryton, miał przy sobie chłopca, którego wysoki głos doskonale się z tantym zlewał. Kobieta, niegdyś słynna w Honolulu pia-nistka, o rękach dziś trądem zniszczonych, jeszcze znajdowała dość sił, aby znakomicie organistę zastępować przy harmonium. Kolęda *Adeste fideles*, odśpiewana przez nich po łacinie, bardzo mi się podobała; ale jeszcze więcej mnie poruszył rodzaj dumki, zatytułowanej „Pieśnią trędowatych“, ułożonej przez rodzinnego poetę, a opiewającej los tych nieszczęśliwych z prawdziwym talentem i patetycznością. Liczba ich obecnie dochodzi do tysiąca.

„Ojciec Damian serdecznie umiłował dziatki; ucieszył się, gdym mu oddał hymny ojca Fabera — upominek prze-słany mu przez dzieci Lady Grosvenor, które na pierwszej karcie dziecięcym wypisały pismem: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“. Odczytywał sobie kilka-krotnie te słowa, powtarzając, ile mu ta książka jest droga. Wielokrotnie musiałem mu powtarzać nazwiska tych wszy-stkich, którzy mu na moje ręce przesłali dary lub pozdrowie-nia. O wszyscy i się szczegółowo dopytywał, i wyglądał ró-

wnie zdumiony jak rozrzewniony, iż tylu Anglików, protestantów, tak wielką mu okazuje życzliwość.

„W ostatnią niedzielę mego na wyspie pobytu, dałem trędowatym przedstawienie z latarnią magiczną, którą dla nich przywiozłem. Ojciec Damian sam podjął się tłómaczenia im poszczególnych obrazów, z życia Zbawiciela wyjętych. Trudno było bez wzruszenia patrzeć na tę ciżbę ludzi, na śmierć niechybną skazanych, a przysłuchujących się tak pilnie opowiadaniu o cudach, i uzdrowieniach przez Chrystusa Pana działających; następnie zaś o Jego męce, ukrzyżowaniu, śmierci i zmartwychwstaniu. Ojciec Damian powtarzał, iż u wielu z swych owieczek znalazł uczucia najtkliwszej pobożności.

.....

Nazajutrz miałem opuścić wyspę na statku, który przywoził na dzień cały do Molokai dwustu krewnych lub przyjaciół trędowatych. Pewien mieszkaniec z Honolulu urządził podobne spacerowe wycieczki, ażeby zapewnić biednym trędowatym i ich rodzinom pociechę spotkań przelotnych. Trudno zapomnieć chwilę przyjazdu i odjazdu statku. Gdy się zbliżyła godzina nowej rozłąki, cała ludność wyległa na brzeg morza, ażeby odjeżdżających pożegnać. Dwustronne odezwały się jęki i łkania; a jednak te krótkie spotkania wielką przynoszą osłode niešťeśliwym, i łagodzą rozdarcie owych przymusowych wydalań, nie zostawiających nigdyś żadnej nadziei doczesnego oglądania tych, których choroba wydzieraa rodzinom.

„Gdy nasz statek podniósł kotwicę, białe obłoki wieńczyły ciemny błękit skał i srebrne pasma potoków, spływających z szumem z ich szczytów. U dołu widniała jak na dłoni cała osada, białe jej domki i kościoły. Ojciec Damian stał na wybrzeżu, otoczony swoim ludem, tak długo, jak mogliśmy go gołem dostrzedz okiem. Słońce pochyliło się na widnokręcie, i ostatnie onego promienie ubarwiły góry, gdy po raz ostatni ujrzałem zdalek wyspę Molokai, przysłoniętą złotą mgłą tkanką“!...

Jeżeli rząd wysp Sandwich uprzedził inne, cywilizowań-

sze narody systematycznym odosabnianiem trędowatych, i je-
dynych użył środków zapobiegania szerzeniu się zarazy suro-
wością ustaw swoich, napozór nielitościwych, — o ileż przewyż-
szył rządy europejskie szczerem poparciem działalności ojca
Damiana, którego niezem nie krępowano, owszem, na każdym
kroku ułatwiano mu zadanie gotową pomocą i chętnem uzna-
niem. Zazdrosna podejrzliwość nowoczesnego ustroju państwo-
wego wobec dobroczyńców ludzkości, nie przeniosła się dotąd
na te dalekiej Oceanii wyspy, i potrafiło tam uszanować
i upewnić zupełną niezawisłość i swobodę apostołowi trędowa-
tych. Przez kilka jeszcze tygodni po odjeździe p. Clifforda
„stał on pośród swego ludu“. Ale tymczasem nieubłagana cho-
roba szybko robiła postępy. Ostatnich dni marca 1889 r. pisał
następne słowa: „Serdeczne pozdrowienia dla kochanego Clif-
forda. Powoli wstępuję po drodze krzyżowej, i niebawem stanę
u szczytu mojej Gólgoty“. W ostatnim liście do brata znajdu-
jemy poniższy ustęp: „Zważywszy na rodzaj choroby, jaką
się Panu Bogu spodobało mnie nawiedzić, obawiam się tak czę-
sto jak dawniej do was się odzywać. Już teraz na dobre jestem
chory, ale zawsze swobodny i szczęśliwy, pragnąc przedewszy-
stkiem, aby się wola Boża nad nami spełniała“.

Uderza w tych listach i świadectwach stała nuta wesela.
Niedość to ceniony dziś przymiot, prawie cnota, a w każdym
razie moc i siła niezaprzeczone. Pesymizm ogarnął i rozstroił
dusze, nieznające już tej radości, która się zalicza do darów
Ducha św. Zapewne, pogoda idzie w parze z wyrobieniem, ale
bywa też usposobieniem wrodzonym, dziwnie i tęgującem mo-
ralne siły. Kto posiada wewnętrzną pogodę i rozradowanie,
temu łatwiej przyjdzie zdobywać się na najcięższe ofiary, na
najpiękniejsze i najtrudniejsze poświęcenia. Swoboda ducha
była do końca udziałem ojca Damiana, i niezawodnie go uzdol-
niła do spełnienia swego heroicznego zadania. Ostatnie jego
listy i słowa tchnęły wciąż niezamąconym spokojem. „Mogę
jeszcze, choć z rosnącą trudnością, utrzymać się na nogach
przy ołtarzu, i nie zapominam tam o was. Wzamięn modl-
cie się za tego, do którego śmierć przybliża się pomału. Oby

mnie Bóg ukrzepiać raczył i udzielił łaski wytrwania i dobrej śmierci!⁴

Na dniu 30 marca przygotował się bezpośrednio do bliskiego już końca odnowieniem ślubów zakonnych i generalną spowiedzią; nazajutrz przyjął Wiatyk. „Patrzcie na moje ręce — odezwał się tegoż dnia do współtowarzyszów, — oto zupełnie czernieją, a rany się goją. Dowód to oczywisty, iż koniec się zbliża. Spójrzcie mi w oczy, a też same dostrzeżecie znaki. Tylu trędowatych przy mnie umierało, że się pomylić nie mogę. Śmierć już niedaleka; rad byłbym jeszcze raz widział naszego dobrego biskupa, ale Pan mnie woła i chce, abym z Nim święcił wielkanocne uroczystości. Niech będzie Imię Jego błogosławionem!”

Udzielono mu ostatniego Namaszczenia na dniu 2 kwietnia. Zawodził wciąż hymny dziękczynne — żartował mile z towarzyszami. „Jakże Bóg dobry, że mi dał pociechę posiadania dwóch kapłanów przy sobie w ostatniej godzinie, a doczekać trzech zakonnic w szpitalu trędowatych. Po tem wszysktem nie pozostaje mi nic, jeno powtarzać *Nunc dimittis*. Mogę odejść; nie jestem już tu potrzebnym“.

— Nie zapomnisz tam w górze tych, których zostawiasz sierotami? — wtrącił jeden z księży.

— Zapewne, jeżeli będę tylko mógł coś otrzymać, błagać będę o łaski dla naszej osady.

— Uproś mi twoje serce — zostaw mi twój płaszcz na wzór Eliaszowego.

— Cóżbyś z nim zrobił? — cały on pelen trądu — zaśmiał się chory.

Cierpliwość bezmierna cechowała te ciężkie dni ostatnie. Spoczywał ojciec Damian na ziemi, ubogi, jak najuboższy z swych trędowatych, którym wszystko był rozdał; ledwie potrafiiono go zniewolić w końcu do położenia się na łóżku. Raz jeszcze, na dniu 13 kwietnia, przyjął Pana Jezusa; ale już mówić nie mógł, i ścisnął tylko serdecznie dłoń swych towarzyszy. Nareszcie 15 kwietnia przeszedł spokojnie, jakoby we śnie, do lepszego żywota. Po jego śmierci wszelki ślad trądu

zniknął z jego rąk i oblicza. Na własne żądanie, wykopano mu grób pod tym samym rozległym Pandanusem (australskiem drzewem), gdzie tyle nocy przepędził w pierwszych początkach swego apostołowania, a który teraz ocieniał cmentarz kościelny i własną jego mogiłę.

Anglia, która najwięcej udzieliła poparcia dziełu bohaterskiego misjonarza, najprędzej się też poruszyła na wiadomość o jego zgonie. Wierny przyjaciel sprawy trędowatych, Rev. Chapman, otworzył nowe składki, które postanowiono wręczyć kardynałowi arcybiskupowi z Westminsteru: „boć on lepiej, niż ktokolwiek, potrafi nadać tym hołdom kształt najprzyjemniejszy ojcu Damianowi“. P. Chapman w swej odezwie wspominał tych ziomków swoich, którychby wstrzymała od uczestniczenia w składce myśl zaszczytu, spadającego ztąd na Kościół katolicki. Ale uprzedzenia Anglikanów przeciw papizmowi nie ostoją się wobec podobnych cudów miłosierdzia. Księżę Walii sam stanął na czele mityngu, w którym wszystko, co Anglia ma najznakomitszego, ochotny wzięło udział. Był tam i kardynał Manning i biskup z Salford i kwiat arystokracji, i najcelniejsze osobistości naukowe. Księżę Walii sam dał wyraz powszechnego uwielbienia dla świeżo zgasłego apostoła trędowatych, trojaki stawiając wniosek: najprzód wzniesienia pomnika na cześć ojca Damiana w Molokai; następnie założenia osobnego zakładu, gdzieby studyowano tę straszną zarazę, i ułatwiano podróże w tym celu przez fachowych ludzi podejmowane; nareszcie zarządzenia śledztwa, wyjaśniającego stan trędowatych na całej przestrzeni angielskich posiadłości. Posypały się na to wezwania i datki i studia i hołdy, dowodzące jawnie, jak dalece po dzisiejszym świecie umie oceniać piękno cnoty i prawdy; nie zwątpić doprawdy o ludzkości, dopóki ją czyny szlachetne poruszają i do naśladownictwa zagrzewają. Cały poziom ziemski się dźwiga, tajemne jakieś *Sursum corda* przebiega świat cały od bieguna do bieguna, na wieść o poświęceniach ubogiego kapłana; a że to nie sporadyczny wykwit cnoty, lecz owoc nauki, zostawionej pokoleniom przez miłośnika trędowatych, dowodzą następstwa śmierci ojca Damiana.

Gdy biskup miejscowy zawahał się kogo posłać na opróżnione stanowisko w Molokai, i zapytał się swych księży, który z nich zechce się tamże udać, odpowiedzieli jednogłośnie, że wszyscy są gotowi, a ten, którego naznaczono, z prostotą zauważył, iż jadąc na posługę trędowatych, trzyma się tylko ściśle swej zakonnej reguły. Tymczasem samże brat ojca Damiana pospieszył objąć spadek rodzinny jednakiego poświęcenia, i popłynął ku wyspom Sandwich. Przykład zaś apostoła trędowatych wzbudził im nowego anioła opiekuńczego w osobie siostry Róży Gertrudy, znanej w świecie angielskim pod mianem miss Anny Fowler.

Córka anglikańskiego duchownego, wcześniej usłyszała głos wewnętrzny, wzywający ją na łono katolickiego Kościoła. Dzieckiem jeszcze upatrywała osobną piękność w religii, oddającej cześć Aniołom Stróżom; i ten to rzewny pociąg głównie o jej nawróceniu rozstrzygnął. Niemal doznała trudności ze strony swych bliskich, gdy przyszło ostateczny krok na tej drodze uczynić; nie była jednak prześladowaną, jak się to nieraz konwertystkom zdarza; owszem — doznała wiele czulej dodroci ze strony ojca. A jednak była to ofiara, która pociągnęła za sobą wiele innych. Właściwością to poświęcenia, iż duszę poniekąd upaja i wiedzie coraz wyżej, ku szczytom zaparcia się i ofiarności. Zaledwie miss Fowler przed siedmiu czy ośmiu laty przyjętą została do katolickiego Kościoła, aliści zbudziła się w jej sercu niepohamowana żądza oddania się wyłącznie na służbę cierpiących członków Chrystusowych. Zanim nawet choroba i śmierć ojca Damiana ściągnęła powszechną uwagę na osadę nieszczęśliwych w Molokai, już ją los trędowatych żywo zajmował, i jakoby specjalnie w tym kierunku czuła powołanie. Ale tak była młodą i niedoświadczoną, że uległa radzie przyjaciół, aby odroczyć krok stanowczy, któryby ją wprzągnął w twardą i niebezpieczną służbę trędowatych. Pod wpływem atoli nurtującej ustawicznie w jej duszy myśli, miss Fowler udała się do Paryża, aby tam studyować medycynę, wprawdzie nie dla pozyskania stopni, o które się teraz ubiegają studentki, lecz dla nabycia pewnej wprawy w chodzeniu

około chorych, oraz nieco wiadomości, ułatwiających niesienie im ulgi. Uczęszczała i do instytutu Pasteura w nadziei, że jej się uda może teorye mikrobów przystosować do skutecznego leczenia trądu, i antyseptycznemi środkami przerwać postępy choroby. Zdobywszy sobie kilka świadectw, a więcej jeszcze doświadczenia w pielęgnowaniu chorych, postanowiła nie zwlekać dłużej, i wykonać nareszcie myśl, dojrzewającą od tak dawna w sercu pełnem zapału.

Ciężkie to były czasy, owe lata w Paryżu spędzone. Nie rozporządzając niemal żadnemi środkami, miss Fowler musiała własną pracą zdobywać sobie fundusz, potrzebny na skromne utrzymanie. Udało jej się piórem zarobić tyle grosza, ile go było potrzeba na opłacenie studyów i pobytu w stolicy Francyi. Zetknęła się też w tamecznych szpitalach z pierwszymi trędowatymi; atoli mało rozwinięte stadyum strasznej choroby nie pozwalało zmierzyć całej grozy i ohydy zarazy, z jaką chciała walczyć. Lepiej się z nią poznała na wystawie międzynarodowej, gdzie w sekcji medycznej znajdowały się okazy rąk i głów Hawajczyków w stopniu ostatecznego roztoczenia i rozkładu. Towarzysze miss Fowler omdlewali niemal ze wstrętu na ten widok szkaradny; ona jedna zupełnie spokojnie i bez odrazy patrzała — co stwierdzało nadprzyrodzony charakter jej osobliwego powołania.

Przybrawszy suknię św. Dominika i poddawszy się jego regule, postanowiła nie zwlekać już dłużej. Szczegóły śmierci ojca Damiana jeszcze ją upewniły w świętym zamiarze. Serce jej rwało się do osieroconych tym zgonem trędowatych. Nie trapiła się bynajmniej prawdopodobieństwem zarażenia się od nich niełitościwą chorobą. „Zawiele mam innych rzeczy do obmyślenia, za wiele planów na przyszłość“ — powtarzała lekceważąc sobie niebezpieczeństwo. Wszystkie te plany zmierzwały do osłodzenia losu nieszczęśliwych, do zastosowania nowych urządzeń szpitalnych w zakładach wysp Hawai.

Gruchnęła szybko wieść o bliskim wyjeździe modziuchnej siostry Róży Gertrudy — bo takie imię zakonne przybrała miss Fowler. Pod świeżem wrażeniem śmierci ojca Damiana

potęgowało się współczucie dla trędowatych, a uwielbienie dla tych, którzy dobrem sercem los ich osładzać i dzielić spieszą. Anglicy dziwnie mają praktyczny zmysł w obmyślaniu stosownych darów. I tak już ojcu Damianowi, okrom pieniędzy, dostarczono np. wspomnianą już przez nas latarnię magiczną z obrazkami z historii św., lub katarynkę, wygrywającą 40 z kolei odrębnych kawałków, ku wielkiej rozkoszy naiwnej ludności Molokai. Siostra Róża Gertruda marzyła o fortepianie, ażeby ćwiczyć w śpiewie biednych trędowatych i skrócić im godziny cierpienia muzyką. Sławną fabrykę Broadwoodów w Londynie przeczuła to życzenie, ofiarując jej wspaniałą klawikord; inny dobroczyńca podjął się kosztów przewozu na wyspy Hawai. Posypały się mnogie jałmużny, nie tylko przedmiotów nieodzownych, ale i takich, które mogą oko cieszyć i umysł rozjaśniać. Francya stanęła w zawody z różnemi ozdobami sal szpitalnych, nawet z przysmakami dla trędowatych. Ale nie samo miłosierdzie zajęło się rzewnem posłannictwem siostry Róży Gertrudy; ciekawość powszechna ze swej strony otoczyła tę słodką, skromną, dziewiczą postać młodej zakonnicy, nie domyślającej się wcale, na wzór ojca Damiana, bohaterstwa swego kroku. Musiała przyjąć odwiedziny interviewerów i reporterów dziennikarskich, i z prostotą zniosła ich niedyskretne nagabywania w myśli, iż i ta jej ofiara wyjdzie na korzyść biednych trędowatych. Nie omyliła się w tem mniemaniu. Rozgłos, towarzyszący jej wyjazdowi, spotęgował hojność zainteresowanych tą sprawą czytelników angielskich dzienników; i gdy przed paru tygodniami siostra Róża Gertruda odpływała na miejsce przeznaczenia, część statku wyładowaną była ofiarami dla nieszczęśliwych mieszkańców Molokai. W chwili, gdy to piszemy, zapewne już między niemi stanęła, i ta, która osobnem uczuciem umiłowała Aniołów Bożych, rozpoczęła swe anielskie posłannictwo.

Rodzajna to matka Kościół nasz święty katolicki. Nie darmo począł się krwawą na Golgocie ofiarą, a utrwala bezkrwawem Jej we Mszy św. powtórzeniem. Każde serce jego synów i córek gotowym ołtarzem całopalenia, byle się znała-

zła iskra miłości, rozniecająca ów płomień, złożony na dnie duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże. Podobieństwo to rośnie w miarę gorętszego ukochania; a że niemasz większego dowodu miłości, nad oddanie własnego życia za umiłowanych, — ci, którzy na wzór ojca Damiana i Róży Gertrudy służą aż do ostatnich granic poświęcenia nieszczęśliwym, szerzącym wokoło najwstrętniejszą zarazę, najwierniej też odzwierciedlają w duszy swej i życiu obraz Boskiego Mistrza i najlepiej spełniają Jego życzenie, gdy przyniósłszy ogień na ziemię, pragnął, by się takowy rozpalił. Rozpalenie onego płomienia przybliży królestwo Boże na ziemi i w raj ją zamienić gotowe; czego dowodem osada trędowatych w Molokai, przez ojca Damiana z piekła rozpacz przekształcona w przystań poddania i pokoju, owym cudem miłości, promieniejącej z serca Świętych Pańskich, a zdolnej naprawić doczesne warunki uciążliwej pielgrzymki naszej.

M.



PEDAGOGIA

W DRUGIEJ POŁOWIE ŚREDNIOWIECZA.

II.

Stan szkół pod względem ich organizacyi, wychowania i nauczania.

Jeżeli już pierwsze szkoły katechetów¹ zawdzięczały swój początek i organizację stanowisku chrystyanizmu do filozofii pogańskiej; jeżeli stanowisko to wycisnęło piętno wyraźne na pedagogice Ojców Kościoła — to nie dziwnego, że ustalenie się scholastyki i mistyki, oraz wystąpienie humanizmu, wywarło potężny wpływ na pedagogią średniowiecza. Wpływ ten działa na równi ze społecznymi stosunkami, ujawnia się wybitnie już w dziełach św. Anzelma, Bernarda, Hugona i Ryszarda a Sto Victore, i różnych pedagogów XII wieku, a nadto znajduje swój wyraz w pedagogii praktycznej. Najsilniej oddziaływa on na stosunki uniwersyteckie.

Rozkwit scholastyki i mistyki przyczynił się w pierwszym rzędzie znakomicie do podniesienia i pogłębienia studyów uniwersyteckich, tudzież do rozbudzenia zapału do nauki. Mnożą się wszechnice w nadzwyczajny sposób i gromadzą nader wielkie masy słuchaczy. Według Hergenröthera² musiał ka-

¹ Patrz *Przegl. Powsz.*, t. XXI, str. 316.

² L. c. II, 495.

żdy z ośmiu profesorów teologii w Paryżu studyować pierwszej przez ośm lat nauki ogólne, a przez pięć lat teologią. Wnet dodano do tego i filologią, gdyż po soborze Wienneńskim nakazano ustanowić tak przy kuryi papieskiej, jak w największych uniwersytetach: w Paryżu, w Bolonii, w Oksfordzie i w Salamance, po dwóch profesorów do języków: hebrajskiego, chaldejskiego i arabskiego. Uniwersytet paryski był wzorem dla innych. Stopnie akademickie ustaliły się wszędzie od roku 1246, w którym papież Innocenty IV rozporządził, aby na przyszłość nikt się nie ważył nauczać z katedr publicznych, kto się nie poddał z dobrym skutkiem egzaminowi przed biskupem lub jego pełnomocnikami, tak, jak się to dzieje w Paryżu. Uzyskawszy stopień akademicki i złożwszy wyznanie wiary, mógł uczony udać się na którykolwiek uniwersytet chrześcijański, a wszędzie korzystał nietylko z wolności nauczania, ale i z przywilejów akademickich. Nie znano jeszcze wówczas nowożytnego cwiartowania umiejętności według słupów granicznych państwa. Koszta promocyi ograniczył papież Klemens V, a jeszcze więcej Benedykt XII. Panujący zaczęli uznawać korzyści, jakie uniwersytety przynosiły państwu, dlatego też i ze swej strony zaczęli je popierać; pod koniec tego okresu występuje nawet w niektórych panujących wyraźne dążenie do odebrania uniwersytetom charakteru międzynarodowego, a uczynienia ich narzędziem państwowem.

Upadek scholastyki i późniejszy rozstrój mistyki, pociągnął za sobą obniżenie poziomu nauk w uniwersytetach. Wnet pod wpływem humanizmu zjawily się tu i ówdzie usiłowania, aby narzucić nauce skrajny formalizm klasycznego języka. Starcie to z humanizmem mogło jednak wyjść na korzyść jednego i drugiego kierunku.

Właściwością studyów uniwersyteckich były publiczne dysputy studentów. Wartość ich uznawali tak scholastycy, jak mistycy i humaniści, przyczem pierwsi baczili na większą głębokość i logiczność myśli, drudzy na krasę oratorską. W czasach rozkwitu chroniono dysputy pilnie od rozgoryczania się i od zawziętej polemiki.

Równocześnie usiłowano tak teoretycznie jak praktycznie nadać uniwersytetom jak największą wartość wychowawczą. Teoretycznie dokonywała tego mistyka — praktycznie różne instytucje wychowawcze. Mistyka z natury swojej przedstawiając prawdę, jako dobro moralne, nakazywała dla niezmaconego poznawania przebiegać najpierw drogę oczyszczającą z namiętności (*via purgativa*). Oczyszczenie to umożliwiało jasny pogląd badającego (*via illuminativa*); oświecenie wreszcie doprowadzało do złączenia się miłością z dobrem najwyższym (*via unitiva*). W ten sposób mistyka starała się systematycznie ulepszyć całe życie moralne człowieka; więc też głoszona czy to z katedr uniwersyteckich, czy z ambon, czy w konfesyonałach, musiała wielce podnosić moralny poziom uczniów. Nie poprzestając na tem, postanowiono zastosować do młodzieży uniwersyteckiej wychowanie internatowe, zalecone praktyką długowiekową Kościoła. I znów najpierw w Paryżu zakłada Robert de Sorbonne, kapelan nadworny Ludwika IX, w r. 1257 słynne kolegium, a przykład ten znajduje na innych uniwersytetach licznych naśladowców. Uczniowie jednej narodowości lub jednej prowincji otrzymywali w kolegiach za szczupłą opłatą (ubożsi bezpłatnie), mieszkanie, stół, a nawet pomocnicze lekcje naukowe. Przedewszystkiem zaś rozciągano nad młodzieżą czujny nadzór, pozwalano tylko w pewnych oznaczonych porach wychodzić z gmachu, i umoralniano przez praktyki religijne i przez inne środki wychowawcze Kościoła, w mistyce podawane. Oprócz kolegiów były także prywatne konwikty, zwane bursami. Sobory polecały też przełożonym uniwersytetów czuwać nad czystością nauki i nad obyczajami naukowych korporacyj.

Przedewszystkiem uwzględnić trzeba silne, i to wzajemne oddziaływanie uniwersytetów na szkoły średnie: klasztorne, kolegiackie, katedralne i miejskie. Wiele z tych szkół znacznie się podniosło przez to, że otrzymywały z uniwersytetów coraz to bieglejszych kierowników, uzdolnionych przez badania scholastyczne do gruntownego nauczania, a przez ćwiczenie w pobożności do dobrego moralnego wychowywania uczniów. Je-

dnakowoż oszczędność magistratów zaczęła w niejednym miejscu wybierać dla szkół miejskich ludzi, którzy nie dokończyli studyów, albo też uczonych podejrzaney moralności, którzy nie mogąc się dostać na katedry uniwersyteckie, za tańsze pieniądze kontrakty zawierali. Kościół, którego wpływ osłabiony został przez omówione wyżej stosunki społeczne, niezawsze zdołał przeprowadzić swe „veto“ przy takich mianowaniach, lubo się starał ile możności zmniejszać złe przez ściśle nadzorowanie szkół, i przez popieranie i umoralnianie samych nauczycieli. Dowolność jednak kierowników szkół w dobieraniu i oddalaniu swych pomocników (*locati*) zaczęła wnet, bo już z końcem XII wieku, wytwarzać stan wędrownych nauczycieli. Rektor szkoły, zgodzony za tanie pieniądze, dobierał tem tańszych pomocników, i razem z nimi, dbając tylko o łatwy zarobek, nie brał na seryo nauczania, a tembardziej wychowania dziatwy. Upominany przez Kościół lub poważniejszych obywateli, nadzorujących szkołę, zrywał kontrakt — i szukał nowej posady. Częściej jeszcze zrywali kontrakty z rektorem i wędrowali w świat lichy płatni pomocnicy. Niezadługo nauczyciele wędrowni stali się istną plagą, demoralizującą nawet lud wiejski, przez wpajanie węg i wyzyskiwanie różnych zabobonów. Kościół ścigał ich klątwami, ale wzmagający się rozstrój społeczny zapewniał im bezkarność. W tych warunkach musiała młodzież nawykąć do lekceważenia nauczycieli i popadać w wyuzdanie i nieuctwo. Zwolna zaczął się nawet wyrabiać stan wędrownych studentów z całą organizacją, tak zwanych bachantów, którzy stawiali zbrojny opór nauczycielom, a surowiej ukarani, urządzali tłumne ucieczki „żaków“ do innego zakładu, skazując tem samem nauczycieli na utratę chleba. Rosło zdziczenie moralne i nieuctwo; ale zamiast usunąć źródło złego przez zapewnienie Kościołowi znaczniejszego wpływu przy wyborze i kontraktowaniu nauczycieli, starano się zapobiegać rozstrojowi przez powiększanie kar i chłost szkolnych, czem sprawę tylko pogarszano. Jak świadczą decyzje synodów¹,

¹ Np. w XIII wieku synody w Trewirze, Moguncyi, Magdeburgu, St. Pölten, Würzburgu, Salzburgu, Bremen i t. p.

Kościół duchownemi karami starał się nieraz powstrzymać te wędrowki uczniów, domagając się zarazem pilniejszego czuwania nad moralnem życiem nauczycieli i nad czystością ich nauki. Widząc jednak, że kary duchowne już nie odnosiły skutku, starał się Kościół wpływać na umoralnienie nauczycieli i uczniów wędrownych przynajmniej przez to, że dawał im czasem w klasztorach przytułek i zajęcie. Używano ich zwłaszcza do uświetniania uroczystości kościelnych przez śpiewy i do przepisywania dzieł, a przy tej sposobności budzono w ich sercach uśpione życie religijne i naprowadzano do zbawiennej refleksyi. Nieraz postępowanie to wydawało bardzo dobre owoce.

Niepocieszny ten stan szkół miejskich nie odrazu stał się powszechnym. I w XIV wieku można było znaleźć szkoły, gdzie nauka i ład kwitnęły; a działo się to w owych miastach, gdzie przy zgodnem współdziałaniu gminy z Kościołem ustanawiano rektorem szkoły męża gruntownej nauki i nieposzlakowanego życia, dając mu zarazem dogodniejsze warunki utrzymania. Takimi rektorami byli często zakonnicy, którzy dobierali sobie odpowiednich pomocników, i nie uważając swej pracy za rodzaj lichu opłacającego się rzemiosła, szczerze się zajmowali moralnem prowadzeniem uczniów. Nie wynika ztąd jednak, jakoby każdy zakonnik był dobrym, a każdy świecki nauczyciel złymrektorem. Owszem — wielu było zakonników, którzy opuściwszy klasztory i żyjąc samopas, odpadali od reguły zakonnej, a wówczas nie różnili się od wędrownych nauczycieli świeckich, na co się nieraz żalały synody; przeciwnie, można było spotkać nauczycieli świeckich wzorowo szkołę prowadzących. Nie w samych też szkołach miejskich panował rozstrój wspomniany; mało lepszymi albo i całkiem im równymi stały się szkoły katedralne, odkąd cesaropapizm zaczął narzucać biskupów i kanoników, dalekich od ducha kościelnego, którzy zdawali prowadzenie szkoły tak samo na tańszego rektora, jak to czyniły magistraty. Sobór powszechny lateraneński za Innocentego III w r. 1215, nakazał wreszcie dawać osobne beneficyum kościelne rektorowi, aby się miał z czego utrzymać, gdyż uczniowie w szkołach katedralnych

nie nie płacili. Takim rektorem bywał w niektórych szkołach stale zakonnik bliskiego klasztoru, i dlatego takie szkoły katedralne, jak wskazują niektóre bulle papieża Benedykta XII, zaczęto uważać za klasztorne.

Szkoły klasztorne, równie jak szkoły kolegiackie, stały, ogólnie mówiąc, nierównie wyżej pod względem nauczania, a zwłaszcza pod względem wychowania moralnego, ponad szkoły miejskie i katedralne już przez to samo, że konwiktowe życie nie dopuszczało tam wędrowek nauczycieli ni uczniów, dozwalało na różne praktyki i ćwiczenia pobożne, a temsamem usuwało potrzebę kar zbyt surowych. Wprawdzie w czasach większego rozstroju i zakony zbaczały nieraz od reguły i popadały w niekarność, zwłaszcza, gdy narzucano klasztorom niestósownych opatów; ale Kościół miał większy wpływ na nie, i dlatego też wnet je reformował, jak to świadczą uchwały soborów i decyzje papieży, np. bulla Benedykta XII w sprawie studyów benedyktyńskich w r. 1336. Obok Benedyktynów stanęli teraz w rządzie nauczycieli mnodzy Franciszkanie i Dominikanie, Augustyanie, Cystersi, Norbertanie i inni, a obudzona w ten sposób rywalizacya wyszła tylko na korzyść nauki. Dorównywały tym zakładom szkoły, utrzymywane przez kolegia kanoników regularnych. Nie wyklucza to przecież faktu, że i w wielu klasztorach podupadło nauczanie szkolne; gdyż zdolniejsi nauczyciele woleli się udawać na katedry uniwersyteckie, dokąd i uczniów nęciły swobody i przywileje. W ten sposób uniwersytety przyniosły tu i owdzie szkodę, bo podkopawszy szkołę klasztorną, pozbawiły temsamem wielu biedniejszych gruntownej nauki.

Jeżeli szkoda, wynikająca z uniwersytetów dla niejednych szkół klasztornych, wyrównywała się pożytkiem, jaki one przynosiły innym szkołom przez dostarczanie zdolniejszych pedagogów, — to niezem już wyrównać się nie dały szkody, wyrządzone szkolnictwu, odkąd na uniwersytetach zapanował kierunek pseudoscholastyczny. Prawdziwa scholastyka, domagając się od swego adepta głębokiej i szerokiej wiedzy, wpływała tem samem na pogłębianie i rozszerzanie nauki w przy-

gotowujących do niej szkołach średnich; pseudoscholastyka zaś, lekceważąc głęboką treść, a gubiąc się w dyalektycznej sofisteryi, popchnęła szkoły średnie do przesadnych ćwiczeń dyalektycznych z ujmą dla właściwych przedmiotów nauki. Kierunek ten podkopał nauczanie w reszcie szkół klasztornych i kolegiackich; co więcej, lekceważąc mistykę, wpłynął także na obniżenie wychowania moralnego. Nieszczęsny formalizm w ćwiczeniach myślnych odstręczał wielu od nauki, i zrobił uczących się niedouczoneymi a napuszystymi mędrkami, którzy gardzili dziełami dawnych mistrzów chrześcijańskich i pogańskich, byli głuchymi na upominania Kościoła, i przez swą sofisteryę popadali w najdziwaczniejsze błędy. Złe wzmoгло się podwójnie, odkąd nie tylko ze szkół miejskich, ale i z klasztornych poczęła na uniwersytety przechodzić źle uczona, a przedewszystkiem źle wychowana młodzież; nastały czasy istnej karykatury studyów średnich i uniwersyteckich. Zaogniły się umysły, dysputy stały się upornemi kłótniami, podupadła wiara i życie religijne. „Największą wadą studyów uniwersyteckich — skarży się Gerson — są niemałe braki i błędy w moralnem prowadzeniu młodzieży, oraz w początkowem ich nauczaniu; a to po największej części z winy zbyt mnogich pedagogów. Wielu z nich (nie ujmując bynajmniej chwały dobrym) szkodzi własnym uczniom: albo przez swe grube nieuctwo, albo przez opieszałość i niedbalstwo, albo przez obliczone na zysk i niemile pochlebstwa, albo przez dziwną lekkomyślność, albo wreszcie — co jest nie do zniesienia — przez gorszący przykład najniemoralniejszego życia. Ci, lękając się uczniów upominać, nie wykorzeniają w nich zarodków złych skłonności, lecz je hodują i podsycają. Lękają się zaś albo dlatego, by uczniowie nie odeszli, albo też, bo sami mają wstręt do pobożności, a nauczanie religii uważają za rzecz ubliżającą swemu stanowi, albo wreszcie, ponieważ się boją, aby chłopcy nie zaczęli im wyrzucać wad, o których dobrze wiedzą. Stają się tedy uczniowie zawadykami, włóczęgami, zarozumialcami, nieposłusznymi, skorymi do waśni, nieskorymi do przebaczenia, a nadto niereligijnymi... Nikt zaś nie zaprzeczy, że z chłopców złych obyczajów

i lichej nauki wyrastają następnie młodzieńcy i mężowie, którzy nie tylko pożytku rzeczypospolitej uniwersyteckiej nie przynoszą, lecz są dla niej zakałą, przyczyną rozterków, i swemi szaleństwami gubią dobrych jej członków. Cóż więc dziwnego, że ze złych uczniów wyrastają źli mistrzowie? Stopień bowiem udzielony nie niweczy złego; owszem, dając pochop do pychy, raczej je pomnaża lub też długo tajone na jaw wydobywa¹...¹. I dlatego w kłótwach kościelnych, wymierzonych na wędrujących nauczycieli i uczniów, a z drugiej strony w pieczołowitem dawaniu stałego przytułku tymże, widzieć musi każdy to, co rzeczywiście było, t. j. staranie Kościoła zapomocą środków tak surowych jak i łagodnych o podniesienie nauk i dobre wychowanie; bynajmniej zaś nie można z dobrą wiarą upatrywać w tem dążności do ograniczenia swobody nauki i do zniżenia jej poziomu, jak to zarzucają Kościołowi protestanci. W interesie cywilizacji i nauki ubolewać raczej musimy, że wpływ Kościoła był już tak osłabiony, iż mógł tylko złe łagodzić, ale go usunąć nie zdołał.

U nas w Polsce miasta, rządzące się prawem magdeburskiem, naśladowały zrazu przy obsadzaniu posad kierowników szkół przykład miast Rzeszy; ale już z początkiem XIV wieku biskupi dopomnieli się o prawa Kościoła. Ponieważ zaś nie wiał u nas z góry w tym okresie prąd cesaropapizmu, nie wzburzały umysłów herezye, — przeto nie doszło między uczniami do takiego rozprzężenia obyczajów, jak na Zachodzie. To też zarządzenia synodów milczą u nas o tej sprawie, a natomiast bronią gorliwie polskiego charakteru szkół przeciw naciskowi języka niemieckiego, na który obojętnie patrzyli panujący i szlachta². Na ożywienie szkolnictwa wpłynęło znacznie założenie uniwersytetu w Krakowie.

¹ List do studentów w kol. Nawarry. L. c. I. f. 108.

² I tak synod Łęczycki w r. 1257 (§. 5) zabrania rządcom jakichkolwiek kościołów oddawać kierownictwo szkół Niemcom, chyba że są zdolni wykładać w języku polskim. Przypominają to synody: kamieński około r. 1271 (§§. 1, 2, 3), Łęczycki w r. 1285 (§§. 4, 7, 17, 18, 19, 20, 26. [Kod. wielk. I. 322, 392, 510—514]), statut biskupa Jakóba Świnki z r.

Nie dziwnego, że zjawienie się humanizmu w warunkach na Zachodzie panujących, musiało obudzić wielkie nadzieje i znaleźć chętne poparcie u dostojników Kościoła i mężów głębiej patrzących. Nie pochwałał jednak Kościół kierunku wyłącznie formalistycznego, jaki się u niektórych humanistów pokazał; chciał raczej przy pomocy humanizmu odrodzić dawne nauki. Ważną rolę co do rozszerzenia zdrowego humanizmu w szkołach odegrało na Północy stowarzyszenie Gerhardytów, które też znacznie przyczyniło się do podniesienia szkół średnich.

Z kolei wypada się przypatrzeć wychowaniu ludowemu. Lud, chociaż naginany pod coraz cięższe jarzmo poddaństwa, był jednak broniony przez wpływ Kościoła, który w tym razie znajdował poparcie książąt. I dlatego to potrafił stan wieśniaczy utrzymać jeszcze wiele dawnych swobód, i stał nierównie wyżej pod względem intelektualnym, niż jego potomkowie w XVI i XVII wieku. Herezye niszczyły wprawdzie jego dobrobyt i podkopywały stronę moralną, ale z drugiej strony przyczyniały się do większego jeszcze ożywienia intelektualnego. Stosunkowo do oświaty ludu i mieszczan, rycerstwo pograżyło się w ciemnocie, i jak świadczą narzekania pedagogów humanistycznych, gardziło sztuką pisania i t. p. Kościół nie szczędził żadnych wysiłków, aby poziom oświaty ludowej utrzymywać i podnosić, jakoteż stronę moralną oczyszczać i uszlachetniać. W tym drugim celu zwracał Kościół pilną uwagę na religijne pouczanie ludu. Według poleceń soborów, duszpasterz musiał w każdą niedzielę i święto oprócz kazania odbywać z dziećmi katechizacye; nadto obowiązkiem było duszpasterzy przynajmniej raz w rok (około czasu wielkanocnego) odwiedzać domy wszystkich parafian, by przez pouczanie i inne

1313 względem szkół katedralnych i klasztornych, oraz synod prowincjonalny uniejowski w r. 1326, który odświeża dawne uchwały i obostrza je karą interdyktu na tych, którzyby obsadzali szkoły cudzoziemcami. Gdyby nie ta czujność i czynność biskupów, może Polska zamieniłaby się w kolonię niemiecką. W miastach, rządzących się prawem polskim, mianował nauczycieli proboszcz, ale też zazwyczaj sam ich opłacał.

stosowne środki utrzymywać chrześcijańskie życie rodzinne nadwątlane przez niektóre herezye. Synody nie zaniedbywały również nawoływać rodziców, a nadto ojców chrzestnych do sumiennego spełniania obowiązku wychowawczego. Pan Bóg wzbudzał nadto co chwila gorliwych kaznodziei, którzy nietylko na lud, ale i na uczonych silny wpływ wywierali. Najwięcej jednak zasługi około wychowania ludowego w XIII i w XIV wieku położyli Franciszkanie i Dominikanie. Ci nietylko przy samych klasztorach zakładali szkoły, ale przebiegając kraj, zaglądali pod każdą niemal strzechę wieśniaczą — tam katechizowali i dawali odpowiednie wskazówki wychowawcze. Zakonnik taki, widząc potrzebę szkółki we wiosce bardziej oddalonej od szkoły parafialnej, osiadał tam na jakiś czas i gorliwie uczył czytać, pisać, rachować i religii, a zwłaszcza poprawiał moralne wady i wychowawcze zboczenia rodziców. Publiczne uczczenie oddaje pracy tych zakonników Durand w aktach soboru wienneńskiego, oraz papież Klemens II. Wpływ zakonów żebrzących był tak iście opatrnościowy, a potężny i rozległy, iż nawet protestancy historycy, opisując te czasy, zwą je epoką szkół franciszkańskich tak, jak poprzednie nazwali epoką szkół benedyktyńskich¹. Liczba szkół parafialnych, zwłaszcza w spokojniejszych okolicach, była wcale pokaźna; a są nawet ślady, że tu i owdzie wykonywano jeszcze przymus szkolny,

¹ Dziwne też wygląda zapatrywanie naszego Łukaszewicza, który (I. str. 8) ośsuwa zakony żebrzące od wszelkiego zajmowania się sprawą oświaty. Wogóle nie brak sprzeczności w dziele tego autora, wywołanych widocznem uprzedzeniem do Kościoła. I tak głosi np., że oprócz Benedyktynów żaden inny zakon w Polsce nie zajmował się wychowaniem młodzieży, a nadto (I. str. 6) zapewnia, że już wkońcu XIII wieku nie było u nas zapewne szkół benedyktyńskich. Według tego, nie byłoby już mowy u nas w XIV wieku o szkołach klasztornych; a przecież tenże sam autor (wprawdzie tylko w uwadze, na str. 8) powtarza za Bandtkiem urywek ze statutu biskupa Jakóba Świnki z r. 1313, mówiący wyraźnie o szkołach klasztornych! Powtarzamy ten urywek w tłumaczeniu: „Nakazujemy nadto celem utrzymania i wyrobienia języka polskiego, aby w szkołach istniejących przy kościołach katedralnych i klasztornych i gdziekolwiekbądź, takich tylko mianowano rektorami, którzy dobrze władają polskim językiem i potrafią chłopcom wykładać autorów w polskim języku“.

dawnemi kapitularzami zalecony, że nie zapomniano o dostatecznem wynagrodzeniu nauczyciela (klechy), a zwłaszcza, że w tych szkołkach wielki kładziono nacisk na stronę wychowawczą. Tak np. synod ołomuniecki w r. 1403 musiał nakazać, aby nie zakładano na przyszłość szkół tam, gdzieby nauczyciel dla braku odpowiedniego dochodu musiał myśleć jeszcze o innem ubocznem zajęciu. Nieraz odstępowano szkołom nawet część dziesięcin. O liczbie szkół parafialnych można sobie wyrobić niejaki sąd z następujących danych: W r. 1378 uczyło w Paryżu przy samych szkołach parafialnych 41 nauczycieli; w r. 1400 było w Kolonii takich szkółek ośm, a we Wrocławiu ośmnaście. Dziejopisarz Palacky na podstawie szczegółowych poszukiwań pisze, że dyecezya praska miała około r. 1400 najmniej 640 szkół! A przecież były dyecezye daleko lepiej uorganizowane. Na tej podstawie podają inni przypuszczalną liczbę ówczesnych szkół ludowych w 63 dyecezyach niemieckich na 50 tysięcy! W Polsce już w r. 1237 przypomina plebanom obowiązek utrzymywania wszędzie szkółek parafialnych Pełka, arcybiskup gnieźnieński.

Jakie były zewnętrzne stosunki wielu szkółek parafialnych, można ocenić z rozporządzenia dla parafii Bigge, zatwierdzonego w r. 1270 przez Engelberta I, arcybiskupa kołńskiego: „Klecha jest obowiązany do ścisłego posłuszeństwa proboszczowi, który ma władzę go zamianować bez mieszania się czyjegokolwiek. Obowiązkiem klechy jest raz na zawsze, jeżeli pasterz inaczej nie zarządzi, uczyć osobiście parafialną działwę czytania i pisania, zrana w lecie od 7, w zimie od 8 do 10 godziny, a popołudniu w lecie od 1 do 3 lub 4, w zimie do 3 godziny, i to w taki sposób, aby nie było nań żadnych zażaleń. W przeciwnym razie, gdyby mimo kilkakrotnych upomnień okazał się niepoprawnym, ma być z urzędu usunięty. Duszpasterz ma zamianować innego, i zaraz oddać mu część dochodów klechy, tak, aby nowy nauczyciel odrazu z nich korzystał. Parafianie nadto mają obowiązek, pod karą dwunastu marek, posyłać swe dzieci do szkoły, aby pogaństwo, tlejące jeszcze w niejednem sercu,

zostało wytepieniem. Nieposłuszni mają oprócz wyznaczonej kary zapłacić jeszcze po 18 szylingów rocznie od każdego dziecka, w domu zatrzymanego (tę opłatę szkolną od każdego dziecka przeznacza się niniejszem nauczycielowi), wyjąwszy, gdyby duszpasterz na podstawie zeznań rodziców usprawiedliwił dzieci dla choroby lub zbyt niedołęznego wieku. Duszpasterz zaś ma niniejszem włożony na się obowiązek, ażeby czuwał pilnie nad uczęszczaniem dzieci i udzielał z metryk potrzebnych wyciągów. Nauczyciel ma także co miesiąc przedłożyć pasterzowi sprawozdanie pisemne z tego, jak się dzieci prowadzą pod względem obyczajów chrześcijańskich, pod względem pisania i czytania, oraz jak postępują z dnia na dzień w bogobojności, ażeby ich wcześniej od złego ustrzedz, a dobre w nich zaszczerpieć. Prawdziwie — czasy, w których tak zwieźle, a tak głęboko sięgające wydawano rozporządzenia, musiały być obeznane ze szkolnictwem ludowym!

Tak względem szkół ludowych, jak zwłaszcza względem szkół miejskich, położyli niespożyte zasługi Gerhardyci, począwszy od drugiej połowy XIV wieku. Właściwe ich miano było: „Bracia życia wspólnego“, lubo ich także zwano Hieronimianami od św. Hieronima, którego obrali swym patronem, lub braćmi szkolnymi, od przedmiotu pracy. Miasto Dewenter w Niderlandach było ich główną siedzibą. Stowarzyszenie to nie było ścisłym zakonem, bo obejmowało zarówno księży jak i świeckich, i nie krępowało uroczystymi ślubami; założonem było na wzór Beguinów i tylu innych pobożnych stowarzyszeń w Kościele. Gerhard Groot († r. 1384 w Dewenter), odbywszy studia w Paryżu, uczył w Kolonii teologii w kierunku mistycznym, co go pobudziło do większej pracy nad własnem uświęceniem i nad uświęcaniem bliźnich. Stał się przeto wędrownym kaznodzieją, i z wielkim skutkiem pracował nad umoralnieniem ludu. Wkońcu jednak, widząc zaniedbanie ubogiej dziatwy, i pragnąc za wzorem Ruysbroeka więcej sam się udoskonalać, założył stowarzyszenie braci w celu uświęcenia się przez wspólne modlitwy i wspólną pracę. Reguła zabraniała

braciom mieć własny majątek lub żebrać; utrzymywać mieli siebie i ubogą dziatwę z pracy rąk własnych, głównie z odpisywania książek. Wnet połączył się Gerhard z Florencyuszem Radewinem, któremu oddał prowadzenie chłopców; sam zaś założył w domu swego ojca przytułek dla ubogich panien, któreby chciały żyć również z prac ręcznych i oddać się nauczaniu dziewcząt. W tej formie zaczęło stowarzyszenie spełniać swe wzniosłe zadanie, i rozszerzyło się szybko w Niderlandach i w całych Niemczech, dotarło do Francji, później i do Chełmna w Prusach zachodnich. Jako mistycy, kładli oni wielką wagę na stronę życia religijnego. Przewodnią ich zasadą było, że „nawet mały zasób wiedzy, skojarzony z pobożnością i czystością serca, więcej pożytku przynosi, niż wysoka umiejętność bez cnoty“, oraz że — według słów Gerharda — „szkodliwem jest wszystko, co nie robi nas lepszymi i nie odwodzi od złego“. Przeciwni też byli dysputom scholastycznym, oraz uganianiu się za stopniami akademickimi i za innemi godnościami, widząc w tem pobudki do zarozumiałości, egoizmu i próżnej chwały. Te to i tym podobne zasady, zebrane przez członka tego stowarzyszenia, Tomasza a Kempisa, w niezrównanem dziełku: „O naśladowaniu Chrystusa“, służą podziśdzień milionom dusz za przewodnie gwiazdy życia. „Nie należy ganić umiejętności — uczy ten autor (I r. 3 n. 4) — ani też wszelkiej prostej znajomości rzeczy, albowiem sama w sobie uważana, dobra jest i od Boga pochodzi; ale nad wszelką umiejętność przekładaj zawsze dobre sumienie i cnotliwy żywot“: więc konsekwentnie karci nieraz czeze i nadymające nauki. Wychowanie moralne i — jako dzielny ku niemu środek — pouczanie w języku ojczystym, były wybitnemi cechami szkół tego stowarzyszenia. Łatwo ocenić, jak wielkie znaczenie miał taki wzór w czasach, kiedy pseudoscholastyka wywracała stosunki, i nie można się dziwić, że wnet Gerhardyeci napotkali z jej strony na silny opór. Uznanie jednak ze strony kilku papieży i soboru konstancyńskiego, poparcie ze strony wielu dostojników Kościoła, dopomogło im do zwalczenia trudności i do szybkiego rozwoju. Sama jednak siła rzeczy i stosunków

odsunęła ich z wolna od szkół ludowych, i oddała im w XV wieku prowadzenie szkół miejskich, gdyż te potrzebowały najpilniej ratunku. Z ich to szkół wyszli owi zaćni uczeni pedagogowie, którzy przekształcili Niemcy w drugiej połowie XV wieku; oni to dali na północy podwaliny do prawdziwego odrodzenia się społeczeństwa w duchu katolickim. Umiejąc należycie korzystać z rozbudzonego na południu kierunku humanistycznego, uczyli ci bracia szkolni języka łacińskiego, następnie i greckiego, w formie, ile możliwości, klasycznej; ulepszyli znacznie metodę nauczania języków, i kładli nacisk na czytanie biblii, Ojców Kościoła i wybornych klasyków pogańskich.

Przy domu, obejmującym dwudziestu braci, była zawsze całkowita szkoła (średnia); oprócz tego zakładano szkoły częściowe o kilku tylko klasach, gdzie też kilku tylko braci mieszkało. Naczelnym kierownikiem domu był rektor (prior, prepozyt). Jemu podlegał *scriptuarius*, który uczył braci i wychowawców czytać i pisać, kierował ich ćwiczeniami literackimi i przeglądał odpisy dzieł. Pomagali mu w dziele wychowawczem *librariani* i mistrz nowicyuszów. W obejściu nie robili najmniejszej różnicy między bogatymi a ubogimi, i starali się uboższymi dostarczać pracy i utrzymania. Kto wie, jak silnie szkoły średnie oddziaływały z jednej strony na uniwersytety, z drugiej zaś na szkoły parafialne, wychowując im nauczycieli, — ten pojmie, ile bracia szkolni przyczynili się do odrodzenia Niemiec, lubo nie w kierunku antykatolickim, jakiby w nich chcieli wmówić protestanci¹. Pozostałe dzieła Gerharda i innych braci

¹ Unikając polemiki, sprostowaliśmy w pozytywny sposób już niejedno mylne zapatrywanie, wyrażone w artykule *Museum* p. t.: „Geneza pedagogii“, wynikające niezawodnie z nieznanomości istoty i rozwoju scholastyki i mistyki, tudzież z jednostronnego pojmowania humanizmu. Z okazji Gerhardtów jednak wypada przytoczyć choć małą próbkę. I tak artykuł wspomniany zrobił Gerhardtów przedstawicielami chorobliwego mistycyzmu, polegającego na subiektywizmie; a mówiąc o Gersonie, jako ich obrońcy, tem samem i jego pasował na marzyciela. Tymczasem postępowanie i dzieła Gerhardtów dowodzą, że byli oni zawsze wiernymi i gorliwymi synami Kościoła; Gerson zaś w dziele swem o mistyce (l. c. III. 335 — 347), wyraźnie potępia Beghardów i Turelupinów za subiektywizm, a w dziele o badaniu nauk (l. c. I. 103 — 106)

szkolnych, oraz czyny ich dzielnych wychowawców w drugiej połowie XV wieku, są najlepszą i niezwalczoną rehabilitacją wobec takich zakusów.

Nie można także pominąć całkiem wychowania rycerskiego. W pierwszej połowie średniowiecza stało ono na stopie daleko wyższej, gdyż rozpoczynało się zwyczajnie po ukończeniu *trivium*. Na tem właściwa nauka już się kończyła, a zaczynało się kształcenie w t. zw. siedmiu *probitates*, t. j. w jeźdźeniu konno, pływaniu, strzelaniu z łuku, szermierce, polowaniu (z sokołami), w grze w szachy i wierszowaniu. W drugiej połowie średniowiecza chłopiec od roku siódmego dawany był zazwyczaj na obcy dwór rycerski lub magnacki, i tam do roku czternastego pełnił obowiązki pazia, które go miały nauczyć gładkiego obejścia; następnie zostawał giermkim wśród obrzędów religijnych i ćwiczył się we wspomnianych sztukach rycerskich. Zazwyczaj po siedmiu latach dopiero wiernych i dzielnych posług pasowano go na rycerza przy znaczenia pełnych ceremoniach kościelnych. Wychowanie to co do swej wartości zawisło głównie od dworu, na którym żył wychowaniec, więc oczywiście fałszywe rezultaty wydawać musiało, odkąd stan rycerski uległ zepsuciu; ponieważ jednak zawsze znajdował się tu i owdzie dwór, przestrzegający dawnych nieskażonych obyczajów, przeto w każdym czasie garstka rycerzy odbierała wychowanie staranne — z kąd pochodzi, iż nawet w czasach największego rozstroju, spotykamy między rycerstwem mężów wzniosłego charakteru.

Dalszym czynnikiem, podtrzymującym mimo tylu rozkładowych okoliczności chrześcijańskiego ducha, było wychowanie cechowe w rzemiosłach. Trzeba wyznać, że wychowanie to i jego znaczenie zamało dotąd miano na oku; a przecież

mówi: „Badać trzeba najpierw i przedewszystkiem, czy nauka zgadza się z Pismem św. tak co do treści, jak co do formy. Potwierdza się powagą św. Dyonizego, który mówi: Nie waz się mówić o rzeczach boskich nie ponad to, co nam podano w Piśmie św.“. I wskazuje na przykładzie Rajmunda Lullusa, jak dalece nawet forma nauczania (ciemna i dwuznaczna) może być szkodliwą. — Komentarzy tu nie potrzeba.

wszystko w średniowieczu łączyło się w cechy, wszystko więc wpływowi temu ulegało. Ścisłe i niemal rodzinne pożycie cechowe nie pozwalało majstrom tyranizować czeladzi lub wieść zbyt rozpasanego życia, tembardziej jednak nie dozwalało terminatorom oddawać się zbytkom lub gnuśności. Nie otrzymał listu wyzwolenia i nie mógł temsamem prowadzić rękodziela ani ten, co nie dał dowodów, że nawskróś zna swoje rzemiosło, ani ten, kto budził uzasadnione obawy pod względem życia religijno-moralnego. I w tem to leży wewnętrzna tajemnica świetnego rozwoju miast w średniowieczu. Rzecz pewna, że gdyby nie było obostrzeń cechowych, to przy upadku szkół miejskich, szybko miasta popadłyby w nieład i w zubożenie.

Wypada się wreszcie zastanowić nad wychowaniem dziewcząt. Do siódmego roku życia wychowywały dziewczęta, równie jak chłopcy, matka i niania, wpajając w nich pobożność, jaką miały same. Po siódmym roku oddzielano chłopców rycerskich, posyłając ich na obce dwory. Dziewczę uczyło się dalej pod okiem matki gospodarstwa domowego, przędzenia, tkania i szycia, równocześnie zaś pobierało od kapelana zamkowego naukę religii, czytania i pisania, często naukę obcych języków, zwłaszcza łacińskiego i greckiego, a zarazem naukę śpiewu i gry na cytrze lub na instrumencie rzniętym. Zarazem uczono ułożenia i tonu przyzwoitego. Nieraz, w tym ostatnim zwłaszcza celu, posyłano dziewczęta na dwory magnatów, gdzie często bywała osobna mistrzyni, a czasem i druga do nauk umysłowych. Od dziewicy domagano się głównie łagodnego i uprzejmego obejścia, oraz żeby nie ulegała zmiennym kaprysom, i aby się wystrzegała gadatliwości.

Właściwe szkoły żeńskie zawdzięczają swój początek zakonowi żeńskiemu. Już sam obowiązek odmawiania brewiarza zniewalał zakonnice (najpierw Benedyktynki), że musiały czytać i rozumiały psalterz; reguła przepisywała im nadto regularne czytania duchowne. Ztąd wcześniej nalegały synody na zaprowadzenie w klasztorach żeńskich potrzebnych kursów nauki. Do szkół tych przyjmowano zrazu wszystkie dzieci, nie wyjmując i chłopców, — jak tego ślady spotkaliśmy w cza-

sach Karolingów; ze względu jednak na znaczne przez to nadwątlenie dyscypliny zakonnej rozporządziły synody, by przyjmowano na naukę tylko t. zw. oblatki (*oblatae*), t. j. od dzieciństwa na służbę Bogu przeznaczone dziewczęta. Nie każda jednak oblatka musiała zostać zakonnicą; bo stosownie do prawa kanonicznego¹ wolno jej było w dwunastym roku życia wystąpić z zakonu i wrócić na łono rodziny; wolność tę wystąpienia zawarowali papieże Aleksander III, Klemens V i Celestyn III. Przepisów tych ściśle się trzymał zakon żeński reguły Premonstratensów, inne jednak wnet je ominęły, zakładając na wzór zakonów męskich eksternaty. Przedewszystkiem istniały takie eksternaty u t. zw. Kanoniczek, t. j. w stowarzyszeniach żeńskich, opartych wprowadzić na tle reguły św. Benedykta lub św. Bernarda, ale zarazem więcej się zbliżających ku życiu świeckiemu. Zajęciem ich było zwykle wyszywanie aparatów kościelnych, odpisywanie książek i nauczanie oraz wychowanie młodych dziewcząt. Staranie to jednak rozciągało się głównie na dziewczęta stanu rycerskiego. Kanoniczki utrzymywały obok eksternatów także i pensyonaty. Tak palatyn Konrad, brat Fryderyka Barbarossy, zamienił klasztor kanoników w Neuenburgu przy Heidelbergu na dom Kanoniczek; bo — jak pisze Mutius² — „chciał, aby chłopców uczono i wychowywano w mieście, a zresztą miał także inne klasztory męskie, w których synowie rycerstwa pobierali naukę. Ten dom zaś miał być naukowym zakładem dla szlacheckich dziewcząt, aby je w czystości i bojaźni Bożej wychowywać i usposobić do posłuszeństwa małżeńskiego; bo wszyscy byli przekonani, że nie masz zbawienniejszego urządzenia dla wychowania obojga płci nad zakłady klasztorne tego rodzaju, które szczególnie dla dziewcząt wielkie przynoszą pożytki, bo ochraniają czystość dziewiczą, dają mężom wierne żony, kształcą pobożne matki, i w ten sposób zlewają niezliczone błogosła-

¹ C. 14. X. de regul. et transeunt. III. 81.

² Germ. Chronic. XVIII. p. 160.

wieństwa na przyszłe pokolenia“¹. Uczono tam głównie psalterza i innych ksiąg Pisma św.

Dziewczęta miejskie pobierały naukę bądźto w szkołach katedralnych, bądź w szkołach miejskich, które w jednej miejscowości, jak np. w Esslingen, były mieszane. Stowarzyszenia żeńskie Tercyarek, Elżbietanek, Beguiniek i Gerhardytek uzupełniały skrzętnie pozostałe luki; przy nauczaniu jednak opuszczały języki klasyczne. Za ich wzorem poczęły się imać prowadzenia szkół żeńskich także niewiasty całkiem świeckie. I tak w r. 1290 powstała w Moguncyi szkoła dziewcząt, założona przez dwie córki Jana Geisenheima. Znalezione też dowody, że szkoła taka istniała w Spirze około połowy XIV wieku. W Paryżu było w r. 1380 już dwadzieścia szkół żeńskich. Nieraz o istnieniu takich szkół dowiadujemy się tylko z narzekań i skarg nauczycieli świeckich. Tak np. we Frankfurcie żalał się w r. 1364 na „Lizę“, a w r. 1440 na „Annę Kontzen Griffen“, które uczą dzieci, a tem samem odbierają im dochody. W Überlingen szkołka żeńska przyjmowała i chłopców na naukę. Na skargę nauczyciela miejskiej szkoły łacińskiej w r. 1456 polecono tam, aby nauczycielka za każdego chłopca, którego przyjmie, wypłaciła rektorowi chłopców trzy szylingi odszkodowania. Toż wiadomo, że w r. 1380 przyjechał w Paryżu do skutku zjazd powszechny, na który przybyło wiele nauczycielek świeckich. Są także ślady, że były i nauczycielki wędrownne.

Dziewczęta wiejskie miały możliwość pouczenia się w szkołach parafialnych, które wogóle były mieszane. Zresztą wychowanie ze strony matki i pod okiem duszpasterza, wystarczało do wyrobienia w nich cnót chrześcijańskich.

Ważnym czynnikiem w wychowaniu średniowiecznym były nadto zabawy dziecięce, o których mówią szczegółowo teoretycy ówczesnej pedagogii. Niepospolite znaczenie miały ró-

¹ Więcej materyału zob. w Kösterusa: *Frauenbildung im Mittelalter*. Würzburg 1877, str. 14 etc. Ciekawe są jego obrazki ówczesnego wykształcenia niewiast, przedstawione na tle poematów średniowiecznych.

wnieź święta szkolne, jak uroczystość św. Grzegorza (12 marca), św. Jędrzeja Apostoła, św. Mikołaja, Młodzianków i t. p. Ostatnie polegało na naśladowaniu służby Bożej i hierarchii. Dało ono wnet okazję do nadużyć; dlatego też nadużycia te wytykały i zakazywały synody, jak np. prowincjonalny w Salzburgu w r. 1274, i sobór powszechny Bazylejski w r. 1435. Były także uroczystości szkolne czysto świeckiej natury, jak powitanie wiosny, t. j. uroczystość 1 maja i t. p. Żywe także zainteresowanie budziły u ludu przedstawienia dramatyczne, czyli tak zwane dramaty szkolne, czerpiące materyał bądź z biblij, bądź z historii powszechnej. Tak powstały „Jaselka“, dramat o męce Pańskiej, gry wielkanocne, treny Maryi, historia o Józefie egipskim i t. p. Wszystko to razem wpływało na ścisłą łączność szkoły z domem, na uzmysłowienie dzieciom prawd najważniejszych, i na zachęcenie do dalszej nauki.

Przy nauczaniu religii wielce były pomocne biblie obrazowe, których wiele pojawiło się w tych czasach. Uczeń spotykał biblię w obrazach nie tylko w szkole, ale i w domach, a zwłaszcza w kościele. W obrazach przedstawiano na ścianach kościoła cały Skład apostolski, dekalog, modlitwę Pańską, Pozdrowienie anielskie, Sakramenta śś., grzechy główne, uczynki miłosierne, litanie loretańską i t. p. tak, iż lud zmuszonym był niejako znać prawdy religii.

Podręczniki w szkołach średnich były w tym okresie zrazu te same, jak w pierwszej połowie średniowiecza, lubo nie brakło i nowych, jak również nie brakło przerabian według innych metodycznych sposobów. Trudno wszystkie wymienić; podamy główne. I tak bardzo była w użyciu gramatyka łacińska Diomedesa, oparta na czytaniu, opowiadaniu, poprawianiu i wydawaniu sądów, — grecka Arystarcha, *Satyricon* Marcyana Capelli, *De universo* Rhabana Maura. Aby ułatwić pamiętanie, zaczęto w pojedynczych szkołach, następnie i w podręcznikach szkolnych zestawiać prawidła gramatyczne w wiersze, i robić inne jeszcze zmiany metodyczne; przyczem jednak mniej zważano na czystość języka. Tak powstały *Graecismus* Eberharda z Bethury w r. 1212, oraz liczne *doctrinalia*, między

którymi najgłośniejszem było *doctrinale* Franciszkanina Aleksandra de Villedieu w XIII wieku, dzieło używane i w Polsce obok gramatyki Piotra Helie. Czytywano zarazem dzieła Seneki, Terencyusza i Pliniusza, oraz dawniej używanych klasyków. Pseudoscholastyka — jak się żali Gerson i późniejsi humaniści — pousuwała w XIV i w XV wieku te podręczniki wszędzie, gdzie tylko rozpostarła wyłączne swe panowanie, a na ich miejsce wprowadziła podręczniki nowe, barbarzyńską łaciną pisane, i w dyalektyce się gubiące. Nowe podręczniki, równie jak cały kierunek pseudoscholastyczny, wpłynęły wiele na obniżenie poziomu nauki, chociaż nigdy na szczęście nie zapanowały na całym świecie. Owszem — są niejedne ślady, że Donat i t. p. utrzymywał się bez przerwy w wielu szkołach. Powagę pseudoscholastycznych podręczników odrzucali w XIV wieku mistycy, którzy w swych szkołach — jak wiemy — zupełnie odrębnego planu, więc i odrębnych podręczników się trzymali; wreszcie zaś położyli jej koniec humaniści, bo wprost przeciw niej wystąpili, a natomiast zalecali powrót do Donata, Pryscyana, Diomedesa, Capelli i t. p. dawniejszych podręczników, pomnażając ich liczbę nowymi dziełami, pisanymi poprawnym językiem. I właśnie z dzieł humanistów dowiadujemy się o tytułach i autorach podręczników pseudoscholastycznych. Były to: Ebrardon, Catholicon, Brachylogus, Hugutio, Papias, Joannes de Garlandia, Piotr Hiszpan, Wilhelm Hentisbar i t. p. I nie tyle zrazu podnieśli humaniści poziom nauki przez to, że pisali nowe podręczniki, — bo niektóre z nich, jak np. główny podręcznik Wawszynca Valli, były miernotami — jak raczej przez to, że usunęli pseudoscholastyczne, a przywrócili dawne dzieła. Do czytania zalecali humaniści tak wyborowych klasyków, jak zwłaszcza (i to w szerokich rozmiarach) dzieła Ojców Kościoła.

Widać tedy, że jeżeli niefortunne stosunki społeczne i naukowe spowodowały w tym i owym kierunku obniżenie poziomu wychowania i szkolnictwa, to nie zdołały zniszczyć dobrych zasiewów, a wywołały liczny stan świeckich nauczycieli, chociaż kosztem dobrego nauczania i wychowania; zarazem wyro-

dziły się z powodu tych stosunków liczne i niepłonne usiłowania w celu odrodzenia pedagogii. Duch chrześcijański, z politycznego życia już wypierany, przenikał jeszcze głęboko warstwy społeczne, chronił je przed zupełnym rozstrojem, a nawet wydał niejedne cudne kwiaty. Nie mówiąc już o Świętych Kościoła, których w tym czasie jakby dla podtrzymania społeczeństwa dał Bóg więcej, niż w poprzednich wiekach; mamy tu na myśli wspaniałe pomniki budownictwa i malarstwa, i ów renesans, budzący się i rozwijający w każdym kierunku. Pedagogia i dydaktyka zubożyła się w tym czasie wielkiem doświadczeniem; poznano wadliwość formalizmu tak myślnego (dyalektycznego), jak słownego (humanistycznego), — doznano szkodliwych skutków oddalania się od wpływu Kościoła, czyto w stosunkach zewnętrznych (obsadzanie nauczycieli), czy tem bardziej wewnętrznych (zbaczanie treścią ku pogaństwu) — i przekonano się, że pod ożywcem technieniem Kościoła te dwie umiejętności mogą się łatwo (w humanizmie chrześcijańskim) i swobodnie rozwijać. Nie było potrzeby nawet zewnętrznego poparcia ze strony państwa; wystarczało, gdy stosunki państwowe nie stawiały niezwalczonych trudności; zaraz bowiem podnosiły głowę dawne lub nowe stowarzyszenia religijne tudzież wybitne osobistości, i odradzali stosunki wychowawcze. Owszem — nie brakło danych, że np. uniwersytetom zaszkodzi zbytńia opieka państwa, o ile mianowicie idea absolutyzmu zaczęła się zlewać w jedno z ideą państwową i o ile konsekwentnie zaczęto w naukowych instytucjach upatrywać nie środki do uszczęśliwienia doczesnego i wiecznego indywiduów, nie środki także do uszczęśliwienia całej ludzkości, lecz jedynie środki do podniesienia potęgi i znaczenia państwa czyli jego władzy.

Ks. W. Gadowski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pamiętnik chłopca. Napisał *Edmund Amicis*. Przełożyła *Marya Obrąpalska*. Warszawa. Nakładem Paprockiego. 1890.

Minęły czasy, w których „Rozrywki dla dzieci“ panny Tańskiej lub powiastki kanonika Schmida, stanowiły cały niemal zapas książek dla młodego wieku. Obecnie cała już osobna powstała literatura, na niwie bodaj najtrudniejszej do odpowiedniego uprawiania, choćby ze względu na odpowiedzialność ztąd płynącą. Wszakże już nasz Skarga powtarzał, iż umysł dziecięcy jest białą kartą, na której co napiszesz, już się nigdy w późniejszym nie zatrze wieku. Wielkiej potrzeba baczności, aby wśród mnóstwa plonu, na wyłączny użytek dziatwy przeznaczonego, nie dopuścić plewów. Tymczasem pod tym względem największa u nas panuje nieostrożność. Polecenie księgarskie, reklama autorska, czasem nawet tytuł wystarcza nieopatrzny nabywcom książek, niby to dla dzieci przeznaczonych. Zналиśmy przed laty pocziwą babunię, która gwiazdkowe dla wnuków dobierając dary, kupiła Droz'a: *Monsieur, Madame et Bébé*, w mniemaniu, iż to musi wchodzić w zakres literatury dziecięcej, skoro *bébé* na tytule wspomniane. Ale nawet mniej naiwni mogą się dać złapać na niewłaściwe publikacye. Studium nad literaturą dla użytku młodego wieku przeznaczoną, mogłoby mieć dziś niepowszednią doniosłość i znaczenie. Cóż to np. za objaw wymowny, to wykluczenie pierwiastku religijnego i samegoż Imienia Boga z większej części książek dla dzieci pisanych. Bezwyznaniowość nie samą tylko

ogarnia szkołę, lecz wkracza i w dziedzinę kształcącego młode umysły piśmiennictwa. Prąd ten pogański mniej nierównie cechuje domorodne nasze płody i pióra, ile raczej obce lub przyswajane nam z zagranicy. Nieostrożność nabywców i czytelników dosięga często i tłumaczów, którym byłoby tak łatwo zmodyfikować pierwowzór, ku zdrowszemu pożytkowi naszej dziatwy.

Z tem wrażeniem zamknęliśmy świeżo „Pamiętnik chłopca“ Edmunda de Amicis. Sympatyczny autor niezrównanych opisów Holandyi, Konstantynopola i innych miejscowości, dziś zwiedza kraj lat dziecinnych, i niby w zapiskach, w wspomnieniach chłopczyka, w wypracowaniach szkolnych, szkolne też wznawia pamiątki, z tym cza-rem niezrównanym, który przylega do dzieł ręki i myśli włoskiej, do italskiego ducha i mowy. Nie zniknął ów wdziek nawet w niezbyt zręcznem tłumaczeniu pani Obrąpalskiej; raz po raz tryska ślicznem słowem, wypowiedzianem z właściwą południowcom gracyą. Wspomnijmy np. ustęp o ubogich, z zachętą, aby im dobrze czynić: „Ubodzy lubią jałmużnę dzieci, bo ich ona nie upokarza; gdyż dzieci, które potrzebują pomocy od wszystkich, do nich są podobne. Jałmużna dorosłego człowieka jest miłosiernym uczynkiem; lecz dziecka jałmużna nietylko jest uczynkiem miłosiernym, ale i pieszczotą. Rozumiesz? To tak, jakby z jego ręki padł pieniądz i kwiatek“. Takich rysów jest tu pełno; a przytem tyle szlachetnych przykładów, wzniosłych podniet, tyle miłej prostoty w opowiadaniu, tak bezmierna wdzięczność dla szkoły, dla nauczycieli, że dziecko tylko skorzystać może, rozczytując się w tych szkolnych i koleżeńskich przypomnieniach. Przytem płomień patriotyzmu ogrzewa te karty, często wybuchając jakoby wulkanem uczucia, żeby tylko wspomnieć istne hymny, zatytułowane: „Miłość kraju“ oraz „Italia“. Kiedy się jeszcze pomyśli, gdzie to było tłumaczone i drukowane, potęguje się odebrane wrażenie i rzewne wzruszenie czytelnika, bo trudno o wspa-nialsze i serdeczniejsze określenie przywiązania do ojczyzny.

Ale właśnie tu znajduje się szkopol, który tak łatwo mógł być przez polskiego tłumacza ominięty. Z kolei znachodzimy dytyramby na cześć Wiktora Emanuela, Cavoura, Garibaldiego wojsk, które pierwsze dokonały zamachu na Rzym, wchodząc przez Porta Pia — słowem, wszystkich główniejszych przeciwników papieżstwa i Kościoła. Opuszczenie owych ustępów żadnego uszczerbku całości by nie przyniosło; a nie mniemamy, ażeby do wychowania i rozwijania dziatwy naszej polskiej i katolickiej, koniecznym warunkiem było idealizowa-

nie fanatyczne wrogów Kościoła. Niebezpieczny to przykład i precedens. Dzieci mają swą nieubłaganą logikę i konsekwencję myśli. Czytając o powodzeniach Italskiego zjednoczenia, dokonanego przez ludzi, którzy zerwali z Rzymem i na Rzym się targnęli, gotowe pomyśleć, że i u nas wraz z zerwaniem z tradycją katolicką, z chrześcijańską przeszłością, z wiarą i zobowiązaniem przodków, lepsze gotowe zaświtać czasy. Zresztą sam kult wątpliwych bohaterów już jest wysoko niemoralnym, a fałszywi prorocy w historii przyczyniają się do obalamucenia i obniżenia zmysłu sprawiedliwości, prawa i prawdy.

Nie jedyna to zresztą niebezpieczna strona książki Amicisa. Spotykamy się w niej coraz więcej z cnotą i zasługą czysto świecką, bez żadnego nadprzyrodzonego czynnika, z wykreślaniem zakonu Bożego, który dla autora przestał istnieć. Wspomina on wprawdzie niekiedy potrzebę modlitwy, nieśmiertelność duszy i zaświat grobowy, — ale czyni to niejasno, nieśmiało; jestci tam jeszcze u niego zapas religijności, zrosłej z duszą włoską, — niema już religii, wytrąconej z politycznego programu. Spotkać się można z ustępami poprostu zdumiewającymi w książce dla dzieci przeznaczonej. I tak np. dzień zaduszny, pamięci zmarłych poświęcony, rzewną tu wywołuje kartkę, zachęcającą dzieci do modlenia się za tych, którzy dla nich umarli. I oto między imionami tych nauczycieli-lekarzy, rodziców, technących poświęceniem, znajduje się jeszcze wzmianka rzekomo bohaterskiego czynu tych ojców, „którzy nożem w serce się pchnęli z rozpacz, że ich dzieci są w nędzy, i kobiet, które się w wodę rzuciły, dlatego iż dziecko straciły. Kwiatów tyle nie wydaje ziemia, ilebyśmy powinni złożyć na ich grobach“. Wytykamy tego rodzaju zboczenia, żeby wskazać, jak łatwem zadaniem tłumacza było to wszystko usunąć, i czyste tylko ziarno, w wielkiej tu obfitości złożone, polskiej oddać dziatwie. Ostrzeżenie to puszczamy dziś w świat, zwracając je zarazem do naszej publiczności i do tłumacza, tem skwapliwiej, iż p. Obrąpalska zapowiada nam dalszy ciąg „Pamiętników chłopca“, napisany p. t. „Głowa“ przez Pawła Mante-gazza, cieszącego się niebezpieczniejszą od Amicisa sławą literacką.

M.

Dla Głodnych. Pismo zbiorowe z utworów kobiecego pióra, wydane staraniem „Towarzystwa Oszczędności Kobiet“. Lwów. 1890.

Przeszło sto znanych i mniej znanych autorek z wszystkich dzielnic Polski, i daleko z poza jej granic, złożyło się na piękny ten

bukiet, który zmienić się ma — a spodziewamy się, że już w znacznej części się zmienił — w kawałek chleba „dla głodnych“. Do szlachetnego, chrześcijańskiego celu pięknie się dostrajają „dary myśli i uczucia w artystyczne i literackie kształty przybrane“. Naturalnie nie sposób wspominać osobno o wszystkich zamieszczonych tu utworach i rzewnych powiastkach, głębszą nieraz myśl wzbudzających urywkach, o ładnych, nieraz przeslicznych wierszykach (wymienimy dla przykładu wierszyk wygnanki z Fuldy „Polska mowa“, i wierszyk Deotymy): dość powiedzieć, — a dla tego rodzaju zbiorowego pisma nie mała to pochwała — że przeglądając je starannie, nie natrafiliśmy ani jednego utworu, przeciw któremu z jakiegobądź względu zaprotestowaćby było obowiązkiem. „Towarzystwo Oszczędności Kobiet“, za którego inicjatywą i wytrwałem staraniem dzieło to do skutku przyszło, może go sobie powinszować; z rzuconego nasienia zrodzi się — zrodzić się może i powinno — ziarno nie tylko dla głodnych ciałem, ale i dla niejednego głodnego duchem.

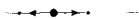
J.

Słowo o Bohdanie Zaleskim. Przez *Teofila Lenartowicza*. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1889.

Ciekawa i ucząca to rzecz, studyum o poecie przez poetę skreślone, tem bardziej, gdy biograf i jego bohater „dwaj rodzeni, dwaj rówieśni“ — jak pisał Bohdan Zaleski w wierszu przesłanym Lenartowiczowi. Nie jest też książeczka niniejsza biografią w zwykłym, prozaicznym tego słowa znaczeniu; czuć, że pomnik ten stawiał poeta poecie, kreśląc życie przyjaciela na tle jego pieśni, dzieląc je na epoki rozgraniczone nie zewnętrznymi wypadkami, lecz utworami ducha. Szczególnie ważnemi i pięknemi są ustępy o wpływie Zaleskiego na ogólną słowiańską poezję; o jego poglądach na stosunek ludu do szlachty; o wierności, żadnymi względami nie naruszonej, względem Kościoła — o wierności i miłości dla Krzyża, tej „chorągwi polskiej, masztu okrętu naszego, słupu drożnego i słupu stepowego“. Obok Bohdana, druh jego po lutni okazuje nam jakby w półcieniu przesliczną, ascetyczną postać Józefa Zaleskiego, który „i na chłodzie i głodzie służył ojczyźnie i Panu“; a był poecie prawdziwie starszym bratem: „piastował jego dzieci, zasilał w potrzebach, utrzymywał w wierze, modlitwą niepoetyczną a najczystszej wiary budował i umierać uczył“. Parę mniej dokładnych zdań i wyrażeń w pięknym tym szkicu — jak np., że iskrę twórczą, geniusz, katolik „laską“ nazywa

(str. 2) — złożyć można i należy wyłącznie na karb wolności poetycznej, która zresztą wogóle w właściwych trzymana jest szrankach, a pięknej całości w niczem ujmę nie przynosi.

L.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Origines du culte chrétien. Étude sur la liturgie latine avant Charlemagne. Par l'abbé L. Duchesne, membre de l'Institut. Paris, Thorin 1889.

Ostatnie to dzieło pierwszego dziś na Zachodzie badacza dzieiów kościelnych nosi, dwa różne tytuły: „Początki liturgii chrześcijańskiej“ i „Studjum o liturgii łacińskiej w epoce przedkarolingskiej“. Pierwszy, wiele obiecujący, jest niewłaściwym; na okładce książki znalazł się dzięki jedynie życzeniu wydawcy, który w własnym, dobrane zrozumianym interesie, skłonił słynnego historyka do ogłoszenia drukiem kilkuletnich jego wykładów w instytucie katolickim paryskim. Podobny wypadek na korzyść nauki zdarzył się w Wiedniu przeszłego również roku, z innej atoli przyczyny: na usilne prośby uczniów wydał Laurin część swoich skryptów: „Introdukcyę do prawa kanonicznego z dodatkiem wstępu do prawa cywilnego“. Życzyłoby sobie należało, by i u nas obudziło się w słuchaczach i czytających pragnienie tego rodzaju niespodzianek.

Wszelkie pochwały o powyższem dziele byłyby zbyteczne; za jego wartość ręczy pióro wydawcy *Libri Pontificalis*. Z drugiej strony sam autor nie przecenia swej pracy w przedmiocie tak rozległym, a zarazem jeszcze przed półtora wiekiem przez Mabillona¹, Muratori²ego, prócz wielu innych, dostatecznie wyzyskanym. Niniejsza książka zwraca się zarówno do czytelnika, nieobznajmionego z tem źródłem historyi kościelnej, jak i do tych, którym brak czasu lub chęci nie pozwala zaglądać do olbrzymich dzieł XVIII w. Lecz i liturgista z zawodu przyjmie ją z wdzięcznością, znajdując w niej

¹ W *Musaeum Italicum*, t. II. ap. Mig. P. L. 78 i *De liturgia gallicana* l. c. t. 72.

² *Liturgia romana cetus* 1748.

zwięzłe, a wytworne co do formy, pod względem zaś opracowania krytyczne i źródłowe — według manuskryptów biblioteki paryskiej — przedstawienie rozwoju liturgii łacińskiej w epoce merowingkiej.

Wogóle przedmiotem badań Duchesna nie są wcale początki liturgii chrześcijańskiej. Dotyka ich zaledwie w rozdziale II: „Msza na Wschodzie“, — gdzie obok najstarszych pomników św. Klemensa i Justyna, załączone formuły „Nauki 12 Apostolów“, zdaniem autora z połowy II w., czynią wrażenie pewnej anomalii czy wyjątku w stylu i rycie (p. 51 — 53). Przyjmując jednak hipotezę Funka i przeważnej części uczonych, że czas powstania Didache przypada na ostatni dziesiętek pierwszego stulecia, zniknąć musi tem samem ów kontrast niezwykle, jaki nasz autor spostrzega między św. Klemensem i Justynem a Didache. Zresztą pamiętać należy, że jej ojczyzną jest Wschód, najprawdopodobniej Syrya lub Palestyna.

Z ustępu tego podnieść trzeba następujące poglądy autora. Niezaprzeczonem jest podobieństwo między ustrojem pierwszych gmin chrześcijańskich a synagogą. Uderza ono szczególnie w obrzędach: liturgia chrześcijańska jest kontynuacją żydowskiej — nie owej mojszowej w Pentateuchu przechowanej i narodowej, której centrum była świątynia jerozolimska, lecz późniejszej, istniejącej w rozprószonych zborach Palestyny. Kościół przyjął *en bloc* (p. 47) całą służbę bożą Synagogi, i dodał jeszcze do niej jeden lub dwa nowe elementy, które są jego wyłączną własnością: Wieczerzę Pańską (liturgia to Chrystusowa, wiecznie-trwała) — i ćwiczenia pobożne (to prorocy, a ich obecność i natchnienie, to jakoby liturgia Ducha św., tymczasowa, w I tylko wieku istniejąca)¹. Początkową jedność obrzędów z biegiem drugiego i trzeciego stulecia przyozdabiać, rozszerzać i zmieniać poczęły zwyczaje miejscowe; zwyczaj przechodził w ryt, ten zaś rozszerzał się w ceremoniał mniej lub więcej skomplikowany. Już w III wieku trzy różne istnieją zwyczaje: rzymski, aleksandryjski i antyochański — *facies non omnibus una, nec diversa tamen*. Ze stolicy metropolitalnej szedł obrzęd na prowincję; w ten sposób prowincye kościelne stają się zarazem prowincjami liturgicznymi. Dlatego też, odpowiednio do ówczesnej organizacji Kościoła na patryarchaty, spotykamy w IV w. 4 główne typy znanych nam dzisiaj liturgij: dwa wschodnie i dwa zachodnie. Do pierwszych należą: syryjski św. Jakóba, obejmujący patryarchat an-

¹ cfr. I. Cor. XIV i Doctr. Apost., X sqq.

tyocheński i jerozolimski, na którego gruncie wyrosła później liturgia bizantyjska: cezareo-konstantynopolińska św. Bazylego i Chryzostoma (jej odcieniami są: mezopotamiańsko-perska, nestoriańska i armeńska) — i aleksandryjska, tradycyjnie „św. Marka“ zwana. Do zachodnich wliczają się rzymski i gallikański. Te ostatnie dopiero stanowią główne tło studium profesora paryskiego. Ograniczyć się zatem musi na wieki IV—IX w celu rozjaśnienia ojczystej niegdyś liturgii gallikańskiej, z równoczesnem zbadaniem liturgii rzymskiej, która stała się później powszechną na Zachodzie. Treść to następnego rozdziału (III): „Dwa zwyczaje liturgiczne Zachodu łacińskiego“. Po raz pierwszy, mimo licznych a niepoślednich prac niemieckich, doniosłe wyniki badań Duchesna jasno nam tłómaczą pochodzenie liturgii św. biskupów frankońskich: Cezarego z Arles, Germana z Paryża i Grzegorza turoneńskiego, oraz jej stosunek do liturgii rzymskiej, jak również ościennych narodów. Podajemy je tutaj w streszczeniu.

Czemś niezwykajnem jest ów dualizm liturgii zachodniej. O jego istnieniu zaświadcza Innocenty I w początkach V w. Prócz rytu rzymskiego w południowych Włoszech i w Afryce, utrwalił się już naówczas inny ryt, nazwany później gallikańskim, i nie tylko zapanował on w kościołach gallijskich, w Hiszpanii, Brytanii i Irlandyi, lecz rozszerzył się także po całej metropolii medyolańskiej, wciśkając się nawet aż do granic biskupstw suburbikarnych. Trzeba tedy przypuścić identyczność pierwotnej, nie zmodyfikowanej jeszcze na wzór rzymskiej, liturgii ambrozyańskiej z liturgią gallijską, jeżeli — na co się wszyscy zgadzają — liturgia mozarabska nie była odmienną od liturgij, istniejących w Gallii przed Karolem W., w Brytanii zaś przed przybyciem misyj rzymskiej w VII stuleciu.

„Liturgia gallikańska jest liturgią wschodnią, a mianowicie z miasta Efezu przyniesioną w II w. do Gallii przez założycieli kościoła lyońskiego; stąd rozeszła się po całym zaalpejskim zachodzie: jest więc liturgią apostolską, nie rzymską“ (św. Jan, Polikarp, Fotyń, Ireneusz). Tak twierdzą liturgiści angielscy. Zdanie to jednak niesłuszne. Dwa głównie względy przemawiają przeciwko niemu: 1) natura i charakter tejże liturgii, która w tem, co ją od rzymskiej wyróżnia, tak jest skomplikowaną, że oczywiście niejako wskazuje na powstanie z różnorodnych a licznych rytów, w jedną całość złożonych; 2) po nowej organizacyi państwa za Dyoklecjana traci Lyon w IV stuleciu dawne swe znaczenie. Dopiero za Grzegorza VII, biskup lyoński otrzymuje godność prymacyalną jako metropolita *Lugdunensis I*;

przeto też ryt jego nie mógł stać się typem dla reszty zachodnich prowincyj, przejść równocześnie Pireneje i kanał La Manche, z drugiej zaś strony, przebywszy Alpy, dotrzeć nieledwie pod mury samego Rzymu. Nie można również szukać początków liturgii gallikańskiej w Arles; można i należy szukać jej jedynie w Medyolanie.

Dowody autora na stwierdzenie tej hipotezy są przekonywające; poświadczają ją dedykacje kościołów gallijskich pod wezwaniem Świętych medyolańskich. Tylko niezmierny wpływ tej metropolii, a zarazem w IV w. stolicy cesarskiej, mógł rozpowszechnić i utrwalić rozwiniętą już liturgię t. zw. gallikańską.

Jakaż to liturgia? — Niezaprzeczenie wschodnia, aryańska — ta sama co do czasu i pochodzenia, którą znajdujemy w *Constitutiones apost.* Na Zachodzie rozszerzyła się dopiero w połowie IV stulecia. Do Medyolanu przybyła z Auksencyuszem z Kappadocyi, którego na biskupa medyolańskiego (355—374) narzucił Konstancyusz w miejsce wygnanego za wiarę św. Dyonizego; uświęcił zaś ją wielki jego następca, św. Ambroży, który zatem nie sprowadzał nowej, całkowitej reformy lub zmian niepotrzebnych na tem polu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wiele szczegółów rytu medyolańskiego, i to najważniejszych, sięga czasów jego pontyfikatu; lecz że są bezsprzecznie pochodzenia wschodniego, przeto nie mogą być jego dziełem: istniały już poprzednio. Medyolan zatem, Arles, Toledo i Paryż jednej używały liturgii w epoce merowingkiej, w w. V—VIII (względnie VII—XI).

Zachodzi tylko pytanie, jak zapatrywał się Rzym na zachowanie się Medyolanu w tym kierunku? Niebezpieczeństwa nie było żadnego, bo wielkość i znaczenie Medyolanu wkrótce gaśnie i upada; chociaż jego ryt pozostał i rozszerzył się niezmiernie, to przecież w zmienionych już teraz warunkach, rozbicia jedności Kościoła sprowadzić nie zdołał. Niema zresztą śladów, by który z papieży zwalczał wprost lub przeszkadzał rozwojowi nowego obrzędu, wyjąwszy — rzecz naturalna — we własnej metropolii. Nadto ówczesne położenie Stolicy św. i wypadki społeczno-polityczne bynajmniej nie sprzyjały zaprowadzeniu pewnej — że się tak wyrazimy — centralizacyi. Owszem — zlanie się obu liturgij musiało nastąpić samo z czasem, jako konieczne następstwo dowolnego rozwoju liturgii gallikańskiej, dokonywującego się zresztą w najrozmaitszy sposób bez myśli przewodniej i planu, w każdej prowincyi inaczej, w każdym kraju z oso-

bua. Zabrakło mu wspólnego środka i władzy, któraby czuwała nad zbytnią dążnością przejmowania zwyczajów miejscowych.

Nie przyniosły pożądanego skutku w tej sprawie synody prowincjonalne za Merowingów, bo kościół frankoński nie miał stolicy; jego episkopat był bez głowy, a każdy kościół posiadał osobną księgę kanonów i ryt swój własny. Tylko w Hiszpanii liturgia t. zw. teraz wizygocka, uregulowana na concyliach toleańskich, uchroniła się przed wczesnym upadkiem i przetrwała aż do czasów Grzegorza VII. W Anglii zaprowadzenie obrzędu rzymskiego udało się dopiero Teodorowi, słynnemu z Tarsu w Cycylii mnichowi, arcybiskupowi w Cantorbery (około 668 r.). Niedługo potem dokonała się zmiana na rzecz liturgii rzymskiej na kontynencie, a mianowicie za wpływem św. Bonifacego, apostoła Niemiec i reformatora kościoła frankońskiego. Dekretem wreszcie Pipina Małego została ostatecznie zniesiona liturgia gallikańska.

Interwencya Rzymu w reformie liturgicznej nie była samodzielnie podjętą, ani też bardzo ożywioną. Nie niepokoił się bowiem papież tą odmiennością obrządków, nie tak znowu wiele różniących się między sobą; z drugiej jednak strony zapytywani nieraz (już od V w.) przez biskupów galijskich w zawyłych trudnościach liturgii narodowej, odpowiadali przesyłką starodawnych swoich własnych przepisów, które stawały się odtąd obowiązującą normą w danej kwestyi. Zaczem kombinacya obu obrządków, później fuzya, zrazu powolna, okazała się nieodzowną: aż ryt rzymski otrzymał stanowczą przewagę i dawniejszy w formie jego pierwotnej na zawsze z użycia usunął. Współczesne źródła stwierdzają wymownie ten proces. Atoli reforma Karolingów poszła jeszcze dalej. Jak przedtem liturgia gallikańska pod wpływem rzymskiej uległa przeobrażeniu, tak teraz z kolei rzymska, przyjąwszy wiele pierwiastków dawniejszej rywalki, pokostem gallikańskiej narzucona, rozeszła się z cesarskiej kaplicy najpierw po całym państwie frankońskim, później zaś poza jego granicami do tego stopnia, że w samym nawet Rzymie przystęp znalazła i pierwotną, najstarszą liturgię pokonała. Stało się to w XI w. Liturgia Alkuina, Amalariusza i t. p. bez wątpienia jest liturgią rzymską, lecz już zreformowaną, odmienną od dawniejszej, z której zaledwie jeden egzemplarz się przechował. Jest nim *Sacramentarium leoninum*. Natomiast dzisiejszy ryt medyolański, „liturgia św. Ambrożego“, do rzymskiego bardzo podobny, zawdzięcza zachowanie swoje jedynie te okoliczności, że go nie dosięgła reforma karolingska (Pipina, Ka-

rola W. i Ludwika Pobożnego). Imię wielkiego biskupa ochroniło tradycją przypisane mu dzieło przed niechybną niwelacją zaalpejską.

Następne dwa rozdziały (IV i V) poświęca autor analizie pomników obu liturgij; w 11 ostatnich — większa to połowa dzieła — przechodzi czynności poszczególne, które wchodzą w zakres służby bożej, wraz z rzeczami do niej należącymi, i innych funkcij liturgicznych: a więc Mszę św. w obu obrządkach, rok kościelny, sakrament chrztu, święcenia, szaty kapłańskie, poświęcenie kościołów, obłóczyny, obrzęd ślubny, rekonyliację pokutników, wreszcie modlitwy kapłańskie, względnie zakonne.

Niepodobna w streszczeniu, choćby najzwężlejszem, zaznajomić czytelnika z rezultatami wymienionych tytułów; zaznaczyć tylko należy nowe na tem polu twierdzenia autora. Wyjmujemy — zdaniem naszym — najważniejsze. Sakramentarz gregoryański nie jest niczem więcej, jak tylko formularzem papieskim, i nie pochodzi, jako dzieło, od Grzegorza W., lecz dopiero z czasów Hadryana I (p. 117). Również drugi zbiór liturgii rzymskiej, wcześniejszy rzekomo „sakramentarz gelazyański“ najwcześniej powstać mógł w Rzymie dopiero przy końcu VII w.; w dzisiejszej swej formie zarzucony jest licznemi dodatkami rytu gallikańskiego (p. 122). Trzeci nareszcie, największy t. zw. leoniński jest już wyłącznie pochodzenia rzymskiego, z VII także wieku, lecz jest zbiorem tylko prywatnym, nie urzędową księgą Kościoła rzymskiego, i jako taki, mieści w sobie najrozmaitsze formuły liturgiczne, niekiedy istotnie bardzo stare (p. 137).

Pomija nasz autor na teraz pomniki i bliższe omówienie liturgii ambrozyańskiej — uczyni to może później; zresztą wydać zamierza odnośne studia ks. Cerriani, prefekt biblioteki ambrozyjskiej, wsławiony odszukaniem tamże nowego kodeksu *Libri Diurni* z drugiej połowy IX w., i to w chwili, kiedy Sickel oddał był do druku swoje wydanie *ex unico codice Vaticano*. Nie podaje następnie wszystkich obrzędów liturgicznych, jakie w tym czasie od IV do VIII w. istniały w Kościele. Bada te tylko w ich rozwoju historycznym — nie zaś z punktu widzenia dogmatysty — które mają charakter publiczny t. j. te, które się odbywały wobec zgromadzenia wiernych ze współudziałem kleru z biskupem na czele; pomija zaś wszystkie inne ceremonie, które zachowują ściśle cechę prywatną, jak np. obrzęd pogrzebowy, sakramenta, udzielane *in extremis* i t. p. Obrzęd ślubny pozornym tutaj wyjątkiem: wydaje się bowiem być raczej czynnością familijną, aniżeli aktem kościelnym; lecz ze względu, że się dokonywa

zazwyczaj uroczystości wobec Kościoła, przestaje być wyłącznie sprawą prywatną. Obrzęd ślubny nie jest żadnem prawem kościelnem nakazany; benedykcyja małżeńska była rzeczą zwyczajną, przyzwoitości, aż przeszła w regułę, nie warunkującą jednak ważności dokonanego bez niej danego związku. Ceremoniał małżeński bywał różnym w różnych czasach; dzisiejszy sięga czasów Mikołaja I.

Z niemałym interesem czytać będzie z pewnością każdy niniejszą książkę, pełną oryginalnych poglądów, które wiele nieustalonych pojęć w historii liturgiki utrwalają, lecz więcej jeszcze, za pewnik uznanych, stanowczo obalają. Dotyczy to początkowych rozdziałów, z którymi zaznajomiliśmy czytelnika. Zapewne nauka niemiecka — i to katolicka — stanie w opozycji co do wywodów Francuza, zwłaszcza Duchesna, którego przesadna krytyka we własnym obozie niesłusznie posądza o brak ducha wybitnie katolickiego i o liberalizm naukowy. W samych Niemczech — słuszniej może — jest takim kozłem ofiarnym F. Ks. Kraus, we Włoszech Tosti. Zdaniem naszym, w dziełach Duchesna nie znajduje się nic rażącego, niema ani jednej koncesyi na rzecz niepoprawnego protestantyzmu; owszem, rozdział pierwszy pracy niniejszej o powstaniu gmin, dyecezyj i prowincyj kościelnych (p. 1—14) klasycznym jest zaprzeczeniem owego zarzutu.

Ks. Dr. Fijałk.

Commentarius in Jeremiam Prophetam. Par J. Knabenbauer S. J.
Paris. Lethielleux 1889, pages 607.

Wielkie biblijne dzieło nie tak szybko postępuje, jak się tego spodziewali czytelnicy, a współpracownicy pragnęli. Kulturkampf francuski rozwiązał nagle instytucję braci szkół chrześcijańskich, która druku tego dzieła się podjęła. Dlatego też tom powyższy wyszedł jednocześnie z dwóch odrębnych drukarni.

W przedmowie ojciec Knabenbauer — którego komentarze o Jobie, prorokach mniejszych i Izajaszu omówiliśmy w *Przeglądzie* — małuje współczesne Jeremiaszowi stosunki, i jego usiłowania, aby lud Boży powstrzymać od upadku. Wiele szczegółów dopiero w dalszym ciągu komentarza zostało opisanemi, tutaj zaś krótko tylko o nich znajduje się wzmianka; niejeden zupełnie pomija, powołując się na przedmowę O. Cornelys'a (tom II, str. 359). Natomiast mówi obszernie o treści i podziale pism proroka. Trudność jego posłannictwa i sposób jego wystąpienia już w powołaniu proroka wskazanemi zostały. O po-

dziale rozmaite istnieją zdania; to jest tylko pewnem, że odrębne części nie następują po sobie w porządku chronologicznym. Świadczą o tem daty w niektórych prorocत्वach przytoczone. Rozdział pierwszy służy za przedmowę, a 52 za zakończenie i uzupełnienie wypowiedni. W obecnej swej postaci księga ta ani w tekście hebrajskim, ani w greckim nie podaje prorocत्व w takim porządku, w jakim Jeremiasz je ułożył, co widać jasno z 45, 1. Podług o. Knabenbauera całość dzieli się na sześć części:

- I Rozdz. 2—10 Ogólne kazania pokutne.
- II „ 11—20 Szczególne wypadki, na podstawie których prorok dowodzi przewrotności ludu i potrzeby sądu i kary.
- III „ 21—29 Szczegółowy opis sądu, po którym wyraża
- IV „ 30—33 pewną nadzieję lepszej przyszłości.
- V „ 34—35 Jeremiasz wybiera główne wypadki swego czasu, malując zarazem przewrotne przekonania ludu izraelskiego przed zburzeniem Jerozolimy i po niem.
- VI „ 46—51 Proroctwa dotyczące ludów pogańskich.

Ogromną trudność w opracowaniu Jeremiasza nasuwa różnica między tekstem greckim LXX, a obecnym tekstem hebrajskim. Ojciec Knabenbauer zaznacza tę trudność w swojej przedmowie, przyjmując zarazem dwie hebrajskie recenzje; w komentarzu jednak za żadną z nich stanowczo się nie oświadcza, tylko w poszczególnych wypadkach przytacza powody, dla których uznaje bądź jedną z nich, bądź drugą. Zbytecznem byłoby zalecać to dzieło po tem, co mówiliśmy w *Przeglądzie* o poprzednich tomach co do ich metody i opracowania. Tom obecny, jak poprzedzające, opiera się głównie na Wulgacie, uwzględniając jednak tekst hebrajski i grecki. Uwagi historyczne tutaj umieszczone, tem większą posiadają wartość, że w dawniejszych komentarzach napróżnoby ich szukano, ponieważ badanie pisma klinowego teraz dopiero znaczne zaczęło oddawać usługi katolickim egzegetom. Ustępy mesyaniczne ze szczególnem staraniem zostały wyświetlonymi; ale zarazem każdy ważniejszy ustęp dogmatyczny należycie jest podniesionym. Autor wybornie określił i ocenił całą literaturę. W mniej ważnych szczegółach, jak również pod względem podziału, można wprawdzie innego być zdania, niż o. Knabenbauer, niepodobna mu jednak zaprzeczyć, iż poglądy swoje należycie uzasadnił.

Ks. Aug. Arndt.

Die Weltreiche und das Gottesreich nach den Weissagungen des Propheten Daniel. Von *Dr. F. Düsterwald*. Herder. Freiburg 1890. 2:50 M.

Protestanci napisali już o Danielu wiele komentarzy i rozpraw; w katolickim natomiast obozie nie wiele — począwszy od końca XVII w. — zajmowano się świętą tą księgą. Wprawdzie Bade i Reinke wyluszczyli wyczerpująco zawarte w niej mesyaniczne ustępy, ale dopiero Rehling dał w r. 1876 — choć nie dość obszerne — wytłómaczenie całego Proroka. Dr. Düsterwald obrał sobie za przedmiot swej pracy punkt, stanowiący bezwątpienia myśl przewodnią całej księgi. Jestto przepowiedziana przez Proroka walka między królestwami świata i królestwem Bożem. Autor podaje najprzód krótki wstęp do Daniela, aby następnie scharakteryzować tem obszerniej rozmaite poglądy o królestwach świata, o literaturze o nich traktującej. Podług dra Düsterwalda pierwszym królestwem nie jest — jak chce Urtzig — królestwo Nabuchodonozora, ale wogóle królestwo babilońskie. Drugiem jest według niego królestwo medyjsko-perskie, trzeciem monarchia macedońsko-grecka, czwartem państwo rzymskie, piątym nareszcie jest królestwo Mesjasza. Wywody autora są bardzo gruntowne. Wskazują wybornie słabe strony odrębnych poglądów; rzucają na rzecz niemałe światło, choć do zupełnie pewnych wniosków nie doprowadzają. Autor obeznanym jest, jak rzadko kto z owym przedmiotem; to też każdemu, który chciałby z Danielem gruntownie się zapoznać, można śmiało niniejsze dzieło jak najusilniej polecić.

Ks. Aug. Arndt.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Odrzucenie nowej ustawy „obroczej“. — Ewangelicki kongres socyalny. — Zakaz katolickiego kongresu w Monachium. — Belgijskie wybory. — Rozwój Kościoła w Anglii, Szwecyi i Danii. — List pasterski biskupów austriackich o szkole wyznaniowej.

**ODRZUCENIE
NOWEJ
USTAWY
„OBROCZEJ“.** Łatwo zabrać i skrzywdzić — trudniej oddać i krzywdę naprawić. Rząd pruski słynną, t. zw. „obroczną“ ustawą z 22 kwietnia 1875 r. wstrzymał wypłatę pensyj i prestacyj, należnych licznym katolickim biskupom, proboszczom i instytucyom. Z pieniędzy tych zebrał się w rządowej kasie fundusz, przenoszący 16 milionów marek; a ponieważ — nawet wedle wyjaśnień ministra Falka z r. 1875 — rząd, sekwestrując kościelne te pieniądze, nie poczuwał się jednak do prawa obrócenia ich na jakieś inne cele, niż na te, na które pierwotnie były przeznaczone; ponieważ zasekwestrował je, lecz nie skonfiskował, — obecnie przeto, po usunięciu kilku przynajmniej najsmutniejszych objawów i śladów kulturalnej walki, należało koniecznie „wyrwać i ten pał z ciała“ pruskiego państwa — jak minister Gossler obrazowo a dosadnie się wyraził. Niestety projekt rządowy, przedłożony już pod koniec ostatniej sesyi sejmowej, nikogo nie mógł zadowolnić; sądząc z długich rozpraw i ministeryalnych odpowiedzi, zdawałoby

się niemal, że i samego rządu nie zadawał, a w każdym razie, że dzisiejszemu rządowi wcale o to na seryo nie chodziło, aby podany przez siebie — może z wyższego nakazu, może dla pozornego spełnienia przyjętych gdzieindziej zobowiązań — projekt przeprowadzić. Wedle projektu tego — który w gruncie rzeczy dawał tylko państwu w rękę nową broń przeciwko Kościołowi, — cały zasekwestrowany fundusz przejść miał na własność skarbu państwa, który natomiast zobowiązywał się płacić poszczególnym dyecezyom $3\frac{1}{2}$ procentową rentę od kapitału, należnego każdej z osobna dyecezyi, i to z zastrzeżeniem, że władzom kościelnym nie wolno na nie użyć otrzymanej sumy, bez poprzedniego porozumienia się i aprobaty władzy państwowej.

Już komisya oświadczyła się przeciw głównym zasadom rządowego projektu. W sejmie powstałi przeciw niemu, choć z różnych powodów, równie konserwatywni, jak wolno-konserwatywni, narodowo-liberalni, jak Polacy i członkowie Centrum, Windthorst i członek Centrum Bruel próbowali, czy nie uda się wyratować całej sprawy od chwilowego zatonięcia przez liczne zmiany i poprawki; ale gdy Gossler przeciw tym poprawkom stanowczo wystąpił, nie próbowali dłużej ratować, co uratować było niemożliwem. „Kościół katolicki — oświadczył bez ogródek Windthorst — nie chce i nie myśli odgrywać roli żebraka, wyciągającego rok rocznie u drzwi ministra rękę o wsparcie. Jeżeli rządowi rozchodzi się istotnie o dojście do zupełnego pokoju, to niechaj zabrane przez siebie fundusze odda tym, którym je zabrał. Inaczej, niech się nie dziwi, gdy później ludzie, trzymający się pewnych teoryj, skierowanych przeciw własności prywatnej, zechcą się powoływać na postępowanie rządu pruskiego w tej sprawie, jako na przykład pouczający, a dla siebie arcywygodny“. W podobnym duchu przemówił dr. Porsch: „Przyjęcie renty równałoby się jawnemu usankcjonowaniu niesprawiedliwości; dlatego Centrum słuchając głosu sumienia, woli raczej cały projekt odrzucić“. „Jeżeli będziecie głosować za ustawą, — mówił znów członek Centrum, dr. Mosler — która w pierwszym paragrafie sucho wypowiada,

że 16 milionów marek przechodzi na własność państwa, to głosować będziecie właściwie za wielką konfiskatą. Nie posłowie z r. 1875, ale wy teraz konfiskaty tej dokonacie“. Dr. Lieber i Rintelen zbijali przedewszystkiem zarzut, uczyniony przez kilku zagorzałych przeciwników Kościoła katolickiego, jakoby zwrot funduszu obrocznego wywołać mógł niechęć dla rządu w ludności protestanckiej.

Najlepszym zresztą dowodem, że bynajmniej nie wszyscy protestanci solidaryzują się z fanatykami, w rodzaju np. pastora Stoeckera, który w długiej, piorunującej przemowie zachęcał właściwie rząd do podjęcia na nowo walki kulturalnej, — były spokojne, a rozumne wywody protestantów: Bruela i Hammersteina. „Od dawna już oświadczyłem — mówił br. Hammerstein, będący, jak wiadomo, jednym z przewódców stronnictwa konserwatywnego — że należy, o ile tylko możliwa, zatrzeć wszystkie pozostałe jeszcze ślady po walce kulturalnej. Jednym z takich śladów, i to najwstrętniejszych, jest fundusz obroczny. Nie niepokoję się tem, co Kościół katolicki otrzymuje, i co dzieje się dlań pomyślnego; ale niepokoję się tem, co się nie dzieje dla Kościoła ewangelickiego. Przyznaję najzupełniej, że postępowanie Kościoła katolickiego, odnośnie do małżeństw mieszanych i powtórnego chrztu ewangelików, zaniepokajać nas może, — ale dlatego jedynie, ponieważ Kościół ewangelicki nie posiada dostatecznych środków do swej obrony. Samo w sobie postępowanie Kościoła katolickiego jest znakiem silnie rozwiniętego religijnego życia“...

Za usunięciem ostatnich śladów walk kulturalnych, ale tem samem przeciw rządowemu projektowi, wystąpili w imieniu Koła Polskiego: ks. Radziejewski i prałat Stablewski. Pierwszy z polskich mowców położył główny nacisk na niesłychaną, o wiele większą, niż dziś to jest możliwem, zależność od państwa, w jaką popadłby Kościół katolicki w razie przyjęcia nowego prawa. „Krowę ma rząd niejako skonfiskować, a nam zato podawać mleko litrami. Jeśliby zaś kiedy zaszedł przypadek, że Kościół nie mógłby usłuchać woli rządu, powiedzielibyśmy nam pewnego pięknego poranka: Nie słuchacie, zatem

mleka nie dostaniecie!" — Ks. Stablewski scharakteryzował w dosadnych wyrazach obrażające w najwyższy sposób katolików zaczepki Stoeckera, zasiewającego ziarno niezgody w kraju, rzucającego niebacznie zarzewie nowej wojny; odparł zwycięsko zarzuty, podniesione przez prawicę i stronnictwo narodowo-liberalne, jakoby Kościół katolicki otrzymywał na podstawie rządowego projektu nową jakąś dotację:

Czyż panowie ci nie wiedzą, jaki świetny interes zrobiło państwo na Kościele katolickim? Czy nie wiedzą, że sumy wyznaczone w etacie Kościołowi katolickiemu, nie wynoszą ani dziesiątej części tego, co zabrano temuż Kościołowi, wynagradzając mu później tak skąpo uczynioną krzywdę? Aby dowieść tych słów, wskażę tu jedną, jedyną pozycję. Na mocy bulli *De salute* otrzymuje arcybiskup gnieźnieńsko-poznański roczną dotację w ilości 12.000 talarów, podczas gdy z końcem ubiegłego wieku wpływało rocznie do samej tylko arcybiskupiej kasy w Gnieźnie 130.000 talarów. Zważywszy, że od owego czasu dochody z ziemi, lasów i t. d. znacznie się podniosły, że wzrosła i wartość ich pieiężna, — to przyjąć można, że dziś do kasy arcybiskupiej w Gnieźnie wpływałyby powinno około 300.000 talarów. Czyż to więc wielka dotacja, jeżeli dziś rząd udziela arcybiskupowi gnieźnieńskiemu z tej sumy 12.000 talarów? Tak samo rzecz się ma z kapitułami, które również posiadały znaczne dobra. Skonfiskowano je, a kanonikom wyznaczono pensye tak niskie, że obecnie w państwie pruskim tylko najniżsi urzędnicy równie szczupłe pensye pobierają. Nie wiecie zapewne panowie, że kanonik, najbliższy w hierarchii biskupowi, pomagający mu i zastępujący go w zarządzie dyecezyi, obowiązany z samego swego urzędu i pozycyi spełniać wiele dzieł miłosiernych, pobiera rocznej pensyi tylko 800 talarów! Sam p. minister uznał niedostateczność dotacyi Kościołów katolickich, i przyzna z pewnością, że np. wymienione tu pensye zupełnie już nie odpowiadają dzisiejszym stosunkom. Unormowano je r. 1821; kanonicy otrzymali pensye ówczesnych radców rejencyjnych, które tymczasem podwoiły się i potroiły... Nie inaczej dzieje się w konsystorzach: praca potroiła się a remuneracya nie poszła w górę, i jest tak niska, że niepodobna już znaleźć odpowiednich sił do pracy... Skoro sam p. minister konieczność tę uznał, to mamy nadzieję, że postara się, aby dotacje stolic biskupich, konsystorzów, administratorów dyecezyj zostały w najbliższym etacie ze

środków państwowych odpowiednio do potrzeb czasu podwyższone. Ze środków państwowych — bo funduszu obrotowego nie mamy prawa używać na tego rodzaju cele. Cóżby na to powiedzieli właściciele, gdybyśmy samowolnie, bez ich przyzwolenia, majątkiem ich rozrządzali?... Obcym majątkiem nie mamy prawa rozporządzać. Spodziewamy się też, że gdy przyjdzie pod obrady sprawa dotacyi Kościoła ewangelickiego, którą tutaj tak gorąco i wymownie poruszono, natenczas p. minister *pari passu* wystąpi z projektem polepszenia pensyi i uregulowania całej tej sprawy odnośnie do Kościoła ewangelickiego...

Po oświadczeniu się wszystkich katolików przeciw prawu, które wrzekomo dobro katolickiego Kościoła miało na oku, jasną było rzeczą, że prawo to nie miało racyi bytu. To też nie mówiąc już o katolikach i Polakach, wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem wolnomyślnego, głosowały w trzecim czytaniu przeciw ustawie, która w ten sposób z rzadką w sejmie berlińskim jednomyślnością została odrzuconą. „Pan von Gossler — kończy *Germania* swe uwagi o jedynej tej w swym rodzaju kampanii — poniósł ciężką klęskę równie w licznych potyczkach, stoczonych z okazji swego wniosku, jak zwłaszcza w ostatecznem tegoż odrzuceniu. „Pal w ciebie“ pozostał; owszem, teraz dopiero z całą siłą czujemy, jak nam dolega — i ilu nas jest katolików, wprzód nie spoczniemy, póki naszego prawa sobie nie wywalczymy. W tym względzie można być spokojnym. Za oryginalne to istotnie było żądanie, abyśmy w zamian za nową pozycję na etacie, której wzbraniano się nawet obwarować odrębnem prawnem zobowiązaniem, i którą nawet nowem jakimś prawem dałoby się w danej chwili bez trudności wykreślić; abyśmy w zamian za tę soczewicę mieli orzec konfiskatę kapitału, orzec ją dziś, gdy nawet kulturowi rycerze z r. 1875 do kroku tego posunąć się nie śmieli! Trzy stronnictwa stanowiące większość — co prawda protestanckie stronnictwa — chciały zmusić do tego kroku naszych posłów, oświadczając, że bez Centrum nie uchwalą przedłożonego prawa, choć je za słuszne i dobre uważają. Arcy to moralne i konstytucyjne stanowisko! — ale stronnictwa te zajęły je tylko

dlatego, ponieważ wiedziały doskonale, że nowe prawo nie podobą się ani duchowieństwu ani ludowi katolickiemu, i dlatego domagają się, aby Centrum swą powagą je osłoniło“.

EWANGELICKI
KONGRES
SOCYALNY.

Tryumfy katolików nie od dziś są solą w oku protestantom; a choć nie brak z obu stron mężów, którzy — jak br. Hammerstein lub mgr. Stablewski — nawołują do wzajemnej wyrozumiałości, sprawiedliwości i wspólnej walki z niewierzącymi, destrukcyjnymi żywiołami; to z drugiej strony mnożą się i fanatycy w rodzaju Stoeckera, niewiedzieć — jak się o nim niedawno wyrażono — „żarliwszego antysemitę, czy antykatolika“. Tak np. na „ewangelickim kongresie socyalnym“, który na wzór tego rodzaju kongresów katolickich, odbył się w Berlinie w ostatnim tygodniu maja, zajmowano się niemniej — a może i bardziej — walką z katolicyzmem, niż walką z socyalizmem: bo — jak z zupełną otwartością z okazji tego kongresu wypowiada *Post* — „równie zagraża i równocześnie starać się trzeba o zbudowanie tamy przeciw rosnącej fali socyalizmu, jak i katolicyzmu“. Silniejsze jeszcze ciosy spaść mają na Kościół katolicki na zapowiedzianym na wrzesień „dziewiątym kongresie“ starokatolików w Kolonii. „Kongres nasz — czytamy w zaproszeniu, rozesłanym przez komitet miejscowy — ma być i będzie potężną katolicką manifestacją. Kongres kolonński niezbitym będzie dowodem, że nie tylko zrozumiano już wszędzie konieczność wystąpienia do walki na całej linii, w zwartych szeregach, przeciw rzymskiej napaści na Kościół Chrystusowy, ale zarazem przygotowano odpowiednie środki do jednomyślnej, w skutki bogatej akcji“.

ZAKAZ
KATOLICKIEGO
KONGRESU
W MONACHIUM.

Kongresy protestanckie, stawiające jako pierwszy punkt swego programu prawdziwą walkę na noże z katolicyzmem, odbywają się swobodnie, ciesząc się sympatją, jeżeli nie jawną protekcyą władz rządowych; przeciw mającemu się zebrać w Monachium kongresowi katolików niemieckich, którzy z zasady nigdy na swych wiecach w nienawistne spory z protestantami się nie wdają, użył wrzekomo

katolicki rząd bawarski wszelkich możliwych sprężyn, byle przeszkodzić wpływowi, jaki kongres taki — w stolicy bawarskiej obradujący — wywarłby z pewnością na katolicą Bawaryę. Do wstrętnej tej gry wciągnąć się dał książę-regent Luitpold: w liście do arcybiskupa monachijskiego zażądał on stanowczo, aby katolicy „w interesie pokoju, tak pożądanego przez wszystkich mieszkańców stolicy“, w Monachium tego roku nie obradowali. Jeżeli przedstawienia arcybiskupa w tym kierunku nie odniosłyby skutku, „natencza sam — zakończył regent swe pismo — będę zmuszony, jak to jest mem prawem i obowiązkiem, chwycić się dalszych kroków, w celu utrzymania pokoju w mem państwie“. — Arcybiskup zakomunikował reskrypt książęcy komitetowi, urządzającemu kongres. „Trudno pojąć — pisze *Münchener Fremdenblatt* — zdziwienie i wrażenie, wywołane tym komunikatem, oskarżającym o chęć wywołania niepokojów, ludzi, którzy nigdy nie innego na oku nie mieli, jak pokój i dobro państwa i Kościoła. Kto wątpił o lojalności tych mężów, ten się o niej mógł przekonać w czasie trzechgodzinnych rozpraw nad smutną tą sprawą; pomimo wzruszenia, jakiemu wszyscy ulegli, nie padło przecież ani jedno ubliżające, gwałtowne słowo. Ostatecznie przyjęto jednogłośnie następującą rezolucję:

Komitet katolickich mężów zaufania odstępuje z głębokim żalem, ze względu na najwyższy reskrypt, od zamiaru zwołania w roku bieżącym kongresu katolików niemieckich do Monachium.

Rezolucję tę uzasadnił prezes komitetu, książę Karol Loewenstein w obszerniejszem, ogłoszonem w dziennikach oświadczeniu: „Wiec katolików bawarskich roku zeszłego odbył się ściśle w ramach przez przepisy prawa zakreślonych, i nie dał powodu do najmniejszego zamieszania i zakłócenia pokoju. Wygłoszone mowy były skierowane przeciw kościelnopolitycznemu systemowi, którego ministeryum się trzyma; ale nie stawały ani na jotę w sprzeczności z prawami i obowiązkami obywateli konstytucyjnego państwa, z obowiązkami wiernych poddanych i wiernych katolików. Prawdopodobnie zawdzięczać musimy tak ubliżający sąd o ostatnim kongresie

katolickim fałszywym raportom. Jeżeli rzecz się tak ma istotnie, natenczas obowiązkiem będzie uczestników kongresu upraszać J. Kr. Wysokość o bliższe określenie uczynionych zarzutów, aby się z nich byli w stanie usprawiedliwić... Przyczyna, dla której postanowiliśmy natychmiast ustąpić głośno wyrażonemu życzeniu najwyższego rządcy państwa, jest winna cześć dla władzy od Boga ustanowionej, na którą we wszystkich rzeczach dozwolonych wzgląd mieć należy; bynajmniej zaś nie powodowaliśmy się bojaźnią przed jakimibądź rządowymi krokami, których lękać się nie potrzebują ludzie, idący zawsze, — jak idą kierownicy kongresów katolików niemieckich, a idą najdokładniej i najstaranniej — na drodze przez prawa wskazanej i określonej“.

Niewytłómaczalne wmieszanie się regenta, prawdziwy zamach na wolność zgromadzeń, mógł mieć miejsce i udać się — jak *Germania* z goryczą się wyraża — w jednej tylko Bawaryi, gdzie dawno już katolicy z pod prawa są wyjęci. Ale w zbytku złego — dodaje *Germania*, a z słowami jej godzi się zupełnie monachijski *Fremdenblatt*, *Postzeitung*, *Reichszeitung*, i wogóle cała katolicka prasa niemiecka — leży nieraz lekarstwo i ratunek. Ostatnie zasłony spadły, nieznośne położenie katolików w Bawaryi wystąpiło na jaw w całej pełni; odtąd nikt już chyba sobie nie będzie robił iluzyj, nikt nie będzie myślał o niemożliwych, zgubnych transakcyach: drogą przez obowiązek nakreśloną, jasną i prostą wszyscy odtąd pójdziemy“. Istotnie, iluzye dziś niemożliwe, zwłaszcza gdy po niespodziewanem ustąpieniu wrogiego katolikom Lutza, objął tekę ministerstwa wyznań prezes policyi monachijskiej, Dr. von Mueller, właściwy podobno autor reskryptu regenta, twórca dzisiejszej — dla katolików arcyniekorzystnej — geometryi wyborczej w Bawaryi. Nowy minister ma być osobiście bardzo grzecznym i uprzedzającym; z biskupami — jak zapewniają — będzie się starał zachować, lepsze niż dotąd stosunki; ale jozefinistycznego systemu, wprowadzonego do Bawaryi przez swego poprzednika, najprawdopodobniej nie zaniecha. Tymczasem katolicy postanowili bardzo roztropnie nie stawać ani za ani przeciw no-

wemu ministrowi, dopokąd nie przekonają się jasno, i to z czynów, nie ze słów i z mylnych może pogłosek, z kim mają do czynienia; czy rzeczywiście — jak zapewnia półurzędowa *Allgemeine Zeitung* — „pan von Mueller przeciw nikomu nie jest nieprzyjaźnie usposobiony, lecz ożywiony jest najszczerzej i w równej mierze dla wszystkich duchem pojednawczym“.

BELGIJSKIE
WYBORY.

Szalone wysiłki belgijskich liberałów, podjęte w celu zapewnienia sobie zwycięstwa w częściowych wyborach do parlamentu, nie odniosły pożądanego skutku; istniejący dziś stosunek stronnictw w niczem się nie zmienił. Wszędzie, ale zwłaszcza w Gandawie, która dotąd wysyłała do sejmu siedmiu konserwatystów i jednego liberała, toczyła się zacięta walka. Liberalne dzienniki rozgłosiły z góry światu, że panowanie „klerykałów“ w Gandawie, a niezadługo i w całej Belgii skończone; tymczasem w Gandawie właśnie wyszło z urny nie siedmiu, ale ośmiu, a więc wszyscy bez wyjątku — tak wrzekomo w całej Belgii znienawidzeni i zohydzeni — konserwatyści. „Co bardziej jeszcze liberałów smuci, — lamentuje *Neue Freue Presse* wspólnie z masonskimi dziennikami brukselskimi — to wielki wzrost klerykalnej większości w Gandawie: ostatnim razem większość ta wynosiła 150, dziś doszła do 500 głosów. W liberalnym obozie zapanowało głębokie przygnębienie. Znikła na dłuższy czas wszelka nadzieja z zmiany dzisiejszego stanu rzeczy; o rozwiązaniu parlamentu niema co i myśleć. Belgia wydaną została na łup klerykałów, którzy ze zwykłą sobie bezwzględnością potrafią to zwycięstwo wyzyskać“.

ROZWÓJ KO-
ŚCIOŁA W AN-
GLII, SZWECYI
I DANII.

Urzędowa misja angielskiego generała Jana Lintor Simmons'a, wysłanego do Papieża w celu uregulowania różnych spornych kwestyj kościelno-państwowych na Malcie, wypadła ku obopólnemu zadowoleniu obu stron traktujących, a ku niemałemu niezadowoleniu rządu włoskiego i pewnej liczby zaciętych angielskich protestantów, zapominających, że dziś Kościół katolicki inną ma rolę i sta-

nowisko w Anglii, niż z początkiem bieżącego wieku, i że żaden rząd, z najlepszą nawet wolą, nie może obecnie tak traktować „papizmu“, jak traktowano go naówczas. Szczęśliwy wynik tej misyi i dwa różne, ale równie dla katolików angielskich znaczące i pocieszające jubileusze, przypadające w tym roku: srebrny jubileusz kardynała Manninga i złoty jubileusz znakomitego katolickiego tygodnika *The Tablet*, — spowodowały pisma katolickie do obejrzenia się wstecz, i obrachowania, jakie postępy zrobił Kościół katolicki w Anglii w ostatnim wieku, a w szczególności w ostatnich latach pięćdziesięciu. Z początkiem tego wieku liczono w Anglii i Szkocyi 120 tysięcy katolików; w r. 1840 cyfra ta wzrosła do 400 tysięcy; w r. 1880 do 1,620.000, a w r. 1890 do 1,692.098. W ten sposób dzisiaj już zajmuje Kościół katolicki w Anglii, odnośnie do liczby swych członków, pierwsze miejsce bezpośrednio po kościele urzędowym, liczącym co prawda około 12,500.000 wyznawców; reszta, t. j. około 16 milionów mieszkańców Anglii i Szkocyi, należy do 174 najróżniejszych, nieraz najdziwniejszych sekt. W r. 1800 nie było w całej Anglii ani jednej katolickiej szkoły średniej; dziś znajduje się w Anglii i Szkocyi 27 szkół średnich i przeszło 600 katolickich szkół ludowych, w których pobiera naukę 118 tysięcy dzieci. Już w r. 1880 wznosiło się, roztaczając wokoło miłość i cześć dla katolickiej religii: w Anglii 330 klasztorów, w Szkocyi 39; od tego czasu liczba tych fortec katolicyzmu znacznie się jeszcze powiększyła. Arystokracja angielska mieściła — w tymże samym r. 1880 — w swych szeregach: 38 katolickich parów, 6 członków przybocznej Rady królowej, wicekróla indyjskiego, 3 gubernatorów azyatyckich kolonij, 22 baronetów, 55 członków Izby niższej. Wobec tych cyfr i faktów, wobec coraz przychylniejszego prądu dla katolickiego Kościoła, przedzieraającego się z wyższych do coraz szerszych warstw ludności, — łatwiej zrozumieć i podzielać nadzieje, które z powodu tego- rocznych katolickich uroczystości występują z szczególną siłą między katolickimi Anglikami i w katolickich pismach angielskich, na obu półkulach: „Nie minęło pół wieku, a Anglia

z prześladowczej i niechętniej, stała się katolicyzmowi przychylną; nie minie pół wieku, a stanie się katolicką“!

Choć nie na tak szerokie rozmiary, niemniej przecież ciągłym i pocieszającym jest rozwój katolicyzmu w krajach skandynawskich. Protestant, opuszczający szeregi urzędowego Kościoła, narażał się wedle praw szwedzkich, istniejących jeszcze w r. 1860, na wygnanie i konfiskatę majątku. Na księdza katolickiego, schwytanego w Szwecyi, nakładało prawo aż do r. 1815, karę śmierci. Dopiero w r. 1833 otrzymali katolicy, dzięki protekcyi katolickich żon Bernadotta i Oskara I, małą kaplicę w Sztokholmie, a kapelan królowej, mgr. Studach, zamianowany został apostolskim wikaryuszem na Szwecyę i Norwegię. Nowe, bardziej liberalne prawa z lat 1868, 1873 i 1878 wstrząsnęły w podwalinach, siłą bojaźni, kar i konfiskat utrzymwaną budowę oficjalnego Kościoła; utworzyły się lub wyszły z ukrycia tysiączne sekty i załazy Szwecyę. Kościół katolicki śmieiej mógł wreszcie podnieść głowę, rozpocząć walkę z przesadami, nagromadzonemi przez wieki. W r. 1874 pierwszy od niepamiętnych czasów szwedzki minister luterski, Karol Carlen, wrócił do wiary katolickich przodków; w ślady jego wstąpił w r. 1881 minister Hellquist; w trzy lata później zostało katolikami 12 studentów uniwersytetu upsalskiego; w dzień Zielonych Świątek 1887 odrzekło się uroczyście w Sztokholmie protestanckich błędów 35 konwertytów ze wszystkich klas społecznych ¹.

W Danii usunięto w czerwcu 1847 r. okrutne prawa prze-

¹ Najlepsze wyobrażenie o wzroście katolicyzmu w Szwecyi dadzą następujące daty statystyczne:

W r. 1860 znajdował się w Szwecyi 1 wikaryusz apostolski, 2 misyonarzów, 1 kościół, około 200 katolików;

w r. 1870: 1 wikaryusz apost., 6 misyonarzów, 6 kościołów, około 500 katolików;

w r. 1880: 1 wikaryusz apost., 9 misyonarzów, 8 kościołów, 800 katol.;

w r. 1890: 1 wikaryusz apost., 9 misyonarzów, 8 kościołów, 1100 katolików; 5 stacyj misyjnych: trzy szkoły ludowe dla chłopców z 44 uczniami; trzy szkoły ludowe dla dziewcząt z 240 uczennicami, między któremi 180 protestanckich; 2 pensjonaty dla chłopców i 5 pensjonatów dla dziewcząt; 3 szpitale; 3 klasztory żeńskie, liczące razem 61 zakonnic.

ciw katolikom; ale właściwy rozwój katolicyzmu rozpoczął się dopiero w r. 1869, t. j. od chwili założenia apostolskiej prefektury w Kopenhadze. W r. 1850 liczono w całej Danii 3 katolickich misyonarzów, dwie stacye misyjne, około 300 katolików; obecnie apostołuje jeden prefekt apostolski, 17 księży świeckich i 20 zakonników, którzy rozproszeni w 5 stacyach misyjnych, mają pod duchownym swym zarządem około 3700 katolików; pracuje w szkołach i szpitalach 116 zakonnic; wznosi się równie w stolicy, jak i po najdalszych miejscowościach: 10 kościołów 6 kaplic publicznych, 6 oratoryów. W konwikcie, zostającym pod kierunkiem Jezuitów w Ordrupoe koło Kopenhagi, pobiera nauki 44 uczniów, w wyższej katolickiej szkole 60 uczniów.

LIST
PASTERSKI
BISKUPÓW
AUSTRYACKICH
O SZKOLE
WYZNANIOWEJ.

Biskupi austriacy, wzięwszy raz w rękę sprawę wyznaniowej szkoły, dążą wytrwale i konsekwentnie do jej przeprowadzenia. W memoryale, przedłożonym w marcu b. r. szkolnej komisji izby panów, postawili zasady i wytknęli praktyczne wskazówki do przeprowadzenia niezbędnej reformy szkół ludowych w duchu chrześcijańskim; obecnie we wspólnym liście pasterskim, datowanym w uroczystość Zielonych Świątek, zwracają się do wszystkich katolików w Austrii, wyjaśniając im całą niezmierną ważność podniesionej sprawy, domagając się, aby całym swym wpływem, wszelkimi środkami, któremi rozporządzać mogą, łącznie ją popierali. „Czego żądamy — pytają biskupi — czego domagać się musimy z mocy i obowiązku urzędu naszego, wbrew wszelkim gniewom, niechęciom i podejrzeniom, usiłującym postępowanie nasze przedstawić w świetle fałszywym, zamiary nasze podać w ohydę? — Domagamy się publicznych katolickich szkół ludowych; chcemy, aby katolickie dzieci były w szkole ludowej wedle zasad świętej swej wiary uczone i chowane. Czy żądanie to nasze, przeciw któremu pewne żywioły z taką gwałtownością wystąpiły, jest czemś nowem, niesłychanem? Przecież nie od dziś powtarzamy je bezustannie, idąc w tem zresztą za naukami i żądaniami Ojca św.,

łączyć się z żądaniami episkopatu całego katolickiego świata. Ojciec św. Leon XIII w encyklice swej *Sapientiae christianae*, w pismach do biskupów francuskich, węgierskich, bawarskich, opłakuje gorzko szkody, jakie przynosi społeczeństwu bezwyznaniowa szkoła, ostrzega przed płynącym z niej strasznym spustoszeniem i moralnem i politycznem. Domagamy się nadto szkoły wyznaniowej, ponieważ w ten sposób odpowiadamy najgorętszym życzeniom katolickich rodzin. Życzenia te przez głos sumienia, przez miłość dla dzieci waszych, przez zrozumienie najświętszych waszych praw i obowiązków podyktowane, — objawiły się jawnie w tysiącznych petycyach, pismach, uchwałach, a świeżo znowu w jednomyślnie, z entuzjazmem przyjętej uchwale na drugim walnym wiecu katolików austriackich. W waszym więc imieniu, w imieniu Kościoła, któremu przez chrzest dzieci wasze oddaliście, w naszym własnem imieniu, poczuwając się do obowiązku bronienia i pasterskiej straży nad duszami nieśmiertelnymi, — żądamy katolickiej szkoły.

„Z żądaniem tem naszym nie łączymy myśli o cofaniu się wstecz, o jakiejś zupełnie nowej szkole; sądzymy owszem, że żądanie nasze urzeczywistnić się da na podstawie istniejących praw. Sam rząd cesarski przedłożył parlamentowi pewne zmiany w dziś obowiązującym prawie szkolnem; zbadać postanowił — nakłoniony do tego kroku dotychczasowem doświadczeniem i licznymi petycyami z całego kraju, — czy nie należałoby zmienić, w pewnym przynajmniej kierunku, dziś obowiązujących przepisów? Zastanowiwszy się dokładnie i wszechstronnie nad rządowymi propozycjami, przyszliśmy do przekonania, że ani nie czynią one zadość potrzebom wskazanym przez doświadczenie i wytrawnych pedagogów, ani nie odpowiadają waszym i naszemu życzeniom — i dlatego za obowiązek nasz uznaliśmy domagać się, aby propozycye te zostały w należyty sposób zmienione i rozszerzone. Nauka religii ma wywierać na dzieci — wedle słów ustawy — wpływ „religijno-moralny“; a jakże ma tego celu dopiąć stojąc, od innych nauk odosobniona, bez związku z życiem, skazana na ostatnie miejsce? Konstytucya zaręcza każdemu zupełną wolność wiary i sumienia, — tymcza-

sem dzisiejsza szkoła ludowa wolność tę gwałci. Rodzice katoliccy posyłać muszą dzieci do szkół, z których wiara katolicka — z wyjątkiem paru godzin, przeznaczonych na naukę religii — stanowczo jest wykluczona. Czyż to nie tyrania zmuszać dzieci do nauki, stojącej w sprzeczności z religijnymi zasadami i przekonaniami rodziców? Trudno zrozumieć, jak i dlaczego ci sami, którzy ciągle wolność i liberalne urządzenia mają na ustach, i w dźwięcznych słowach je sławią, wtedy tylko o tych pięknych zasadach zapominają i oddają się w służbę fanatyzmowi i niewoli, gdy rzecz się rozchodzi o wiarę i religię? Nie sprzeniewierzajcie się zatem wolności; nie pozwólcie jej sobie wydierać na korzyść niewiary!

„Wielu chętnieby podobno widziało, abyśmy poruszyli i pewne inne pytania, stojące w związku z prawodawstwem szkolnem. Dla pytań tych i kwestyj nie jesteśmy obojętnymi, wagę ich uznajemy; ale wciągnąć ich nie możemy w okrąg naszych, ściśle na kościelnem polu obracających się, postulatów. Trzymamy się ściśle napomnienia Boskiego Mistrza: „Szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego...“: trzymamy się — wszyscy bez wyjątku biskupi katoliccy — silnie zasady, postanowionej przez Apostoła narodów: „Nie jest żyd ani Greczyn... albowiem wszyscy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie“. Jesteśmy zastępcami Kościoła; politykę zastawiamy tym, którzy jej z powołania się oddają. I o jedno was prosimy: Jakiemikolwiek — choćby najróżniejszymi — drogami idziecie i rozchodzicie się w kwestyach i sprawach świeckich — nie wystawiajcie z tego powodu na szwank, katolicy, chrześcijanie, religijnego wychowania dzieci waszych! Prosimy was o to przez wzgląd i miłość, jaką życie dla waszych dzieci. Kościoła, ojczyzny!“

Wszelkie uwagi nad temi podniosłemi słowami, prawdziwie ojcowskiemi napomnieniami, musiałyby je osłabić! Oby tylko pasterski ten głos — do którego, i to bez żadnych zastrzeżeń, przyłączyli się biskupi galicyjscy wszystkich trzech obrządków — znalazł u nas oddźwięk i należne — bez zastrzeżeń — uznanie!

Ks. Jan Badeni.

Z PALESTYNY.

W poszycie kwietniowym zeszłego roku, szanowna Redakcya *Przeglądu Powszechnego* umieściła wiązaną moich spostrzeżeń, nad Palestyną poczynionych. Obecnie pospieszam z artykułem uzupełniającym. Czynię to nie z chęci samochwalczej, lecz w czystym zamiarze objaśnienia rodaków o tem, co się u nas dzieje.

W Jaffie, oprócz śladów miejsca, gdzie Piotr św. otrzymał objawienie, podane w dziejach apostołskich, a nadto domu Tabity, — niema innych pamiątek ewangelicznych. Pielgrzymi dostępują odpustu zupełnego w kościele OO. Bernardynów. Na drodze z Jaffy ku Jerozolimie zwiedzać można: 1) *Liddę*, pamiątką z cudownego uzdrowienia Eneasza, zapisanego w dziejach apostołskich, 2) *Ramlę* czyli Arymateę, ojczyznę uczniów Chrystusowych Józefa i Nikodema, 3) *El-latrum*, wioskę, z którą łączą się podania o dobrym łotrze, Dyzmie, 4) *Abugosz* czyli biblijne Kyriat-yarim, gdzie arka Pańska przez 20 lat pozostawała, nim ją Dawid do Jerozolimy przenieść kazał. 5) Blisko Jerozolimy znajduje się mała osada, zwana Kulonią z potokiem *Terebintu*. Nie chcę zwalczając powagi tradycyi, zaznaczyć jednak muszę, że nie ten potok był świadkiem walki Dawida z Goliatem. Uczeni palestynografowie słusznie zauważyli, że imienia tego potoku należy szukać w okolicy Hebronu, w pobliżu miast Socho i Azeka. Z biblią w ręku, przy wskazówkach Józefa Flawiusza, św. Hieronima — trudno się oprzeć nowszym spostrzeżeniom, aczkolwiek one w sprzeczności stoją z tutejszą tradycją.

W Jerozolimie najświętszymi pomnikami naszej św. wiary są: a) Bazylika Grobu Pańskiego i Kalwaryi, b) Wieczernik, c) droga bolesna, d) ogrojec z ogrodem Getsemańskim, e) Grób N. Maryi Panny, f) góra Oliwna czyli Wniebowstąpienia Pańskiego g) i przyległe Betfage. Oprócz tego kościoły, wzniesione na miejscu domu Annasza, Kaifasza, jakoteż męczeństwa św. Jakóba apostoła W. na Syonie są przedmiotem serdecznej czci pobożnych pielgrzymów. Inne, że tak się wyrażę, drugorzędne sanktuaria jerozolimskie opuszczam.

Naokół Jerozolimy znajdują się: 1) Emmaus ewangeliczne przy dzisiejszej wiosce El-kuhebe, 2) Ajn-Karem czyli miejsce urodzenia św. Jana Chrzciciela, 3) Betleem, 4) źródło św. Filipa przy drodze z Betleemu ku Hebronowi. Wprawdzie podanie wskazuje na to źródło w pobliżu Ajn-Karem, lecz wyjaśnienia, z dziejów apostołskich

zaczepnięte, minowolnie zmuszają mnie do odstąpienia od tutejszej tradycji i pójścia za śladem światłych palestynologów. (Saulcy, Guérin, Gratz i t. p.). 5) Betania, 6) Jerycho z pamiątkami: domu Zachęsza, źródła Elizeuszowego, góry 40-dniowego postu naszego Zbawcy, Jordanu i morza Martwego, 7) ławra św. Saby, gdzie i św. Jan Damascen życie pustelnicze prowadził.

Naczelnikiem duchowieństwa rzymsko-katolickiego jest patriarcha jerozolimski. Godność tę od września zeszłego roku piastuje zakonnik św. Franciszka, O. Ludwik Piavi. Do jego jurysdykcji należą prowincje Palestyny t. j. Judea, Samarya i Galilea, nadto wyspa Cypr. Wiadomo, że dopiero za rządów ś. p. Piusa IX wskrzeszono łaciński patriarchat jerozolimski. Przypatrzmy się świetnemu postępowi misyjnemu, zdziałanemu za rządów dwóch poprzedników obecnego patriarchy.

Za czasów patriarchy ś. p. Józefa Walergi, a więc od roku 1848—1872 powstały następujące stacje misyjne:

1) w Bejtdżalla r. 1853. Wspaniała świątynia, seminaryum duchowne, gdzie do 30 alumnów pobiera nauki filozoficzne i teologiczne — są niespożytym pomnikiem patriarchy;

2) w Ramallá r. 1856, 3) w Dżifne r. 1856, 4) w Bir-zejt r. 1856, 5) w Bejt-sachur r. 1859, 6) w Teibé r. 1860, 7) w Napluzie (star. Sychem) r. 1862, 8) w Jaffie (koło Nazaretu) r. 1866, 9) w Es-salt nad Jordanem r. 1867.

Nadto onergicznemu staraniu pomienionego patriarchy zawdzięcza swoje powstanie bazylika i rezydencya patriarchalna w Jerozolimie.

Ze zgromadzeń żeńskich na krótko przed objęciem stolicy patriarchalnej ustaliły się Józefinki w Jaffie, w Jerozolimie i w Betleem; a za rządów pasterskich tegoż ś. p. ks. Walergi w jednym roku t. j. 1855 rozszerzyły się: Nazaretanki w Nazarecie, w Kaifie, w Ptolemaidzie i w Szefer-amer. Córkki Syońskie osiadły w Jerozolimie i w Ajn-Karem. Za pasterstwa drugiego patriarchy, ś. p. Wincentego Bracco, t. j. od r. 1873—1889 (czerwca) powstało 15 stacyj misyjnych.

Zgromadzenia zakonne męskie ustaliły się w tym porządku:

a) OO. Lawizeryanie przy kościele św. Anny w Jerozolimie, b) Bracia szkół chrześcijańskich w Jaffie, Jerozolimie, Kaifie, c) Księża francuscy z Betharam (koło Lourdes) w Betleem, d) OO. Dominikanie w Jerozolimie, e) Assompcyoniści w Jerozolimie.

Z żeńskich klasztorów mamy: Karmelitanki na górze Oliwnej i w Betleem, Klaryski w Jerozolimie i w Nazarecie, Siostry Miłosierdzia w Jerozolimie i Betleem, Boromeuski w Jerozolimie i Kaifie, Sakramentki (*Dames reparatrices*) w Jerozolimie.

Oprócz tego ks. Ant. Belloni utworzył zgromadzenie męskie pod opieką i nazwą Najśw. Rodziny w Betleem, a ks. Józef Tanus zgromadzenie Sióstr Różańca św. Zgromadzenie św. Rodziny ma za zadanie kształcić dobrych ogrodników i gospodarzy roli; Siostry zaś arabskie Różańca św. zajmują się szkołami przy stacyach misyjnych. Na wzmiankę zasługuje zakład Jerozolimski pod wezwaniem św. Piotra, gdzie następcy ś. p. ks. Ratisbona kształcą młodzież w rzemiosłach różnego rodzaju. Józefinom powierzono szpital św. Ludwika, króla francuskiego, w Jerozolimie i w Jaffie.

Na brak szkół elementarnych w Palestynie skarżyć się nie można. Wszystkie zgromadzenia pilnie oddają się swojemu zawodowi. OO. Lawizeryanie kształcą przyszłych misjonarzy dla obrządku wschodniego; Bracia szkół chrześcijańskich ze znaną nam gorliwością pracują w swoich zakładach; córki Syońskie, Józefinki, Boromeuski cieszą się znakomitą plonem w dziedzinie szkolnictwa; Szarytki tulą do siebie sieroty, służą chorym, roznoszą lekarstwa, rozdają jałmużnę ubogim. O naszym zakonie nie myślę się rozpisywać, — boć inne dzieła dały dostateczny wyraz działalności naszych Ojców, którzy od siedmiu wieków strzegą sanktuaryów, pracują w staraniu o dusze, utrzymują i kierują szkołami, kształcą rzemieślników, opiekują się sierotami, chorymi i t. p. To tylko podniosę, że niedawno w Emmaus założono dom postulacji dla pragnących się poświęcić zawodowi zakonnemu, w Nazarecie nowicyat, w Ajn-Karem rodzaj gimnazjum, w Betleem 3-letni kurs filozofii, a w Jerozolimie 4-letni kurs teologii. Życzyłoby sobie atoli należało, żeby przynajmniej w Jerozolimie utworzono dla świeckiej młodzieży wyższą szkołę, coś na kształt akademii OO. Jezuitów w Bejrucie. Ta sprawa tem bardziej na pierwszy plan występuje wobec pogłoski, że Rosya nosi się z założeniem akademii w pysznym, niedawno wykończonym gmachu swoim. Już to z bólem serca wyznać trzeba, że do Palestyny nieustannie wciskają się nieprzyjaciele naszej św. wiary. Protestanci niemieccy, angielscy, amerykańscy ogromnie się rozszerzają wraz ze swoimi dyakoniskami. Nie dość było tych ostatnich z obozu niemieckiego; Anglia wysłała swoje dyakoniski i w ostatnich miesiącach umieściła w Jerozolimie. Co wyrabiają protestanci,

okaże się z tych szumnych ogłoszeń: *Evangelischer Gottesdienst in deutscher Sprache jeden Sonn- und Festtag Form. 9 Uhr in der deutschen evang. Kapelle auf dem Muristan* (Muristan jestto ubikacya w ruinach naprzeciw bazyliki Grobu Pańskiego). Angielscy ministrowie wołają: „for proclaiming Christ to the Jews, by word of mouth and by the Scriptures“. Miejszem tej propagandy jest zbor na miejscu pałacu Heroda W., naprzeciw wieży Dawidowej.

W Jaffie przed rokiem, a w Jerozolimie kilka temu miesięcy, angielscy protestanci założyli bezpłatną szkołę wieczorną, w celu uczenia Arabów i Turków języka albiońskiego. Oprócz tego protestanci mają zakład wychowawczy na Syonie, w kolonii Jerozolimskiej, przy kościele św. Pawła, dalej inny zakład przy drodze do Emmaus, wzniesli gmach w Betanii, w Bejtdżalla zbor, i już myślą o podobnym w samem Betleem. Dla przypodobania się żydom wystawili im szpital, taki sam dla trędowatych — jednym słowem, pod pozorem humanitaryzmu szerzą jad herezyi, i psują lud palestyński już i tak przez schyzmę zrujnowany. Rosya się również rozwiehmożniła. Na dobitkę Turcyja wzniosła w Jerozolimie budynek przy samej branie jaffejskiej, w którym niebawem — prawdopodobnie czemś z rodzaju *tingel tangel* — zatruwać będą tutejszych mieszkańców. Kolej żelazna gotowa nam przynosić coraz to nowych złego wpływu ludzi; dlatego zmieniam moje życzenie w pierwszej korespondencji wyrażone — i powiadam: nie daj Boże, aby kolej żelazna do reszty demoralizowała Palestynów. W interesie krainy Bożej pragnąć trzeba, aby projektowana kolej nazawsze zaniechaną została.

Jerozolima, 14 marca 1890.

O. Norbert Golichowski.

Misyjonarz ap. w Ziemi św.

WYJĄTEK

ze „wszechpoddającego sprawozdania“ prokuratora św. Synodu
o stanie prawosławia w państwie rosyjskiem w r. 1887.

Środki utrwalenia i obrony prawosławia w guberniach zachodnich
(litewsko-ruskich).

„W dyecezyi połockiej — czytamy tamże (*Wileń. Wiestnik*, r. 1890, nr. 67) — naród gromadzi się tłumnie na nabożeństwa

w niedziele i święta, pomimo oddalenia niektórych cerkwi parafialnych. Wyjątek stanowią tylko niektóre parafie w powiatach Dryssa i Lepel, w pobliżu których znajdują się parafie katolickie, i gdzie się trafiają małżeństwa mieszane: tam gorliwość parafian ku swym świątyniom nie jest zadowalniającą, ponieważ katolicy pociągają niekiedy i prawosławnych do odwiedzania kościołów.

„W dyecezyi litewskiej duchowieństwo rzymsko-katolickie podburza naród przeciwko oświacie pod kontrolą rządową, i żąda, aby katolicy mieli prawo uczenia dzieci swoich po domach wyłącznie tylko języka polskiego, wpajając w swą owczarnię przekonanie, że cerkiewno-parafialne i ludowe szkoły wprowadzono dlatego, aby uczących się w nich katolików przerobić w następstwie na schyzmatyków i ostatecznie zruszyć dawny polski kraj zabrany. We wsiach, oddalonych od cerkwi parafialnej, niektórzy parafianie wyznania prawosławnego uczęszczają na niedzielne nabożeństwa do kościołów katolickich, ku czemu skłaniają ich po części bezpośrednie władze — pisarze i członkowie zwierzchności gminnej (w niektórych gminach złożonej z samych tylko katolików) chytremi namowami o wyższości nabożeństwa katolickiego nad prawosławnem; ale przedewszystkiem czynią to kobiety-katoliczki, które weszły do rodzin prawosławnych wskutek małżeństw mieszanych, w tym względzie częstokroć szkodziwych. Dlatego i księża, ci zakłęci wrogowie prawosławia, chętnie zezwalają katoliczkom wychodzić za prawosławnych, przeszkadzając wszelkimi sposobami katolikom wstępować w związki małżeńskie z dziewczętami wyznania prawosławnego. Jakkolwiek wielką jest nienawiść księży ku prawosławiu i wszystkiemu, co rosyjskie, jednakowoż nie są w stanie wytępić w sercu Białorusina pociągu instynktowego ku rzeczom rodzimym. Takim jest nastrój ludu wiejskiego w guberniach wileńskiej i grodzieńskiej. W gubernii zaś kowieńskiej tworzą katolicy zwartą masę, a prawosławni tak nieznacznie mniej-szość, że na nich spoglądają, jak na obcych. Ale i tutaj katolicy niezawsze zwracają uwagę na namowy księży i uczęszczają do cerkwi prawosławnych, biorą udział w chrzcinach, ślubach i pogrzebach osób wyznania prawosławnego, a względem duchowieństwa prawosławnego są ze czcią należną, i niekiedy zaszczycają je większem zaufaniem, jak swe własne duchowieństwo.

„W dyecezyi mińskiej przywiązanie do cerkwi prawosławnej, miłość ku świątyniom Bożym, liturgii i obrządkom cerkwi prawosławnej silnemi są szczególnie w miejscowości, zwaney pod nazwą Tu-

rowszczyzny i Polesia. Miejscowość ta leży w tej części dyecezyi, w której wiara prawosławna istnieje nieprzerwanie od czasu upowszechnienia chrześcijaństwa w Rosyi za następców św. Włodzimierza. Tutaj prawosławie nigdy nie doznawało żadnych prześladowań (cenne wyznanie w akcie urzędowym p. Pohiedonoscewa!), i nie było przyćmione ani unią ani łacinizmem, a obywatele miejscowi z dawien dawna prawosławni i podziśdzień pozostają takimi; czemu między innemi sprzyja sąsiedztwo Kijowa, dokąd naród ciągnie masami dla oddania czei tantejszym świątyniom, zwłaszcza na wiosnę i w lecie. W Turowie była nawet niegdyś katedra biskupów prawosławnych, gdzie już w wieku XII biskup tameczny Cyryl jaśniał sławą wymowy kościelnej. Ale dzisiejszy Turów niczem nie przypomina swej przeszłości historycznej.

„W dyecezyi wołyńskiej, przy potężniejącym u Czechów ruchu na korzyść prawosławia, władza dyecezalna — zaopatruwszy w osobne instrukcye tych parochów, w których parafiach znajdują się osady czeskie — ma w szczególniejszej pieczy szkoły cerkiewno-parafialne w tych parafiach, i probostwa te obsadza duchownymi, odpowiadającymi najzupełniej swemu powołaniu. A ponieważ w liczbie tych parafij są niektóre bardzo ubogie, co dla lepszych kapłanów także przenoszonych, zwłaszcza mających liczne rodziny, byłoby połączone z wielką stratą materyalną i mogłoby odbić się szkodliwie na ich działalności, osłabiając wśród troski o warunki bytu energią i przywiązanie do samej sprawy, — przeto zwierzchność dyecezalna wniosła przedstawienie do św. Synodu, aby im wyznaczyć zapomogi. Wielką ulgę w nauczaniu Czechów wiary prawosławnej stanowiły książki w języku czeskim, tłómaczone (z rosyjskiego) pod kontrolą naszego kapelana w Pradze, a przesyłane przez św. Synod, celem bezpłatnego rozdawania pomiędzy Czechów, — jakoto: krótki i obszerniejszy prawosławny katechizn, liturgia św. Jana Złotoustego, modlitewnik, akafisty Najśłodszego Jezusa i Przenajśw. Bogarodzicy, broszury o śś. Cyrylu i Metodym, artykuły z *Troickich Listkow* i t. d. Ogólna liczba Czechów na Wołyniu, którzy przesiedlili się z Czech w siódmym dziesiątku naszego wieku, wynosi więcej niż 20.000. Zpośród ludności katolickiej tejże dyecezyi lud prosty nie stroni od prawosławnych, wchodzi w różnorodne z nimi stosunki, odwiedza cerkwie prawosławne, nie usuwa się od księży prawosławnych, a niekiedy wzywa ich nawet do domów dla wykonywania obrządków; ale

wyższa klasa, pozostająca pod wielkim wpływem księży, trzyma się zdala od prawosławnych i unika z nimi stosunków.

„W dyecezyi podolskiej wpływ propagandy łacińskiej, szczególnie w powiatach pogranicznych od strony Austrii, nie słabnie; ale w celu przeciwdziałania tejże, wskutek rozporządzenia władzy dyecezalnej, duchowieństwo wzmocniło swą działalność w opowiadaniu słowa Bożego nie tylko w cerkwiach, ale i w prywatnem obcowaniu, a także zaprowadziło i odbywało niedzielne konferencye w szkołach ze starszymi“.

A. Szarlowski.

ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW.

Zegary pneumatyczne Wiktora Poppa. — Compagnie parisienne de l'air comprimé. — Zalety motorów pneumatycznych. — Światło elektryczne i transformatory.

Aures hominum nocturne luctantur.

Pl. ep. 8, 18.

Że powietrze w ruchu będące posiada potężny zasób siły, o tem już w starożytności wiedzano, i umiano ją zużytkować: do pędzenia okrętów żaglowych i poruszania młynów wiatrowych. Również dawno znaną jest rzeczą zastosowanie zgęszczonego powietrza, jako siły poruszającej, np. w wiatrówkach Giffarda i w machinach wiertniczych, które z wielkim skutkiem były użyte przy budowie tunelów Mont Cenis i St. Gottharda. Lecz aby powietrze mogło być siłą roboczą, rozprowadzoną rurami, podobnie jak woda lub gaz, do każdego miejsca, i zawsze gotową do użytku w industryi bez najmniejszego trudu — o tem wiedzą i z przyjemnością z tego korzystają mieszkańcy Paryża dopiero od lat trzech. Jestto wynalazek, o którym powiedzieć można, że łączy w sobie *utile dulci*.

Podobnie jak wiele innych wynalazków, tak i ten powstał przypadkiem. Jeszcze w r. 1878 przyczynił się p. Wiktor Popp do uświetnienia ówczesnej wystawy paryskiej wynalazkiem zegarów, poruszanych siłą zgęszczonego powietrza. Któż nie miał sposobności przekonać się, że gdzie jest kilka zegarów wieżowych, to z pewnością każdy z nich inny czas wskazuje. Wynalazek W. Poppa tem się odznacza, że wszystkie jego zegary pneumatyczne równocześnie tansań czas wskazują. Urządzenie, do tego celu służące, polegało na tem, że ze stacyi centralnej, położonej przy Rue St. Anne, prąd

zgęszczonego powietrza, wypierany co minuta stosownym mechanizmem, rozchodził się siecią podziemnych rur ołowianych do zegarów, rozmieszczonych po wszystkich dzielnicach miasta — i posuwał wskazówkę minutową o jedną kreskę naprzód. Zegary te okazały się praktyczne: więc i rozwój ich szybko postępował, tak, że wkrótce pierwotna stacya centralna była już za słabą do poruszania z każdym miesiącem wzrastającej liczby zegarów.

Niebawem zawiązało się towarzystwo pod nazwą *Compagnie parisienne de l'air comprimé*; zajęto 1 hektar obszaru przy Rue St. Forgeau, gdzie 10 machin parowych o sile 1500 koni porusza 22 kompresorów, które wciskają zgęszczone powietrze do 7 zbiorników, mających 210 metrów kubicznych pojemności. Stacya ta zasilala w r. 1889 w miesiącu lipcu 7839 zegarów, a długość sieci rur wynosiła 65 kilometrów. Pomimo tak znacznej liczby zegarów, powietrza zgęszczonego było za wiele, co spowodowało nieregularny ruch zegarów. Aby temu zapobiedz, musiano wymyśleć jakiś praktyczny sposób zużytkowania nadmiernej ilości powietrza. Sprawdziło się w tym wypadku, że *necessitas est inventrix*: doświadczeno bowiem, że zgęszczone powietrze tak dobrze porusza każdą maszynę parową, jak i para wodna: potrzeba tylko usunąć kociel parowy, a motor bez żadnych zmian połączyć z rurą przewodnią, dostarczającą powietrza zgęszczonego. Tak motory o sile kilkudziesięciu koni, jak i małe motorki o sile kilkunastu kilogramometrów bywają również dobrze powietrzem zgęszczonem poruszane. Do wytworzenia małej siły wynaleziono motory rotacyjne szczególnego systemu. Liczba abonentów na powietrze zgęszczone do poruszania motorów z każdym dniem się powiększała, tak, że przy końcu r. 1889 było zasilanych 401 motorów, przedstawiających razem siłę 1852 koni; pomiędzy temi było największych 18 motorów, każdy o sile 50 koni, i 75 mniejszych o sile 6 kilogramometrów. Zakład tego towarzystwa został w tym roku znacznie powiększony, tak, że może już obecnie dostarczyć powietrza do wytworzenia siły przeszło 7000 koni¹.

Zalety motorów pneumatycznych w porównaniu z motorami parowemi, gazowemi lub naftowemi są bardzo wielkie. Najpierw na umieszczenie takiego motora średniej wielkości potrzeba niewiele miejsca; zwykle bowiem przytwierdzają go u góry na ścianie, a ko-

¹ Dr. A. Ritter. *Die Luft im Dienste der Pariser Industrie. Prakt. Physik.* IV. 1890.

sza instalacji wynoszą zaledwie tyle, co wprowadzenie gazu do pomieszczenia. W ruch puszcza się go przez odkręcenie kurka, tkwiącego w rurze, którą powietrze zgęszczone z ulicy do pracowni dochodzi. Każdy inny motor raz w ruch wprowadzony musi być bez przerwy użytkowany, inaczej jest strata siły; motor pneumatyczny każdej chwili przez zakręcenie kurka może być zatrzymany, wskutek czego konsument nie naraża się na niepotrzebną stratę. Ważną rzeczą jest i to, że podczas funkcjonowania tych motorów nie ma ani dymu, ani gorąca, ani najnniejszego niebezpieczeństwa; lecz przeciwnie, gdy są w ruchu, natenczas chłodzą i odświeżają powietrze.

Nadto cena zgęszczonego powietrza jest dosyć niska; wynosi bowiem $1\frac{1}{2}$ centina za 1 metr kubiczny, wskutek czego siła 1 człowieka (12 km.) kosztuje 12 centimów, a siła 1 konia 20 centimów na godzinę. Koszta utrzymania w ruchu motora parowego byłyby o wiele większe, gdyż 50 kg. węgla kamiennego kosztuje obecnie w Paryżu około $1\frac{1}{2}$ franka. Małe motorki są najbardziej rozpowszechnione; są one prawdziwem dobrodziejstwem drobnego przemysłu. Obecnie przemysłowiec może współzawodniczyć z fabrykantem. Kto wie, czy powietrze zgęszczone nie przyczyni się w wielkiej części do rozwiązania kwestyi robotniczej. Motory i motorki dadzą się do wszelkiej pracy zastosować. Pracują one obecnie w wielu szwalniach, pralniach, szlufierniach, introligatorniach i drukarniach, poruszają wszelkiego rodzaju tokarnie i piły, tną blachę i tekturę, krają mięso, palą i mielą kawę i t. p.

Oprócz wszechstronnego zastosowania w industrii, okazały się motory pneumatyczne bardzo korzystne do poruszania dynamosów, czyli do wytworzenia światła elektrycznego.

W dzień może użyć przemysłowiec swego motorka do wspólnej z nim pracy, a wieczorem do wytworzenia światła elektrycznego, które jest o wiele przyjemniejsze i zdrowsze, niż każde inne światło, gdyż nie psuje powietrza.

Powietrze zgęszczone oddaje jeszcze inne usługi Paryżanom. I tak biura dwóch banków: de France i Credit Lyonnais połączone zostały pocztą pneumatyczną. Jestto wprawdzie wynalazek dawniejszy, ale za użyciem zgęszczonego powietrza znacznie ulepszone. Również wentylatory najróżnorodniejszych systemów mogą tylko przy pomocy zgęszczonego powietrza skutecznie działać; bo wszelkie odświeżanie powietrza zapomocą tylko samych wentylatorów jest środkiem połowicznym.

Wiadomo, że wszelki gaz, a zatem i powietrze, przy nagłem zgęszczeniu go, ogrzewa się — i na odwrót, gdy powietrze zgęszczone nagle się rozrzedza, natenczas temperatura jego obniża się tak dalece, że przy motorach pneumatycznych większych rozmiarów obniżenie to wynosi około 50° C. Gdy np. powietrze wchodzące do motora ma temp. $+20^{\circ}$ C., to po wyjściu z motora będzie posiadać -30° C. I ta właściwość powietrza zgęszczonego została zużytkowaną w kilku kawiarniach i restauracjach do robienia lodów, zamrażania wody, oziębiania piwnic i spiżarni. W gmachu Bourse de Commerce znajduje się 15 komór o podwójnych ścianach, z których każda zajmuje 18 metr. kw. powierzchni. Powietrze zgęszczone wchodzi najpierw do motora, utrzymującego w ruchu dynamosa, który łąduje akkumulatory elektryczne; poczem powietrze rozrzedzone o temp. -30° C. wypełnia przestrzeń pomiędzy ścianami komór i sprawia, że wewnątrz tychże jest temp. $8-10^{\circ}$ C. poniżej zera. Komory te służą głównie do przechowywania baraniny, sprowadzonej morzem w stanie zamrożonym.

Wygody mieszkańców Paryża z każdym dniem się pomnażają. Oto w tych czasach pozakładano pod powierzchnią ulic grube liny miedziane, które mają posłużyć do rozprowadzania elektryczności do mieszkań prywatnych¹. Dotychczas tylko niektóre place i lokale publiczne posiadały światło elektryczne, wytworzone własnymi motorami i dynamosami. Instalacya światła elektrycznego w mniejszych rozmiarach była dotąd bardzo utrudnioną; gdyż każda lampa elektryczna stosownie do swych rozmiarów wymaga elektryczności o odpowiednim napięciu. Elektryczność, przepływająca grubą liną przewodnią, posiada całkiem inne napięcie, niż to, jakie jest potrzebne do rozrzażenia lampy, do oświetlenia pokoju używanej. Maxwell, znakomity fizyk angielski, porównuje prąd elektryczny z prądem wody: podobnie jak skuteczność działania prądu wody zależy nie tylko od ilości wody, ale także wielkości jej spadku, tak też i działanie prądu galwanicznego zawisłe jest i od ilości elektryczności i od jej napięcia. Ze stacyi centralnej wychodzi prąd o bardzo wysokim napięciu, a stosunkowo o małej ilości; do rozrzażenia lampy żarowej potrzeba prądu o wielkiej ilości, a niskiem napięciu. Ta przemiana prądu bywa uskuteczniiona zapomocą przyrządu, zwanego transforma-

¹ *Recue scientifique*. Nr. 10, 1889. — *La distribution de l'électricité*, par M. R. V. Picon.

torem; wynalazł go Gaulard. Budowa transformatora jest dosyć prosta. Wiązka drutu żelaznego jest owinięta w poprzek cienkim drutem miedzianym izolowanym, a na nim znowu jest nawinięty gruby drut miedziany. Prąd o wysokim napięciu wchodzi do cienkiego druta, i wzbudza równocześnie w grubym drucie prąd o niskim napięciu, który jest połączony z lampą elektryczną. Znane były wprawdzie dotychczas sposoby rozprawdzania elektryczności do małych lamp elektrycznych, ale były dosyć kosztowne. Dziś, po wynalezieniu transformatorów, gaz który służył przeważnie do oświetlenia, zostanie niebawem zupełnie usunięty przez elektryczność; gdyż światło elektryczne będzie tańsze, zdrowsze i wygodniejsze w użyciu, ze względu na sposób zapalania, gaszenia i przenoszenia w pewnych granicach z jednego miejsca na drugie. Gaz, który dotychczas był przeważnie używany do oświetlania, będzie musiał się zadowolić rolą podrzędniejszą; zadaniem jego będzie tylko ogrzewać — bo już dziś znane są różnych systemów piece i kuchnie gazowe. Znikli już oddawna z horyzontu paryskiego wodziarze, bo zastąpieni zostali rurami wodociągowymi; znikną też wkrótce zasmoleni węglarze, bo już dziś w znacznej części są wyręczeni rurami gazowymi.

Obecne wygody mieszkańców Paryża wydają się być humbukiem amerykańskim. Chcesz bowiem wody — to odkręć kurek a wypłynie; zapragniesz świeżego powietrza — to za pokręceniem drugiego kurka orzeźwić się możesz; zimno ci — to odkręć kurek od gazu i zapal go w piecyku; gorąco ci — to za pokręceniem kurka motorek pneumatyczny ochłodzi cię; chcesz światła — to za pociśnięciem klameczki zapali się lampa elektryczna; nareszcie gdybyś zapragnął ciepłej kawy — to także mieć możesz za pokręceniem odpowiedniego kurka, bo już teraz bywa ciepła kawa automatycznie po lokalach publicznych rozprawdzana.

Oczy na tem już koniec? — Zdaje się, że nie — bo *inventuris inventa non obstant*.

A. M. Kawceki.



SZTUKA W PIERWOTNYM KOŚCIELE¹.

Sztuki piękne u kolebki chrześcijaństwa. — Stosunek sztuki starochrześcijańskiej do klasycznej — jej główny charakter — klucz do odcyfrowania jej treści.

L'art chrétien, tel que nous le trouvons dans les catacombes, était donc une religion. Sztuka chrześcijańska, taka jaką znajdujemy w katakumbach, była więc religią. — Ta konkluzja, do której doszedł przed 50 laty po dłuższych badaniach znakomity znawca starożytności, protestant Raoul Rochette², tłumaczy czytelnikowi najlepiej powód, dla którego kładziemy na tem miejscu nieco dłuższy rozdział o życiu artystycznym starożytności: ma on nam służyć za pomost i za podstawę pod część drugą, dogmatyczną, naszej pracy. Nim jednak wnikniemy głębiej w treść cmentarnych zabytków sztuki, musimy wpierw odpowiedzieć na kilka pytań, które koniecznie domagają się rozwiązania. Pierwsze odnosi się do czasu powstania staro-chrześcijańskiej sztuki.

Zdaniem starych protestantów zrodził się kult Świętych, a z nim także sztuka kościelna, dopiero z chwilą tryumfu Konstantyna; pierwotne chrześcijaństwo sztuki nie znało. Pod hasłem tedy oczyszczenia Kościoła ze zabobonnych naleciałości i powrotu do czystego chrystyanizmu trzech pierwszych wie-

¹ Ten artykuł, jakoteż poprzednio drukowany w *Przeglądzie* (w styczniu, lutym i marcu b. r.) o „Położeniu prawnem chrześcijan w państwie rzymskiem“, są wyjątkami z dzieła o „Archeologii chrześcijańskiej“, które się ma wkrótce ukazać.

² *Tableau des Catacombes de Rome*. Paris, 1837, str. 165.

ków, odnowili reformatory stare bizantyńskie zaburzenia ikonoklastyczne w wieku XVI na zachodzie, i wyrzucili Świętych nie tylko z wiary, ale i z świątyń, z pracowni malarskich i rzeźbiarskich.

Zupełnie inaczej zapatrują się na początki sztuki kościelnej protestanci naszego wieku. „Dziwić się trzeba, — pisze jeden z nich ¹ — że jeszcze w ostatnich czasach znalazło się kilku protestantów, którzy powtarzają w swych dziełach starą piosnkę o nienawiści i wstręcie pierwszych chrześcijan do sztuk pięknych“. Z tego powiedzenia widzimy, że prawie na całej linii nastąpił w obozie protestanckim odwrót; głosy, które siłą się jeszcze na wynalezienie powodów przypuszczenia, że stary Kościół zamknął drzwi przed sztuką, i stłumił u siebie wszelki jej objaw, należą już tylko do wyjątków ².

Jak znaleźli się uczeni katolicy w obec tego ciężkiego zarzutu, czynionego im przez protestantów, że Kościół rzymski odstąpił od czystej wiary Chrystusa, przyjmując do swych świątyń i ołtarzy malowidła i rzeźby Świętych? Postawili oni od samego początku jasno i stanowczo zasadę, że Kościół nigdy nie był wrogiem sztuk pięknych, i nigdy też nie czuł się związanym owym prawem Mojżeszowem, którem Prawodawca S. Zakonu zakazał żydom pielęgnowania u siebie wszelkiej sztuki ³. W obec braku znajomości malowideł katakumbowych, robili jednak teologowie rzymscy protestantom pewne — dziś

¹ Zob. Schultze, *Der theol. Ertrag* i t. d. str. 26.

² Berliński profesor Piper odkrył dwie przyczyny tego wstrętu pierwszych chrześcijan ku sztuce; jedną był — jego zdaniem — ów zakaz, którym Mojżesz wzbronił żydom uprawiać sztukę, a którym i chrześcijanie byli skrupowani; drugą zaś był stan ówczesnej sztuki pogańskiej, która spodlona i dogadzająca jedynie bydlęcym chuciom ludzkim, musiała wzbudzać tylko wstręt u zdrowszej części społeczeństwa. Zob. jego *Mythologie der christlichen Kunst*. T. I, str. 2. Zob. także artykuł Grüneisen'a: *Zur Archäologie der christlichen Kunst* w *Tübinger Kunstblatt*. r. 1831, str. 109 i nast., gdzie autor twierdzi, że Kościół nie objął odrazu całości zadania i misji, jaką nań włożył jego założyciel, i zapoznał piękny stosunek, zachodzący między religią a sztuką dlatego, że wszystkie jego siły zabsorbowała praca nad wewnętrznym odrodzeniem ludzkości.

³ Zakaz ten opiewał: „Nie uczynisz sobie ryciny, ani żadnego podobieństwa, które jest na niebie i t. d.“ Exod. XX, 4.

najzupełniej niepotrzebne ustępstwo. Posługiwanie się sztuką w celach religijnych — mówili oni, — jakoteż przypuszczenie obrazów do użytku świątyni, nie należy do istoty religii chrześcijańskiej, lecz do rzędu owych rzeczy, które są zostawione do swobodnej dyspozycji Kościoła. Mógł tedy Kościół stosownie do chwili i okoliczności ograniczyć lub nawet zakazać na czas jakiś swoim dzieciom zajmowania się sztuką. — Póty prawda niewątpliwa; ale ztąd mylnie wyciągali następstwa: Kościół — utrzymywali oni, — odroczył istotnie na razie przeprowadzenie w praktyce owego ogólnego principium, według którego nowa wiara była w zasadzie przyjaciółką i protektorką sztuk pięknych, i nie pozwolił w pierwszych czasach rozwinąć się u siebie życiu artystycznemu; uczynił to zaś z obawy, aby nowonawróceni nie popadli napowrót w bałwochwalstwo, patrząc codziennie w domu i świątyni na wizerunki Boga lub Świętych¹. Ustępstwo to robili protestantom teologowie katolicycy nawet wtedy jeszcze, kiedy słynny Bozysusz odkrył już i ogłosił światu w pierwszej połowie XVII wieku całe mnóstwo pomników starochrześcijańskiej sztuki; a wpływała na wyrzeczenie takiego zdania ta okoliczność, że stare freski cmentarne były dla nich jeszcze jakby alfabetem zmarłego języka, którego sekretów ani czasu powstania odgadnąć nie umieli. I głównie dopiero badania Rossięgo wykazały, że bardzo znaczna część starych zabytków artystycznych, o niesłuchanie głębokiej treści religijnej, zawdzięcza swój początek owej właśnie najranniejszej dobie życia Kościoła, w której przez wieki wszyscy zwykli byli widzieć tylko wielką próżnię i brak wszelkiego śladu życia artystycznego.

¹ „Illud certo non praetermittam — pisał z końcem XVI wieku teolog katolicki, Lilius Gyrardus — nos (dico christianos), ut aliquando Romanos fuisse sine imaginibus in primitiva quae vocatur Ecclesia“. *Historia Deorum, Syntag.* edit Basil. 1580. T. I, pag. 14. W wieku przeszłym wydał Józef Frova de Vercelli, kanonik laterański i profesor teologii w Rzymie, obszerną rozprawę o obrazach, w której następujące znajdujemy zdanie: „Latet ne aliquem adhuc, quod superius affirmabam, videret tribus primis Ecclesiae saeculis vix ullam sacram imaginem extitisse“. Zob. w znanem już dziele hr. de Richemonta: *Les Catacombes Romaines*, str. 273, 274.

Po długiej i mozolnej pracy udało się temu opatrznociowemu człowiekowi otworzyć przystęp do najciekawszych cmentarnych galeryj podziemnych, w których do dziś dnia wystawione są prace patryarchów sztuki chrześcijańskiej, stworzyć szereg kryterów do odnalezienia czasu powstania malowideł, i dać nam do ręki klucz do odcyfrowania ich treści. Na podstawie tych prawideł, których głęboką trafność uznali najznakomitsi znawcy starochrześcijańskiej sztuki, jak Vitet, Lenormant, Kugler, Northcote, Brownlow, Welcker, Garrucci, odniósł on niektóre freski cmentarza św. Domitylli, Pryscylli, krypty Lucyny, do końca I i w same początki II wieku. Wykazał dalej, że sztuka wieku II przewyższa sztukę III-go i IV-go wieku nie tylko bogactwem treści i technicznym wykonaniem motywów, ale także ilością utworów; a ztąd wyciągnął wniosek, że sztuki piękne nie wkra- dły się do Kościoła cichaczem i jakby przypadkowo, ale były przedmiotem, którym interesowały się powszechnie wszystkie stany.

Powodów tego ogólnego zainteresowania się ze strony wiernych sztuką, odnaleźć nie trudno. Kto zna nieco głębiej ducha chrystyanizmu, ten postawi *a priori* twierdzenie, że Kościół musiał już u swej kolebki otoczyć się sztukami pięknymi. Wszak on czcicielem i krzewicielem prawdziwego piękna — a ztąd między nim a sztuką związek jest naturalny, konieczny. Dlań artykułem wiary była prawda, że pierwszym artystą jest Bóg, architekt i malarz, co tak pięknie urządził wszechświat pod miarą, liczbą i wagą. On uczył, że ten Mistrz, zawsze gotowy przelać na stworzenie swoje promienie chwały, jemu jedynie należnej, wyjawiał bezpośrednio ludzkości sekretu architektury, kiedy Mojżeszowi podał plan do pierwszej świątyni — i że tyle razy odsłania tajemnice sztuki, ilekroć wlewa w dusze wybrańców te wyjątkowe *charismata*: głębokie poczucie piękna, potrzebę i siłę naśladowania twórczej potęgi bożej, przez danie bytu areydziałom farby lub rzeźby. A skoro raz uznał Kościół ten talent twórczy za siłę dodatnią w człowieku, to nie mógł ani na chwilę obchodzić się z nim po macoszemu, i nie dać mu sposobności działania i ujawnienia się na zewnątrz; albowiem

obowiązkiem jego nie tamować, ale prowadzić wszystkie talenta swych dzieci ku ciąglemu, harmonijnemu rozwojowi¹. Zresztą już sama potrzeba skłaniała Kościół od pierwszej chwili do wzięcia w opiekę sztuk pięknych: one to bowiem musiały wystawić mu dom boży, odpowiadający duchowi ewangelii — a potem stworzyć mu ołtarz, ambonę, chrzcielnicę, naczynia święte, szaty liturgiczne i wszystkie inne ozdoby tego domu, mieszkania Pana Zastępów.

Inny powód, dla którego Kościół już w pierwszych latach swego istnienia otaczał opieką sztuki piękne, leżał w duchu owych czasów. Świat starożytny do tego stopnia był przyzwyczajony do form artystycznych, że nawet najzwyczajniejsze rzeczy, jak naczynia kuchenne, ciężarki do wagi, marki teatralne, były w swoim rodzaju dziełami sztuki; tem chętniej zaś widział rzeźby i freski na placach publicznych, w salonach i grobowcach. Gdyby tedy Rzymianin, po przyjęciu chrztu, musiał być nagle zerwać wszelką styczność ze światem artystycznym, byłby się prawdziwie czuł pokrzywdzonym; a takiej krzywdy Kościół nie potrzebował, ani mógł się dopuścić. „Wykluczając z pogaństwa i żydostwa to wszystko, ale to stanowczo, co było fałszem, lub mogło stać się niebezpiecznem — napisał przed kilku laty jeden z naszych znawców sztuki, — a pozwalając bez ekskluzywności i ciasnoty duchowej na to, na co pozwolić sumiennie, mogło, chrześcijaństwo stanęło odrazu w prawdzie zupełnej i w miłości, gdy się tak chętnie do potrzeb i godziwych przyzwyczajęń natury ludzkiej stósowało“².

¹ Die alte Kirche, — pisze Kraus — hatte keine berechtigte Anlage und Neigung des Menschen zu unterdrücken unternommen; sie hat das ästhetische Gefühl trefflich mit der Religion zu vereinen und der Kunst ihre Stellung in der Kirche zu geben gewusst: es war die natürliche Consequenz der katholischen Auffassung von Natur und Gnade und der Kirchlichen Lehre, dass durch die Erbsünde zwar die natürlichen Kräfte des Menschen geschwächt, aber keineswegs die Anlage zum Göttlichen aufgehoben worden sei. *R. S.* str. 220.

² Zob. piękny artykuł ks. Skrochowskiego: „Pierwsze ołtarze chrześcijańskie“. *Przegląd Powszechny* r. 1887. T. XVI, str. 199. Porówn. także: Lehner, *Die Marienverehrung in den ersten Jahrhunderten*. Stuttgart 1886. 2. Aufl. 283.

Sztuka klasyczna odżyła raz jeszcze i doszła nawet do pewnego stopnia powtórnego rozkwitu za panowania Flawiuszów, Trajana, Hadryana i pierwszych Antoninów. W tym czasie wzrosła też w stolicy liczbą artystów; a z tych przyjęli niektórzy — idąc za przykładem swych możnych protektorów, — chrześcijaństwo, i poświęcili swe talenta ozdobieniu podziemnych kaplic i galeryj cmentarnych. Imion ich i bliższych szczegółów życia nie znamy: to wszakże pewne, że byli w największem poszanowaniu w Kościele¹.

Po tych kilku ogólnych uwagach o początkach sztuki chrześcijańskiej, nasuwa się pytanie: z jakiej szkoły wyszli pierwsi artyści Kościoła, i według jakich pracowali wzorów?

Na pytanie, z jakiej szkoły wyszła sztuka starochrześcijańska, odpowiadają zgodnie wszyscy miłośnicy studyów katakumbowych, że wyszła ze szkoły grecko-rzymskiej. Rozchodzą się jednak ich zdania, gdy chodzi o bliższe określenie stosunku tej sztuki do klasycznej, i o oznaczenie, co chrystyanizm wniósł w nią ze swego, a co przyjęła ona z pogańskiej. Stają tu na przeciw siebie dwie głównie szkoły: katolicka i protestancka, — choć o szkole protestanckiej, jak umiarkowańsi między nimi sami przyznają, w ścisłym słowa znaczeniu, właściwie mowy być nie może². *Quot capita, tot sensus* — sprawdza się i tutaj: każdy z nich chce być oryginalnym, i kuje własny system o początkach pierwotnej sztuki kościelnej, choć nieraz ani jednego nie oglądał monumentu.

¹ Zob. Rossi, *R. S. T. I.* str. 196 i nast.

² Zob. dzieło protestanta Pohla: *Die altchristliche Fresko- und Mosaik-Malerei*. Leipzig 1888. „Es ist überhaupt mit wenig Recht — pisze on na stronie 132 — von einer protestantischen Schule zu sprechen; denn mehr oder weniger gehen ihre Vertreter alle verschiedene Wege, wie Raoul-Rochette, Münter, Piper, Victor Schultze, Roller... während die katholische Schule ein festgefügttes System der Auslegung und Darstellung hat, dem sich auch die mehr selbständig urtheilenden Gelehrten, wie z. B. der Freiburger Prof. Kraus anzuschmiegen wissen“.

Do najskrajniejszych protestantów, piszących o katakumbach, należy profesor historii w Greifswaldzie, Wiktor Schultze. Jego zdaniem, była chwila, kiedy sztuka w Kościele była czysto pogańska; dopiero w połowie II wieku począł w niej element chrześcijański przeważać, choć jeszcze i we freskach z tych czasów nie trudno odnaleźć reminiscencye poganizmu¹.

Myśl mistrza rozprowadzili dalej dwaj jego uczniowie, Hansenclever i Achelis, którzy w dwóch paszkwilach², pełnych arogancyi i napuszytości, ogłosili *urbi et orbi*, że oni dopiero odkryli jedynie prawdziwą drogę do wytłómaczenia genezy i odcyfrowania treści starokościelnej rzeźby i malarstwa. System Rossi'ego jest i musi być fałszywy, bo gdyby okazał się prawdziwym, to zostałaby przezeń potwierdzona dogmatyka rzymska. Oto kwintesencya ich rozumowania. Ostateczny argument brzmi u obu zazwyczaj: *Schultze locutus est* — mistrz powiedział; a gdy przeciwnik zda się jeszcze dychać, Achelis, jako najmłodszy, ma strzał jeszcze jeden — „zobacz u Hasenclevera“.

Jak obaj zaś pojmują na seryo badania archeologiczne dowodem własne słowa Achelisa, że nietylko katakumb nigdy nie widział, ale nawet dzieł Rossi'ego nie czytał³; oraz wyznanie Hasenclevera, który przyparty w ostatnich miesiącach do muru przez dzielnego ucznia Rossi'ego, Wilperta⁴, wyznał, że zajmuje się archeologią tylko dla wytechnienia, w chwilach wolnych od pracy parafialnej.

¹ „Die christliche Kunst ist auf dem Boden der antiken Kunst entstanden, hat diese zur Voraussetzung. Es gab eine Zeit, wo die Kunst der Kirche die unverändert heidnische war“. Zob. jego: *Die Katakomben*. Leipzig. 1882. str. 90.

² *Der altchristliche Gräberschmuck. Ein Beitrag zur christlichen Archäologie*, von Dr Adolf Hasenclever, Pastor in Braunschweig. Braunschweig 1886. — Dr Hans Achelis: *Das Symbol des Fisches und die Fischdenkmäler der römischen Katakomben*. Marburg 1888.

³ Zob. l. c. str. 3. 4.

⁴ Zob. przytoczone już: *Principienfragen der christl. Archäologie*, i dalej: *Nochmals Principienfragen der christlichen Archäologie*, Separat-Abdruck aus der *Römischen Quartalschrift*. Jahrgang 1890. Rom 1890.

Aby zaś nas nikt nie posądził, że mówimy o naszych przeciwnikach uniesieni ślepą gorliwością *pro domo sua*, — przypatrzmy się jeszcze ich pracom trochę bliżej, a potem przytoczymy wydany na nich wyrok przez protestanta Pohla.

Utrzymują oni, że w pierwszych wiekach o sztuce i artystach chrześcijańskich ani mowy być nie może; tak zwana sztuka chrześcijańska była tylko echem pogańskiej i bezdusznem jej naśladowaniem, tak co do formy jak i co do treści, a malarze i rzeźbiarze kościoła, zwykłymi rzemieślnikami, co bezmyślnie reprodukowali utwory klasyczne. Jeżeli ich jaki chrześcijanin najał, aby mu grobowiec familijny ozdobili malowidłami, to musieli odbyć wprzód pielgrzymkę do grobów pogańskich; tam znaleźli na ścianach jużto sceny mitologiczne, już krajobrazy lub proste znaki ornamentacyjne, które następnie przenosili żywcem do cmentarzy chrześcijańskich, i powtarzali przez długie lata na grobach, jako czystą dekorację. Dopiero znacznie później poczęto zastępować obrazy mitologiczne scenami, zaczerpniętymi z biblij, i podsuwać równocześnie myśli chrześcijańskie nawet owym freskom, które pierwotnie prostą tylko były ornamentacją.

Powstanie tej, jakby umyślnie nieprzychylnej chrystyanizmowi teorii o początkach starochrześcijańskiej sztuki tłómaczy nam najlepiej ów ustęp książki Hasenclevera, w którym wypowiada swe poglądy na powstanie chrystyanizmu w ogóle, twierdząc, że nie jest on owocem objawienia, lecz tylko dalszym etapem na drodze rozwoju ducha ludzkiego, a zwłaszcza pewnym rodzajem ewolucyi z filozofii platońskiej i z żydowszczyzny¹. Kto

¹ Mann muss mit der Einfügung der altchristlichen Kunst in den Zusammenhang der gesammten Kunstentwicklung wirklich Ernst machen, muss speciell die Bedeutung des altchristlichen Gräberschmucks zu erfassen suchen im engsten Zusammenhang mit demjenigen der antik-römischen Welt. Wenn wir das thun, so folgen wir damit nur der *historischen Betrachtungsweise* über die Entstehung und Ausbildung des Christenthums, wie solche in unseren Tagen erwacht ist. Der historische Sinn unserer Zeit hat ja auch die neuere Theologie vermocht, das Christenthum in die gesammte Geistesentwicklung des Men-

take postępowe ma pojęcie o powstaniu swej religii, komu teologia chrześcijańska jest tylko dalszym naturalnym rozwojem przedchrześcijańskiej, — temu zapewne nie trudno także było dopatrzeć się dalszego ciągu poganizmu w pierwotnej sztuce kościelnej. Uchwycił się zaś Hasenclever za Schultzem tej teorii tem chętniej, że schlebiał sobie, iż obali nią jednym zamachem wszystkie konkluzye, jakie ze studyów nad monumentami sztuki katakumbowej historycy i teologowie katolicycy wyprowadzają dla historii początków chrześcijaństwa, pierwotnego ustroju i wiary Kościoła rzymskiego; innemi słowy: chciał stać się Straussem i Renanem między archeologami chrześcijańskimi, i wnieść czempredzej rozkład w tę nową umiejętność, która groźną wypowiedziała wojnę protestanckiemu racjonalizmowi. Hasło Szultzego, Achelisa i Hasenclevera da się w ten sposób sformułować: „Niech pierwotna sztuka kościelna będzie raczej pogańską, niżby się pokazać miało, że jest katolicką“.

„Przyznać musimy — pisze Pohl — że jeszcze żaden tłumacz starochrześcijańskich malowideł nie uporał się z monumentami tak łatwo, jak Hasenclever, który rości sobie pretensye, że on jeden rozwiązał rzecz dobrze. My jednak żadną miarą na jego poglądy o niewolniczej zależności najstarszej chrześcijańskiej sztuki od klasycznej godzić się nie możemy“...¹

schengeschlechts einzureihen, ein Bestreben, welches von der römischen Kirche bis zum heutigen Tage gründlich ignoriert wird; sie betrachtet die Entstehung des Christenthums wie einen *deus ex machina*, und ist darum auch nicht im Stande, dem mit der antiken Kulturwelt bestehenden Zusammenhang des altchristlichen Kulturlebens auf seinen einzelnen Gebieten nachzugehen. Und doch hat jene historische Betrachtungsweise neue theologische Disciplinen geschaffen, wie das Leben Jesu und die neutestamentliche Zeitgeschichte; sie hat uns gezeigt, wie die antike Philosophie wesentliche Formen dargelichen hat, in denen die Entwicklung der dogmatischen und ethischen Lehrsysteme der Kirche und einzelner Väter erwachsen ist. Wer wird leugnen können, dass für die Christologie die letzten Wurzeln im Platonismus liegen? l. c. str. 16.

¹ „Wir müssen gestehen, dass sich auf eine so leichte Art und Weise bisher noch kein Ausleger altchristlicher Bildwerke die Sache zurechtgelegt hat, welcher mit der Prätension Hasenclevers diesen Weg als den allein richtigen bezeichnet. Weder der Ansicht von der Abhängigkeit

Obok Pohla, zbliżają się do poglądów szkoły katolickiej na powstanie katakumbowej sztuki i jej stosunku do współczesnej sztuki rzymskiej: zmarły niedawno profesor berliński Piper¹, pastor francuski Roller² i Ferdynand Becker³.

Kiedy mówimy o szkole katolickiej, nie mamy na myśli wszystkich archeologów katolickich starszych i nowszych, lecz tylko poważnych współczesnych badaczy starożytności chrześcijańskich, pracujących według zasad i metody Rossi'ego: jak Le Blant'a, Garrucci'ego, Pitrę, Spencera Northcot'a, Brownlowa, Martigny'ego, Krausa, Wilperta, Stevensona — i kilku innych. Za punkt wyjścia przyjęła ta szkoła słowa Raoula Rochett'a: *un art ne s'improvise pas* — sztuka nie powstaje w jednej chwili. Podobnie, jak swe epitafia chrześcijanie pisać musieli gotowym już alfabetem, i jak Kościół nie mógł w jednej chwili stworzyć całkiem nowego języka teologicznego, ale musiał wtlaczać swe dogmata w istniejący już język łaciński i grecki, — tak nie mógł także w jednym momencie powołać do życia z gruntu nowej i oryginalnej pod każdym względem sztuki; a ztąd też już *a priori* spodziewać się trzeba pewnej zależności sztuki chrześcijańskiej od klasycznej. Pytanie jak daleko sięgała ta zależność?

Przy każdym utworze sztuki należy rozróżniać dwie rzeczy: technikę i treść. Można pytać: co obraz przedstawia, i jak rzecz przedstawia? Technika — to materyalna strona obrazu: doskonałość rysunku, harmonia farb, rozmieszczenie przedmiotu głównego i jego akcesoryów, słowem — rama, strój zewnętrzny,

der altchristlichen Kunst nach dieser Seite hin, noch der Schlussfolgerung, die er daraus zieht, können wir uns anschliessen. Die Entscheidung der neueren klassischen Archäologie in Betreff des römischen Gräberschmuckes ist für die Deutung des Bilderschmuckes der Katakomben durchaus nicht massgebend, ganz abgesehen davon, das Hasenclever diese Entscheidung *falsch aufgefasst hat*“ l. c. str. 141.

¹ Zob. jęgo: *Einleitung in die monumentale Theologie*, Gotha 1862; *Mythologie und Symbolik der christl. Kunst*. Weimar 1847—51, B. I, II.

² Roller Theodor, *Les Catacombes de Rome. Histoire de l'art et des croyances religieuses pendant les premiers siècles du Christianisme*. Paris 1881. Vol. I. II.

³ *Die Wand- und Deckengemälde der röm. Katakomben*. Gera 1876; *Die Darstellung Jesu Christi unter dem Bilde des Fisches*. Breslau 1866.

i zewnętrzna powłoka myśli czyli treści. Sztuka klasyczna miała technikę już gotową, wyrobioną na niezliczonych arcydziełach pędzla i dłuta; zaś treść czerpała najczęściej ze skandalicznych kronik mieszkańców Olimpu lub też ze skażonego życia codziennego.

Rzecz jasna, że artyści chrześcijańscy mogli ze szkoły klasycznej przejąć to tylko, co nie sprzeciwiało się ich prawdom wiary i moralności — a więc jedynie tradycje techniki grecko-rzymskiej; musieli zaś odrzucić i odrzucili stanowczo od pierwszej chwili treść pogańską, zastępując ją duchem i ideami, zaczerpniętymi z ewangelii. Jest więc w starych kreacjach sztuki kościelnej pewien, powiedzielibyśmy, synkretyzm, czyli pewne pomieszanie pierwiastków chrześcijańskich z pogańskimi; te ostatnie są jednak tylko akcesoryami¹, podczas gdy istota obrazów, czyli ich dusza i treść, jest czysto chrześcijańska. Idziemy dalej — i twierdzimy, że nawet i ta strona techniczna nie przeszła żywcem do sztuki chrześcijańskiej. Artyści kościelni, mając się form artystycznych już gotowych i napędzając je nową treścią, — przenikali je równocześnie nowym duchem, wyzuwali z grubego materjalizmu i przeistaczali w formy chrześcijańskie. Tym sposobem weszła wprawdzie sztuka klasyczna do chrześcijańskiej, jako ważny element składowy, ale pod każdym względem przerobiona, oczyszczona, uduchowiona i wszechstronnie zmodyfikowana. Co więcej? — Od pierwszej zaraz chwili wydała sztuka kościelna cykl obrazów — wymieniamy tu tylko *Madonnę z Dzieciątkiem* i *Izajaszem*, *adorację Magów* i *Zwiastowanie* — które treścią i formą zarazem na wskrós są chrześcijańskie, i którym nic podobnego nie odpowiada w utworach klasycznych.

Z drugiej strony jednak chętnie przyznajemy, że na ścianach cmentarnych i w rzeźbie sarkofagowej znalazło pomieszczenie także kilka mytów pogańskich; stało się to jednak dlatego tylko, że z tych opowieści mitologicznych uleciała

¹ Pod akcesoryami rozumiemy formę zewnętrzną, a głównie elementy czysto dekoracyjne.

z czasem treść pogańska, i zeszyły one do rzędu zwyczajnych allegoryj. Do takich figur, żywcem przejętych ze sztuki pogańskiej, należą: Amor i Psyche, Ulisses, przywiązany do masztu swego okrętu i słuchający śpiewu syren, a wreszcie tracki śpiewak Orfeusz¹, co potęgą tonów rwał za sobą lasy, powstrzymywał rzeki w ich biegu, i więził u swych stóp dzikie zwierzęta. Siedzi on zwyczajnie między drzewami, na głowie ma czapkę frygijską, w ręce trzyma cytrę, podczas gdy u jego nóg spoczywają pawie, gołębie, żółwie, konie, owce, lwy i węże. Ulubiony ten przez całą starożytność myt, przyjął Kościół w cykl swych malowideł dla głębszego powodu: widział on w Orfeuszu typ Chrystusa, w którego królestwie, według wyrażenia Izajasza, „wilk z jagnięciem a pard z kozłkiem legać będzie“². Jeden Chrystus, — mówi pięknie św. Klemens aleksandryjski, — przed wszystkimi Orfeuszami, którzy kiedykolwiek żyli, ujarzmił najtrudniejsze do ujarzmięcia zwierzę, to jest: — człowieka³.

Wypada nam jeszcze dopowiedzieć choć słów kilka o stronie technicznej starochrześcijańskiej sztuki. Oto, jeżeli sztuka kościelna przewyższa współczesną klasyczną pod względem treści o tyle, o ile światło góruje nad ciemnością, — to pod względem materyjalnej doskonałości i wykonania pojedynczych fresków stoi w ogólności niezaprzeczenie niżej. Jakie mogą być powody tej niższości? Pierwszy leży chyba w tem, że Kościół miał mniej zdolnych artystów niż szkoła pogańska; drugiego szukać należy w pewnych trudnościach, z którymi walczyć musieli kościelni, a których nie znali klasyczni. I tak, pomijając już tę okoliczność, że stósownie do ducha ewangelicznej treści musieli dopiero dostrajać formę zewnętrzną, — nadto pracowali w warunkach o wiele gorszych od swych kolegów pogańskich, bo w miejscach ciasnych i wilgotnych i zdala od światła dzien-

¹ Dotychczas odkryto w katakumbach cztery obrazy Orfeusza: dwa u św. Domitylli, jeden w cmentarzu św. Kaliksta, a jeden u św. Pryscylli.

² Isaj. R. XI, w. 6.

³ Clem. Alexandr. *Cohortatio ad gentes*. Edit. Oxoniensis 1715, str. 4, n. 2.

nego¹. Choć z drugiej strony mamy w najstarszym dziale ementarza Domicylii, Lucyny, Pretekstata, Pryscylli kilka fresków, które prawie niczem nie ustępują współczesnym utworom klasycznym; już znacznie niżej stoją obrazy III i IV w. I w ogóle: im dzieło sztuki bliższe jest czasów apostołskich, tem wyższe miejsce zajmuje w hierarchii dzieł pędzla i dłuta; im zaś więcej od nich oddalone, tem niższe jest nie tylko pod względem wykonania, ale nieraz także uboższą treścią.

Sztuka chrześcijańska szła więc drogą wprost przeciwną od etruskiej, greckiej i innych; podczas gdy bowiem te ostatnie zaczęły swój żywot od prób lichych pod względem rysunku i ubogich co do farby, i dopiero z czasem się rozwinęły, — to przeciwnie chrześcijańska kwitnie u samego początku, a upada już w drugiej połowie wieku III. Dziwne to zjawisko tem się tłumaczy, że w I i II wieku — jak już powiedzieliśmy — dzwignęła się jeszcze na chwilę z upadku sztuka klasyczna, która

¹ Jeszcze inny powód podaje hr. Richemont, *Les Catacombes*, str. 490. „Nie dziwny się wcale — pisze on — tej niższości pod względem techniki sztuki chrześcijańskiej od klasycznej, ponieważ ideał estetyczny i artystyczny nie mógł być ani powołaniem ani też najgłówniejszą dążnością owej epoki, w której tak obficie płynęła krew chrześcijańska. Równocześnie jednak bezstronny sędzia musi przyznać, że sztuka katakumkowa jest ważnym etapem na drodze do owego ideału chrześcijańskiego, który po długich latach próby i doświadczenia, robi takie olbrzymie kroki, jak od Giotto do Fra Angelika, od Fra Angelika do Rafaela“. — „Et cependant devons-nous renoncer à reconnaître dans l'art des catacombes une étape vers cet idéal chrétien, qu'après des longs siècles d'épreuves on poursuivra à pas de géant de Giotto à fra Angelico, de fra Angelico à Raphaël, et dont la perfection, plus haute que tout effort, fera à jamais l'aliment, l'honneur et le désespoir de ceux, qui y aspirent! Rien n'est plus loin de ma pensée. L'art chrétien est avant tout une porte pour faire entrer l'esprit dans le monde surnaturel; c'est un discours à la fois éclatant et silencieux, chargé d'exalter les grandes vérités et de provoquer aux grandes vertus. Fleurissant surtout sur les deux classes de monuments placés comme sur la frontière du visible et de l'invisible, les églises et les tombeaux, il a pour mission de rendre visibles en quelque manière les objets de la foi, de faire penser, aimer, prier. Or l'art des catacombes a rempli magnifiquement son rôle dans cette sublime vocation; il a accompli ce qu'on me permettra d'appeler son devoir matinal“.

swą szatą zewnętrzną za wzór służyła pierwotnej sztuce kościelnej.

Zwłaszcza krajobrazy i dekoracya wieku I i początków II, nie ustępuje prawie w niczem freskom pompejańskim. Ta sama w nich metoda grupowania różnych elementów, ten sam sposób rozmieszczenia akcesoryów i ornamentyki w stosunku do przedmiotu głównego. Przedmiot główny zajmuje zwyczajnie miejsce honorowe, jak środek sklepienia lub ściany, a koło niego dopiero rozłożona jest ornamentyka, co prostotą swych linii przypomina często gust helleński¹. W ornamentyce uwydatnia się pewna płodność, twórczość i różnaitość. Znajdziesz tam wazy pełne owoców, girlandy, karyatydy z koszami kwiatów na głowie, różnego rodzaju ptactwo, delfiny i potworki morskie; gdzieindziej widne sceny z życia pasterskiego, skrzydlate amorki i geniusze, winne gałęzie, winobranie, a często także personifikacye pór roku.

Jaki jest główny charakter starokościelnej sztuki — to kardynalne pytanie w archeologii chrześcijańskiej — dawno już rozwiązał de Rossi, wykazawszy, że malowidła i rzeźby pierwszych czterech wieków Kościoła są prawie wyłącznie natury symbolicznej². Znaczy to, że Kościół katakumbowy wyrażał swe idee porządku nad-

¹ Zob. Kugler, *Handbuch der Geschichte der Malerei*. Leipzig 1867. „Die Raumvertheilung — pisze on w. T. I, na str. 53 — und die Decorationweise der Bilder, setzen sie den besten Wandgemälden aus der Zeit des Kaiserreiches an die Seite, sowie die Arabesken an die Gemälde in Pompeji und die Bäder des Titus erinnern“.

Imny znawcy sztuki, — Vitet — tak opisuje stronę techniczną kilku fresków: „Par la combinaison des formes, par l'harmonieuse variété des couleurs, ce genre de décoration n'est pas inférieur au système de Pompei; seulement il n'en a pas la grâce et la gaieté“. *Journal des Savants*. r. 1866, str. 90; Porówn. także Kraus, *R. S.* str. 217 i nast.

² Zdaniem Krausa 95⁰/₁₀₀ z wszystkich malowideł katakumbowych jest natury symbolicznej. Zob. *Real-Encyklop. der christl. Alterthümer*, artykuł: *Lazarus*, stron. 287.

przyrodzonego przez figury i godła, których mu dostarczały królestwo roślinne, zwierzęce i przedmioty życia codziennego¹. Z obrazu każdego płynie myśl podwójna: pierwsza rodzi się w duszy bezpośrednio, skoro tylko oko spocznie na malowidle, a wyraża ona albo jakieś zdarzenie historyczne, albo też szczegół z życia codziennego i otaczającej nas przyrody. Nie wolno jednak widzowi na tem poprzestać i zadowolnić się już tą pierwszą myślą: ma ona naprowadzić go na myśl drugą, od pierwszej wprawdzie różną, ale zostającą w związku z nią bądź naturalnym bądź konwencyonalnym. I tak rzeźbiąc n. p. kotwicę na grobie zmarłego, nie rzeźbił jej artysta w tym celu, aby żyjącym przypominała kotwicę z żelaza, ale żeby obrazem była nadziei chrześcijańskiej, którą zmarły w życiu i przy śmierci pokładał w Bogu; gołąbek z gałązką oliwną w dzióbku był obrazem duszy chrześcijańskiej, spieszącej po odniesionem zwycięstwie nad nieprzyjaciółmi zbawienia do przybytków niebieskich, gdzie czeka na nią pokój wieczny.

Oprócz tego posługiwała się jeszcze stara sztuka, dla oddania i uzmysłowienia dogmatów kościelnych, scenami z życia codziennego i faktami historycznymi St. Zakonu. Rybołostwo symbolizuje opowiadanie Ewangelii i chrzest; Daniel, najczęściej nagi między lwami, i trzech młodzieńcy w piecu ognistym, są obrazem męczennika, skazanego dzikim zwierzętom na pożarcie, i figurami przyszłego zmartwychwstania ciał. Inny fresk przedstawia Mojżesza w chwili, kiedy laską uderza w skałę na puszczy. I tu także zamierzał stworzyć artysta coś więcej, niż zwyczajny obraz historyczny; chciał mianowicie — jak to później jeszcze zobaczymy, — by ten Mojżesz, wyprowadzający cudem wodę ze skały dla spragnionego Izraela, symbolizował Chrystusa Cudotwórcę i Dawcę wszelkiego życia nadprzyrodzonego, a dalej

¹ „Unter symbolischen Bildern verstehen wir solche, — pisze Kraus — in welchen der dem Auge dargebotene Gegenstand nicht seiner selbst wegen dargestellt ist, sondern auf einen anderen Gedanken hinweisen soll, der von dem dargestellten Objekt zwar verschieden ist, aber doch, sei es in natürlicher sei es in conventioneller Beziehung zu ihm steht“. *R. S.* str. 234.

jeszcze Mojżesza N. Zakonu to jest, Piotra św. którego zadaniem jest, prowadzić wiernych przez pustynię tego życia do ziemi obiecanej, i zasilić ich we wodę łaski bożej, wyprowadzonej ze skały Chrystusa.

Cały ten symbolizm znajdujemy w starej rzeźbie chrześcijańskiej. Oto dwa przykłady.

Na dolnym fryzie sarkofagu prefekta Rzymu, Juniusza Bassusa, który znajduje się w podziemiach bazyliki św. Piotra i pochodzi z r. 359 po Chr., widzimy następujące sceny:

Miejsce trzech młodzieńców w piecu ognistym zajmuje owieczka. Owieczka uderza łaską w skałę i wyprowadza wodę, podczas gdy inna pije. Znowu inna owieczka rozmnaża łaską chleb na puszczy; owieczka stawia dalej nogę na głowie drugiej, podczas gdy gołąbek wylewa na tę ostatnią strumień światła, co widoczną zawiera alluzję do chrztu Chrystusa w Jordanie. Owieczka odbiera ze czią zakon pański; owieczka wreszcie wzbudza łaską z grobu zmarłego Łazarza do życia. Zastąpienie postaci ludzkiej przez owieczkę, dowodzi oczywiście charakteru symbolicznego tych scen; a więc też dowodzi, że i tam gdzie te same sceny z ludzkimi postaciami znajdujemy, to samo symboliczne znaczenie ma miejsce.

Na innym sarkofagu aresztują św. Piotra żołnierze Heroda w chwili, kiedy on spragnionym żydom wyprowadza wodę ze skały¹. W jednym

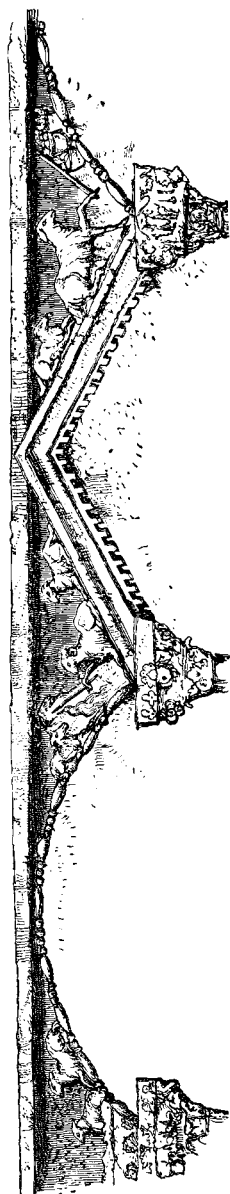


Fig. 2. Dolny fryz sarkofagu Juniusza Bassusa.

¹ Exod. XVII, 6.

obrazie, a właściwie nawet w jednej figurze, są tu złączone czyny dwóch osób: Mojżesza i Piotra — oddalonych od siebie wiekami, ale zbliżonych godnością i posłannictwem względem powierzonych sobie ludów. Czasami znowu przedstawia jedna i ta sama rzeźba czyny tej samej osoby, chociaż one nie miały miejsca w tym samym czasie. Zjednoczenie to i wyrażenie pod szatą jednej kreacji kilku wypadków historycznych, nazwał O. Garrucci T. J., autor znakomitego dzieła o pierwotnej sztuce kościelnej, *kompenetracją*¹.

W tem tłumaczeniu i przyznaniu starej sztuce chrześcijańskiej charakteru symbolicznego, widzą protestanci największe dla siebie niebezpieczeństwo. Jak sobie tedy radzą? — Schultze wykreślił jednym zamachem, nie siłąc się wcale na uzasadnienie tego czynu, znaczną liczbę malowideł z listy obrazów symbolicznych, sprowadzając je do rzędu czystej dekoracji; innym zaś, którym już symbolizmu żadną miarą odmówić nie mógł, podsuwa tłumaczenie najdowolniejsze.

Znacznie dalej poszli w tej destrukcyjnej pracy Hasenclever i Achelis. Ich zdaniem związek między sztuką kościelną a współczesną klasyczną jest najściślejszy; a ponieważ sztuka klasyczna nie była symboliczną, ale tylko czystą ornamentyką, — więc i chrześcijańska, jako jej ciąg dalszy, nie ma charakteru symbolicznego, lecz zwyczajną jest tylko dekoracją. Jest wprawdzie — przyznają — w katakumbach kilka symbolów, ale te dostały się tam zupełnie przypadkowo i bez jakiegokolwiek myśli głębszej.

Usiłując obronić swe zdanie i nie dopuścić, aby archeologowie wydobywali z malowideł głębszą treść teologiczną, ucieka się Hasenclever do takich przypuszczeń, jak np., że artysta a właściwie rzemieślnik — omylił się, kiedy obok Mojżesza, wypro-

¹ „L'uso di unire insieme, e in una persona o in un gruppo, espressioni ed azioni di tempi e di luoghi e di persone diverse; il qual modo d'inventare io chiamai con nuovo vocabolo *compenetrare*, e dirò *compenetrazione* l'opera che si fa di unire in una sola persona istorie diverse, ovvero azioni e tempi e luoghi diversi“. *Storia della Arte Cristiana nei primi otto secoli della Chiesa*. Prato 1881. T. I, str. 41.

wadzającego wodę ze skały, napisał imię Piotra (Petrus). Na innem miejscu fałszuje wprost Pismo św., aby tylko nie przyznać, że cudotwórca i zakonodawca St. Testamentu symbolizuje urząd św. Piotra i jego Następców. I tak twierdzi, że osoba którą jacyś ludzie więżą w chwili, kiedy ona wyprowadza wodę ze skały, nie oznacza weale św. Piotra, ale tylko wyłącznie Mojżesza, którego lud izraelski uwięził i znieważył czynnie za to, że nie zaspokoił natychmiast jego żądań¹. Tymczasem fakt uwięzienia św. Piotra nie ulega najmniejszej wątpliwości², podczas gdy w XVII rozdziale Księgi Wyjścia czytamy tylko o szemraniu ludu przeciw swemu przewodźcy.

Jak zaś Achelis pojmuje na seryo studia nad sztuką, pokaże następujący przykład.

W krypcie Luciny, u św. Kaliksta, jest bardzo stary fresk, który przedstawia żywą rybę, niosącą na grzbiecie kosz, upleciony z wikliny. W koszu tym widzą wszyscy kilka chlebów, podobnych kształtem zupełnie do owych bochenków, które Izraelici zwali *mappala* i składali jako ofiarę w ręce kapłanów, i flaszeczkę z czerwonym winem³. Co czyni Achelis? Oto, by zniszczyć zdanie katolików i kilku protestantów, którzy w tym chlebie i winie widzą postacie eucharystyczne, oświadcza spokojnie, że tam flaszeczek nie ma, i naznacza następnie temu obrazowi, pełnemu głębokiej symboliki, miejsce między figurami czysto dekoracyjnymi.

Wstrzymujemy się od wydania powtórnego sądu o tej pisaninie, której brak już nie tylko wszelkiej podstawy krytycznej, ale nawet sumienności, i która jest obliczona chyba jedynie na zupełną niewiadomość i łatwowierność ogółu czytelników protestanckich, a wskażemy jeszcze na klucz do odcyfrowania treści starochrześcijańskiej sztuki.

¹ Zob. *Der altchristl. Gräberschmuck*, str. 257.

² Dzieje Apost. XII, 3.

³ Flaszeczek, napełniona czerwonym winem, przegląda przez plecionkę. Zdaje się, że św. Hieronim miał przed oczyma podobny obraz, kiedy pisał: „Nikt nie jest bogatszy od człowieka, który nosi przy sobie Ciało Chrystusa w koszyku plecionym, a jego krew w szklanym kielichu“. Epist. 125 ad Rustic.

Według zdania niektórych protestantów, pierwsi artyści chrześcijańscy byli tylko zwyczajnymi rzemieślnikami, którzy reprodukowali bezmyślnie na grobach chrześcijańskich strój grobu pogańskiego. Ile razy zaś chcieli stworzyć coś nowego i wyrazić dziełem sztuki jakąś myśl chrześcijańską, to praca ich tak źle zwyczajnie im się udała, że wydobyć tej myśli zpod powłoki farb prostem jest niepodobieństwem.

Nie zgadzają się na te poglądy znani nam już protestanci Pohl, Becker, Roller i Schultze, i utrzymują, że starzy artyści Kościoła czerpali natchnienie do swych utworów głównie z Pisma św. i z dzieł najstarszych Ojców i pisarzy kościelnych. Klucza tedy do zrozumienia katakumbowych pomników sztuki nie należy szukać gdzieindziej, jak w tych samych źródłach, które im dały początek.

Ogólna ta teza jest prawdziwa i pisze się na nią chętnie każdy archeolog katolicki; ale niestety, protestanci gdziekolwiek Pismu św. inne niż my podsuwają znaczenie, tam i z fresków dowolne zupełnie wysnuwają myśli.

Przeciwnie szkoła katolicka według stałego systemu — jak to sami przyznają protestanci — egzegetuje monumenta sztuki. Oto główne principia, postawione przez Rossi'ego:

Główną kopalnią, z której artyści chrześcijańscy brali treść do swych kreacyj, było zawsze Pismo św.: księgi święte należy tedy uważać za pierwszy i główny klucz do odcyfrowania treści pomników cmentarnych.

Czasami są malowidła tak jasne, że same się tłómaczą; niekiedy znowu wystarczy porównać obraz nieznaną z innemi freskami tej samej lub sąsiednich kaplic podziemnych, aby odgadnąć jego myśl przewodnią.

Innym razem dostarcza nam potrzebnego wyjaśnienia napis, umieszczony przy fresku. Jeżeli zaś zostaje jeszcze pewna wątpliwość co do znaczenia obrazu, wtedy pytać należy o radę Ojców i pisarzy kościelnych. Przedewszystkiem zaś radzić się pisarzy starszych lub współczesnych: oni to bowiem głównie przyczynili się swemi dziełami do wytworzenia szeregu myśli, który bezsprzecznie także wywarł wpływ potężny na

wyobraźnię twórczą artystów. Nie wolno tu też lekceważyć wskazówek Ojców, którzy żyli kilka lub kilkanaście dziesiątek lat po powstaniu obrazu; przelewali oni bowiem bardzo często na papier tradycje dawniejsze, których nie spisali autorowie starsi.

Uczony Le Blant odkrył jeszcze jedno ważne bardzo źródło, z którego brała swą treść pierwotna sztuka chrześcijańska. Starzy mistrzowie pytali — mówi on — Kościół o radę, co mają malować na grobach podziemnych, a Kościół objawiał im całe głębiny myśli w modłach liturgicznych, zwłaszcza w modlitwach, odmawianych przy konających i w *officium defunctorum*. Modlitwa za konających, której pełny tytuł opiewa: *Commendatio animae, quando infirmus in extremis est*, sięga treścią z pewnością jeszcze czasów krwawych prześladowań; na szklanym talerzu, znalezionym w Podgoricy w Albanii, a pochodzącym z wieku V, znajdujemy wprost z niej wyjęte ustępy. „Wyzwól Panie — modlił się kapłan w *Ordo commendationis animae* — z więzów duszę sługi twego, jako ocaliłeś Noego z wód potopu. Amen. Wyzwól duszę... jako wyprowadziłeś Abrahama z Ur w Haldei... jako wyzwoliłeś Joba z jego mąk... jako wyrwałeś Izaaka ze stosu ofiarnego i z ręki jego ojca Abrahama... wyzwól... jako uwolniłeś Daniela z jaskini lwiej... jako ocaliłeś trzech młodzieńców z pieca ognistego i z ręki złego króla“... A za kapłanem malował na grobie artysta chrześcijański Daniela we lwiej jamie, Joba na gnojowisku, Izaaka z wiązką drzew, Noego w arce, jako symbole dusz, co doznały już miłosierdzia Bożego, lub też wyczekują jeszcze z tęsknotą wybawienia z czyścowego ognia.

Że także rzeźbiarze korzystali z liturgicznych modlitw Kościoła, dowodem do dziś dnia zachowane płaskorzeźby sarkofagowe i napisy grobowe, z których dwa najpiękniejsze tu kładziemy.

Hic requiescit Successa c. m. f. (clarissimae memoriae femina). In somno pacis cum (si)gno fidei...

Jestto nagrobek Sukcesy, niewiasty z rodziny senatorskiej. Formuła: *in somno pacis cum signo fidei* — śpij snem po-

koju, naznaczony znakiem wiary — wzięta jest prawie żywcem z kanonu rzymskiego, gdzie kapłan modli się: *Memento etiam, Domine, famulorum famularumque tuarum, qui nos praecesserunt cum signo fidei et dormiunt in somno pacis.*

Na fragmencie napisu, znalezionej w Lyonie, czytamy:

Ut inter Electu... aby między wybranymi... Słowa te są zaczerpnięte ze starej modlitwy kościelnej: *Ut inter electos jubas adregare* — prosimy, abyś go między wybranymi umieścić raczył.

Ks. Dr. Józef Bilczewski.

POJĘCIA RELIGIJNE PERSÓW

ZA ACHEMENIDÓW.

(Dokończenie).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że istniały niegdyś stare kroniki perskie. Napotykamy często tak w klasykach jak i w Biblii wzmianki o pisarzach i kronikach perskich. W skład ogromnego państwa Achemenidów wchodziły ludy różnych ras i języków; rozporządzenia królewskie pisane były różnemi językami. *Kserkses* (biblijny Assuerus) „rozesłał listy po wszech ziemiach królestwa swego, aby każdy naród słyszeć i czytać mógł różnemi języki i pisma”¹. Na wybrzeżach Azji mniejszej wydawano rozporządzenia po grecku; w Poncie, Cylicyi, Syryi i Palestynie po arameńsku; w Egipcie językiem i pismem Faraonów; po asyryjsku w Asyryi i Babilonie; we właściwej Persyi, Medyi i Elamie trzech używano języków: perskiego, asyryjskiego i medyjskiego (nie aryjskiego). Wszystkie główne zdarzenia w państwie spisywane były w kronikach. Czytamy w księdze Estery: „Onej nocy król spać nie mógł, i kazał sobie przynieść historye i kroniki przeszłych czasów, które przed nim czytano”². Wiemy znowu z kądinąd, że Ktezyasz, grecki lekarz na dworze Artarksesa II, w tych właśnie kronikach czerpał wiadomości do swego dzieła; lecz dzieło to doszło nas tylko w wyjątkach, a same kroniki przepadły bezpowrotnie.

Skoro nadeszła wiadomość o odkryciu klinowych napisów perskich, pospieszyli uczeni europejscy, by je badać na miejscu; po długich i mozolnych próbach odnaleźli klucz do za-

¹ Ks. Estery, I, 22.

² II, 23.

gadkowego pisma, wskrzesili zamarły od dwudziestu kilku wieków język, i zapoznali Europę z zawartością cennych zabytków ¹.

Napisy perskie znajdują się w Persepolis, Suzanie, Bagastanie, Alwendzie i Nacheze-Rustem — w dawnych stolicach, rezydencyach i grobowcach Achemenidów; są ryte na kamieniu, i temu to zawdzięczają, że się do naszych przechowały czasów.

Pierwsi królowie perscy mieli stolicę w Ansan'ie. Cyrus, rozszerzając granice swego państwa, dla dogodniejszej administracji zmieniał kilkakrotnie stolicę: przeniósł ją najprzód do Ekbatany, a następnie w Parsagach utworzył metropolię. W tych jednak miejscowościach nie robiono dotąd dokładnych poszukiwań; dlatego nie posiadamy większych napisów z czasów Cyrusa, a żadnych z czasów dawniejszych.

Dariusz znów przeniósł stolicę do Suzanu, nadto wybudował wielką rezydencję w Persepolis, a w pobliżu założył grobowce królewskie; następcy jego przebywali w tejże stolicy, przyozdabiali ją nowemi pałacami, wznosili również wspólnie gmachy w Persepolis.

Z grecka Persepolis, po persku Parsatachra, leży na północ od dzisiejszego miasta perskiego Szyraz. Persowie, stawszy się panami Asyryi, Grecyi i Egiptu, z tych krajów sprowadzali najlepszych artystów i najrzęczniejszych robotników do budowy swych pałaców. Według znawców, sztuka perska w każdej ze swych gałęzi jest naśladownictwem; lecz to naśladownictwo, zestawiając najwybitniejsze odcienie sztuki obcej, umiało je tak umiejętnie skojarzyć, iż całość, pełna smaku i harmonii, przedstawia się jako nowa, na ziemi perskiej powstała sztuka. Rozwaliny Persepolu, podziwiane już od dawnych podróżników, nie przestają sprawiać tegoż samego wrażenia jeszcze i dzisiaj, tak co do swego ogromu, jak również pysznego materiału i artystycznego wykończenia szczegółów. Dieulafoi pisze: „Kiedy odtwarzam w myśli te ogromne budowle, — kiedy widzę te portyki o lśniących porfirowych kolumnach, — te byki dwugłowe, których rogi, racice, oczy i obróże

¹ O tych usiłowaniach i ich ostatecznych wynikach mówiliśmy obszernie w *Źródłach historycznych Wschodu*, str. 120 i następ.

były pokryte płatami złota, belki cedrowe wiązań, mozaikę z polewanych cegieł, jakby rozpiętą koronkową oponę na murach zewnętrznych,—te gzymsy, wykładane błękitną emalią wraz ze spływającymi z nich, w kształcie łez, złotymi i srebrnymi sopłami,—kiedy sobie przedstawiam bogate makaty, zawieszone u drzwi, miękkie kobierce, zaścielające posadzkę: pytam się, czy pomniki religijne Egiptu, czy nawet świątynie Grecyi mogły robić większe wrażenie, jak te pałace wielkiego króla!⁴

Rozwaliny w Suzie¹ nie przedstawiają oczom podróżnika ani tych rozmiarów ani tej okazałości, jak w Persepolis, chociaż to miasto wielkością, bogactwem i starożytnością o wiele przewyższało rezydencję Dariusza. Za czasów Abrahama, a więc w XXIII w. przed Chr., Suza była stolicą państwa Elam. Chodorlahomor biblijny i jego następcy niejednokrotnie ogniem i mieczem pustoszyli Mezopotamię. Asyrowie położyli koniec państwu elamskiemu; Suza została zrabowaną i obróconą w perzynę przez Asurbanipala. Skoro Daryusz zawładnął Zachodnią Azją, miejscowość tę przeznaczył na swą stolicę; królowie perscy podnieśli Suzę do niebywałej wielkości, nagromadzili tu bajeczne bogactwa z całego świata. Wraz z dynastją Achemenidów zakończyła się świetność Suzy: Aleksander przeniósł bogactwa i stolicę do Babilonu, a ząb czasu zrównał z ziemią arcydzieła sztuki, do wzniesienia których powołani byli artyści z trzech części świata. Niema dziś śladu tych pysznych portyków, wspaniałych schodów, cienistych gajów, wśród których Asverus wyprawiał ucztę satrapom i ludowi, a której opis znajdujemy w księgach Estery. Całun piasku pokrywa rumowiska i zgłiszcza, a przekopy, dokonane przez archeologów, pozwoliły dopiero odnaleść fundamenta pałaców, marmurowe słupy, rzeźbione kapitele, posągi olbrzymich byków, barwnie emaliowane cegły, a nadto wielką ilość drobnych przedmiotów z brązu, kości słoniowej i alabastru.

Tak Suza, jak i Persepolis są dziś wprawdzie w gruzach,

¹ Suzan albo Suza według tekstu hebrajskiego, Suzuan według napisów Asurbanipala, leży nad Ulai, dzisiejszą Kerchą, wpadającą do wspólnego łożyska Eufratu i Tygru, w pobliżu miasta perskiego Disful.

ale świetną przeszłością swoją, a szczególnie napisami klinowemi, zjednały sobie rozgłosną wziętość. Jedyne pomnikami staroperskimi, które nie uległy zniszczeniu, są grobowce Achemenidów. Leżą one opodal rezydencyi Dariusza; wykute w skale, na wzór egipskich, oparły się przewrotom politycznym i rozkładowym wpływom materyi; puste są wprawdzie wewnątrz, przeszukiwane i zrabowane zapewne łotrowską ręką, lecz zachowały głęboko ryte w marmurze słowa tych, którzy je tu wznosili.

Pomniki napisowe staroperskie pochodzą od Achemenidów; każdy niemal król z tej dynastyi zaznaczył swe panowanie kilkuwierszowym przynajmniej napisem. Wszystkie te napisy razem zebrane, pomieścić się dadzą na jednym arkuszu druku; najdłuższym z nich jest napis Dariusza w Bagastanie. Ale jakkolwiek kroniki perskie, dotąd odnalezione, są nader skąpe, mają jednak pierwszorzędną wartość: nie uległy one żadnym przeróbkom, żadne wtrącenia nie były możebne; napisy były widocznymi dla wszystkich, wyrażone trzema językami, dla ludów okolicznych były zrozumiałemi,—z tą nie ulega wątpliwości, iż są autentyczne i wiarogodne.

Napisy staroperskie mają swoją charakterystyczną cechę. Każdy dłuższy napis rozpada się na trzy części: w pierwszej autor składa wyznanie wiary i dziękczynienie Bogu za otrzymane dobrodziejstwa; w drugiej mówi kim jest, w trzeciej podaje do wiadomości ważniejsze zdarzenia dziejowe¹. Dzięki temu religijnemu usposobieniu Achemenidów, będziemy mogli, choć ze szczupłych kronik, zasięgnąć wiadomość o ich pojęciach religijnych.

Zapiski Achemenidów, jak to wspominaliśmy, wyrażone były językiem staroperskim, medyjskim i asyryjskim; jedna i ta sama rzecz oddana była trojakim językiem. W rozbiórce tekstów trzymać się będziemy napisu czysto perskiego, którego przekład podali: Rawlinson, Spiegel i Kossowicz. Dla lepszego jednak zrozumienia tekstu staroperskiego, musimy przedtem zapoznać się z niektórymi wyrażeniami, jakich Achemenidzi używali do oznaczenia najwyższej Istoty.

¹ W niektórych napisach porządek jest zmieniony; autor mówi najprzód kim jest, a następnie składa wyznanie wiary.

W języku staro-perskim wyraz *Baga* oznaczał ogólne pojęcie Bóstwa, w tem samym prawie znaczeniu i brzmieniu jak u nas Bóg. Wyraz *Baga* przychodzi kilka, a nawet kilkanaście razy w piśmie klinowem, a zawsze w tem samym znaczeniu: skoro się mówi o Bogu Persów, wówczas wyrażenie brzmi „*Baga wazarka*“, Bóg wielki; o bogach innych ludów mówi się „*anija bagaha*“, inni bogowie.

Jakie jest pochodzenie wyrazu *Baga*—niewiadomo; mógł on być sam dla siebie źródłosłowem. Używany był w nieco zmienionem brzmieniu przez wielki odłam ludów aryjskich, mianowicie przez ludy Eranu, Indyj, Frygii, a wreszcie przez Słowian.

Ludy erańskie, prawdopodobnie z Baktryi, które mówiły językiem t. zw. zendckim, dla wyrażenia Boga czyli Bóstwa używały wyrazu *Bagha*. Znajdujemy w Aweście ustępy, które, według zdania takich Eranistów, jak Spiegel ¹ i Mgr. de Harlez, niewątpliwie w znaczeniu powyższem brać należy.

Najmożniejszy wśród najmożniejszych, najsilniejszy wśród silnych, najmędrszy z *Baghów*.

Oddajemy cześć gwiazdzie świetnej i pełnej wspaniałości Tistrya, która wiedzie wody z jasnej siedziby światła w dalekie przestrzenie, do atmosfery, stworzonej przez *Bagha* ².

¹ „Ueber *bagha* habe ich schon zu Vd. XIX, 78 gesprochen. Westergaard mit B. *dāma-dātem*, was einen ganz anderen Sinn geben muss, als den traditionellen. Unter *bagha* ist doch wohl Ahura-Mazda zu verstehen, wie die neuere Tradition will; ich habe dies früher bezweifeln wollen, weil ich glaubte, dass Ahura im Avesta so wenig als in den Keilinschriften mit dem Namen *bagha* allein bezeichnet werden könne, sondern noch irgendeinem Beiwort, wie „gross“ erhalten müsse. Es ist indess sehr misslich anzunehmen, dass die Parsen in irgend einer Periode ihres Daseins einem andern als ihrem höchsten Gotte die Fähigkeit beigelegt haben, Wesen, und noch dazu göttliche Wesen zu schaffen. Dies scheint auch die Ansicht A. Kuhn's zu sein, der unsere Stelle in seinem Werke „die Herabkunft des Feuers“ etc., p. 120 folg. bespricht“. *Commentar über das Avesta*, v. F. Spiegel, 2. B., S. 116.

² *Chorda Avesta*, Jeszt XI, cz. 33; Jeszt VIII, cz. 7. Przytoczyliśmy dwa tylko ustępy z Awesty, choć wyraz *Bagha* przychodzi tam, w temże samym znaczeniu, razy kilkanaście.

Indowie zatrzymali ten wyraz w nieco odmiennem brzmieniu od erańskiego, mianowicie *Bhaga*; w jakim zaś znaczeniu go używali, trudnem jest do wyrozumienia, jak wogóle wszystko, co poeci indyjscy o swych bożkach podają. W swoim miejscu pomówimy o tem obszerniej; zaznaczymy tylko tutaj, że wyrażenie to przychodzi w *Rig-Weda* kilkanaście razy; zazwyczaj stoi obok wyrazów, które oznaczają bożków lub duchowe istoty, obok *Mitry*, *Waruny*, *Indry*, *Agni* i innych. Żaden z hymnów nie jest poświęcony wyłącznie na cześć *Bhaga*, jeden z nich jednakże do niego się przeważnie odnosi; przytaczamy go w całości, aby dać wyobrażenie o pojęciu, jakie Indowie do tego wyrażenia przywiązywali.

Wzywamy rano *Agni*, rano *Indrę*, rano *Mitrę* i *Warunę*, rano *Aswinów*. Wzywamy rano *Bhaga*, *Puszana*, *Brahmanaspati*, rano również *Somę* i *Rudrę*.

Wzywajmy rano zwycięskiego i strasznego *Bhagę*, syna *Aditi*, który wszystko utrzymuje. Ubogi i bogaty, sami nawet królowie, wszyscy wzywają *Bhagę* i wołają: wspomagaj nas.

O *Bhaga*, nasz przywódco, nasz sprawiedliwy dobroczyńco; *Bhaga*, pochopny do spełnienia naszych prośb, o *Bhaga*, spraw, byśmy byli bogaci w krowy i konie, o *Bhaga*, obyśmy mogli mieć liczne potomstwo.

Tym sposobem, abyśmy mogli mieć opiekę *Bhaga* teraz, w zaranu i wśród dnia. Obyśmy mogli, o *Maghawan*, przy zachodzie słońca znaleźć opiekunczą straż bogów.

O *Bhaga*, wspomagaj nas, abyśmy mogli, przy pomocy twej łaski, otrzymać szczęście, jakie ty posiadasz. O *Bhaga*, tym to sposobem wszyscy cię błagają. O *Bhaga*, racz sam kierować naszymi krokami.

Ku ofierze niech się zwrócą wszystkie *Jutrzenki*, jak *Dadhikra*, ku miejscu czystemu, i jak bystre rumaki niech nas doprowadzą do *Bhagi*, znakomite rzeczy wynajdującego.

Niech nam zawsze wschodzą sprzyjające i płodne w konie i w woły. A ty dopomagaj nam swem błogosławieństwem ¹.

¹ *Rig-Veda* p. Langlois, p. 369. *Die philos. und relig. Anschauung des Veda*, v. Ludwig, S. 54.

W jakim są kłopotcie Indyaniści europejsey co do roli Bhagi wedyjskiego, widać to z krótkiej wzmianki, uczynionej w „Klasycznym Słowniku“, wydanym przez Dowson'a. „*Bhaga*, — mówi autor ¹ — bóstwo wspominane w Wedach, nosi nader niewyraźne znamiona osobistości i władzy. Uważany jest, jako dawca bogactw, a przytem opiekujący się małżeństwami; stoi w rzędzie Aditiów i Wiśwedewów“.

U Frygijczyków, z rodu również Jafetowego, brzmienie Baga przemieniło się w *Bagajos*, znaczenie zaś pozostało to samo, jak u ludów erańsko-indyjskich. O ich religii szczupłe do nas doszły wiadomości; była podobno wielobożną, a obrzędy ich miały należeć do najsprośniejszych.

Wreszcie Słowianie, jak wiadomo, dla wyrażenia Istoty Najwyższej używali i używają wyrazu Bóg, Boh. Za czasów wielobożności wyraz ten oznaczał ogólne pojęcie bóstwa; każde plemię miało osobne nazwy dla swego Boga i dla swych bogów; to samo działo się też i w Eranie ².

¹ *Classical Dictionary*, by J. Dowson. London 1879, p. 43.

² Zagranicą, a i u nas, kuszono się niejednokrotnie o wyprowadzenie etymologiczne wyrazu Bóg; usiłowania te nie były szczęśliwe. Ritter utrzymywał, że wyraz Bóg pochodzi od Buddhy, dlatego, że znaczenie jego jest „obudzony“, a w słowiańskich językach „budzić, budyty“ wyrażają to samo pojęcie. Ignacy Hanusz podziela zdanie poprzedniego pisarza; czytamy w jego dziele (*Die Wissenschaft des slavischen Mythos*, S. 89): „Wenn auch die von Ritter (Vorhalle, p. 188) versuchte Identifizierung des Namens der obersten Gottheit im Slavischen *Buh* (Boh, Bóg) mit Buddha (Khoda, Wodan, Odin) als unbegründet sich erwies, so sehen doch Manche in der ungemein grossen Anzahl slavischer Ortsnamen mit der Wurzel *Bud* (Budziaki, Buda, Budecz u. s. w.) noch Ueberreste des Buddha-Kultus (wobei jedoch nicht zu übersehen ist, dass im Slavischen *Buda* auch Wohnung, Hütte bedeutet). Vgl. damit, was Ritter in s. „Vorhalle“ (Einleitung, p. 30—33) über die Verbreitung dieses Buddha-Kultus durch ganz Westasien und den Okcident sagt“. A nieco dalej (str. 262) tenże sam autor pisze: „Fügt man zu allem diesen die unzählbare Menge der Personen-, Thier-, Pflanzen-, Städte- und Berg-Namen, welche alle die Sylbe *Boh* (Bóg, Buh) zum Grundworte haben, hinzu: so kann sich im Slavischen mit dieser Sylbe *Buh* (Bóg, ausgesprochen fast wie Bug) nur die Sylbe *Bud* messen, die in einer eben so grossen, wenn nicht noch grösseren Menge in zusammengesetzten slavischen Wörtern vorkommt“. Dziś, dzięki znajomości języków erańsko-indyjskich, nikt już tych mrzonek nie powtórzy.

Achemenidzi dają swemu Bogu nazwę *Auramazda*; zkąd Grecy urobili wyraz Ormuzd albo Oromazes. Znaczenie etymologiczne tego wyrazu jest bardzo pouczające.

W języku Awesty tenże sam wyraz przybiera brzmienie *Ahura-Mazda*. Według Eranistów „Ahura“ znaczy „pan, władca“; „Mazda“ złożony jest z „maz“, wielki, i „daō“, wiedza; znaczenie całego wyrazu „Ahura-Mazdaō“ byłoby „Bardzo mądry władca“.

W języku sanskryckim przychodzi wyraz *Asura*, który według zwyczajnej zamiany *h* na *s*, odpowiada erańskiemu Ahura. W najdawniejszych hymnach Rig-Wedy „Asura“ znaczy „duchowny, boży“; używany jest jako przydomek Indry, Marutów, Rudry i innych bogów, szczególnie zaś Waruny ¹. Źródło słów wyrazu *Asura* jest *asu* i *as*: pierwszy znaczy „technienie, życie“, drugi „być“. Pierwszorzędni Eranieści i Indyaniści, Spiegel ²

¹ Pojęcie, jakie przywiązywali Indowie do tego wyrazu, zmieniło się w czasach po-wedyjskich. W hymnach późniejszych Rig-Wedy, a również w Atharwa-Weda, wyraz *Asura* znaczy szatana, złego ducha. Czytamy w *Taittirija-Brahmana*, że Pradža-pati, albo „Pan Stworzenia“ stworzył Asurów swoim tchem (*asu*); w *Taittirija-Samhita* stoi, iż na początku tak bogowie jak i Asurowie mieli jednakową władzę i dobroć. Nie jest tu miejsce wchodzić w bliższe tłumaczenie tych przewrotów, jakie w ciągu wieków nastąpiły w pojęciach religijnych Indów; zaznaczamy je tylko, odsyłając zresztą do skrętnie zebranych przez Dowson'a ustępów, rzecz tę traktujących. Ob. *Classical Dictionary*, str. 27 i nast.

² „*Ahurái-mazdái* dat. von *ahuró-mazdáo*, dem Namen des obersten Gottes der Eránier, im Dialekte der Keilinschriften sind die beiden Worte zu einem einzigen, *Auramazdá*, zusammengefloßen; nur ein einziges Mal erscheint in diesen Inschriften (C. 10) die Form *aurahya-mazdáha*, in der beide Worte gesondert declinirt sind. Im Avesta ist dies das Gewöhnliche. *Ahuró-mazdáo* heisst — wie schon Burnouf nachgewiesen hat und die einmüthige Tradition der Parsen bestätigt — der sehr weise Herr; jeder Theil des Wortes steht übrigens auch gesondert in der Bedeutung des Ganzen (cf. *ahura* Yç. XXIX, 5. XLIII, 1 fg., *mázdau* Yç. I, 33. XIII, 19. L, 7 u. s. w.). Ferner die Adjective *ahura-thaêsha*, *ahura-aháta* und *mazdadháta*, *mazdayagna* etc. Das Wort *ahura* ist übrigens nicht auf Ahura-Mazda beschränkt und kann gelegentlich auch andere Wesen bezeichnen, wie den Apaím-napât, den Mithra, auch andere weltliche Herren (cf. Yt. 5, 85. Nahe verwandt ist *ahu*, was sowohl in der Bedeutung Welt als Herr, dann Seele, öfters vorkommt. Im Sanskrit entsprechen *asura*, *asu* mit etwas modificirter Bedeutung, die zu Grunde liegende

i Bergaigne ¹, przyznają zgodnie, iż pierwotne znaczenie wyrazu Asura oznacza Istotę, mającą źródło życia w sobie samej, a ztąd jest „Władcą źródeł życia“, co językiem scholastycznym możnaby powiedzieć: *Ens a se*. Tym sposobem Auramazda znaczyłoby: *sapientissimum Ens a se*, — a takie znaczenie niewątpliwie uważać można za pojęcie jednobożne. Czy takie pojęcie przypisywali Achemenidzi i wogóle starzy Persowie do tego wyrazu, — zaraz zobaczymy.

Na jednej z tablic Alwendu taki napis czytamy:

Bóg wielki Auramazda, który tę ziemię stworzył, który tanto niebo stworzył, który człowieka stworzył, który udarował człowieka godnością, który uczynił Daryusza królem, królem, jednego nad wieloma, jednego prawodawcę dla wielu ².

Na drugiej tablicy w tejsze samej miejscowości znajduje się napis Kserksesa, którego pierwsze wiersze są prawie identyczne z ustępem wyżej przytoczonym.

Takie same prawie nawet co do wyrażań, a co do znaczenia zupełnie takie same są inne ustępy z napisów Daryusza, Kserksesa, Artakserksesa w Persepolis, Suzanie, Bagastanie, Wan — a nadto coś więcej jeszcze.

Wurzel ist ohne Frage *ah, as, sein*. *Ahu, ahura* ist also der wirklich Seiende, Existierende (cf. hebr. אֱהָיָה). Für das Wort *mazdāo* hat schon Burnout unwiderleglich dargethan, dass es aus *maz* (vedisch *mah*), gross, und *dāo*, Wissen, zusammengesetzt ist (cf. meine Bemerkungen über den Namen Ahuro-Mazdāo in der Zeitschrift der D. M. G.)⁴. *Commentar über das Avesta*, v. F. Spiegel, 1. B., S. 2.

¹ „Le terme *asura* pour fournir un dérivé (*asurya*), dont le sens paraît être *pouvoir suprême* a dû impliquer lui-même une idée analogue... Il est dérivé lui-même de *asu*, souffle, vie. Mais, d'après l'observation qui précède, nous ne le prendrons pas dans le sens vulgaire de *crivant*; nous lui donnerons plutôt celui de *maître des sources de la vie, y puisant soi-même à son gré*. La religion védique, d'après les hymnes du *Rig-Veda*. Vol. III, p. 71.

² P. Kossowicz w dziele swem *Inscriptiones Palaeo-Persicae Achaemenidarum* taki daje przekład napisu: „*Deus magnus est Auramazdas, qui hanc terram creavit, qui illud caelum creavit, qui hominem creavit, qui praestantiam creavit hominis, qui... (Darium, Xerxem, Artaxerxem) regem fecit, unum multorum regem, unum multorum moderatorem*“.

W ciągu swych zapisek historycznych królowie perscy raz po raz wspominają, że „z woli Auramazdy“ otrzymali królestwo, że „za łaską i pomocą Auramazdy“ pokonali przeciwników¹. Daryusz w napisie Bagastańskim wzywa Auramazdę „na świadka“, iż mówi prawdę²; prosi Auramazdy, ażeby udzielił błogosławieństwa jego godnym następcą, a grozi niegodnym przekleństwem i karami, które Auramazda miał na nich zesłać³. W napisie z Nachcze-Rustem błaga Daryusz Auramazdę, ażeby jak dotąd wspierał go swą pomocą, tak i nadal udzielał mu łaski; o to samo w napisie z tejże samej miejscowości prosi i Kserkses⁴. Wreszcie w napisie Bagastańskim zaleca Daryusz, ażeby oddawano cześć Auramazdzie⁵.

Zestawiając te różne i tylokrotne oświadczenia Achemenidów, widzimy, iż Persowie wyznają: że ich Bóg jest *Bagawazarka* t. j. „Bóg wielki“; że jest *matista baganam*⁶, t. j. „największy z bogów“, zupełnie tak samo, jak w Biblii⁷; że jest Stworzycielem, stworzył niebo, ziemię, zwierzęta i ludzi; rządzi światem wedle swej woli: wynagradza dobre uczynki, karze złych, do niego należy zanosić prośby i jemu cześć oddawać. Jeżeli nadto przypomnimy sobie, jakie jest znaczenie etymologiczne nazwy Boga Persów, Auramazdy, jeżeli weźmiemy w rachubę, że według świadectw historyków, nie czcili bałwanów, nie stawiali posągów, że ich obrządek ofiarny był pełen godności i prostoty,—wówczas należy zawnioskować, że Persowie za czasu pierwszych Achemenidów wyznawali jednobożność. Co więcej—ponieważ ich obrządek ofiarny co do czasu gubił się w pomroce wieków, co zaś do sposobu sprawowania

¹ W samym napisie Bagastańskim wyznanie to przychodzi 32 razy.

² Edicit Darius rex: Auramazdas mihi testis est ut istud relatum non falsum ego feci. Tabl. IV, 7.

³ Tabl. IV, 10, 11, 16, 17.

⁴ D, 4; C, 3.

⁵ „Auramazdam colite...“ *Napis Bagast.*, tab. V, 6.

⁶ Napis z Persepolis H.

⁷ Pierwsze wyrażenie „Bóg wielki“ przychodzi bardzo często w Piśmie św.; drugie wyrażenie znajdujemy w II, *Paral.* II, 5: „Albowiem wielki jest Bóg nasz, nade wszystkie bogi“.

zdawał się przypominać czasy pierwszych Patryarchów; ponieważ Dariusz w swym napisie oświadcza, że po przewrotach Gaumaty przywrócił dawne wyznanie i obrządek; wreszcie, ponieważ niema śladu w historii, żeby Persowie do swych pojęć jednobożnych doszli z czasem i stopniowo, wskutek rozwoju, — należy tedy wniesć, iż je otrzymali w spadku po swych najdawniejszych przodkach, a więc po pierwszych rodzicach.

Taki był stan pojęć religijnych Persów w V i VI wieku, a niewątpliwie i w dawniejszych; lecz począwszy od wieku IV, następuje zmiana, zaczyna się nie rozwój w rzeczywistym słowa znaczeniu, ale rozstrój pojęć religijnych, który doprowadza do wielobожności i bałwochwalstwa.

Już Dariusz i Kserkses w napisach swych zdają się zdradzać jakąś chwiejność w pojęciach jednobożnych. W napisie Bagastańskim czytamy ¹: „To, co zdziałalem, zdziałalem z woli Auramazdy, Auramazda użył mi do tego pomocy, a również inni bogowie, którzy są“. W napisie z Persepolis ² mówi: „Upraszam o to dobrodziejstwo Auramazdy i bogów pogańskich; niech to sprawi Auramazda i bogowie pogańscy“. Eranieści jednakże bronią tych królów przed zarzutem wielobожności i może słusznie.

W istocie, w owym czasie w skład państwa perskiego, oprócz Persów i Medów, wchodziły rozmaite szczepy i rasy, różne wyznające religie; dla tych to ludów pisali królowie kroniki i trzema różnemi wyrażali je językami. Polityka wymagała, żeby panujący, obok imienia Boga, którego sami wyznawali, wspomnieli i o bogach, których uznawały i czciły inne ludy, podległe ich berłu. Nie znaczyło to jeszcze odstępstwa, tembardziej, że w tekście medyjskim napis Bagastański Dariusza wyraźnie zaznacza, że „Auramazda, ten jest Bogiem Aryów“, a następnie dodaje, że „bogowie są bogami innych ludów“ ³. Lecz jeżeli Dariusz i Kserkses dadzą się jeszcze wymówić od

¹ Tabl. IV, 12.

² H.

³ Tłómaczenie według Norris'a.

wielobożności, żadną miarą nie można obronić od tego zarzutu Artakseresa ani Mnemona ani Ochusa.

Herodot — jak widzieliśmy — wspominał już był o zaprowadzeniu kultu Mity; Klemens Aleksandryjski, na podstawie kronik Berozusa, więcej przywiódł pod tym względem, szczegółów¹, lecz kroniki perskie dostarczają nam autentycznych dowodów.

Artakserkses Mnemon zaprowadził w swem *Apadanum* posągi Mitry i Anachity, jak to sam wyznaje w napisie suzańskim. Napis ten, umieszczony na jednym z postumentów, jest, jak zwyczajnie, w trzech językach; napis perski mało jest czytelny, napisy w dwu innych językach lepiej się zachowały: asyryjski odczytany został przez Oppert'a², medyjski przez Norris'a — podajemy ten ostatni.

Tak mówi Artakserkses, król wielki, król królów, król krajów, król tej ziemi, syn Daryusza (II) króla, Daryusz (był) synem króla Artakserksesa (I), Artakserkses (był) synem króla Kserksesa, Kserkses (był) synem króla Daryusza (I), Daryusz (był) synem Hystaspa, Achemenidy. To *Apadanum* Dariusz przodek mój wybudował, następnie Artakserkses, dziad mój je odnowił; z pomocą Auramazdy umieściłem posągi Tanaitis i Mitry w tej świątyni. Niech Auramazda, Tanaitis i Mitra opiekują się mną wraz z innymi bogami i wszystkim, co uczyniłem.

W napisie z Persepolis Artakserkses Ochus wzywa pomocy Auramazdy i Mitry³.

Oto wszystko, co nam dotąd odsłoniły kroniki perskie

¹ Przedstawiali oni (Persowie) bogów pod postacią tylko ognia i wody. Lecz z biegiem czasu poczęli cześć oddawać posągom mającym kształt ludzki — mówi Berosus w trzeciej księdze swego dzieła *Chaldaika*; — posągi były do nich wprowadzone przez Artakserksesa Ochusa, syna Daryusza, który pierwszy kazał wzniesić posąg Afrodyty-Anaitis w Babilonie, Suzie, Ekbatanie, u Persów i Baktryanów, w Damaszku i Sardes, i rozkazał cześć mu oddawać. *Fragmenta historicorum graecorum*. Col. Did., pp. 508, 509.

² Napis asyryjski — według Oppert'a — różni się zaledwie w kilku wyrazach, które nie zmieniają rzeczy. *Exped. Scient.*, 1859, II, pp. 194, 195.

³ „Me Auramazdas et Mitras custodito...” Kossowicz, *Inscrip. Persep.*, p. 120.

o wprowadzeniu nowego kultu. Co to były za osobistości te Anachita i Mitra, jakie pojęcia przywiązywali do nich Achemenidzi i jaki kult im oddawali,—wobec braku bezpośrednich źródeł, możemy jedynie wnioskować, oparci na domysłach, które mają jednak za sobą historyczną powagę.

Anahita jest nazwą erańską, znaczy „czysta, niepokalana“; w Aweście spotykamy to nazwisko w połączeniu z przydomkiem „Ardwisura“, co oznacza jakąś nieokreśloną istotę, geniusz wód. W Chorda Awesta występuje już antropologicznie, według wszelkiego prawdopodobieństwa tak, jak ją przedstawiał Artakserkses w posagu, wprowadzonym do świątyni. Czytamy w Jeszcie V (64, 65):

Ardwisura Anahita przybyła pod postacią młodej dziewczycy, pięknej, niebiańskiej, wspaniałej; wysmukła kibić przepasana była szerokim pasem, oblicze pełne blasku i uroku, głowa uwieniczona koroną złotą...

To jednakże niewiele nas poucza; pisarze dopiero greccy rozświecają rzecz.

Anachita perska jestto Myllita albo Zarpanita asyryjska, która u Fenicyan Astartą, u Greków Afrodytą a u Rzymian Wenerą była zwaną: w różnych krajach pod różnemi nazwy, lecz wszędzie temże samem kultem była czczona. Znany jest kult Zarpanity w Babilonie¹; otóż z opisu, jaki Strabon w swem dziele przywodzi o kulcie Anachity perskiej w Armenii, można się przekonać, że kulty te były identyczne².

¹ Ob. *Źródła historyczne Wschodu*, str. 169 i nast.

² „Omnia Persarum sacra etiam Medi et Armenii religiose coluerunt, prae ceteris Anaitidem Armenii, cui et alibi templa posuerunt et in Acilisena. Ibi servos servasque ei consecrant; et hoc quidem mirum non est; sed filias etiam virgines illustrissimi ejus nationis ei dedicant, ac lex est, ut longo tempore apud deam constupratae, deinde nuptum dentur, nemine talis mulieris conjugium dedignante“. *Armenia*, lib. XI, cap. XIV, 16. Edit. Mul. — „Le culte d'Anahita est d'origine eranieenne, mais il dût être considérablement modifié lorsqu'il fut identifié avec celui de la déesse Mylitta, correspondant à l'Aphrodite greque, déesse de l'élément humide et de la génération“. De Harlez, *Avesta*, Introd. p. CVI.

Co do Mitry większe są trudności. Rzeczą jest pewną, że tak nazwa, jak i istota Mitry, były płodem aryjskim; tak w Indyach, jak i w Eranie pojęcie Mitry odnosiło się do słońca.

Podziśdziem Indowie witają rankiem wschodzące słońce hymnem, który się znajduje w Rig-Weda (III, 59), a którego pierwszą strofę tu przytaczamy:

Mitro, wznies swój głos, powołaj ludzi do pracy,
Mitro, podtrzymuj niebo i ziemię,
Mitro, niestrudzonem okiem pomagaj wszystkim stworzeniom.
Ofiaruj Mitrze ofiarę z masła.

De Harlez pisze: „Ten geniusz (Mitra) aryjskiego pochodzenia był uosobieniem eteru świetlanego, stanowił niejako istotę samego światła, niezależnie od słońca i gwiazd; był również uważany jako światło umysłowe, jako prawda“. Tak się Mitra przedstawiał w utworach poetów, którzy się na Awestę składali. „Lecz około ery chrześcijańskiej — pisze dalej tenże sam autor — Mitra został zidentyfikowany ze słońcem, kult zaś jego, przepełniony naleciałościami semickimi, rozszerzył się na zachód od Persyi, a nawet dostał się do Europy“¹. Otóż dzięki tej okoliczności, możemy się zapoznać lepiej z Mitrą i jego kultem.

Mitra pod nazwą Elah-Gabal, jako bóg słońca, czczony był w Emezie², ztamtąd przywędrował do Rzymu, przywieziony przez swego areykapłana, który też i imię jego, Helio-gabal, przybrał.

W jakim kształcie przedstawiali sobie Persowie Mitrę, o tem nie wiemy, ale wiemy, jak się przedstawiał ten bożek w Rzymie, gdzie go publicznie obwoził Heliogabal, znany jego kształt w Emezie; pozostały jeszcze, choć częściowo, w gruzach pomniki fenickie tego kształtu w Amrit, Sardynii i na wyspach Balearskich. Wreszcie milionom³ takich samych sym-

¹ *Avesta*, Introd. XCVIII.

² Dzisiejszy Homs.

³ Opieramy się tu na powadze uczonego Anglika, znającego doskonale stosunki indyjskie. „The number of Lingas in India is estimated at three krores (30 millions)“. Sir Monier Monier-Williams, *Brahm. and Hind.* 3 edit. London 1887. p. 78.

bolów oddają cześć podziśdzeń w Indyach czciciele Siwy. Ten symbol z grecka Φαλλός, po sanskrycku Linga się zowie.

Taki symbol wymagał odpowiedniego kultu—a więc wyuzdana rozpusta i krwawe ludzkie ofiary były jego wyrazem.

Kult, jaki oddawał Heliogabal swemu syryjskiemu Mitrze, znany jest częściowo¹ ze szczegółów, jakie zostawili Dion Kassyusz, Herodyan i Lampridyusz. Posłuchajmy, co uczony historyk francuski hr. de Champagny pisze w tym przedmiocie²:

Heliogabal kazał wyszukiwać w całych Włoszech dzieci, któreby się odznaczały urodą i rodem; co więcej, dzieci te nie mogły być sierotami, rodzice musieli żyć jeszcze, tego wymagała jego zabobonność i okrucieństwo. W otoczeniu swych wróżów azyatyckich zabijał te niewinne ofiary, rozprawał je, rozpatrywał, z wnętrzości ludzkich przepowiadał sobie wróżby pomyślne na przyszłość i za takowe bogom swym dzięki składał.

W parze z temi ofiarami szła najwyuzdańsza rozpusta; oto co pisze dalej tenże sam autor:

Przez lat cztery bachanalie na wielkie rozmiary i sprośne nad wszelki wyraz upadły Rzym, a niestety nie mogę powiedzieć, że go oburzały. To, co dotąd dźiać się mogło w jakiejś niecnej jamie, albo w jakiej również niecnej świątyni pogańskiej w Azji, dźiało się obecnie wśród jasnego dnia w stolicy świata, na górze Palatynu, w Forum, na Rynku Marsowym. Przez lat cztery niewolnicy rozpustni, komedyanci plugawi, opętańcy, zostający w służbie pewnych bogów, zespoliwszy razem wszystkie możliwe zepsucia z wszystkimi zabobonami, szerzyli swobodnie w Rzymie bałwochwalstwo i rozwiązłość, mając na czele niedojrzałego jeszcze w latach cesarza, który może był raczej ofiarą, aniżeli przewodnikiem ich orgii.

Takim był kult Mitry w Rzymie, a nie był pewnie innym w Persyi; tenże Heliogabal, jakgdyby chciał nas przeko-

¹ Mówimy częściowo, albowiem Dion, choć poganin i żyjący w zepsutym do szpiku kości wieku, wyznaje, iż nie śmie podać szczegółów; Lampridyusz, przywołując niektóre, zaznacza, iż starał się je okryć zasłoną. Dobrze jest tu zauważyć, że książę de Choiseul, minister Ludwika XV, śmiał je przełożyć na język francuski. Jaki pan taki kram, i nawzajem.

² *Les Césars du III. siècle*, v. I, pp. 436, 448.

nać, że Mitra i Anahita nie przedstawiają nic innego, jak Baala i Astartę, ożenił (sic) swego Mitrę z boginią Astartą, sprowadzoną z Kartaginy¹.

Wszystkie religie pogańskie były do siebie podobne; pożyczano sobie wzajemnie bogów i boginie, przybierano je w barwy i nazwy narodowe, lecz pojęcia przywiązane do ich istoty i kult im oddawany pozostawały prawie bez zmiany². Heliogabal, ubrany w szaty niewieście, tańczący przed swym bogiem, tarzający swe włosy w prochu i zadający sobie krwawe razy, spełniał słowo w słowo rytuał fenicki boga Baala, jak wiemy z historii³; takiż sam obrządek sprawować musieli kapłani perscy, choć o tem kroniki ich milczą.

Wszystkie religie pogańskie — tak utrzymują poważni myśliciele⁴ — dążyły, zdawałoby się, do tego, by pogrążyć

¹ Podobne żeniaczki bałwanów, jakkolwiek wydają się nam niedorzeczne, w stolicy ówczesnego świata, w stolicy wysokiej cywilizacji, odbywały się z wielką uroczystością: lud, patrycyusze, senat z imperatorem na czele brali udział w obchodzie. Pogaństwo zacierało pojęcia rozsądku i prawdy, wszelkie uczucia przyzwoitości, smaku, piękna i moralności. W dzisiejszych Indjach pogańskich żeniaczki te są na porządku dziennym; pomówimy o tem we właściwem miejscu.

² Fenicyanie — pisze F. Berger — z Egiptu i Asyryi wzięli swych bogów, z których największa część dostała się do panteonu greckiego. *Encycl. des sciences rel.*, art. *Phénicie*, p. 537.

³ Kapłani i prorocy fenicy Baala i Astarty przebierali się za kobiety, barwili sobie twarz i oczy, ręce mieli obnażone po ramiona; uzbrojeni byli mieczami i siekierami, trzymali w ręku batogi, grzechotki, fujarki, cymbały i bębny, z których wydobywali różne dźwięki. Tańczyli, wyli, skakali: od czasu do czasu bili czołem o ziemię, tarzali swe włosy w błocie, kęsali swe ręce, zadawali sobie rany szablą lub nożem, a skoro krew płynąć zaczęła, ofiarowywali ją swej krwiożerczej bogini. Niektórzy nawet puszczali wodze swego szału do tego stopnia, iż publicznie się trzebili. Kapłanki, oddane rozpucie na cześć swej bogini a na dochód kapłanów, brały zapewne udział w tych uroczystościach. Graetz, *Hist. des Juifs*, t. I, pp. 160, 161. — Zresztą wszystkie te praktyki dzieją się podziśdzien w Azji nie tylko wśród pogańskich Indów, lecz również wśród mahometan; derwisze muzułmańscy wyprawiają te same sceny w swych meczetach: skaczą, wyją, kaleczą się, jak za dawnych czasów.

⁴ „Dans tout l'Orient grec où le culte d'Astarté se répandit, c'étaient les mêmes pratiques ignominieuses s'abritant sous le manteau d'une re-

ludzi w coraz większych występkach, a nie ulega wątpliwości, że taki był praktyczny ich wynik; co więcej, rozluźnienie obyczajów pociągało za sobą rozluźnienie węzłów społecznych i doprowadzało państwa i cywilizacje do upadku. Taka była przyczyna niezawodnie zaginięcia wszystkich cywilizacji wschodnich i zachodnich, ta a nie inna była również przyczyna upadku wielkiego państwa perskiego.

Skoro Persowie zostali panami świata, shołdowali sobie Babilon, Asyryę, Syryę, Egipt i Grecyę, złupili ich bogactwa i przyswoili sobie ich kulturę, wraz z nią sprowadzili i bogów obcych i sprośne ich kultury; skutki tego fermentu rozkładowego nie dały długo na siebie czekać. Persya wydana została na łup Greków i Partów; wprawdzie wróciła była na jakiś czas do swych dawnych pojęć religijnych, lecz były one zaprawione taką dozą pogaństwa, iż uzdrowić jej nie mogły; wreszcie złowrogi Islam rozpostarł nad nią swój śmiertelny całun i do ostatecznej martwoty doprowadził.

Oprócz kronik właściwych staro-perskich, posiadamy nadto asyryjski napis Cyrusa na ceglany m walcu z Babilonu. Król perski zawiadamia w nim, iż po zdobyciu miasta uwolnił ludy, które Babilończycy trzymali w niewoli i pozwolił im wrócić do ojczyzny. Ważny ten dokument odkryty przez Rassam'a¹ podajemy tu w tłumaczeniu:

20. Jestem Cyrus, król najwyższy, król wielki, król potężny, król Babilonu, król Sumiru i Akkadu, król czterech stron.

21. Syn Kambyzesa, wielkiego króla, króla Ansanu, wnuk Cyrusa, wielkiego króla, króla miasta Ansanu, prawnuk Teispes'a, wielkiego króla, króla miasta Ansanu.

22. Dawna rodzina królewska, którą Bel i Nebo, z dobroci serca swego, utrzymywali na tronie, zniknęła, skorom wszedł, jako zwycięzca do Babilonu.

ligion qui, à l'instar de toutes les religions du paganisme, paraissait inventée pour corrompre les hommes plutôt que pour les éloigner du vice et leur enseigner la vertu. Lenormant, *Hist. anc. de l'Orient*, t. V, p. 302.

¹ *The character and writings of Cyrus the great* w *Contemporary Review*, styczeń 1880, przez H. Rawlinson'a.

23. Z radością i weselem w pałacu królewskim zasiadłem na tronie. Marduk, wielki Bóg, dawny opiekun synów Babilonii...

24. Obszerne panowanie moje spokojnie ustalone zostało w Babilonie i w licznych okręgach Sumiru i Akkadu, porządek nie został zakłócony.

25. Twierdze babilońskie i wszystkie oszańcowania utrzymywałem w obronnym stanie; synowie babilońscy nie starali się o ich naprawę.

26. Wyłomy stały otworem, mury waliły się. Zająłem się odnowieniem świątyni Marduka, wielkiego Boga.

27. Mnie królowi, jego czcicielowi i Kambyzesowi, synowi memu, latorośli serca mego i mojemu wiernemu wojsku,

28. okazał Marduk łaskawe względy, i dlatego doprowadziliśmy świątynię jego do pierwotnego stanu. Wielu królów, którzy przebywali w okolicznych twierdzach...

32. Bogów, którzy mieszkali wśród nich, umieściłem napowrót w ich miejscowościach, wyznażyłem dla nich stałe przybytki. Zgromadziłem wszystkie ich ludy i pozwoliłem im wrócić do swych krajów.

33. Bogów Sumiru i Akkadu, którym oddawał cześć Nabonid podczas uroczystości pana bogów w Kal-Anna, według rozkazu Marduka, wielkiego Boga.

34. Umieściłem w ich świątyniach, jakie posiadał każdy z nich we własnym mieście.

35. Codziennie prosiłem Bēl i Nebo, ażeby przedłużyli moje życie, powiększali moją pomyślność, aby przypominali Mardukowi, memu panu, że jego czciciel, Cyrus król i syn jego, Kambyzes... (nie dostaje dalszego ciągu).

Ten dokument był redagowany przez kapłanów chaldejskich — ztąd dziwić się nie można, że niema w nim wzmianki o Auramazdzie, który tu widocznie przez Marduka jest zastąpiony; ważnym jest dla egzegezy biblijnej, potwierdza bowiem prawdomówność Pisma św., mianowicie zaś ustęp, jaki znajdujemy u Ezdrasza, znany jako list Cyrusa. List ten tak się zaczyna:

To mówi Cyrus, król perski: wszystkie królestwa ziemskie dał mi Pan Bóg niebieski, i ten mi rozkazał, abych mu zbudował dom

*w Jeruzalem, które jest w Żydostwie. Kto jest między wami ze wszystkiego ludu jego, niechaj będzie z nimi Pan Bóg jego. Niech idzie do Jeruzalem, które jest w Żydostwie, a niech buduje dom Pana Boga Izraelskiego, on ci jest Bóg, który jest w Jeruzalem...*¹

Styl tego listu jest również świadectwem jego wierzytelności; tak się zaczynały i podobnych wyrażen używały wszystkie napisy Achemenidów, któreśmy poprzednio rezbierali.

Księga Estery zawiera również list jednego z królów perskich, mianowicie Assuerus'a, odwołujący pierwotny ukaz zagłady żydów. Kto był ten Assuerus, różni różnie mniemali; przeważało zdanie, że to był jeden z Artakserksów, tembardziej, że w przekładzie greckim (LXX) Biblii znajduje się list tegoż króla perskiego i tam nazwany jest Artakserksesem². Otóż dzisiaj powszechnie się zgadzają, że tym królem był Kserkses. Za tem mniemaniem przemawia nie tylko brzmienie hebrajskie wyrazu Assuerus, lecz co więcej główne rysy, odnoszące się do tego króla, a przywiedzione przez autora „Księgi Estery“, doskonale licują z charakterem Kserksesa, którego Herodot opisuje, jako okrutnika, pijanicę, rozwiązłych obyczajów i nadzwyczaj niestałego³.

Szczegóły przywiedzione w „Księdze Estery“ są w zupełnej zgodzie z tem, co nam pisarze klasyczni o Persyi zostawili; sam zaś list Kserksesa wygląda zupełnie tak, jak gdyby

¹ Ks. I. Ezdrasza, I, 2, 3.

² W tekście hebrajskim brak jest tego listu.

³ „Namque nomen *Assueri* (Achaschverosch אֲחַשְׁוֵרוֹשׁ) si sustuleris Aleph prostheticum, ad amussim consonat persicae formae nominis Xerxis (*Chsy-árschú Chsay-árschâ*), quae ex cuneiformibus inscriptionibus nobis innotuit. Quare omnino reicienda est alexandrinae versionis transcriptio, qua multi interpretes in errorem sunt inducti; *Artaxerces* enim correspondet hebraico *Arthachschaschtha* (אַרְתַּחְשָׁשְׁתָּה) et cuneiformi *Artachschathra*. Ubi autem *Assueri* nomen, ita etiam ejus indolas ea est, quam Xerxis fuisse profani scriptores docent; eadem in utroque crudelitas atque ulciscendi cupido, eadem luxuria et libido, eadem in agendo inconstantia et dementia, ut homini deliro quam sano interdum sit similior“. P. R. Cornely S. J., *Introduc. spec.* in H. V. T. L., v. I, p. 427. Ob. również KAT², str. 375.

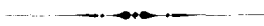
był żywcem zdjęty z napisów klinowych, jakie Achemenidzi ryć kazali na swych pałacach lub niedostępnych skałach Persyi. Jeden szczególnie ustęp jest prawie dosłownem powtórzeniem wyrażenia tylekroć ponawianego w napisach klinowych:

A my... Żydy na śmierć skazane, w żadnej zgoła winie nie znaleźliśmy, lecz przeciwnie, praw sprawiedliwych używających, i synami najwyższego i największego i zawsze żyjącego Boga, za którego dobrodziejstwem i ojcom naszym i nam królestwo jest dane i aż podziśdzień zachowane¹.

Na tem kończymy przegląd i rozbiór napisów staro-perskich; dorzuciły one nieco światła do zagadkowych i trudnych do rozwikłania pierwotnych przeobrażeń pojęć religijnych. Wbrew twierdzeniu racjonalistów, którzy chcą wprowadzić ewolucję i postęp w sferę pojęć religijnych, wywody historyczne dozwoliły stwierdzić w Persyi pierwotną jednobożność, dozwoliły nadto uchwycić chwilę, w której nowy czynnik wprowadza zwrot w pojęciach religijnych i szerzy rozstrój. Jestto postęp ale na wspak: rozwija się wielobożność, a kończy się rozkładem społecznym.

Ks. W. Zaborski.

¹ Ks. Estery, XVI, 15, 16.



DWIE CHWILE

Z DZIEJÓW POLSKIEJ KOLONIZACYI NA NIŻU

(1638 i 1648 r.) ¹.

Ziemie dawnej Rzpltej, leżące na południowych skrajach — ztąd przeto „ukrainnemi“ zwane — zawsze tworzyły punkt najsłabszy państwa Jagiellonów i Wazów. Ówczesni statysci wybornie o tem wiedzieli, lecz nie przedsiębrano żadnych środków ku zespoleniu bliższemu i stosownej obronie. Nie wypływało to wszakże z lekceważenia, nieumiejętności, ale w tradycyi, usposobieniu narodu miało swe źródło. Zostawiano sprawy ściślejszego zespolenia „ziem ukraiennych“ z Rzeczpospolitą naturalnemu biegowi rzeczy. Postępowano z Ukrainą dalszą „niżową“ tak, jak ongi z Litwą: mniemano, iż czas, wspólne szczepów bytowanie, dokonają zespolenia odległych części z całością, a tem samem wytworzą obronę od niebezpieczeństw, płynących z pogańskich granic.

Taka polityka zrozumiała dla ówczesnych a miejscowych była. Cudzoziemiec od niedawna „wmieszkały“, jak Gwagnin i inni, tudzież obcy, zdala na stosunki nasze patrzący, wcale tego nie rozumieli i niemało się temu dziwili, mniając nie dbalstwem to, co wypływało z charakteru narodu.

¹ Z odczytów publicznych, mianych w Muzeum Techniczno-Przemysłowem krakowskiem, w lutym 1890 r.

Niektóre umysły sarkały wprawdzie na brak zapobiegliwości w obronie granic, na brak pracy w tym kierunku systematycznej. Przysłuchiwano się wyrzekaniom, napomnieniom, rozumiano ich doniosłość; ale snąć otrząść się przetrudno było z nawyków, których źródło leżało w charakterze narodu.

Wśród rozumiejących doniosłość złych następstw zabaczania o pracy systematycznej w rzeczy obrony krajowej, widzimy Gwagnina, który szczerze wypowiada się, iż inne ludy poczynąłyby w sprawie tej bardziej systematycznie, pilniej obrachowując rzeczy na lata, i doszłyby do osiągnięcia trwałego bezpieczeństwa miedzy południowych... „Gdyby to w niemieckich rękach było, albo to mieli Wenetowie, — powiada Gwagnin — nie byłiby oni w tem tak niedbali jak my“...¹

Ma on tu na uwadze Niż dniewowy i wogóle Ukrainę, której asymilacya szła nader powoli drogą kolonizacyi, lecz drogą prawodawczą nic w tej sprawie nie czyniono. I wogóle kwestya zjednoczenia pojedynczych części szeroko rozsiadłej Rzpltej nigdy nie była na seryo podnoszoną; dla przyspieszenia asymilacyi nie nigdy w Polsce na sejmach nie uchwalono. Sztandar wolności, rozpostarty od wieków nad ziemiami polskiej Rzpltej, był największą siłą atrakcyjną, skupiającą owe ziemie w jedną całość, w całość zachowującą wprawdzie swe prowincjonalne odrębności, niekiedy nawet bardzo wielkie, ale zawsze poczuwającą się do jedności. Sama nazwa „Polska“ była niejako synonimem wolności. Tak nawet ową nazwę rozumiał w epoce porozbiorowej lud wieśniaczy na dalekich kończynach prastarej Rzpltej, rozumiał kilkadziesiąt lat po rozbiorze w okolicach tych nawet, gdzie szlachta mało wykształcona, pod naciskiem obcych wpływów, zatracala ojczyście tradycye.

Rzeczpospolita, pomimo swych odrębności prowincjonalnych, była całością o niemałej spoistości, której i dziś jeszcze, po stuletniem burzeniu, zburzyć, zatrzeć nie zdołano; była ca-

¹ *Kronika Sarmacyey Europejskiej*... z wydania 1611. przedruk 1768; str. 339.

łością państwową, chociaż jej organizm mienił się tysiącem barw, chociaż różnojęzyczne tłumy zalegały jej obszary, dla których jedyną spójnią był sztandar wolności. U tego sztandaru zbiegały się szczepy, niekiedy wzajem siebie nie rozumiejące, gromady, czasem wrogo nasepione, o różnych kultach religijnych, różnym niekiedy obyczaju.

Nikt tych odrębności prowincjonalnych nie sprzęgał w jedną całość, nie jednoczył. Asymilowała je wolność i tolerancja polskich instytucyj, własny interes zbliżył przed wiekami, a wspólne pożycie szczepów i ziem pod wpływem polskiej, chrześcijańsko-katolickiej kultury, dokonały reszty.

Praca polskiego kapłana i praca polskiego rolnika rozszerzały i umacniały miedze Rzpltej. Tam, dokąd doszedł polski kapłan z krzyżem w dłoni, tam gdzie zdołał sięgnąć pług polskiego szlachcica-rolnika, legły granice Rzpltej — i zaszezepiono na ugorach cywilizacyi zawiązki kultury chrześcijańskiej, zachodnio-europejskiej. Owo dojście do dalekich kończyn, szczególnie na tak zwanym Niżu dniewnym, gdzie był kraniec krajów chrześcijańskich, łatwem wcale nie było. Dosięgał tam kapłan polski w XVII stul. z niemałym wysiłkiem; poświęcenie, nieraz heroiczne, mogło go tam utrzymać; bez poświęceń bowiem, bez ofiarności prawdziwie apostolskiej, istnienie popolicie niemożliwem się stawało.

Wybrzeża Dniepru, ościenne ziemiom tak zwanym Niżowym, tworzyły południowo-wschodni węgiel Rzpltej. Ów węgiel, owa południowo-wschodnia ściana, bardziej od innych węglów państwa bywał narażany na zabaczenie, a tymczasem on właśnie powinien był być wzmacnianym i najtroskliwiej pielęgnowanym.

Nie troszczono się jednak o poważniejsze wzmacnianie, i powstające w tej sprawie głosy poważniejsze tłumiono lekceważeniem... Każda na tym polu działalność stawała tylko pojedynczą inicjatywą.

Pojedyncza inicjatywa i ofiarność hetmana w. koron. Stan. Koniecpolskiego przyczyniła się do wzniesienia twierdzy nazwiskiem *Kudak*, u pierwszego z progów dniewnych.

Mysł przewodnicząca sprawie wznoszenia Kudaku była wyłącznie polityczną. Chodziło o zamknięcie Zaporozcom drogi do Polski, o przeszkodzenie większemu napływowi polskiego żywiołu na Zaporozie, o przeszkodzenie najściom na pogranicza Tureckie, o wstrzymanie wreszcie tak zwanych „chadzek“ na morze Czarne zbrojnych łodzi Zaporozców — jednym słowem, chodziło o trzymanie w posłuchu owych dzikich przestworzy, co legły na Niżu dniewowym. Poza osłoną oręża, poza osłoną powagi Rzpltej, której wyrazem miała się stać owa twierdza, górująca nad pierwszym progiem, mogły się rozwijać sprawy i zabiegi kolonizacyjne, mogły się spodziewać ocalenia od zagłady ziarna cywilizacyi, rzucane na jałową głęb tak zwanych — a słusznie — „Pól dzikich“.

Trzynastcie lat zaledwie istniał Kudak, i te lata miały przerwę znaczną, a dalekie były od spokoju. Trwogi, niepokoje ciągle, większe bądź mniejsze, zakłócały istnienie twierdzy i groziły zupełną zagładą małuczkiej kolonizacyi, która rozwijała się i tuliła u wałów Kudaku.

Lemiesz polskiego rolnika nie sięgnął jeszcze do okolic ościennych owym wałom, lemiesz ten nie przekraczał wybrzeży Taśminy, nie wkraczał na „Pola dzikie“, niemniej wszakże zbliżał się ku nim. Gdyby Kudak dłużej istniał, gdyby miał moc trzymania w posłuchu dłuższe lata, zarówno Siczy jak i hord Tatarskich, kolonizacya polska wielką falą wylałaby poza Taśminę, i starałaby się tak zorać ów odwieczny ugór na Niżu, jak okryła łanami zbóż wielorakich dziewicze łany nad środkowym Bohem lub Dniestrem.

Losy dziejowe inną jednak poszły koleją. Ku końcowi 1648 r. Kudak padł pod naciskiem zaporozkich hufców, które podniesione dłonią Chmielnickiego szły ku północno-zachodowi, niszcząc ogniem, mieczem, okrucieństwem pogańskiego zdziczenia wszystko spotkane na swej drodze — a zatem pierwsze zawiązki kolonizacyi, pochodzącej z łona zachodniej kultury zostały zdeptane, i step niżowy do dziś nie został zupełnie wydarty zdziczeniu.

Nie naszą tu rzeczą opowiadać o dziejach Kudaku. Przed

jedenastu laty poświęciliśmy dziejom tej twierdzy kresowej oddzielną książeczkę¹; obecnie dzieje te pragniemy uzupełnić chociaż kilku słowy, chociaż paru mniej znacznemi szczegółami, które może małuczkim staną się promykiem, rozpraszającym wielką mgłę niewiadomości, wciąż otaczającej historią pobytu polskiej myśli na Niżu dniewnym.

X Chcemy dać tu krótki zarys dwóch chwil dziejowych z epoki, gdy polski wpływ zdawał się stawiać mocną stopą na wyżynie, górującej nad pierwszym wodospadem dniewnym.

Dwie te chwile, to rok 1638 i 1648, a przynajmniej dni kilka z owych lat. Dzieje tych chwil krótkich, a tak bardzo różnych, bo rok pierwszy, to doba wznoszenia wznowionego Kudaku — data zaś druga, doba jego upadku — wskazują nam: iż myśl polska, chociaż niesiona niekiedy przez ludzi różnej wiary, wznosiła się ku wyżynom, starając się bądź czynem, poświęceniem, bądź przykładem podnosić tych, do których przyszła.

I zaiste, podnosiła ich z nizin zdziczenia ku wyższym, chrześcijańskim bądź rycerskim ideałom, i nie opuszczała rąk w swej pracy cywilizacyjnej aż do ostatnich krańców możliwości tam stania i działania.

Tradycja, która po tych pracownikach pozostała — nie owa w księgach, pod technieniem obcych, dla celów obcych prawdzie, już za dni naszych kreślona, ale tradycja ludowa — ta co się tuli do mogił, kurhanów, co jest złotą przędzą dla badacza, wspomnienia złego nie przechowała o polskich ludziach, polskich kapłanach, polskiem gospodarzeniu na kudańskiej wyżynie.

Słaby dziś nadzwyczaj głos owej prastarej tradycji; głos ten jednak daje się słyszeć, ale jeno wówczas, gdy z miłością a gorącą chęcią odszukania prawdy przyłożymy nasze ucho do kurhanów, gdy długo a pracowicie pod niskimi strzechy przysłuchiwać się będziemy gwarzeniu starych ludzi i starych

¹ „Kudak, twierdza kresowa i jej okolice...” wyd. w Warszawie i Krakowie (nakład Gebethnera i Wolffa). 1879.

mogli, wówczas, powtarzam, i tylko wówczas dobieży do nas ów głos tradycyi, coraz to słabszej, zamierającej.

Posługiwałem się nią na miejscu, i dużo czasu i trudu zużyłem, zanim ją odszukałem; posługiwałem się ową tradycją dla uzupełnienia tego, o czym źródła historyczne nie mówią, o czym niekiedy wcale nie wiedzą. Porównywałem tradycję ze źródłami — i w głównych zarysach spotkałem tożsamość relacyj; podania w niczem nie przeczą źródłom piśmiennym — owszem, je uzupełniają. Dzięki nie tylko źródłom historycznym, lecz i owej tradycyi miejscowego ludu, mogłem odtworzyć niektóre szczegóły, rzucające nieco światła na owe dni ciężkiego trudu, dni mało znane, mało badane, i na które dotąd najczęściej okiem obcym patrzymy, okiem wrogiem nie tylko dla nas, ale i dla tego wszystkiego, co urosło na niwie cywilizacyi katolickiej, zachodnio-europejskiej... Czas, zaiste, i wielki, aby chociaż promyk prawdy oświecił fałszu i niewiedomości niziny. Przeszłość Polski stanie wówczas jaśniejszą, świetniejszą, historia zbliży się do ideału prawdy.

Doba sypania wałów Kudaku pod przewodnictwem hetm. w. kor. Stan. Koniecpolskiego stała się zarazem chwilą ważną w dziejach cywilizacyi stepów ościennych młodocianej twierdzy. Jednocześnie ze wznoszeniem ostrokołów, z sypaniem obronnych wałów nowego grodziska, rzucono podwaliny kaplicy katolickiej u stóp twierdzy na wybrzeżu dniprowem. Fala pierwszego dniprowego progu obijać się miała o zrab malej świątynki, którą w połowie XVII w. uważano za kopiec graniczny katolicyzmu na Wschodzie.

Współcześnie z garstką rycerstwa, którą los rzucał na posterunku prawie straconym, stawali u ołtarza owej świątyni również rycerze, lecz nieoreźni, nie z mieczem, nieopancerzeni zbroją. Krzyż, modlitwa, poświęcenie, ofiarna gotowość na męczeństwo za wiarę, starczyły im za rynsztunek bojowy. Byli to zakonnicy św. Dominika. Stawali na posterunku również ważnym, jak i ci co bronili twierdzy, i także, a może bardziej, niebezpiecznym.

Walczyć z poza okopów, walczyć orężem na stanowisku mocnem, z orężem w dłoni, łatwiejsze stokroć zadanie, niż modlitwą jedynie a wielkiem podniesieniem ducha zdobywać moc ku odparciu wroga. Zadanie to ciężkie udziałem się stało ubożuchnych zakonników św. Dominika. Kościółka, który u wałów Kudaku wzniesiono, strzegli oni i bronili — bronili modlitwą i wiarą w Opatrzność przez cały szereg lat. A gdy świątynia małauczka legła ruiną pod ciosami tłumów, którym rok 1648 dał broń do ręki, watażkowie zaś, poddani Chmielnickiemu, rozniecali płomień pożogi — wówczas i obrońcy posterunku wiary i modlitwy znaleźli grób wśród ruin, na stepach krwią ich męczeńską zbaczonych.

Przypatrmy się tym dziejom niedługim pobytu Dominikanów w Kudaku, dziejom, które rozpoczynały się od wypadków, rokujących dużo warunków pomyślnego rozwoju, a skończyły się krwawą, męczeńską ofiarą, której pamięć nawet nie dotarła do źródeł dziejowych, ale jedynie pozostała w tradycyi ludowej — i zapisał ją jeno Bóg w niebie, a step na ziemi uwiecznił mogiłą, noszącą do dziś nazwę: „Mogiła Jacków“¹.

Pierwotny Kudak, jak powszechnie wiadomo, stanął szybko, ale niezbyt zbrojnie. Kilka wiosennych tygodni (1635) wystarczało na usypanie jego wałów; lecz nie opadły jeszcze pierwsze jesienne liście w sąsiedniej samarskiej puszczy, na przyległym Zadnieprzu, a już pierwotny okop kudacki powiał pustkowiem. Znane są dzieje wrażenia, jakie na Zaporozu wywołało wystawienie pierwszego okopu zbrojnego u kojdackiego progu; znane następstwa tego wrażenia oburzenia, które jak błyskawica przebiegło szeregi zaporozkiego rycerstwa — a z owej błyskawicy oburzenia wypadł piorun groźny a szybki: był to napad Sulimy na Kudak, i zdobycie pierwotnych fortyfikacyj tej twierdzy, niezbyt jeszcze zbrojnej. Su-

¹ „Jackami“ nazywano Dominikanów w Kijowie i na porzeczu Dnieprowem, a również na Zadnieprzu, gdzie w początkach XVII wieku istniały ich klasztory.

lima, wódz kozaczy — ten sam, który już się wslawił niegdyś swemi zwycięstwami nad Turkami na wodach Czarnego morza, i posłał w darze papieżowi Pawłowi jeńców muzułmańskich, — gardłem przeplacił swe zburzenie pierwotnego Kudaku.

Po zburzeniu pierwszego Kudaku stanął w temże miejscu inny, bardziej zbrojny, nad którego ufortyfikowaniem Beauplan pracował, a hetm. w. Stan. Koniecpolski był obecny ukończeniu uzbrojeń wznowionej twierdzy.

Działo się to w roku 1638.

Wznowienie twierdzy z początku opieszale prowadzone, później szybko posuwało się. Hetman Koniecpolski przypro-wadził z sobą 4000 żołnierza, który używany był do robót fortyfikacyjnych; w ten więc sposób, i tym razem przed jesienią, wznowiony Kudak stanął w całej gotowości bojowej; a hetman, zanim przed zimą wrócił w głąb kraju, mógł instalować doświadczonego w boju Jana Wojsława Żółtowskiego gubernatorem twierdzy, obrońcą bardzo ważnego posterunku Rzpłtej na najdalszych kończynach jej wpływu i ówczesnej przewagi. Jednocześnie z Żółtowskim przybyli do Kudaku pierwsi Dominikanie.

Gotowość bojowa Rzpłtej u wodospadów dniewprowych, zdawało się, iż sprowadzi całe tłumy nowej kolonizacyi, która, jeżeli nie z głębi kraju, to z bliższej, osiadłej Ukrainy, z tak zwanych „włości“, spłynie ku okolicom niżowym. Osadnicy jednak nie szli ochoczo ani wówczas, ani też później; kraj to był jeszcze pełen niebezpieczeństw, a warunki klimatyczne również jak i dziś, stokroć tam gorsze były dla rolnictwa niż we „włościach“, niż w Ukrainie wyższej, osiadłej. Jeżeli jednak rolnik-szlachec nie posuwał się ze swym lemieszem, jeżeli kolonizacya wyczekiwała warunków pomyślniejszych, by step przestał roić się Tatarstwem, nieustannie w celach łupieżczych włóczących się wśród pustych przestworzy, — kapłan polski nie przestraszył się strzały i arkanu Tatarzyna, ani trudów i niewygód, ani szarańczy i owadów, będących wówczas cią-głą klęską na Niżu, lecz szedł tam w szeregu pierwszych pionierów cywilizacyi, i górował nad nimi, bo niósł nietylko uoby-

czajenie, ale pierwszą pochodnię wiary i pojęcia moralności chrześcijańskiej, które jeszcze i dziś prawie tam obce.

OO. Dominikanie stanęli u kojdeckiego progu właśnie w tej chwili, gdy uzbrajanie i fortyfikowanie wzniesionej twierdzy miało się ku końcowi. Dwa źródła poważne, z zakresu historii Zakonu kaznodziejskiego u nas, podają nam niektóre szczegóły, dotyczące się pierwszego niemal dnia prac apostołskich Dominikanów na Niżu.

Wznowienie Kudaku przypada właśnie na czasy szybkiego rozszerzania się u nas klasztorów Dominikańskich. Prace tego zakonu już od XIII w. znanymi były w Polsce. Dominikanie, wraz z zakonnikami św. Franciszka, pierwsi torowali drogę katolicyzmowi na Litwie; Dominikanów w ciągu wieków widziano u nas przebiegającymi puste przestrzenie z pracą apostołską, z bohaterstwem męczenników. Gdzie niebezpieczeństwa najgroźniejsze, gdzie praca najtrudniejszą, niepodobną do podniesienia zdawała się, tam spieszyły białe habity zakonników św. Dominika. Krwawej barwy ich pasy, używane w klasztorach, tworzących tak zwaną Prowincję Ruską zakonu, były pełnym prawdy symbolem ich dziejów, zaiste krwawych, znaczonych na każdym kroku poświęceniem i ofiarą.

Skoro rozbiegła się po wyższej Ukrainie i Podolu wieść, iż Kudak powtórnie się fortyfikuje, iż osadnictwo może się tam rozszerzyć i ustalić, Dominikanie pierwsi nieliczną gromadką, bo samotrzeć czy samoczwart, podążyli na Niż, by u wałów Kudaku wznieść kaplicę, i rozpocząć pracę misyjną pełną niebezpieczeństw.

Mamy o chwili instalacji Dominikanów u wałów Kudaku relację poważną Okolskiego¹. Chodykiewicz w tej kwestyi daje nam również wskazówki bardzo cenne, opierając się wszakże głównie na Okolskim, który pisał swoją *Russia florida* około r. 1646, t. j. w czasach, poprzedzających zbrojne wystą-

¹ Patrz: S. Okolski. *Russia florida rosis et lillis...* wyd. 2, lipskie, 1759 r.; str. 326, 329, 330, 333.

pienie, w epoce gdy polski Kudak jeszcze istniał¹. Zdziwiałą jest rzeczą, że o Dominikanach w Kudaku, o kościółku katolickim, który tam istniał lat około dwunastu i pracą misyjną kapłanów zakonu kaznodziejskiego niemal się wślawił, nie nie mówi Bogusław Maszkiewicz, pamiętnikarz, zwiedzający na niewiele przed r. 1648 Kudak. W niezbyt obszernym, szczegółowym wszakże „Dyaryuszu“ swym, Bogusław Maszkiewicz o niczem nie zapomina; ba, nawet i piwnica z dobrami winami w twierdzy zapomniana nie była, nawet parę słów poświęca straganom ubożuchnym z koniecznemi dla żołnierza artykułami handlu, o kościółku tylko i Dominikanach zamilcza².

Dominikanie wnet po przybyciu zajęli się budowaniem kaplicy. Stała ona poza wałami twierdzy, od strony przeciwniejszej jedynej bramie, przeciwniejszej wjazdowi do fortu, a więc od strony stepów południowych, z kądem co chwila można się było spodziewać tatarskiego czambułu; stała w miejscu samotnem, tuż u wybrzeży Dniepru, tak blisko rzeki, iż szum fali, bijącej wciąż od wieków o skały pierwszego progu, zlewał się z pieśnią kapłanów w maluczkiej świątyni. Jedyne osłoną świątyni i tych, co stali u straży ołtarza, była głęboka wiara w orędownictwo Bogarodzicy, której obraz umieścili zakonnicy w ubożuchnej kaplicy, i na Jej cześć hymn *Salve Regina* codziennie tam brzmiał.

Szymon Okolski w swej cennej pracy, *Russia florida*, tak nam opowiada o dniu instalacji Dominikanów u pierwszej katarakty dniewrowej: „Dnia tedy niedzielnego po wybudowaniu kaplicy, dano znak w nocy uderzeniem dzwonu na nabożeństwo. Usłyszał to wódz najwyższy (t. j. hetman w. kor. Stani-

¹ Fr. Clemente Chodykiewicz. *De rebus gestis...* pars altera, Lib. IV... (Rękopism, własność konwentu Dominikanów lwowskich, uległ losom smutnym, gdyż zabrano go Dominikanom, i już lat prawie kilkadziesiąt tuła się po rękach różnych. Źródło to późniejsze od ks. Szymona Okolskiego: niemniej jednak Chodykiewicza praca olbrzymia jest co do rozmiarów, pomnikowa co do treści, gdyż czerpał jej autor z archiwów swego zakonu, a zatem ze źródeł pierwszej ręki).

² „Dyaryusz Bogusł. Kazim. Maszkiewicza“, w T. V „Zbioru Pamiętników o dawnej Polsce“.

śław Koniecpolski) i przyszedł do kościoła, a ojcowie zakonu rozpoczęli Mszę św. śpiewaną o Najśw. Maryi Pannie...¹

To nocne dzwonienie i rozpoczynanie przed świtem nabożeństwa ściśle związane ze zwyczajami zakonu św. Dominika: nabożeństwo powinno się u nich zaczynać uderzeniem dzwonu o północy, co w niektórych krajach i dziś jeszcze jest we zwyczaju².

Z dalszych ustępów relacji Okolskiego widzimy, iż w ciągu Mszy św. śpiewano zwykłą t. zw. „apostrofę“, *Gaudemus omnes in Domino*... Hetman wzruszony zalał się łzami, i dziękując Bogu, iż wiara tak daleko rozszerza się, postanowił chwilowy posterunek OO. zakonu kaznodziejskiego zamienić na stałą fundację klasztoru dominikańskiego.

Myśl wówczas podjętą wprędce urzeczywistniono. Po kilku latach, a mianowicie r. 1643, już Dominikanie obejmowali w swe posiadanie klasztorek w Kudaku i obszar znaczny ziemi, nadany im przez króla Władysława IV.

Zanim jednak stanął klasztor i kościółek — a wszystko to z drzewa, małe, ubożuchne, wcale nieobronne — Dominikanie nie ustawali w misyjnej pracy, dla której przybyli. Byli nieliczni, bezbronni, z pozycją materialną nieustaloną, otoczeni niebezpieczeństwami. Po ustaleniu zakonnej siedziby w Kudaku, niebezpieczeństwa nie zmniejszały się, owszem, wzrastały poniekąd, bo pomnażające się utensylia i zasoby kościółka wywoływały zamachy różnych łotrzyków, żądnych łupu, mordu i grabieży; a w takich łotrzyków, o większych lub mniejszych kupach, step zawsze obfitował. Pod grozą niebezpieczeństw prowadzona praca misyjna Dominikanów stawała się cementem, jednoczącym „Dzikie pola“, kończyny świata z dziedziną zachodniej, chrześcijańsko-katolickiej cywilizacji.

¹ *Russia florida rosis et lillis*, str. 124. Mglisty nieco styl Okolskiego sprawia, iż w oryginale cytowanego ustępu spostrzega się zdanie, mogące wywołać przypuszczenie, iż kaplicę tę w nocy wybudowano, co rozumie się byłoby mylną interpretacją.

² Ks. Sadok Barącz, w jednym ze swych objaśnień rękopiśmiennych.

Chwila ta nader ważna w dziejach rozwoju wpływu polskiego na Niżu. Wpływ ten, jak zaznaczyliśmy, inicjatywą pojedynczą, prywatną kiełkował, rozszerzał się; same państwo nie odegrało tu żadnej roli. Udział państwa nie ujawnia się; nie było go wcale. W *Voluminach Legum* spotykamy wprowadzenie uchwały, dotyczące się osadzania, przywilejów, uposażeń klasztorów dominikańskich na dalekich kończynach Rzpltej — w Siewierszczyźnie, w Smoleńszczyźnie, w okolicach, które wcześniej od innych na zatracenie iść miały — ale konstytucje sejmowe, zapisane w *Volum. Leg.*, sankcjonowały niejako to, co zdziałała inicjatywa prywatna; brały pod opiekę prawa rzecz, wytworzona pomysłem, pracą, poświęceniem, nieraz męczeństwem pojedynczych jednostek. Tu pospolicie nie działał interes państwowy, jako czynnik główny, lecz interes wyższy: sprawa poczucia potrzeby rozszerzania wiary i chrześcijańskiej kultury motorem były przeważnym. Państwo, jako państwo, nie zwykle nie zdobywało dla siebie — zdobywała podstawę rozwoju sprawa ważniejsza, sprawa cywilizacji.

Państwo runęło, lecz to, co zdziałano dla rozwoju i ustalenia kultury chrześcijańskiej pozostało naszą narodową zasługą w dziejach ludzkości...

Gorąco snąć brano do serca wszystko, co się tyczyło sprawy publicznej, co się jednoczyło z wyższymi chrześcijańskimi i cywilizacyjnymi zadaniami, które Polska spełniała, gdy hetman w. kor. Koniecpolski na głos pieśni dominikańskiej łzami się zalał... Fakt ten, drobny napozór, podnieść należy do szczytów wyższych, świadczy bowiem, iż przedniejsi wśród narodu rozumieli posłannictwo swe, i szli z całym zapalem pod chorągwią posłannictwa narodowego. Rzplta, a raczej jej przedniejsi synowie, którzy ją wiedli, skoro zapomnieli o hasłach podniosłych, pożytek niosących nietylko nam, ale i innym szczepom — szybko ku upadkowi chylić się zaczęła. Gdy zabrakło ludzi poświęcenia dla publicznej sprawy, a prywatna ponad głowy społeczeństwa urosła, rozpręgły się węzły zrębu państwowego, i przy podmuchach nieprzyjaznych wiatrów runęły zręby państwa, które było ostoją kilku szczepów.

Podczas doby, o której mówimy, jeszcze ludzi rozumiejących posłannictwo nie brakło. Hetman Stan. Koniecpolski do takich należał. Rozumiał on je i gorliwie, a z zapalem podnosił; rozumieli i Dominikanie, którzy z poświęceniem męczenników osiedlili się nad pierwszym progiem Dnieprowym.

Jak oni rozumieli posłannictwo swe, świadczą słowa aktu objęcia wzniesionego tam maluczkiego klasztoru: „Przyjmujemy miejsce w Kudaku (pisali oni), leżącym u wrót Tatarskich, jako mające stać się duchownem przedmurem Królestwa, a co najważniejsza, aby się stało kolebką nawrócenia wielu żołnierzy, z obcych krajów tutaj sprowadzonych, a herezyą zarażonych... Jako zaś i wielu wiernych synów Kościoła do tegoż wojska są zaliczeni, tedy z zachowaniem tego, co się zachować winno, miejsce to przyjmujemy...”¹. Zakon kaznodziejski otrzymał hojne uposażenie od Władysława IV. Przywilej królewski, który już za dni Chodykiewicza w oryginale nie istniał, przytoczony u Okolskiego, a powtórzony u Chodykiewicza, wskazuje, iż ówczesne fundacye zakonne czyniono ze świadomością celów, a te cele zawsze były podniosłe, dążące do rozszerzania nauki Chrystusa wśród krain nawpół dzikich. Przywilej, zaznaczywszy zasługi Zakonu kaznodziejskiego, poczynawszy od czasów św. Jacka, który nad Dnieprem pracował, wspomniawszy, iż członkowie tego Zakonu „położyli wiele zasług w przyprowadzeniu mieszkańców tej prowincyi (Naddnieprza) do jedności wiary św., w wykończeniu przesądów pogańskich, a nadewszystko w zwalczaniu wpływów sąsiedniego tu muzułmaństwa“, oświadcza, iż dla zakonników, którzy dla rzeczonych celów „nie szczędzą nawet krwi wylania“, zakłada król klasztor w Kudaku. Brzmienie dalsze przywileju następujące: „Zatem postanowiliśmy założyć klasztor i fundujemy takowy w miejscu, gdzie obecnie rzeczeni ojcowie (Dominikanie) obrali sobie za mieszkanie i wzniesli kaplicę, dla odprawiania nabożeństwa, na wzgórzu między dwoma dolinami, w miejscu pospolicie zwanem *Bałki*,

¹ Fr. Clem. Chodykiewicz. *De rebus gestis*, pars altera, p. 710—712.

wcielając do tej fundacyi całe wzgórze, jak powierzchnia onego rozciąga się, na długość i szerokość wraz z ogrodem, leżącym w dolinie, która zaczyna się od bramy kryłowskiej, rozciąga się do Dniepru i do futoru, nazwiskiem Kozacki Ostrow, położonego między Dnieprem i rzeczką Kudaczką“.

Nie na tem jednak ograniczało się uposażenie Dominikanów w Kudaku. Czytamy bowiem w dalszym ciągu królewskiego przywileju o nadaniu znacznego obszaru ziemi, na południe od Kudaku, w tych słowach:

„...Abyśmy zaś rzeczonych ojców opatrzyli lepszemi do utrzymania życia sposobami, wyznaczamy im na ten cel grunta, położone między rzekami Surą i Wolniską, dla osadzenia onych ludem na tę długość i szerokość, na jaką rozciąga się szerokość samej ziemi, między temi rzekami położonej, dla osadzenia gruntów tych ludem, z wolnością wszelkich użytków i wolnem rybołostwem w pomienionych rzekach, z obu stron przy tychże ziemiach. Wszystko to klasztorowi temu kudackiemu nadajemy, i do posiadłości onego wcielamy, oraz poddajemy mocy swobód i przywilejów Kościoła św.“...

Pobył Dominikanów na Kudaku trwał tyle tylko, jak długo Orzeł Biały powiewał z okopów owej twierdzy niżowej. Rok 1648 zmiotł tam wszystko; ślady wpływu przewagi Rzpłtej zniknęły, i praca dalsza Zakonu kaznodziejskiego uniemożliwioną została. Krótka praca Dominikanów posiada tam swe dzieje. Zapisali jednak niektórzy swe imiona w rocznikach Zakonu, jako apostołowie Niżu, a mianowicie: ojciec Fabian z Przemyśla *Malissorius* (Maliszewski), ojciec Mikołaj Żegota i ojciec Maryan z Jaślik. Pierwszy wśród nich — Fabian Maliszewski — postać znana i powagą w Zakonie ciesząca się; później w innych okolicach Rzpłtej słynął, i gdy wreszcie żyć przestał na Litwie, w Stołpcach (nad górnym Niemnem) pamiętać jego czcig, jako „błogosławionego“, otoczono¹. Żegota,

¹ Ciało błog. Fabiana z Przemyśla (Maliszewskiego), w drugiej połowie naszego stulecia wielkorządcą Litwy, Kaufman, kazał porwać z kościoła i skazał na banicję. Pieśń o błog. Fabianie brzmi dotąd w ustach miejscowego ludu, a freski na suficie sklepu, gdzie błog. Fabian spoczywał, wskazywały przypisywane mu cuda.

a również i Żółtowski, pierwszy gubernator twierdzy, zmarli na Kudaku, i w kaplicy Dominikańskiej ich pogrzebano.

Gdy inwazyja Chmielnickiego rebelii zbliżyła się ku okopom Kudaku, „duchowe przedmurze“ Rzpltej — jak Dominikanie klaszterek swój nazywali — bronione tylko modlitwą, wiarą w opiekę Bogarodzicy, której obraz ściągwał licznych czcicieli, zniewoleni byli w studni zakopać swe utensylia kościelne, wraz z obrazem Bogarodzicy (Różańcowej), sami zaś szukali schronienia wśród wałów forteczki¹. Żywot ich apo-

¹ Fakt zakopania utensylii kościelnych wraz z obrazem Matki Boskiej Różańcowej, u stóp którego ludzie ówczesni łask doznawali, zaczerpnęliśmy z tradycyi, do dziś w Kudaku przechowanych. Wskazują nawet miejsce, gdzie istniała kaplica, a gdzie studnia („łacką studnią“ nazywana), w której miały być ukryte sprzęty kościelne. Tradycya dodaje, że wszystko to dotąd ukryte; ale są wskazówki, iż chciwi poszukiwacze skarbów — a tych i dziś i dawniej pełno było na Niżu — wykopali je od dawna. W zbiorach pp. Pola i Aleksiejewa (obywateli gubernii Jekaterynosławskiej, miłośników zabytków przeszłości) są niektóre przedmioty, prawdopodobnie pochodzące z tych zbiorów. Tak np. p. Pol posiada *casculum* do przenoszenia wiatyku. Czynilem poszukiwania (około r. 1880) w celu wynalezienia obrazu Matki Boskiej „Kudackiej“; były ślady, iż jest w Achtyrce (mieście na dalekiem Zadnieprzu, dziś guber. Charkowska), ale wskazówki ztamtąd nadesłane, chociaż świadczą, iż w cerkwi Achtyrskiej obraz Matki B. jest typu bez zaprzeczenia katolickiego, lecz niemniej nie stwierdzają przypuszczeń o jego pochodzeniu z kudackiej kaplicy dominikańskiej. Zbieracz zabytków tamtejszych, p. Pol, dawał mi do zrozumienia, iż wie coś o istnieniu tego obrazu, ale do rzeczywistej prawdy nie mogłem w tej rzeczy dotrzeć, pomimo poszukiwań.

Godną zaznaczenia jest rzeczą, iż Dominikanów praca w Kudaku nie poszła na marne, iż ziarna katolicyzmu, rzuczone na Niżu przez O. Fabiana i jego braci zakonnych, długo nie ginęły, acz kraj ten wciąż miał panów wrogich wszystkiemu, co katolickie, co łacynizmem trąciło. Po upływie więcej niż stu lat od czasu zburzenia kościołka w Kudaku, spisy ludności, dokonane w tamecznej okolicy przez rząd ces. Katarzyny II, dokonane po zburzeniu Siczy, wskazują jeszcze, iż istniała tam mała garstka katolików, jakimś cudem utrzymana. Mamy urzędowe dowody w rękę, iż nie byli to katolicy z imienia tylko, albowiem w r. 1777, gdy budowano z rozkazu Potemkina na Zadnieprzu (o parę mil od dawnego Kudaku, nad rzeczką Kilezenią) miasto, wśród mało zaludnionych pustkowi, nazywające się Jekaterynosław (nosi on nazwę I, obecny bowiem jest II i leży w innem miejscu, na prawym brzegu Dniepru), wówczas tam wzniesiono kościółek katolicki, obok 3 świątyń innych wyznań (prawosławno-rosyjskiego, prawosławno-greckiego i prawosławno-

stolski kończył się wówczas, a zaczynał się żywot męczeński... Dzielili oni odtąd losy załogi Kudaku i cała groza trwog, niebezpieczeństw, wreszcie okrucieństw spadła na ich głowy.

Załoga Kudaku w pewnej części ocalała, lecz Dominikanie legli śmiercią męczeńską... W stosunku do nich nie istniały ani zobowiązania, ani przysięgi wroga... Na lewym porzeczu Dnieprowem, prawie wprost Kudaku, wznoszą się mogiły prastare, około których ich pomordowano... Do dziś te mogiły „Jackowemi mogiłami“ zowią; a znikające podanie mówi, iż w ciemną noc jesienną u „Jackowych mogił“ bujają postacie w białych, krwią zboczonych szatach... Czyżby ta legenda miała być wieki trwającym wyrzutem sumienia tłuszczy, która od Niżu po Bug i źródła Styru, niszczyła ślady pracy licznych pokoleń, zadeptywała gwałtownie żdźbła posiewu chrześcijańskiej kultury?...

Te krwawe wspomnienia jednoczą się już z drugą chwilą dziejów naszej kolonizacyi na Niżu, jednoczą się z dniami upadku Kudaku... Przypatrzmy się owym dniom trudnego mocowania się, które wytworzyły niejedne chlubne wspomnienia, mówiące o męstwie i spełnianiu obowiązków, a nie posiadają dotąd swego historyografa.

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.

ormiańskiego). Katolików liczba była tam małą, bo ludność całego miasta, składająca się z ludzi różnych wyznań, wynosiła zaledwie 2194 głów, niemniej jednak znać dbali o swe potrzeby religijne, gdyż stanął tam kościółek. Po piętnastu latach tażsama dłoń, co wzniosła owo miasto, zburzyła je (tak wypadło z widoków miejscowych administracyjnych), a więc i kościółek katolicki zburzono, projektując go wznieść w Jekaterynosławiu II, do czego wszakże nie przyszło w XVIII w., i dopiero w r. 1877 myśl tę urzeczywistnili synowie Polski rozproszonej, tułającej się. (Patrz: *Pierwsze stoletie gorodu Ekatierynosławca: Matieriały dla opisania Ekat. eparchii*).

ŻOŁNIERZ CHRZEŚCIJAŃSKI

PUŁKOWNIK PAQUERON.

Jeden z najgorliwszych z pomiędzy gorliwego francuskiego episkopatu, mgr. Saivet, zbyt wczesnie zmarły biskup z Perpignan, mnogo po sobie cennych pozostawił pism, z których część, za staraniem rodziny i przyjaciół, zwolna światło dzienne ogląda. Dzieło pod tytułem *Le Colonel Paqueron*¹, podaje nam żywot człowieka, będącego najdoskonalszym wzorem prawdziwego chrześcijanina; żywot bez światowego rozgłosu, nie podpadający pod niedyskretne, rzadko szczere, a nierzadko krzywdzące pióro dziennikarzy; żywot cichego, bezustannego poświęcenia, tem większą mającego zasługę, że o nim ogół ludzi nie wiedział. Nienaruszona ziemskimi pochwałami, po długich latach gorliwego udoskonalania się, czysta i silna dusza ta powróciła na łono Tego, u którego czystość i siłę z nieograniczoną czerpała ufnością.

Urodzony w Lotaryngii w końcu r. 1791 z prostych wiejskich rolników, mających aż czternaścioro dziatwy, miał od lat dziecinnych najlepszy w rodzicach przykład cichych cnót, głębokiej pobożności, oraz poddania się woli Wszechmocnego. Ciężkie to ze wszech miar były we Francyi czasy. Skromne zacisze rodziny Paqueron nie uszło skutkom publicznej nędzy,

¹ *Le Colonel Paqueron*, par Mgr. Saivet Evêque de Perpignan. Paris, ed. Desclée.

przełomem społecznym jeszcze zwiększonej; to też z wdzięcznem, aczkolwiek bolejącem sercem, przyjęto dla 10-letniego Mikołaja opiekę wuja. Ten zabrał go z sobą do Paryża, starannie wychowaniem pokierował, całą duszą do inteligentnego, pracowitego przywiązawszy się siostrzeńca, i z biegiem czasu nie bez wewnętrznej dumy przedstawił do egzaminu szkoły politechnicznej zaledwo 16 lat mającego chłopca. Tam to, przy odgłosie zwycięstw zpod Jeny, Eylau, Friedlandu, kształcił się Mikołaj Paqueron w zawodzie wojskowym. Już wówczas mgły przyszłości orlim przeszywając wzrokiem, przeczuwał Napoleon, jaki ogrom niespożytej siły w rosyjskim spoczywa caracie, siły, trzymającej w swej dłoni cały świat wschodni, a niebawem i ku zachodniemu światu pożądlwym wzrokiem spoglądającej; siły, w trójnasób podwojonej połączeniem w jednej ręce władzy ziemskiej i duchownej; siły, fanatyzm religijny na nienawiści ras łacińskich zaprawiający, na zawołanie mającej muzułmańskie pewnej części swej ludności przesady. Gdyby Napoleon był kampanię rosyjską rozpoczął o kilka lat wcześniej, gdy gwiazda jego w całej jeszcze nad Europą świeciła świetności, prawdopodobnie wojna ta inny byłaby wzięła obrót; ale w r. 1812 świat był już i chwałą i despotyzmem Napoleona znużony, a zbyt wielką ilością krwi ludzkiej przesiąknięta ziemia, utrudniała wojskom cesarskim pochód w dalekie, nieprzystępne krainy stref północnych. Dziki heroizm Moskali, kraju swego broniących, nielitościwa tegoż kraju przyroda, z dnia na dzień blednąca gwiazda bohatera, aż nadto dostateczne były to warunki, by spowodować katastrofę kampanii 1812 r.

Dwudziestoletniemu Mikołajowi Paqueron danem być jeszcze miało choć żdźbło napoleońskiej zaczerpnąć chwały, i gdy niebawem runęło cesarstwo, gruzami zasypując świetne młodego oficera marzenia, już się był niepospolicie odznaczył w czasie oblężenia Gdańska, gdzie, pomimo tak młodych lat, mianowany został kapitanem. Srogo on uczuł upadek Napoleona, i tylko głęboka dla kraju miłość, oraz chrześcijańskie poczucie raz podjętego obowiązku skłonić go zdołały do pozostania w czynnej służbie. Równocześnie z upadkiem Napo-

leona, z ową solidarnością nieszczęściom właściwą, spadł i osobisty na Paqueron'a cios, przez nagłą śmierć wuja, owego nierównanego jego młodości opiekuna i dobrodzieja. Daleko od rodziców, bez majątku, już mu odtąd na własne tylko liczyć przyszło siły. Głęboko odczuł śmierć wuja; przez pamięć wszakże na jego rady i napomnienia, odważnie hartował się na dalsze przeciwności długiego, nieraz ciężko doświadczonego, żywota.

Gdy po bardzo dokuczliwym, całorocznem oblężeniu Gdańska i po więcej niż rocznem przerzucaniu przez Rosyan francuskiej załogi z Północy na Wschód, nadeszła do Perisławia — gdzie wówczas Paqueron i towarzysze jego internowani byli — wiadomość o powrocie Burbonów do Francji i wypływającej ztąd ogólnej amnestyi, — wybrali się czempredzej i nasi wojacy z powrotem do kraju. Zbyt wszakże wycieńczony przebytym niedostatkiem i nadmiarem zmęczenia w czasie oblężenia Gdańska Paqueron, zaledwo nad Ren dotarł; tam w małym miasteczku na tyfus zapadłszy, kilka przeleżał tygodni, i dopiero z końcem 1814 r., do niepoznania zbiedzony i zmieniony, stanął wreszcie w Lotaryngii. Ależ o ile bardziej od siebie zbiedzoną i zmienioną zastał ukochaną rodzicielską zagrodę, zkąd najdroższe nosił w sercu wspomnienia, gdzie najdroższe sercu swemu pozostawił był istoty! Nie było kamienia na kamieniu; zniszczenie, gruzy, nędza — oto, co pozostało z czternastoletniej, ciężkiej pracy starego rolnika i jego żony. Nie wyrzekali oni przecież na wyroki Opatrzności, lecz ukochanego ujrzawszy syna, radowali się jego powrotem, jego chwałą, wzmacniali w duszy syna nadzieję w lepszą przyszłość, oraz miłość dla kraju i bezgraniczne poszanowanie dla raz podjętych obowiązków. To też serdecznem rodzicielskiem przywiązaniem wzmocniony i ogrzany, pokrzepiony na duszy i na ciele, powrócił do służby wojskowej z nowemi zasobami energii.

Działo się to po odegraniu ostatecznego dramatu pod Waterloo. Po krótkim pobycie w Hawrze, gdzie się zwierzechnicy przekonali o niezwykłych zdadnościach i pracowitości młodego kapitana, powierzona mu została posada inspektora prochowni

w Saint-Jean d'Angély. Zaledwo tyle pozostawiwszy mu czasu, aby sobie mógł zaskarbić przyjaźń osób, z którymi mu przyszło obcować, już mu Opatrzność zsyłała sposobność okazania mieszkańcom miasta, do jakiego wznieść się może bohaterstwa człowiek, u którego poczucie obowiązku oparte jest na prawdziwie chrześcijańskiej pobożności. Nagle w nocy, o kilkaset kroków od budynków, mieszczących w sobie składy prochu, wszczął się w mieście pożar. Grożąca, niechybna — jak się zdawało — katastrofa, odrazu wszystkich mieszkańców pozbawiła owej czynnej przytomności, będącej w takich wypadkach jedyną deską zbawienia. Wówczas to pokazał nasz 25-letni kapitan, czem się być winno wobec niebezpieczeństwa. Jednym susem wskoczył na dach prochowni i tam, jak kot po ogromnym dachu biegając przez kilka godzin, bez chwili wytchnienia, mokrem płótnem każdą iskrę chwytając w powietrzu, zanim się na budynek spuścić mogła. Nikt się nie odważył za nim na dach podążyć; ale odwagą młodego bohatera zagrzeni — może i zawstydzeni — zaczęli mu mieszkańcy żwawo dostarczać wody i mokrego płótna. Uratowawszy miasto od niechybnego zniszczenia — składy zawierały piętnaście tysięcy kilogramów prochu — chciał się Paqueron czempredzej do domu dostać: lecz wdzięczność i zapal ludności granic nie miały, tak jak granic mieć nie miała radość mieszkańców, gdy w tydzień po tym dniu pamiętnym, młody inspektor obdarzony został krzyżem legii honorowej. Czyn ten bohaterskiego poświęcenia, równać się tylko może niezrównanej Paqueronu skromności, skoro w czterdzieści lat dopiero po powyżej opisanym wypadku, syn jego, sam już wówczas kapitan w wojsku francuskim, przypadkiem dowiedział się od starego mieszkańca z Saint-Jean d'Angély o heroicznym czynie ojca. Cóż nam tu bardziej podziwiać przychodzi? — czy męstwo, do takiego zdolne pobudzić poświęcenia, czy chrześcijańską pokorę, poświęcenie to przed własną rodziną starannie ukrywającą?

Po tylu latach krwawych po całym świecie walk, nastąpiła była z upragnieniem wyglądana era pokoju; w takich chwilach wolno wojskowym oglądać się za zapewnieniem sobie domo-

wego ogniska. Tak sobie też postąpił Mikołaj Paqueron, wstępując w związki małżeńskie z panną Eulalią Le Voizier, nie mniej od niego inteligentną, miłą, gruntownie religijną, młodą osobą. Zaszczytny związek ten, w rok potem urodzeniem synaczka jeszcze wzmocniony, ostatnim był słońca promieniem dla sędziwej matki Mikołaja. Chrześcijańska śmierć jej następujące uwagi biografowi nasuwa: „W licznej rodzinie matka nie tylko jest jedną tejże rodziny osobą, jest zarazem pierwiastkiem światła, ciepła, zasobem miłości, którym się pozostali dzielić winni, nigdy o zmarłej nie zapominając. Dopiero gdy już matki niema, z osłupieniem przekonywują się pozostałe dzieci, że im naraz niedostaje wszystkiego“.

W połowie 1821 r. przeniesiony został Paqueron, z podwyższeniem rangi, do Marsylii, gdzie w krótkim stosunkowo czasie i z dużo mniejszym nakładem, niż się tego w ministerjum wojny spodziewano, tak olbrzymią przedsięwziął i uskutecznił pracę ku zwiększeniu i wydoskonaleniu fabryki prochu i saletry, że uwiadomiony o sprężystości i sumienności młodego inspektora król Ludwik XVIII, przesłał mu z własnej szkatuły gratyfikację 10.000 franków.

Wśród bezustannej pracy i ścisłego spełniania obowiązków zawodowych, spadł na Paqueron'a cios najcięższy, jakiego doznać miał w życiu. Po pięciu latach zupełnego małżeńskiego szczęścia stracił ukochaną, i tak ze wszech miar kochania godną żonę, przy urodzeniu trzeciego z rzędu dziecka. Jak w czasie pożaru Saint-Jean d'Angély, tak wobec umierającej żony to samo okazał Paqueron męstwo, tę samą niecierpiącą nienaruszoną wielkoduszość. Sam żonę o niebezpieczeństwie uwiadomił, sam ją do przyjęcia ostatnich Sakramentów św. przygotował, a gdy mu doktor zbytnią — dla zdrowia może i szkodliwą — zarzucał w tej mierze gorliwość, ze łzami odrzekł: „Znam ja odwagę mojej żony, i na jej cnoty licząc, chcę się godnym jej okazać. Zrób tak samo kochany doktorze“. Na resztę życia największą to być miało dla wdowca pociechą w nieszczęściu, że ból serca tłumiąc chrześci-

jańską odwagą, ostatnie chwile tej, którą całą duszą kochał, promieniami łask niebieskich ozłocił.

Łaską Bożą od rozpaczcy uratowany, zaledwo miał Paqueron czas otrząść się nieco po przebytem wstrząśnieniu, aż tu powołują go do dogorywającego ojca. Wówczas to dla zapełnienia duchowej i sercowej próżni po zgonie żony i ojca, poczyną Paqueron co wieczor spisywać doznane przez dzień wrażenia, jakby dla sumienniejszego badania czystości intencji każdego czynu, każdej myśli swej. Na podstawie tych właśnie notatek oparł mgr. Saivet moralną biografię człowieka, którego uważał za jednego z najlepszych, najzacniejszych ludzi swego czasu.

Obowiązki zawodowe połączone z obowiązkiem chrześcijańskiego wychowania trojga drobnych dzieci, zapełniają od-tąd życie Paqueron'a, ale z taką zapełniają rozważą i harmonią, że mu na wszystko czasu starczy, i że najmniejszego nie przepuszcza sobie nigdy w czemkolwiek bądź uchybienia; jak wzniosłe zaś miał o obowiązkach wyobrażenia, własne jego stwierdzają słowa: „Uchybia się pracy, jeśli się w niej tylko zwiększenia dochodów szuka; szukać w niej trzeba spełnienia jednego z głównych przepisów — praw Boskich. Podtrzymana łaską Najwyższego, praca najtrwalszą jest naszą chwałą, a zarazem zadosyćuczynieniem za przestępstwa przez nas popełnione. Kto na pracę ludzką innym zapatruje się wzrokiem, ten nie może ani moralnej jej wartości ocenić, ani należytej oddawać jej czci“. Gdyby świat temi samemi, co Paqueron, względem pracy rządził się zasadami, nie byłoby może owej, wiecznie wybuchem grożącej kwestyi społecznej, nie byłoby walki między prawami robotników a prawami chlebobawców. Nietylko atoli widzi Paqueron w pracy spełnienie świętego obowiązku chrześcijanina; uważa ją niemniej za najpewniejszą w nieszczęściu pocieszycielkę, jej przypisując siłę, daną sobie do dźwignięcia krzyża dalszego żywota po stracie najukochańszej żony, stracie, mającej być wkrótce podwojonej śmiercią najmłodszego, pięcioletniego synka. Czuwając przy łóżeczku już przez doktorów opuszczonego pacjenta, stroskany ojciec

pisze: „I ty mnie więc opuszczasz, o drogie dziecko moje! byłeś mi nadto miłym i dobrym, nadto się tobą chlubiłem; snadź nie wart jestem zachować cię przy sobie; miłością i pieszczotami byłbyś mi życie nadto uprzyjemnił... Zabierasz z sobą cały wdzięk dni moich — i śmiało zaintonować dla siebie już mogę hymn śmierci. Jak tobie tam dobrze będzie! jak używać będziesz na szczęściu oglądania Boga własnymi oczami i kochania Go całym sercem! Nie zapominaj o mnie, gdy już w niebie będziesz, pamiętny na to, że ja tobie do nieba drogę wskazałem; uproś mi u Boga sił i wytrwałości *usque ad finem*“.

Po tylu ciężkich stratach gorąco zapragnął Paqueron, aby go przeniesiono do Angoulême, gdzie się przy babce córeczka jego chowała; doczekał się tego dopiero po ukończeniu rozpoczętych robót w Marsylii, i r. 1829, z awansem na pułkownika, do miasta tego pojechał. Grasowały tam jeszcze uporczywie resztki niszczącego wpływu encyklopedystów i arcykapłana ich, Voltaire'a. Poznawszy się na tem odrazu, niemniej odrazu postanowił pułkownik wszelkich umysłowych i moralnych zasobów, by tych, z którymi miał styczność, z błędnej sprowadzić drogi. Do dzieła tego zabrał się z rozwagą, spokojem i ową uprzejmą łagodnością, przez św. Franciszka Salezego dla naprowadzania na dobrą drogę zbłąkanych dusz tak gorliwie zalecaną. Błogosławieństwem Bożem zasilana zacna praca nadspodziewanie powieść się pułkownikowi miała.

Po kilku — stosunkowo spokojnych, lecz zawsze pracowitych — latach, przeniesiony został Paqueron do Algieru. Gdy rodzice nieboszczki jego żony wraz z dziećmi nad tem ubolewały, odrzekł im smętnie: „Gdziekolwiek mnie przeniosą, znajdę Boga... zmarłej żony, nigdzie“... Odwioził więc do Paryża i na pensję oddał 11-letniego syna, córkę znów państwu Le Voizier powierzył, i pojechał do Algieru, by na brzegach Afryki — tak jak to dotąd w Europie czynił — świecić dobrym przykładem, gorliwością w zawodzie wojskowym i powołaniu chrześcijanina. Jenerał La Moricière poznał się odrazu na jego wartości i za przyjaciela go sobie obrał. Po roku pracowitego pobytu w Algierze już biegle władał językiem arab-

skim, z czego korzystając, jał w wolnych od obowiązków chwilach śledzić szlaki, któremi chrześcijaństwo, dostawszy się do Afryki, bujnie rozkrzewiało się i kwitło pod potężnem natchnieniem św. Augustyna, Cyprjana i tylu innych sług Bożych. Na samo wspomnienie, czem była ówczesna, krwią męczenników przesiąkła, ziemia północnej Afryki, wyrywa mu się z pod pióra uwaga, dowodząca, że nie tylko gorące tliło w nim serce, ale że miał zarazem trzeźwy sąd o ludzkich sprawach. „Jakież tu namacalne wszędzie świadectwo katolicyzmu! przez tyle, tyle wieków kwitła na ziemi tej, przez chrześcijaństwo zaprowadzona, świetna cywilizacya, oraz gruntowne umysłowe wykształcenie z materyalnym dobrobytem połączone. Gdy z biegiem czasów i niefortunnych wypadków Jezusa Chrystusa zastąpił Mahomet, barbarzyństwo powróciło odrazu i już pozostać miało. Islamizm zaprowadził śmierć tam, gdzie przedtem Kościół życiem tryskał. Niechże więc ludzie nie mówią, że zasady obojętne są dla rządów, i że się bez niebezpieczeństwa dla własnego istnienia od Kościoła oderwać mogą. Rzecz ma się całkiem przeciwnie: wszystko, co stałem być winno, spoczywać musi na zasadach, i to na zasadach religijnych, jedynie trwałych i niezmiennych; dla narodów bardziej jeszcze, niż dla pojedynczych osobistości, kwestya religijna jest zarazem kwestyą życia“.

Trzy lata z rzędu zabawił nasz pułkownik w Algierze, poczem dozwolono mu wrócić do Angoulême. O szarej godzinie cichaczem wkradał się do fabryki prochu, chcąc niespodziankę sprawić robotnikom, w liczbie kilkuset tam pracującym. Takim ogólnym okrzykiem nieklamanej radości przywitany został, że wieczorem, pisząc do syna list, kończy następującemi wyrazami: „Moi dawni robotnicy uszczęśliwieni byli moim powrotem, ale pewno mniej uszczęśliwieni odemnie. Prócz własnej radości powrotu, cieszyłem się jeszcze radością ludziom tym sprawioną; śmieliśmy się i płakali nawzajem, jakby dzieci“. Urządza sobie znów ognisko domowe, bierze do siebie córkę, „którą pilnuję i która mnie pilnuje“; rozpoczyna z nowym zasobem energii i nabytego w Algierze doświadczenia przebu-

dowanie i powiększenie na wielką skalę fabryki saletry i prochu; sam pracuje za dziesięciu, nieraz z narażeniem życia tak dalece, że go raz już za nieżywego z ziemi podjęto, wskutek niedość szybkiego cofnięcia się przed walącą się belką. Gdy mu nieprzezorność tę przyjaciele zarzucali, śmiejąc się, odrzekł: „Kto nie umie być niewolnikiem obowiązku, ten nigdy namiętności swych panem nie będzie; jedna władza drugą okupioną być musi“. I tak minęło lat dziesięć, w ciągu których w bezustanną praktykę wprowadzał ulubioną zasadę, „że wszystko, co się w życiu czynem nie odznacza, jest straconem“.

A jakież były zasady pułkownika względnie do wychowania syna? Streścić się one poniekąd dadzą w ustępie z jego pamiętników. „Nie wiem, czy słusznie, ale zdaje mi się, że wszystkie moje rodzicielskie obowiązki w jeden obowiązek ująć się dadzą, a tym jest: w sercu mego syna praw Bożych bronić. Jestto jednym niby zamachem ujmować się za prawami Bożemi, synowskimi i rodzicielskimi“. Dwunastoletnia korespondencya Paqueron'a z synem każdemu ojcu za najlepszy służyłby mogła poradnik.

Ksiązę de Montpensier, najmłodszy syn króla Filipa Ludwika, przybywszy do Angoulême dla przeglądu artyleryi, przyjął u pułkownika śniadanie, przy którym 16-letnia Eulalia Paqueron honory u ojca robiła. Przy odjeździe ofiarował jej ksiązę ładną bransoletkę, co pułkownika obawy nabawia, „aby czasem powodzenie ich przykrości komu nie sprawiło“.

Jakkolwiek nie godzi się nadużywać cytacyi, nie można się oprzeć pokusie podania jednego jeszcze ustępu, świadczącego wymownie, czem dla pułkownika było w życiu spełnianie obowiązku. „Jakżeż Bóg w mądrości swej nieskończenie jest dobrym, skoro w wypełnianiu obowiązku umieścił zarazem dla nas najrzetelniejsze życia rozkosze, i że to, co nas uszczęśliwia, czyni nas także i lepszymi. Obowiązek wszystko w sobie mieści: i szczęście ziemskie, i moralny ku doskonałości postęp, i zacność żywota, wreszcie i Boga samego, Boga, ukrywającego się w najmniejszym zakątku najpowszedniejszego obowiązku; wypełnianie obowiązku stanowi bowiem jedynie prostą,

nieomyślną drogę do Boga, i jedynie grzesznym uporem zaślepione lub całkiem już upadłe dusze przeczyć temu mogą.

Do szkoły politechnicznej wstępującemu 17-letniemu synowi wyraźnie poleca, aby szczerze i stanowczo stanął odrazu pod sztandarem religijnych swych zasad, tak aby po 48 godzinach pobytu w szkole koledzy wiedzieli, co o nim w tej mierze trzymać mają. Nie tolerowanym, ale szanowanym winien być młody człowiek, szczycący się mianem chrześcijanina. Stanowcze — na rozkaz niemal zakrawające — są rady ojca do syna, gdy się o zasady religijne rozchodzi; w innych natomiast sprawach polecenia pułkownika mniej bezwzględne, pełne są rozumu i trzeźwości. Każdy młody człowiek — nie tylko Francuz — do serca wziąć je sobie może, np. gdy synowi radzi, aby się trzymał na uboczu od dyskusyj politycznych i takowych, o ile się da, unikał, gdyż polityka jest niewyczerpanem źródłem przeróżnych niesnasek. W młodym wieku rzadko kiedy wnosi się w takich szermierkach jasne o polityce pojęcie, ale za to wnosi się niemal zawsze spory zasób gorących namiętności; następuje zatem najczęściej gwałtowna zamiana, nie pomysłów lub zasad, lecz jedynie uczuć, i to między młodymi ludźmi, zaledwo chwycić mogących, o co właściwie się rozchodzi. Jestto więc jakoby pojedynek w ciemnym pokoju. Zresztą nie lepiej nie dowodzi umysłowej niedojrzałości, jak rozumowanie o sprawach, których się dobrze rozumieć jeszcze nie może, oraz stawianie zasady, zaledwo na miano uczucia zasługującej. „Z kolegami bądź otwarty, serdeczny, wesół — ale rób swoje bez żadnej koncesyi; tym to sposobem wypełnisz wyznaczone ci przez Boga przeznaczenie, utorujesz sobie drogę na przyszłość i ojczyźnie użytecznie służyć będziesz. Polityczne dyskusye zostaw na później. *L'art de deraisonner ne passera pas sitôt de mode*“. Przerażony postępek niewiary w ludziach, będących na czele wychowania publicznego, uważa uczonych, lecz wiary pozbawionych profesorów, za rodzaj bardzo wydoskonalonych, a wielce szkodliwych zwierząt: nieprzyzwoite ich zaś na wszystko, co katolickie, zaczepki, porównuje do worów prochu lub dynamitu, pod murami

Europy stawianych: nikt na worki te nie zważa, a lada dzień wszystko w powietrze wylecieć może.

W kwietniu 1845 r. wydaje ukochaną córkę „za człowieka wedle mego serca“; w parę lat później miał go Bóg jeszcze bardzo dobrą obdarzyć synową; ale dwie pociechy te rozdzielone być miały srogą burzą wypadków z r. 1846. Powołany do Paryża na kilka miesięcy przed wybuchem rewolucyi, obejmuje nasz pułkownik ważną posadę przy arsenale. Pracy miał podostatkiem, ale że od lat najmłodszych zachował był zwyczaj wstawania o godzinie 5, na wszystko stało mu czasu, nie wyjąwszy przyjemności towarzyskich. Wówczas to poznał się i zaprzyjaźnił z ludźmi, jak pp. de Melun, Larrey, Augustin Cochin, Benoist d’Azy, Adolphe Baudon; podziwiał rozum ich, uprzejmość, gorącą dla bliźniego miłość, wytrwałość w raz powziętych zamiarach; lecz „nowoczesny Babilon zaślepiiony jest — woła — proroków swych uznać nie chce“. Czyż dodać potrzeba, że osiadłszy w Paryżu, w mieście, gdzie kolosalnym wprawdzie krokiem kroczy zepsucie, ale niemniej kolosalnym ściga je chrześcijańskie miłosierdzie, znajdował Paqueron czas i dla ubogich, najniższe oddając im usługi. Między innymi stowarzyszeniami ku niesieniu pomocy nędzarzom, wpisał się był do *l’Oeuvre des vieux souliers*, polegającej na zbieraniu starego obuwia, które kazawszy załatać, rozdawano ubogim. Dla oszczędzenia grosza, gdy trzewiki od reperacyi wracały, pułkownik sam je czyścił. „Miewałem — pisze do córki — aż do 1200 par butów i bucików na moich półkach — *et je frottais, je frottais!*“

Wypadki lutowe zastały go, jak zawsze, na posterunku; jakkolwiek z początku wielkich nadużyć nie było, pułkownik zgłębił odrazu przepaść i mawiał, że „nie na ulicy, ale w duszach sroży się burza — i długo jeszcze srożyć się będzie“. Gdy w czasie krwawych dni czerwcowych, dla uśmierzenia nawałnicy arcybiskup paryski Affre dążył ku barykadom i ku męczeństwu, po drodze wstąpił do arsenału, chcąc zasięgnąć rady pułkownika Paqueron, którego w wielkiej miał czci. Dowiedziawszy się, że arcybiskup ku najgorszej wybiera się właśnie

dzelnicy miasta, rzucił mu się Paqueron do nóg, wołając: „Ależ oni wszyscy są pijani!“ — „Tem lepiej; zmniejszy to zbrodnie ich, jeżeli mi życie odbiorą“ — spokojnie odrzekł na rzeź idący pasterz. Pułkownik skoczył wówczas do ogrodu, otaczającego arsenał, przyniósł zieloną gałąź i wręczając ją arcybiskupowi, rzekł mu ze łzami w oczach: „Oby mi Wasza Wysokość czem rychlej gałąź tę odniosła!“ — poczem na klęczkach o błogosławieństwo prosił tego, który pół godziny później nie do arsenału, ale wprost do nieba, wraz z czystą duszą swą, u stóp Boga przez Paquerona wręczoną gałązkę pokoju złożył.

Niespełna w rok potem przerzucono znów pułkownika z Paryża do La Rochelle, gdzie cztery lata z rzędu przebywszy, zjednał sobie wszystkie umysły i wszystkie serca, nie wyjąwszy umysłów i serc innowierców, w starym tym Huguenotów grodzie. W dzień, w którym skończył sześćdziesiąty rok życia, a czterdziesty służby wojskowej, postanowił podać się do dymisyi, chcąc zwolna „do wiecznej gotować się kampanii“. Gdy zaniepokojeni obawą, że po tak czynnem, pracowitem życiu nagły brak zawodowych obowiązków ciężyc ojcui będzie, syn i córka odmawiali go od powziętego zamiaru, odrzekł im weselo: „Nie troszczcie się o mnie, dzieci moje; najprzód będę was miał wszystkich koło siebie, potem pozostaje mi się zarząd własnej duszy, a nie jestto, wierzajecie mi, ani synekura ani zbyt łatwa administracya“.

W pełni rozkwitu wszystkich władz umysłu, w całej sile wszystkich uczuć gorącego serca, ostatnie te lat dwanaście w Angoulême spędzone, uwieńczeniem były zacnego tego żywota. Ze służby wojskowej wyszedłszy, wszedł w Bożą służbę, bardzo czynną i gorliwą; to też, gdy nadeszła dla niego ostatnia godzina, gdy Bóg wiernego powołał do siebie włodarza, za nadanych pięć talentów, nie dziesięć, lecz co najmniej sto mógł zacny chrześcijanin złożyć u stóp majestatu Bożego. Biskup d'Angoulême, któremu gruntownie znana była światobliwa dusza na marach złożonego pułkownika, śmiało i bez przesady mógł następującemi słowy do żałobnych słuchaczy przemówić: „Wszyscyście znali, szanowali i kochali tego naj-

doskonalszego chrześcijanina. Do ostatniej chwili z prawdziwą podziwialiście radością czerstwą jego starość, a raczej nieśmiertelną młodość jego serca, gorącą miłością Boga, kraju i bliźniego przepełnionego. Ja wam zaś powiedzieć mogę, że takim, jakimieście go przez te lat dwanaście widzieli i miłowali, był całe życie i wszędzie: tak zagranicą jak w kraju, w Niemczech, Rosyi, Afryce, jak w Paryżu, Marsylii, La Rochelle, Angoulême; zawsze i wszędzie był on gorliwym, jak opoka silnym chrześcijaninem, prawdziwym sługą obowiązku i poświęcenia“.

Tak się wyrażał przy trumnie zmarłego ówczesny biskup d'Angoulême, mgr. Cousseau (30 grudnia 1863 r.). Zobaczmy teraz, jakimi wyrazami świątobliwy żywot przyjaciela zakończył mgr. Saivet:

„Przeszło lat dziesięć minęło od śmierci pułkownika Paqueron, a wspomnienie budującego jego żywota bynajmniej w sercach naszych nie ostygło. Gdyby on dziś stanął przed nami, równie jak przed laty dziesięciu byłby przez nas czczony i kochany; pamięć jego bowiem, żywa i ciepła, tkwi w duszach naszych, jak w dniu jego zgonu. Tu więc zmiany żadnejby nie znalazł. Natomiast znalazłby w trójnasób rozkrzewiony i rozrosły zasiew jego wiarą, jego przykładem, jego miłosierdziem, wśród rodziny i mieszkańców naszego miasta rzuconego ziarna. *Et laudent eum opera ejus*“.

Z wyżyn duchowych, w których świątobliwy biskup przebywał, nie potrzebował zniżać się do roli poziomego biografa, by streścić chrześcijański żywot ten, by opisać zacne, jak kryształ czyste sumienie, wzniosłą duszę, prawdziwe męstwo, i to nie tylko na polu bitwy, ale w głośnem przyznawaniu się do niewzruszonych zasad wiary, do wytrwałości w pobożnych praktykach i do chrześcijańskiego, czynnego miłosierdzia. Żywotną był pułkownik Paqueron antytezą głośnej maksymy księcia de Talleyrand: *point de zèle*; on przeciwnie, wszystko co czynił, czynił z owym głębokiej wierze i gorącej miłości bliźniego właściwym zapalem.

A. M. L.

PEDAGOGIA

W DRUGIEJ POŁOWIE ŚREDNIOWIECZA.

III.

Dzieła mistyków o wychowaniu.

Literatura pedagogiczna owych czasów — o ile sięga poza zakres podręczników szkolnych — znajduje w miarę rozbudzącej się walki duchowo-społecznej coraz liczniejszych, i to niepoślednich przedstawicieli. Kierunek zdrowej scholastyki reprezentuje w pedagogice Wincenty, z klasztoru Beauvais, Dominikanin, znany także pod nazwiskiem: Vincentius Gallus, żyjący w pierwszej połowie XIII wieku. Powołany przez Ludwika IX, króla Francyi, na lektora nadwornego, napisał około r. 1248 na wezwanie królowej Małgorzaty dzieło pod tytułem: „O kształceniu synów królewskich lub szlacheckich“¹, ułożone — jak sam zeznaje w dedykacyi — ze zdań mężów świętych i roztropnych, a przeznaczone głównie dla nauczycieli, którzy w niem mieli znaleźć dyrektywę przy nauczaniu. Uczniowie, gdy postąpią w nauce, mogą z tej książki również korzystać. Sądząc z tytułu, gotówby kto owe dzieło uważać za czysto dydaktyczne i do chłopców się tylko odnoszące; w rzeczywistości jednak uwydatnia ono stronę wychowania moralnego jeszcze silniej niż stronę nauczania; a w ostatnich dzie-

¹ *De institutione filiorum regiorum seu nobilium.* Wyd. w r. 1480.

sięciu rozdziałach rozwija także sprawę wychowania dziewcząt. Zażywało ono w średniowieczu wielkiej powagi, służyło niezawodnie za wskazówkę przy wychowywaniu domowym, i wpłynęło później na pedagogikę chrześcijańskich humanistów. Wincenty słynął między scholastykami jako mąż wiedzy encyklopedycznej tak, iż zadano sobie trud: zliczyć dzieła powszechnej literatury, których on nie czytał. W dziełach swych rzadko wypowiada prawdy słowami własnymi; są one raczej mozaiką przelicznych cytata z autorów wszystkich czasów, ugrupowanych według treści, rozłożonej systematycznie, sposobem scholastyków. Dzieło wspomniane obejmuje 51 rozdziałów, i zasługuje ze wszech miar na bliższy rozbiór.

W rozdziale I „o kształceniu synów szlacheckich“ dowodzi autor potrzeby wczesnego nauczania, i daje podział całego dzieła. „Dusza dziecka, świeżo włana w ciało, z powodu materialności tegoż, staje się ciemną i nieświadomą pod względem rozumu i nieszlachetnie pożądliwą pod względem żądz... Z powodu więc tej podwójnej dzikości, potrzeba przedsięwziąć i podwójne kształcenie duszy; a to przez naukę, aby oświecić rozum, i przez karność (*disciplina*), aby dobrze skierować uczucia“. Mówić tedy chce o wychowaniu intelektualnem i moralnem, lubo jak zobaczymy, nie zapomina też o wychowaniu fizycznym.

Rozdział II uczy o wyborze nauczyciela, od którego się domaga pięciu przymiotów, a to: „zdolnego umysłu, cnotliwego życia, pokornej nauki, przekonywującej wymowy i zdolności do nauczania“. Przestrzega między innymi przed człowiekiem, pyszniącym się z nauki — bo taki niczego nie zbuduje. Jako warunki dobrej wymowy podaje: uzdolnienie z natury, czyste sumienie, ćwiczenie, dosadne wygłoszenie i gesta, wreszcie tmyśl wesóły, który najczęściej wynika z czystego sumienia. O zdolności do nauczania mówi obszernie w rozdziale III, i traktuje o warunkach potrzebnych ze względu na słowa i na czyny albo charakter. I. Ze względu na słowa żąda od nauczyciela pięciu warunków — a to: 1) aby mówił jasno tak, iżby go wszyscy rozumieli. „Tak ma być jasna — uczy Pro-

sper — mowa nauczyciela, aby zrozumiała była i dla najtępszych, aby nadto w serca słuchaczy wchodziła z pewnem tychże zadowoleniem a jasno, t. j.: a) wyraźnie, b) głośno, i c) dobitnie. O pierwszym czytamy w Piśmie św.: *I czytali w księgach zakonu Bożego wyrażliwie i jasnie ku wyrozumieniu, i rozumieli gdy czytano*¹. O wtórem mówi Boecyusz: „Gdy nauczyciel wejdzie do szkoły na lekcyę, niech zacznie uczyć — przyoblekwszy się w zewnętrzną powagę — usty otwartemi zwolna głos podnosząc“. Ztąd Izydor mówi: „Głos czytającego ma być naturalny, jasny i zastosowany do rzeczy, nie niski, nie za wysoki, nie chrypliwy ani trywialny, nie zniewieściący, bez gestykulacyi, lecz z powagą. O trzecim mówi Kwintilian: „Mówić należy dobitnie jak aktorowie, używając słów powszechnie znanych. Słowy bowiem zwyczajnemi bezpieczniej się wyrażamy, a nowych nie bez podstawy trzeba unikać. Z czem się i Apostoł zgadza, mówiąc: *Wiaruj się nie-żbożnych nowości słów*². — 2) Następnie „uczyć trzeba każdego stosownie do zdolności jego“, — co wskazuje Ewangelia: *Każdemu wedle własnego przemnożenia*³. O tych bowiem, co nawet prostaczkom podają rzeczy zawiłe, mówi Pismo św.: *Zawstydzą się ci, którzy robili len, którzy czesali i tkali subtelne rzeczy*⁴. Do tych zaś, którzy drobiazgi przystrajali w słowa napuszyste i w retoryczne figury, mówi Ambroży: „Usuń rozwlekłe zdania, które osłabiają sądy“. Za to również gani Pan Joba: *Któż to jest, który wikle wyroki słowy nieroztropnemi?*⁵ Toż u Apostoła czytamy: *Mowa moja i przepowiadanie moje nie w przytłudzających mądrości ludzkiej słowicach, ale w okazaniu ducha i mocy*⁶. — 3) Potrzebna jest zwięzłość mowy, przyczem jednak według upomnienia Hugona a St. Victore nie wszystko trzeba streszczać w szkielety — bo to znuży słuchaczów; ale też nie wszystko mówić, cobyśmy powiedzieć mogli, aby nie poniosło uszczerbku to, co koniecznie należy wyłożyć. — 4) Przy każdym nauczaniu potrzebny jest miły sposób wyrażenia się,

¹ Ezdr. VIII, 8.² I. Tym. VI, 20.³ Mat. XXV, 15.⁴ Izaj. XIX, 9.⁵ Job. XXXVIII, 2.⁶ I. Kor. II, 4.

aby słuchacze mieli pewne zadowolenie, i przez to się pobudzali do uwagi. — 5) W końcu uważać trzeba na pewną miarę (*maturitas*) w nauczaniu, t. j., żeby utrzymać środek między pośpiechem a rozwlekłością. — II. Ze względu na czyny powinien być nauczyciel według Boecyusza wykształcony, łagodny i surowy, nie zaś zaniedbały lub pyszny, — co bliżej wyjaśnia.

W rozdziale IV mówi o tem, co przeszkadza uczniowi w postępie, i wymienia przeszkody dwojakiiego rodzaju: ze strony obyczajowej przeszkadza wychowaniu każdy z siedmiu grzechów głównych, — ze strony zaś umysłowej, oprócz przeszkód wymienionych przez Hugona, zawadza jeszcze niespokojność ciała i ciekawość oczu. Są nadto dwie ogólne przeszkody w uczeniu się: zawilość czyli trudność ze strony przedmiotu nauki — i próżnowanie albo niedbalstwo przedmiotowe ze strony ucznia. — W rozdziale V wyklada za Hugonem więcej szczegółowo trzy główne warunki przy uczeniu się: naturę, ćwiczenie i karność obyczajów, przyczem wymienia moralnych autorów, tak poetów jak prozaików, z których można się uczyć metryki i gramatyki bez obawy skażenia obyczajów. Za takich uważa: Juwencyusza, Aratora, Prospera, Prudencyusza, Sedulliusza i t. p. Mówi też za Hugonem w rozdziale VI o pięciu środkach pomocniczych przy nauce, i godzi się na to, że pobyt na obczyźnie lepiej się nadaje do nauki, wprowadzie nie dla mistycznych powodów Hugona, lecz że uwalnia np. bogatych od różnych pokus i od zajęć rozrywających umysł, a skupia w kierunku nauki.

Usunawszy te przeszkody i zyskawszy środki pomocnicze, może uczeń po czterech niejako stopniach dojść do doskonałości. W rozdz. VII powtarza za Boecyuszem, że „początkującego rzeczą jest — słuchać, postępującego — badać, rozwiniętego — ćwiczyć się, a doskonałego — nauczać“. Początkujący powinien mieć nauczyciela, i to zdolnego, doń się przywiązać i jego kierownictwu poddać się kornie. Poddanie to według Boecyusza (w rozdz. VIII) polega na trzech rzeczach: 1) aby uczeń był uważny przy słuchaniu, 2) zdolny ku

zrozumieniu i 3) chętny ku zapamiętaniu. Uwaga słuchacza znowu ma mieć trzy warunki: a) milczenie, b) uległość i c) rozsądek. Ostatni warunek zależy na tem, aby uczeń nikomu, wyjąwszy Pana Boga, ślepo nie wierzył tak, aby zdanie przeciwyne uważać miał na zawsze za fałszywe. Uzasadnia to autor cytataми z Boecyusza, z Arystotelesa i ze św. Augustyna. Zdolność ku zrozumieniu (rozdz. IX) ma także trzy warunki: a) aby słuchać pokornie nie sprzeciwiając się, b) aby uważać bardziej na treść przedmiotu niż na formę słów, c) wreszcie aby dopytywać się nauczyciela o wszystko, czego się nie zrozumiało¹. Konieczność dobrego zrozumienia popiera bardzo powagą św. Augustyna. Łatwe zapamiętanie (rozdz. X) wymaga znów trzech rzeczy: a) aby uczeń słuchał chętnie i pilnie, b) aby rzeczy słyszane krótko streszczał w swym umyśle — cytując Hugona, — c) oraz aby nigdy nie opuszczał ani też sobie nie przerywał lekcyj codziennych.

W rozdz. XI mówi o porządku nauk, opierając za św. Bernardem sposób uczenia się znów na trzech rzeczach: 1) na porządku, 2) usilności i 3) na intencji, czyli celu podmiotowym uczenia. Za Alforabim podaje, że początkiem nauk jest nauka o języku, t. j. o nadawaniu nazw rzeczom; poczem następują po kolei: gramatyka, logika i poetyka. Tak uczy Alforabi w księdze: „O porządku nauk“. Ten sam zaś autor

¹ Przewaga znaczna formy wykładowej była ogólną słabą stroną nauczania średniowiecznego. Niedostatki tej metody łagodzone jednak wypytywaniem, w celu przekonania się, czy i o ile uczeń rzecz rozumiał, pobudzaniem uczniów do zapytywań, a więc do formy dyalogicznej, i częstemi ćwiczeniami pisemnymi. Ani Wincenty ani żaden z mistyków i humanistów — o ile dotąd wiadomo — nie wznosił się w tym względzie ponad swe czasy. Z drugiej strony jednak już dzieło Wincentego i dzieła poprzednich mistyków dowodnie wskazują, jak bezpodstawnemi są twierdzenia o uczeniu rzeczy, przechodzących pojęcie ucznia, o utrzymywaniu ucznia całkowicie w stanie biernym i t. p., odnośnie do szkół średniowiecznych. Owszem pedagogowie średniowiecza główny kładą nacisk na „meditatio“, na rozważanie myślnie ucznia, i podają w tym kierunku szczegółowe instrukcje. Zarzuty wymienione uczynić można słusznie dopiero pseudoscholastykom, i rzeczywiście w dziełach późniejszych pedagogów nieraz się z nimi spotkać można.

w księdze: „O podziale nauk“ mówi: Pierwsza ze wszystkich jest nauka języka, wtóra logiki, trzecia nauka moralności, czwarta badanie przyrody, piąta teologia, szósta nauka o sprawach państwowych. Wincenty robi tu uwagę, że nauka języka w drugim razie obejmuje także gramatykę, a przy współudziale logiki, nawet retorykę. Zarazem przytacza inny porządek nauk, podany przez Ryszarda a Sto Victore, i nie rozstrzygając kwestyi, poprzestaje na zwróceniu szczególnej uwagi na naukę gramatyki, jako podwalinę innych nauk. Za wzorem Hugona każe też uczyć się pierwszej lub pilniej tego, co więcej odpowiada przyszłemu stanowi, i uwydatnia bardzo szkody, wynikające z czytania bezładnego, gubiącego się w rzeczach mniej potrzebnych. Do usilności w uczeniu się (rozdz. XII) zachęca, przedstawiając zacność, przyjemność, długotrwałość i pożytki nauki. Te ostatnie są np.: poskramianie popędów cielesnych, rozweselenie myśli, pocieszenie w nieszczęściach i odświeżenie w pracach, wreszcie spokojność duszy. Intencją, czyli cel nauki określa i rozwija dosłownie (rozdz. XIII) za św. Bernardem.

Mówiąc o uczniu postępującym rozstrzyga (w rozdz. XIV) kwestyę, jak należy czytać i co czytać. Sposób czytania wskazuje w cytacie obszernem z Hugona; co do przedmiotu zaś stawia normę, aby z całego lasu dzieł wybierać ksiąg niewiele, a krótkich i pożytecznych. Każe również przy czytaniu trzymać się porządku siedmiu sztuk wyzwolonych, jako podwaliny wszelkich nauk; dodatki zaś ich jak: poezye, komedye, bajki, historyę, radzi czytać później, gdy zbędzie czasu. Zarazem jednak podnosi, że i bez sztuk wyzwolonych można dość do mądrości; potępia też przesadę filologów, gubiących się w drobiazgowych kwestyjkach, i logików, poświęcających tej jednej gałęzi całe swe życie. Natomiast dowodzi (w rozdz. XV), że gramatyka, dyalektyka, geometrya, arytmetyka wystarczają wprawdzie dla świata, ale nie dają mądrości, że przeto wszelka nauka powinna zmierzać ku poznaniu Boga, w którym jest mądrość. Co do czytania autorów starożytnych, powołuje się (w rozdz. XVI) na słowa Pisma św.: *Wszystkiego doświadczajcie,*

*co dobre jest, dzierżcie!*¹ — i stawia za normę słowa św. Hieronima: „Jeżeli w tych dziełach coś pożytecznego znajdziemy, zastosujemy do naszego dogmatu. Jeżeli zaś napotkamy coś zbytecznego o bożkach, o miłości, o ubieganiu się o rzeczy świeckie, to wymażemy i odtrącimy“. Jednakowoż ludzie silni w wierze i w nauce, powinni znać te rzeczy, aby je zbijali, oraz aby z nich czerpali dowody bliżej wyjaśniające prawdy objawione.

Rozdział XVII uczy o rozważaniu (*meditatio*) ściśle na tle Hugona i św. Bernarda. Każe tę najważniejszą pracę ducha roztropnie rozdzielać, tak aby nie przeszkadzała snowi lub trawieniu. W pisaniu każe się ćwiczyć (w rozdziale XVIII) najpierw na cudzych pracach, mianowicie poprawiając ich błędy, całe ustępy dobrze przepisując, z celniejszych robiąc sobie wyciągi, pisma cudzoziemskie tłómacząc lub wykładając na język ojczysty. Podnosi za św. Hieronimem i Origenesem, że przez brak takiego ćwiczenia odpisywacze poprzekręcali najlepsze dzieła. Pisanie jest dwojakiego rodzaju (rozdział XIX): Prywatne, t. j. do własnego tylko użytku powinien mieć każdy uczeń jakoby pamiętniki z codziennych lekcyj, z czytania, z własnych badań i t. p.; publiczne, t. j. dla ogółu przeznaczone, mają być pisane w wieku dojrzałym i odznaczać się prawdą, zwiezłością, pokorą, aby autor nie przeceniał swej powagi i chętnie przyjmował poprawki, — z zastosowaniem do czasu i miejsca, — ze swobodą t. j. aby mówił prawdę bez bojaźni i z wyborem, czyli żeby nie pisał rzeczy zbytecznych i umiał osądzić, co obszerniej a co zwięźlej skreślić należy. — Czwarty rodzaj ćwiczenia widzi (w rozdz. XX) w dysputowaniu. Konieczną jest przytem dobra intencya, dalej należyty porządek i umiarkowanie. Dobra intencya polega na tem, aby dysputujący nie szukał próżnej chwały lub upornego obstawania przy swoim, lecz miał na celu albo wynalezienie prawdy, albo ćwiczenie, albo — co należy do teologów — umocnienie wiary albo zbudowanie obyczajów. Nale-

¹ I. Tesal. V, 21.

żyty porządek wymaga, aby każdy pierwiej znalazł gruntownie podstawy nauki, zanim o niej zacznie dysputować... Podaje wreszcie trafnie sposób prowadzenia umiarkowanej dysputy i przestrzega przed uporem. „Mamy bowiem wiedzieć, iż gdy prawda kogoś pokona, to nie on sam został pokonany, lecz niewiedomość, która w nim była szatanem najgorszym, którego jeżeli kto zdoła odpędzić od siebie, palmę zbawienia otrzyma“. Żali się jednak w rozdziale XXI, że w jego czasach wielce się już rozwielił sposób dysputowania, co za Hugonem przypisuje żądzy częściej chwały, i piętnuje dosadnie wyliczając aż siedm rodzajów złego ztąd wynikających. Należyty sposób dysputowania bliżej wyjaśnia w rozdziale XXII.

Dalsze rozdziały od XXIII do XLI włącznie traktują o moralnem wychowaniu płci męskiej, i obejmują całe życie aż do wieku dojrzałości. Pierwsze dwanaście rozdziałów uczy o wychowaniu chłopców, następne dwa o wychowaniu młodzieńców, a wreszcie ostatnie pięć o życiu małżeńskim, tudzież o zaletach potrzebnych mężczyźnie.

Zaraz na wstępie (w rozdz. XXIII), mówiąc o wychowaniu moralnem w ogólności, powiada: „nauka bez cnoty czyli dobrych obyczajów nietylko nie przynosi korzyści, lecz owszem szkodzi“. Licznemi cytatami Pisma św. dowodzi konieczności i pożytków takiego wychowania chłopców, a zbijając zarzut, iż z pobożnego młodzieńca staje się niekiedy zły i bezbożny starzec, wykazuje, że dzieje się to wtenczas, gdy pobożność młodzieńca była tylko powierzchowną¹, tylko narzuconą z zewnątrz, a tem samem niepewną i chwiejną, która snadnie znika, gdy się młodzian dostanie w złe towarzystwa, pod rękę zbyt pobłażliwą lub zbyt surową. „Chłopcy jednak dobrzy nie obłudnie, nie z przymusu, lecz jakoby z natury, i wzmożeni jeszcze przez dobrą naukę i wspólne mieszkanie w kon-

¹ Gani tedy Wincenty wychowanie, ograniczające się na zewnętrznem tylko wytresowaniu, a natomiast — stosownie do istotnych zasad etyki i mistyki chrześcijańskiej — domaga się starannego umoralniania z zewnątrz, odpowiadającego skłonnościom wychowawca.

wikie — nie łatwo zbaczają z drogi życia, do którego nawykli; owszem widać w nich już od początku obraz przyszłej enoty, choć jeszcze w grubych zarysach; według tego co mówi Pismo św.: *Po zabawach jego poznać dziecię: jeśli czyste i prawe są uczynki jego*¹. W rozdziale XXV dowodzi, że „wychowanie chłopców na dwóch rzeczach polega: t. j. aby ich powstrzymać od złego i usposobić do dobrego — a jedno i drugie jest rzeczą karności. Karnością bowiem zwie się powściąganie celem poprawy, i sama poprawa wynikła z powściągania“. Poczytuje też nauczycielowi za hańbę, jeźliby nie zdołał poprawić ucznia. Ponieważ skutek grzechu pierwszych rodziców *zmył i myśl serca człowieczego* — jak mówi Pismo św. — *skłonne są do złego od młodości swego*², przeto „należy owo wykonanie złości w chłopcach uprzedzać, i przez karność mu zapobiegać i przeciwdziałać, a to w różny sposób, stosownie do usposobienia lub skłonności każdego. Jedni bowiem chłopcy z natury są dobrzy i skłonni do nauki (tych nie potrzeba ciągnąć przymusowo lub przyniewalać, lecz tylko prowadzić); inni są więcej zepsutej natury, a ztąd sprzeciwiają się karności, jak źrebce nieujarzmione; ich więc trzeba wędzidłem karności powściągać i do obyczajów dobrych nawet wbrew ich chęci przyzwyczajać. I nie godzi się zaprzestawać wychowania, chociażby z początku niewiele się zdawało osiągać pożytku!“ Cytatami z Pisma św. zachęca do karności, i niemi też przestrzega przed zbytnią surowością. Jako drugi powód uzasadniający potrzebę karności, wymienia brak praktyki ze strony chłopców, i popiera licznymi cytatami zasadę, że praktyka (*usus*) jest nauczycielką wszech rzeczy, że do czego chłopiec nawyknie przez praktykę, to mu na zawsze pozostanie. Za środki karności uważa nagany, pogróżki, chłosty i t. p., stosowane stopniowo. W osobnym rozdziale (XXVI) uczy autor, że karność ma posiadać trzy warunki: surowość przeciwną zbytniej pobłażliwości, łagodność, która „pociąga gdy surowość odstrasza“, i roztropność, która umie

¹ Przypow. XX, 11.² Rozdz. VIII, 21.

dobierać sposób i czas i miejsce kary. Właściwy sposób kary ma mieć trzy warunki: należyta intencję, ojcowskie upomnienie i umiarkowanie. Ze względu na czas nie trzeba od razu w pierwszym gniewie wymierzać kary, lecz odroczyć ją do stosowniejszej pory. „Nie zawsze również potrzeba karać wykroczenia, lecz niekiedy przez pewien czas im pobłażać. Przepuszczać bowiem i karać są to rzeczy sprzeczne; — mówi jednak Filozof (Arystoteles): „Jednakowa jest karność w rzeczach sobie przeciwnych, bo kto nie umie przepuszczać, ten nie umie i kazać“. Ze względu na miejsce potrzeba karać tajemnie, gdy wykroczenie było tajemne; publicznie zaś, gdy wykroczenie było publiczne. Mówi w końcu (w rozdz. XXVII) o pomysłnych skutkach należytej karności; wykazywanie tychże chłopcom, ma ich usposabiać do chętnego poddawania się karom, strofowaniom.

O tem, jak należy chłopców przyzwyczajać do dobrego, zaczyna mówić w rozdziale XXVIII, opierając się na Hugo- nie, — i każe ich ćwiczyć przedewszystkiem w trzech rzeczach: w posłuszeństwie celowem (*obedientia finalis*), w ułożeniu moralnem (*compositio moralis*), i obcowaniu społecznem (*conversatio socialis*). Przy posłuszeństwie zwraca uwagę na jego: pobudki, osoby których trzeba słuchać, i sposób posłuszeństwa. Pobudki są: że posłuszeństwo jest dobrem moralnem i nie tylko samo jest cnotą, ale nadto inne cnoty wpaja i strzeże ich — dalej przykłady mężów świętych — pożytki zeń płynące, zwłaszcza dla życia pobożnego. Rozdział XXIX uczy, że przede- wszystkiem słuchać trzeba P. Boga, rodziców zaś i przełożo- nych w Bogu i dla Boga. Rozdział XXX wskazuje za św. Bernar- dem siedm stopni posłuszeństwa, i każe słuchać 1) chętnie, jak przystoi temu, co jest obdarzony wolną wolą, 2) zupełnie, t. j. bez szemrania, 3) ochotco, bo *ochotnego dawcę miłuje Bóg*¹, 4) szybko, 5) mężnie, 6) pokornie i 7) wytrwale.

Rozdział XXXI uczy na podstawie św. Bernarda i Hu- gona o „moralnem ułożeniu“, więc o wewnętrznych cnotach

¹ II. Kor. IX, 7.

moralnych i o zewnętrznej postawie i ruchach ciała, co bardzo oddziaływa na duszę, i jest zbudowaniem dla drugich. Ułożenie to w ubiorze, w poruszeniach, w mowie, przy jedzeniu, obszernie i pięknie jest opisane ¹.

Rozdziały XXXII do XXXIV pouczają o sposobie pożycia społecznego z ludźmi różnych warstw.

Wielką wagę kładzie autor na odpowiednie prowadzenie młodzieńców, jako najbardziej skłonnych do popędlowości, nieczystości i płochości. Według św. Augustya: „Wiek dziecięcy całkowicie podlega ciału. Wiek chłopięcy także wolny bywa od niedozwolonych upodobań, bo rozum nie podjął jeszcze walki, ponieważ nie pojmuje przykazań; przeto słabość ducha leczy się Sakramentami Zbawiciela. Gdy się zaś dojdzie do lat pojmujących przykazania, potrzeba rozpocząć walkę z wadami, i prowadzić ją zacięcie, aby nie popchnęły do zgubnych grzechów. Że zaś dusze w tym wieku nie wzmocniły się jeszcze nawykniem do zwycięskiej walki, przeto łatwo upadają i giną“. Młodzieniec tedy potrzebuje osobliwszej karności nie tylko ze strony przełożonych, ale „i ze strony siebie samego na podstawie rozbudzonego rozumu“ ². Zwalczać więc trzeba młodzieńcowi owe trzy wady przy pomocy Bożej, którą sobie zjedna przez gorętszą modlitwę, oraz przez dzielne szermowanie bronią duchową, pomnąc, że gdy w tym wieku walka raz wybuchnie, musi w niej koniecznie albo zwyciężyć albo uleść. Gdyby uległ, niech się rychło ucieka do pokuty

¹ Niejednokrotnie jeszcze zauważymy, jak pilną uwagę kładli pedagodzy średniowiecza na zewnętrzną ogładę obyczajów, a zarazem jak starannie przestrzegali, żeby ogłada nie była blichtrzem światowej grzeszności, ale odbiciem rzeczywiście szlachetnej duszy i wynikiem wewnętrznych cnót. Czyż dzisiejsza pedagogia racjonalistyczna nie staje w tyle pod tym względem?

² Niesłuchanie to ważna maksyma, bo uzupełniając правило o wychowaniu moralnem z wewnątrz, prowadzi do zupełnej samodzielności i wyrabia prawdziwe cnoty, prawdziwy moralny charakter. Wincenty umie ją zaakcentować, ale też wolny jest od przesady, bo nie domaga się jej zastosowania w dzieciństwie t. j. przed obudzeniem się rozumu dziecka, a i później każe rozum młodzieńca wspierać rozumem doświadczony wychowawcy.

jak syn marnotrawny, by złe nie przeszło w zgubne nałogi. — Do wielu cnót (rozdz. XXXVI) trzeba przyzwyczajać młodzieńca, ale przede wszystkim do trzech przeciwnych głównym wadom tego wieku, t. j. do pokory, do czystości, do rozwagi. Autor wyłuszcza, na czym każda z tych cnót u młodzieńca polega, i jak ją wyrabiać, a w końcu raz jeszcze nawołuje do pilnej pracy w tym czasie, i na podstawie dosadnych, a z ciepłem skreślonych dowodów przestrzega, aby nie odwlekać poprawy na późniejsze lata.

Następnie wychodząc z tekstu Pisma św.: *Gdyś byłeś dzieckiem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Lecz gdyś się stał mężem, wyniszczyłem co było dziecinne*¹ — wymienia autor braki wieku chłopięcego jak: nierozsądek, nieschludność, niestałość, krnąbrność, chłopięcą miłość obejmującą nawet rzeczy szkodliwe ale przyjemne, chłopięcą bojaźń, lękającą się nieraz bardziej urojonego nieszczęścia niż rzeczywistości. Na tem tle uwidatnia, czego się ma pozbywać dorastający mężczyzna, i jakich zwłaszcza cnót ma nabywać.

Przy wychowaniu dziewcząt szlacheckich zachęca przede wszystkim (w rozdz. XLII) do czujnego nadzoru i do usuwania wszystkiego, coby mogło splamić cnotę czystości. Naukę zaleca jako jeden z wybornych środków do uchronienia dziewcząt od próżniactwa, które właśnie dla nich wydałoby najopłakańsze skutki. Czytanie chciałby na wzór św. Hieronima przeplatać pracą i modlitwą. Jako cnoty najpotrzebniejsze dziewczycy wymienia: wstydlivość czyli czystość, pokorę, milczenie, i powagę w obyczajach, ruchach, a zwłaszcza w spojrzeniach. Mówiąc o czystości, zwraca uwagę na wszystkie rzeczy rozpieszczające ciało, na potrawy i napoje, na sen, kąpiele i ubiór, przyczem zachowuje złotą drogę pośrednią między zbytnią surowością a zbytniem pobbazaniem. W osobnym rozdziale (XLV) mówi o starannym doborze towarzystwa. Resztę cnót rozbiera w jednym rozdziale; przyczem wogóle pragnie, aby dziewczęta były nieco surowiej wychowywane niż chło-

¹ I. Kor. XIII, 11.

pey, ale bynajmniej nie pod względem kar. Gdy dziewczica wyjdzie za mąż i opuści dom rodzicielski, mają ojcowie ją upomnieć, aby szanowała teściów, kochała męża, rządziła czeladką, dziećmi i służbą, zajmowała się gospodarstwem domowym, i nie zasługiwała na żadną nagane. Autor rozwija szczegółowo te upomnienia, a zwłaszcza ostatnie, i kreśli w ten sposób piękny obraz wzorowej małżonki owych czasów. Jest także rozdział osobny, poświęcony tak stanowi wdowiemu (L), jak dziewiczemu (LI).

Tak przedstawia się dzieło najwybitniejszego pedagoga scholastycznego. Streściwszy je szczegółowo, nie mamy potrzeby wymieniać i streszczać innych dzieł pedagogicznych owego czasu, bo choć nie jedno z nich poruszało sprawę wychowania dzieci królewskich, to jednak są one stosunkowo mniejszej wagi. Z pracy Bellowackiego mnicha znać, że lubo miał na oku główne peryody rozwoju wychowania, to przecież nie opisuje wychowania latami, ale stara się je zestawiać poniekąd w działy i podziały. Z rozmysłu podaliśmy cały układ rozdziału trzeciego i niektórych innych, aby czytelnik mógł sam wyrobić sobie sąd o sposobie pisania tego autora, o którym wielu dziś rozprawia, a niestety bardzo niewiele go czytało. Kto się w nim rozpatrzył, ten musiał zauważyć, że Wincenty czerpie swe dowody głównie z Pisma św., z którego umie korzystać szerzej i trafniej, niż którykolwiek inny pedagog chrześcijański. Nie odrzuca on wprawdzie doświadczenia własnego ani doświadczenia innych znawców duszy ludzkiej, owszem, robi z drugiego szeroki, niemal encyklopedystyczny użytek, bo stara się zestawić wszystko, co tylko w tej sprawie przed nim celniejszego napisano; własne zaś doświadczenie i głębokie wniknięcie w przedmiot, daje mu możność zestawiać cytaty w logiczną całość i uzupełniać je nowymi poglądami. Nie dziwi nas, że gdy mówi o przedmiotach nauki, przytacza zdanie Alfforabiego, choć mu nie daje wyraźnej wyższości, bo wiadomo, że właśnie prawdziwa scholastyka umiała korzystać z filozofii arabskiej; nie dziwi nas także, że Wincenty powołuje się tak chętnie i tak często na mistyków, jak na św. Ber-

narda, a zwłaszcza na Hugona a Sto Victore, bo wiemy, że scholastyka widziała w mistyce tylko swoje uzupełnienie, i że najcelniejsi scholastycy bywali także dobrymi mistykami; nie dziwi wreszcie i to, że autor tak umie zużytkować dzieła starożytnych pisarzy, a zwłaszcza dzieła Ojców Kościoła; — były to bowiem czasy rozkwitu, kiedy scholastyka starała się o jak największe rozszerzenie i pogłębienie treści, nie odrzucając żadnych dostępnych źródeł, a nie tonęła jeszcze w dyalektycznym formalizmie. Zwracamy na to uwagę, że autor tak często i tak silnie opiera się na Piśmie św., jako na głównej podwalinie pedagogii. Było mu to wspólne ze wszystkimi zdrowo myślącymi scholastykami. I to właśnie obfite czerpanie z Pisma św. dało temu dziełu tak niespożyłą wartość wychowawczą. Chybilby celu autor, gdyby się był oparł wyłącznie na Piśmie św., a wzgardził całkiem badaniami i doświadczeniami rozumu ludzkiego, boby się był sprzeciwił zamiarowi samego Stwórcy, który w Objawieniu dał poznać prawdy Boże, a dlatego jedynie nie wyluszczył wszystkich umiejętności, aby ludzie, mając rozum i pracując nim do poznania onych, a pośrednio do poznania mądrości i wszechmocy Bożej dochodzili. Wiedząc jednak autor, że rozum ludzki łatwo się myli w swych wnioskach, i nie zdołał jeszcze poznać głębin duszy, (które przecież znać trzeba, jeśli się duszę na wskrós chce przerobić), — pyta tego, kto zna najlepiej owe głębiny, t. j. tego, kto duszę ludzką stworzył. Wie przy tem, że trzeba tylko umieć czytać w Jego Objawieniu, a znajdzie się tam wiele wskazówek, jak ta dusza wygląda, i jak ją prowadzić trzeba; i te to właśnie wskazówki dobrze zrozumiane i w czyn wprowadzone, dadzą wychowaniu niespożyłą wartość przez to właśnie, że mają za sobą nieomylną pewność. Dał on wzór pedagogom chrześcijańskim, w jaki sposób podziśdzić i po wszystkie czasy mają czynić, i przed zgubnemi ostatecznościami chronić swe badania naukowe w sprawie psychologii i wychowania — wskazał Pismo św. jako księgę ksiąg; jednym słowem, odświeżył i ustalił system pedagogii chrześcijańskiej.

Nie dziwnego, że protestanci pozazdrościli Kościołowi takiego męża. Licząc na długie odosobnienie naukowych prac Kościoła, wskutek czego mało kto poza obrębem pedagogów katolickich znał wspomniane dzieło, ogłosili, że Wincenty był wprawdzie znakomitym pedagogiem, ale „mistrzem jego jest Alfforabi“, uczony arabski (*sic!*), i że w swych samoistnych zapatrywaniach „stał na uboczu“, bo one nie płynęły z żadnym ze współczesnych prądów. Jedyne to był pedagog — mówią — samotny w swej epoce, ani wpływu na sprawę wychowania nie wywarł, ani swoim teoryom uczenia nie pozyskał. Powstał bez poprzednika — bo przecież za takiego nie można uważać siedm z górą wieków dawniejszego odeń Boeciusa — a umarł bez następcy... Chronologicznie należy do tej epoki, ale się z nią organicznie powiązać nie da“. (*Sic!*) Cóż na to odpowiedzieć? Dać do przeczytania dzieło Bellowackiego zakonnika, i pouczyć się o scholastyce i mistyce XIII w. na podstawie samychże źródeł! *Sapienti sat!* Przypomnijmy co najwięcej, że pisał to mnich zakonu żebrzącego, a więc zakonu, którego wystąpienie i solidarne działanie stanowi, według samych protestantów, epokę w dziejach wychowania i nauczania.

Scholastyka jasno i gruntownie określając cel człowieka i źródło skażenia natury ludzkiej, dostarczyła mistyce podwalin do głębokiego wniknięcia w duszę ludzką i do skutecznego jej przerabiania. Toć i dzisiaj sposób pojmowania celu człowieka i początku złego w naturze ludzkiej, stanowi — bo zawsze stanowić musi — główną cechę, odróżniającą różne systemy wychowawcze; i nie jestto bynajmniej rzeczą dla pedagogii obojętną, czy owe zasadnicze pojęcia stają przed nią jasne, wyraziste i pewne, czy też zamagwatwane i błędne. Na tem właśnie polega ów tajemniczy a nieuchronny wpływ każdorazowego kierunku filozoficznego na pedagogią. Nie można więc scholastyki odsądzać od wszelkich zasług w sprawie pedagogii, jednakowoż nierównie więcej znaczenia w tym względzie trzeba przyznać katolickiej mistyce. Dalszy rozwój badań pedagogicznych wykaże, ile mistyka wpłynęła na teorię i praktykę przerabiania dusz; bo już w świetle dzisiejszych

wiadomości w tym kierunku wiemy, że każdy mistyk był w pewnym stopniu pedagogiem. Nie rozstrzelając się na ocenianie wszystkich dzieł mistycznych, wkraczających w zakres pedagogii, przedstawimy tylko najcelniejszego pedagoga w tym ostatnim okresie prawdziwej mistyki. Był nim Gerson (1363—1429) kanclerz uniwersytetu paryskiego. Słynny ten i nader wpływowy uczony, oddał się na starość wyłącznie prowadzeniu dzieci, uczył je religii, a zwłaszcza zachęcał do spowiedzi. Czując bliski zgon, prowadził dzieci na Mszę św. i kazał im się modlić za siebie słowy: „Panie najmiłosierniejszy, miej litość nad biednym sługą Twoim“. Umarł też jak ojciec wpośród ukochanej dziatwy.

Na uwagę zasługuje rozprawa jego p. t.: „Wskazówki Jana Gersona dla magistra Jana“, nauczyciela Ludwika, syna Karola VII króla francuskiego¹, w dwunastu zwięzłych „rozważaniach“. Każe tu pedagogowi: (1) mieć zawsze na oku przede wszystkim cel czysty i religijny przy prowadzeniu dzieci. Powinien także nauczyciel (2) modlić się pokornie i często, aby Pan Bóg usposobił umysł wychowanka i dał pomyślne owoce. (3) Więcej ma polegać na tej łasce Bożej, niż na własnej przemyślności. Zaraz na początku (4) ma stosownymi sposobami pozyskać przyjaźń i miłość dostojnego wychowanka. „Sposoby te mają zarazem być przygotowywaczem nauczaniem, jednakowoż nie w tonie poważnym, nauczycielskim, ale przez rozmowy, upomnienia i rady, udzielane z uprzejmością poważną i z powagą uprzejmą. Potem (5) należy mu podać zeszyty i książki, zwłaszcza we francuskim (więc ojczystym) języku, bo w tym łatwiej osiągnie cel nauki“. Niech się pedagog (6) strzeże wszystkiego, co by go mogło uczynić zniewieściałym w oczach wychowanka, a tem samem i nauki zrobić nienawistnymi. Lepiej uczyć powoli, a przyjemnie i pociągająco, bo wtenczas nauka wyjdzie na pożytek. Nigdy (7) nie ma okazywać uniesienia złości, lub uciekać się do kar cielskich; postępować winien łagodnie, a przecież bez po-

¹ L. c. IV. 44. ss. Napisane w r. 1429.

chlebstwa, bo umysły takie (8) wolą się dać prowadzić niż ciągnąć, wolą słyszeć pochwały, niż doznawać ostrych kar. Ma sobie przygotować (9) stosowne opowiadania i powieści moralne, celem uzmysławiania każdej kwestyi naukowej. W wielu jednak rzeczach, przewyższających jego wiedzę niech mówi: „Poradźmy się Pisma św. i wiary katolickiej, której nas Kościół naucza, i katolickich doktorów, którzy ją umieją wyjaśniać“. Pomija następnie stronę dydaktyczną, i uwydatnia kierunek nauczania ze względu na prowadzenie religijno-moralne. Każe więc (10) zaznajamiać z wolna delfina „z imionami i z obrazami Świętych, z razu w głównych zarysach, później więcej dokładnie, z ich żywotów i z legend“. To samo czynić mają i domownicy. Zwracać trzeba często uwagę wychowanka na główny cel człowieka, na równość wszystkich ludzi wobec tego celu, i na wynikający ztąd obowiązek uprzejmości, łagodności i pokory względem przyszłych swych rówieśników w chwale wiekuistej. Chce wreszcie (12), aby wychowanek miał osobliwsze nabożeństwo do którego Świętego, a zwłaszcza do swego Anioła Stróża. Szczególnie wyjaśniać mu trzeba dekalog „według postępu w latach i w łasce“. Z rozprawy tej widać, jak trafnie zapatrywał się Gerson na język ojczysty, na sprawę karności, na stopniowe rozszerzanie nauki spółśrodkowemi kręgami w miarę rozwoju dziecka, i na wyrabianie zasad moralnych.

Sposób uczenia tak co do wyboru materiału jak co do metody, wskazuje autor w różnych dziełach, a zwłaszcza w listach, w których zaleca metodę według *Didascaliconu* Hugona, a za podręczniki radzi dzieła scholastyków i mistyków XIII wieku, nie potępiając jednak wszystkich starożytnych autorów lecz przenosząc nad nich Ojców Kościoła. Sądzi jednak¹, że w sprawie wyboru autorów, nie można dać ogólnej, stanowczej odpowiedzi, bo „różnorodność uczących się, ze względu na wiek, zdolności i czasy, domaga się coraz to innych wskazówek“

Najważniejszym pedagogicznym dziełem Gersona jest:

¹ List do studentów w Noll. Nawarry, l. c. I, 7, 107.

„Rzecz o prowadzeniu dziatek do Chrystusa“¹. Obejmuje ono wstęp i cztery rozważania, i opiera się na Piśmie św., na powadze Arystotelesa i starożytnych, oraz na licznych faktach z bezpośredniego doświadczenia. Napisane jest tak przekonująco i zwięźle, a z takim ciepłem, że wartołoby je w całości tu powtórzyć, gdyby rozmiar i cel tej pracy na to pozwalał.

W pierwszym rozważaniu dowodzi autor, jak wielka jest potrzeba i ważność wczesnego i starannego wychowania dzieci; widzi w niem główny sposób do zreformowania społeczeństwa. Wywodzi to z natury łaski Bożej wspomagającej, „którą tem obficie otrzymujemy, im wcześniej i dłużej o nią się staramy... A któż się zbawić może bez łaski Bożej?... Jeżeli w dziecięctwie, kiedy jeszcze nie obraziłeś ciężko Boga i nie przyciskają cię złe żądze, nie zdołasz nabyć cnót, to cóż będzie wtenczas, gdy się staniesz nieprzyjacielem Bożym?“ Uwydatniwszy siłą przyzwyczajenia dodaje: „Nie mylił się tedy, owszem, głęboką myśl wypowiedział, kto rzekł, iż naprawę obyczajów kościelnych rozpocząć należy od dzieci². Te bowiem, jako mniej zepsute i mniej nałogowe, łatwiej przyjmą nauki zbawienne“.

W drugim rozważaniu mówi Gerson o gorszycielach dzieci; w trzecim chwali usiłowania tych, którzy dzieci zepsute wprowadzają napowrót na drogę, wiodącą do Chrystusa. „Jest zaś kilka sposobów — mówi — do tego wprowadzenia. Sposobami takimi są publiczne kazania, albo potajemne upomnienia, albo nauka szkolna, albo — co jest właściwem tylko chrześcijanom — spowiedź. Niech każdy sądzi, jak mu się podoba; ja w prostocie swojej mniemam, że spowiedź (jeżeli tylko należycie się odprawi), jest najskuteczniejszą przewodniczką

¹ Tractatus de parvulis trahendis ad Christum, l. c. II, f. 94, ss.

² Nader to ważna i widoczna prawda, która tłómaczy poświęcenie się tylu mężów w XV wieku sprawie troskliwego wychowania dzieci. A przecież dziś jeszcze odzywają się głosy, — nawet z ław sejmowych — że chcąc poprawić dzieci, trzeba koniecznie pierwej poprawić rodziców i całe społeczeństwo. Czyż takim błędem kołem można usprawiedliwiać wady jakiegokolwiek systemu szkolnego?

do Chrystusa. Przez nią bowiem wychodzą na jaw najtajniejsze choroby serca; jeżeli tylko spowiednik, posiadający umiejętność ich odkrywania, zacznie wszystko badać mądrze, roztropnie i bez pośpiechu, aby wydobyć wijącą się w duszy żmiję, i wyrzucić z serca jad jej zaraźliwy. Dopóki ten jad tkwi w piersi jakiego chłopięca, dusza jego nie zdoła wzrósć w Chrystusie, lecz zawsze leżeć będzie w kałuży grzechów, chora i słaba, a nawet nieżywa i pogrzebana. A więc nie może taka dusza o swych siłach wykonać żadnego czynu życia, żadnego ruchu prowadzącego do Chrystusa, dopóki by cień grzechu tkwił w ranie. Dodaję, że nigdzie nie można mieć lepszych wskazówek pedagogicznych, jak przy spowiedzi, nigdzie nie można korzystniej stosować lekarstw moralnych na moralne choroby. Albo gdzież — pytam — zdołasz skuteczniej zapobiedz przyszłym zboczeniom? Mówi następnie i wykazuje potrzebę i korzyści spowiedzi generalnej u dzieci, i zbija zarzuty przeciwnie. Każe też pilną mieć uwagę na rówieśników dziecka, i usuwać bacznie wszelkie zgorszenia.

W czwartem rozważaniu tłumaczy Gerson, dlaczego tak się sam oddał wychowaniu dzieci: uczynił to dla zbawienia dusz najmilszych Chrystusowi, a tem samem dla zbawienia swej własnej duszy; uczynił, aby naśladować Apostoła, który stał się wszystkiem dla wszystkich, a więc i dla dzieci, aby wszystkich Chrystusowi pozyskał; uczynił wreszcie, naśladowując Chrystusa Pana, który tak zaleca cnotę pokory i łagodności, a w tej się najlepiej można wyćwiczyć, zniżając się do rzędu dzieci. Przypomina, że wydał we francuskim języku dziełko o rozpoznawaniu wad, i robiąc apostrofę dla dzieci, wzywa je najgorętszymi słowami, aby z największem zaufaniem i często przychodziły doń do spowiedzi. Następujące wady szczególnie pragnie z nich wykorzenieć: kłamstwo, przysięganie się, obmowę, robienie drugiemu szkody, czyny niewstydlive. Podaje wreszcie główne środki i sposoby ich stosowania, którymi się dzieci odzwyczajają od złego, i na koniec woła: „Pójdźcie do mnie z ufnością! Podzielmy się wzajemnie dobrami duchowemi: ja was będę uczył, wy się

za mnie modlić będziecie, owszem, będziemy się wzajemnie za siebie modlić, abyśmy byli zbawieni. A tak znajdziemy może — a nie tylko może, lecz z wszelką pewnością znajdziemy — miłosierdzie u Ojca naszego, który każe i mnie, abym was nauczał, i wam, abyście mnie słuchali“.

Czyż nie słusznie zauważył Stökl¹, że wielka miłość Gersona ku działwie więcej nas ku niemu pociąga, niż jego wielka uczoność?

Gerson zbogacił pedagogikę głównie tem, że spowiedź, która od początku chrześcijaństwa istniała, przedstawił, uwydatnił jako dźwignię wychowania, i wcielił jako bardzo ważny środek w system pedagogii chrześcijańskiej. Napisał on też dziełko „o dziesięciu przykazaniach Boskich, o spowiedzi i o sztuce umierania“; przeznaczył je duszpasterzom oraz dzieciom, które miały pobierać chrześcijańską naukę. Chciał przytem, aby zdania z tej książki wypisywać na tablicach i zawieszać w kościołach i szkołach.

Ks. W. Gadowski.

¹ L. c., str. 187.

WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO KOMPOSTELI.

(Dokończenie).

IV.

RZUT OKA NA OBECNY STAN HISZPANII.

I. Stan religijny, dawniej i dzisiaj. — Kościoły hiszpańskie. — Cere-
monie odmienne od naszych. — Karność co do postu i bulle de Cru-
zada. — Majątek kościelny. — Hierarchia. — Klasztory. — Pobożne
praktyki. — Indyferentyzm religijny. — Rozrost masonery i socyali-
zmu. — Gwałcenie świąt. — II. Stan polityczny. — Geneza stronnictw. —
Karliści. — Integros. — Alfonsiści. — Mieszkańcy i fuzyoniści. — Repu-
blikanie. — Anarchiści. — Anekdota o modlitwie św. Jakóba. — III. Stan
naukowy, dawniej i dzisiaj. — Sławniejsi pisarze w drugiej połowie
XIX wieku. — Uniwersytety. — Gimnazya. — Szkoły ludowe. — Gło-
śniejsi malarze naszej epoki. — IV. Stan ekonomiczny i społeczny. —
Przyczyny zubożenia kraju. — Żebracy, oszuści i bryganci. — Szał za-
baw. — Kobiety. — Walki byków. — Zalety Hiszpanów.

Podróżując po Hiszpanii, zwracałem baczną uwagę na
obecne jej stosunki, tak religijne jak polityczne i społeczne;
w tym też celu czytywałem krajowe dzienniki lub odnośne
dzieła, to znowu w rozmowach z Hiszpanami i z ks. Różań-
skim starałem się oświecić co do niektórych kwestyj, a wynik
moich spostrzeżeń podaję tu w kilku pobieżnych szkicach.

I. Pod względem religijnym, Hiszpanie odznaczali
się zawsze gorącym przywiązaniem do wiary katolickiej, czego
dowodem te bohaterskie, a w końcu zwycięskie zapasy z pół-
księżycem, i ten długi szereg Świętych i uczonych, którzy ży-

ciem i pismami nie małej przysporzyli chwały Kościołowi, — te dzikie ludy Ameryki, podbite pod panowanie Krzyża, — te wspaniałe świątynie, hospicya i szpitale, wzniesione na chwałę Bożą, — te świetne uroczystości, ceremonie i pielgrzymki, tymże duchem natchnione, — te bogate ofiary i zapasy na rzecz Kościoła, — te liczne arcydzieła religijnej treści, utworzone pędzlem Murilla lub dłutem Berruguette'a i innych, — ten wreszcie zapal religijny, tak ognisty i natarczywy, a czasem nawet pochopny do prześladowania innowierców. Świadczy o tem przywiązaniu sama inkwizycja, która acz była instytucją więcej polityczną niż kościelną, miała jednak za główny cel: śledzić obłudnych neofitów z pośród żydów i Maurów¹, następnie zaś zapobiegać szerzeniu się protestantyzmu, a ztąd stać na straży jedności wiary.

A dziś cóż zostało z przeszłości? Zostały słynne świątynie, pobożnością wieków średnich zbudowane, ale niektóre z nich, jak np. kompostelańska, utraciły w XIX wieku znaczną część swoich skarbów, a prawie wszystkie potrzebują odnowienia. Tymczasem brakuje pieniędzy i ofiarności; a kiedy we Francyi kosztem wielu milionów wznoszą się równocześnie wspaniałe kościoły w Paryżu, Lyonie, Marsylii, Lourdes i gdzieindziej, — w Hiszpanii trudno o utrzymanie dawnych. Kościoły po wsiach i miasteczkach są nieznaczące i ubogie; wiele z nich

¹ Żydzi jeszcze pod królami wizogockimi doszli do wielkich bogactw i bywali ministrami finansów, a temsamem rządcami państwa. Już wówczas zarzucano im różne zbrodnie. Niebezpieczniejszymi jeszcze byli t. zw. *Marannos* (nieczyści), czyli pozornie nawróceni i ochrzczeni, którzy tajemnie zachowywali dawne praktyki, a wdzierając się na stolice biskupie i łącząc się ze znakomitemi rodzinami, działali na szkodę społeczeństwa chrześcijańskiego. Głównie przeciwko nim Ferdynand i Izabella zaprowadzili inkwizycję. Niemniej niebezpiecznymi okazali się *Moriscos*, czyli nawróceni Maurowie; i to miało spowodować wygnanie żydów w r. 1492, Maurów w r. 1609 i 1610. Z drugiej strony nie przeczymy, że inkwizycja służyła nieraz za narzędzie polityczne i działała za surowo, aczkolwiek opowiadania ks. Llorente, wolnomularza, są bardzo przesadzone i po części tendencyjnie fałszywe. O inkwizycji hiszpańskiej napisał źródłowe i bezstronne dzieło J. M. Orti y Lara p. t.: *La inquisición*. Madrid 1877.

znajduje się w stanie bardzo nędznym, co jest głównie winą rządu, który nie chce na nie dawać obfitszych zasiłków, mimo że do tego na mocy konkordatu z r. 1851 i konwencji z r. 1859 jest obowiązany.

Z dawnych czasów zostały również świetne uroczystości kościelne, i do dziś dnia lubują sobie w nich Hiszpanie, jedni z pobudek religijnych, inni z ciekawości lub przywiązania do tradycji. Że w tych uroczystościach do żywiołu ściśle duchownego, jak np. Mszy św., kazań (*sermon*), konferencyj (*platica*), rozmyślań (*meditacion*), czytań pobożnych (*lectura espiritual*), procesyj i t. p. miesza się żywioł świecki, jak np. kiemasz, wesola muzyka, pochody masek, ognie sztuczne, tańce narodowe i t. p., dziwić się trudno, skoro się zważy, że naród hiszpański, jako południowy, ma nader bujną wyobraźnię i jest zamięlowany w zewnętrznej ostentacyi. Są też tam ceremonie, jakich gdzieindziej nie spotykamy. Tak np. podczas świąt Bożego Narodzenia urządzają w południowej Hiszpanii, a zwłaszcza w Sewilli, balety, i to nie tylko po domach, ale także po niektórych kościołach¹, wszędzie zaś śpiewają skoczne piosenki (*villancicos*). W dzień Oczyszczenia N. P. Maryi w jednym z kościołów kompostelańskich (*San Domingo*), starszy bractwa ofiaruje podczas *Offertorium* świecę, wikarzy tegoż kościoła składają dwa gołąbki i koronę, starsi kapłani statuetkę Dzieciątka Jezus i świecę, którą podczas procesyi wtykają w ręce Najśw. Panny.

W sobotę przed Septuagesimą obnoszą po ulicach, czasem nawet przy dźwięku muzyki, bullę *Cruzada*, zawierającą dyspensę od postu, nazajutrz zaś odbywa się z nią procesya². Przepisy o poście są, z małemi wyjątkami³, takie same w Hiszpanii, jak w innych krajach; ale od czasów walki z niewiernymi istnieją tam obszerne dyspensy, nadane bullami papie-

¹ O tańcu *de los seises* mówiliśmy wyżej.

² Tak przynajmniej w Santiago.

³ Tak np. w Hiszpanii niema abstynencji od mięsa w zwykłą sobotę; za to w piątki i soboty Adwentu przypada tam post ścisły, toż samo w wileń św. Jakóba W.

skiem (Bula de la Cruzada¹, de la carne², de lacticinios)³ i po-
dziśdzień odnawiane. Nadto ponieważ w Hiszpani niełatwo
o mleko i masło, przeto do okraszy potraw wolno używać tłu-
szczu wieprzowego (unto). Może tych zwolnień zawiele, acz
nie wszyscy z nich korzystają; za to Hiszpanie przepędzają
wielki post z większem skupieniem, niż wierni wielu innych
krajów, zwłaszcza że w każdej prawie parafii urządzają po
kilkakroć ćwiczenia duchowne.

W wielki czwartek jest zwyczaj w Santiago, a może
i gdzieindziej, że arcybiskup umywszy w kościele nogi dwu-
nastu ubogim, przechodzi do sali kapitulnej, aby tamże umyć
ręce kanonikom. W dniu następnym przeciągają po ulicach
miast bractwa, niosąc figury i godła Męki Pańskiej, zazwyczaj
kosztownie ozdobione; w Komposteli odbywają się przy tej

¹ *Bulla Cruciatæ* (Cruzada), nazwana tak od czerwonego krzyża, jaki na barkach mieli wyszyty krzyżowcy, nadawała różne przywileje i łaski duchowne tym, którzy w wojnie z niewiernymi (lub heretykami) czynny brali udział, albo też składali na ten cel ofiary pieniężne. Początek tych przywilejów wywodzi od Urbana II z końca wieku XI, a rozszerzyli je Innocenty III, Kalikst III, Juliusz II (1507) i następny tegoż w wieku XVI. Pius V postanowił, aby *Bulla Cruciatæ* miała walor na lat sześć, a głoszoną była co dwa lata, co Grzegorz XIII zmienił o tyle, że publikacya w samej Hiszpanii ma się odbywać co rok. Bullę tę prorogowali następni papieże, mimo że wojny z niewiernymi ustały, a Pius IX konkordatem z r. 1851, tudzież konwencyami z r. 1859 i z 18 paźdz. 1875 zawarował, że dochód z ogłoszenia tejże, wyrachowany stale na 2,670.000 *pesetas*, ma iść na utrzymanie kościołów i zakładów dobroczynnych, a zostawać pod zarządem biskupów i najwyższym nadzorem prymasa w Toledzie, jako *Comisario general de la Santa Cruzada*. *Bulla* ta nadaje dyspenzy od postu, jakoteż hojne odpusty; atoli kto chce z nich korzystać, musi złożyć pewną jałmużnę, większą lub mniejszą, według tego, do jakiej klasy należy. Tak np. za korzystanie z bulli *de Cruzada* dają możni 18 realów rocznie (t. j. mniej więcej 1 zlr. 80 ct.), zwykli ludzie 3 r. (30 ct.), ubodzy nic.

² *Bulla de la carne* pozwala na pożywanie mięsa nawet w piątki, z wyjątkiem piątków wielkiego postu i całego wielkiego tygodnia. Kto chce z niej korzystać, składa 32, 12 lub 2 reale, według tego, do której klasy należy. Datki te idą na cele dobroczynne.

³ *Bulla de lacticinios* pozwala duchownym i zakonnikom jeść jaja i nabiał w wielkim poście, z wyjątkiem wielkiego tygodnia. Taksy wynoszą tu, według czterech klas: 27, 9, 4-15, 2 reale.

sposobności kazania na placach publicznych¹, a nawet odzywa się głos dzwonu, na mocy specjalnego przywileju. Toż samo w dzień Zmartwychwstania Pańskiego wystawiają tu i owdzie figurę Chrztusa Pana, ukazującego się Najśw. Matce; natomiast nie masz tam takich grobów, jak u nas, ni tak uroczystej rezurekcyi.

Przed niedzielą przewodnią zanoszą proboszczowie uroczyście Komunię św. wielkanocną chorym, czy to do domów, czy do szpitali i klinik; a w ostatnim razie asystują także lekarze i uczniowie medycyny. W maju jest w niektórych miejscach zwyczaj, że dziewczęta ofiarują Najśw. Pannie u stóp jej ołtarza kwiaty i świece, z kąd ten miesiąc nazywa się *mes de Maria ó de las flores*. Miesiąc czerwiec poświęcony jest i tam czci Serca Jezusowego, jak marzec czci św. Józefa, październik nabożeństwu różańcowemu, listopad nabożeństwu za dusze zmarłych. W lipcu dnia 25 obchodzi cała Hiszpania święto swego Patrona, Apostoła Jakóba W., lecz nigdzie tak okazałe, jak w Santiago. Już w wilię dźwięki muzyki, huk dział i odgłos dzwonów zwiastują mieszkańcom wesołą wieść; zarazem przeciągają po ulicach *gigantones* t. j. pielgrzymi w średniowiecznych strojach, podczas gdy t. zw. *cabezudos* wyprawiają na placach tańce i skoki, lub śpiewają ludowe piosenki. Wieczorem następuje rześista illuminacya i płoną ognie sztuczne na placu *del Hospital*. W samo święto odbywa się wspañiała procesya, wśród której olbrzymia kadzielnica (*botafumeiro*), zawieszona u sklepienia, roznosi woń po obszernych nawach; podczas sumy zaś przystępuje do ołtarza gubernator, a uczciwszy św. Apostoła stosowną przemową, składa na klęczkach w ręce arcybiskupa tysiąc talarów w złocie, jako dar królewski; poczem arcybiskup przedstawicielom władz i członkom rady miejskiej (*ayuntamiento*) rozdaje bukiety. Wieczorem znowu serenada, tańce narodowe, strzały, pochody t. zw. *gigantones* i t. p. Dwa dni później obnoszą po ulicach wizerunki lub figury tych Świętych, którzy niegdyś pielgrzymowali do Santiago,

¹ Jestto t. zw. *sermon del encuentro*.

a przed nimi jedzie na koniu przedstawiciel św. Jakóba, za nimi relikwie tegoż Apostoła.

W uroczystość Wszystkich Świętych jest i tam zwyczaj przyozdabiania grobów wieńcami i świecami; zato pogrzeby odbywają się cicho i bez pompy. W dzień zaduszny każdy kapłan może odprawić trzy Msze św. na intencję zmarłych, bo taki przywilej dał Benedykt XIV Hiszpanii i Portugalii pismem z 13 sierpnia 1746 r.

Co do samych świąt ta zachodzi różnica ¹, że dzień św. Szczepana, tudzież drugi dzień Wielkanocy i Zielonych Świątek nie są tam uroczystymi; natomiast Hiszpanie świętują w dniu św. Jana Chrzciciela i św. Jakóba Większego. Co do nabożeństw, nie można się użalać na brak godności lub powagi, tylko muzyka wydała mi się zbyt hałaśliwą i skoczną; ale taki to już smak u ludów południowych. Istnieje też tam praktyka, że każdemu kapłanowi dają do Mszy św. dwa korpory i łyżeczkę do czerpania wody z ampulki, a przed Podniesieniem zapalają małą świeczkę, która aż do Komunii św. spoczywa na ołtarzu.

Z ubiegłych wieków przechowały się również religijne obrazy i rzeźby i są do dziś dnia ozdobą kościołów i muzeów; za to z majątku kościelnego, niegdyś tak wielkiego, zostały same tylko okruchy. Już Pius VII pozwolił na uszczuplenie dóbr duchownych dla poratowania skarbów państwa, a zupełny ich zabór, i to bez żadnego wynagrodzenia, nastąpił w czasie wojny domowej (1835—1844), wskutek czego wielu księży i zakonników umierało prawie z głodu. Wtenczas sam rząd ocenił te dobra na 900 milionów franków, ale rzeczywista wartość wynosiła do 2000 milionów fr. Konkordat z 5 września 1851 r. uprawnił dokonaną sprzedaż, a za to postanowił, że rząd ma nie tylko zwrócić Kościołowi dobra jeszcze nie sprzedane, ale nadto płacić stałą pensję biskupom, kapitułom, proboszczom i wikarym, kościołom zaś, seminariom i klaszto-

¹ Na mocy bulli Piusa IX z 2 marca 1867.

rom dawać pewne zasiłki ¹ (Art. XXXI—XLII). Nowe ciosy spadły na Kościół hiszpański w latach 1855, 1868, 1874, tak że z najbogatszego prawie w Europie stał się istotnie ubogim.

Według wykazu urzędowego (*Guía ecclesiastica de España*) z r. 1888, jest obecnie w Hiszpanii stolic metropolitalnych 9, biskupich 46; z tych biskupstwa Albarracin, Barbastro i Tudela mają być zniesione ². Biskupi mają w konkordacie zawarowaną swobodę co do wykonywania swej jurysdykcji; ale mimo to ciąży na nich żelazna ręka rządu, który dziś tradycje absolutystyczne z czasów Filipa II połączył z antyreli-gijnymi dążnościami wieku. To też bez zdziwienia wyczytałem w dziennikach hiszpańskich artykuł, przypisywany biskupowi madryckiemu, a dochodzący do tego wniosku, że skoro rząd patrzy obojętnie na kościoły, walące się w gruzy, skoro duchowieństwu parafialnemu daje mniejszą płacę, aniżeli urzę-dnikom drogowym i pozwala mu umierać z głodu, skóro zmo-nopolizował nauczanie publiczne ze szkodą wiary i moralności, skoro nawet na dusze w czyście (t. j. na Msze św. fundowane) nałożył podatek: przeto lepiej będzie rzec się opieki rządo-wej i przeprowadzić zupełny rozdział Kościoła i państwa, ani-żeli nosić nadal legalną niewolę.

Episkopat hiszpański odznaczał się zawsze nauką, gorli-wością i odwagą w obronie praw Kościoła ³, a i dziś, dzięki wpływom nuncyuszów na prezentację królewską ⁴, liczy w swem gronie znakomitych członków, między którymi głośniejsze mają imię kardynał Paya y Rico, arcybiskup toletański, kardynał

¹ Prymas pobiera 160.000 *reales*, to jest do 40.000 franków; arcy-biskupi od 150.000 do 130.000 r.; biskupi od 100.000 do 80.000 r.; kano-nicy od 20.000 do 14.000 r.; proboszczowie miejscy od 10.000 do 3000 r., wiejscy do 2000 r. (Real równa się mniej więcej czwartej części franka).

² Na wyspie Kuba jest jedno arcybiskupstwo i dwa biskupstwa; na wyspach Filipińskich jedno arcybiskupstwo i cztery biskupstwa.

³ Czyt. tegoż autora „Pius IX i Jego Pontyfikat“, t. I, str. 150 sq.; t. II, 69; t. III, 82.

⁴ Rząd przedstawia Stolicy św. trzech kandydatów na opróżnioną stolicę, a z tych papież wybiera jednego. Przedtem nuncyusz porozu-miewa się z biskupami co do listy kandydatów.

Monescillo, arcybiskup Walencyi, kardynał Gonzates, były arcybiskup sewilski, Cyryak Marya Sancha y Hervás, biskup madrycki i t. d.

Kler katedralny jest tam liczny, a składa się z pięciu prałatów (*dignidades*)¹, czterech kanoników *de oficio*² i większej lub mniejszej liczby kanoników *de gratia* i beneficyatów. Według konkordatu z r. 1851³, Stolica św. konferuje godność prałata kantora w kapitułach metropolitalnych i w 22 katedralnych, w innych zaś jeden kanonikat *de gratia*; nadto dziekana kapituły mianuje król, kanoników *de oficio* biskup i kapituła za konkursem, resztę prałatów i kanoników król z biskupem *alternative*. Ostatni artykuł nie wszedł atoli w życie w całej rozciągłości; ilekroć bowiem zawakuje jaki kanonikat, rząd bez porozumienia się z biskupem obsadza takowy, narzucając nieraz kapitułom kapłanów młodych, bez nauki i zasług. Ztąd dla ministrów, możnych i kobiet sposobność do niskich faworów i intryg, dla księży pole do pogoni za coraz lepszymi prebendami i do wędrówek z jednej dyecezyi do drugiej. To jednak trzeba przyznać, że po katedrach *officium divinum* (odmawianie brewiarza) odbywa się regularnie, a śpiew chórowy, wzmocniony miłemi głosikami chłopców (*niños de coro*), jest wcale dobry, tylko może trochę za prędki.

Duchowieństwo hiszpańskie, którego liczba według konkordatu, ma wynosić 50.094 osób, jest w ogólności moralne i sumienne. Zarzuciłoby mu chyba można, że w kazaniach mniej kładzie wagi na gruntowny wykład nauki wiary i obyczajów, niż na polot krasomówczy⁴; a nauczanie katechizmu w szkołach ludowych powierza całkowicie nauczycielom, zadowalniając się samym nadzorem; czego ten jest skutek, że

¹ Są to: *deán*, *arcipreste*, *arcediano*, *chantre*, *maestrescuela*.

² To jest *magistral* (kaznodzieja w pewne święta), *doctoral* (advokat księży), *lectoral* (wykładający Pismo św.) i *penitenciario*.

³ Art. XIII, XVI, XVII, XVIII.

⁴ Pisze ks. Rolei (*Reisebriefe aus Spanien und Marocco*), że prawie w każdym kazaniu hiszpańskim można usłyszeć frazes: *España eminentemente católica*, który dziś, niestety, już nie jest ze wszech miar prawdziwy.

przy lichym stanie szkół nieznajomość religii, zwłaszcza w sferach niższych, ma być znaczną. Kazania i katechizacye w kościele należą wyłącznie do proboszczów, których mianuje rząd z pośród terna, jakie na podstawie konkursu przedkładają biskupi; do wskazanych zaś należą inne funkcyje kościelne. Jedni i drudzy są po większej części ubogimi, bo płaca proboszczów pierwszej klasy nie przenosi — po wytrąceniu podatków — tysiąca franków, proboszczów trzeciej klasy pięciuset franków; a przy wielkiem ubóstwie ludu t. z. *jura stolae* i ofiary *pie de altar* nie dają prawie żadnych dochodów. Nędzniejszym jeszcze jest położenie wikarych, którzy nieraz muszą czekać długo na lichą posadę. Pierw wielu z nich odbywa studia teologiczne o własnym koszcie, bo rząd, zawsze skąpy dla Kościoła i walczący z deficytem, wyznacza dla seminariów niewielki ryczałt i pewną liczbę stypendyów dla biedniejszych alumnów¹. Nie też dziwnego, że szeregi kleru parafialnego zaczynają się przerzedzać.

Mimo ubóstwa, księża w Hiszpanii przestrzegają ściśle przyzwoitości kapłańskiej, i chodzą zawsze w sutannach; a jeżeliby szukał na nich jakiej plamy, znalazłbym chyba tę, że namiętnie palą tytoń. Ale snadź ten nałóg grasuje oddawna, skoro już Urban VIII w r. 1634 zakazał go pod klątwą w dyecezyi sewilskiej — rozumie się, bezskutecznie. Przydałoby się im również więcej oglady towarzyskiej i wykształcenia humanitarnego, żeby mogli wpływać na warstwy wyższe, dziś prawie dla nich niedostępne; ale o to niełatwo w małych seminariach, gdzie nauki gimnazyalne (*latin y humanidades*) trwają zaledwie trzy lub cztery lata. Za to ci, którzy w t. z. *seminario conciliar* przechodzą *carera lata*, to jest, kurs dłuższy (trzy lata filozofii, cztery lata teologii, dwa lata prawa kanonicznego), nabywają głębszej wiedzy w tychże umiejętnościach.

¹ Ks. Rolef widział w Barcelonie dwóch alumnów, którzy posługując w klasztorach, uczyli się wieczorem teologii i zbierali grosz do grosza, aby przynajmniej dwa lata obowiązkowe przebyć w seminarjum. Na seminarjum barcelońskie wydaje rząd rocznie 4000 duros, t. j. 20,000 franków.

Studia wyższe, z prawem nadawania stopni akademickich w teologii, w prawie kanonicznym, istnieją w t. z. *seminario conciliar central* w Toledzie, Santiago, Granadzie i Walencji¹.

Klasztorów było w Hiszpanii około r. 1833 niemniej jak 3027, a w nich 81.279 zakonników i 25.616 zakonnic²; ale burze rewolucyjne, co po kilkakroć szalały tamże w XIX w., wypróżniły klasztory męskie, a nie małe krzywdy zadały żeńskim. Za rządów Izabelli II i Alfonsa XII, pozwolono wrócić niektórym zakonom męskim, z tem atoli zastrzeżeniem, by przygotowywały misyonarzy dla kolonij; a dziś mają one znakomite zakłady misyjne lub wychowawcze, jak np. Franciszkanie w Santiago, Benedyktyni na Montserracie, Augustyanie w Eskorialu, Jezuiti w Walladolid, Manresie, Chamartin pod Madrytem, Pijarzy w kilkudziesięciu miejscach. Więcej nierównie jest zakonnic, przeważnie klauzurowych, lubo pod tym względem Hiszpania nie może mierzyć się z Francją, gdzie przeszło stutysięczny zastęp Bożych robotnic uwija się na rozległym polu nędzy ludzkiej i cichego apostołstwa.

Z świetnej przeszłości religijnej pozostał wreszcie spory zapas wiary i pobożności. Jest tam jeszcze we zwyczaju słuchanie Mszy św. w dniu święte, i rzadko który Hiszpan zaniedbuje tego obowiązku. Także i w dniu powszednie widziałem po kościołach gromadki mężczyzn i kobiet, stojących poważnie, lub klęczących na gołej posadzce czy też na rogóźnie, i odmawiających najczęściej różaniec. Jest tam uczęszczanie do Sakramentów śś., zwłaszcza w większe uroczystości, gdzie dla bractw i stowarzyszeń urządzą komunie generalne. Tu i owdzie zaprowadzono nocną adorację Najśw. Sakramentu, w której sami mężczyźni biorą udział. W czasie wielkanocnym chyba tylko masoni, anarchiści i bandyci nie przystępują do Stołu Pańskiego. Jest tam nabożeństwo do Najśw. Panny, czczonej powszechnie jako *Patrona de España y sus Indias*. Rzec nawet mogę, że to nabożeństwo jest dla ludu hiszpań-

¹ Na podstawie dekretu z 21 maja 1852.

² „Encyklopedia kościelna“ ks. Nowodworskiego, art. „Hiszpania“.

skiego, jak niemniej dla włoskiego i francuskiego, najpotężniejszą zaporą przeciw wzbierającym falom niedowiarstwa ¹. Jest tam przywiązanie do Stolicy św., czego dowodem wielkie pielgrzymki narodowe do Rzymu w latach: 1871, 1876, 1877, 1888 i t. d. Na jubileusz kapłański Ojca św. Leona XIII przysłała Hiszpania piękne dary, a między tymi płody pięciuset współczesnych uczonych i literatów. Kiedy zaś w r. 1889 rozszła się pogłoska, że Leon XIII myśli o przeniesieniu swej Stolicy do Hiszpanii, w wielu dziennikach i radach miejskich tegoż kraju odezwały się głosy pełne zapału i pietyzmu, a w Sewilli uchwalono nawet wysłać do Rzymu zaproszenie. Ale rząd br. Sagasty wystąpił przeciw tym manifestacyom katolickim; co gorsza, pozwolił wydawać i obnosić po ulicach ohydne karykatury, ubliżające bezczelnie papieżowi i kardynałom.

Niestety, nie brak tam żywiołów religii wrogich. Już w wieku XVIII prądy złe poczęły się wciskać za Pireneje, mianowicie jansenizm i wolteryanizm z Francyi, deizm z Anglii, febronianizm i racjonalizm z Niemiec; a wnet po r. 1726 powstały pierwsze loże masonskie, jako nader czynne rozsiwniki idei antyreligijnych i rewolucyjnych. Dziełem wolnomularzy i t. z. *Comuneros* czyli Karbonaryuszów, były wybuchy w r. 1820—1823, nacechowane dziłą nienawiścią religii i Kościoła, za którymi poszły orgie radykalizmu w latach 1835—1843, 1854—1855, 1868—1874 ². W nowszych czasach wzrosła znaczna liczba łóż, tak, że kiedy w r. 1878 pismo masonskie *Chaîne d'union* narachowało ich tamże 398 z 28.500 adeptami — to według kalendarza masonskiego z r. 1889 (*Kalender für Freimaurer auf das Jahr 1889*), było w tymże roku 621 łóż i do 60.000 „braci“ ³. Snadź wielką jest ich potęgą, skoro już

¹ Istnieje też w Hiszpanii stowarzyszenie, którego członkowie odwiedzają kolejno obrazy Najśw. Panny, łaskami słynące, i naksztalt dworzan składają hołdy swej Królowej.

² Czyt. „Pius IX i Jego Pontyfikat“ l. c.

³ Mianowicie istnieją tam trzy ogniska masonskie: I. *Gran Oriente Nacional de España* z r. 1780, z najwyższą radą utworzoną r. 1808, należy

Alfonsowi XII, a potem królowej rejentce narzucili ministerstwo masonskie, z W. Mistrzem Wielkiego Wschodu hiszpańskiego, Don Praxedes Mateo Sagasta, na czele; a większą jeszcze jest przebiegłość, z jaką przy pomocy dzienników¹, szkół i całej machiny rządowej zapuszczają jad niedowiarstwa w serce narodu. Ich robota nie jest bezskuteczną, jak bowiem mi mówiono i jak to sam spostrzegłem, w sferach wykształconych rozpościera się coraz więcej indyferentyzm religijny, pełen uprzedzeń i niechęci względem Kościoła.

Na niższe warstwy działa rozkładowo socyalizm; a dzięki tej propagandzie nie brak po większych miastach anarchistów, gotowych na lada hasło rzucić się na kościoły i księży, jak tego dowiodły świeże zaburzenia w Walencji. Co gorsza, nawet pośród ludu wiejskiego przyjmują się złe prądy, mianowicie zaś gwałcenie świąt staje się tam częstszem; wszakże sam w okolicy miasta Valladolid widziałem rolników, młóących zboże w niedzielę przed południem. Krom tego po wsiach ma być dużo ciemnoty, za co winą spada w pewnej części na duchowieństwo, iż za mało pracy poświęca nauczaniu katechizmu. Słowem, stan religijny w Hiszpanii pogorszył się w XIX wieku, a reakcyja przeciw złemu nie jest tak silną, jak np. we Francyi lub w Belgii.

II. Pod względem politycznym panuje tam opłakania godne rozdwojenie, wywodzące, jak wiadomo, ztąd swój początek, że Ferdynand VII usunął prawo salickie, zaprowadzone przez Filipa V (r. 1713), aby zapewnić tron córce swojej Izabelli. Po jego śmierci (29 wrz. 1833) obwołano trzyletnie dziecko królową Hiszpanii, pod rejencyą Maryi Krystyny; ale i Don Karlos, brat Ferdynanda VII, przyjął tytuł królewski, co wywołało srogą wojnę domową. Ponieważ przy Izabelli II stanęło stronnictwo liberalne, a przy Don Karlosie konserwaty-

do niego 216 łóż; II. *Gran Oriente de España*, założony r. 1868, a liczący 33 łóż kapitulne i 347 łóż zwyczajnych; III. *Gran Logia Simbolica Independiente Española in Sevilla*, założona w r. 1881, a licząca 25 łóż (*Przegląd Powszechny*. Kwiecień 1890, str. 147).

¹ Najgorsze dzienniki są: *El Globo* i *El Motín*.

wne — przeto nawet co do zasad podzielił się naród na dwa obozy, które dotąd stoją wrogo naprzeciw siebie. Karliści ulegli wprawdzie na polu bitwy w r. 1839 i ponownie w r. 1876; mimo to Karlizm nie zaginał, bo jest sztandarem, pod którym skupiają się nietylko zwolennicy legitymizmu, ale także obrońcy religii i zasad konserwatywnych, mając, jako hasło: Za Boga, króla i ojczyznę. Ostatni pretendent, a wnuk pierwszego, pociągnął do siebie prawie całe duchowieństwo i wielu dobrych katolików; późniejszym atoli postępowaniem, nie licującym z poprzednimi manifestami, zraził sobie część swego stronnictwa, która też wypowiedziała mu posłuszeństwo¹, acz nie porzuciła swej chorągwi. Są to t. zw. *integros*, czyli nieprzejednani przeciwnicy liberalizmu i moderantyzmu, nie wchodzący w kompromis z przeciwnikami — co więcej, głoszący śmiało, że kto nie jest Karlistą, ten nie może być dobrym katolikiem. Przewodniczy im Ramon Nocedal, syn byłego ministra, a redaktor dziennika *El siglo futuro*²; obok niego najsłynniejsze ma imię ks. Sarda y Salvany, autor dzieła *El liberalismo es pecado*, które wiele wrzawy narobiło. Do tego odłamu należy wielka część niższego duchowieństwa i bierze zbyt gorący udział w walce, tak że w r. 1888 biskup madrycki Sancha y Hervas musiał klerowi swemu zakazać mieszać się do agitacji politycznych, a w jego ślady poszli arcybiskupi z Granady i Santiago. Drugi odłam pozostał wiernym Don Karlosowi; głównym zaś organem tegoż jest *Correo de Barcelona*.

Stronnictwo Alfonsistów, czyli przyjaciół dynastyi, składa z mieszańców, z katolików liberalnych i fuzyonistów. Mieszańcy (*mestizos*) są to katolicy, którzy opuścili obóz karlistowski a przeszli na stronę Alfonsa XII, nie wypierając się zresztą swoich zasad. Ich koryfeuszem jest markiz Pidal y Mon, były minister oświaty — ich dziennikami *La Union cattolica* i *La Fé*. W ostatnich czasach rośnie to stronnictwo, dzięki mądrej polityce rejentki Maryi Krystyny i pojednawczemu działaniu bi-

¹ Ich sympatye zwróciły się do syna Don Karlosa, Don Jaime.

² Pismem z 15 kwietnia 1885 naganil Leon XIII ten dziennik za zbyt śmiałe zdania. Ramon Nocedal poddał się temu wyrokowi.

skupów, którzy stoją przy tronie, acz nie pochwalają systemu rządowego.

Katolicy liberalni (*conservadores*) chcieliby pogodzić zasady katolickie z liberalizmem, i podobnie jak dawniejsi *Moderados*, wywieszają banderę moderantyzmu. Ich chorążym jest Canovas del Castillo, ten sam, który Alfonsowi XII kazał ogłosić się „katolickim, jak jego przodkowie, a liberalnym, jak wiek obecny“. Po wyniesieniu na tron Alfonsa XII utworzył on ministerstwo konserwatywno-liberalne, ale musiał ustąpić przed naciskiem liberałów; a po śmierci tegoż króla sam poradził królowej rejentce, aby ster skolatanej nawy państwowej złożyła w ręce masona Sagasty.

Fuzyoniści są to liberalni różnych odcieni, którzy za wpływem masoneryi połączyli się w jeden hufiec, by walczyć z obozem katolickim. Na ich czele stoi Don Praxedes Mateo Sagasta, przed r. 1881 W. Mistrz W. Wschodu hiszpańskiego, obecnie prezes gabinetu. Popierają oni dynastję, ale pod warunkiem, aby według woli łóż mogli rządzić Hiszpanią; co też rzeczywiście ma miejsce. Lewe czyli skrajne skrzydło liberałów tworzą t. zw. *isquierdistas*, domagający się rewizyi konstytucyi, ślubów cywilnych i powszechnego głosowania; a ich wodzami są Herrera Posada, Martos i Montero Rias.

Trzecią wreszcie grupę stanowią republikanie, którzy dążą do zaprowadzenia rzeczypospolitej na półwyspie iberyjskim, z tą różnicą, że jedni chcieliby ją mieć umiarkowaną, inni radykalną. Po abdykacyi Amadeusza (1873) przyszli oni do rządów, mając na czele Pi y Margall'a, Figueras'a, Mik. Salmerona i Castelara¹; ale ówczesna „republika federacyjna i demokratyczna“ niedługo miała żywot. Dziś stronnictwem republikańskim, nie tyle licznem, ile ruchliwem, kieruje głównie Ruiz Zorilla, przesiadujący za granicą. Najskrajniejszy odcień tworzą socjaliści i anarchiści, którzy już w r. 1873 ogłosili

¹ Główni koryfeusze stronnictwa liberalnego i republikańskiego, jak Sagasto, Montejo Robledo, Romero Ortiz, Montero Rias, Zorilla, Castellar i t. d. należą do łóż.

„republikę Murcyi“, wzięwszy sobie za ideał komunę paryską¹. Z ich to łona wyszła banda „Czarnej ręki“, wslawiona tylu zbrodniami w latach 1883 i 1884.

Stronnictwa te walczą z sobą zaciekle, czy to na arenie politycznej, czy w pismach i dziennikach; cóż więc dziwnego, że nieszczęśliwy naród, mając w swoim wnętrzu tyle wulkanów, nie może przyjść do równowagi i pokoju. Sami Hiszpanie widzą w tem jakby klątwę Bożą, i chętnie opowiadają cudzoziemcom następującą anekdotę: Pewnego razu stanął św. Jakób W. przed tronem Bożym, i tak się modlił: Proszę Cię, Panie Boże, za tym narodem, nad którym opiekę mi powierzyłeś, by miał niebo piękne i ziemię urodzajną“. I rzekł Bóg: „Niech się stanie“. „Proszę Cię Panie, — mówił dalej Apostoł — by jego niewiasty odznaczały się cnotą i wdziękiem“. I rzekł Bóg: „Niech się stanie“. „Proszę Cię, — błagał wreszcie św. Patron — by lud hiszpański był zgodny i cieszył się zawsze dobrym rządem“. „Na to już nie pozwolę, — tak brzmiała odpowiedź Najwyższego — inaczej Hiszpania stałaby się rajem, dla którego Aniołowie opuściliby niebo“.

Rzeczywiście, Hiszpanom brakuje nietylko zgody, ale i dobrego rządu; na domiar złego stronnictwo liberalne, które dziś opanowało ster państwa, na to tylko używa swej przewagi, by większe jeszcze wprowadzać rozsprzężenie. Nieład w administracyi i sądownictwie ma być wielki; do tego ciało urzędnicze toczy, podobnie jak w Rosyi, skir przekupstwa. W wojsku znać wprawdzie więcej karności, niż przedtem, kiedy to lada sierżant wywoływał *pronunciamiento*; za to jenerałowie, których jest więcej, niż potrzeba, bawią się zanadto w politykę,

III. Pod względem naukowym, naród hiszpański, zajęty w wiekach średnich długą i uporczywą walką z Maurami, dał się wyprzedzić innym narodom; wnet atoli po pogromie półksiężycza zakwitły tam umiejętności filozoficzne i teologiczne podczas gdy na polu literatury świeckiej zjawili się tacy pi-

¹ Czyt. „Pius IX i Jego Pontyfikat“, tom III, str. 85.

sarze jak Miguel de Cervantes, Lope de Vega i Calderon de la Barca. W wieku XVIII i w pierwszej połowie XIX leżało to pole znowu odlogiem; dopiero gdy ucichł szczech oręża, a po zamieszkach rewolucyjnych chwilowy nastał pokój, podniosło się życie naukowe, którego ogniskami są już to uniwersytety, już akademie: historii, umiejętności, języka, moralności i sztuk pięknych, istniejące w Madrycie. Najwięcej ruchu widać w dziedzinie historii, najmniej w naukach ścisłych¹; upadła też filozofia po szkołach świeckich, stawszy się hołdowniczką pozytywizmu i darwinizmu. Natomiast wymowa jest tam zawsze we czei i ma za główną widownię parlament, a jako wybitnych campeadorów: Pidala z konserwatywnego i Castelara z liberalnego obozu. Pośród nowszych kaznodziejów wielkiej sławy używa O. de Mon, Jezuita. Nie ustalo tam również bić źródło kastalskie; wszakże niedawno temu uwieńczono uroczyscie poetę Don José Zorilla, śpiewaka rycerskich bojów pod Granadą.

Co do zakładów naukowych, rozwojowi uniwersytetów przeszkadza brak wyrobionych profesorów, niedostateczne przygotowanie uczniów i — za długie wakacye². Obejmują one pięć wydziałów świeckich (*Facultad de ciencias, de derecho, de filosofia y letras, de medicina, de farmacia*), a nie mają fakultetu teologicznego; natomiast istnieją cztery seminaria centralne z wyższymi studjami i z prawem nadawania stopni, nadto każda diecezya ma swoje *seminario conciliar*. Jakim jest ich poziom naukowy, powiedzieliśmy gdzieindziej.

Gimnazya, utrzymywane jużto przez rząd jużto przez duchowieństwo świeckie lub zakonne, nie stoją zbyt wysoko. Wprawdzie przedmioty wykładowe są mniej więcej te same co u nas, z tą różnicą, że zamiast języka greckiego uczą tam francuskiego lub angielskiego³, a nadto retoryki, poetyki i agrykultury⁴; ponieważ jednak nauka łaciny, historii po-

¹ O muzeum antropologicznem, założonem przez Don Pedro Velasco, pisze obszernie Ad. Pawiński w dziełku „Hiszpania“, t. II, str. 155.

² O wykładach uniwersyteckich w Hiszpanii pisze Ad. Pawiński l. c.

³ Jeden z tychże jest obowiązkowym.

⁴ Tak przynajmniej w *Instituto provincial* w Tarragonie.

wszechnej, fizyki i t. d. trwa tylko dwa lata (po 1½ godziny dziennie), — ponieważ uczeń nie jest obowiązany uczęszczać na wykłady lat ośm, jak u nas, lecz może je wysłuchać na krótszym nierównie czasie, — ponieważ wreszcie egzamin ostatni na *bachillera* (jakby nasz egzamin dojrzałości) jest dosyć miękki; przeto nie dziwnego, że wielu uczniów przechodzi na uniwersytet z lichem wykształceniem i w młodym stosunkowo wieku. Konsekwentnie można w Hiszpanii spotkać adwokatów i lekarzy, którzy ledwie dwadzieścia lat życia skończyli, a jeden z profesorów madryckich, Don Menendez Pelayo, już w 23 roku zasiadł na katedrze uniwersyteckiej.

W ogólności niema tam hiperprodukcji ludzi wszechstronnie wykształconych, a szczególnie uderza brak znajomości obcych języków. W Burgos np. w hotelu *de Paris* sama tylko właścicielka umiała po francusku; co więcej, kiedym na stacyi granicznej w Irun zagadnął w tym języku kasyera kolejowego, odpowiedział mi: *Non hablo francés*; a podobnych kolizyj byłoby zaszło niemało, gdybym był w kraju nie nauczył się trochę po hiszpańsku. Zato trzeba pochwalić Hiszpanów za ich przywiązanie do mowy ojczystej; ale bo też mowa to piękna, poważna i bogata, lubo nie tak dźwięczna jak włoska¹. Góruje — rozumie się — *la lengua castellana*; ale w Galicji uprawiają także narzecze *gallego*, w Katalonii narzecze katalońskie.

W nowszych czasach krążąją się tam więcej około podniesienia nauk i piśmiennictwa; zato stan wychowania ludowego ma być opłakany, bo płaca nauczycieli wiejskich wynosi zaledwie 250 franków, a i tej mizeroty nie chce rząd dawać regularnie — tak, że roku zeszłego nauczyciele pewnej okolicy zrobili streik i pozamykali izby szkolne. Jakoż liczba analfa-

¹ Hiszpanie lubią opowiadać, że Pan Bóg mówił do pierwszych rodziców po hiszpańsku, wąż kusił Ewę po włosku, a pierwsi rodzice wymawiali się przed Bogiem po francusku. Znanem jest także słowo Karola V: „Do Boga mówię po hiszpańsku, z kobietami po włosku, z przyjaciółmi po francusku, z gęsiami i ptakami po angielsku, z żołnierzami po niemiecku, z djabłem po czesku“.

betów ma być większą niż gdzieindziej, a w niektórych prowincjach, jak np. w Andaluzji, ledwie dwóch lub trzech mieszkańców na sto umie czytać i pisać.

O sztuce hiszpańskiej powiedzieliśmy wyżej, że w drugiej połowie XIX wieku znakomite robi postępy. Do słynniejszych malarzy tej epoki należą: Rosales († 1873), Fortuny († 1874), Manrata, Ferrant, Hernandez, Martinez Cubells, Dominguez, Madrazo, Degrain, Casado, Vera, Pradilla i t. p.

IV. Pod względem ekonomicznym i społecznym możnaby zaznaczyć więcej stron ujemnych, niż dodatnich. Już wiek największego rozkwitu, czyli XVI, przyniósł z sobą zarody materialnego upadku, a sprowadziło takowy nie tylko wypędzenie Maurów, jak twierdzą niektórzy historycy, ale także inne czynniki, mianowicie ciągle wojny i odkrycie Ameryki. Wprawdzie wojny przymnażały sławy i zdobyczy, ale zato dzieśiatkowały ludność. Podobnie nowo nabyte kolonie słały swe złoto w dani ziemi macierzystej, ale wyciągały z niej najtęższych mieszkańców, tych zaś, którzy pozostawali, odzwyczajały od twardej pracy. A takiej pracy wymaga sama konfiguracja kraju. W dolinach andaluzyjskich i nad morzem są pasy żyzne i sposobne do uprawy; tam też wegetacja jest bardzo bujną, zwłaszcza, że po Arabach pozostały dobre środki nawodnienia; ale cały środek zajmuje taras skalisty, poprzerzynany pasmami nagich gór, a mający mało ziemi, mało drzew i mało wody. Do tego klimat w górach jest bardzo nierówny, bo w zimie panują ostre mrozy, w lecie mocne upały. Rzadkie też tam wioski i miasta, tak, że w Kastylii, nawet w pobliżu Madrytu, są okolice, gdzie na jeden kwadratowy kilometr przypada ledwie 10—20 mieszkańców. Podobnie rzecz się ma w Manchy i Estramadurze, słynnych z rozległych pastwisk¹.

Ponieważ ziemia stosunkowo mało wydaje, handel podupadł, przemysł — z wyjątkiem Katalonii — jest słabo rozwinięty; przeto dziwić się nie można, że w Hiszpanii niewielu

¹ Stada po 1000 owiec prowadzą w lecie z południa na północ t. zw. *rabadanes* pod nadzorem *mayorala*.

jest bogatych, a zato mnóstwo biedaków. Jedni z tychże emigrują do południowej Ameryki — i to jest główną przyczyną nader słabego wzrostu ludności¹; inni wyciągają rękę po jałmużnę — i rzecz mogę, że Hiszpania, podobnie jak nasza Galicya, a niemniej Włochy, jest klasyczną ziemią żebraków, odznaczających się niezwykłym natężeniem. Kiedy w r. 1883 przyjechał do Madrytu pruski następca tronu, otrzymał nie więcej ni mniej tylko dwa tysiące próśb o zapomogę²; za mego zaś pobytu wybuchła w madryckim domu przytułku rewolucya, bo żebracy pierw zakwaterowani nie chcieli przyjąć świeżej partyi przybyszów, pod pozorem, że niema dla nich miejsca. Inni radzą sobie w sposób niezbyt uczciwy. Przekupki np. podsuwają chętnie fałszywą monetę, jak się to mnie samemu po dwakroć przydarzyło. Trzeba zatem mieć się na baczności, i naśladując Hiszpanów, każdą pesetę próbować na bruku, bo kursuje tam wiele blaszanych i mosiężnych srebrników. Kupcy lubią wyzyskiwać cudzoziemców i targują się, jak nasi żydzi. Właściciele hoteli umieją solić rachunek, a czasem nawet urzędnikom kolejowym przytrafia się pomyłka w dodawaniu.

Są i tacy, co się puszczają na rzemiosło zbójckie. Przed kilku laty grasowała tam, zwłaszcza na południu, banda „Czarnej ręki“, dopuszczając się nie tylko rabunków, ale i morderstw; wówczas to napadano na hotele po miastach i zatrzymywano pociągi między stacyami. Rząd podwoił posterunki żandarmów, i nakazał eskortować każdy pociąg, co do dzisiaj się dzieje; mimo to panowie *salteadores de caminos* dają czasami znać o sobie. Właśnie kiedy bawiłem w Hiszpanii, siedmiu takich rycerzy, mając rzeźnika z la Minacya na czele, napadło wieczorem na notaryusza, który sprzedawszy bydło, wracał z pieniędzmi do domu. Od ich kul padł towarzysz tegoż, podczas gdy woźnica odniósł śmiertelną ranę; sam atoli notaryusz po-

¹ Przed r. 1876 było 16,835.506 mieszkańców, a dziś jest coś nad 17 milionów.

² Rolef. *Reisebriefe aus Spanien und Marocco*, str. 11.

walił z rewolweru herszta i ranił parę opryszków, poczem inni uciekli, ale na to tylko, aby wpaść w ręce straży. Do tej zbrodni popchnęła ich chęć używania; nie brak bowiem i za Pirenejami ludzi, którzy chcą dobrze żyć, a nie chcą pracować. Zapewne, że klimat gorący usposabia do próżnowania, ale i to prawda, że Hiszpanie zanadto lubią się bawić; jakoż walki byków, widowiska teatralne, wieczorne serenady i t. z. *tertulias*, kiermasze z tańcami narodowymi i okazałe pochody — oto ulubione ich zajęcia. Ton nadają tu kobiety. Wprawdzie poeci hiszpańscy piszą na ich cześć szumne dityramby, ale cudzoziemcy zarzucają im nie bez słuszności, że zamiast pilnować domowego ogniska, za wiele pokazują się na ulicy, gdzie młodsze rzucają zalotne spojrzenia i zapomocą wachlarzy prowadzą z wielbicielami tajemną rozmowę. Jeden z niedyskretnych synów Germanii żali się także, że prawie wszystkie malują sobie twarze; ale podobno ten grzeszek i w jego ojczyźnie się trafia. Zresztą o ich wdziękach i życiu domowem nie chcę wydawać zdania, uznając się niekompetentnym sędzią.

Najmilszą zabawą Hiszpanów jest walka byków. Stara ona bardzo, skoro już Ferdynand i Izabella przeciw niej występowali, a tak się zrosła z życiem narodu, że żadna siła ludzka nie zdoła jej wykorzenić. Już Pius V w r. 1567 wzbrowił pod kłatwą tych barbarzyńskich igrzysk, ale bez skutku; także Grzegorz XIII musiał złagodzić prawo swego poprzednika, inaczej cały naród byłby pozostał w ekskomunice. Dalej jeszcze poszedł Klemens VIII w r. 1596, bo określił warunki, pod którymi walka byków może być tolerowana; jedynie co do księży, dawny zakaz pozostał, i to pod karą suspensy. Dziś niema większego miasta, gdzieby nie było ogromnego amfiteatru; w Madrycie zaś odbywa się co niedziela popołudniu, jeżeli nie *corrida de toros*, tedy *corrida de novillos*, gdzie miasto starych rycerzy, to jest dorosłych byków, młode giermki występują na arenę. Olbrzymie plakaty zapowiadają tę walkę, a imię takiego Lagartijo lub Frascuelo¹ jest w ustach

¹ Są to nasławniejsi *espadas* naszych czasów. Mają oni ogromne dochody.

wszystkich, jakby jakiego zbawcy ojczyzny. Co więcej, podczas wystawy paryskiej hiszpańscy *chulos*, *picadores* i *espadus* popisywali się na polu Marsowem; a iż rząd francuski nie pozwolił na krwawe zapasy, przeto ich rodaczki, i to z wyższych rodów, wstawiały się — acz daremnie — do ministra Constansa, iżby zniósł ten zakaz! Rozumie się, że nie tylko noga nasza nie powstała w cyrku, ale w drodze zapytywałem, i to nie bez oburzenia, Hiszpanów, jak mogą ludzie cywilizowani, a do tego katolicy, upajać się aż do szału widokiem koni ginących, których wnętrzności snują się po piasku, i ludzi, narażających się na groźne niebezpieczeństwo śmierci, — bo przecież w jednym tylko roku 1889, nie mniej jak 28 *toreros* padło zabitych lub rannych pod nogami rozwścieklonych zwierząt¹.

Znaną wreszcie wadą Hiszpanów jest zarozumiałość i duma, która im każe lekceważyć inne narody. Szczególnie z góry patrzą na swoich sąsiadów z północy, acz wiele od nich biorą dobrego i złego.

Z drugiej strony trzeba oddać Hiszpanom tę sprawiedliwość, że w życiu religijnem odznaczają się gorącym nabożeństwem do Najśw. Panny, — w życiu rodzinnem wielką czcią dla rodziców, i wielkiem poszanowaniem dla kobiet, — w życiu towarzyskiem dziecinną prawie wesołością i serdeczną uprzejmością dla gości, — w życiu prywatnem wytrwałością w przedsięwzięciach i wstrzemięźliwością w jedzeniu i picu², — w życiu politycznem miłością ojczyzny i wiernością dla obranej raz chorągwi. Słowem — w ich charakterze, jak zresztą i u innych narodów, światło zlewa się z cieniem.

Ci co dłużej bawili w Hiszpanii, zaznaczają, że nie jestto już ten naród, który w wieku XVI tyłu i tak wielkich dzieł dokonał. Co więcej, jeden ze współziomków Bismarka podpisuje zdanie, wypowiedziane wrzekomo przez jakiegoś zakon-

¹ Ponieważ wypadki śmierci wśród tej walki nie są rzadkie, przeto przy cyrku jest kaplica, w której przed przedstawieniem zbierają się *toreros* na modlitwę, a podczas tegoż czeka kapłan z Najśw. Sakramentem (Rolef. *Reisebriefe aus Spanien und Marocco*, str. 4).

² Pijków prawie niema w Hiszpanii, chociaż wino jest tanie i mocne.

nika francuskiego, że rasa romańska znajduje się w stanie rozkładu, i że zadaniem rasy germańskiej, jako mającej wielki zasób sił i religijności, jest przeistoczyć i ożywić inne narody¹. Rzeczywiście, upadek narodów romańskich jest widoczny, zwłaszcza odkąd zaczęły pomiatać religią i sprzeniewierzać się swojej misji; nie rozpaczamy atoli o ich odrodzeniu się, jeżeli tylko zwrócą się do źródeł życia, wiecznie bijących w Kościele katolickim.

Ks. Dr. Józef Pelczar.

¹ Rolef l. c., 198.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z najnowszych powieści polskich.

Cokolwiek można i należałoby powiedzieć o wpływie, pożytkach i o wiele większych szkodach z czytania nowel i powieści, — to pewna, że bądźco bądź najwięcej one, jak gdzieindziej tak i u nas, chętnych znajdują czytelników, a wydawcy najlepszy na nich robią interes. Ztąd tyle „nowel“, „obrazków“, „szkiców“, jak grzybów po deszczu: ztąd ten potop tłustymi czcionkami, na grubym papierze wydawanych, gustownie zazwyczaj z zewnętrznej okładki przedstawiających się powieściowych zbiorów i zbiorków. A treść wewnętrzna, a myśl przewodnia, a zmysł obserwacyjny, a powieściopisarski talent?... Bez wątpienia znajdzie się czasem pod nowelistyczną skorupą myśl głębsza: są powieściopisarze-poeci, którzy umieją zagrać na strunach duszy i w górę, ku dobru i pięknu myśl za sobą unoszą, rzewnem, pocziwem uczuciem serdeczną łzę wycisną, a może i do spełnienia pocziwego jakiegoś czynu pobudzą, — ale iluż takich? ileż obok tych rzadkich pereł, najprostszej, często wstrętnej tandety. — ile szkodliwej trucizny, piękną nawet formą, nęcącą zewnętrzną barwą nie ocukrzonej!?

Trudno, niestety! mieć pretensyę, aby wszystkie, a choćby większa część wychodzących powieści wywierała wpływ prawdziwie uzacniający i uszlachetniający; ale czego żądać mamy wszelkie prawo, to aby powieść polska nie spełniała funkcji rozkładowej, gorsząc i podsycając złe namiętności; aby zewnętrzną swą fakturą nie klóciła się

z najskromniejszymi bodaj wymaganiami. Powieść, to przecież poezya, a już nie złymi i niedbałymi, ale:

mediocribus esse poetis

non di, non homines, non permisere columnae.

Cóż bogowie, coż ludzie, coż półki księgarskie mówią i świadczą o naszych powieściopisarzach-poetach? Mamy przed sobą wysoko piętrzący się stos, w różnobarwne okładki przybranych powieści i nowel z ostatnich miesięcy: roztwierać wszystkie z kolei przed naszymi czytelnikami, za wielki to byłby trud i za wielka a niepotrzebna nuda. Dla dania ogólnego wyobrażenia o dzisiejszej naszej powieści i kierunkach w niej panujących, wystarczy najzupełniej kilka lub choćby jeden przykład, okazujący główne drogi, któremi posuwają się mnogie zastępy nowelistów. Z umysłu nie wzięliśmy pod bliższą rozwałę najslawniejszych imion i utworów, nad innemi górujących i chodzących osobnemi szlakami; chodziło nam bowiem o scharakteryzowanie nie paru wodzów, nie paru błędnych lub na własną rękę walczących rycerzów, lecz owego gęstego tłumu, co — o istotnym talencie już nie wspominając — samą swą liczbą imponujący, zajął księgarskie półki, opanował fejletony, i wciska się niemal przemocą do salonów, gabinetów, przechodzi przez przedpokoje, nie omija studenckich pokoików i izdebek na poddaszu.

* * *

O niej. 2 tomy. Kraków 1887. **Żona.** Galerya sylwetek z natury. Warszawa 1889. **Majster do wszystkiego.** Kraków 1890. Przez *M. Gawalewicza.*

Jak przed paru laty w dwóch tomikach p. t. „O niej“ dał p. Gawalewicz szereg portretów ogólnie kobiecych: czcigodnych „babuni“, „porcelanowych lalek“, „ziemskich aniołów“, i choć w „Edeynie“ przebywających, to aż do zbytku nieanielskich aktorek, — tak następnie, zgrubsza poprzednio zarysowany obraz dokończając i cieniując, pokusił się o złożenie „małej“ — jak sam się skromnie wyraża — galeryi „żon“, kreślonych z natury. Mamy więc Astrę, co starą panną będąc, nie znała goryczy, a w zbyt późnem małżeństwie nie zaznała słodyczy ni razu; Kokoszkę, typ matki myślącej i żyjącej jedynie dla licznych swych dzieci; Trusię, wiecznie i aż nienaturalnie nieśmiałą, zaleknioną; krzyczącą na wszystkich i na wszystko Babę, o której przecież potulny mąż z pietyzmem powtarza: „Nie ma jak moja baba“, — a gdy go baba wyszturka, radby ją

za to wycalaował, gdyby się nie bał; włóczącą się Muszkę, o której włóczącym się, rozbawionem życiu wiedzą wszyscy, prócz jednego ślepego męża: namówioną kijem do małżeństwa Walentową i z kiejem na samym wstępie do nowego stanu się zapoznającą; Bziczka (w rodzaju żeńskim), co myśli tylko o tem, jak bawić się, śmiać się, tańczyć, a do pasji doprowadzić ją można, nazywając ją dzieckiem; zazdrosną Otellinę, we własną schwytaną pułapkę; i wreszcie idealną Mrówkę, dzień cały twardo pracującą; idealniejszą jeszcze młodą, piękną żonę wegetującego paralytyka, dla którego jedynie żyje, któremu każdą chwilę, każdą przyjemność z nadziemskim zaparciem się poświęca.

Do galeryi tej śmiało wejśćby mogła energiczna Tomira z trzeciego z kolei zbioru nowel: „Majster do wszystkiego“. Natomiast umieszczone również w tym zbioru „J. Zyg. Do.“, „Grajek z pod Kotwicy“, opowiadające smutki i zawody poetów i artystów, na inną — wbrew zwyczajowi p. Gawalewicza — pesymistyczną nastrojone są nutę. Czyżby salonowy ten nowelista wziął może do serca uczyniony sobie zarzut, że wyłącznie zna się na jedwabiach i aksamitach, a nie chcąc nikomu mącić miłego spokoju, niema odwagi spojrzeć oko w oko prawdzie życiowej? Naszem zdaniem zarzut ten tak przynajmniej sformułowany, niema racyi bytu i nie warto się nań oglądać: nie samym tylko pijanym Wojtkom i brudnym Kaśkom zjawiać się wolno przed fantazją i pod piórem powieściopisarza, — nie same tylko szynki i wszelkiego rodzaju rynsztoki mają przywilej, aby do nich czytelników wprowadzać. Nie to, że o salonach pisze, że pesymistą nie jest i styl ma gładki, zarzucić można p. Gawalewiczowi; ale jeżeli już co zarzucić, to raczej to, że wykwiśnięty styl niedość czasem błahość treści pokrywa, a salonowe i buduarowe życie równie nudne i codzienne w powieści, jak nudne i codzienne bywa w rzeczywistości. Realizm to do zbytku bodaj posunięty, któremu zresztą p. Gawalewicz z pewnością z zasady nie hołduje, ale do którego zmusza go, niestety! nieubłagany Moloch fejtetonowy! Tylko ten Moloch wymódzi mógł na utalentowanym autorze, że zdecydował się rzucić publiczności taką np. nic nie mówiącą „Głodną lwicę“, lub niemniej od niej znaną z tysiącznych reprodukcji, żadnym nowym rysem nie wzbogaconą „Otellinę“. Ale — uległszy z konieczności Molochowi — czy nie można się było przynajmniej obronić wydawcy i opuścić w książce np. owej „Otelliny“, lub widocznie również na kolanie skreślonej „Pani Hrabiny“?

Druty telegraficzne. Przez *Wincentego Kosiakiewicza*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890.

Utartym zwyczajem cały zbiór nowel, powiastek, a raczej może tylko rzuconych pospiesznie na papier szkiców do nowel i powiastek, nosi nazwę od pierwszej z rzędu: „Druty telegraficzne“. Wszystkie te powiastki — a w bardzo niewielkim tomiku, w którym nadomiar białego papieru wydawcy nie żalowali, liczymy ich aż 17 — pisane były widocznie dla chciwych fejletonowej strawy *Kuryerów* i *Kuryerków*, pospiesznie, na kolanie. Dość już na tę jednofejletonową i jednodniową literaturę napisano, dość nie szczędząc barw, zaznaczono, jak psuje ona zkądinądz rzeczywiste i obiecujące talenta; jeżeli jeszcze potrzebaby było dowodów na potwierdzenie tych zbyt słusznych krytyk i ostrzeżeń, to ostatni zbiór nowel autora „Janka“ mógłby posłużyć wybornie, jako aż do zbytku przekonywujący, namacalny argument. Napróżno tu szukać choćby jednej myśli głębszej, nowej, nowem światłem otoczonej; wszystkie te nowelki, to jakby stare i o dość pospolitej twarzy znajome, które tylko na ten raz w nieco odmienne sukienki się przybrały. Znamy dobrze i tego hrabiego, co o uczynionej obietnicy zapomina, i niewierną Leosię, i pocziwą Michałową, i niepoczciwych szweców, i biedną, naiwną Fräulein; prowincjonalnych dyrektorów i przysłowiową biedę klepiących aktorów. Każdemu z tych panów i pań ma się minowoli ochotę powiedzieć: „Miałem już przyjemność poznać!“ — w środku, jeżeli nie na początku każdej powiastki wyrywa się okrzyk słuchaczów Jowialskiego: „Znamy, znamy!“ Czytelnikom *Kuryerów*, którzy w pewnych odstępach te bajeczki czytają, można jeszcze od biedy powiedzieć: „A więc słuchajcie!“ — ale kazać komu, przymuszać biednego recenzenta do słuchania siedmnastu z rzędu dobrze znanych bajeczek, to już przestaje być jowialnem.

Pyłki, szkice i obrazki. Przez *Ursynę*. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1889.

„Pyłki“, dobry to, z całej bodaj książki najlepszy tytuł, bo dokładnie rzecz określa — i nikt do autora pretensyi mieć nie może, że nie daje lub co innego daje, niż obiecał. Pani Laura przed obiadem rozczuła się wspomnieniami młodocianej idylli; w czasie obiadu zupa jej smakuje, więc o idylli zapomina. Sędziwy staruszek rozmyśla — przez trzy stronnice — o minionych czasach; na czwartej stronie dowiadujemy się, że po tem rozmyślaniu nasz staruszek umarł; z tytułu: Ostatnie południe, dowiadujemy się, że owe rozmyślanie

niejsze miało w dzień, a nie w nocy, w południe, a nie przed ani popołudniem. Na Ujazdowie skoczki błaznują; poważnemu uczonemu przychodzi chwila zniechęcenia, w czasie której żałuje lub zdaje mu się, że żałuje, iż książkom życie poświęcił i szepcze: zapóźno! Do kawiarenki przychodzą goście na kawę i herbatę, przychodzą rano i wieczór, przychodzą codzień — jak z naciskiem i pewną tajemniczością p. Ursyn zapewnia. Jak z historią ludzi, podobnie zapoznaje nas p. Ursyn z historią kwiatów, drzew i roślin; w jednym z „pyłków“ oświadcza nam, że fijołek pachnie; w drugim, że liście bywają na drzewach, a potem zazwyczaj z drzew spadają... Szczęście jeszcze, że wszystko to istotnie „pyłki“, że żaden z tych szkiców — jeżeli szkicami nazwać je jeszcze wolno — nie przechodzi mniej więcej czterech stronnic druku.

A przecież p. Ursyn bez pewnego talentu nie jest; okazują to jasno dwa ostatnie obrazki: „Matka“ i „Ojciec“; — czemuż więc na takie nic nie znaczące i nic nie mówiące „pyłki“ czy „proszki“ talent ten tak nielitościwie dla samego siebie marnuje?

Nowele. Przez *Wiktora Gomulickiego*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1890.

Pierwsza z nowel, „Plama“, przedstawia spokojne, rzecby można, wesołe życie egoisty na egoistami, który wszystko i wszystkich do siebie kierował: łamał życie innych, byle samemu przykrości nie doznać, wysiłku nie zrobić, aż karę za to poniósł. Widział bezsilny, bronić się na łożu śmierci nie mogąc, jak go opuszczają i zdrażają ci, których w służbę swego egoizmu zaprzął; jak wszystkie tak misternie utkane i powiązane nici się rwą. Na dalszym planie, niby antyteza tej samolubnej postaci, występuje pracowity, energiczny przemysłowiec; występuje cicha a gospodarna jego żona, niegdyś przedmiot młodzieńczych, a przecież tylko samolubnych zapałów egoisty.

„Sąd ostateczny“, dość oryginalnie pomyślane a zgrabnie przeprowadzone opowiadanie, wprowadza nas w sam środek małomiejskiego życia. Z góry, nad Drzemalinem leżącej, wydawało się widzowi to miasteczko spokojne, wesołe, z kościami pocziwe; zeszedłszy na dół w brudne te uliczki, do ziemi schylające się domki, pełne przez noce całe handelki, dopiero z przerażeniem odkrywało się, ile w tem napozór idealnem miasteczku złego się gnieździ, ile pod cieniuchną maską kryje się niesprawiedliwości. Niektóre szczegóły

i obrazki z życia tu podpatrzone: takich Fitzków, Trąbkiewiczów, Węgorzów, Capenków i t. d., choć nie zawsze w tak karykaturalnych rozmiarach, posiada, niestety! nie jeden tylko Drzemalin; nie tylko w Drzemalinie miejscy tyrani „nie zmuszają do służby“ w ten sposób, w jaki burmistrz Capenko nie zmuszał biednej Petroneli; nietylko bodaj w Drzemalinie Fitzkowie żyją z plotek, ojcowie miasta nie myślą ani o latarniach, ani o przyrządach do ratowania w razie ognia... ale natomiast radzą nad upiększeniem swego grodu i — ulicę wiodącą w pole wykładają asfaltem... I „sądny dzień“ nie w jednym tylko Drzemalinie przydałby się!

Najmniej ciekawą i osobliwą jest „Historia osobliwa o malarzu Świstalskim“. Artystów, którzy mieli, a może zdawało się im, że mieli świetne chęci i porywy, a potem zeszli na lichych bazgraczów i talent w butelce zatapiają, mamy już bardzo liczną galeryę; zbyt to oklepamy, a tem samem niewdzięczny przedmiot. Niestety zdaje się — sądząc zwłaszcza po ostatniej tej powiastce — że utalentowany, niemałym darem obserwacyi obdarzony p. Gomulicki, zaprzedał się również — jak tyłu jego współtowarzyszów — w egipską niewolę fejletonu. Oby tylko ta niewola nie doprowadziła go z czasem do artystycznych zgryzot sumienia, widzeń i halucynacyj, którym podlegał biedny Świstalski!

Ona. Przez *M. Rodziewiczówną*. (Nowa Biblioteka Uniwersalna). Kraków. Księgarnia J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna. 1890.

Smutna to rzecz, gdy talent, który — zdawało się — świetnie się zapowiadał, raz zabłyśnawszy, gaśnie, a co gorsza, coraz bardziej marnieje, po pochyłości na dół szybko się toczy. Smutnego wrażenia doznać musieli wszyscy miłośnicy polskiej literatury, gdy panna Rodziewiczówna, zbyt bodaj wczesnie i za głośno rozsławiona, dała po „Dewajtysie“ arcyniesmaczne: „Między ustami a brzegiem puhara“, i jeszcze niesmacniejszy „Kwiat Lotosu“. Obecnie, czytając powieść „Ona“, smutne to wrażenie potęguje się, a może raczej w wesołe — ale nie na korzyść dla autorki — się zmienia; wyciska mimowoli pytanie: Jak dziś — w r. 1890 — podobna historia, z samych niepodobieństw i — przepraszamy za niegrzeczne wyrażenie — nie-dorzeczności utkana, mogła dostąpić zaszczytu druku; dlaczego p. Rodziewiczówna dopuściła, aby ją wydaniem tej powieści, pochodzącej prawdopodobnie z pensyonarskich jeszcze czasów, tak gruntownie a niemilośnie skompromitowano?

Co za zacz ta tajemnicza „Ona“? To biedna sierota, Kostusia, ideał wszelkiej doskonałości, wychowywana niby z łaski u wujostwa, ale która właściwie wujostwu robi największą łaskę, u nich gospodarząc, wszystkiego sama strzegąc, majątku zapobiegliwością swą przymnażając. Zalety te odkrywa młody, ognisty Sewer — i szybko zyskuje miłość sieroty. Ale Sewer ma ojczyma, p. Rudakowskiego, który mu najniesłuszniej w świecie zagrabił majątek; pragnąc ukochanej zapewnić kawałek chleba, postanawia majątek, a przynajmniej drobną jego częśćkę odzyskać. Ojczym nic oddać nie chce, choć Sewer prosi tylko o kawałek ziemi w matczynym majątku, na którym mógłby postawić chatkę i chleb czarny razem z Kostusią jeść. Na taką propozycję zgodziłby się chyba każdy ojczym; ten jeden się nie zgadza. Cóż ma zrobić energiczny, rozumny Sewer? Rzecz prosta, — odpowiada czytelnik — pojechać do adwokata, wytoczyć proces, którego wynik nie może wątpliwości ulegać, majątek odebrać. Otóż nie! Skrzywdzony rzuca się na ojczyma i bije go, dławi; przybiegają ludzie, krępują Sewera i na rozkaz pana zamykają w stęchłej piwnicy w pustym lamusie. W piwnicy tej więziony, głodzony i męczony jest nieszczęśliwy nie przez parę godzin, parę dni, ale kilka z rzędu tygodni; cała wieś, cała okolica wie i wiezieć o tem musi, ale nikt z pomocą lub skargą do najbliższego posterunku żandarmerji się nie rusza. Niepodobna zresztą, aby i żandarmi i choćby tylko wójt miejscowy — przypominamy, że rzecz dzieje się w Europie, w wieku XIX — wszystkich szczegółów najdokładniej nie znali, ale muszą być głusi i ślepi, bo inaczej powieść p. Rodziewiczówny urwałaby się w najefektowniejszym miejscu. Istotnie teraz dopiero następują awantury, wobec których błędniej awantury Robinzonów i Rinaldinich. Kostusia dowiaduje się o więzieniu ukochanego i wzięwszy ze sobą — dla przyzwoitości — starą mamkę, idzie go uwolnić ze szponów tyrana. Wyprawa ta udaje się lepiej i prędzej, niż w innych tego rodzaju bajeczkach; przed zakłętą księżniczką — chcielibyśmy powiedzieć, przed Kostusią — otwierają się bez najmniejszej, ale to bez najmniejszej trudności wszystkie rygle i bramy: para narzeczonych wychodzi spokojnie z lochów i ze wsi Rudakowskiego. Chwała Bogu — pomyśli czytelnik — dadzą teraz znać do sądu, pobiorą się — i koniec. Wcale nie koniec, bo Sewer w więzieniu zwaryował, a widać, że i Kostusia zwaryowała, bo zamiast odprowadzić go do jakiegoś przyjaznego domu lub do najbliższego szpitala, tłucze się z nim od wsi do wsi, od lasu do lasu,

szukając zarobku, służby, której naturalnie współ z waryatem znaleźć jej trudno. Osiadają wreszcie gdzieś w lesie, na straży, bo dziwną ślepotą ludzie na waryactwie Sewera się nie poznają; straż spełnia Kostusia w zastępstwie szaleńca, od ludzi daleko, od świata nieprzebytymi oczeretami, bagnami oddzieleni. Tu znowu kilka niemożliwych do uwierzenia przygód; Sewer umiera — i powieść się kończy.

W krótkim tem streszczeniu nie występują jeszcze dość na jaw wszystkie niemożliwości i niedorzeczności, z których cała opowieść ta sklecona; trzeba ją przeczytać, aby uwierzyć, że coś podobnego dziś w druku się pojawia. Jeżeli p. Rodziewiczówna ma jeszcze jaką podobną powieść w pensjonarskiej tece, niechże wydaje ją corychlej: tem mniej może znajdą w ten sposób czytelników poprzednie jej opowiadania o niepachnących kwiatach lotosu i puharach wstrętnemi mętami napełnionych.

Kochanek Małgosi. (Typy gatunkowe). Przez *Edwarda Lubowskiego*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890.

Stosownie do obietnicy kreśli p. Lubowski raczej typy „gatunkowe“, — jak je nieco oryginalnie nazywa — niż ludzi z krwią i kośćmi; typ ludzi ciągle się kochających, a nigdy nie kochających na seryo: wiecznie „z własnych popiołów odradzających się Faustów“, wieczystych kochanków Małgosi; pozornych pocziwców, że do rany ich przyłoż, a w gruncie złoczyńców, których najwłaściwsze miejsce byłoby w więzieniu, jeżeli już nie na szubienicy; „pokojowych wyźłów“, którzy „wietrzą, skradają się, wspinają na łapach, dopóki się czegoś od zagapionych lub przyzwyczajonych do tych skoków, schwycić nie da“; ludzi „gładkich“, zawsze grzecznych, niczem się nie zrażających, byle w walce o byt jeżeli nie siłą, to podstępem wyjść zwycięsko; kobiet na gwałt interesujących, oddających wszystko: i szczęście i miłość i honor na łup próżności bez miary i granic... Wogóle dość zręcznie i z dobrą myślą malowane to obrazki; niejedną, i nie można powiedzieć, aby nie zdrową podawały naukę. Czego tylko nie łatwo darować, — a w każdym razie trudno wyrozumieć — to tytułów, jakie p. Lubowski daje zbiorcom swych opowiadań. „Kochanek Małgosi“ mógłby jeszcze od biedy zostać, choć i ten tytuł, z całym zbiorkiem bardzo luźnie związany, a nawet do żadnej w szczególności noweli się nie odnosi; ale czemu nasz powieściopisarz wydany przed paru laty tomik ochrzcił nazwą: „Niemoralnych powieści“, kiedy — dzięki Bogu — tak bardzo znów niemoralnemi rze-

czywiście nie są? Czyżby tego rodzaju tytuły służyć miały do zwabiania żadnych pieprzniejszej strawy czytelników? W każdym razie tytuły te budzą niezdrową ciekawość, i słusznie czy niesłusznie wyglądają na arcyniemiłą reklamę, wobec której i najrozsądniejsze moralny, wypowiedziane na końcu każdego opowiadania, wiele tracą na sile.

Do światła, powieść z XV wieku. 1887. **Hanza**, powieść z XV wieku. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890. Przez *Wincen-
tego Rapackiego*.

P. Rapacki obrał sobie za specyalność powieści na tle historii polskiej w wiekach średnich. Myśl dobra, temat ze wszech miar ciekawy, obfity, pouczający, piórem powieściopisarza ledwie że od niechęcenia dotąd dotknięty; nie można zatem stawiać zbyt wysokich wymagań od autora, któremu bardzo niewiele na polu tem towarzyszy, i byle jakkolwiek z zadania się wywiązał, wiele można i należałoby mu wybaczyć. Niestety! P. Rapacki nie czyni zadość w średniowiecznych swych powieściach, już nietylko wygórowanym, ale najskromniejszym żądaniom. Równie wydano poprzednio powieść „Do światła“, jak „Hanza“ (przysiąc się musimy, że po przeczytaniu dwóch tych utworów, nie mieliśmy już odwagi zajrzeć do trzeciego: „Trefnisia“), są pod każdym względem nieudatne, aby silniejszego nie użyć wyrazu. Dziś nie wolno pisać historycznej powieści bez poprzednich studyów; nie wolno z paru, od przypadku i arcy niedokładnie zasłyszanych wiadomości o średniowiecznych rycerzach i zamkach, mnichach i alchemikach, torturach i więzieniach — tworzyć obrazu bez lokalnej barwy, bez życia, bez historycznej wierności; obrazu, którego cały efekt polega na kilku frazesach, ze starych encyklopedyj zaczerpniętych, i pewnej liczbie ponurych scen, mających na celu przerazić czytelnika, ale które do celu tego dążą w sposób tak naiwny, że nawet na niezupełnie dorosłych czytelników przerażającego wpływu wywrzeć chyba nie potrafią. Nadomiar złego, styl jest niekoniecznie poprawny, a nad wyraz nużący; sam układ powieści pretensjonalny, a przecież ani zaciekawiający, ani oryginalny. To też szczerze tylko życzyć można p. Rapackiemu, aby nadal na innej sferze działalność swą ograniczając, z historycznymi powieściami stanowczy wziął rozbrat.

Żydziak. Lwów. Nakładem Leona Pordesa. 1889. **Nowele i obrazki**. Kraków, Nakładem G. Gebethnera i Sp. 1889. Przez *Wilhelma Feldmana*.

Jeżeli wspominamy tu o powieściach p. Feldmana, to dlatego tylko, aby przestrzedz, że w żadnym porządnym, szanującym się

domu znajdować się nie powinny. P. Feldman występuje z dążnościami asymilacyjnymi; bardzo to pięknie — ale przede wszystkim niech w pismach swych nie obraża już nie tylko chrześcijańskiej, ale sądzimy, że i żydowskiej moralności; niech nie prowadzi praktycznie do morału, wyprowadzonego przez „Reb Łajbele“, który podobnie jak p. Feldman w żydostwo nie wierzy, a chrześcijańskiej cywilizacji znać nie chce: „najszcześniejszą jest świnia“. Jakim sposobem błotniste te, z pewnem wyraźnem zamiłowaniem błota kreślone utwory, doczekały się przed pewnym czasem arcyPOCHLEBnej wzmianki w krakowskiej *Nowej Reformie*; jakim sposobem i dla czego znana w kraju i szanowana firma księgarska uznała za stosowne do rozpowszechnienia tego błota się przyczynić, — to już pozostanie dla bliżej niewtajemniczonych nierozwiązalną zagadką.

Z boru i dworu. Przez *Jordana*. Warszawa. 1889.

Stary literat gęsim piórem stare dzieje spisuje: z dawnych borów i z dawnych dworów. Noweliści dzisiejsi, przykrawujący swe opowiadania, szkice i „pyłki“ wedle nowej mody, uśmiechnąć się muszą z naiwnych tych myśliwsko-szlacheckich przygód, które dziś, Bogiem a prawdą, miejsca mieć nie mogą, chyba w jakim szczęśliwym kącie, leżącym daleko poza kolejami, telegrafami i pocztami. Typ wracający tu, to szlachcie, nietroszczący się o majątek i pieniądze, a troszczący się o charty i zające; to myśliwiec ze starymi jak świat przechwałkami i anegdotami na ustach; to żyd arendarz, płaszczący się przed szlachcicem, a wyzyskujący go nielitościwie... „Komedia w podróży“ z Wilkońskim przypomina aż zbyt żywo podobne ramotki samegoż Wilkońskiego. Czy to wogóle dziś pisane rzeczy, czy tylko dzisiaj po kilkudziesięcioletnim odpoczynku z teki wyciągnięte? Bądźco bądź, choć sposób pisania przestarzały, ludzie, domy, życie jakieś tu nie dzisiejsze — to przecież bardziej swojskie i milsze, niż wiele, bardzo wiele ludzi i domów w innych, z większą wprawą, wedle dzisiejszej najświeższej mody skreślonych nowelek.

Własnymi oczyma. (Nowele). Przez *Nagodę*. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1889.

Nie próżna to przechwałka ten tytuł „Własnymi oczyma“, nie odnosi się on też do jednej w szczególności z 13 nowel w tomiku tym umieszczonych, ale do wszystkich razem; bo w każdej czuć, że autor widział typy i sceny przez siebie opisywane, gościć musiał nie-

raz w tych ukochanych sobie wiejskich dworach i miejskich pokojach; prześlizgiwać się musiał przez te wielkopańskie salony, do których nie czuje zapewne zbyt gorącej sympatii, ale też nie oczernia ich z zazdrosną zgryźliwością. Dwie córki w salonie państwa Dominików: rozsądna Minerwa, i podziwiana Wenus, — jedynastoletnia Minusia, wiedząca o „upalczeniu żaby i upazurzeniu kreta“, ale nie mająca wyobrażenia o Batorym i Jadwidze, — cały wreszcie opis modnego przyjęcia, jakaż to wyborna satyra na postępowe wychowanie i postępowe — kolacje. Czem pocziwy Izydor w nowelce: „Postąpiliśmy“, tem — w następem opowiadaniu — pocziwszy jeszcze „Optymista“, który i wtedy, gdy go umiłowana zdradziła, gdy całe życie mu się łamie, myśli o tem, jak biedniejszym i smutniejszym przyjść w pomoc; a gdy udało mu się z ciężko zarobionego grosza dopełnić uczynku miłosierdzia, powtarza swoje stereotypowe: „Jak to dobrze, jak to się dobrze stało!... bardzo jestem kontent“. Za tymi ciągnie się cały szereg niemniej rzewnych, własnymi oczyma podpatrzonych obrazków: wiernej aż do heroizmu nauczycielki, cichej, pracowitej, ale odrzucającej bez wahania się świetny los, bo kto wie jeszcze, czy pierwszy umiłowany nie powróci...; pocziwej, młodej służącej, co nie może się oswoić z myślą, że wigilii Bożego Narodzenia z rodziną nie przepędzi, że sama mieć będzie wszystkiego dostatkiem, gdy matka i rodzeństwo ledwie może chleba i trochę kartofli zakosztują...; z głodu ginącego nauczyciela muzyki, litującego się nad głodem ulubionego kanarka, — „biednego mego Jasia“; biedniejszej Stefki, co cudny swój warkocz sprzedawała — napróżno. Nie brak i weselszych typów: niedołęgi Bonusia (z takich Bonusiów większa armia od pruskiej dałaby się u nas złożyć); nawracającej się — na parę godzin — do gospodarstwa i domowego życia, rozbawianej i rozbawionej Dory; Oleńki i Kmicia, tylko tym razem z XIX wieku...

Wszystkie te obrazki, te typy pocziwe i jakieś swojskie, za serce chwytające; nieraz smutne, ale chorobliwym pesymizmem nie przesiąknięte: gdy wesołe, to wesołe po polsku, pocziwie; za śmiech, który wywołują, nikt nie potrzebuje się rumienić, — łyż przez nie wyciśnięte każdemu tylko chlubę przynoszą.

Czemuż tego rodzaju, podobne uczucia wzbudzające powieści i powiastki, tak są *rari nantes in gurgite vasto*?

Ks. Jan Badeni.

Romantycyzm i filozofia w „Dziadach“. Przez *Prawdostawa*.

Wśród mnóstwa większych i mniejszych przyczynków do literatury Mickiewiczowskiej, które się pojawiły w ostatnich czasach, jedna broszura odznacza się odrębnem stanowiskiem: podczas gdy inne starają się niemal wyłącznie przysporzyć danych historycznych, czy do życia Adama, czy do krytyki jego dzieł, ta bierze pod krytykę „Dziady“ z punktu filozoficznego.

„Teraźniejsza poezya polska zawiera w sobie zawiązki filozofii wysokiej“. Z tych słów Literatury Mickiewicza wychodząc, autor szuka, jaka myśl filozoficzna mogła wyłonić się w „Dziadach“ i dać im wewnętrzną organiczną jedność, której na drodze krytyki historycznej nie udało się jeszcze zupełnie osiągnąć. Tą myślą, jego zdaniem, nie jest ani teoria miłości, — jak chce Cybulski — ani mesyanizm polski, ani nic podobnego, ale całość prawdy życiowej, tak jak się w narodzie przejawia i w duszy wieszcza odbija. Słowami autora, jestto „cała harmonijna prawda wszechżyciowa, czuciem i wiarą pojęta, w której się objawia stosunek niewidzialnego świata z tym widzialnym, mającym wcielić w sobie przychodzący z tamtego mu wzór i ideał doskonałości ku swojemu pokojowi i szczęściu. Naród polski, w dziejach swoich zawsze wiarę w tę prawdę zatwierdzający i czuciem ku niej zwrócony, zostając pod wyraźnym wpływem mistycznego świata, dąży najwidoczniej do tego najwyższego ideału ludzkości: tak spełnia swe posłannictwo pomiędzy narodami. Jak się ta prawda budzi i rozwija w duchu wieszcza narodu, aby mu potem gwiazdą zaświecić; w jakiej czystości duszy naród musi się do jej przyjęcia usposobić, wieszcz na sobie samym wzór daje w pracy duchownej nad sobą. Przeto ten poemat za nic innego nie należy uważać, jak tylko za zwierciadło tej wewnętrznej wieszcza jaźni, która jednym duchem jest z narodem swym związana: a więc jest on także zwierciadłem, w którym się odbija wieszcz w narodzie i naród we wieszczu. Z tej zasady czucia i wiary w onę prawdę wychodząc, temi tory ma iść narodowa poezya, taki jej bieg twórca romantycyzmu tu zakreśliła, i około tego słońca ma się już obracać polskie natchnienie“.

Chcąc opowiedzieć, jak autor tę myśl w szczegółach przeprowadza, jak każdą z postaci, grających rolę w „Dziadach“, tłumaczy jako jeden z czynników tej syntezy narodowego życia — musielibyśmy chyba całą tę pracę, i tak już treściwą, powtórzyć. Poprzestaniemy na końcowem zebraniu, które sam autor podaje. „Zawiazką romanti-

cyzmu — mówi — jest sympatya w przeczuciu ideału. Ideał ten zjawia się najpierw, jako miłość, w której chce duch kosztować na ziemi rozkosze nieba. Lecz to jest błąd życia, gdyż na tym świecie ideał nie może być osiągnięty. Duchy przez wspólną pracę w narodzie mają go sobie tylko przybliżać, urzeczywistniając myśl Bożą na ziemi. Im który naród nosi w łonie swoim żywsze onego ideału poczucie, i wierniejszym mu się okazuje w swej historii, taki najpierwej stanie się wzorem moralnego wyrobu dla innych narodów; i w narodzie, który geniusz lepiej jego ideał pojął i w czystości ducha wcielił go w siebie, taki będzie miał przodnictwo w swym narodzie.

„W tem przedstawia się nam dualizm ideału i rzeczywistości, myśli i czynu, ducha i natury. Wskutek onego dualizmu wynurza się dwojakiego rodzaju błąd ducha w cywilizacyjnym postępie odnośnie do zrealizowania swego najwyższego ideału, błąd zawsze leżący w skrajności i ostateczności, która odchodzi od środkowej prawdy, albo się wyłącznie na stronę materyjalną przechylając, albo zbyt wysoko mierząc w stronę idealną. Choroby wieku, który przez swoją cywilizację zbacza z prostej drogi, mają być wyleczone przez powrót do zdrowej pierwotnej natury, jaka się zachowała u ludu, gdzie nauczyć się można równowagi życia. Jednakże lud w prostocie swojej naturalnej mądrości całej prawdy życiowej w jej pełni nie posiada; jego tradycje uzupełnione więc mają doskonałym objaśnieniem prawdy — w chrześcijaństwie; tu się bowiem znajduje ideał Boski wcielony; w dogmacie chrześcijańskiej wiary znajdujemy jak najściślejsze połączenie duchowego i wewnętrznego świata z zewnętrznym i cielesnym; tu prawda życia, pośrodku stojąca, do nieba prowadząc, stoi także pod opieką dobrych aniołów, błąd zaś tak w idealizmie, jako w zboczeniu na prawo, lecz właściwiej w materyjalizmie, jako w zboczeniu na lewo, jest pod panowaniem złych duchów ciemności. A jako się ma iść od cywilizacji wieku do mądrości ludu, szukając tu statecznej dla siebie podstawy, tak znowu ztąd ma się iść do chrześcijaństwa i ducha jego drogą widomego Kościoła. Ale Kościół, ile go ludzie stanowią, jak wyrobił w świecie średniowieczny idealizm, tak znów sam uległ poniekąd, zdaniem poety, jego materyalizmowi i zewnętrżności, przez jedno i drugie zamknął sobie drogę tak do istoty chrześcijańskiego ducha, jak też do istoty ludzkiej natury. Dlatego, by mógł skutecznie, jak powinien, przyczynić się do odrodzenia chrześcijańskiego świata, potrzebuje głębiej wnikać wewnątrz tak chrześcijaństwa, jak ludzkiej natury, aby na tej dwo-

jakiej naturalnej i nadnaturalnej głębokiej podstawie można zbudować trwałą gmach doskonałego społecznego ustroju“.

Trzeba by głębiej przestudować „Dziady“, niż je studyowałem, ażeby o tej oryginalnej i poważnej pracy stanowcze wypowiedzieć zdanie. Powiem tylko, że słuszność zdaje mi się mieć autor, kiedy myśl przewodnią i zbieżną „Dziadów“ nie w jakimś szczególe upatruje, ani w danej chwili dziejowej, ale w syntezie życia narodowego, w całym jego dziejowym rozwoju. Z tego względu ta myśl przewodnia jest prawdziwie filozoficzną. Ale ta filozofia narodu przejawiać się może w jej wieszczu, naturalnie, prawie instynktowo, niekoniecznie ze samowiedzą. Filozoficzna analiza może odkryć w częściach i pojedynczych postaciach tego poematu zasadnicze typy i złożyć je w doskonałą zbieżnię — choć poeta mógł o tem, przynajmniej w szczegółach, nie myśleć. To nie ujmuje wcale — może nawet dodaje — wartości tej analizy, ale zwracamy na to uwagę, bo autor zdaje mi się zanadto misterną kompozycyę podkładać poecie. W każdym razie autor, który się kryje pod pseudonimem Prawdosława, zdradza prawdziwie filozoficzny polot, połączony z literackiem czuciem, i radzi byśmy więcej plodów jego pióra oglądać.

Ks. M. M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La Sonate à Kreutzer. Par le Comte Léon Tolstoj.

Wśród tej powodzi powieści, z kraju i z zagranicy płynących, płytkich, banalnych, czasem powierzchownie zabawnych, zwykle śmiertelnie nudnych, zjawia się coś sterczącego ponad falą, z odrębną i wyrazistą fizyonomią — coś, w czem tkwi i rusza się myśl, chcąc się zpod powłoki powieściowej światu udzielić. Nic dziwnego, bo autorem tej powieści jest Leon Tolstoj.

Można o tem utworze różne wydać sądy. Niejednemu wyda się on utopijny, szalony. Słyszałem, że w Czechach został policyjnie zakazany: widocznie władze czeskie upatrzyły w nim albo jakąś polityczną dążność, której w nim wcale nie ma, albo jakąś straszną niemoralność, której również w nim nie znajdujemy. Ale nikt nie pomówi tej powieści o banalność, nikt jej nie przeczyta obojętnie.

Temat jej jest najprostszy jaki być może. Tolstoj, mianowicie od czasu swego zwrotu ku nowej religii, unika wszelkiego artyzmu; ale że sam jest artystą wielkim, a z siebie wyjść nie może, więc dzieje mu się jak Owidyuszowi, który cokolwiek próbował wypowiedzieć, — nawet gdy go rodzice bili za wierszowanie — mimowolnie w formę sztuki ubierał.

Quidquid tentabam dicere, versus erat.

Autor opowiada nam, jak sobie jedzie gdzieś koleją; szkicuje swym mistrzowskim rylcem podróźnych, którzy razem z nim siedzą, podsłuchuje ich rozmowy. Wkrótce wywiązuje się żywa dyskusya o małżeństwie, w której odznacza się zapalem i radykalnością poglądów jakiś mężczyzna nerwowy, o miłym i inteligentnem wejrzaniu. Dowodzi on, że miłość nie uświęca małżeństwa, — jak twierdziła pewna pani — ale że je niszczy i uniemożliwia. Wtem jakiś adwokat wtrąca rozmowę o głośnej sprawie Posdniszewa, który świeżo własną żonę zabił. Na to ów interesujący mężczyzna mieni się — i powiada: Ja jestem Posdniszew.

Po tem wyznaniu cisza — przy najbliższej stacyi wszyscy inni się przesiadają; zostaje autor sam z Posdniszewem. W rozmowie ten ostatni wywewnętrza się, opowiada swe życie — w tem jest cała powieść. Bieg tego życia znowu najpotoczniejszy. Posdniszew jest sobie przeciętnym i szanowanym obywatelem rosyjskim, byłym marszałkiem szlachty i członkiem ziemstwa, który żył, jak każdy inny, mniej źle może, niż większa część ludzi swego stanu; jednak ponieważ to życie nieuchronną jakąś logiką doprowadziło go aż do zabicia żony — widzi on teraz w jaskrawem świetle całe zło i całą próżnię moralną, w tem ubiegłym życiu zawartą, rozumie tę fatalną logikę, co go parła do występku; — widzi i sądzi i piętnuje to zło z niewypowiedzianą siłą i przekonaniem. W tem właśnie tkwi prawdziwie artystyczny pomysł autora, że twarde prawdy, jakie ma do wypowiedzenia społeczeństwu, wkłada w usta człowieka, który „przeżył“ — nie jakies zbrodnie okropne, fantastyczne, jak w zwykłych powieściach, ale to zło, w którym wielka część społeczeństwa bezmyślnie żyje — a doszedłszy do rezultatów i uświadomienia tego zła, mówi prawdę daleko żywiej i otwarciej, niżby ją inaczej wypowiedzieć można.

Posdniszew opowiada najprzód swe lata młodości. W nich — mówi słusznie — jest klucz do zrozumienia reszty życia. Nie był on Don Juanem, nie był zwodzicielem, do żadnych wyrafinowanych

występków nie miał pociągu, tylko używał legalnej „tolerancyi“, — najprzód ciągnięty przez kolegów, potem nagłony przez nałóg i namiętności, podniecane „powszechnym sposobem życia“. Z tem wszystkiem marzył on ciągle o małżeństwie idealnem, i dlatego miał się za wyższego i szlachetnego, i w oczach społeczeństwa uchodził za bardzo porządnego i umiarkowanego człowieka. Ale społeczeństwo — mówi Posdniszew — błądzi i zawinia strasznie, niewinniając takie „życie kawalerskie“: taki człowiek bądźco bądź jest lubieżnikiem, a lubieżnik, na równi z pijakiem i z morfinistą, jest człowiekiem anormalnym, w którym niskie popędy zerwały równowagę natury i zoczyły od jej celów. Jest takich ludzi mnóstwo — ale to nie odejmuje im piętna anormalności, jak pijaństwo, choćby mu większa część rodu ludzkiego hołdowała, byłoby pijaństwem. Jest ich mnóstwo, zwłaszcza w pewnej sferze społecznej, ale to dlatego, że tryb życia tej sfery jest nienormalny: nadmiar silnych pokarmów i napojów, brak pracy, otaczające podniety i t. d. Co gorsza, taki lubieżnik czyni straszną krzywdę kobiecie, — której prawa moralne nie dają się oddzielić od fizycznej osoby, bez pogwałcenia natury i jej praw — co mówiący z wielką siłą i prawdą wykazuje.

Wreszcie przychodzi małżeństwo. W 30 roku życia Posdniszew szuka idealnej, czystej dziewczyny, i wybiera takową z podupadłej obywatelskiej familii. Tu wtrąca się surowa, a po części usprawiedliwiona krytyka owych „targowych“ balów i zabaw, na których, dzisiejszym zwyczajem, „wystawia się panny“ z ubliżeniem godności kobiety — a z drugiej strony tualet i wielu innych sposobów, któremi kobiety „mszczą się za swe upośledzenie“ i wyzyskują zmysłowość mężczyzn. Ostatecznie Posdniszew znalazł, czego żądał: pannę, nie znającą zła, a światowo wykształconą.

I zaczyna się pożycie małżeńskie — miodowy miesiąc... Ale, o dziwo! zamiast oczekiwanego szczęścia, harmonii uczuć, pojawiają się prędko zatargi; mijają, lecz powracają peryodycznie, z byle jakich błahych przyczyn. Wkrótce Posdniszew przychodzi do bolesnego przeświadczenia, że to nie są przejściowe wypadki, że okoliczności, które wywołują starcia, są tylko pretekstem, a pod nimi kryje się coś głębokiego, a niedającego się usunąć ani naprawić. W oczach żony, czyniącej mu gorzkie i do żywego dogryzające wyrzuty o bagatelę, wyczytuje on jakąś straszną, pełną pogardy nienawiść — tę samą nienawiść na dnie własnej duszy znajduje. Pokłóciłem się — mówi — nieraz z ojcem, z bratem, z przyjacielem: nigdy ta kłótnia nie miała

tego charakteru nienawiści z pogardą złączonej, która tu w każdym starciu występowała. Jestto „nienawiść współników zbrodni“.

Małżeństwo — twierdzi Posdniszew — mimo wszelkich legalnych i religijnych pokrywek i poetycznych uroków, jest czemś moralnie złem. I dlatego szczęśliwym być nie może. Wszystkie małżeństwa, przynajmniej w sferze oświeconej, gdzie już wierzenia w sakramentalność tego związku całkowicie rozwiane, są zarówno niemoralne i głęboko nieszczęśliwe — choć jedne przed drugimi kryją swe rany.

Te bezwzględne twierdzenia rażą na pierwszy rzut oka i dają do myślenia, że Tolstoj, mistycyzmem uwiedziony, potępia w czambuł małżeństwo¹. Ale lepiej rzecz rozważając postrzega się, że co innego Posdniszew, a co innego Tolstoj. Posdniszew nic innego w małżeństwie nie widzi, jak tylko związek ulegalizowany wprawdzie, ale wyłącznie na zmysłowości oparty, bez żadnych wyższych pierwiastków i przekonań; Tolstoj mówi przez jego usta, że taki związek musi być w gruncie niemoralny i nieszczęśliwy; ale sam ten wyjątek, jaki czyni dla warstw ludowych, „gdzie istnieje wiara w sakramentalność tego związku“, pokazuje, że on pojmuje możliwość małżeństwa moralnego i szczęśliwego zarazem.

Dalszy tok historii Posdniszewa rozwija tylko i potęguje tę samą ideę. Zatargi z żoną przechodzą, ale z fatalną koniecznością powracają. Dzieci przychodzące na świat i podrastające zamiast być łącznią rodziców, służą im za nowy pretekst do kłótni, za broń do walki: ona przyciąga je do siebie i zastawia się nimi przeciwko niemu — on czyni to samo przeciwko niej. Wreszcie, mimo braku prawdziwej miłości dla żony, właśnie dlatego, że ma dla niej zmysłową tylko i zwierzęcą miłość, Posdniszew dręczony bywa nieustanną podejrzliwą zazdrością: co chwila upatruje jakieś pozory do niepokojenia się: a co najdotkliwsza, ciągle stawia sobie pytanie: dla jakiejże dobrej racji miałyby mi ona być wierną? coby ją miało powstrzymać, gdyby ją skłonność zmysłowa w inną stronę zwróciła? W istocie, kiedy znicz domowy zbudowany jest wyłącznie na fundamencie zmysłowości, kiedy kobieta ma tylko wychowanie, a nie ma przekonań, — to powyższe pytania nie mogą znaleźć zaspakajającej odpowiedzi. Posdniszew męczy się na próżno i dręczy swemi podej-

¹ Zapewne z tego powodu zakazano w Czechach tej książki.

rzeniami żonę — do tego stopnia, że i on myśli nieraz o samobójstwie i ona próbowała kilka razy się otruć.

Koniec końcem, po wielu fałszywych alarmach zjawia się w gnieździe prawdziwy nieprzyjaciel: indywiduum sentymentalne, wymuskane, wytrefione, w dodatku artysta-muzyk — a pani jest namiętnie muzykalną. Mąż odrazu przeczuwa niebezpieczeństwo, mierzy okiem przepaść, która go dzieli od żony, i rozumie, że ta przepaść jest właściwą niebezpieczeństwa przyczyną; jednak przez jakiś głupi wzgląd światowy sam ułatwia odwiedziny gościowi, urządza koncerty domowe. Jednego wieczoru, wśród licznie sproszonego przyjaciół, grają sławną Sonatę Kreuzera przez Beethovena; ona na fortepianie, on na skrzypcach. Posdniszew opisuje po mistrzowsku wpływ tej muzyki namiętnej, niepokojącej. Marsz wojskowy pobudza żołnierza do męstwa, msza śpiewana skłania do nabożeństwa — jedna i druga muzyka osiąga cel realny; ale owa muzyka przenosi w jakieś sfery obce, pobudza do uczuć i czynów poza realnem życiem. Posdniszew sam się czuje podniesiony, upity; ale żona jest zupełnie nie sobą: hypnotyzuje ją wpływ wiolinisty, który jej towarzyszy. Mąż postrzega wyraźnie, że tym razem jest zwyciężona.

Kilka dni potem Posdniszew, wracając niespodzianie w nocy do domu, znajduje gościa w salonie. Nie potrzebuje mówić, że walka wewnętrzna nieszczęśliwego męża opisana jest ze sztuką godną Tolstoja, a przypominającą Szekspira. Kończy się na tem, że obcy ucieka, a żona pada pod sztyletem Posdniszewa.

Sąd przysięgłych, rozumie się, uwolnił go, mimo niego, jako ofiarę urażonych małżeńskich uczuć.

Taka jest osnowa świeżej powieści Tolstoja. Nie jestto książka do dania niedorostkom i pannom: smutne prawdy życiowe są w niej zbyt nago przedstawione, rzeczy nazywają się po imieniu, bez przebierania w słowach. Ale istota rzeczy jest pełna prawdy i wysoce moralna; przy mnóstwie głębszych spostrzeżeń o życiu światowym, o wychowaniu mężczyzn i kobiet, o małżeństwie i rodzinie — jest ona przede wszystkim procesem i zasądzeniem tej wyuzdanej zmysłowości, która w dzisiejszym trybie życia klas oświeceniowych tak szeroką a zgubną odgrywa rolę.

Ks. M. Morawski.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Kwestya kalendarzowa. — Monaster żeński w Leśnej. — Nowa katedra prawosławna w Warszawie. — „Uparty“ unita w kraju Zakaspijskim. — Stosunek ludności żmudzkiej do szkół rządowych i „tajnych“. — Kolonizacya powiatu włodzimierskiego na Wołyniu i stosunki wyznaniowe. — Misyonarstwo świeckie na Ukrainie. — Poglądy prasy prawosławnej na ostatnie dwa rozporządzenia Stolicy Apostolskiej w sprawie uczęszczania uczniów-katolików na nabożeństwa prawosławne, i w kwestyi małżeństw mieszanych. — Książ Teodor na Ostrogu i księżna Julianna Holszańska. — Nieznany dotąd projekt utworzenia patriarchyatu ruskiego. — Sobór Uspenia we Włodzimierzu Wołyńsk. — Wspomnienia księdza ex-unickiego na Podolu).

Czasopismo *Den*, wychodzące w Petersburgu, za niem i *Warszawsko-Chołmskij Epar. Wiestnik* (nr. 5. Rok 1890) rozpoczęły agitacyą za reformą stosunków kalendarzowych w Królestwie Polskiem. O argumenta przeciwko istnieniu podwójnego kalendarza w jednym i tym samym kraju oczywiście nietrudno: znamy jego szkodliwość pod względem ekonomicznym z rozpraw sejmu galicyjskiego i memoriału Wydziału krajowego, opracowanego wskutek rezolucyi sejmowej. Podobnych argumentów używają i oba czasopisma rosyjskie. Wywody ich są tak przekonywujące, iż czytelnik gotów oczekiwać wniosku — zastosownia się do potrzeb i zwyczajów ludności miejscowej w Kongresówce, a zaniechania kalendarza Juliańskiego w administracyi, sądzie, szkole i wszelkich wogóle stosunkach urzędowych. Lecz w końcu wylazło sztydło z worka. Nie chodzi tutaj bynajmniej o wzgląd na potrzeby ludności krajowej, tubylczej, a przyjęcie kalendarza poprawionego, używanego dzisiaj przez cały świat cywilizowany, — lecz o narzucenie jej kalendarza nielicznej garstki przybyszów. Napróżno się powołują na tę okoliczność, iż po rozbiórce Polski miał jakoby sam papież zaproponować rządowi rosyjskiemu, aby katolicy i prawosławni w ziemiach zabranych o mieszanej ludności używali jednego kalendarza i wspólnie święta obchodzili. Czy tak było w istocie, nie wiemy. Propozycya ta, gdyby nawet i istniała w formie, w jakiej podają ją cytowane powyżej dzienniki rosyjskie, jeszcze nie dałaby się zastosować do Królestwa Polskiego, posiadającego z małym stosunkowo wyjątkiem ludność jednolitą pod względem religijnym. Istnienie kalendarza Gregoryańskiego w Królestwie, stoi dziś przedewszystkiem na zawadzie syste-

mowi rusyfikacyjnemu i unifikacyjnemu; robotników zaś ex-unickich, służących u właścicieli ziemskich wyznania rzymsko-katolickiego, zmusza do obchodzenia świąt według nowego stylu, a tem samem powstrzymuje postępy prawosławia. *Inde irae*. Z tegoż źródła pochodzą również skargi na antagonizm wyznaniowy, podsycany rzekomo istnieniem podwójnego kalendarza; na niezgody i właśnie w łonie małżeństw i rodzin mieszanych, z których żeńska strona katolicka ma zawsze wychodzić zwycięsko, a dzieci z takich rodzin „giną dla prawosławia i łatwo się polszczą“. Zabawnym, przypominającym skargi wilcze na mącenie wody, jest argument, jakoby zabawy katolików podczas Bożego Narodzenia przeszkadzały prawosławnym w zachowywaniu postu adwentowego i pociągały młodzież do uczestniczenia w tychże. Tegoż samego argumentu mogliby z daleko większą słusnością użyć katolicy w Królestwie; albowiem wielki post zaczyna się u nas zwykle wcześniej, prawosławni zaś, obchodząc swą „maślanicę“ z całą swobodą szerokiej ruskiej natury, mogą po większych miastach uwodzić katolików na pokuszenie. Zachcianki zniesienia w Królestwie kalendarza Gregoriańskiego widocznie kielkują w sferach rosyjsko-klerikalnych. Zwalczać je argumentami byłoby pracą bezcelową. W takich razach, niestety, możnaby najtrafniej zastosować sentencją z bajki J. Krasickiego: „Mądry przegadał, ale głupi pobił“.

Założycielem monasteru prawosławnego w Leśnej, słynącej z cudownego obrazu Maki Boskiej, ofiarowanego przed dwoma wiekami przez włościanina-unite, był arcybiskup warszawski Leoncyusz. Monaster istnieje od lat czterech, i liczy obecnie sióstr 70 (*Chołm.-War. Epar. Wiestnik*. nr. 5. Rok 1890). Utrzymuje się prawie wyłącznie ofiarami „dobrodziejów moskiewskich“. W klasztorze pobiera naukę około 60 dziewcząt, córek ex-unickich włościan. Chorzy i ubodzy przychodzą tam codziennie po pomoc i lekarstwa. Pomiędzy siostrami jest kilka, posiadających wyższe wykształcenie, co *Chołmsko-War. Epar. Wiestnik* notuje, jako widocznie objaw nader rzadki u zakonnic rosyjskich. Obecnie siostry z Leśnej odzywają się w słowach bardzo gorących do wszystkich prawosławnych, aby przyszli im z pomocą na założenie przy monasterze szpitala i ochronki dla starców. Oczywiście, że odezwa ta nie pozostanie bez skutku, jak nie pozostały nawoływania dzienników rosyjskich o wybudowanie w Warszawie nowej katedry prawosławnej, odpowiedniej powadze wyznania panującego. Obecnie donoszą, iż św. Synod postanowił wyjednać

na ten cel u rządu kredyt w kwocie 600 tysięcy rubli. Żądanie to będzie wkrótce przedmiotem obrad w Radzie państwa.

Pod tytułem: „Z dziedziny przesądów religijnych“ umieszczają *Litow. Epar. Wiadomości* (nr. 9. Rok 1890) notatkę treści następującej: Włościanina z powiatu sokólskiego (na Podlasiu), należącego do kategorii „upartych“ unitów, wzięto do wojska i zaliczono do pułku strzelców w kraju Zakaspijskim. Prawosławny kapelan pułkowy próbował go wszelkimi sposobami nawrócić, i w tym celu nie skąpił ma obroku duchowego. Jednak wszelkie jego usiłowania pozostały bezowocne: strzelec uważa się dotąd za prawdziwego katolika i przeczy stanowczo, aby t. zw. nawrócenie unitów miało do niego się stosować lub go obowiązywać. Kapelan pułkowy przesłał niedawno raport o tem do św. Synodu, w którym z naciskiem podnosi, że ów unita nie ma wyobrażenia o wierze katolickiej, a wierność katolicyzmowi opiera się w nim na różnych przesądach, jak np. na mniemaniu, iż papież nosi w kieszeni klucze od królestwa niebieskiego. Okoliczność ta daje asumpt niefortunnnemu misyonarzowi do wyszydzania naiwnej może niekiedy, ale szczerej i twardej wiary „upartych“ unitów.

Artykuł *Wiad. Wiestnika* (nr. 103 z r. 1890), zatytułowany: „Stan oświaty ludowej w gubernii kowieńskiej“, notuje niektóre charakterystyczne objawy w usposobieniu ludności żmudzkiej. Na ogólną liczbę mieszkańców 1,400.000, było w tej gubernii w roku minionym 218 szkół ludowych, w których pobierało naukę 9500 chłopców i dziewcząt. Ma to być stosunek najgorszy w całej Rosyi europejskiej, ale, na szczęście, tylko dla szkoły prawosławno-rosyjskiej. Na Żmudzi analfabetów prawie niema. Z tegoż samego artykułu, opartego na źródłach rządowych, dowiadujemy się, że wszyscy mieszkańcy tej gubernii umieją czytać po polsku lub po żmudzku. Okoliczność ta daje powód do denuncyacji, iż „w niektórych powiatach, zwłaszcza kowieńskim i rosieńskim, istnieje masa szkół tajemnych, w których uczą po polsku; włościanie szkoły te widocznie podtrzymują, przejęci zaszczerpionem w nich przekonaniem, iż tylko modlitwa w języku polskim Bogu przyjemna“. Z faktów tych mógłby rząd wyciągnąć bardzo prosty i naturalny wniosek, gdyby mu chodziło istotnie o podniesienie poziomu oświaty w dawnych ziemiach polskich, a nie o zupełnie odmienne cele, z którymi szkoła nie powinna mieć nic wspólnego. Lud żmudzki, przywiązany do swej wiary i języka, będzie zawsze stronił od szkoły

obecnej mu duchem i formą. Zamiast uznania tej powszechnie dziś uznanej prawdy, *Wileń. Wiestnik*, *Kowieńskie Gub. Wiadomości* i nawet kowieńska dyrekcya szkół ludowych w swych artykułach i sprawozdaniach, szukają winy w „skrytej, lecz zaciętej walce przeciwko ruskiej szkole ze strony duchowieństwa katolickiego, posiadającego ogromny wpływ na miejscową ludność katolicką“.

Czasopismo ilustrowane *Siewier* („Północ“) podaje nader zajmujące wiadomości o zachodnim Wołyniu, w artykule: „Sprawa prawosławia na Wołyniu“. „Najulubieńszem miejscem — piszą tamże — dla „upartych“ unitów i ulegających wpływowi duchowieństwa łacińskiego Haliczian, przesiedlających się do Rosyi, jest powiat włodzimiersko-wołyński, na który, jako na główny punkt strategiczny w walce z łacinizmem, należałoby zwrócić szczególniejszą uwagę i podnieść tam wyżej sztandar prawosławia i narodowości rosyjskiej. Powiat włodzimiersko-wołyński graniczy z gubernią grodzieńską, z dwoma guberniami kraju Priwisiańskiego (siedlecką i lubelską), zamieszkałymi przez ludność unicką, i z Galicyą na przestrzeni wiorst 80; oddalony przytem o kilkaset wiorst od swych centrów administracyjnych: Żytomierza i Kijowa, ominięty przy budowie dróg bitych i kolei żelaznych, — należy bezsprzecznie do najbardziej odosobnionych zakątków Rosyi.

Ogromne przestrzenie lesiste stoją tam otworem dla kolonizacyi, z czego właśnie i skorzystali nasi przeciwnicy. Wszystkie wolne obszary powiatu kolonizują się Niemcami (katolikami i luteranami), wychodźcami ze wschodnich gubernij kraju Priwisiańskiego i Mazurami-katolikami. Pomiędzy innowiercami osiedlają się zwykle, nie tworząc odrębnych kolonij, ex-unici z gubernii siedleckiej i lubelskiej. Aby dokładniej określić, jakie rozmiary przybiera kolonizacya w tym powiecie, dosyć jest wskazać na gminę Werbską, leżącą tuż pod samym Włodzimierzem. W ciągu ostatnich lat dwudziestu powstało w niej więcej niż 60 osad, liczących obecnie 6800 dusz, w liczbie których jest 6420 katolików i luteranów, a 380 byłych unitów. — Dla obrony w tym głuchym zakątku państwa interesów prawosławia i narodowości rosyjskiej, powstało w r. 1888 cerkiewno-prawosławne bractwo św. Włodzimierza, które rozwinęło już ożywioną działalność około zachowania starodawnych pomników i zabytków kościoła prawosławnego“.

Postępy t. zw. „sztundy“ wśród ludności ruskiej niepokoją w wysokim stopniu władze świeckie i duchowne, próbujące różnych

sposobów, dotąd bezskutecznie, celem stłumienia takowej. O nowym właśnie pomysle misyonarskim donoszą *Wołyń. Epar. Wied.* (nr. 1 i 2 z r. 1890). Władza kościelna metropolii kijowskiej, przekonana widocznie o nieskuteczności misyj duchownych, postanowiła użyć następującego środka: zamianowano na razie trzy osoby stanu świeckiego, posiadające wyższe wykształcenie teologiczne, na które włożono obowiązek odbywania misyj. W celu prowadzenia dysput i odbywania konferencji, mają zwiedzać mieszkania i domy modlitwysztundystów. Oprócz tego obowiązkiem misyonarzy stanu świeckiego będzie — zbierać wszelkie wiadomości o tej sekcie i badać wszelkie jej odcienia (których znaczna ilość), według programu Ireneusza, władcyki humańskiego, kierownika misyj w metropolii kijowskiej. Postanowienie to jest wyraźnem votum nieufności dla stanu duchownego. Włożenie zaś obowiązków misyonarskich na osoby świeckie, zniża pod pewnym względem godność misyonarza do roli agenta policyjnego.

Przypatrzmy się teraz, jak się organa prawosławne zapatrują na najniewinniejsze nawet środki obronne, samozachowawcze, wobec coraz natarczywszej i bezwzględniejszej propagandy prawosławia. Pop Aleks. Budiłowicz, najczynniejszy współpracownik *Warsz.-Chołm. Ep. W.*, wystąpił świeżo z artykułem w *Liłow. Epar. Wied.* (nr. 16 z r. 1890), w którym omawia dwa rozporządzenia św. Inkwizacyi i św. Kolegium z roku minionego: w sprawie uczęszczania uczniów wyznania katolickiego na nabożeństwa prawosławne — i w sprawie odmawiania rozgrzeszenia tym, którzy pomimo przedstawień spowiednika, nie zechcą odstąpić od związków małżeńskich z akatolikami. Pierwsze z nich nazywa p. Budiłowicz objawem „rzymskiej nietolerancji“, tamującej wychowywanie młodego pokolenia „w duchu pojednawczym“ względem prawosławia i wszystkiego, co rosyjskie, a dążącej do utrzymania go w „polsko-łacińskiej wyłączności“, w jakiej rośli ich ojcowie, dziadowie i pradiadowie. Również oświadcza się pan B. przeciwko drugiemu rozporządzeniu, które zagrażać ma prawu o małżeństwach mieszanych, obowiązującemu w Rosyi. Aby usunąć wszelką zależność i wszelki wpływ księży katolickich na osoby, mające wstąpić w związki małżeńskie z niekatolikami, proponuje następujące środki: Od takich osób nie należy żądać żadnych dokumentów przedślubnych — ani świadectwa z ogłoszonych zapowiedzi, ani metryki urodzenia i chrztu, ani też poświadczenia z odbytej spowiedzi. Zamiast tego wszystkiego, wystarczać nadal powinno

tylko poświadczenie od władzy gminnej i administracyjnej, iż osoba, wstępująca w związki małżeńskie, jest stanu wolnego lub wdowiego. Po utrzymaniu w całej mocy praw rosyjskich o małżeństwach mieszanych z roku 1832 i 1836, spodziewa się pan B. rychłego sprawosławienia „w drodze pokojowej“ wsi o ludności mieszanej.

W Żytomierzu odbyła się w roku minionym wielka uroczystość prawosławna, z okazji przeniesienia części zwłok błogosławionego kniazia Teodora i świętej Julianny z kijowo-pieczarskiej Ławry do katedry prawosławnej w Żytomierzu. Dlaczego ruszono ich zwłoki z dotychczasowego miejsca, wprawdzie dzienniki rosyjskie nie podają, ale łatwo się jednak dymyślić. Ponieważ Ławra kijowo-pieczarska posiada niezmierne bogactwo w relikwiach, przeniesienie było zatem rodzajem decentralizacji rzeczy świętych. Okoliczność ta nastręczyła *Kijewlaninowi* powód do umieszczenia notatki historycznej, nieobjętej i dla naszej przeszłości.

Kniaź Teodor, syn Daniela, pochodził ze starożytnej i znakomitej rodziny Ostrogskich, odegrywających w dziejach państwa litewsko-ruskiego w w. XVI i XVII bardzo ważną rolę. Kniaziowie na Ostrogu należeli do Kościoła wschodniego, a tylko ostatni męski potomek tego rodzaju przeszedł na katolicyzm. Błogosławiony kniaź Teodor brał czynny udział w wojnie pomiędzy Polską i Świdrygiełłą w r. 1432. Na rozkaz tego ostatniego bronił Podola, zdobył Bracław i Kamieniec, gdzie wziął do niewoli Teodora Buczackiego. W r. 1438 wstąpił do monasteru pieczarskiego w Kijowie. Rok jego śmierci nieznany. Według zaś niedawno ogłoszonej drukiem monografii Wołynia, pióra pp. Petrowa i Małyszewskiego (*Wołyn. Petersburg. 1888, str. 64*), kniaź Teodor miał umrzeć w r. 1430, co byłoby stanowczem zaprzeczeniem faktów, przytoczonych powyżej z notatki historycznej *Kijewlanina*. — Julianna pochodziła z rodu kniaziów Holszańskich, za protoplastę którego uchodzi Mindowe na Holszanach. Miał on przyjąć wiarę Chrystusową w r. 1321, a wkrótce potem został namiestnikiem w. księstwa kijowskiego z ramienia Giedymina. Rodzina Holszańskich istniała jeszcze w wieku XVI, a jedna jej linia przyjęła w wieku XV nazwisko Olelkowiczów. Julianna Holszańska na Dubrowicy żyła w pierwszej połowie w. XVI. Ciało jej odkryto w sposób następujący: Za archimandryty Elizeusza Pletenieckiego (rządził Ławrą pieczarską od r. 1599—1624) kopano w Ławrze grób dla jakiejś bogatej dziewczycy kijowskiej, w pobliżu

ściany zewnętrznej cerkwi katedralnej. Podczas kopania natrafiono na sarkofag, zwrócony głową ku południowi, a nad nim kamień z wyrytym herbem kniaziów Holszańskich. Do sarkofagu przybita była niewielka srebrna, pozłacana tablica z wyrytym herbem i napisem: „Julianna, księżna Holszańska, córka ks. Jerzego Holszańskiego, zmarła dziewicą w roku od urodzenia swego 16“. Po otwarciu trumny okazało się, że zwłoki wcale nie były zepsute. Ubrana była w strój bogaty, ozdobiony kosztownościami. Gdy wkrótce potem odzienie się rozpadło, dano jej nowe, a zwłoki przeniesiono do wnętrza cerkwi. Kanonizacyi dokonał znacznie później metropolita kijowski, Piotr Mohyla. Wówczas to ułożono nad grobem św. Julianny napis, rymowany w języku polskim, którego jednak tutaj nie przytaczam, ponieważ autor notatki podał go w tłumaczeniu rosyjskiem. Ponad rymami umieszczono krótki napis prozą. W czasie pożaru w r. 1718, który zniszczył prawie zupełnie wielką cerkiew Ławry, opaliły się i zwłoki Julianny. Resztki niedopalonych kości złożono do trumny, i przeniesiono z cerkwi do tak zwanych „bliższych pieczar“, gdzie się znajdowały aż do połowy roku minionego, zkąd znaczną ich część, wraz ze zwłokami kniazia Teodora na Ostrogu, przeniesiono uroczyście do katedry prawosławnej w Żytomierzu rzekomo dlatego, że obie te rodziny (Holszańskich i Ostrogskich) pochodziły z Wołynia. Odczytaliśmy kilka dzienników rosyjskich, opisujących obszernie tę uroczystość, a w nich dużo wiadomości historycznych o rodzinach kniaziów na Holszanach i Ostrogu, ale nigdzie nie znaleźliśmy wzmianki, dlaczego kniazia Teodora zaliczono w poczet błogosławionych, a księżnę Julianę w poczet świętych Kościoła wschodniego.

W d. 18 lutego w auli muzeum pedagogicznego w Petersburgu — jak donoszą *Wołyn. Epar. Wiedomości* w nrze 7 z r. 1890 — miał wykład prof. Prachow o soborze Uszenia Bogarodzicy (*dormitio*) we Włodzimierzu Wołyńskim. Zdaniem sprawozdawcy, miał prelegent zwycięsko zbijać „uroszczenia“ katolików, jakoby sobór Uszenia zbudował jakiś biskup katolicki w w. XIII. Prelegent, opierając się na wyjątkach z kronik i zabytkach archeologicznych, twierdzi, iż fundatorem tego soboru był Mścisław III, książę kijowski i włodzimierski, żyjący w w. XI. Wykład swój ilustrował p. Prachow planami, rysunkami i reprodukcjami rozmaitych obrazów. Na prelekeyi byli obecni: p. Pobiedoscew, prokurator św. Synodu, i p. De-

lianów, minister oświaty. Na przedmiot swój zapatrywał się prelegent więcej ze stanowiska religijnego i narodowego, niż naukowego, wskazując na Wołyń, jako na pole walki dwóch wiar i dwóch odmiennych cywilizacyj. Zdaje się, że rząd ma zamiar restauracyi soboru kniazia Mścisława. Podobny wypadek zaszedł już w Ostrogu. Od lat dwudziestu odgrzebywano tamże i opisywano ruiny cerkwi Bohojawlenia. Archeologowie rosyjscy starali się dowieść, że cerkiew w sąsiednim Międzyrzeczu jest kopią istniejącego niegdyś w Ostrogu soboru Bohojawlenia, a przytem znalazł się i jakiś rysunek tego ostatniego. Na wniosek znanej zelotki prawosławia, hr. A. D. Błudowej, postanowiono zbudować cerkiew na tem samem miejscu, gdzie pozostały ruiny soboru Bohojawlenia. Rząd asygnował na ten cel 114.000 rubli. W chwili obecnej nowy sobór już na ukończeniu.

W nrze 8 *Warszaw.-Chołm. Epar. Wiestnika* z r. 1890 znajdujemy dokument, wydobyty z archiwum byłego unickiego konsystorza w Chełmie przez popa Aleksandra Budiłowicza, a zaopatrzony tytułem: *Projekt pro patriarchatu in Russia*. Ogłoszono go drukiem po raz pierwszy: w tłómaczeniu rosyjskiem w tekście, a w oryginale łańskim w odsyłaczu. W uwagach wstępnych podnosi p. Budiłowicz, iż pomysł utworzenia patryarchatu unickiego pojawił się po raz pierwszy na synodzie unickim w Nowogródku Litewskim w r. 1624, na którym był obecny metropolita W. Rutski, i biskupi: Joachim Morochowski (włodzimierski), Atanazy Pakosta (chełmski), Jeremiasz (łucki), Antoni Sielawa (połocki) i Grzegorz Michałowski (turowski). Tam uchwalono wysłać posłów do schyzmatyków do Kijowa, wezwać ich do zgody i jedności pod wspólnym patryarchą, niezależnym ani od carogrodzkiego, ani od moskiewskiego. Bodźcem do tego wniosku miały być rozprawy na sejmie w r. 1623, gdzie także poruszano myśl utworzenia patryarchatu ruskiego w ziemiach polskich, mogącego pogodzić unitów z dyzunitami. Po raz wtóry propozycja tego rodzaju wyszła od króla Władysława IV w uniwersale, datowanym z Wilna d. 5 września 1636 r., w którym wzywał Rusinów obu wiar, aby „na wzór Moskwy i innych państw mieli to u siebie w domu, zaczem zwracają się ku postronnym“. Trzeci raz poruszono tę kwestyę w dokumencie, ogłoszonym właśnie przez A. Budiłowicza. Nie wymieniono w nim ani miejsca, ani czasu, ani nawet autora tego projektu. Na podstawie jednak dosyć uzasadnionych ro-

zumowań i niektórych wskazówek, wydawca przypuszcza, iż projekt powstał w Chełmie, pomiędzy 17 października 1640 r., jako wymienionym w samym dokumencie, a 1564 t. j. rokiem poddania się kozaczyzny Moskwie. Autorem zaś projektu mógł być nie kto inny, tylko Jakób Susza, biskup chełmski, co się da udowodnić tendencją jego pism, zgodną najzupełniej z przewodnią myślą projektu. Otóż *Projekt pro patriarchatu in Rusia* tchnie przywiązaniem ku unii kościelnej i chęcią jej rozszerzenia, do czego utworzenie patriarchy mogłoby najskuteczniej się przyczynić; ale pragnie zarazem utrzymać obrządek wschodni, jak tego dowodem czwarty artykuł (z ogólnej liczby sześciu): *Ritus Graecus antiquus et sine mutatione sui integre servetur. De cuius certitudine Rutheni multum laborant, et ne aliquid contrarii fiat maximum metum habent. Proinde Pontifex Romanus praecise ad Ritus Graecum ne quidquam pertineat.* Jednak w artykule drugim wyrażono życzenie, aby w kwestyach religijnych patriarcha znosił się bezpośrednio z samym tylko papieżem. Ponieważ utworzenie patriarchy wymagałoby znacznych kosztów, a tych cerkiew ruska nie byłaby w stanie dostarczyć, przeto autor projektu doradza wyszukanie nowych zasobów materialnych, do których najskuteczniej mógłby się przyczynić sam Ojciec św. „w swej szczodroblivości“. Artykuł 5 żąda, aby niewolno było przechodzić z obrządku greckiego na łaciński nie tylko duchownym, ale i świeckim, bo *alias remanerent Pastores absque Oculis*. W artykule 3 autor projektu domaga się dla patriarchów i władzyków ruskich odpowiednich miejsc w senacie. Odnosny artykuł brzmi dosłownie: *Patriarcha Russiae, noviter creatus, cum suis successoribus, ut inter Archiepiscopos et Leopoliensem, cum suo Metropolitą in Senatu locum habeat. Caeteri vero Episcopi Russiae saltem inter castellaneos minores, locum primum obtineant.*

W motywach wstępnych wyjaśnia twórca projektu, iż byłby to najskuteczniejszy środek nawrócenia schyzmatyków w całej Polsce. Liczba wyznawców obrządku greckiego na przestrzeni wszystkich trzech Rusi (Czerwonej, Białej i Czarnej) była bardzo znaczną; parafii tego obrządku liczono wówczas około 15.000 (*Ecclesiae parochiales possunt ad minimum numerari circa quindecim millia*). Na urzeczywistnienie tej myśli — robi wkońcu uwagę autor projektu — najchętniejby się zgodzili i nie odmówili swego poparcia najjaśniejszy król wraz z całą rzecząpospolitą w chęci utrzymania pomiędzy swymi poddanymi tak porządanego pokoju.

Protojerej Nikander Michniewicz, pochodzący widocznie z rodziny ex-unickiej, zamieszcza w *Podolskich Eparch. Wiadomościach* zajmujące opowiadanie z czasów, kiedy bezpośrednio po rozbiorach Polski zaczęła się męczeńska dola unitów. Ze wspomnień tych wyjął jeden ustęp, charakteryzujący wybornie walkę wewnętrzną, toczącą się wówczas nie w jednej chwiejnej duszy, nie w jednym elastycznym sumieniu. W r. 1836 w początkach września autor wracał ze swym bratem po skończonych wakacjach z Proskurowa, gdzie ojciec ich był protojerejem, do seminaryum duchownego w Kamieńcu Podolskim. Przed odjazdem otrzymali od swego ojca zlecenia do rozmaitych księży, które starali się jak najsumienniejszym wykonać. W pewnej wsi (nazwy jej nie wymienia autor opowiadania) nie znaleźli wprawdzie proboszcza, ale korzystali z towarzystwa jego sędziwego ojca, który w r. 1705—1796 przeszedł z unii na prawosławie. Z jego ust usłyszeli historię tego przejścia, które tutaj — według wspomnień N. Michniewicza — dosłownie cytuję. „Byłem księdzem unickim w Dunajowcach, — opowiadał starsuszek — gdzie już wówczas było wielu fabrykantów Niemców. Przyszedł rozkaz od błahoczynnego (dziekana): albo przyjąć prawosławie — czego chłopci pragnęli (?) — albo oddać parafę parochowi prawosławnemu. Gdy się Niemcy o tem dowiedzieli, poradzili mi, abym udał się do sąsiedniego bogatego pana i zasięgnął jego rady. Pojechałem, opowiedziałem mu, o co chodzi. Ale ów pan — wyznania katolickiego — ani słyszeć nie chciał o mem przejściu na prawosławie: zrobię cię sekretarzem mej kancelaryi, dam mieszkanie, ornyaryę, opał i 100 złp. pensyi; środek, proponowany przez rząd, jest tylko czasowym, — dodał — a potem wszystko pójdzie dawnym trybem. Zgodziłem się i napisałem o tem do ojca. Po zajęciu ofiarowanej mi posady, otrzymywałem podarki i od włościan (zatem włościanie nie pragnęli przejścia swego parocha na prawosławie!): kury, grzyby, orzechy. I tak przeżyłem do wielkiego postu. Ale gdy przysła wielka sobota, a chłopci zebrali się dla święcenia chleba, serce mi się ścisnęło — nie mogłem wytrzymać. Dowiedziawszy się, iż na moje miejsce jeszcze nie zamianowano parocha prawosławnego, pojechałem do mego ojca, również księdza, i powiedziałem mu, że chcę przejść na prawosławie, byle tylko mi oddano parafę w Dunajowcach. Ojciec rzekł na to: „*Jak uważasz — quisque suae fortunae faber*“. Pojechaliśmy z ojcem do błahoczynnego, który przyjął nas radośnie i oświadczył, iż Dunajowce jeszcze

nie są zajęte i mogą jeszcze je objąć napowrót. Niemcy, ujrzawszy mnie znowu, ucieszyli się. Rasy nie wdziawałem, bo na razie tego nie wymagano; świeżo nawróceni popi chodzili początkowo w czamarach. Błahoczynny polecił mi tylko, abym w nabożeństwie nie wymieniał papieża i z *credo* wypuścił *filioque*; co też uczynilem, a czego nikt nawet nie spostrzegł. Ale czas mijał, a tymczasem rosła broda — oskarżycielka. Niemcy, spotykając się ze mną, zapytywali: dlaczego ojcie Adamie, zapuszczacie brodę? Nie upłynęło dwóch tygodni, a już Polacy i Niemcy usunęli się odemnie, a wszyscy ludzie wykształceni pozostawili mnie w osamotnieniu; przy spotkaniu się w miasteczku, w kramach, nikt się ze mną nie witał i do mnie nie przemawiał. Dowiedział się o tem i ów pan: przestano mi wydawać drzewo z lasu, a służba moja, składająca się z jego poddanych, na rozkaz pański natychmiast mię opuściła. Włościanie byli bardzo biedni i nie mogli mi pomagać: dochody się zmniejszały, żona często płakała. Długo się namyslałem, co mam robić, aż nareszcie zdobyłem się na dziwne postanowienie: poszedłem do djaka i spytałem, czy ma brzytwę. Po twierdzącej odpowiedzi rzekłem: przygotuj mydło i ogól mię! — Djak okropnie się przestraszył i rzekł do mnie: Co chcecie robić, ojcie? Błahoczynny jak się o tem dowie, będzie bieda. — Odpowiedziałem mu: nie twoja rzecz; przygotuj, com kazał i ogól mię!“ — Opis uczuć, doznawanych podczas pozbywania się brody, tej sakramentalnej cechy narzucanej przez rząd wiary, możemy tutaj pominąć, a przejść do następstw tego heroicznego kroku. „W parę minut potem ujrzałem w małym zwierciadle moje dawne uniekie oblicze. Najróżnorodniejsze uczucia miotaly mą duszą: radość i trwoga brały naprzemiin górę: w wyobraźni mej rysowały się to zadowolone oblicza Polaków i Niemców, to groźna postać błahocznego. Gdy żona mię ujrzała, zapłakała i zaczęła się żalić, iż jej się w tym względzie nie poradziłem. Ale gdy na drugi dzień poszedłem do miasteczka, Niemcy witali się ze mną uprzejmie i jeden przed drugim na wyścigi zapraszali mię do siebie. W tydzień później otrzymałem od błahocznego rozkaz, abym przybył do niego. Z podróżą ociągałem się dosyć długo w nadziei, że broda odrośnie; lecz ona nie odrastała. Pojechałem wreszcie do ojca, który, niezadowolony z tego, com zrobił, rzekł: „Cerkiew prawosławna nie ciągnie nas gwałtem: ale gdyś na przejście raz się zdecydował, powinieś trzymać się prawosławia. *Verbum nobile debet esse stabile*. Pojechalismy obaj do

blahoczynnego, który przyjął mię z groźną wymówką; ale zażądawszy odemnie piśmiennego zobowiązania, iż tego więcej nie uczynię, pozwolił wrócić do parafii. Odtąd i z powierzchowności stałem się popem prawosławnym“. Słowami: *Sic fata tulerunt* zakończył staruszek opowiadanie, okraszone widocznie przez N. Michniewicza tendencją prawosławnego organu dyecezalnego.

A. Szarlowski.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Laicyzacye szkół we Francyi. — Protest papieski przeciw konfiskacie funduszów pobożnych. — Okólnik konzula włoskiego do włoskich wikaryuszów apostolskich w Chinach. — Wissman o katolickich a protestanckich misyonarzach. — List biskupów japońskich. — Protest episkopatu irlandzkiego w kwestyi szkolnej.

LAICYZACYE
SZKÓŁ WE
FRANCYI.

Kto, sądząc z paru ostatnich przemów Carnota i Constansa, z paru drobnych grzeczności rządu, mniemał — jak mniemało skłaniające się do pewnej przynajmniej zgody z rzecząpospolitą, poważne grono katolików francuskich — że era prześladowcza ma się ku schyłkowi, temu cały szereg nowych, z barbarzyńską bezwzględnością przeprowadzonych laicyzacyj i wszelkiego rodzaju prześladowczych aktów, musiał na smutną rzeczywistość oczy otworzyć. Tak np. w Quimper nakazał świeżo Constans zamknąć kaplicę, obsługiwaną przez księży świeckich, dlatego, że przy kaplicy tej pracowali niegdyś Jezuici, a dekrety marcowe — jak odnośny ukaz ministeryalny się wyraża — trwają do dziś dnia niezmiennie i w całej sile. W jaśniejszem jeszcze świetle okazała się nietolerancya rządowa w gminach Halluin i Vicq. W obu tych gminach uczyły w szkole siostry zakonne z najwyższem zadowoleniem wszystkich mieszkańców; to też gdy wskutek rozkazów,

nadeszłych z Paryża, oznajmiono ojcom rodzin, że siostry zostaną wypędzone, a na ich miejsce przybędą świeckie, drogo w dodatku płatne nauczycielki, powszechne oburzenie nie znalazło granic. Rady gminne wniosły uroczysty protest i uchwałyły złożyć zakonnicom publiczne podziękowanie za dotychczasowe prace. W Halluin założono natychmiast wolną, katolicką szkołę, do której zgromadziło się pierwszego zaraz poranku około 700 dzieci, podczas gdy świeckie nauczycielki po długiem czekaniu i namowach, zebrać zaledwie zdołały siedm dziewczynek. Mieszkańcy wsi Vicq, którzy zresztą odznaczeni się zawsze przychylnością dla rzeczypospolitej, energiczniej oparli się rozporządzeniu rządowemu; a mieli do tego tem większe prawo, że budynek szkolny darowany został gminie w r. 1820 przez ówczesnego proboszcza z wyraźnem zastrzeżeniem, aby nauczycielkami były zakonnice. Na wieść, że inspektor szkół ludowych z Langres przywozi ze sobą świecką nauczycielkę, a siostry zamysła wypędzić, zebrali się mężczyźni i kobiety w gęstych szeregach przed szkołą, zabarykadowali drzwi i oświadczyli, że nie dozwolą na wydarcie zakonnicom ich własności: jeżeli rząd chce zakładać świecką szkołę, niech ją zakłada, ale w swoim, nie w cudzym domu, do którego niema najmniejszego prawa. Inspektor i przybyły z Varennes sędzia pokoju, sprowadzili cztery brygady żandarmeryi, i nakazali siłą zdobyć szkołę. Na dany znak żandarmi dali ognia; huk strzałów, widok płynącej krwi rozproszył opierających się, — a urzędnicy wolnej rzeczypospolitej, otoczeni żandarmami, wprowadzić wreszcie mogli z tryumfem do szturmem wziętej szkoły świecką nauczycielkę. Bohaterski to był widocznie czyn, bo w parę dni później trzech żandarmów, którzy brali w nim udział, otrzymali honorowe odznaki wojskowe.

Izba deputowanych i senat, przed którymi kolejno sprawę wytoczono, przyznały rację rządowi, zachęcając go w ten sposób do dalszych kroków w tym kierunku. „Mamy prawo — mówił minister spraw wewnętrznych, odpowiadając na wszystkie dowody i zarzuty — i postąpiliśmy sobie wedle tego prawa równie w Vicq jak w Halluin“. „Dajmy na to, że prawo

takie istnieje, — odparł w lot biskup Freppel — ale jeżeli istnieje prawo oczywiście złe i niesprawiedliwe, to trzeba prawo to zmienić. W r. 1886 w czasie rozpraw nad dziś obowiązującym prawem przepowiedziałem waszym poprzednikom: W dniu, w którym wypędzicie zakonnice ze szkół, wbrew życzeniom rad gminnych, staniecie się przyczyną głębokiego niepokoju w całym kraju. Co wówczas przepowiedziałem, to dziś w Vicq się spełniło; a jeżeli nadal w podobnych warunkach zastosowywać zechcecie oplakane to prawo, bardzo się obawiać należy, że sceny tego rodzaju nie raz się jeszcze powtórzą. Dlatego odpowiadając zamiarom p. ministra spraw wewnętrznych, i w celu zapobieżenia na przyszłość podobnym scenom, stawiam następujący wniosek: Laicyzacja jakiegobądź szkoły ludowej nie będzie odtąd mieć miejsca, wbrew zdaniu rady gminnej. Fakty, które w ostatnich dniach zaszły w Vicq, dostatecznie uzasadniają ważność i potrzebę tego wniosku“.

Kilku radykałów, pragnąc — jak wcale z tym się nie ukrywali — spłatać figla prawicy, zażądało natychmiastowej dyskusji nad postawionym wnioskiem. Napróżno wołali inni, że tego rodzaju sprawy nie wolno brać na żarty, że należy zostawić choć parę dni czasu do zebrania i przedłożenia parlamentowi odnośnych dokumentów do wszechstronnego ich zbadania; większość, śmiejąc się i szydząc, zadecydowała na poczekaniu z tak niezmiernie ważną kwestyą się rozprawić — i po godzinnem hałasowaniu, wzajemnem szkalowaniu się i wyzywaniu, odrzuciło na wstyd liberalnym zasadom projekt w imię prawdziwej wolności przedłożony. „Okazało się zatem, — pisze *Soleil* z gorzką, ale usprawiedliwioną ironią — że mowa p. Constansa, zapowiadająca tolerancję i uspokojenie, była poprostu wstępem do otwarcia nowej antyrelijijnej kampanii... Pocciwcy, którzy dotąd wierzyli naiwnie pięknym obietnicom ministrów, tracą prawdopodobnie ostatnie iluzje. Odtąd, gdy posłyszą o dobrej i mądrej rzeczypospolitej, będą wzajemnie się przestrzegać: „Bacność! Rząd gotuje na nas nowy jakiś zamach!“

PROTEST
PAPIESKI PRZE-
CIW KONFI-
SKACIE
FUNDUSZÓW
POBOŻNYCH.

Złodziejski, uchwalony przez włoski parlament, a przez senat z niewielu mało znaczącymi poprawkami ratyfikowany zamach na fundacye pobożne, wywołał ponownie energiczny protest Ojca św. Na sekretnym konsystorzu z 26 czerwca wygłosił papież następną jędrną alokucyę:

„Gdy roku zeszłego przemawialiśmy do was z tego samego miejsca, wskazaliśmy, wzruszeni rosnącemi ciągle nieszczęściami, wiele nowych ran, zadanych Kościołowi i Stolicy apostolskiej przez jej wrogów. W szczególności wymieniliśmy świeżo wówczas przedłożony projekt do prawa o fundacyach pobożnych, który, jako przeciwny pod wielu względami wszelkiemu prawu i sprawiedliwości, potępiliśmy — jak pamiętacie — i przeciw niemu zaprotestowaliśmy, jak się tego domagał apostolski nasz urząd. Obecnie przeciwnicy nasi żadnych nie szczędzą wysiłków, aby prawo to uzyskało czempredzej moc obowiązującą; dlatego zmuszeni jesteśmy raz jeszcze głos podnieść i z przynależną wolnością i jasnością wnieść skargę na wrogi gwałt, srożący się nad ostatnimi okrucami dóbr kościelnych. Codzień nowe, codzień bardziej krzywdzące i szkodliwe pociski uderzają w Kościół w czasie wojny tej, od zbyt już długiego czasu prowadzonej: pomimo tego odwagi nie tracimy, ponieważ najwyższą naszą, a niezachwianą nadzieję położyliśmy w niebieskiej pomocy. Bóg potrafi pomścić się za swe prawa, a nam, walczącym za Jego chwałę i za zbawienie dusz, udzieli siły do walki i mocy do zwycięstwa“.

TYRANIA
CRISPIEGO.

Dopokąd Crispi tylko przeciw papieżowi i Kościołowi okazywał się despota i tyranem; dopokąd tylko na biskupów nakładał już nie podatki, ale formalne kontrybucye, które — jak w ostatnich tygodniach dowiódł o sobie przed sądem biskup z Vigevano — wyższe były niż przyznane przez rząd dochody: dotąd włoscy liberali nie mieli dlań słowa nagany. Dopiero gdy rozzuchwalony powodzeniem, jak deptał wolność Kościoła, tak deptać począł i inne, zwłaszcza muncypalne wolności; gdy wreszcie i rzymską radę miejską rozpędził i zamianował wszechwładnym komisarzem królewskim

swego powiernika i brata w loży, Finocchiaro-Aprile, — otworzyły się wielom oczy, dzienniki zawiodły lament za utraconą wolnością; deputowani, stowarzyszenia wszystkich kolorów i odzieni, cały, rzecz można, Rzym zaprotestował przeciw rządowemu krokowi, powtarzając mniej lub bardziej głośno słowa Windthorsta, wygłoszone niedawno temu w niemieckim parlamencie: „Czasby już był, aby Crispi zeszedł ze stanowiska, na którym nadużywa swej władzy i potęgi, jaką daje mu potrójne przymierze przeciw Stolicy św. Nie jestem wprawdzie zwolennikiem p. Bonghiego, ale w każdym razie sędzę, że od Crispiego o wiele byłby lepszym!“

OKÓLNIK
KONZULA WŁO-
SKIEGO
W CHINACH.

Włoski kanclerz, którego, rzeczby można, dziecinne — gdyby w skutkach swych nie było tak szkodliwe — szamotanie się na wszystkie strony i paradowanie swą wielkością i potęgą, stało się przysłowiowem, — nietylko w samych Włoszech radby Kościół zgłębić, ale i za granicami Włoch, w krajach misyjnych, tamuje rozszerzanie się nauki chrześcijańskiej; zastawiając się pozornie o honor Włoch, przeszkadza właściwie misyonarzom w zbożnem ich dziele. Z teraz dopiero ogłoszonego, nader ciekawego okólnika włoskiej legacji w Pekinie, rozesłanego w grudniu 1888 r. do wszystkich włoskich wikaryuszów apostolskich w Chinach, wyszedł na jaw we wszystkich szczegółach traktat, zawarty pod koniec tego roku między Kwirynałem a Pekinem, traktat, zdaniem wszystkich misyonarzów, nader dla nich niekorzystny. Mocą tej ugody dziesięć wikaryatów apostolskich uznanych zostało za misye włoskie i poddanych pod protekcję włoskiej legacji; wszystkie urzędowe papiery włoskich misyonarzów, pracujących w tych wikaryatach, opatrzone być muszą wiza włoskiego konzula; misyonarze, którzy pod te rozporządzenia poddaćby się nie chcieli, i używali na przyszłość, jak używali dotychczas, paszportów zagranicznych, a w szczególności francuskich, mają być odprowadzeni pod chińską eskortą do najbliższego konsulatu włoskiego. „Jeżeli do tej umowy najściślej nie zastosujecie się, — pisze we wręcz nie dyplomatycznej,

ale grubijańskiej odezwie do apostolskich wikaryuszów włoski pełnomocnik w Chinach, Di Cariatì — natenczas sami sobie przypiszeć smutne następstwa takiego postępowania. W tym względzie niema co bawić się w iluzye. Legacya włoska była już zbyt często w konieczności składać pekińskiemu Tsong-li-Yamen (ministerstwu spraw zagranicznych) oświadczenia, które w umysłach Chińczyków wywołały — przesadne zapewne — wrażenie, że misyonarze włoscy są poprostu buntownikami... Słowa te raczy Przewielebność Wasza wziąć pod rozwagę, jako ostatnie napomnienie; rzeczaby było nad wszelki wyraz pożądaną, aby misyonarze włoscy z napomnieniem tem się rachowali⁴. Gdyby wątpić można o właściwych zamiarach włoskiego rządu, tak się kwapiącego do wzięcia pod swą opiekę katolickich misyonarzów, to sam ton powyższego okólnika, rozesłanego ze szczególnego polecenia Crispiego, wszelką wątpliwość mógłby chyba rozproszyć. „Rząd włoski bierze misyonarzów pod swą opiekę, a jakąż — pyta *Moniteur de Rome* — daje gwarancję samymże misyonarzom i Stolicy św.? Szczególny to opiekun, który wszędzie, gdzie może i jak może, misyonarzów zwalcza. Z drugiej strony wikaryusze apostolscy zależą wprost od Stolicy św., są organami wyłącznie duchownej władzy papieskiej. Kto stara się ich pod wpływ swój poddać, ten ogranicza wolność Stolicy św., występuje bezpośrednio przeciw duchowi praw gwarancyjnych; słowem, wkraça w dziedzinę, w której papież posiadać musi najzupełniejszą niezależność. Gdy tego rodzaju w obce sobie sprawy mieszająca się polityka posuwa się aż do grożenia prześladowaniem i gwałtem,— wtedy wszelkie rozumowanie staje się zbyt cennym. Walka to pod najwstrętniejszą formą: walka z wolnością duszy, z cywilizacją“...

WISSMAN
O MISYACH
KATOLICKICH
A PROTESTAN-
CKICH.

Istotnie misye katolickie i tylko misye katolickie budzą i szerzą na najdalszych krańcach świata prawdziwą wolność i cywilizację. Wyznali to odnośnie do Afryki, największą dziś ciekawość i zainteresowanie budzącej, najsłynniejsi podróżnicy protestanccy: Stanley,

Peters, Woermann; a w ostatnich tygodniach sąd ten potwierdził bez ogródki i bez zastrzeżeń również protestant, były komisarz niemiecki w Afryce wschodniej, głośny major Wissman, występując z najgorętszemi pochwałami dla działalności katolickich misyj, a wyrażając żal, że misye protestanckie na podobne pochwały nie zasługują. W rozmowie z współpracownikami monachijskiej *Allgemeine Zeitung* i londyńskiego *Times'a* żalił się Wissman gorzko na protestanckich misyonarzów, również angielskich jak i niemieckich. „Marnują oni — mówił — powierzone sobie olbrzymie sumy, lecz dusz nie nawracają; bawią się w politykę, a opowiadanie Chrystusowej Ewangelii, szczerzenie zasad moralnych, przez Ewangelię w świat wprowadzonych, kładą na ostatnim planie. Przeciwnie misyonarze katolicy, to prawdziwi pionierzy cywilizacyi i chrześcijańskiej moralności“. „Karność, panująca w Kościele katolickim — odpowiadał sam Wissman w berlińskiej *Post* na uczynione sobie ze strony protestanckiej wyrzuty — jest, zdaniem mojem, głównym powodem, dla którego misye katolickie takie przynoszą owoce, dla którego, bez najmniejszego powątpiewania, należy im przyznać pierwszeństwo. Katolicki misyonarz, obrawszy sobie raz pole działania, pracuje na niem przez całe życie; nader tylko wyjątkowo, i to wskutek choroby, zostaje do ojczyzny odwołany. Ceremonie, praktykowane w Kościele katolickim, żywiej też przemawiają do umysłu i usposobienia dzikich, niż obrane ze wszelkiego blasku ceremonie protestanckie. Kto zna nieco dzikie ludy, ten przyznać musi, że stoją one na zbyt niskim stopniu, aby odrazu i bez przygotowania pojąć mogły prawdy wiary chrześcijańskiej: dlatego należy na pierwszym miejscu wykształcić ich umysł, a następnie dopiero w umysł do pewnego przynajmniej stopnia przygotowany, prawdy wiary wlewać. Tak czynią misyonarze katolicy, stosując się do zasady: *labora et ora*; przeciwnie misyonarze protestanczy postawili w praktyce teorię: *ora et labora*... Wielu młodych, osobiście mi znanych misyonarzów protestanckich, ledwie przybyli do Afryki, a już się rozczarowali i coprędzej chcieli wsiadać na okręt i wracać do Europy... To parę tylko punktów;

wiele, wiele innych, wiele faktów mógłbym tu opowiedzieć, które aż za dostatecznie byłyby w stanie wytłómaczyć, dlaczego — pragnąc, aby misye protestanckie dzwignęły się z obecnego upadku — nie mogę dziś chować dla nich tej samej życzliwości, co dawniej“.

Na ten akt oskarżenia, wychodzący z ust tak kompetentnych, o stronnictwość dla katolicyzmu nie podejrzanych, usiłowało odpowiedzieć paru protestanckich misyonarzów i dziennikarzy; ale odpowiedzi te zaambarasowane, nie dotyczące jądra kwestyi, lub obelgami zamiast argumentami się posługujące, stwierdzają tylko ostatecznie prawdziwość słów i zapamiętywań Wissmana. Z najsilniejszą dyatrybą wystąpił profesor teologii protestanckiej, Warneck, w organie pastorów niemieckich *Reichsbote*; wszakże wywody jego nie były widać zbyt przekonujące, kiedy sama redakcja uznała za stosowne opatrzyć je następnym przypiskiem, dosadniej może jeszcze, niż zwierzenia Wissmana, charakteryzującym właściwy stan rzeczy:

Zastrzedz się musimy najwyraźniej, że w kwestyi tej nie stoimy na stanowisku, zajętem przez naszego korespondenta. I my otrzymaliśmy sprawozdanie o naszych misjach w Afryce wschodniej; a z tego sprawozdania, pochodzącego od męża zupełnie oddanego ewangelickim misjom, odnieśliśmy przekonanie, że stacye nasze misyjne potrzebują gruntownej reformy. Tak jak dotychczas, dalej iść nie może! Misjonarze muszą się zorganizować, muszą poddać się odpowiedniej karności; należy koniecznie ustanowić na misjach pewnego rodzaju biskupów. Sprzeniewierzylibyśmy się naszemu obowiązкови, pokrywając milczeniem tę sprawę; a mamy wrażenie, że będzie ona gdzieindziej bardzo na seryo poruszona.

LIST BISKU-
PÓW
JAPONSKICH.

Innym, pocieszającym dowodem, czem są katolickie misye i jak zadanie swe spełniają, był obradujący w marcu b. r. pierwszy synod katolickich biskupów z Japonii i Korei. Zebrani w Nagasaki wikaryusze apostołscy z Japonii południowej, północnej i środkowej, tudzież delegat misyi korejskiej wysłali wspólny list do dyrektorów luguńskiego dzieła „Rozszerzenia wiary“ z podziękowaniem za dobrodziejstwa, świadczone Azji przez katolicką Europę, z tre-

ściwym opisem prac apostołskich, podjętych na tych najdalszych wschodnich kresach. „Pragnęlibyśmy, — czytamy w tym liście — abyście wspólnie z nami mogli byli oglądać wspaniałe te pielgrzymki, które szły w tym miesiącu jedne za drugimi do świątyni 26 męczenników japońskich w Nagasaki, aby stać się tu uczestnikami duchownych łask, udzielonych nam przez Ojca św. tak prawdziwie po ojcowsku z okazji 25 rocznicy odnalezienia potomków dawnych chrześcijan japońskich (17 marca 1865 r.). I was wzruszyłby bez wątpienia widok tych tysięcy wiernych, przybyłych ze słynnej dziś doliny Urugami, ciągnących z głębi najbardziej oddalonych wysp, w długiej procesyi, z rozwiniętymi chorągwiami, z różańcem w ręku, z pobożnymi pieśniami na ustach. Dziękowalibyście Bogu, patrząc, jak obszerny nasz kościół pomieścić ich nie może, jak się cisną do Stołu Pańskiego, jak spędzają w najgłębszym skupieniu długie godziny, słuchając synodalnych nauk, biorąc udział w kościelnych ceremoniach, lub wreszcie jak klęczą pobożnie i modlą się na grobie biskupa Petitjean, spoczywającego na tem właśnie miejscu, na którym poznał i przywitał synów dawnych męczenników“...

EPISKOPAT
IRLANDZKI
O SZKOŁACH.

Jak episkopat austriacki, tak od dawniejszego już czasu episkopat irlandzki domaga się energicznie i konsekwentnie, aby katolickie dzieci otrzymywały w szkołach katolicką naukę i katolickie wychowanie. Żądanie to powtórzyli biskupi irlandzcy na odbytym w pierwszych dniach lipca synodzie w Maynooth, przypominając raz jeszcze z naciskiem odpowiednie rezolucye, powzięte na synodzie roku zeszłego. Jak poprzednio, tak znów obecnie biskupi zaproteutowali uroczystie przeciw t. zw. „szkołom wzorowym“ (*model schools*), przeciw którym oświadczyła się również królewska komisya szkolna, i wyrazili zdziwienie, że katolicy nie są dostatecznie reprezentowani w „Radzie wychowania narodowego“ i w „Radzie szkół gimnazjalnych“. „Odnosnie do uniwersytetów — czytamy w ważnym tym, a z nadzwyczajną śmiałością i jasnością skreślonym akcie — zaprotestować musimy przeciw

prześladowaniu katolickich Irlandczyków: wszak i oni, a nie sami tylko protestanci mają prawo do przywilejów i stypendyów rządowych. Nie jest naszym zamiarem nakreślić obecnie program nauk uniwersyteckich, z którego katolicka Irlandya mogłaby być w całej pełni zadowolona; czego jednak już dzisiaj katolicy irlandzcy domagają się i domagać się muszą — to, aby uczniowie szkół katolickich mieli w uniwersytetach zupełnie te same prawa i przywileje, które przysługują uczniom wychodzącym ze szkół niekatolickich. Prosimy naszych przedstawicieli w parlamencie: nie ustawajcie w swych zabiegach, pokąd nie wywalczycie sprawiedliwości dla katolickich swych współobywateli w tej tak ważnej kwestyi. Dlatego domagamy się od parlamentarnego stronnictwa irlandzkiego, aby wszelkimi możliwymi środkami zwracało na tę sprawę uwagę parlamentu, odmawiając nawet w danym razie rocznych kredytów dla szkół królowej. Prosimy biskupa z Ardagh, naszego przedstawiciela w senacie królewskiego uniwersytetu, aby podał się do dymisji na znak jawnego protestu przeciw nieustającemu niedbalstwu ministerstwa, lekceważącego sobie interesa katolickich Irlandczyków w uniwersytetach. Co się tyczy przedłożonego parlamentowi projektu do prawa o opiece nad dziećmi, — to prosić musimy irlandzkie stronnictwo parlamentarne, aby projekt ten energicznie zwalczało, dopokąd nie zostanie poprawiony w kierunku zabezpieczającym dzieci od niebezpieczeństw prozelityzmu“.

Co cechuje ludzi i stosunki, to że kiedy liberalne dzienniki wiedeńskie nie miały dość słów oburzenia dla „buntowniczych, podbudzających do walki przeciw państwowym instytucyom“ biskupów austriackich, kiedy wzywały nieomal prokuratorę, aby skonfiskowała wspólny list pasterski o szkołach wyznaniowych, — to w całej Anglii na myśl nikomu nie przyszło zaprzeczać biskupom irlandzkim prawa odezwania się, i to o wiele bezwzględniejszego odezwania się w tej mierze — prawa, a jak biskupi sami wyrażają się, nietylko prawa, ale i obowiązku rzucenia swego słowa i wpływu na szalę.

Ks. Jan Badeni.

WRAŻENIA Z DRUGIEGO ZJAZDU HISTORYKÓW POLSKICH WE LWOWIE.

Leży przedemną miły i pożyteczny towarzysz, a raczej przewodnik przed i w czasie Zjazdu historyków polskich we Lwowie; gruby tom, zawierający 29 referatów, bez wyjątku ważnych i ciekawych; za parę miesięcy okazać się ma drugi podobny tom, obejmujący — wedle stenograficznych zapisków — obrady, na Zjeździe przeprowadzone; w prasie codziennej podany był dzień po dniu główny przebieg tych obrad; nie miałoby więc ani racji, ani celu powtarzać systematycznie to, co o wiele dokładniej było, a w każdym razie będzie podane. Dlatego — choć materiału nie brak, choć mnóstwo osobistych notatek o spożytkowanie się prosi — ani się myśliny kusić o skreślenie jakkolwiek dokładnego obrazu Zjazdu. Z paru szczegółami tylko, z paru raczej wrażeniami niech się nam wolno będzie podzielić, choćby dla utrzymania honoru domu, t. j. *Przeglądu*, który, tyle stosunkowo miejsca u siebie historii poświęcając, ma przynajmniej obowiązek zawiadomić czytelników, że polski sejm historyczny się odbył i że, w przeciwieństwie do wielu innych sejmów, odbył się dobrze, porządnie, z niemałym bez wątpienia dla nauki i dla uczestników pożytkiem.

„Czy ten trzeci Zjazd — pytał na pierwszym posiedzeniu prof. Wojciechowski — będzie równie pożytecznym, jak dwa poprzednie: Długosza i Kochanowskiego; czy pozostaną po nim podobne ślady, podobne realne korzyści?“ W odpowiedzi dwóch zdań nie było i podobno niema.

Na drodze z Krakowa do Lwowa, gdzie w czasie ostatniej nocy, poprzedzającej otwarcie Zjazdu, wagony zamieniły się w salki, w których odbywały się przedwstępne, urzędowym programem nie objęte posiedzenia; godzili się wszyscy na oddawanie inicjatorom i organizatorom Zjazdu najwyższych pochwał; powtarzali niejako z góry późniejsze, przez wszystkich zebranych tak jednomyślnie i szczerze złożone podziękowania. I znowu z powrotem, gdy paru uczestników w wagonie, czy na stacyi kolei, przypadkiem się znalazło, założyć się było można, że pierwsze zdanie, które po uściśnieniu ręki do siebie wypowiedzą, będzie: „Zjazd wybornie się udał“; — drugie:

„Co za szkoda, że główny organizator, prof. Liske, w Zjeździe wziąć nie mógł udziału“; — trzecie: „Ale przyznać trzeba, że generalny sekretarz, p. Balzer, godnie go zastępował; trudów i pracy nie szczędził, a jeżeli Zjazd tak dobrze był we wszystkich szczegółach przygotowany i tak świetny miał przebieg, to tym właśnie jego trudom i pracy, taktowi i pojednawczemu usposobieniu, w lwiej części należy zawdzięczyć“.

Referaty i rozprawy równie na wspólnych posiedzeniach, jak i w literacko-historycznej sekcji I i zajmującej się specjalnie archeologią, historią sztuki, dyplomatyką i numizmatyką, sekcji II, poruszyły mnóstwo ważnych, nawet dla profanów — jak świadczyły licznie obsadzone galerye — interesujących kwestyj. Z mniejszej sali, w której obradowała sekcja II, dochodziło wciąż do wielkiej sali ratuszowej, przeznaczonej dla sekcji I, echo grzmiących oklasków; członkowie tej sekcji opowiadali, że referaty były znakomite, dyskusya czasami bardzo ożywiona: nie będąc sam przy dyskusyi obecny i w obcym dla siebie przedmiocie, na tych paru ogólnikach muszę z żalem poprzestać.

Wstępem do narad był wygłoszony na pierwszym ogólnem posiedzeniu wykład prof. Bobrzyńskiego: „O kierunku nowszych prac nad historią organizacyi społecznej w Polsce“; wykład, którego widocznym celem w myśli organizatorów Zjazdu było skreślenie krótkiego obrazu najważniejszych prac i usiłowań historycznych w ostatnich latach, obrona nowej historycznej szkoły, zwłaszcza przed zarzutem wprowadzania do historii nowej jakiejś doktryny; urzędowe, rzeczby można, choć w bardzo szerokich granicach obracające się wytknięcie programu dla przyszłych usiłowań. Przyszedł już czas, — mówił krakowski profesor — w którym historię niejako zewnętrzną państwa, jego stosunków z obcemi narodami; uzupełnić należy historią społeczeństwa, przypatrzeniem się nie tylko zewnętrznym czynom narodu, ale i samemuż jego organizmowi. Pierwszy krok na tej drodze zrobił Wojciechowski w „Chrobacyi“; poszli za nim, rzucając cały pęk światła na wewnętrzne dzieje naszego kraju: Smolka, Piekosiński, Małecki, Pawiński, Łoziński i t. d. Od wieku XV organizacya społeczna już w najgłówniejszych konturach jasno przed nami stoi; dalej półzmrók, jeżeli nie zmrok panuje, a zadaniem przyszłych badań zmrok ten usunąć, dotrzeć do pierwotnej formy społecznego ustroju w Polsce, rzucić więcej, ile można najwięcej światła na jego

rozwój, na historię odrębnych warstw i stanów, aż pokąd w znanych nam już dobrze kształtach się nie skryształizowały.

W poufnych pogadankach, na obiadach i rautach, na których lwowska Rada miejska, Koło artystyczno-literackie i paru z wybitniejszych przedstawicieli umysłowego życia we Lwowie, gościli i zapoznawali ze sobą uczestników Zjazdu, słyszeć się nieraz dawały obok słów uznania dla wykładu p. Bobrzyńskiego niemniejsze skargi, że nad wykładem tym nie otworzono dyskusyi, nie dano prelegentowi sposobności do skruszenia kopii z przeciwnikami, nie wchodzimy w tem miejscu: „nowej“ czy „starej“ doktryny. W każdym razie rzecz cała, nie przeszedłszy przez ogień dyskusyi, zbladła i nie wzięła interesu, do którego miała prawo, a które obudził w tak wysokim stopniu referat T. Korzona, przeciwnika — przynajmniej aż do chwili ukończenia Zjazdu historycznego — p. Bobrzyńskiego i całej t. zw. „szkoły krakowskiej“¹. Od pierwszej godziny Zjazdu główny interes zwrócił się ku temu referatowi, o nim mówiono na każdym kroku; po sali obrad krążyły nawet z rąk do rąk rękopiśmienne świstki, usiłujące — nie powiemy, żeby nazbyt dowcipnie — skarcić biczem satyry autora „Dziejów wewnętrznych Polski“. Istotnie p. Korzon wystąpił z arcyśmiałami — mówiąc już dyplomatycznie — poglądami i wnioskami. Wyliczywszy cały poczet znakomitszych nowszych polskich historyków, zebrawszy starannie wszystkie zachodzące w nich w ogóle drobiazgowce, często pozorne raczej, niż rzeczywiste sprzeczności; rzucił p. Korzon nowszym historykom, a w szczególności „szkołe krakowskiej“, w oczy ciężki zarzut: „Albo sami nie wiemy, albo kłamiemy... Szukamy kozłów ofiarnych w przeszłości, by własną usprawiedliwić nieudolność... Historię, przyjmując

¹ Przeciw wyrażeniu temu podniesiono kilkakrotnie energiczny protest: „Niema szkoły krakowskiej, warszawskiej, lwowskiej, jest tylko szkoła polska!“ Jeżeli słowa te oznaczać mają, że wszyscy polscy historycy mieć muszą pewne wspólne zapatrywania i ideały i że nigdy — choć mają w jakiej kwestyi odmienne zdanie — nie powinni się wzajem ranić i kaleczyć, to na to naturalnie zgoda najzupełniejsza. Ale gdzie ruch historyczny tak jak u nas rozwinięty, tam z natury rzeczy tworzyć się muszą pewne grona historyków, bardziej do siebie stosunkami zbliżonych, podobnej metody się trzymających, którzy, wzajemnie dopomagając sobie w swych studiach, mają lub dochodzą do podobnych teoryj i przekonań. To też praktycznie, wbrew zastrzeżeniom, odbijały się ciągle o uszy wyrazy: szkoła prof. Liskego, szkoła krakowska, historycy warszawscy i t. d.

hasło: *Historia est magistra vitae*, zmieniliśmy w służebnicę polityki; kazaliśmy jej trwożnie oglądać się na katolickie dogmaty, dynastyczne interesy, słowem, zaprzęgliśmy ją w jarzmo osobistych sympatyj i antypatyj, zatracając samą obiektywną treść nauki; odgradziliśmy na koniec historię własnego narodu chińskim jakimś murem od historii świata całego, o której pierwsi nasi dziejopisarze ledwie że szkolne, nad wyraz niedokładne mają wyobrażenie. Oto główne błędy historyografii naszej w budowaniu dziejów Polski. Chcąc zatem — zakończył referent, do praktycznych wniosków wykład swój sprowadzając — uniknąć na przyszłość dotychczasowych fatalnych błędów, chcąc wystawić w odpowiednem dla siebie miejscu godny tego imienia gmach historii polskiej, w którym sama tylko prawdaby królowała, chcąc „napisać historię na nowo“, rzeczą jest niezbędną:

„1) Naganić stosownie do badań i do wykładu dziejów frazesu Cyclerona: *Historia est magistra vitae*, a w razie konieczności przytoczenia tych słów w jakimkolwiek związku myśli dodawać przestrożę, że dla życia mistrzostwo historii nie różni się zgoła od mistrzostwa wszelkiej innej nauki czystej, a nie dorównywa użyteczności nauk stosowanych, gdyż zadaniem jej jest tłumaczyć nam świat dzieł ludzkich, oddziedziczonych tak z najodleglejszej, jak z bliższej przeszłości, a mieszczących się w istocie naszej zasobów wiedzy i woli.

2) Odrzucić subiektywizm utworzonej w ostatniem 20-leciu szkoły krakowskiej, wybujały tak dalece, że zamiast określenia cech wieku, faktu lub działacza historycznego, członkowie jej wysuwają zarliwość swoją dla wyznania (sic!) katolickiego, uległość swoją Kościołowi rzymskiemu, lojalność swoją względem dynastji... jednym słowem, sprawy swoje osobiste, zatracając samą treść nauki, która zarówno potrzebną i pożyteczną jest kuryi rzymskiej, dynastyom i narodom.

3) Gdy szkoła średnia dostarczała i dostarcza zaledwie nomenklatury i zewnętrznych rusztowań historii powszechnej... pożądanem jest, aby *Kwartalnik historyczny* i Towarzystwo historyczne brakowi temu zapobiedz się starało“.

Ostatniemu z postawionych wniosków — które tu w głównych ustępach słowami p. Korzona staraliśmy się powtórzyć — nikt w zasadzie sprzeciwiać się nie mógł; zgodzono się też nań jednomyślnie, choć w nieco zmienionej stylistycznej formie, przedłożonej przez dr. Balzera. Natomiast przeciw samej głównej treści referatu i dwóm pierwszym wnioskom powstałi energicznie dr. Balzer i ks. dr. Skrochowski; za referentem, i to z wielu zastrzeżeniami, raczej tłumacząc

go i wymawiając, niż wprost broniąc, wystąpił warszawski jego kolega, dr. Piotr Chmielowski. „Porozumiejmy się najprzód — mówił ks. Skrochowski, do samego jądra rzeczy wnikając — co to jest subiektywizm, co obiektywizm¹ i o ile dla człowieka tu na ziemi sąd ściśle obiektywny i w jakim znaczeniu jest możliwy. Każdy człowiek, wydający sąd o historyi, ma swe przekonania; ztąd każdy taki sąd nazwaćby można subiektywnym. Odnosnie do zdania, czy zarzutu: „Historyk, badając dzieje, zapomnieć winien o katolickich zasadach, kierować się nimi nie powinien, owszem, całą katolicką naukę uważać ma za obowiązek jakby za niebyłą, nie istniejącą“ — to dwa tylko w tym kierunku możliwe są stanowiska rzeczywiście naukowe: jeden miał czas i sposobności zgłębić, że jedynie prawdziwą, od Boga objawioną jest religia katolicka — a taki, posiadając już prawdę, podobnego zarzutu nie postawi; drugi, czasu może i sposobności do badania nie mając, powiada poprostu: „nie wiem“. Kto natomiast przeciw nauce katolickiej powstaje, choć niema dowodu, że jest ona nieprawdziwą, ten nie stoi na stanowisku naukowem; ten wydaje tylko — jak uczynił to p. Korzon — subiektywny krzyk przeciw pojęciom, które mu się nie podobają“.

Słowa te energicznego protestu zrobiły tem większe wrażenie, tem więcej i huczniejszych wywołały oklasków, że grunt pod nie przygotował poprzedni, prawdziwie znakomity wykład prof. Balzera: apologia w najlepszym słowa tego znaczeniu dotychczasowej historyografii polskiej i tak bezwzględnie zaczepionych jej przedstawicieli. Co ważniejsza, a na wszelkiego rodzaju sejmach i zjazdach niezwyčajniejsza, wywody te przekonały nietylko tych, którzy dawno już byli przekonani. Sam p. Korzon wyznał głośno na uczcie składkowej: „Jestem zwyciężony i cieszę się, że mogę się uznać zwyciężonym!“ Tak Zjazd w tej przynajmniej mierze stał się — wedle pięknego życzenia, wyrażonego przez generalnego swego sekretarza — gałązką oliwną, niosącą pokój między różne historyczne stronnictwa, między odmienne zapatrywania na naszą przeszłość i przyszłość. Miejmy nadzieję, że gałązka ta nie uwiednie i nie zniknie bez śladu z wędnie-

¹ Jak głębsze takie porozumienie byłoby niezbędnem, tego najlepszym dowodem następne przemówienie p. Mańkowskiego, który mimochodem rzucił uwagę: „Kto wie, czy porządek naszego myślenia odpowiada obiektywnemu porządkowi rzeczy“. Niebezpieczna to, a może raczej tylko bezcelowa gra poruszać — między dwoma frazesami — tego rodzaju kwestye, i to na Zjeździe historyków!

jącami po wspólnej uczcie kwiatami, z ostatnim dźwiękiem polskiej pieśni, żegnającej nie „gości“, — jak pięknie się wyrażono — ale członków, choć rozproszonych, to przecież jednej rodziny.

Za kilku tymi rycerzami, co z rycerską zaciętością, ale i galanterią do ważnych i zasadniczych, ale raczej teoretycznych stawali turniejów; szły całe szeregi bez wyjątku już nie błędnych rycerzów z praktycznymi postulatami i wnioskami. Słuchając, jak p. Antoniewicz rzucał gromy na dotychczasowe „okropne“ wydania polskich poetów, a z rzadką energią i wymową domagał się na pierwszym miejscu krytycznego wydania i polskich i zwłaszcza francuskich, dotąd jeszcze niedrukowanych utworów Krasńskiego; jak dr. Windakiewicz przedstawiał opracowany przez siebie na bardzo wielką skalę, jedynie przez zbiorową, należyście zorganizowaną pracę do przeprowadzenia możliwy plan historii szkół polskich wogóle, a uniwersytetu krakowskiego w szczególności; jak prof. Lewicki zalecał wydawanie źródeł i opracowanie monografii z w. XV; prof. Kubala zaklinał, aby i dziś już nie zapominać o w. XVII, choć źródła do poprzednich czasów nie są jeszcze wydane i nie może być nadziei, aby prędko w całości wydanymi być mogły; jak inni znowu zwracali uwagę na konieczność wydania zupełnego zbioru polskich ustaw średniowiecznych; całego kodeksu *reformationis polonicae*; ważniejszych źródeł z miejskiego archiwum w Łwowie; pomników dziejopisarstwa polsko-ruskiego; na konieczność zajęcia się dziejami Rusi Czerwonej za czasów Rzeczypospolitej i po rozbiórce Polski; — słuchając tych wszystkich i nie tych tylko jedynie żądań, postulatów, których ważność i konieczność Zjazd niemal bez wyjątku uznawał, mimowoli nasuwało się pytanie: czy program to nie za obszerny, czy prace zbyt się nie rozstrzelą, czy odnośne uchwały Zjazdu mają, mieć mogą jakąś praktyczną wartość? Pocieszającą odpowiedź dawały wspaniałe, w konkretnej formie mnóstwa wydanych aktów, dokumentów, ksiąg, przedstawiające się owoce zjazdów: Długosza i Kochanowskiego; napawał otuchą widok licznego zastępu tych młodszych zwłaszcza, koło zasłużonego swego Wodza w Towarzystwie historycznem gromadzących się, świętym ogniem przejętych wydawców, badaczy, redaktorów *Kwartalnika*. Jednością silni; rozumni, nie szaleńcy, ale wytrwali, mrówczą pracą; gdy już urwali łeb hydrze pierwszych trudności, to zduszą i centaury, a zapalą z pracą złączoną stworzą cuda; dzisiejsze życzenia i marzenia w rzeczywistość przemienia...

Wszystkie te różnorodne wydawnictwa, których tak energicznie z kolei różni mówcy się domagali, nie mogą oczywiście w najbliższym już czasie przyjść do skutku: wiele lat przeminie, wielu pracowników do pługa tego będzie musiało w pocie czoła ręki przyłożyć i pieniędzy hojny strumień będzie mu iał popłynąć, zanim obszerny wydawniczy program przez Zjazd w teorii przyjęty, w całej pełni wejdzie w wykonanie. Co dziś już uczynić można, co nie domaga się tak kolosalnych nakładów czasu, sił i pieniędzy, a co z pewnością nie mniejszej będąc wagi, z czasem może główne wydawnicze postulaty umożliwi, to zakreszenie szerszych kręgów przez polski ruch historyczny, sprowadzenie go ze Lwowa i Krakowa do miast i miasteczek prowincjonalnych, do wiejskich probostw, szkół i dworów. Twórca historycznego ruchu we Lwowie, prof. Liske nakreślił w ogólnych zarysach plan, który jeżeli choć w części spełnionym zostanie, to niebawem cała Galicya — bo o innych dzielnicach Polski mówić na razie trudno — zasianą zostanie naukowemi kółkami i stowarzyszeniami, okażą się nader ciekawe, szczegółowe opisy pojedynczych okolic i powiatów, zawrze na prowincyi naukowe życie. Zapewne, stowarzyszenia takie nie powstaną same z siebie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; ale że są możliwe, kwitną i wydają owoce, byle się kto ich organizacją na seryo zajął, to okazał prof. Kubiszał, opowiadając o historycznem kółku, założonem przez siebie w Kołomyi. Rzecz prosta, że Zjazd jednomyślnie i z entuzjazmem przyjął przedłożony sobie wniosek: „Wzywa się Towarzystwo historyczne, aby przystąpiło niebawem do ukonstytuowania kółek naukowych w odpowiednich miastach i miasteczkach naszego kraju“; ani wątpić, że nietylko wezwane do tego specjalnie przez jednego z mówców dziennikarstwo, ale całe nasze społeczeństwo całą siłą sprawę tę poprze.

Jak poprzeć ją praktycznie; jak każdy, który rozumie, że historia nauczycielką jest życia i że jeżeli wszędzie ważną zajmuje rolę, to u nas odrębne ma jeszcze zadanie, jest nam bardziej bodaj niż poezya „arką przymierza między dawnymi i młodszy mi laty“, — jak każdy o tem przeświadczony, choć obowiązek inną mu taczkę ciągnąć każe, przyczynić się jednak może do spopularyzowania i rozwinięcia naukowego ruchu, do szybszego posunięcia naprzód wydawnictwa historycznych źródeł, do umiejętnego — na co, zdaniem wszystkich, czas już nadszedł — ich spożytkowania? Żywią, ciąglą odpowiedź na te pytania, — tem żywszą, że samo z nią nie narzucało się ani na chwilę — dawało lwowskie Towarzystwo historyczne.

Każdy jego członek, choćby tem samem tylko, że roczną zapłaci wkładkę, a czytając *Kwartalnik*, dowiaduje się, co się u nas robi i na razie do zrobienia najpilniejsze, staje się pożytecznym pomocnikiem w wielkiem dziele i prorokować można na pewne, że niezadługo prześle do Towarzystwa wspólną z wkładką pieniężną i wkładkę swej pracy. Gdyby Zjazd do tego się tylko przyczynił, że wszyscy obecni poznali i ocenili znakomitego organizatora, który do Lwowa ich sprowadził, nad wyraz gościnnego gospodarza: Towarzystwo historyczne; gdyby się tylko przyczynił do wzmocnienia jego szeregów, do zapełnienia kasy — byłby to pożytek wielki i nader wielki.

Z powrotem do Krakowa, na jednej z większych stacyj kolei państwowej spotkałem dwóch uczestników Zjazdu, — dwóch redaktorów pism, wychodzących w dwóch różnych dzielnicach naszej ojczyzny. Zaslugą Zjazdu było, żeśmy nie przeszli obok siebie nieznanymi, obojętnie; że od razu wszczęła się zajmująca i pouczająca gawędka. Potoczyła się ona naturalnym trybem rzeczy o dopiero co odbytym Zjeździe i, bez zastrzeżeń — choć podobno w wielu innych materyach mielibyśmy sobie do zrobienia niejedno zastrzeżenie — przyznaliśmy zgodnie: „Zjazd świetnie się udał; niepodobna, aby wielu i dobrych skutków po sobie nie zostawił“. — Nie pytałem się, czy jednym z tych dobrych skutków było zapisanie się, a przynajmniej silne postanowienie zapisania się mych towarzyszy do Towarzystwa historycznego; — to samo z siebie się rozumiało.

Ks. Jan Badeni.



ROBOTNICY POLSCY W SAKSONII.

Przed kilku miesiącami podaliśmy w *Przeglądzie* ¹ na tle listów i relacyj polskich misjonarzy i samychże robotników, ogólny obraz polskiej emigracyi do Niemiec, dobrych i złych jej następstw, wesółych i smutnych dni, spędzonych na obczyźnie: w Saksonii, Westfalii, Brandenburgii. Obraz ten przedstawiał w grubych, węglem kreślonych zarysach, co pchnęło wędrowców naszych na Zachód, jakie tam życie pędzą, jak modlą się i pracują; ale będąc złożonym z wrażeń, opowiadań i listów, bez z góry ułożonego planu, dorywczo na papier rzucanych, nie obejmował całości tego ruchu, szkicował niemal wyłącznie zewnętrzne tylko jego objawy, nie podawał jakkolwiek dokładnych dat statystycznych. Gruba niemiecka książka: *Die Sachsenengängerei* ², opracowana sumiennie przez znanego ba-

¹ „Emigracya ludu polskiego do Niemiec“. *Przegląd Powszechny*, z grudnia 1889.

² *Die Sachsenengängerei*, auf Grund persönlicher Ermittlungen und statistischer Erhebungen dargestellt von Karl Kaerger Dr. jur. Berlin 1890, S. 284. Przedmowa datowana w marcu b. r. — Autor szczególnych sympatyj dla nas nie żywi; tak np. ustanowienie „Komisyi kolonizacyjnej“ uważa za rzecz najnaturalniejszą w świecie; „energiczną, rozumną jej działalność“ wychwala pod niebiosa; na Polaków zapatruje się zawsze jako na szczepek niższy, z samej natury swej niezdolny do zrównania się z Niemcami. O stronniczość więc na naszą korzyść posadzić go nie można; choć z drugiej strony przyznać trzeba, że gdzie oczywistość uznać mu każe pewne przymioty i zalety Polaków, tam, ofiarę prawdzie składając, i przed tym obowiązkiem się nie cofa.

dacza brazylijskich ekonomicznych stosunków, dra Karola Kaergera, a opracowana na podstawie i własnych kilkumiesięcznych obserwacji i przedewszystkiem urzędowych dokumentów, które dla niemieckiego uczonego tajemnic nie miały, — pozwala nam obecnie poprzedni szkic uzupełnić i całemu temu tak ważnemu w sobie i w skutkach swych ruchowi bliżej i dokładniej się przypatrzyć. Na wszystkie żądania dra Kaergera, na wiele z jego zasad i zapatrywań godzić się nie możemy; ale skrzętnie zebrane cyfry i fakty same za siebie przemawiają, i ostatecznie — choć nie zawsze może z całą świadomością autora — prowadzą do wniosków, do których doszliśmy już na innej drodze, z innego wychodząc stanowiska.

W ostatnich latach kilkunastu pomnożyły się w Niemczech fabryki cukru, a naturalną konsekwencją wzrosła uprawa buraków w nadzwyczajnych rozmiarach; dość powiedzieć, że kiedy w r. 1878 przestrzeń ziemi, obsadzona burakami, w całym cesarstwie niemieckim wynosiła 172.595 h. — to w r. 1882 rozciągała się już na 278.906 h. W Poznańskim, gdzie uprawa buraków na większą skalę rozpoczęła się właściwie dopiero w tem czteroleciu, zagarnęła w roku 1885¹ około 21.000 h.; w Prusach Zachodnich 15,600 h.; na Szlązku 56,391 h.; w Hanowerze przeszło 25.000 hektar.; najbardziej wszakże nietylko w Niemczech, ale i na całej kuli ziemskiej rozwinęła się uprawa buraków w pruskiej Saksonii, gdzie — w tymże samym czasie — poświęcono na nią 116,410 h. Tu też najdawniej i najżywiej czuć się daje dotkliwy brak miejscowych sił roboczych. W innych prowincjach trzymają właściciele rocznie płatnych, a w każdym razie stałym kontraktem związanych parobków, którym dają mieszkanie i ordynaryę, pozwalają trzymać krowę i parę świń. W Saksonii grunt za drogi, aby się opłaciło robotnikowi go oddawać: ztąd płaca w naturaliach zdawna już przekształciła się na płacę w brzęczącej monecie; a gdy nadto panowie patrzą bardzo niechętnie, gdy pracujące

¹) Z tego roku mamy ostatnie urzędowe sprawozdanie w tej mierze.

u nich rodziny chowają drób, a trzymać bydła absolutnie nie pozwalają, — to nie dziwnego, że stałych, stałemi węzłami i interesami związanych ze sobą robotników znaleźć im trudno. Dawniej stawały na buraczanych polach w gęstych szeregach płatne od dnia miejscowe kobiety i dziewczęta; dziś, wzrósłszy w zamożność, nie myślą rąk walać męczącą a mało zyskową pracą, a w najlepszym razie żądają znacznego podwyższenia płacy, na które właściciele nigdy nie chcieliby, a często i nie mogą przyzwolić.

Wobec takich stosunków, rzecz prosta, że w Brunshwiku, Hanowerze i w innych prowincjach, w których podjęto uprawę buraków na większą skalę, a zatem na pierwszym miejscu w Saksonii, oglądać się nie od dzisiaj poczęto za zamiejskowym, tańszym i mniej wymagającym robotnikiem. Pierwszą taką „buraczaną“ wędrowną podjęły przed kilkadziesiąt laty — zawsze ze wschodu na zachód — energiczne dziewczyny z Eichsfeld w obwodzie erfurckim; a gdy wyprawa kilka razy dobrze się powiodła, poszło za danym przykładem wiele bliższych i dalszych, równie jak eichsfeldzkie przeludnionych okolic. Całemi karawanami szli do Saksonii robotnicy, a zwłaszcza robotnice z Frankfurckiego, Pomeranii, Prus Zachodnich; dotarliszy do ziem polskich, prąd ten wzmógł się na sile, — i dziś polscy parobcy, polskie zwłaszcza dziewczyny, niezgrabniejsze może, ale pracowitsze, moralniejsze i mniej wymagające, wypędzają coraz dalej na Zachód niemieckie swe koleżanki. Załamują one ręce, ale wogóle nie próbują nawet rywalizować z „bosemi, na wiatr, deszcz, słońce, głód i pragnienie nieczułymi Polkami“.

Co polskiego robotnika, najbliższe ledwo miasteczko znająca polską dziewczynę, ciągnie na zachód daleki, językiem i obyczajem obcy? Pytanie to tem ciekawsze, że w samem np. Poznańskim pracy nie brak; do uprawy buraków, do zbioru kartofli, sprowadzać trzeba nieraz ludzi ze stron dalszych: ze Szląska, z Pomeranii — o Królestwie polskiem już nie mówiąc, — a pilny robotnik, zgodzony na akord, więcej sobie może nieraz zarobić w Poznańskim, niż w Saksonii.

Bezwątpienia bardzo różne i różnej wagi względy w grę tu wchodzi. Poznańscy gospodarze — jak zapewnia dr. Kaerger — domagają się roboty o wiele akuratsniejszej, a co ważniejsza, polscy robotnicy na obczyźnie dopiero uczą się pracować nie tylko pilnie, ale i rozumnie: nie marnując zatem czasu i nie pracując z wymaganą w rodzinnych stronach nieco pedantyczną akuratnością, o wiele więcej w gruncie zarabiają. W domu o zarobek trudno; gdy się nadarzy, np. gdy w jakiej okolicy rząd szosę buduje, liczba „saskich wędrowców“ odrazu i znacznie się zmniejsza. Ale jak dawni wędrujący czeladnicy, tak dzisiejsza młodzież szlaska czy poznańska, nie dla samego tylko zarobku w świat ciągnie. Trzeba przecież trochę poznać cudze zwyczaje i obyczaje; skosztować obcego chleba, przekonać się samemu czy on bielszy, czy czarniejszy; zobaczyć własnymi oczyma owe dziwa, o których tyle opowiadają kole-dzy i koleżanki; zebrać sobie na własną rękę, na własne potrzeby lub zachcianki trochę grosza, który w domu pracując, trzeba by oddać rodzicom lub starszym krewnym do rozporządzenia; niejeden rad i wolności zażyć, sam sobie być panem, gdy w rodzinnej zagrodzie słuchać musi rozkazów ojca i matki, napomnień starszego rodzeństwa, utyskiwań, żalów, może i przekleństw żony lub męża...

Gdy do wydzierającego się w świat, zaciekawionego opowiadaniem o istniejących i nieistniejących pięknościach i awanturach, parobka lub dziewczyny, przyjdzie agent i zapyta: „Cóż, nie pójdziesz na wiosnę do Saksonii — nie chcesz się ubrać w takie suknie i chustki i kapelusz, jak je sobie przywiozła Kaśka lub Maryśka, nie chcesz trochę po świecie się rozejrzeć, pieniędzy na przyszłe gospodarstwo sobie zebrać?“ — to grunt zbyt przygotowany, aby nasienie to się nie przyjęło; to zbyt silna pokusa, aby można jej się było oprzeć, i nie podpisać swego nazwiska na wystawionym w karczmie lub krążącym od domu do domu arkuszu. Z agentem znów nie spotkać się niepodobna: zbyt ich wielu, zbyt roztropnie i zapobiegliwie roztawiają swe sieci. Odrębny to niejako rodzaj przemysłu, którego przedstawiciele dzielą się na rozliczne klasy

i kategorye. Kto ani słowa po polsku nie umie, a na najęcie sobie tłumacza odpowiednich środków niema, ten zwrócić się musi do mniej opłacających się okolic niemieckich; szczęśliwsi rozbijają swe namioty w polskich wioskach. Jedni operują na własną rękę, odstępując później swym kolegom lub saskim gospodarzom, formalnie handlując zawerbowanymi do pracy; inni — i tych liczba o wiele znaczniejsza — wysłani są przez swych panów, u których w lecie spełniają urząd dozorców, rządów, ekonomów, z poleceniem zarekrutowania pewnej oznaczonej liczby robotników. Do miejscowości, z których w poprzednich już latach wyszła na zachód znaczniejsza liczba robotników, nie udaje się zazwyczaj sam agent, ale najmuje miejscowe, z pracą w Saksonii obeznane dziewczyny, którym bez porównania łatwiej namówić swe towarzyszkę do podpisania kontraktu. Główny agent otrzymuje zwykle od głowy 3 mr., z czego 1 mr. zapłacić musi wynajętej przez siebie podajentce; w razie znaczniejszego napływu robotników ceny te obniżają się. Polskie dziewczyny, nie zostające na żołdzie agentów, ale agitujące z bezpośredniego polecenia saskich gospodarzów, u których poprzednio pracowały, nie biorą więcej niż markę za głowę. W ostatecznym razie, gdy wysłani lub ugodzeni w Niemczech ajenci nie mogą ściągnąć dostatecznej liczby robotników, konieczność zmusza do użycia pomocy miejscowych, stale w różnych miastach i miasteczkach wszelkiego rodzaju pośrednictwami trudniących się faktorów. Do tej pomocy uciekać się muszą panowie z Poznańskiego, sami potrzebujący robotników; gospodarze sascy, ile mogą, konieczności tej starają się uniknąć, bo faktor taki każe sobie płacić najmniej 6 mr. od osoby, a nadto w interesie nie zawsze sumiennością się odznacza.

Pierwszego kwietnia rozpoczyna się wędrówka na zachód. Olbrzymie wozy, obładowane pierzynami, zawiniątkami i kuframi dziewcząt, zawiniątkami i kufreczkami parobków, ciągną z wsi, wiosek i zagród do najbliższej stacyi kolei żelaznej. Tu czeka już agent-dozorca, kupuje bilety czwartej klasy, towarzyszy i pilnie strzeże zebraną gromadkę aż do chwili,

w której nie otworzą się przed nią „koszarowe“ bramy w Saksonii, Westfalii lub Hanowerze. Koszta transportu, odbywającego się regularnie przez Berlin, opłaca sprowadzający na podstawie podanego sobie rachunku, lub oddając agentowi całą podróż w antreprzyę za 10—14 mr. od osoby. Naturalnie, koszta te zostają następnie potrącone od zarobku wędrowców.

Zarobek ten wogóle dość znaczny, ale i praca ciężka, czasem na młodociane siły pracujących za ciężka. Dzień roboczy rozpoczyna się regularnie o 5 rano, a kończy o 7 wieczorem, z półgodzinną przerwą na śniadanie, jednogodzinną na obiad i półgodzinną na podwieczorek. W razie potrzeby, pracodawca ma prawo, na mocy zawartego kontraktu, czas roboty przedłużyć, a w takim razie za każdą godzinę płaci mężczyźnie $12\frac{1}{2}$ —15 fen., kobiecie 8—10 fen. Zwykła płaca dzienna mężczyzny wynosi 1·50 mr., młodego parobka 1·25 mr., kobiety 1 mr. W jednej miejscowości płaca ta podnosi się dla mężczyzn do 1·60 mr., a w czasie żniw do 2 mr.; dla kobiet do 1·20 mr., a w czasie żniw 1·80 mr.; w innej spada do 80 fen. dla kobiet, 1·20 mr. dla mężczyzn. Wędrowcy wszakże nasi pracują wogóle na akord; idąc na obczyznę, chcą zarobić jak mogą najwięcej, sił nie szczędząc, a praca akordowa szersze oczywiście pole w tym kierunku im otwiera.

Najwięcej zarabiają kosiarze: od 3 aż do 5·50 mr. dziennie; dziewczyny, zbierające i wiążące zboże, 1·17 mr.—3·02 mr.; kopiące kartofle przy pewnem, choć nie nadzwyczajnem wytężeniu około 1·46 mr.; przesadzające i kopiące buraki od 1·38—2·28 mr., a w paru wyjątkowych wypadkach aż do 3 mr.; zajęte przy młóceniu zboża 1·20—1·63 mr. Zarobek dozorców większym jeszcze stosunkowo podlega oscylacyom, zwłaszcza gdy nie stosuje się do liczby dni roboczych, ale do wielkości pracy, wykonanej przez podległych robotników. W pierwszym wypadku dozorca otrzymuje zazwyczaj 2·50 mr. dziennie lub też pobiera miesięczną pensję od 60 aż do 100 mr.; w drugim wypadku, coraz zresztą rzadziej zachodzącym, nader trudno jest obrachować, choćby tylko w przybliżeniu, przeciętny zarobek. W wielu miejscowościach otrzymuje dozorca po po-

myślnem ukończeniu robót gratyfikacyę od 100—150 mr., lub pewną kwotę np. 50 fen. od każdego morga buraków, uprawionego przez ludzi, zostających pod swymi rozkazami.

Ileż, razem wzięwszy, przechodzi, ile pieniędzy zostaje w rękach naszych robotników i robotnic z czasu całej saskiej kampanii t. j. mniej więcej 30 tygodni ciężkiej pracy? Wnioskując z paru miejscowości na inne, pracowita dziewczyna zarabia sobie najmniej 370 mr., najwięcej 425 mr.; nie leniący się do roboty parobek, najmniej 495 mr., najwięcej 585 mr.; przecięciowo zatem dziewczyna zarabia około 395 mr., parobek około 540 mr. Tyle pieniędzy dostaje się do kieszeni pracujących wędrowców; ale odliczywszy niezbędne wydatki, zostaje z nich ogólnie, jako czysty dochód, około 150 mrk. Niektórzy szczególną oszczędnością i pilnością, zasilając się nadomiar prowiantami, nadsyłanemi z domu, dochodzą do zebrania o wiele wyższej sumy, 250—300 mr.; ale wyjątkowe te zarobki są rzadkie, a nieraz zdrowiem, czasem życiem przepłacone. Bo i na czemże polski biedak może oszczędności robić? Przedewszystkiem na jedzeniu, rzadziej i w mniejszym stopniu na mieszkaniu; a i jedna i druga z tych oszczędności łatwo, miasto przysporzyć grosza, siły tylko do pracy odbiera, jeżeli w dodatku i choroby nie nabawi.

Domy, nieraz stodoły, szpichlerze i inne, pierwotnie do najrozmaitszych użytków przeznaczone pomieszkania, w których dawniejszemi laty umieszczano obcych robotników, — pozostawiały zbyt wiele do życzenia i ze względu na higienę i na moralność: na deskach lub kamieniach, cienką warstwą słomy przykrytych, mieścili się i cisnęli razem: mężczyźni, kobiety, dziewczęta. Rzeczy zaszły tak daleko, że w r. 1874 rząd wdać się musiał w tę sprawę, a odtąd, choć idealnym przepisom rzeczywistość nie wszędzie odpowiada, to zaszła jednak widoczna zmiana na lepsze. W licznych, osobno w tym celu zbudowanych „koszarach“ dla robotników, jedne, mniejsze skrzydło, przeznaczone jest dla mężczyzn; — drugie, większe, dla kobiet: oba skrzydła rozdzielone są kuchnią, spiżarnią, mieszkaniem dozorey. W salach, sypialniach, kurytarzach światła

i powietrza nie brak, a przynajmniej może być nie brak, bo nie zawsze łatwo namówić do otwierania okien w czasie nieco zimniejszym nasze robotnice, które i w największe upały z pierzyną się nie rozstają. W Saksonii łóżka są żelazne, w Brunszwiku i Hanowerze drewniane; wyjątkowo w paru koszarach wznosi się w jednej sali parę piater łóżek, podobnie jak w okrętowych kajutach. Naturalnie nie we wszystkich koszarach panuje równa czystość i porządek; czasem brud i niechlujstwo przechodzi wszelkie granice; rozdzielenie płci istnieje tylko w teorii; a jeżeli jeszcze dozorca, najwyższy stróż moralności, nieodpowiedzialny niemal pan i władca koszar, patrzy przez szpary na wszelkie wybryki lub sam je proteguje, — to pojąć nie trudno, że koszary zamieniają się pod takim Sardanapalem w pewnego rodzaju, tylko brudne i pod każdym względem wstrętne, sardanapalskie pałace.

Jedzenia dostarcza robotnikom właściciel lub przedsiębiorca, odciągając koszta od zarobku, albo robotnicy na swój koszt i własną zapobiegliwość się żywią. W Brunszwiku i Hanowerze, gdzie właściciel zatrudnia nie wielką liczbę, (20 do 30) robotników, stara się on dla nich o ciepłe jadlo; karmi rano kawą, na obiad grochówką, kartoflanką, kluskami; w Saksonii wydaje częściej surowe produkty: kartofle, groch, mąkę, ryż i t. d. Tak np. w pewnym majątku, leżącym niedaleko Halli, wydawano tygodniowo dla 30 obcych robotników:

10.—	funtów ryżu	1·25	mr.
10.—	„ krup	1·95	„
7·5	„ grochu	0·75	„
5.—	„ mąki	0·70	„
1.—	„ kawy.	1·10	„
— —	— bób	0·35	„
1.—	„ soli	0·60	„
5.—	„ smalcu	2·50	„
450.—	„ kartoffi	13·50	„
— —	— 30 śledzi.	1·80	„
20.—	„ mięsa.	12·00	„
		36·00 mr.	

Koszta wyżywienia jednej osoby wypadły zatem tygodniowo na 1:20 mr. W innym majątku, zatrudniającym 100 robotników, i w którym figuruje wprowadzie w obiadowem *menu* mleko, ale natomiast znikły bez śladu śledzie, mięso i smalec, koszta te zmniejszają się do 75 fen. na osobę. Rzecz prosta, że robotnik, na własną rękę się żywiący ani marzyć nie może o podobnych biesiadach za 10—15 fen. dziennie. Robotnik taki pije zazwyczaj na śniadanie kawę bez mleka i cukru, osładzając ją tylko sobie kawałkiem chleba ze smalcem; w porze południowej dziewczyny — jeżeli dzień cały zostają na polu — posilają się chlebem z masłem lub ze smalcem, a wybredniejsi mężczyźni raczą się jeszcze kielbasą; wieczorem zasiadają do obiadu, którego podstawę stanowią regularnie kartofle. Obok tego fundamentalnego dania okazują się jeszcze na najuboższym ze wszystkich stole Górnoszlązaków: ryż, krupy, kasza; na stole bardziej już sobie dogadzających Poznanińczyków zjawia się w niedzielę mięso. Pomeranńczycy i przybysze z Prus Zachodnich muszą mieć groch ze słoniną, a nawet parę razy na tydzień z mięsem; na kolację, zamiast do dzbanuszków z przeźroczystą kawą, biorą się do misek z kwaśnem mlekiem lub do kartofli, okraszonych słoniną.

Przyrządzeniem jadła zajmuje się zwykle żona dozorca, która przybiera sobie jedną z dziewczyn do pomocy. Surowe wiktuały zakupują robotnicy bądź u kupców, bądź u właścicieli, u których pracują. Dozorcom nie wolno trudnić się sprzedażą wiktuałów; trudniej im zakazać, aby nie wywierali moralnej, a często nietylko moralnej presyi na robotników, kierując ich raczej do tego niż do innego kupca, w czym naturalnie nie platoniczne i humanitarne, ale brzęczące względy główną odgrywają rolę. Zamożniejsi otrzymują częste przesyłki z domu: słoninę, smalec, kielbasy, kawę, świeże masło, a tak nie wydając prawie zarobionych pieniędzy, krzywdy jednak sobie nie robią. Natomiast Szlązaczkі, posuwając czasem zmysł oszczędności do niemożliwej przesady, formalnie się głodzą: zafasowany groch, mąkę, smalec, sprzedają lub odsyłają do domu, a same zadawalniają się chlebem ze solą i kartoflami ze solą.

Przesada ta ciągnie za sobą mnogie niepożądane skutki, doprowadzała nieraz do głodowego tyfusu, a w przyszłości — jak już o tem przebąkiwać zaczęto na seryo — kto wie, czy nie doprowadzi, do uregulowania prawnymi przepisami, co kupować sobie musi każdy robotnik na obiad i kolację, jaką najmniejszą porcyą zadowolnić mu się wolno...

Nietylko kartofle i słonina, czasem dla ochłody szklanka piwa, lub dla zagrzania się kieliszek wódki, wyciągają grosz z kieszeni: trzeba jeszcze utraktować dozorcę i w ten lub ów sposób zjednać go sobie; trzeba zapłacić karę: to za niestawienie się do pracy, to znów za nocne wałęsanie się, opór, pijatykę, lub za wykroczenie przeciw ogłoszonemu i wywieszonemu w koszarach porządkowi dziennemu. Stanowisko dozorcę nie małe — ostatecznie wszystko o niego się obija i od jego słowa i decyzji zależy: on wyznacza robotę, pośredniczy między panem i robotnikami, do niedawnego czasu rozdzielal i zapłatę; a choć dziś wskutek zbyt częstych i krzyczących nadużyć ważny ten przywilej w całej prawie Saksonii mu odejęty, to dość mu jeszcze zostało praw i przywilejów, aby bardzo dobitnie mógł okazać swą łaskę temu, co umie ją sobie pozyskać, swą niełaskę temu, co lekce go sobie waży. Żyjąc dobrze z dozorcą wydobyć grosz trzeba; żyjąc źle, wydobyć go trzeba częściej, z większą niechęcią, bez żadnej osłody; rzecz prosta, że każdy roztropny z dwojga złego mniejsze wybiera.

I jedno i drugie złe maleje w porównaniu do trzeciego: nierozumnego marnotrawstwa. Jawni i bez zastrzeżeń przeciwnicy wędrówek do Saksonii, marnotrawstwo to na pierwszy plan, w szeregu swych argumentów, zwykli wysuwać. „Cóż z tego — mówią — że kilkaset marek do pularesu się dostanie, kiedy prędzej niż się dostały, z niego uciekają: u parobków na pijatykę; — u dziewczyn na stroje, parasole, zarzutki, kapelusze“. Rzeczywiście, zdarzają się wypadki, że młody parobek cały swój zysk już w Saksonii przepije; a dziewczyna oprzeć się nie może pociągowi gromadzenia mnóstwa gratów i gracyków, z którymi sama nie wie później co zrobić; — ale gdy w zimie głód przycisnie, a posilniejszej strawy po stare-

mu nie ma za co kupić, wtedy bieda rozumu uczy i na drugi rok z większą już oględnością przechodzą marki i fenigi do rąk karczmarzy i kramarzy. Choroba więc grasuje, ale z natury swej nie jest chroniczną; wielu przez nią przechodzi, nie zbyt wielu po kilkakroć w nią wpada. To też obrońcy wędrówek na zachód, a raczej wszyscy, którzy uważają je za pewnego rodzaju, choć niekoniecznie wesołą konieczność, odpowiadać zwykli na w tym kierunku obracające się argumenty: „Bez wątpienia, bardzo to niedobrze, że niektórzy krwawo zarobiony grosz przez okno wyrzucają; ale ostatecznie są to i nie tak znów liczne wyjątki. Natomiast liczne rodziny tylko oszczędnościom z Saksonii wyniesionym zawdzięczają, że w zimie głodem nie mra; w całych okolicach w zimie zarobku nie ma, o domowym przemyśle ani słyhać, a żyć przecież trzeba. Z czegoż żyją? Z saskich pieniędzy, schowanych w kufrze, danych do przechowania sąsiadowi, złożonych w kasie Oszczędności. — Inni zarobkowi temu zawdzięczają wydzwignięcie się z biedy, spłacenie oddawna ciążyących długów; wiele dziewczyn po paru buraczanych kompaniach zebrały sobie wcale przyzwoite wiano, bez którego znów wiele małżeństw nigdyby podobno do skutku nie przyszło“...

Ostatnim tym argumentom trudno pewnej racji nie przyznać; trudno nie wyznać, że — bądźco bądź — saskie wędrówki przyczyniają się do pomnożenia zamożności i dobrobytu, do rozszerzenia wielu praktycznych wiadomości i pewnej zewnętrznej kultury. Poznańskie i szląskie dziewczęta, które przez lat parę lato w Saksonii przebyły, przywykają do butów, do lepszego i pożywniejszego jedzenia, do większego porządku w domu, do zaradności, pośpiechu i posługiwania się praktyczniejszymi narzędziami w pracy, a co nie mniej ważne, dobre te nawyki szerszą w ojczystych zagrodach¹.

¹ Tak np. w obwodzie Szrymskim zauważono, że dziewczęta, które w Saksonii nauczyły się energicznie i praktycznie pracować przy burakach, dochodzą i w domu do 2 mrk. dziennie, podczas gdy inne zarabiają nie wiele więcej nad 1 mrk.

Zrachowawszy przeto wszystkie *pro* i *contra*, wynika, że ze względu czysto ekonomicznego, materialnego niejako, wędrowki saskie przynoszą — dla samych przynajmniej wędrowców — o wiele znaczniejsze rezultaty dodatnie, niż ujemne.

Naturalnie rezultaty te, choć ważne, nie mogą przecież, a tembardziej nie mogą same jedne szali przeważać; trzeba przypatrzyć się odwrotnej stronie medalu, i zapytać o następstwa wędrowek w dziedzinie moralności, religii, miłości rodziny, rodzinnej ziemi i ojczystego języka?

Następstwa te, bardzo często smutne, skreśliliśmy w ogólnych zarysach w poprzedniej naszej rozprawie „o emigracji ludu polskiego do Niemiec“; powtarzać się więc nie będziemy, tembardziej, że Dr. Kaerger z tą właśnie, najważniejszą stroną rzeczy, najmniej gruntownie się obeznał, i jej znaczenia w całej pełni ani zdaleka nie odczuwa. Chciałby on wmówić w czytelnika, że jeśli nie idealne, to wcale jeszcze nie najgorsze to „buraczane“ królestwo, do którego za sobą prowadzi; ale parę naiwnych, mimochodem uczynionych wyznań, dziwne rzuca światło na wszystkie te, zdawaćby się mogło, w interesie i w obronie saskich właścicieli uczynione zapewnienia. Tak przyznaje, że między wędrowcami zmniejsza się w przerażający sposób szacunek dla starszych, posłuszeństwo dla przełożonych; zacierają się skromność, znika przyniesiona z domu wstydlivość. Skarży się i narzeka, że katolicy robotnicy nie chcą pracować nawet w „święta niższego rzędu“, a choć oględnie nie wspomina o zmuszaniu do pracy w te „niższego rzędu“ święta, łatwo to sobie z samychże jego słów dopiewać; nie ukrywa wreszcie radości, że wędrowki do Saksonii zaszczipiają między Polakami niemiecką mowę, pieśni, zwyczaje i obyczaje, słowem „wywierają wpływ stanowczo germanizacyjny“. Boleści te i radości zagorzałego aż do szowinizmu Niemca, protestanta jawnego i bez zastrzeżeń, wielbiciela poznańskiej kolonizacji, — są dla nas charakterystycznymi, bardzo cennymi wskazówkami.

Co wszyscy przyznają, na co godzi się niemiecki badacz, protestancki uczony z polskimi podróżnikami i misjonarzami,

to na ostateczny sens moralny, wyprowadzony z sumiennych badań na miejscu, z długich wywodów ludzi zajmujących się i zainteresowanych tą sprawą: o powstrzymaniu emigracyjnego prądu do niemieckich okolic buraczanych nie ma co myśleć; cierpiałyby na tem nie mniej interesa niemieckich panów, jak i polskich biedaków. Nie dobrem by też było i niemożliwem wzięcie tego ruchu w zbyt ścisłą kuratelę przez państwo; bo kuratela taka, przeszkadzając zapewne niektórym nadużyciom, krępowałaby i tak nadmiernie w najróżniejszych kierunkach skrępowaną wolność, a do innych, liczniejszych i niebezpieczniejszych nadużyć otwierałaby drogę. Natomiast państwo może i powinno przemienić tajne agentury w jawne; rozciągnąć dozór nad agentami werbującymi na zachód; uniemożliwić handel robotnikami, t. j. sprzedażę zawartych już kontraktów; starać się i wglądać, w pewnych rozumie się granicach, aby z jednej strony robotnik nie krzywdził właścicieli, łamiąc samowolnie przyjętą przez siebie umowę — aby z drugiej strony właściciel nie krzywdził robotnika ani w materyalnych, ani tembardziej w najświętszych jego duchowych interesach.

Oczywiście samo państwo, same, choć najlepiej obmyślane ustawy i prawa, jak podać nie mogą dostatecznego lekarstwa na wszystkie choroby, które są przyczyną emigracyi do Saksonii, tak też same nie podadzą nigdy dostatecznego lekarstwa na choroby, będące jej skutkiem. Prawdę tę nie zawsze i nie przez wszystkich, a przez samegoż Dra Kaergera nader słabo pojętą, zrozumiało „Centralne Kollegium połączonych związków gospodarskich prowincyi Szląskiej“, uchwalając na dniu 5 marca 1880 r.: wezwać rząd do usunięcia w koszarach robotniczych nadużyć, podkopujących równie zdrowie ciała jak i duszy; przedewszystkiem do zapewnienia z dalszych stron sprowadzonym robotnikom koniecznej opieki duchowej.

Rok minął od przedłożenia i tego i wielu innych wniosków, odnoszących się głównie do sposobu werbowania robotników, — ale o jakiegokolwiek zmianie stosunków na lepsze nie słyhać; jak dawniej tak dziś tysiące i tysiące Polaków, krwawo pracujących w głębi Niemiec na kawałek doczesnego chleba,

pozbawieni są chleba duchownego, narażeni na ciągle niebezpieczeństwo utraty wiary i cnoty.

Zresztą nikt tu dziś podobno napominać nas nie potrzebuje: „Precz z marzeniami!“ Tak dla nas zajmująca i ważna, ale z tak lekceważącą niechęcią traktująca polskich Chińczyków, książka Dra Kaergera, powtarza nam starą prawdę: we wszystkich biedach i potrzebach naszych: — jak w ratowaniu polskich wysepek po świecie całym rozsypanych od utonięcia w morzu cudzoziemczyzny i bezwiary; tak w sprawie zachowania polskim wychodźcom w Niemczech skarbu wiary, cnoty, języka, — pomocy potrzeba, pomocy prędkiej i energicznej... ale rachować nam i oglądać się wolno na własną tylko pomoc — *Self help!*

Ks. Jan Badeni.



SZTUKA W PIERWOTNYM KOŚCIELE.

II.

Różne rodzaje pomników sztuki.

Chcąc omówić treść starochrześcijańskich zabytków sztuki, dzielimy je dla łatwiejszego przeglądu na pięć klas. Pierwsza obejmie symbole ideograficzne, druga obrazy allegoryczne, trzecia obrazy historyczne, których tłem są zdarzenia z dziejów Starego i Nowego Przymierza, czwarta obrazy liturgiczne, piąta ikonografię Chrystusa, Matki Bożej i Świętych Pańskich¹. Podział ten na klasy jest zupełnie prawdziwy i uzasadniony; to jednak podnieść należy, że jeden i ten sam obraz możnaby nieraz także do innej zaliczyć klasy, a to dlatego, że pomiędzy niektórymi kreacjami pierwotnej sztuki zachodzi pewne pokrewieństwo i łączność wewnętrzna.

Pod symbolami ideograficznymi rozumiemy szereg znaków artystycznych, wyszukanych przez Kościół w tym celu, aby wyrażały pewne dogmata chrześcijańskie.

¹ Opieramy się przy tym podziale głównie — za przykładem Spencera Northcota, Krausa i innych — na pracach de Rossi'ego, a zwłaszcza na jego *Roma Sotterranea* T. II, str. 308—360.

Zaczynamy od hieroglify kotwicy. Spotykamy go na najstarszych tablicach grobowych i zabytkach sztuki, jako symbol nadziei. Czasami przypomina kształtem swym krzyż — więc podstawę chrześcijańskiej nadziei. Znaczenie jego tłómaczą nam nie tylko Pismo św.¹ i Ojcowie Kościoła², ale też same nagrobki, na których obok kotwicy znajdują się takie imiona zmarłego, jak: *Spes*, *Elpis*, *Elpidius*, *Elpisusa* — Nadzieja.

Równie stary jak kotwica jest hieroglif gołębia — symbol Ducha św., jakoteż uświęconej przez niego duszy, co uwolniona już z więzów ciała, uniosła się do ojczyzny niebieskiej. Że ten znak artystyczny ma także to drugie znaczenie, dowodem nagrobek, na którym dwa gołąbki, z gałązką oliwną w dzióbku, są zwrócone do monogramu Chrystusa: nad tym, co jest po stronie lewej, mieści się napis *Benera*, nad drugim *Sabbatia*; zaś nad imionami czytamy słowa: *Palumbus Sine Fel*³ — gołąbku bez żółci. A ponieważ gałązka oliwna jest symbolem pokoju, a monogram Chrystusa zastępuje Jego święte Imię — więc cała kompozycja mówi: Wenero i Sabacyo, gołąbki bez żółci, wasze dusze odpoczywają już w pokoju w Chrystusie.

Dosyć często spotykamy na grobach gołąbki, które dzióbią grono winne; są one symbolem duszy chrześcijańskiej, która cieszy się szczęściem rajskim.

Niekiedy widzimy ten hieroglif w połączeniu z innemi jeszcze symbolami, jak z kotwicą formy krzyżowej i z owieczką. Owieczka symbolizowała, w przeciwstawieniu do go-

¹ Paweł św. powiada, że chrześcijanin pokłada bezgraniczną nadzieję w obietnicach Bożych; „którą (nadzieję) mamy jako kotwicę duszy, bezpieczną i mocną, i wchodzącą aż we wnętrzości zasłony“ List do Żydów VI. 19.

² Clem. Alex. Paedag. III, 106.

³ Zob. de Rossi, *R. S.* II, str. 311; *Inscript.* T. I, str. 421, n. 937. Wyrażenie to spotykamy częściej w epigrafice chrześcijańskiej; czasami stoi zamiast *palumbus* słowo *palumba* albo *palumbulus*. Zob. np. w muzeum laterańskim na pilastrze VIII, numer 9.

łabka, chrześcijanina, który starać się jeszcze musiał na tej ziemi o pokarm duszny i cielesny; cała kreacya znaczy tedy, że pod tym kamieniem spoczywa chrześcijanin, którego dusza dostała się na łono Boże dlatego, że za życia pokładał całą nadzieję w krzyżu Chrystusowym.

Paw, feniks i kogut symbolizowały dogmat nieśmiertelności duszy i zmartwychwstanie ciała.

Zajac był symbolem znikomości życia, lew siły, koń stojący lub w biegu oznaczał chrześcijanina, zdążającego drogą przykazań bożych do mety czyli do ojczyzny niebieskiej. Jeleń był obrazem duszy wdychającej do potoków rozkoszy niebieskiej.

Często widzieć można na epitafach, freskach i sarkofagach postać niewiasty modlącej się z rękami podniesionymi w górę. Figura ta znana w archeologii chrześcijańskiej pod nazwą *Orante* (modląca się), symbolizuje jużto duszę zmarłego, już Bogarodnicę, już też Oblubienicę Chrystusową i Matkę wszystkich wiernych — Kościół św.¹

Z emblematów wziętych z królestwa roślinnego oznacza gałązka oliwna, jak już powiedzieliśmy powyżej, tyle, co często na grobach napotykana formuła: *Pax, Pax tecum, Pax tibi*, — Pokój z tobą! Potwierdza to, umieszczony niejednokrotnie nad gałązką oliwną napis: *Pax*².

Wieniec i gałązka palmowa są symbolami zwycięstwa, które zmarły odniósł nad śmiercią i nieprzyjaciółmi swej duszy. Lilia jest godłem czystości; drzewa wogóle symbolizują raj i jego szczęście.

Ze sprzętów życia codziennego, lampka i lichtarz siedmioramienny jest symbolem Chrystusa, co światłem

¹ Zob. de Rossi, *R. S. T. II*, str. 324; Porówn. także jego: *Immagini scelte della Beata Vergine Maria tratte dalle Catacombe Romane*. Roma 1863. Liell, *Die Darstellungen der allerseligsten Jungfrau und Gottesgebärerin Maria auf den Kunstdenkmälern der Katakomben*. Freiburg im Br. 1887, str. 115—197; Wilpert, *Zeitschrift für Kath. Theologie*. XII Jahrg. Aprilheft.

² Zob. np. w muzeum lateran. pilaster XV. n. 64.

swej nauki rozprószył ciemności grzechu. Okręt jest obrazem życia ludzkiego i Kościoła Chrystusowego.

Inne symbole pomijamy; powiemy jeszcze tylko słów kilka o najważniejszym znaku w całej symbolografii chrześcijańskiej, którym jest hieroglif ryby¹. Znajdujemy go na nagrobkach, małowidłach, sygnetach, lampach i najstarszych sarkofagach. Byłto symbol tak dalece ulubiony przez pierwszych wiernych, że w II i w początkach III wieku wchodził on w skład prawie wszystkich głębszych kompozycji artystycznych; rzadziej spotykamy go w drugiej połowie wieku III, a w wieku IV poczyną już tracić cechę symboliczną i schodzi powoli do rzędu czystej dekoracji². Niekiedy zamiast hieroglify figurycznego, występuje słowo greckie ΙΧΘΥΣ (*Ichthys*) — Ryba; czasami znowu obok hieroglify figurycznego stoi także alfabetyczny.

Pytanie w jaki sposób Kościół przyszedł w posiadanie tego symbolu? Niektórzy badacze starożytności sądzą, że artyści chrześcijańscy przejęli go ze sztuki klasycznej, gdzie ulubioną figurą był delfin, uważany przez całą starożytność za przyjaciela człowieka i za zbawcę rozbitków morskich, jak to pięknie wypowiada poetyczny mýt o Aryonie. Chrześcijanie — utrzymują oni dalej — przywłaszczywszy sobie znak, przeszli wkrótce z gatunku do rodzaju, i widzieli w każdej w ogóle rybie symbol Zbawiciela świata.

Jednak większa część archeologów, z Rossim³ na czele, przyznaje hieroglify ryby początek czysto chrześcijański, i kilka podaje źródła, z których się tenże wyłonił; wymieniamy

¹ Ten symbol ma dziś już obszerną literaturę. Najlepiej omówił go kardynał Pitra i de Rossi. Zob. ich prace w *Spicilegium Solesmense*. Parisiis 1855 T. III, str. 545—562; T. IV, str. 497 i nast.

² „Usus huius symboli ad primaevam spectat ecclesiae aetatem, ut eius quasi proprius fuit — et medio iam saeculo IV pene obsolevit“. De Rossi, *Spicil. Solesm.* l. c. Zob. też jego *Bullettino di archeol. crist. r.* 1864, str. 10, gdzie pisze: „almeno in Roma il pesce effigiato a guisa di segno arcano e geroglifico cadde in disuso fin dalla prima metà incirca del secolo 4^{ta}“.

³ „L'arcano ΙΧΘΥΣ ebbe origini propriamente ed esclusivamente cristiane“. *Bullett. r.* 1870, str. 70.

na razie tylko jedno. Wierni widzieli w pięciu literach, które tworzą greckie słowo ΙΧΘΥΣ początkowe litery pięciu słów: Ἰησοῦς Χριστὸς Θεοῦ Υἱὸς Σωτήρ, w których krótko jest streszczone całe jądro kościelnego *Credo*, bo idea Odkupienia, oparta na wierze w dwie natury Chrystusa, złączone w jednej osobie Syna Bożego; ztąd poczęli jeszcze w czasach apostołskich uważać rybę za symbol Chrystusa, a równocześnie mieli ją za znak (*sacra tessera*), po którym w czasach przesładowania między sobą się poznawali. Ale jakie mamy na to dowody, że pierwsi chrześcijanie widzieli istotnie w znaku ryby symbol Zbawiciela świata?

Wypowiadają to jasno najpierw same monumenta. W Modenie znaleziono stary nagrobek, na którym obok ryby czytamy słowa: ΙΧΘΥCΩΤΗρ (*Ichthys Soter*) — Ryba Zbawiciel. Na rybee, która służyła za ozdobę szyji, mieści się napis: CΩCAIC (*Sozais*) — Zbaw mię (rybko)!

Znaczenie tego hieroglify tłumaczą nam dalej Ojcowie i najstarsi pisarze kościelni. Χριστὸς ὁ τροπικῶς λεγόμενος ἰχθῦς (Chrystus zwany figurycznie rybą) — pisze Origenes¹. „Rybą najpierw złowioną — powiada św. Hieronim — w której ustach znaleziono drachmy dla tych, co podatek wybierali, jest Chrystus, którego krwią wykupiony został pierwszy Adam i Piotr, a z nimi wszyscy grzesznicy“. Niektórzy Ojcowie widzą także figurę Chrystusa w owej rybie, której wątroba i żółcią młody Tobiasz zwyciężył szatana i przywrócił wzrok ślepemu ojcu. Klasycznym jest tu wreszcie ustęp Tertulliana: „My rybki — pisze on — rodzimy się na wzór naszej Ryby

¹ Orig. in Matth. ed. de la Rue T. III, pag. 584. Podobnie tłumaczą ten hieroglify także inni Ojcowie. Posłuchajmy jeszcze co mówi św. Optatus i Augustyn. „Piscis nomen secundum appellationem graecam in uno nomine per singulas litteras turbam sanctorum nominum continet, ΙΧΘΥC, quod est latinum Jesus Christus, Dei Filius Salvator“. *De schism. Donat. III, 2*. „Horum autem graecorum quinque verborum, — pisze wielki biskup z Hippony — quae sunt Ἰησοῦς Χριστὸς Θεοῦ Υἱὸς Σωτήρ (quod est latine Jesus Christus Dei Filius Salvator) si primas litteras iungas, erit ἰχθῦς, id est piscis, in quo nomine mystice intelligitur Christus“. *De civit. Dei. XVIII, 23*.

Jezusa Chrystusa w wodzie, i bez tej wody żyć nie możemy“¹.

Słowa te są szczególnie ważne, gdyż najjaśniej wskazują, że hieroglif ten miał jeszcze drugie znaczenie: raz był on symbolem Chrystusa, Zbawiciela świata — a powtórę symbolizował wiernych, którzy rodzą się w Chrystusie Jezusie, niby rybki, w wodzie chrztu, na żywot łaski. Za Tertullianem woła św. Ambroży: „Rybą jesteś o człowiecze! Nie lękaj się, o dobra rybko, wędkę Piotra; nie zabija ona, lecz uświęca...” Odsłania nam tu równocześnie mąż święty jedno ze źródeł, któremu wierni zawdzięczają imię ryby, a są niem słowa Zbawiciela, który nazwał Apostołów rybitwami ludzi², a Kościół przyrównał do sieci³, wpuszczonej w morze i zagarniającej różnego rodzaju ryby.

Główny powód, dla którego Kościół jednym i tym samym hieroglifem symbolizował Chrystusa i chrześcijanina, widzi de Rossi w owem bliskim pokrewieństwie, w które wierny wchodzi z Synem Bożym przez przyjęcie ewangelii, a głównie przez pożywanie ciała mistycznej ryby.

Rzadko jednak zjawia się znak ryby na starych pomnikach odosobniony⁴; najczęściej znajdujemy go w połączeniu z innymi figurami.

I tak najpierw bardzo starą jest kompozycja ryby z kowtwią, i oznacza to samo, co napis alfabetyczny: *Spes in Christo*, *Spes in Deo*, *Spes in Deo Christo*, — nadzieja w Chrystusie, nadzieja w Bogu, nadzieja w Bogu Chrystusie. Kombinację wspomnianą widzimy na nagrobku Licynii Amiaty, który znajduje się w muzeum Kirchera i pochodzi z II albo z początków III wieku. Dajemy go w całości:

¹ Tetull. De Bapt. cap. I. Patrol. lat. ed. Migne, T. I, str. 1197.

² Mat. IV, 19; Łuk. V, 10.

³ Mat. XIII, 47.

⁴ Na rzymskich nagrobkach spotykamy ledwie 8 razy goły napis iχϥθ; a na 20 hieroglifów figurycznych; zaś na wszystkich innych znachodzi się w towarzystwie innych symbolów. Zob. De Rossi, *Spicileg. Solesm.* T. III, str. 560.

D wieniec M
 IXΘYC · ZONTON

Rybka. Kotwica. Rybka.

LICINIAE AMIATI BE
 NE MERENTI VIXIT

Słowa $\iota\chi\theta\upsilon\varsigma$ $\zeta\acute{o}\nu\tau\omega\nu$ — ryba żyjących — oznaczają Zbawiciela. Dwie rybki umieszczone pod niemi i zwrócone ustami do kotwicy są symbolem zmarłej Licynii, która wzięła wieniec nagrody wiecznej, ponieważ całą nadzieję pokładała w Chrystusie, źródle i początku wszelkiego życia duchowego.

W Luwrze w Paryżu — w dziale starożytności chrześcijańskiej (*musée chrétien*) — jest sarkofag z II wieku, który niejaka *Livia Nicarus* kazała wyrzeźbić dla swej siostry Liwii Primitywy. Pod napisem stoi Dobry Pasterz z odnalezioną owieczką na ramionach, podczas gdy dwie inne owieczki znajdują się u jego stóp. Dalej widzimy na prawym krańcu sarkofagu rybę a na lewym kotwicę.

Jeszcze więcej chrześcijańskich symbolów mieści się na znanym nam już sarkofagu z Gayole; jest tam bowiem rybak ewangeliczny, co na wędkę słowa Bożego łowi rybkę-człowieka, kotwica, Dobry Pasterz z owieczką na ramionach i *Orante* wśród drzew. Ostatnia figura symbolizuje tu zmarłego, którego już Chrystus odniósł na swych ramionach, jako dobrą owieczkę, do szczęścia rajskiego.

Czasami spotyka się rybę w otoczeniu gołąbka, który trzyma w dzióbku gałązkę oliwną. Gołąbek oznacza — jak już powiedzieliśmy — duszę, która w nagrodę za życie otrzymała niebo; ryba symbolizuje Chrystusa. Cały ten hieroglif jest równoznaczny z formułą alfabetyczną: *Spiritus in Pace et in Christo* — Duch twój niech odpoczywa w pokoju i w Chrystusie!

Przynajmniej na trzech monumentach dźwiga ryba na grzbiecie okręt mistyczny, czyli swój Kościół święty. Tę samą myśl, że Chrystus jest fundamentem i sternikiem swego Kościoła, wyraża piękniej jeszcze lampa bronzowa, kształtu łódki,

znaleziona w Porto. Na łódce króluję IXΘΥΣ, trzymający w ustach chleb eucharystyczny. Lampa ta jest wspaniałą epopeą, która głosi, że Kościół żyje jedynie z Jezusa — Eucharystyi, i że tego pokarmu nigdy mu nie niedostaje, albowiem Chrystus jest i będzie z nim i w nim aż do skończenia wieków.

Kompozycję ryby z koszem chleba i winem na grzbiecie, z którą tak źle się obszedł Achelis, poznaliśmy w starej krypcie Lucyny. Wino i chleb, — postacie eucharystyczne, — wskazują, że to nie zwyczajna ryba, ale Jezus-Hostya. Tę samą kombinację ryby z chlebem znajdujemy na nagrobku niejakiego Sythrophiona z Modeny. Dwie rybki, zwrócono do siebie, trzymają tam w ustach dwa chleby, podzielone znakiem krzyża na cztery części (⊕) — podczas gdy między nimi znajduje się w jednej linii jeszcze pięć podobnych chlebów. Rybki symbolizują Sythrophiona — chleby eucharystyę, pokarm zmarłego za jego życia i zadatek przyszłego zmartwychwstania.

Klasa obrazów alegorycznych stanowi już wyższy stopień w logicznym rozwoju symbolografii chrześcijańskiej, i jest niejako przejściem od znaków ideograficznych do szerokich kompozycji artystycznych. Za tło służą jej parable ewangeliczne; oto kilka przykładów.

„Jam jest winna macica: wyście latorośle“, — rzekł Chrystus do swoich uczniów¹. Starzy artyści stworzyli ilustrację do tych słów Zbawiciela, malując i rzeźbiąc często na monumentach grobowych gałązki winne. Czasami tworzą winne latorośle na freskach i starych lampach wieniec koło figury Dobrego Pasterza lub monogramu Chrystusa.

Kilka razy spotyka się na freskach katakumbowych mądre i głupie panny; czasem są tylko pierwsze i symbolizują dusze zbawionych.

¹ Jan XV. 1—6.

Kreacją czysto chrześcijańską i opartą jedynie na słowach Chrystusa, jest figura Dobrego Pasterza. Doszła nas ona na ścianach i sufitach katakumbowych, a dalej podobnie jak ryba, na szkle, lampkach, sygnetach, sarkofagach i nagrobkach. Niekiedy Dobry Pasterz stoi lub siedzi wśród swoich owieczek, czasami pieści jedną z nich, a najczęściej dźwiga zblakłą na swych ramionach. Figura ta — a zwłaszcza kompozycja ostatnia — była z jednej strony głośnym protestem przeciw przesadnej surowości heretyków względem ciężkich grzeszników, a z drugiej strony wymowną homilią, która narzucała się wiernemu prawie na każdym kroku, przypominając mu dobrodziejstwa Odkupienia i owe przepaści miłosierdzia Bożego, co tak długo szuka grzesznika, póki go nie odnajdzie i nie sprowadzi w ramiona Zbawiciela. „Wyznawajcie Panu — głosi ona z Psalmistą — bo dobry: bo na wieki miłosierdzie jego“¹.

Co do obrazów historycznych, podstawą ich cyklu jest historia biblijna. Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że na ścianach katakumb i sarkofagach odnajdzie wszystkie albo przynajmniej znaczną ilość wypadków, zaczerpniętych z Ksiąg świętych; są tam tylko sceny nieliczne i stale powtarzające się, które z pomiędzy mnóstwa zdarzeń Kościół wskazał swoim artystom dlatego, że widział w nich symbol i figury swych naczelných dogmatów, a zwłaszcza tych, które w trzech pierwszych wiekach na pierwszy plan były wysunięte.

Do najstarszych obrazów tej klasy zaliczamy figurę Noego, któremu gołąbek przynosi gałązkę oliwną. Już sam sposób przedstawienia tego zdarzenia biblijnego najlepszym jest dowodem, że ono w starej sztuce kościelnej ma znaczenie symboliczne. Brak w całej tej kreacji ścisłości historycznej. Noe stoi najczęściej w arce czworobocznej, i to tak ciasnej, że wypełnia ją prawie całkiem swoją osobą. Czasami jest w arce zamiast mężczyzny niewiasta, a obok niej w jednym okazyje się

¹ Ps. CXVII, 1.

imię: „Juliana“. Co znaczy ten obraz? Wody potopu, ów chrzes starego świata, co spłukał z ziemi brudy grzechowy, symbolizują według słów św. Piotra¹ wodę chrztu N. Testamentu; arka jest obrazem Kościoła, poza którym, podobnie jak poza arką biblijną, niemasz ocalenia; zaś Noe jest obrazem chrześcijanina, który oczyszczony wodą chrzcielną — niby potopem — otrzymał od Ducha św. różczkę oliwną pokoju wewnętrznego, i płynie bezpiecznie w Korabiu Kościoła do przystani niebieskiej. Ta sama kompozycja, wyrzeźbiona na kamieniu grobowym, wypowiada nadzieję, że zmarły chrześcijanin spoczął już w pokoju wiecznym.

Dosyć często znajdujemy na sarkofagach rzymskich, gallickich i hiszpańskich Adama i Ewę, zasłaniających nagość swoją ręką lub liściem figowym; wąż zwodziciel okręcił się koło drzewa i trzyma w ustach jabłko. Obraz ten przypominał wiernym kilka pierwszorzędných artykułów wiary, jak: stworzenie, upadek i odkupienie. Drzewo rajske symbolizuje według Ojców przykazania Boże, które jeśli przekraczamy, stajemy się nagimi jak Adam i Ewa, tracąc łaskę poświęcającą, tę najpiękniejszą ozdobę naszej duszy.

Także ofiara Kaina i Abła przedstawiona jest na płaskorzeźbach sarkofagowych; ofiara Abła była figurą Chrystusa, Kain zaś był obrazem zdrajcy i mężobójcy szatana.

Do najczęściej spotykanych kreacyj na starych zabytkach chrześcijańskich należy cykl obrazów z historii proroka Jona-sza. Z tych jedne uprzytomniają chwilę wrzucenia go w morze, drugie scenę połknięcia przez rybę, a inne uprzytomniają wyrzucenie go na ląd i spoczynek w cieniu bluszczu. Każda z tych scen z osobna i wszystkie razem są dobitnem kazaniem o powołaniu wszystkich ludzi bez wyjątku do Kościoła i zbawienia, i równocześnie zapowiedzią powszechnego ciał zmarłych wstania.

Cztery rzeki rajske symbolizują cztery ewangelie; manna na puszczy jest figurą eucharystyi; Zuzanna, przedstawiona

¹ List I. św. Piotra III, 20. 21.

jako jagnię między dwoma wilkami, jest obrazem prześladowanego Kościoła a zarazem typem zmartwychwstania; Izaak, stojący obok ojca z wyciągniętymi ramionami, obrazem jest krwawej, a częściej jeszcze, bezkrwawej Ofiary N. Zakonu; Mojżesz, składający obuwie przed zbliżeniem się do krzaku gorejącego, symbolizuje, zdaniem Ojców, wiernego, co przy chrzcie św. wyrzeka się szatana i świata.

Ponieważ charakter starochrześcijańskiej sztuki jest prawie wyłącznie symboliczny, więc daremno byśmy się w cmentarzach z czasów prześladowania oglądali za scenami czysto historycznymi z dziejów Kościoła. Wyjątek stanowią tylko katakumby św. Kaliksta, gdzie jedną jedyną znaleziono ilustrację do aktów męczeńskich. Przed sędzią, na którego obliczu maluje się gniew, stoją dwaj chrześcijanie i zdają się składać odważnie wyznanie swej wiary. Za nimi widzimy kapłana pogańskiego z wieńcem na głowie (*sacerdos coronatus*), który oddał się niezadowolony i palający zemstą. Obraz znajduje się w kaplicy męczenników Parteniusza i Kalocerusa; możebną tedy jest rzeczą, że przedstawia ich przesłuchanie i zasądzenie na śmierć¹.

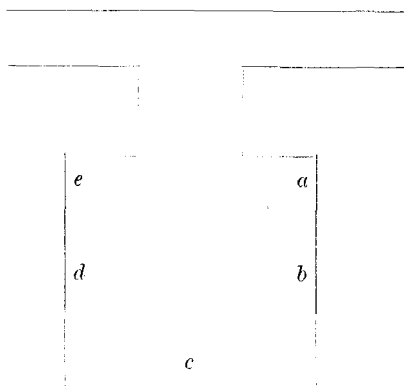
Na obrazy liturgiczne złożyły się wszystkie poprzednie: pierwsza dostarczyła symbolów ideograficznych — druga allegoryj — trzecia faktów biblijnych. Symbole, allegorye i cuda grupują się tu koło rytów sakramentalnych, aby z jednej strony zakryć takowe przed okiem niewiernych, a z drugiej strony uzmysłwić i odsłonić tem lepiej wtajemniczonemu w sekreta starochrześcijańskiej symboliki całą ich działalność i skuteczność.

Malowidła te zapełniają głównie pięć krypt, przylegających bezpośrednio do tylekroć już wspomnianej kaplicy papińskiej w cmentarzu św. Kaliksta; krypty te mają nazwę kaplic sakramentów. Najstarsza z nich powstała z końcem II,

¹ Zob de Rossi, *R. S. T.* II, str. 219—221. Tav. XXI.

ostatnia w początkach III wieku. Ich dekoracją kierował najprawdopodobniej dyakon papieża Zefiryna a późniejszy Naczelnik Kościoła św. Kalikst; nigdy bowiem żaden artysta świecki nie był w stanie wznieść się o swej mocy do tak wzniosłych i głębokich kompozycji teologicznych, jakie zaraz zobaczymy.

Dla łatwiejszego przeglądu i omówienia zawartych w tych kaplicach malowideł, oznaczył de Rossi pojedyncze krypty literami A_2 , A_3 , A_4 , A_5 , A_6 ¹. Najlepiej zachowane są freski w kaplicach A_2 i A_3 ; w trzech innych bardzo są uszkodzone. Z pozostałych resztek łatwo jednak domyśleć się można, że zawierały prawie ten sam cykl hieratyczny, co kaplice A_2 i A_3 .



Opiszemy dokładniej tylko kaplicę A_3 , jako najstarszą. Na ścianie, w której mieszczą się drzwi po lewej ręce (ściana a), widzimy najpierw postać człowieka, wyprowadzającego laską strumień wody żywej ze skały. W każdej z następnych trzech ścian są wykute po dwa groby prostokątne; przestrzeń wolną między temi grobami wypełniają malowidła. I tak na

¹ Zob. *R. S. T.* II, capo XII: „Dei cinque cubicolo adornati di pitture simboliche alludenti principalmente al battesimo ed all'eucaristia“ str. 328, tabl. XI—XVII. Zob. też Rossi'ego, *Epistola ad J. Bapt. Pitra* w *Spicil. Solesm.* T. III, str. 564 i nast.

ścianie lewej (*b*) są trzy freski, z których pierwszy przedstawia człowieka łowiącego na wędkę ryby w strumieniu, drugi mężczyznę, który w tej samej wodzie chrzci chłopczykę, a trzeci uzdrowionego u sadzawki Bethesda paralityka, który odnosi na ramionach swe łożo.

Ścianę środkową (*c*), leżącą naprzeciw drzwi, zdobią znowu trzy kompozycje. W pierwszej widzimy na trójnogu chleb i rybę; po lewej stronie trójnoga stoi człowiek odziany tylko w płaszcz, i trzyma prawą rękę wyciągniętą nad rybą. Ramię i część piersi ma obnażone. Po prawej stołu stoi *Orante* — niewiasta z podniesionymi do modlitwy rękami. Dalsza scena przedstawia ucztę. Do stołu, na którym leżą dwie ryby, zasiadło siedmiu mężczyzn; przed stołem stoi na ziemi ośm koszy, napełnionych chlebami. W trzecim fresku poznajemy Abrahama z Izaakiem. Obaj mają wzniesione do modlitwy ramiona; przy nich jest na ziemi baran i wiązka drzew. Na obu końcach tej ściany stoi fossor z motyką w ręce.

Cała ściana prawa (*d*) jest zniszczona; zachowały się tylko jeszcze malowidła na prawej stronie u wejścia (*e*). Jest tu mianowicie dwóch mężczyzn, jeden nad drugim: niższy czerpie wiadrem ze studni wodę, — drugi czyta w zwoju pergaminowym.

Nad opisanymi freskami jest na każdej z trzech ścian głównych (*b*, *c*, *d*) jeszcze jeden obraz. Pierwszy przedstawia wyrzucenie Jonasza z okrętu, na drugim wyrzuca go ryba z paszczy, na trzecim spoczywa już prorok w cieniu bluszczu.

Ten sam prawie cykl powtarza się w kaplicy A₂. Mężczyzna wyprowadza wodę ze skały, — rybak zarzuca wędkę na rybkę, — a dalej siedzi u stołu, zastawionego rybami na dwóch talerzach, siedmiu nagich mężczyzn, podczas gdy obok stołu stoi siedm koszów pełnych chleba. Ścianę prawą zapełnia scena wskrzeszenia Łazarza. Na środku sufitu jest umieszczony Dobry Pasterz, a w koło niego historia Jonasza, i trójnóg zastawiony rybą i dwoma chlebami; obok trójnoga stoi znowu siedm koszów chleba.

W kaplicy A₆ nie ma biesiadników; za to jest tam obok stołu 12 koszów chleba.

Kto nam wyjaśni te freski? Klucza do zrozumienia tego hieratycznego malowidła dostarcza nam Tertullian; a jego zdanie jest w tej rzeczy tem cenniejsze, że przebywał w Rzymie właśnie w tym czasie, kiedy nasze freski kalikstyńskie powstały, i zapewne je nieraz na własne oczy oglądał. Powstaje on w księdze „O chrzcie“ przeciw niejakej Kwintilli, która rozsiewała po Kartaginie takie błędy, że woda przy chrzcie jest niepotrzebna, — i pisze: „My rybki rodzimy się na wzór naszej Ryby Jezusa Chrystusa we wodzie i poza tą wodą żyć nie możemy; ztąd bezbożna Kwintilla, która zresztą wcale nie ma prawa nauczania, wynalazła skuteczny sposób zabijania rybek — wyjmując je z wody“¹. Z tych słów łatwo się już domysleć, że w dwóch pierwszych freskach na ścianie lewej mamy przed sobą duchowe urodziny rybki, którą najpierw chwyta na wędkę słowa Bożego rybak ewangeliczny *par excellence* — św. Piotr, aby ją następnie ochrzcić w wodach chrztu św. Taką rybką, złowioną przez biskupa Delfina, mieni się św. Paulin z Noli. „Pamiętam Delfinie, — pisze on do tego męża świętego — że jesteś mi nietylko Ojcem, ale i Piotrem zarazem: boś ty zarzucił na mnie wędkę, abys mię wyciągnął z głębin gorzkich bałwanów tego świata, jako zdobycz na me zbawienie — abym umarł ciału, dla którego żyłem, a żył od-tąd Bogu, dla którego byłem umarłym“. Prosi następnie Delfina o modlitwę, aby łask, które przez jego ręce na chrzcie św. otrzymał, nigdy nie utracił — i kończy: „Jeśli rybką jestem twoją, to winienem mieć w ustach drogi denar, na którym jaśnieć ma miasto wizerunku i napisu Cezara, żywy i życiodajny obraz wiecznego króla, to jest: prawdziwa wiara“².

¹ „Sed nos pisciculi secundum IXYN nostrum Jesum Christum in aqua nascimur, nec aliter quam in aqua permanendo salvi sumus. Ita Quintilla monstrosissima, cui nec integre quidem docendi ius erat, optime norat pisciculos necare, de aqua auferens“. *De Baptismo*, cap. I, ed Migne. *Patrol. lat.* T. I, pag. 1197.

² „Meminimus te non solum patrem, sed et Petrum nobis factum esse: quia tu misisti hamum ad me de profundo et amaris huius saeculi fluctibus extrahendum, ut captura salutis efficerer: et cui vivebam na-

Neofita jest tu przedstawiony jako dziecko; ale nie dlatego, żeby artysta chciał być w istocie w tej krypcie wymalować chrzest niedorostka, lecz z tego jedynie powodu, że nowo ochrzczeni nosili w pierwotnym Kościele nazwę dzieci — *pueri* albo *infantes*; i pięknie — bo w źródle chrzcielnem zrodzili się na nowe życie łaski.

A z kąd znowu to źródło chrzcielne wzięło początek? Zostało wyprowadzone ze skały (na ścianie, w której znajduje się wniście do kaplicy), — skałą zaś jest Chrystus: *Petra autem erat Christus* — powiada św. Paweł w liście do Koryntów¹, tłómacząc figuralne znaczenie owej skały na puszczy, z której Mojżesz wyprowadził wodę dla spragnionych żydów². Tertullian zwie wody, wypływające ze skały, wprost wodami chrztu (*aquae baptismi*). A kogo przedstawia osoba, co wyprowadza wodę ze skały? Jest to Mojżesz N. Testamentu — Piotr św., żyjący w swych następach. Freski nasze wprawdzie tego nam wprost nie mówią, ale dowiadujemy się o tem z dzieł Ojców Kościoła, których zdania streścił krótko Prudencusz, kiedy św. Piotra nazwał przewodzcą nowego Izraela. Dalej stwierdzają to samo płaskorzeźby sarkofagowe, na których żołnierze Heroda aresztują św. Piotra w tej samej chwili, kiedy spełnia urząd Mojżesza, wyprowadzając wodę ze skały; a jeszcze dobitniej trzy malowidła na szkle, gdzie obok osoby, wyprowadzającej wodę ze skały, jest napis *Petrus*³. Wszystkie te malowidła i rzeźby opierają się na owych miejscach Pisma św., gdzie Chrystus Piotra przeznacza na fundament, na klucznika i Najwyższego Pasterza⁴ swego Kościoła.

turae morerer; ut cui mortuus eram, viverem Domino. Sed si piscis tuus sum, debeo ore pretiosum praeferre denarium, in quo non Caesaris figura et inscriptio, sed Regis aeterni viva et vivificans imago praeifulgeat, fides scilicet veritatis⁴. *Paulini Nol. Epist. ad Delphinum* XX, 6. Ed. Migne, *Patr. lat.* T. LXI, pag. 250.

¹ List I. św. Pawła do Koryntów, X, 3.

² *De Bapt.* c. IX, Migne, *Patr. lat.* T. III, col. 1210.

³ Wszystkie dowody razem zestawimy w paragrafie o prymacie rzymskiego biskupa.

⁴ Mat. XVI, 18. 19; Jan XXI, 15 i nast.

Obdarzając go bowiem takimi godnościami i przywilejami, dał tem samem jemu przed wszystkimi innymi przywilej i władzę szafowania skarbami, które z boku Jego wypływały. Wierzyła zaś cała starożytność w ten jego przywilej do tego stopnia, że nie uważała za żywego członka ciała Chrystusowego nikogo, ktoby zkądinął, jak z rąk Piotrowych lub z rąk, zostających z Piotrem w łączności biskupów, był wziął wodę chrztu św., która uchodziła powszechnie za początek i fundament wszelkich łask nadprzyrodzonych — *χαρισμάτων θεῶν ἀρχὴ καὶ πηγή*. „Wzywa Pan, — pisze św. Cyprian¹ — aby każdy, co ma pragnienie, przyszedł i pił ze strumienia wody żywej, która z jego żywota wypłynęła. Dokądże pójdzie spragniony: czy do heretyków, u których niemasz źródła wody żywej, — czy też do Kościoła, który jest jeden, i słowem Chrystusa zbudowany na jednym, który też jego klucze otrzymał?“ To samo wypowiada pięknie św. Augustyn wraz z innymi biskupami afrykańskimi w liście do papieża Innocentego I. „My nie chcemy — pisze on — wzbogacić naszemi potoczkami twego obfitego strumienia (wiary); pragniemy tylko otrzymać od ciebie potwierdzenie, że i nasz acz małuczki strumyczek wiedzy, z tego samego, co i twój strumień, wypłynął źródła?“² „Od św. Piotra — odpowiedział Innocenty na to wyznanie wiary wielkiego biskupa z Hipony — wzięła początek cała powaga i władza rzymskiej stolicy, i z niego to wypływały wszystkie kościoły, jak strumienie ze wspólnego źródła“³.

Ostatni fresk tej ściany przedstawia uzdrowionego u sadzawki owceży paralityka. Jakie on tu ma znaczenie? Niektórzy archeologowie widzą w nim symbol sakramentu pokuty; zaś de Rossi, a z nim wielu najpoważniejszych znawców sta-

¹ „Quo venturus est, qui sitit, utrumne ad haereticos, ubi fons et fluvius aquae vitalis omnino non est, an ad ecclesiam, quae una est et desuper unum, qui et claves eius accepit, Domini voce fundata?“ *Ad Iubaianum*, Epist. LXXIII. Migne, *Patr. lat.* III, col. 1116. Zob. też de Rossi, *R. S. T.* II, str. 332.

² August. Epist. CLXXVII.

³ Między listami św. Aug. CLXXXI.

rożytności chrześcijańskiej, idąc za zdaniem Ojców uważają go za symbol sakramentu chrztu, a tem samem za dalszy ciąg tego hieratycznego łańcucha, którego pierwszem ogniwem jest mistyczna skala Jezus Chrystus. „Sadzawka owcza — powiada Tertullian — figurą jest chrztu, a uleczenie cielesne i duszne paralityka, obrazem odpuszczenia grzechów przy chrzcie św.“¹. Podobną myśl wypowiada św. Optatus, kiedy pyta Donatystów: „Zkądże wy macie anioła, któryby poruszył źródło?“ Jakże zaś ma na myśli źródło, sam tłómaczy, dodając: „Chciejcie przynajmniej późno zrozumieć, że jesteście strumieniem odciętym od źródła, które wypłynęło ze skały Chrystusa“².

Zdanie Rossi'ego przyjmujemy tem chętniej, że za niem przemawiają także stare napisy grobowe i cała praktyka Kościoła świętego, który po chrzcie nie prowadził neofity do sakramentu Pokuty, ale go bezpośrednio karmił eucharystyą, — jak to zresztą na następnym fresku zobaczymy.

Mamy więc na tej ścianie chrzest aż w trzech obrazach, z których pierwszy — scena rybołówstwa — jest jego allegoryą, trzeci, t. j. uzdrowienie paralityka, symbolem, a środkowy gołym aktem chrztu, który i dlatego jeszcze bardzo jest ciekawym, że cennych dostarcza wiadomości do historyi rytu tego sakramentu³. Chrzczący kładzie rękę na głowę nagiego chłopca, stojącego po kolana w wodzie; z głowy zaś chłopczyny ścieka struga wody, — znak to, że udzielający chrztu wylał ją wprzód na chrześnika, zanim nań położył rękę. Podobne sceny mamy jeszcze na trzech innych monumentach. I tak na szklanej tacy, znalezionej w r. 1876 w termach Dyoklecjana w Rzymie, woda spływa z naczynia, umieszczonego w górze, na głowę dziewczynki, na którą kładzie rękę matka chrzestna lub też dyakonisa; równocześnie zstępuje na ochrzczoną gołąbek — Duch św. — trzymający w dzióbku gałązkę oliwną. Po prawej ręce dziecka stoi

¹ *De Bapt.* c. V, Migne, *Patr. lat.* T. III, col. 1205.

² Optatus Milev. *De schism. Donat.* II. 6.

³ Zob. de Rossi, *R. S.* T. II., str. 333; *Bullett. di arch. crist.* 1876 str. 8. 55. Porówn. Corblet, *Histoire... de Baptême.* T. II, str. 572.

osoba z nimbem koło głowy, ubrana w tunikę i płaszcz. Drugie dwa monumenta — srebrna łyżka, sięgająca początków VI wieku i stary kamień grobowy — pochodzą z Akwilei. Na pierwszym chrzczący chwyta w miskę wodę, którą z dzióbka wypuszcza gołąbek, aby nią następnie polać głowę dziecka, stojącego w miednicy. Zaś na nagrobku stoi chłopczyzna w płtykiem naczyniu między dwoma mężczyznami, z których jeden dotyka się głowy dziecka, podczas gdy drugi, z nimbem na głowie, wskazuje wodę, na ochrzczonego spływającą z koła, gdzie wśród gwiazd znajduje się gołąbek. Kompozycję okala następujący napis: INNOCENTI SPO (Spirito) QUEM ELEGIT DOMS PAUSAT IN PACE FIDELIS X KAL. SEPTEMBRES: Niewinnej duszy, którą Pan przeznaczył do zbawienia. Odpoczywa w pokoju, ochrzczony X Kalendów września.

Wymienione monumenta świadczą dostatecznie, że w III i następnych wiekach udzielano w Rzymie i całej Italii sakramentu chrztu przez zanurzenie połączone z polewaniem (*immersio cum aspersione*).

Przejdźmy do ściany następnej. Zapełniają ją trzy sceny, które znowu tworzą całość i są równocześnie dalszym ciągiem poprzednich. Z Ojców Kościoła wiemy, że po chrzcie św. zastawiał Kościół neoficie bezpośrednio ucztę z Ciała i Krwi Syna Bożego. Ta uczta czeka też neofitę na naszych freskach; zachodzi tylko pytanie, kto ją przygotowuje? Oto przyrządza ją na pierwszym fresku ten sam kapłan, co przed chwilą dopełnił chrztu chłopczyń; kapłana bowiem, a nie kogo innego, przedstawia człowiek, ubrany w sam tylko płaszcz i wyciągający ręce nad chlebem. „Nie potrzeba, jak być choć trochę obznajomionym ze starochrześcijańskim symbolizmem, — powiada de Rossi — aby zaraz na pierwszy rzut oka poznać w tej scenie akt konsekracji; wkładanie bowiem rąk, a przynajmniej prawicy, było w liturgii kościelnej zawsze znakiem konsekracji“¹. A na innem miejscu dodaje: „Ślepym chyba być musi, kto

¹ „L'imposizione d'ambe le mani e della sola destra nella cristiana liturgia è sempre stata un segno consecratorio“. *R. S. T.* II, str. 340.

tu nie widzi konsekracyi eucharystycznej. Wszystko bowiem przemawia za tem, że to nie jest zwyczajny stół, ale eucharystyczny — a między innemi, ten na sposób filozofów ubrany asceta, czyli raczej kapłan, który wyciąga rękę nad ofiarą¹. Kiedy de Rossi w swem dowodzeniu powołuje się na strój kalikstyńskiego ofiarnika, opiera on się głównie na Tertullianie, który świadczy, że klerycy z końcem II i w początkach III wieku przyjęli płaszcz filozofów pogańskich, i wysławia ten płaszcz, jako strój jedynie odpowiedni dla kapłanów chrześcijańskich².

Obok chleba leży na trójnogu ryba. Nie jestto ryba zwyczajna, ale ten sam mistyczny Ichthys, co w krypcie Lucyny dźwiga na grzbiecie w koszu Ciało i Krew własną pod postaciami chleba i wina, i który na nagrobku Licynii Amiaty daje się rybkom jako ΙΧΘΥΣ ΖΩΝΤΩΝ — t. j.: jako pokarm żywota. Leży on zaś na stole dlatego, aby powiedzieć, że chleb na trójnogu, poświęcony mocą słów sakramentalnych, które wyrzekł nad nim kapłan, nie jest już chlebem zwyczajnym, ale przeszedł w samą istotę Ryby — Jezusa Chrystusa. „Ichthys — powiada de Rossi — czy niesie na grzbiecie chleb i wino, czy leży na stole obok chleba, czy wreszcie wymalowany pod ręką konsekrującego kapłana: jestto Chrystus w eucharystyi — słodki pokarm Zbawicielowy“³.

¹ *Spicil. Sol. T. III, Epist. ad Pitram*, str. 567: „Qui ipsam eucharistiae consecrationem heic non videt, caecus omnino sit oportet; non enim solitaria iam illa mensa est, quam tamen de eucharistia interpretandam esse praeclara indicia suadebant, sed et philosophico more palliatus asceta, sive potius sacerdos adest, et manus imponit, quo unice gestu significari eucharistia potuit...“ Porówn. także Corblet, *Histoire... de l'Eucharistie*, T. II, str. 477 i nast.

² *De pallio*, c. III. Strój ten niezupełny i niewłaściwy porzucili jednak kapłani chrześcijańscy niezadługo, bo już w 50 lat później gani św. Cypryan ten brak skromności u filozofów pogańskich i to chępcie się obnażoną piersią — i stawia im na przykład nauczycieli chrześcijańskich, którzy nie słowy, ale w czynach są filozofami, i mądrość swą okazują na zewnątrz nie strojem, ale prawdą. *Cyprian. de bono patientiae*, c. 1—2.

³ „ΙΧΘΥΣ sive ille panem et vinum dorso sustinet, sive in mensa cum pane positus, sive sub ipsa consecrantis sacerdotis manu depictus est, Christus in Eucharistia est, dulcis Salvatoris cibus“. *Spicil. l. c.*

A kim jest niewiasta, która ze wzniesionemi w niebo rękami asystuje kapłanowi, sporządzającemu ucztę? Jestto symbol Kościoła¹, personifikacya wszystkich wiernych, co razem z kapłanem ofiarują Bogu Ojcu bezkrwawą Ofiarę i uczestniczą w mistycznej uczcie zastawionej neoficie. Malarz, przedstawiając Kościół pod symbolem niewiasty — Orantki, ilustrował tylko myśl Apostoła narodów, który zwie Kościół św. niepokalaną Oblubienicą Chrystusową². Ta sama myśl apostolska przyświecała także artyście V wieku, który na mozaice w kościele św. Sabiny na Awentynie umieścił pod dwoma niewiastami podpis: *Ecclesia ex gentibus* i *Ecclesia ex circumcisione*; co znaczy, że pierwsza figura symbolizuje wiernych, nawróconych z pogan, a druga chrześcijan, nawróconych z żydów.

Dalszą kompozycję osnuł artysta na dwóch faktach ewangelicznych. Uczta siedmiu przedstawia mianowicie ucztę Apostołów nad jeziorem Genezaret, a stojące obok stołu kosze przypominają cudowne rozmnożenie chleba na puszczy. Czemu te a nie inne cuda ewangeliczne znalazły pomieszczenie w tym cyklu obrazów kalikstyńskich? Odpowiedź łatwa. Stało się to dlatego, że te zdarzenia zostają w ścisłym związku z dopiero omówionym stołem eucharystycznym.

Przypomnijmy sobie fakt pierwszy. Było to po zmartwychwstaniu Chrystusa. Apostołowie w liczbie siedmiu, zebrali się na rybołostwo nad jeziorem Genezaret; jednak po całonocnej pracy nie ułowili. „A gdy było rano, — opowiada dalej ewangelia — stanął Jezus na brzegu: wszakoż nie poznali uczniowie, że był Jezus. Rzekł im tedy Jezus: Dzieci, a macie ryby? Odpowiedzieli mu: Nie. Rzekł im: Zapuscście sieć po prawej stronie łodzi, a najdziecie. Zapuscili tedy: a już nie mogli jej ciągnąć przed mnóstwem ryb... Gdy tedy wyszli na ziemię, ujrzeli węgle nałożone, i rybę na nie włożoną i chleb. Rzekł im Jezus: Przynieście z ryb, któreście teraz pojmali. Wstąpił Symon Piotr, i wyciągnął sieć na ziemię,

¹ De Rossi, *R. S. T.* II, str. 339.

² List do Efez. V, 23 i nast.

pełną wielkich ryb, sta pięćdziesiąt i trzech. A choć ich tak wiele było, nie podarła się sieć. Rzekł im Jezus: Pójdźcie obiedwajcie. A żaden z siedzących u stołu nie śmiał go spytać: ktoś ty jest: wiedząc iż Pan jest. I przyszedł Jezus, i wziął chleb, a dawał im także i rybę¹.

Ojcowie Kościoła uważają ten cudowny polów za proroczy symbol owego drugiego rybołówstwa, przy którym Apostołowie mieli zarzucić sieci na cały świat, a w uczcie Apostołów widzą figurę i zapowiedź biesiady eucharystycznej. Co więcej? Św. Augustyn, komentując przytoczony z ewangelii św. Jana ustęp, mówi wyraźnie, że owa upieczona ryba, podobnie jak i ów chleb, który Chrystus dał uczniom na pokarm, oznacza samego Chrystusa, za nas umęczonego: *piscis assus, Christus passus*². Podobnie tłumaczy to miejsce św. Prosper akwitański, kiedy zwie Chrystusa „wielką Rybą, która sobą samą (*ex se ipso*) nakarmiła uczniów i dała się całemu światu jako Ichthys³.

Do biesiady nad jeziorem Genezaret zasiadło siedmiu uczniów: Chrystus był ósmym. Na naszym fresku widzimy tylko siedmiu uczujących; — gdzie jest Zbawiciel? Nie brak go i tutaj: jest obecny jako sakramentalny Ichthys.

Podobnie też cud rozmnożenia chleba na puszczy, który przypominają kosze napelnione chlebami, uchodzi powszechnie u Ojców⁴ za symbol i zapowiedź eucharystyi. Na jeden jeszcze szczegół warto zwrócić uwagę. Podczas, gdy uczujących na naszych freskach zawsze jest siedmiu⁵, to liczba koszów

¹ Jan XXI, 1—13.

² S. Aug. in Joh. Evang. Tract. 123, ser. 2, III, 2460, ed. Gaum.

³ S. Prosper Aq., *De promiss. et praedic. Dei*, II, 39.

⁴ Zdania Ojców zestawil dobrze Pitra, *Spicileg. Solesm.* III, 525. — Zob. także de Rossi, *R. S.* II, str. 349, 350.

⁵ Prócz tych nezt kalikstyńskich, do których stale zasiada siedmiu tylko mężczyzn, a które są symbolem Sakramentu Ołtarza, mamy w katakumbach jeszcze inny rodzaj biesiad, w których bierze udział dowolna liczba osób obojej płci. Tak siedzi np. w cmentarzu św. Piotra i Marcellina u stołu kształtu podkowy niewiasta między dwoma mężczyznami; u dwóch krańców stołu są jeszcze dwie niewiasty, które jednak zdają się nie brać udziału w uczcie. Na stole niema żadnych potraw, bo według zwyczaju rzymskiego, stawiano takowe nim je podano biesiadnikom,

prawie ciągle się zmienia. W kaplicy A_3 jest ich ośm, w A_2 siedm, w A_6 dwanaście. Musi i to mieć głębszy powód. Chciał mianowicie artysta przez to rozmyślne odbieganie od opowiadania ewangelicznego wyrazić, że jemu nie szło o ścisłe oddanie faktu historycznego, ale jedynie o stworzenie obrazu symbolicznego, wypowiadającego myśl, którą najpierw sam Chrystus temu zdarzeniu cudownemu podsunął, a za nim wszyscy tłumacze Pisma św.; chciał malarz, aby te kosze pełne chleba wołały, że obiecana eucharystya jest już na stole. Na ostatnie dwa freski, przedstawiające ucztę siedmiu i cudowne nakarmienie zgłodniałej rzeszy na puszczy, rzucają także światło odkryte w r. 1864 w katakumbach w Aleksandryi malowidła z IV wieku. W środku obszernej kompozycji stoi Chrystus w otoczeniu Apostołów Piotra i Andrzeja; ostatni podaje Zbawicielowi misę z rybkami, przed Chrystusem stoją kosze z chlebami. Po prawej stronie tegoż obrazu przedstawione jest wesele w Kanie, po lewej jest uczta kilku osób, nad którymi czytamy słowa: ΤΑΣ ΕΥΑΓΓΕΛΙΑΣ ΤΟΥ ΧΥ ΕΞΘΙΟΝΤΕΣ — pożywający błogosławieństwa Chrystusa ¹.

Co znaczą ten napis? Był w starym Kościele zwyczaj, że z chleba, który lud składał jako ofiarę na ołtarz, kapłan konsekrował tyle, ile potrzeba było do komunii wiernych; re-

na małym, okrągłym stoliku, zwanym *cibilla* albo *mensa escaria*, który też na naszym fresku jest w półkolu, utworzonym przez stół główny. Na stoliku leży ryba i chleb, przy stoliku stoi w krótkiej tunice niewolnik, który trzyma w ręce puhar (*cyathus*) i czeka na rozkazy biesiadników. Jakie zadanie mają do spełnienia obie niewiasty, wypowiadają umieszczone nad nimi napisy: IRENE DA CALDA (Irene, podaj ciepłej wody) — AGAPE MISCE MI (Agape, podaj mi winą, rozcieńczonego wodą).

Inna uczta jest u św. Domitylli na fresku z końca I lub początku II wieku. Dwie osoby, ubrane w togi, siedzą na sofie; przed nimi jest okrągły stół trójnożny z rybą i trzema chlebami, obok stołu stoi niewolnik i trzyma w ręce prawdopodobnie puhar z winem.

Obie opisane biesiady, przypominające życie rodzinne wiernych, nie są już symbolem eucharystyi, ale raczej obrazem bankietów niebieskich czyli szczęścia, które płynie z posiadania i oglądania twarzy w twarz Pana Boga.

¹ Zob. de Rossi, *Bullett. di arch. crist.* 1865. Nr. 8, str. 57 i nast.

szczę tylko błogosławił i rozdawał między kler i tych wier-
nych, którzy eucharystyi nie przyjęli. Te chleby święcone
zwano eulogiami. Ale tego samego wyrażenia używa św. Pa-
wel¹, tudzież św. Cyryl², w którego stolicy biskupiej ten fresk
się znajduje, na oznaczenie eucharystyi. A co nasz artysta miał
na myśli, kiedy pisał słowo eulogia? Chciał widocznie powie-
dzieć, że biesiadnicy pożywają Najświętszy Sakrament: czego
najlepszym dowodem scena rozmnożenia chleba i rybek i prze-
miany wody w wino w Kanie — dwa cuda i dwie uczty,
w których Ojcowie upatrują figurę i przedsmak kielicha N. Te-
stamentu. Nie bez znaczenia jest i ta okoliczność, że malowidło
znajduje się w kaplicy nad samym ołtarzem, na którym spra-
wowano najświętszą Ofiarę.

Trzeci fresk na tej samej ścianie przedstawia ofiarę Izaaka.
Ta jest zwykle przedobrażeniem Chrystusa, niosącego krzyż
na Golgotę, czyli krwawej Ofiary N. Zakonu; w tem miejscu
jednak ofiara Izaaka jest figurą Ofiary bezkrwawej,
czyli Mszy św. Za taką uważali ją niejednokrotnie Ojcowie
i nważa Kościół św., kiedy np. w Kanonie zestawia trzy ofiary
St. Testamentu i modli się: „Przyjmij Boże tak mile ten chleb
i kielich N. Testamentu, jak mile przyjąłeś dary chłopięcia
swego Abła i ofiarę patriarchy naszego Abrahama, i tę, którą
Ci ofiarował najwyższy kapłan Twój Melchizedech“. Za zapo-
wiedź Najświętszego Sakramentu bierze także ofiarę Izaaka,
kiedy śpiewa we Mszy św. na Boże Ciało:

Ecce panis Angelorum, factus cibus viatorum:

Vere panis filiorum, non mittendus canibus.

In figuris praesignatur, cum Isaac immolatur:

Agnus Paschae deputatur: datur manna patribus.

Takiego tłumaczenia tego fresku domaga się dalej ścisły
związek między pojedyńczymi malowidłami całej kompozycji.

¹ List I do Koryntów X, 16: „Τὸ ποτήριον τῆς εὐλογίας ὃ εὐλογοῦμεν, ὡχὶ ἀνασθῶν τὸ αἷμα τοῦ Χριστοῦ ἐστίν“.

² Zob. Martigny'ego, *Dictionnaire des Antiquités Chrétiennes*. Paris 1877, str. 294, artykuł: „Eulogies“.

Wreszcie obrazy, przypominające mękę Zbawiciela, dopiero później się wogóle pojawiają.

Mamy tedy na ścianie środkowej Mszę św. w dwóch obrazach: zapowiedź jej i rzeczywistość, — i dwóch ofiarników: kapłana N. Zakonu w płaszczu filozofa, i jego figurę, Abrahama, w którego sereu popłynęła już Krew Syna.

Główny obraz na prawej ścianie (*d*) jest zniszczony; ponieważ jednak w kaplicy A_2 jest na tem samem miejscu fresk, przedstawiający wskreszenie Łazarza, więc nie omylimy się, twierdząc, że ta sama scena była także w kaplicy A_3 . Łazarz stoi przed grobem w postaci niedorostka: znak to znowu, że i tu nie myślał artysta o ścisłem oddaniu postaci historycznej przyjaciela Chrystusowego, ale chciał raczej stworzyć osobę idealną — chrześcijanina w ogóle. Obraz ten jest tylko uzupełnieniem i wykończeniem cyklu, a wywołały go słowa Zbawiciela: „Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił. Jeżeli kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki. A chleb, który ja dam, jest moje ciało za żywot świata“¹.

Kogo zaś oznacza osoba, czytająca w zwoju pargaminowym, obok której był w kaplicy A_2 fossor, i druga, co wiadrem czerpie wodę ze studni? Zdaniem Rossi'ego², chciał artysta w tych obrazach uwiecznić pamięć osób, co kierowały budową i strojem tych kaplic. Mamy tedy przed sobą może samego Kaliksta; w jego otoczeniu słusznie znajduje się fossor — wykonawca jego planu i myśli. Studnia zaś, z której druga osoba czerpie wodę, jest symbolem — wedle Origenesa³ — mistycznego sensu Pisma św., który dobywają zpod łupiny słowa Nauczyciele Kościoła.

Zostaje nam jeszcze do powiedzenia słów kilka o znanych nam już obrazach Jonasza. Ten sam cykl, który znajduje się w krypcie A_3 , spotyka się także w innych kaplicach z tą tylko różnicą, że na miejscu sceny wrzucenia proroka w mo-

¹ Jan św. VI, 51.

² R. S. T. II, str. 346.

³ Orig. in Numer. hom. XII.

rze znajduje się w kaplicy A₂ okręt, miotany burzą, a w nim kilka osób. Z tych jedna stoi u steru, druga modli się u przodu okrętu; zaś w obłokach widać postać inną, która zdaje się spieszyć z pomocą modlącemu się. Okręt jest obrazem Kościoła¹, który przebija się przez wrogie żywioły tego świata, kierowany ręką Opatrzności, czyli niesiony — jak to pięknie głosi fresk z krypty Lucyny — na grzbiecie symbolicznej Ryby, Chrystusa. Osoba, modląca się, jest symbolem chrześcijanina, który przez chrzest dostał się do mistycznego okrętu, nakarmiony przy trójnożnym stole eucharystycznym Ciałem i Krwią swojego Boga, płynie spokojnie do portu wieczności. Obok okrętu walczy z balwanami człowiek inny: obraz niewiernego, co poza łódką Kościoła tonie na wieki. Zaś cały cykl obrazów Jonasza symbolizuje z jednej strony rozliczne burze i próby tego życia, a z drugiej nadzieję niechybnego zmartwychwstania i odpocznienia w Bogu.

Na suficie w kaplicy A₃, a więc niejako w samym jej centrum, jest obraz Dobrego Pasterza wśród owieczek i drzew rajskich. I słusnie: Dobry Pasterz, początek i koniec wszelkiego życia kościelnego, jest bowiem punktem wyjścia tak dla sceny chrztu, jakoteż dla eucharystyi i wskrzeszenia Łazarza.

Nim pożegnamy ten hieratyczny cykl malowideł, któremu słusnie wspaniałej epopei należy się nazwa, rzućmy nań okiem raz jeszcze i starajmy się ująć go w jedną całość.

Ze skały Chrystusa wyprowadza wodę chrztu, a z nią wszelkie łaski, Piotr św.; ten sam Piotr, rybak *κατ' ἐξουσίαν*, chrzci następnie w wyprowadzonym przez się źródle ułowioną na wędkę Ewangelii rybkę — chrześcijanina. Przez chrzest stała się ta rybka członkiem mistycznego ciała Jezusa Chrystusa — Kościoła św., a tem samem otrzymała prawo karmienia się prawdziwem Ciałem Ryby-Zbawiciela, którą znowu Piotr św., Arcykapłan *par excellence* N. Testamentu, przyprawia jako pokarm na trójnogu. Pożywając Rybę-Chrystusa, otrzy-

¹ Oprócz zdań Ojców przemawia za naszym tłómaczeniem także krzyż. widny na maszcie okrętu w kaplicy A₆.

muje chrześcijanin potrzebne do przebycia morza tego świata siły, a równocześnie zadatek przyszłego zmartwychwstania, którego zapowiedzią jest zmartwychwstały Łazarz i Jonasz, wyrzucony z brzucha ryby.

Godnym uwagi jest także paralelizm, zachodzący między cyklem obrazów, pomieszczonych na lewej ścianie, a cyklem na środkowej. Pierwsza daje nam chrzest w trzech obrazach: jego alegorię, symbol i wizerunek; w trzech także freskach roztacza artysta przed okiem widza na ścianie środkowej eucharystię, malując obok aktu konsekracyi, ucztę siedmiu Apostołów nad jeziorem Genenezaret i ofiarę Izaaka — symbole i zapowiedzi Najświętszego Sakramentu ¹.

Przedstawia się więc w kaplicach kalikstyńskich prawdziwa synteza mistycznej teologii II i III wieku, a z nią najpiękniejsza faza i karta starokościelnej sztuki. Tu dopiero poznajemy, do jakiej potęgi twórczej zdołał wznieść się duch chrześcijańskich artystów, i z jaką umiejętnością umieli zestawiać prosty hieroglif z obrazami cudów i parabol biblijnych na oddanie i uzmysłowienie liturgicznych czynów. Zwłaszcza kaplica A₃ przedstawia się jako punkt kulminacyjny starochrześcijańskiego symbolizmu, tego hieratycznego i hieroglificznego zarazem języka heroicznych wieków Kościoła, który dziś wydaje się może niejednemu trudnym i zawiłym, ale zrozumiałym był i łatwym dla chrześcijan katakumbowych, którzy pod tą samą symboliczną osłoną zwykli byli słyszeć w homiliach i katechezach prawdy wiary z ust swych nauczycieli.

Oprócz omówionego cyklu kalikstyńskiego, mamy w katakumbach jedną jeszcze głęboką kompozycję liturgiczną, do ostatnich czasów źle tłumaczoną. Są to trzy freski z III wieku

¹ Nie chcemy jednak powiedzieć, jakobyśmy w jednym z tych obrazów mieli wierny portret Komunii św. z trzech pierwszych wieków. Kościół nie byłby się nigdy zgodził na wymalowanie takiego portretu z obawy, aby nie narazić na zbezczeszczenie najświętszych tajemnic wiary. Uczta siedmiu jest tylko zapowiedzią — powtarzamy — i figurą biesiady eucharystycznej, podobnie jak symbolem Komunii św. było pożywanie cudownie rozmnożonego chleba na puszczy.

w ementarzu św. Pryscylli, których rozumienie zawdzięczamy ks. Wilpertowi. Na pierwszym biskup, siedzący na katedrze, podaje dziewicy welon zakonny; drugi przedstawia tę samą chrześcijankę już w pełnym stroju ówczesnych zakonnic; na trzecim siedzi Madonna, mając Dzieciątka u piersi. Tylko głęboko myślący artysta zdolny był stworzyć taką trylogię: biskup, który co dopiero dopełnił obłóczyn, zdaje się wskazywać na Madonnę i mówić do chrześcijanki, co lepszą w owczarni Chrystusowej obrała część: „Dziewico, oto wzór do naśladowania dla ciebie!”

Jeszcze słowo o ikonografii Chrystusa, Bogarodzicy i Świętych Pańskich. Autentycznych portretów Chrystusa ani też Najśw. Jego Matki nie mamy; nie miała ich też starożytność chrześcijańska, czego dowodem słowa św. Augustyna, że za jego czasów przedstawiano Zbawiciela w sposób najrozmaitszy¹. Powodu, dla którego Kościół pierwotny nie uwiecznił w opisie lub sztuce wiernych rysów swego Założyciela, odkryć nie trudno: obraz taki byłby musiał stać się wprost przedmiotem najgorętszego kultu — rzecz bardzo niebezpieczna w czasie, kiedy bałwochwalstwo miało w świecie przewagę. Nie ulega jednak wątpliwości, że już w wiekach prześladowania istniały obrazy Chrystusa. Św. Ireneusz pisze, że Karpokracjanie mieli wizerunki Zbawiciela ze srebra i złota; od Lampridyusza dowiadujemy się, że cesarz Aleksander Sewerus miał w swej domowej kaplicy między innemi także obrazy Abrahama i Chrystusa.

Na najstarszych freskach ementarnych widzimy Zbawiciela już to jako Dziecię na łonie swej Matki, już jako młodzieńca bez zarostu. Takim spotykamy Go np. w krypcie Luciny, na fresku z końca I lub początków II wieku, w chwili, kiedy otrzymuje chrzest w Jordanie z ręki św. Jana, a gołąbek, wyrażający Ducha św., przynosi Mu w dzióbku gałązkę

¹ „Dominicae facies carnis innumerabilium cogitationum diversitate variatur et fingitur“. *De Trinit.* VIII, 4.

oliwną. Takim widzimy dalej Zbawiciela u św. Agnieszki, w otoczeniu Apostołów, a nadto w scenach, gdzie przemienia wodę w wino, rozmnaża chleb i rybki, leczy niewiastę, cierpiącą krwiotok, przepowiada Piotrowi upadek, wskrzesza Łazarza.

Oprócz tego posiadamy Chrystusa w katakumbach jeszcze pod obrazem Orfeusza, Dobrego Pasterza, owieczki i ryby. Popiersi Chrystusa mamy kilka, żadne z nich jednak nie jest starsze nad wiek V. Najwięcej znane jest popiersie z katakumb św. Domitylli, które nawet za model służyło Leonardowi da Vinci, Rafaelowi i Carracci'emu. Chrystus ma twarz nieco podłużną, rysy poważne, ale łagodne, brodę krótką i rzadką, włosy w środku głowy przedzielone i spadające w lokach na ramiona. Obraz ten przypomina znacznie wizerunek Zbawiciela, skreślony w znanym liście Lentulusa, rzekomego poprzednika Poncyusza Piłata. Dalej mamy dwa popiersia w katakumbach św. Poncyana przy *Via Portuensis*, jedno w cmentarzu św. Gaudioza w Neapolu i mozaikę z V wieku w bazylice św. Pawła za murami. Obrazów męki i śmierci Zbawiciela Kościół przed Konstantynem nie malował. Pierwsze sceny z męki, jak pojmanie, Chrystus w Ogroju, stawienie przed Piłatem, zaparcie się Piotra, znajdujemy dopiero na sarkofagach IV i V wieku. Śmierć Zbawiciela przedstawiano w IV wieku w ten sposób, że malowano lub rzeźbiono baranka u stóp krzyża lub z krzyżem na głowie.

Najstarszy obraz Ukrzyżowanego wyszedł z ręki pogańszczyzny, a jest nim znana nam już karykatura palatynska. W katakumbach spotykamy wizerunek Chrystusa na krzyżu dopiero na fresku z VI lub VII wieku, mianowicie w jednej z krypt cmentarza św. Walentyna przy *Via Flaminia*¹. Ucierpiał

¹ Zob. Liell, *Die Darstell. der allersel. Jungfrau...*, str. 313, 314. British Museum posiada obraz Ukrzyżowania o wiele starszy, bo z V wieku. Jestto płaskorzeźba, wykonana w kości słoniowej; po lewej stronie krzyża stoi żołdak, co przebił bok Zbawiciela, po prawej Matka Bolesna i św. Jan; dalej wisi na drzewie Judasz. Bardzo też stary wizerunek Chrystusa na krzyżu posiada Florencya; znajduje on się w syryjskim rękopisie ewangelij Rabulasa z r. 586. Zob. Kraus, *Über Begriff. Umfang, Geschichte der christlichen Archäologie*. Freiburg im Breisgau 1879. Broszura, str. 26 i 54.

on wiele przez restauracje, dokonane w przeszłym wieku; opis jego zawdzięczamy głównie Bożyuszowi, a z nowszych badaczy Marucchi'emu. Zbawiciel jest ubrany w tunikę bez rękawów, sięgającą aż do stóp; tylko ramiona i nogi ma gołe, koło głowy, skłonięnej w stronę prawą, jest nimb, nogi stoją obok siebie na podstawce, ślady gwoździ widne tylko w dłoniach. Po jednej stronie krzyża stała Matka Bolesna, po drugiej znajduje się św. Jan. Na krzyżu był podług Bożyusza napis: IESVS · REX · IVDEORUM; nad krzyżem było umieszczone słońce i księżyc; obok księżycy jeszcze napis: LVNA.

Wzmianka o tych najstarszych wizerunkach Chrystusa nasuwa nam pytanie: co też zrobiła pierwotna sztuka dla uwielbienia Maryi?

W IV i V wieku złożyła hołd Matce Bożej poezya, opiewając Jej chwałę i cnoty pieśniami św. Efrema, Balaeusa, Rabulusa na Wschodzie, w hymnach św. Paulina z Noli, Prudentyusza i Seduliusza na Zachodzie. Ale wcześniej jeszcze od poezyi poszły w służbę Maryi sztuki piękne, czego świadkami znów katakumby, które, acz dziś są tylko wielką ruiną¹, przechowały nam jednak jeszcze blisko sto obrazów Bogarodzicy we freskach, w rzeźbach i w malowidłach na szkłe. Dzielimy je, idąc za Liellem², na dwie główne grupy, z których pierwsza przedstawia Maryę, jako Dziewicę, druga, jako Bogarodzicę.

Pierwszą grupę reprezentują przeważnie malowidła na szkłe, czyli t. zw. *fondi* albo *vetri d'oro*. Ciekawy ten dział starokościelnej sztuki nosi nazwę złotych szkieł dlatego, że obraz jest wykonany na złotym listku, umieszczonym na dnie szklanki. Kielichów takich używali wierni przy uroczystościach, a szczególnie podczas uroczystości Świętego, którego obraz na ich dnie się

¹ Najwięcej ucierpiały groby znakomitsze, bo przez całe wieki były narażone na grabieże barbarzyńców, którzy w nich szukali ukrytych skarbów; a że właśnie na grobach osób bogatszych najwięcej było dzieł sztuki, więc i one przepadły na zawsze z chwilą, kiedy grób został zniszczony.

² Liell, l. c. str. 115.

mieścił. Wyrabiano je w sposób następujący. Na oczyszczonem i wygładzonem dobrze dnie szklanki kładziono złoty listek i przymocowano go zwyczajnie gumą; na tym listku rysowano następnie igłą lub innem jakimś ostrem narzędziem figury, napisy i różne ozdoby. Potem zbierano z dna wszystko złoto, zostające poza konturami figur, tak że zostawały tylko same figury złote, a reszta dna była przezroczysta. Niekiedy posługiwano się przy rysunku jeszcze farbą zieloną, niebieską, czerwoną i białą. Kiedy rysunek był już wykończony, przylutowano do dna szklanki, dla uchronienia go od zniszczenia, szklaną płytę lub podstawkę¹. Wszystkie wyroby tego rodzaju dotąd znane, z wyjątkiem trzech², znaleziono w katakumbach rzymskich, jużto wewnątrz, już zewnątrz grobów. Wciśnięte zewnątrz grobu, w wapno jeszcze świeże, służyły one za ozdobę, lub też — podobnie jak monety, pierścienie, muszle — za znaki, ułatwiające odnalezienie grobu zmarłego przyjaciela lub krewnego.

Ważna jest rzecz wiedzieć, w jakim czasie Rzym chrześcijański te szkła produkował? Powiedzieliśmy, że pochodzą prawie wyłącznie z katakumb rzymskich; a ponieważ rzeczą jest dowiedziona, że po r. 409 już nie grzebano w cmentarzach podziemnych, ale nad ziemią, więc granica ostateczna, poza którą nie były w używaniu, już znaleziona. Pytanie, o ile są starsze nad r. 409? Nie znajduje ich Rossi na grobach I, II i pierwszej połowy III wieku; za to Bosio widział pięć na grobach, które odnieść należy między lata 250 a 350. Resztki trzech innych znalazł Rossi w katakumbach Ostryańskich, obok napisu z r. 291, a jedno w cmentarzu św. Piotra i Marcelina w sąsiedztwie trzech medalionów cesarza Maksymiana (286-305). Na podstawie tych danych, jakoteż opierając się na stylu rysunku, charakterze napisu i stroju figur, wnoszą archeologowie katoliccy, że wyrób tych szkieł przypada głównie na drugą połowę III i pierwszą połowę IV wieku³.

¹ Zob. Garrucci, *Vetri ornati*. Roma 1864.

² Z tych trzech dwa pochodzą z Kolonii, a jedno z Akwilei.

³ De Rossi, *Bullett. di archeol. crist.* 1864, str. 81.

Otóż na tych złotych szklach spotykamy Najświętszą Dziewicę w postawie Orantki, czyli osoby modlącej się, z rękami rozkrzyżowanymi lub też wzniesionymi w górę. Na szkłe, przechowanym w muzeum watykańskim, stoi Orantka między dwoma drzewami w jednej tunice, dochodzącej aż do stóp i w drugiej krótszej, przepasanej koło bioder; na ramionach dźwiga płaszcz, spięty sprzączką na piersiach, ręce ma nieforemnie wielkie, głowę otacza nimb i napis *Mara*. Na drugim szkłe tegoż muzeum czytamy już poprawny napis *Maria*. W muzeum Borgianum Propagandy stoi po prawej ręce Niepokalanej św. Piotr, po lewej św. Paweł; na innych Najświętsza Panna ma u swego boku św. Agnieszkę.

Drugi dział obrazów Bogarodzicy przedstawiają freski katakumbowe i płaskorzeźby sarkofagowie, na których mamy różne sceny z życia Matki Najświętszej, jak: Zaślubiny, Zwiastowanie, Nawiedzenie, Boże Narodzenie, Ofiarowanie, pokłon Magów, Znalezienie Dzieciątka w świątyni, Maryę na godach w Kanie i inne. Nie wymieniamy wszystkich, bo nie mamy wcale zamiaru dać na tem miejscu szczegółowej ikonografii Najświętszej Panny; zwrócimy tylko uwagę na najstarsze i pod względem dogmatycznym najważniejsze obrazy, a do tych zaliczamy wyobrażenia Zwiastowania, adoracyi Magów, Maryi z prorokiem Jezajaszem, i dwa freski, przedstawiające Matkę Bożą samą z Dzieciątkiem na łonie.

Najstarszy obraz Zwiastowania¹ znajduje się na suficie w jednej z krypt cmentarza św. Pryscylli, który dla licznych obrazów Bogarodzicy nazwaćby można cmentarzem Maryi. Trudno opisać go dokładnie, gdyż bardzo jest zniszczony. Marya siedzi w krześle, przypominającym stare katedry biskupie², ubrana w długą tunikę z welonem na głowie. Przed nią stoi Archanioł Gabriel i wskazuje ręką na Dziewicę. Znaczący sztuki klasycznej i kościelnej odnoszą ten obraz do czasów św. Jana Apostoła; w każdym razie nie powstał później jak w pierwszej

¹ Zob. Liell, l. c. Tabl. II, n. 1 i str. 199.

² Na 40 obrazach adoracyi zajmuje Bogarodzica tę samą katedrę.

połowie II wieku. Przemawia za tem także reszta fresków, zdobiących tę kaplicę, jak: cykl obrazów z historii Jonasza, wskreszenie Łazarza, Dobry Pasterz, a przedewszystkiem po mistrzowsku wykonana ornamentyka. Oprócz fresku pryscyliańskiego mamy jeszcze obraz Zwiastowania w katakumbach św. Domitylli z końca IV wieku, i drugi w Rawennie na sarkofagu z początków wieku V.

Równie stary jak obraz Zwiastowania jest drugi fresk u św. Pryscylli, w tak zwanej Kaplicy greckiej¹, przedstawiający adoracyę Magów². Zajmuje on tam miejsce najwybitniejsze, bo łuk naprzeciw drzwi. Bogarodzica siedzi na krześle, z Dzieciątkiem Bożem u łona; przed Nią są trzej magowie z darami. Trzy inne obrazy adoracyi pochodzą z pierwszej połowy III wieku. U św. Domitylli zapelnia ta scena miejsce między dwoma grobami, wykutymi w ścianie³. Marya siedzi na zwykłej katedrze w żółtawej dalmatyce, na głowie ma jasny, spadający na ramiona welon. Dzieciątko, ubrane w ciemną tunikę, siedzi na łonie Matki i wyciąga wraz z Nią prawicę ku nadchodzącym, po dwóch z każdej strony katedry magom. W rękach trzymają wielkie misy z darami, których natury jednak poznać niepodobna. W katakumbach św. Piotra i Marcelina⁴ jest Marya bez welonu, a magów tylko dwóch. Niosą oni także na misach dary, ale nie złoto, kadzidło i mirę: jeden przynosi lalkę; co inni mają, i tu trudno oznaczyć; gdzieś indziej składają w podarunku gołąbki i wieńce. W cmentarzu św. Trazona i Saturnina⁵ jest magów trzech. Inne sceny adoracyi pomijamy i dodajemy tylko, że takowe znajdują się na kilkunastu sarkofagach w Lateranie, dalej w niemieckiem Campo Santo w Rzymie, w muzeum Kirchera, w Rawennie, Ankonie,

¹ Nazwę *Cappella greca* otrzymała ta krypta od robotników, dla znalezionych tu licznie napisów greckich.

² Pierwszy ogłosił ten obraz Liell; zob. Tabl. II, n. 2 i str. 225.

³ Zob. de Rossi, *Immagine scelte della Beata Vergine Maria*... Tav. II, III; Liell, Tabl. III, str. 227.

⁴ Zob. Liell, Tabl. IV, str. 232; de Rossi l. c. Tav. V.

⁵ Liell, fig. 16, str. 236.

Medyolanie, Syrakuzach, na kilku sarkofagach w Arles i na wielu innych miejscach. Z tych niektóre pochodzą z końca III, reszta z IV i V wieku.

Obrazy te ważne są ciekawe już nietylko jako wizerunki Bogarodzicy, ale i dlatego, że rzucają światło na pochodzenie, charakter i liczbę magów.

Starzy artyści ubierają zazwyczaj swe figury w strój rzymski; wyjątek pod tym względem stanowią tylko Orfeusz, trzech młodzieńcy w piecu ognistym, Daniel, męczennicy Abdon i Sennen; a wreszcie magowie. Ich ubiór składa się ze spiętej u bioder tuniki, płaszcza, spodni, butów i frygijskiej spiczastej czapki. Powód tego wyróżnienia nie może chyba być inny jak, że artysta chciał te osoby przedstawić w ich stroju narodowym, czyli w stroju kraju, w którym się urodzili, żyli lub z którego przybyli; a jeżeli magom dał ten sam strój co Persom: Abdonowi i Sennenowi, co Danielowi i trzem jego towarzyszom, to chciał przez to powiedzieć, że wszyscy trzech przybyli do Chrystusa z Persyi. Sztuki piękne są tu więc w zgodzie z tradycją Ojców Kościoła, którzy także Persyę uwarzają za ojczyznę magów.

Te same monumenta głoszą dalej, że magowie byli królami¹. Noszą oni bowiem — jak powiedzieliśmy — ten sam strój co Daniel i trzech młodzieńcy i męczennicy Abdon i Sennen, których Pismo św. i Akta męczeńskie² zwiąż książętami i królami; strojem tedy chciał także w scenach adoracyi wyrazić artysta, że i magowie byli książętami albo królami.

Liczby magów nie podaje ani ewangelia ani też najstarsi

¹ Wiadomość, że magowie byli królami, podaje dopiero w VI w. słynny Cezaryusz, biskup z Arles. Słowo król miało w starożytności nieraz zupełnie odmienne znaczenie niż dzisiaj. W *Odysei* czytamy, że na małej wyspie Itace było aż kilku królów (*βασιλῆες*); u Persów mieli tytuł króla satrapowie, a o Danielu opowiada nam Biblia, że Nabuchodonozor uczynił go książęciem nad wszystkimi krainami babilońskimi i przelożonym nad urzędnikami — nad wszystkie mędrce babilońskie. Zob. Daniel. II. 48; VI. 2—4.

² Zob. *Acta Sanctorum*, T. VII, dzień 30 lipca, str. 131.

Ojcowie i dopiero pisarze V wieku¹ powiadają, że było ich trzech. Otóż stare monumenta uzupełniają i tu pomniki literackie i dowodzą, że tradycja o magach trzech, acz spisana dopiero w wieku V, sięga jeszcze czasów apostołskich; albowiem aż na 56 monumentach spotykamy ich stale w liczbie trzech, a tylko w trzech wypadkach odstąpił artysta od zwykłej liczby i wymalował raz dwóch, drugi raz czterech a trzeci raz aż sześciu. Uczynił to zaś jedynie dlatego, że w pierwszym razie miał miejsca za mało i nie mógł pomieścić jak tylko dwóch, w drugim zaś i trzecim miał miejsca próżnego za wiele i dlatego wymalował czterech a względnie sześciu.

Zostały nam jeszcze do omówienia dwa bardzo cenne freski Maryi. Pierwszy, najciekawszy, jest niestety dziś już w bardzo złym stanie. Mieści on się u św. Pryscylli, w krypcie, położonej nieco na południowy zachód od znanej nam już kaplicy greckiej. Marya siedzi w tunice o krótkich rękawach, na głowie ma welon, u piersi nagie Dzieciątko. Po Jej prawicy stoi mężczyzna, ubrany tylko w płaszcz i wskazuje prawą ręką na gwiazdę, która znajduje się niemal nad samą głową Bogarodzicy, zaś w lewej ręce trzyma zwój, z którego jednak zaledwie śladu dziś dostrzedz można. Jestto Izajasz, prorok, przepowiadający przyjście Chrystusa Światłości, co oświeci wszystkich, mieszkających w krainie ciemności². Z jakiego czasu pochodzi ten obraz? Jego styl, czystość rysunku, dobór farb, dalej historia kaplicy³, w której się znajduje, charakter sąsiadujących z nim napisów, jakoteż pobliskie, najstarsze symbole kotwicy i palmy, przemawiają jednogłośnie za jego powstaniem jeszcze w czasie kwitnącej sztuki. Znawcy jak O. Marchi, malarz Minardi, uczony Vitet, de Rossi⁴ i inni odnoszą go do końca I lub samych po-

¹ Leon W. hom. I *in Epiph.* c. 1; zob. też u Rossi'ego *Images etc.* str. 11.

² Isaj. IX, 2; LX, 19, 20.

³ Leży ona w najstarszej części cmentarza Pudensów.

⁴ „Quest' affresco — pisze de Rossi — ha l'impronta d'un secolo sì colto e fiorente in fatto di arti belle, che quando m'imbattei in esso la prima volta, mi parve vedere uno dei più vetusti saggi di cristiana pittura, che sieno nei nostri cimiteri... Quanti dotti e periti nella co-

czątków II wieku. Przyznał to także anglikański profesor uniwersytetu oxfordzkiego, kiedy, zapytany przez Rossi'ego o wiek naszego fresku, powiedział: *antiqua superstitionum semina!* — stare ziarno zabobonu. — Powiedz raczej ze św. Cypryanem: — dodał de Rossi — *O tenebrae ipso sole lucidiores!* — o ciemności jaśniejsze nad słońce¹.

Do cennych obrazów Maryi, przedstawiających ją jako Bogarodnicę, zaliczamy także opisaną już powyżej kompozycję, w której biskup daje zakonnicy Najświętszą Dziewicę za przykład do naśladowania.

Drugi fresk znajduje się w katakumbach Ostryana² i zajmuje łuk nad grobem. Bogarodzica jest przedstawiona jako Orantka z rozłożonymi rękami; przed sobą ma Syna. Ubranie Jej składa się z czerwonej tuniki i niebieskiego płaszcza, na głowie ma jasny welon, na szyji sznur kosztownych pereł. Przy obu Jej rękach jest umieszczony monogram Chrystusa; znak to, że obraz pochodzi z czasów Konstantyna.

Ikonografia Świętych Pańskich jest na starych zabytkach skąpo reprezentowana. W krypcie Luciny mamy św. Jana Chrzciciela, na kilku sarkofagach IV i V wieku spotykamy u boku Bogarodnicy św. Józefa, dalej Apostołów i czterech Ewangelistów³, i na szklach i medalionach rzymskich św. Agnieszkę i św. Wawrzyńca.

Na jedną jeszcze rzecz zwracamy szczególniejszą uwagę naszych czytelników. Nie podała nam starożytność portretu Chrystusa ani też wiernego wizerunku Najświętszej jego Matki, ale prawie pewni być możemy, że doszły nas na starym medalionie, przechowanym w bibliotece watykańskiej, prawdziwe portrety książąt Apostołów św. Piotra i Pawła. Medalion ten, znaleziony przy końcu zeszłego wieku w cmentarzu św. Do-

gnizione dei monumenti greco-romani hanno contemplato questo affresco, l'hanno stimato non posteriore ai primi Antonini e forse anche assai anteriore". *Bullett. di arch. crist.* 1880, str. 20, 21.

¹ Zob. Wolter, *Les Catacombes*. Paris 1872. Introduction, pag. XI.

² Zob. Rossi, *Images...* Tav. VI; Liell, *Tabl. VI*, str. 336.

³ Płyną oni razem z Chrystusem w łódce na sarkofagu, znalezionym w Spoleto. Zob. *Bullett.* 1871. Tav. VII, n. 1.

mitylly, liczy koło trzech cali średnicy. Staranne i pod każdym względem znakomite wykonanie głów jest najlepszym dowodem, że pochodzi najprawdopodobniej jeszcze z czasów panowania Flawiuszów¹. Piotr ma włos głowy i brody krótki i kręty², twarz okrągłą, rysy grube i gminne galilejskiego rybaka. Twarz Pawła jest ściągłą i pełna szlachetnej powagi, czoło wysokie; orli nos zdradza odwagę, żywy temperament i pewność siebie. Czaszka jest cała goła, broda znacznie dłuższa niż u św. Piotra. Pelen życia i wybitny wyraz twarzy obu Apostołów odpowiada dobrze ich usposobieniu, jakie nam skreśliło Pismo św.; cały portret zgadza się także z opisem obu Świętych, pozostawionym nam przez greckiego historyka Nicefora Kallistę³.

Obok tego portretu posiada biblioteka watykańska jeszcze drugą płytę bronzową, pochodzącą także z katakumb św. Domitylli. Część, na której mieściło się popiersie Pawła, zostało odbite; pozostała głowa św. Piotra zdradza robotę IV wieku. W ostatnich czasach znaleziono w katakumbach św. Agnieszki jeszcze trzecią płytę, także z bronzu — tym razem formy kwadratu z płaskorzeźbami św. Piotra i Pawła; ponieważ wykonanie jest jeszcze gorsze niż na poprzedniej, więc i ta nie jest starsza nad drugą połowę IV lub początek V wieku⁴.

Ks. Dr. Józef Bilczewski.

¹ Zob. de Rossi, *Bullett. di arch. crist.* 1864, str. 82 i nast.; *Römische Quartalschrift*, 1888, artykuł Swobody, str. 279 i nast.; Kraus, *R. S.* str. 337, *Real-Encycl.*, str. 607.

² Fotografie tę zdjęliśmy wprost z płyty watykańskiej.

³ Niceph. Callisti, *Hist. eccl.*, II, 37.

⁴ Zob. de Rossi, *Bullett. di arch. crist.*, r. 1887, str. 130 i nast. Tabl. X, n. 3.

ZAŁOŻENIE BISKUPSTWA PŁOCKIEGO.

Roku 1282, gdy książę Przemysław II wielkopolski z dygnitarzami poznańskimi i gnieźnieńskimi bawił w Dłusku pod Pyzdrami, stanął przed nim Piotr, opat klasztoru benedyktyńskiego pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w Mogilnie, przedłożył mu przywileje, nadane temuż klasztorowi przez książąt Bolesława i Mieszka, i prosił o ich zatwierdzenie ¹.

Tym dokumentem był akt Mieszka Starego, w którym tenże niby roku 1103 zatwierdza liczne nadania księcia Bolesława r. 1065 Mengosowi, opatowi mogilnickiemu, uczynione. Przywileje te Bolesława Śmiałego i Mieszka Starego, wydrukowane na nowo w Kodeksie wielkopolskim pod l. 3 i 36 w dodatkach IV tomu, były już przed wielu laty przedmiotem sporu naukowego pomiędzy Augustem Bielowskim a Zygmuntem Helelem — i nie dziwnego, bo błędne zupełnie daty, oraz świadkowie, o sto lat później żyjący, nastęrczają niemal o punktów sprzecznych. Dziś wszystkie te spory nie mają już znaczenia; oryginał bowiem dokumentu, przechowany w państwowym archiwum poznańskim, jest podrobiony i pochodzi z XIII wieku, a powstał niewątpliwie krótko przed r. 1282, w którym go opat Piotr przedłożył księciu Przemysławowi.

Pomimo to jest dokument Bolesława bardzo ciekawym świadectwem historycznym, odkąd wiemy, że podrobione t. zw.

¹ Kod. wielkop. nr. 507.

przywileje fundacyjne klasztorów starodawnych, założonych w czasie, kiedy u nas nie znano jeszcze dokumentów, mieszczą w sobie nieraz prastare zapiski o pierwotnych nadaniach, udzielanych wobec świadków, ale nie na piśmie, o których dla wiecznej pamięci zakonnicy tylko w swych księgach czynili wzmiankę. Z takich to niewątpliwie autentycznych zapisek składa się niemal cały dokument.

Najdawniejszą zapiską wydaje mi się być szereg 59 podanych czyli niewolników, klasztorowi nadanych ¹, a po imieniu wyszczególnionych, których liczba — jeżeli doliczymy ich braci (*fratres*), rodzinę bliższą (*fili*i) i dalszą (*cognatio*) — o wiele jeszcze wzrośnie. W dawnych bardzo czasach naszej historii wyposażano klasztory nie tak w wioski, jak później, lecz raczej w niewolników, którzy pracować musieli na klasztor i dla klasztoru — jak to miało miejsce z klasztorem, od niepamiętnych czasów już zaginionym, Najświętszej Panny Maryi w zamku łęczyckim, który posiadał stu niewolników wraz z ich wioskami.

Późniejszą, bo z XII w. pochodzącą, notatką jest spis 22 włości, stanowiących własność klasztoru, tudzież zapiska o pojedynczych nadaniach, przez prywatne osoby uczynionych. Z nich to Zbilut, fundator klasztoru lekińskiego w Wielkopolsce (1153 r.), wystawił w Mogilnie kościół św. Jakóba i wyposażył go wsią Boguszyinem; Dobrogost, który dla Mogilna pobudował kościół św. Klemensa i wsią Padniewem go nadał, brał także udział, jako świadek w założeniu klasztoru w Łeknie. Komes Odolan, który Mogilnu podarował wieś Sokołowo, występuje w autentycznym dokumencie legata papieskiego, Hubalda 1146 r. Do tego czasu należą niewątpliwie także Paweł, Zema i Andrzej, dobrodzieje klasztoru; Zema jest może tą samą osobistością, co komes Zyzema, którego znamy z nadania dla tegoż klasztoru księżnej Salomei, wdowy po księciu Bolesławie Krzywoustym. Wszystkie wioski, w drugim ustępie wyszcze-

¹ Ustęp ten zaczyna się od słów: „Item haec sunt nomina servorum..., quos eidem ecclesiae contuli cum omni iure“.

gólnione, zawiera także inny podrobiony przywilej ¹ Mieszka Starego, w którym, wyliczając owe wsie, mówi: „confero... omnem libertatem in *omnibus* villis, quae in dominium praedictae ecclesiae pertinent“. Z tego wynika, że do r. 1282 klasztor mogilnicki więcej wiosek nie posiadał, tylko te, które omówiona co dopiero zapiska z XII w. zawiera.

Gdy to, co powiedzieliśmy, mamy na uwadze, uderza nas przedewszystkiem początek dokumentu, w którym książę Bolesław Śmiały niby klasztorowi mogilnickiemu zapisuje liczne dochody z cel książęcych po całym Mazowszu od Wisły aż do Wizny na puszczech nadnarewskich; prócz tego nadaje mu 19 grodów czyli raczej kasztelanij i wsi kilkanaście, dochody w gotówce z pięciu innych kasztelanij, a nadto jeszcze niektóre kościoły w różnych ważnych miejscowościach, oraz targi całe i karczmy. Ustęp ten jest tak ciekawy, że go tutaj w całości przytaczamy:

„... ego Boleslaus... contuli de omnibus ad me pertinentibus ecclesiae Mogilhensi sancti Johannis evangelistae transitus omnes per Wislam de Camen usque in mare, transitus Nauchrae in Vizna et in Macov et per totam Mazoviam nonum forum, nonum denarium, nonum porcum, nonum poledrum, nonum piscem sum largitus; quod ne quis ulterius irritum faciat, auctoritate Dei omnipotentis sit prohibitus. Et haec sunt nomina castrorum: Grudomzech, Zaerocyn, Syrozch cum medio theloneo per fluvium Bug; Ripyn, Steclin, Sepreh, Nowy Radecz, Oselzch, Zyremdzco, Cechonov, Stolpzczo, Grebezco, Nasylzco, Vise-grod, Ploczch, Dobrin, Wlodislaw, Pripust, Slonzch; in Lonsin X marcas, in Zbutimyr VII marcas, in Woybor IV marcas, in Sarnov II marcas et dimidiam, in Rospir VII marcas. Haec autem nomina villarum praeantantur, quas contulimus cum omni libertate et iure ecclesiae saepedictae sancti Johannis evangelistae in Mogylna: Cyrvenzch, Chrenov, Bolino, Welerich, Tossovo, Cromnuov, Golumbino, ecclesiam sancti Laurentii in Ploczch;

¹ Kod. wielkop. nr. 33, str. 41 od słów: „Ego Mesco, dux Poloniae, confero Deo et sancto Johanni Evangelistae in Muglin etc.“ aż do końca.

item in Belzco ecclesiam sancti Johannis baptistae cum ipsa villa praenotata, foro, tabernis, targove et cum omni libertate; ecclesiam sancti Johannis in Wladislav; in Culmina nonum forum cum tabernario, Clescicaro.

Mówiliśmy już poprzednio, że z tych posiadłości licznych i ważnych klasztor mogiłnicki, według własnych swych przywilejów, ani jednej nie posiadał. Trudno nawet przypuścić, aby którykolwiek monarcha na świecie którykolwiek klasztor mógł tak hojnie obdarzyć. A co dopiero powiedzieć o grodach nadanych! O posiadaniu ich w celu utrzymania w nich załogi nie może być mowy, bo to nie zgadza się z powołaniem zakonów i zrujnowałoby niechybnie i najbogatszy klasztor. A więc należy rozumieć przez „castra“ co najmniej ich dochody?—ale i to — jak sądzę — nie może być celem niniejszego nadania, bo dochody wylicza zapiska oddzielnie. Książę więc nadał 19 kasztelanij? — zapewne że tak; ale czy klasztorowi mogiłnickiemu?—to wielka kwestya, skoro klasztor z tych licznych posiadłości, w innej części kraju położonych, nigdy nie posiadał. Czy to zatem jakaś dziwna pretensya zakonników mogiłnickich? Nie sądzę, aby tak było, i wątpię, aby najbujniejsza fantazyja którego z zakonników coś podobnego mogła wymyśleć. Zapiska jest niewątpliwie autentyczna; znaleziono ją — jak wiele innych — w którymś starodawnym kodeksie, i wciągnięto ją umyślnie lub może raczej bezmyślnie, nie zdając sobie z tego sprawy, do owego dokumentu, o którym mówimy.

Jeżeli zaś zapiska jest autentyczna, — jak nam się zdaje — do kogo się więc odnosi? W tym celu rozpatrzmy niektóre dokumenty, w których podobne znajdujemy stosunki.

Bulla papieża Adryana IV z dnia 23 kwietnia 1154 r., w której pod swą opiekę bierze biskupstwo wrocławskie, wylicza na samym początku 18 grodów czyli kasztelanij, potem pojedyncze posiadłości, przez różne osoby podarowane, a nareszcie, jako „villae ecclesiae b. Johannis“, t. j. katedry wrocławskiej około 20 wsi, oraz różne dochody. Kasztelanie, tam wyliczone, stanowią terytorjum biskupstwa wrocławskiego; ka-

sztelanie zaś odmuchowska i milicka, oraz wspomniane posiadłości były posagiem biskupa i kapituły.

Podobne stosunki znajdujemy w bulli Innocentego II z dnia 7 lipca 1136 r. dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Innocenty wylicza 16 kasztelanij, które stanowią obszar arcybiskupstwa; podaje szczegółowy spis posiadłości i zamieszkujących je ludzi w kasztelanii żnińskiej, która była głównym posagiem arcybiskupa, i oprócz tego wymienia wszystkie inne posiadłości, które były własnością arcybiskupstwa.

Gdy się po rozpatrzeniu w tych dwóch bullach zwrócimy na nowo do naszej zapiski, to trudno oprzeć się pokusie, aby w niej nie widzieć krótkiego opisu terytorium jakiegoś biskupstwa i jego wyposażenia. Wyjaśnienie, gdzie grody wymienione leżą, naprowadzi nas może na ślad, o którym to biskupstwie tu mowa.

Otóż przez Grudomzech należy rozumieć Grudziąsk czyli dzisiejszy Grudziądz nad Orszą, która niegdyś odgraniczała ziemię pruskie od ziemi chełmińskiej i od Mazowsza, bo ziemia chełmińska należała przed przybyciem Krzyżaków do Mazowsza i do biskupstwa płockiego.

Zakroczym leży nad południową granicą biskupstwa płockiego, a pomiędzy nim a Grudziądzem nad Wisłą Wyszogród, Płock i Dobrzyń, oraz w pewnem oddaleniu od Wisły, Steklin. Granicę północną stanowią Rypin i Grzebsk; w środku kraju leżą Sierpć, Szreńsk, Ciechanów, Słupsk, oraz nad Narwią Serock i Nasielsk.

Kasztelanie, tu wyliczone, stanowią późniejsze województwo płockie i część mazowieckiego, czyli większą połowę biskupstwa płockiego. Nie można zatem wątpić, że we wspomnianej zapisce nie o Mogilnie mowa, lecz o biskupstwie płockiem. Wprawdzie wschodnia część nie jest tutaj wyraźnie wyszczególniona; ale godzi się przypuścić, że ma do biskupstwa należeć, skoro mu przyznano mostne w Makowie i Wiznie nad Narwią. Wizna była kasztelanją i ostatnią placówką polską nad granicą pruską, — jak to z opisu śmierci bł. biskupa Wernera wiemy — a takąż zapewne był i Maków. Zdanie nasze potwier-

dza i ta okoliczność, że cła i dziesięciny nadano po całym Mazowszu „per totam Mazoviam“, z czego wniesć należy, że właśnie całe Mazowsze wchodzi w skład nowej fundacji; są to zatem mniej więcej te same granice, które stanowią biskupstwo płockie, według wydanych przezemnie „Kasztelanij kościoła płockiego“.

Brak wschodnich kasztelanij w naszej zapisce da się jednak inaczej jeszcze wytłómaczyć. Zwykle bowiem nadawano nowemu biskupstwu jedną większą lub kilka mniejszych kasztelanij, jako wyposażenie; zkażdinąd wiemy, że te kasztelanie posagowe biskupstwa płockiego leżały we wschodniej części Mazowsza, a były niemi Pułtusk, Brańszczyk czyli Brańsk, Brok i Świeńk. Czy czasem ich nie opuszczono umyślnie, aby uniknąć oczywistej kolizyi z potężnem biskupstwem sąsiedniem?

Ale to jeszcze nie są wszystkie kasztelanie, wchodzące w skład biskupstwa płockiego; do nich dołączył fundator cały lewy brzeg Wisły, od granicy pomorskiej aż do Włocławka; tu bowiem leżą: Osielsk, na północ od Fordonu i Bydgoszczy; Błóńsk i Raciążek (Novum Radecz), w okolicy dzisiejszego Ciechocinka; gród Przypust, naprzeciwko Nieszawy, oraz Włocławek (Włodisław), później stolica biskupstwa włocławskiego, co wszystko razem stanowi wschodnią część województwa inowrocławskiego. Oprócz tego nadał książę jeszcze następujące wsie: Czerwińsk nad Wisłą i w pobliżu Bolin; nieznane dziś Welerich i Tossowo (zapewne Kossowo pod Zakroczymiem); Kromnowo na lewym brzegu Wisły, naprzeciwko Czerwińska; Gołębin, pod Brześciem kujawskim; Bielsk, niedaleko Płocka, z kościołem św. Jana Chrzciciela, z targiem, karczmami i targowem; dalej kościół św. Jana we Włocławku, kościół św. Wawrzyńca w Płocku, a w Chełmnie, na ziemi chełmińskiej targ dziesiętły i karczmarza, oraz nieznaną dziś wioskę Clescicaró¹. Oprócz tego przeznaczył książę dla swej fundacji 10 grzy-

¹ Miejscowość ta zdaje się być identyczną z wsią Clezchovar na ziemi chełmińskiej, wymienioną 1222 r.

wien srebra z Łążyna, 7 ze Spicimirza, 4 z Wolborza, 2½ z Żarnowa i 7 z Rozprzy. Ponieważ Spicimirz, Walborz, Żarnowo i Rozprza były kasztelaniami, przypuścić należy, że nią był i Łążyn, położony na południe rzeki Drwęcy, niedaleko Torunia.

Wyposażenie wioskami nie jest bogate; znaczniejsze są niewątpliwie — choć trudno to obliczyć — dochody z cel i podatków, które książę nadał — a mianowicie, oprócz powyżej wyliczonych, „transitus omnes per Vyslam de Camen (Kamień przy ujściu Bzury do Wisły) usque in mare, transitus Navihrae in Wizna et in Macov et per totam Mazoviam nonum forum, nonum denarium, nonum porcum, nonum poledrum, nonum pisces”¹. Podobne cła posiadało także później założone biskupstwo włocławskie.

Po rozważeniu wszystkiego, cośmy przytoczyli, nie może być wątpliwem, że zapiska nasza mówi o biskupstwie płockiem.

Pomimo to jednak panuje pomiędzy nią a drugą zapiską, wydaną przezemnie pod tytułem „Castellaniae ecclesiae Plocensis“ w V tomie „Pomników dziejowych Polski“, która się również do czasu założenia tegoż biskupstwa odnosi, tak rażąca sprzeczność, jak gdyby każda z nich nie o tem samem biskupstwie mówiła. Starać się będziemy wyjaśnić, na czem to polega i jaka tego przyczyna.

„Castellaniae ecclesiae Plocensis“ są w zgodzie zupełnej z późniejszymi stosunkami tegoż biskupstwa; niektóre drobniejsze, niezasadnicze zmiany wyjąwszy, odnoszą się zatem do jakiejś późniejszej regulacyi stosunków, która trwała już pozostała. Zapiską więc mogiłnickiego dokumentu, zawierającą zupełnie odmienne stosunki, należy odnieść do nieco dawniejszych od tamtej czasów. Uderza przedewszystkiem, że według niej biskupstwo płockie posiada jeszcze wielką część Kujaw, od po-

¹ Wiem, że książęta klasztorom nadają dziewięćdziesiąt, bo dziesięćdziesiąt odbiera zwykle biskup; jeżeli tutaj od tej zasady odstępiono, to oczywiście dlatego, że książę, nie chcąc się pozbawić wielkich dochodów z Mazowsza, zastrzegł sobie dziesięćdziesiąt t. zw. świecką.

morskiej granicy począwszy aż do Włocławka, i gród włocławski wraz z kościołem św. Jana. Ztąd wniesć można, że, gdy zapiska ta powstała, biskupstwo kujawskie jeszcze nie istniało. Ponieważ w drugiej już niema mowy o kasztelaniach, na lewym brzegu Wisły leżących, ani o Włocławku, — ztąd wynika, mojem zdaniem, że w czasie, który dzieli jedną zapiskę od drugiej, założono biskupstwo włocławskie, wskutek czego kasztelanie i posiadłości kujawskie odjęto kościołowi płockiemu i przydzielono biskupstwu włocławskiemu.

Już na innem miejscu wykazałem, że założenie biskupstwa płockiego odnieść należy do czasów Bolesława Śmiałego, a mianowicie do r. 1075 lub 1076; notatka mogilnicka zdaje się to potwierdzać, skoro księcia Bolesława po imieniu przytacza.

Gdy po założeniu biskupstwa włocławskiego przez Władysława Hermana tak znacznie uszczuplono terytoryum biskupstwa płockiego i wskutek tego niewątpliwie i dochody jego, — zmieniono cały system, i zamiast głównie cłami, wyposażono je hojnie posiadłościami ziemskimi, przeznaczając na własność nieograniczoną we wschodniej części Mazowsza kasztelanie pułtuską, brańską, broską i święcką, jeżeli przedtem jeszcze nie były nadane, a w zachodniej części kilkadziesiąt wsi i drobne kasztelanie: karnowską i ruziecką.

Kościół św. Wawrzyńca w Płocku był dotychczas badaczom miejscowym, jak Gawareckiemu, zupełnie nieznanym. Skoro go książę na własność biskupstwa przeznaczył, to z niego zapewne powstała katedra, którą potem konsekrowano pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny.

Jak zapiska o kasztelaniach kościoła płockiego przechowała się w rękopisie, będącym do dziś dnia własnością katedry płockiej, — tak i mogilnicki rękopis, w którym się znajdowała powyżej omówiona notatka, pochodził niewątpliwie z Płocka, bo w Płocku tylko miano interes, aby jej treść dla wiecznej pamięci na piśmie utrwalić. Jaką koleją się dostał do Mogilna, niewiedomo. Podrabiając w XIII w. swój przywilej fundacyjny,

przewertowali zakonnicy swe rękopisy, a w jednym z nich znaleźli wspomnianą notatkę o założeniu biskupstwa płockiego, bez napisu zapewne. Wcielając ją do swego dokumentu, przechowali nam wiadomość nader ciekawą tam, gdzie najmniej jej spodziewać się było można.

Tak rozwiązuję zagadkę, w przywileju mogilnickim zawartą; czy trafnie — to niech inni osądzą.

Dr. Wojciech Kętrzyński.



DWIE CHWILE

Z DZIEJÓW POLSKIEJ KOLONIZACYI NA NIŻU

(1638 i 1648 r.).

(Dokończenie).

Ostatnie dni istnienia Kudaku, pełne niezwykłych wysiłków, pasowanie się z oblegającym nieprzyjacielem, pasowanie się długie, beznadziejne — tworzą mało znaną a szczytną kartę historyi walk i klęsk nieszczęsnej doby Jana Kazimierza.

Rzucona zdala od kraju załoga twierdzy niżowej, spełniała (w r. 1648) swą powinność po bohatersku; walczono z tłumnym i dzikim wrogiem, nie spodziewając się znikąd odsieczy, wiedząc o porażce żółtowodzkiej i korsuńskiej, wiedząc, iż nieprzyjacielskie tłumy odcięły Kudak od siedzib Rzplitej, iż pomoc jeno Bóg dać może.

Trzeci wiek upływa od bohaterskiej obrony Kudaku, a ryłec dziejowy nie upamiętnił, tak jak należało, owych dni, nie uwydatnił, nie wyrzeźbił szczegółów, i nie przeniósł do pamięci potomnych waleczników straconej placówki cywilizacyjnej. Imiona, zarówno i liczne szczegóły odpornej walki zginęły dla potomności. Bohaterska obrona Kudaku, walka beznadziejna i długa nie miała dziejopisa. Niewielu przeżyło dobę tę straszną; ci zaś, co żywot unieśli i do kraju z czasem wrócili, — jak Grodzicki, komendant twierdzy — nie mieli czasu snuć opo-

wieści o swych wysiłkach na straconym posterunku; czekały ich bowiem w kraju, w głębi Rzplitej, walki nowe, wielkie, na szerokich obszarach, zagrożonych przez licznych wrogów, toczone. Wśród powodzi klęsk, niebezpieczeństw, grożących Rzplitej, u każdej z jej ścian dostępnych dla wroga, nie przywiązywano nadzwyczajnego znaczenia do swych czynów. Czyny poświęcenia uważano za pospolite spełnienie obowiązku; tak świat ówczesny na nie się zapatrywał i — jako o sprawie powszedniej — szeroko nie mówił, nie podnosił ponad poziom zwykłych faktów.

Rocznikarzy, pamiętnikarzy nie miały boje, na dalekim Niżu toczone; a zresztą całe szeregi innych wypadków, niemałej doniosłości, nowemi klęskami przesypały niejako pamięć o faktach ciężkiego mocowania się z nieprzyjacielem u wałów Kudaku.

Piśmienne zabytki owej chwili nader rzadko spotykają się. Tem więc cenniejsze drobne faktów okruczy, których ślad pozostał w zabytkach piśmiennych. A takich zabytków prawie niema. Z okruczy odtwarzamy kontury obrazu ówczesnej chwili, i staramy się wkroczyć do sfery ówczesnych zapatrywań się na wypadki, do sfery pojęć obrońców stepowej warowni.

Do zabytków piśmiennych, prawie jedynych, nieznanych dotąd, a przynajmniej nie drukowanych, zaliczają się dwa dokumenta z chwilą poddania się Kudaku, w odpisie przechowywane w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Jednym z nich są warunki, na których załoga kudacka, wytrzymawszy bohatersko kilkomiesięczne oblężenie i liczne szturm, umyśliła poddać się oblegającemu watażce, Nestorence. Drugi dokument zawiera rotę przysięgi, którą mieli złożyć oblegający, jako rękojmię dotrzymania ze swej strony owych warunków. Oba zabytki dotąd pozostawały w rękopiśmie.

Otrząsamy pył z rzeczonych źródeł, wpatrujemy się w ich treść, dajemy pilne ucho głosom z tej ciężkiej chwili — i widzimy z niemałym zdziwieniem, iż ludzie, broniący Kudaku, nawet w chwili rozpaczliwej na duchu nie upadali, mniemali, iż ze straconej placówki z wojskowemi honorami odejść mogą, iż

nie nie zagraża ich odejściu w głąb Rzplitej, że mają do czynienia z wrogiem o rycerskich usposobieniach, który zobowiązań święcie dotrzyma, uszanuje twarde warunki, wśród których stanął nieprzyjaciel.

Był to optymizm, była to szlachetność poglądu, przechodząca w dobroduszość, często nader szkodliwą. Tego rodzaju optymizm często się u nas spotyka w różnych epokach zdarzeń dziejowych, przynosząc nam niejedną klęskę, uścielając drogę do licznych zawodów, strat i nieszczęść w przyszłości.

Oblężenie Kudaku trwało kilka miesięcy... Chmielnicki z głównymi siły, z Hanem Tatarskim, z niezliczonymi tłumami wiejskiego ludu, który do jego obozu chętnie się garnał, złamawszy opór polskich hetmanów pod Korsuniem, podążył w głąb Polski. Nie kuśił się on o Kudak. Zostawił tę pracę innym; nie uważał jej za rzecz pierwszorzędną. Było mu spieszno, szedł więc coraz to dalej w głąb Polski, ku Słuczy, Horyniowi, ku Styrowym wybrzeżom; mniejsze zaś oddziały, wlokące się poza głównymi siłami głośnego watażki, zasilane przez różne kupy swawolne, oddziały prowadzone pod chorągwią zaporozką, zależne więc od Chmielnickiego, miały sobie poruczonem zdobycie Kudaku.

Na czele wojsk oblężniczych, z zaporozkich sił złożonych, stał Maksym Nestorenko, postać kozacza, znana i ceniona na Zaporozu. W latach nieco dawniejszych, lecz niezbyt dawnych, bo na parę zaledwie lat przed wypadkami, o których mówimy, Nestorenkę spotykamy w Warszawie — wówczas, gdy król Władysław IV marzył o wojnie tureckiej i zamierzał powołać Zaporozców do udziału w niej, a nawet wyznaczył rzecznej flotyli kozaków siczowych wybitną rolę w wypadkach, co się miały rozwinąć. Spotykamy go wówczas w Warszawie wraz z innymi, bardziej znanymi i wpływowymi kozakami. Wezwał ich był król Władysław do stolicy, gdzie sprawy uzbrojeń flotyli swej i całego udziału w przyszłej zamierzanej wojnie tureckiej stawały się przedmiotem narad i poufnych nawet rokoowań z królem ¹.

¹ Pamiętn. Albr. Radziwiłła.

Tenżesam Nestorenko staje w parę lat później, podczas rebelii Chmielnickiego, na czele wojsk, oblegających Kudak.

Twierdza niżowa, trzymająca w posłuchu kozaków, była dla nich skargi użalań się źródłem. Nie mogli okiem obojętnem patrzeć na wyniosłe wały zbrojnego posterunku, które dotykałnie świadczyły, iż jest ktoś, co od nich większą władzę na przestworzach stepowych posiada. Zajęcie Kudaku przez wojska zaporozkie stało się więc w epoce rebelii Chmielnickiego kwestyą nagłą.

Nestorenko, jako wódz w boju wytrawny, mniemano, iż szybko sprosta zadaniu. Stało się jednak inaczej. Szabla Zaporozców długo bezowocnie wyszczerbiała się o ziemne obwarowania Kudaku.

Jak dalece kwestya zajęcia Kudaku wydawała się dla Niżowców pierwszorzędną, jak dalece w chwili rozpoczęcia się rebelii twierdza ta — wedle świadectw współczesnych — „kluła ich w oczy“, — świadectw posiadamy wiele. Przytaczamy tylko jeden głos z owej epoki: „A jako ich (Niżowców) nic bardziej nie klulo, — czytamy w dokumencie późniejszej nieco doby (bo z r. 1654) — tylko forteca Kudak, ludźmi obsadzona, tak nic nie mają wyższego *pro gloria et triumpho*, jako zniesienie i zniszczenie tej fortecy“¹.

Do tego jednak „tryumfu i glori“, do zniesienia i zniszczenia, nie rychło i nie tak łatwo przyszło, jak spodziewano się.

Szabla Niżowców długie tygodnie stępiała się na twardej opoce męstwa Grodzickiego, komendanta czyli — jak wówczas nazywano — „gubernatora“ fortecy. Chmielnicki, w sojuszu z Tatarami i ze sprzyjającym mu losem, znosił wojska Rzplitej, stał się tryumfotorem chwili, i krwawy rydwan jego pochodu posuwał się coraz dalej i coraz szybciej w głąb Rzplitej. Rozpoczynając swój pochód w ostatnich dniach kwietnia, we wrześniu już zataczał swe tabory nad Słuczą; miał przed sobą

¹ Patrz: „Instrukcyja, dana Bieganowskiemu, posłowi Jana Kazim.“, jadącemu do cesarza tureckiego. (styczeń 1654), umieszczona w „Ojczystych Spominkach“ Ambr. Grabowskiego; t. I, str. 93.

rozwartą gościniec, również ku Lwowu, jak i ku wybrzeżom Bugu, a cały Wołyń u nóg jego ze drżeniem leżał. Wobec pomyślności tych jeden Kudak uragał się rebelii i nie odmykał jej swych bram.

Maksym Nestorenko, stanąwszy u okopów Kudaku, domagał się poddania dobrowolnego, które mieniono oddaniem fortecy „do dawnej dyspozycyi wojska J. Kr. M. Zaporozkiego“. To określenie dość dyplomatyczne, zbyteczna dodawać, nie trafiało do przekonania gubernatora twierdzy. Wiadomą powszechnie było rzeczą, iż Kudak nigdy pod „dyspozycyą“ nie zostawał wojska niżowego; Krzysztof Grodzicki przeto, ówczesny komendant twierdzy, dobrze rozumiał, co należy trzymać o tem dyplomatycznym orzeczeniu „oddanie pod dyspozycyę“ — wiedział, iż to jest wytrącenie sztandaru z rąk Rzplitej na Niżu. Postanowił przeto bronić się do ostatecznego kresu możliwości.

Postanowił — i dokonał.

Już Chmielnicki zwycięski sztandar za Słuczą rozwinął, już lato upłynęło, a jesień 1648 r. nadeszła, a 13 dział kudackich wciąż grało i grało, zmiatając nieprzyjaciela oblegającego, ocalając na dalekiem pustkowiu dobrą sławę oręża polskiego, który na polach pilawieckich sławę tę zatracił¹.

Przy końcu sierpnia (1648 r.), na dni kilkanaście przed pogromem pilawieckim, mówiono i pisano w okolicach ościennych Słuczy wybrzeżom, iż Chmielnicki z Kudakiem w wielkim kłopotcie; dochodzą bowiem doń wieści o wielkich stratach w wojsku, oblegającym twierdzę niżową, a twierdza — lubo

¹ Podajemy liczbę dział w Kudaku z ostatnich dni jego istnienia, podług tego, co znaleźliśmy wymienionem w akcie kapitulacyi; ale są wskazówki, iż ich posiadano nieco więcej. Przed dwudziestu bowiem mniej więcej laty znaleziono przypadkiem wśród wałów zakopane i zagwożdżone działa polskie. Powstaje więc przypuszczenie, iż Grodzicki część tylko dał na łup kapitulacyi, pozostałe zaś zagwoździł i ukrył w kryjówkach twierdzy. Działa kudackie są w zbiorze zabytków starożytności niżowych p. Pola, o którym wyżej tu wspominaliśmy. Zbiory te przechowują się na wsi, w okolicach Wyższego Dnieprowska (w Jekaterynosławskiej gubernii).

ziennemi jedynie fortyfikacyami opancerzona — stoi nieporuszona, niby skała głośnych wodospadów dniewprowych. Pisano o tych niepowodzeniach w sposób następujący: „Kudaka posłał zdobywać Chmielnicki, ale ich 4000 zostało na placu. Znowu trzy pułki posłał zdobywać Chmielnicki, i ci za pomocą Bożą także kontentowanie odniosą, gdyż się im fortuna już przesiłiła“¹. Relacya ta, skreślona na południowych kończynach Wołynia (w Czolhanie)² przez Marka Sobieskiego dla matki, lubo nieco zaprawna optymizmem, jest jednym z nielicznych świadectw o ostatnich godzinach istnienia Kudaku, o stratach, poniesionych przez oblegających.

„Fortuna im się przesiłiła“, — pocieszano się nad Słuczą. Czcze to były przypuszczenia. Przesilenie fortuny nie stało się „ich“ udziałem. Owszem, „fortuna“ statecznie sprzyjała Niżowcom; pod Kudakiem tylko ciężko szła sprawa. Grodzicki twardą okazał się opoką, o którą rozbijały się usiłowania Nestorenki. Jak ciężkiem brzemieniem rygor Grodzickiego spadał na barki podwładnych, tak również twardym stał się opór, wytworzony właśnie przez ów rygor, w Polsce rzadko praktykowany, a jeszcze rzadziej bez szemrania znoszony.

Z rygoru urosła karność, z niej powstał posłuch, ślepe rozkazów spełnianie, — rzecz u nas rzadka — a ztąd wytworzył się opór i dał zbawienne owoce, prawie jedyne w owym nieszczęsnym 1648 r.

Grodzicki doprowadził opór do granic najdalej sięgającej możliwości. Odpędzić wroga, ocalić Kudaku nie zdołał. W warunkach, go otaczających, przewyższało to ludzkie siły; przykład wszakże zostawił i całej Rzplitej przykładem tym świecił, wskazał, co może dokonać hufczyk, nawet nieliczny, wśród najgroźniejszych okoliczności, jeżeli ożywia go moc ducha, siła poświęcenia. Dziesięć, dwadzieścia takich punktów oporu statecznego, rozsianych po obszarach wschodnich województw, od Taśminy do Bugu, wstrzymałyby fale rozwielnionej, potężnej „rebelii“.

¹ Patrz „Księga Pamiętnicza“ Jak. Michałowskiego, str. 176.

² Dzisiejszy Teofilpol.

Dwudziestu, dziesięciu, dwóch nawet takich punktów silnego oporu nie było. Panika zaległa cały wielki obszar Rzpłitej. Na opór zdobyli się jedynie ci, co stali poza granicami metropolii, którzy kolonizacją jej jedynie, a przednią strażnicą jej wpływu mienić się mogli.

W kraju, wcale niezaludnionym, poza zakresem wszelkich warunków, ułatwiających dłuższe utrzymanie się na olbrzymich niżowych pustowiach, bez nadziei posiłków zkadkolwiek, bez nadziei wynalezienia lub zdobycia środków wyżywienia się, dłuższa obrona, niż do dni późnej jesieni, stała się niepodobieństwem zupełnem. Zdziałano więcej, niż zamierzano; na swych piersiach i wytrwałych ramionach wstrzymano wielkie fale inwazyi zaporozkiej, a tem samem, jeżeli nie wstrzymano, opóźniono przynajmniej zniszczenie pewnej ilości miasteczek i wiosek polskich. I taka usługa, acz nie zmieniała rdzennie postaci rzeczy, zmniejszała przynajmniej liczbę ran, które r. 1648 zadał społeczeństwu.

Głód, najprzemożniejszy wróg wszystkich obleżonych, położył kres obronie Kudaku. Zapasy żywności, oględnie wprowadzie rozdzielane, wyczerpały się; nowych znikąd spodziewać się niepodobna było. Twierdza leżała wśród pól nieuprawnych, w kraju, który wówczas tak nisko pod względem rolniczym stał, iż żywił się jeno tem, co mu przywieziono z t. zw. włości, t. j. z Ukrainy wyższej. Do głodu przyłączyła się obawa nadchodzącej zimy, która wymagała opału, a takowego zdobycie jedynie drogą wycieczek zbrojnych dokonaniem być mogło. Załoga twierdzy dziwnie uboga liczbą, bo nigdy do dziesięciu setek nie dochodząca, a chociaż pomnożona garstką osadników, co z pól i futorów ściągnęli się, by ocalenie poza osłoną wałów znaleźć, zbyt szczupłą była dla zdobywania czy chleba, czy też drzewa na warzenie strawy, tembardziej na opał, niezbędny podczas zbliżającej się zimy.

Tłumy oblegające, pozbawione artyleryi i piechoty, a wyłączenie z jazdy złożone, skrupowane były w swych ruchach obleżniczych i szturmowych, szeroką obręczą opasywały twierdzę, dusiły ją w więzach, złożonych z mas wielkich koni i lu-

dzi, lecz łatwo uniemożliwiały wszelką wycieczkę; bo, jeżeli nie męstwem, to siłą, liczbą zawsze przeważniejsi byli od obleżonych, i każdą wycieczkę łatwo znieść, a w każdym razie siłą większej liczby dłoni zdławić mogli.

Wprawdzie ów pierścień żelazny z trzech stron tylko otaczał i zdobywał twierdzę, lecz i czwarta strona, ku rzece patrząca, nie miała zupełnie wolnego oddechu. Twierdza posiadała, oprócz bramy głównej, furtkę od Dniepru; pewna jednak przestrzeń, składająca się z pochyłości stromej ku rzece, oddzielała wały od rzeki. Dziś trudno zaiste orzec, czy pochyłość zabezpieczoną mienić się mogła — ślad umocnień w tem miejscu obecnie znikł — jeżeli jednak istniały zabezpieczenia, nieznaczne zapewne, nieprzyjacielowi zatem przemódz je łatwo było, dla zupełnego odcięcia od rzeki i niedania obleżonym z żadnej strony wolnego oddechu.

To przeżożenie od strony Dniepru, a więc odcięcie zupełne od wody, jeżeli i miało miejsce, do sukcesów najpóźniejszych zaliczał obóz oblegający. Środek ten — jak wiemy — użyty był pod Żółtymi Wodami. Odjęto tam polskiemu taborowi wodę, i wówczas dopiero godzina ostatecznej klęski nadeszła¹.

Tak też wreszcie stało się i z Kudakiem.

Godzina upadku wybiła... Znoszono ją z duchem podniosłym, ludząc się nawet co do wielu rzeczy i spisując punkta poddania się tak korzystne dla siebie, jakby nie byli do ostateczności doprowadzeni.

Mniemali, że swą wytrwałością okupili nawet niewolę tych, co pod Żółtymi Wodami poszli w pęta niewoli, i dla nich warowali zupełną swobodę; znagliłi nawet nieprzyjaciela, iż zawarowania, tak korzystne dla poddających się, zaprzysiędz musiał. Wierzono nieprzyjacielowi, iż dotrzyma; mniemano w swej rycerskiej szlachetności, że również, jak oni, rycerskim się okaże, uszanuje i ich twarde mocowanie się, uszanuje i siebie, swój podpis, swą przysięgę, nie targnie się na własną rycerską cześć.

¹ „Relacya współczesna“ w „Księdze Pamiętn.“ J. Michałowskiego, str. 32.

To dobre mniemanie o wrogu jest również znamię rycerskości, jak twarde stanie przy sztandarze tej straconej placówki.

Poddanie się nawet nie można mienić poddaniem się, tyle w warunkach jest zapewnionych korzyści dla poddających się. Tekst warunków wskazuje, iż nieprzyjaciół nie brał załogi w niewolę, ale zobowiązywał się ją na „bezpieczne miejsce odprowadzić“, zobowiązywał się być jej przewodnikiem, amunicję zaś i cały zasób artylerii brał niejako „w depozyt“, aby oddać „depozyt“ w chwili, gdy stanie ugoda z wojskiem zaporozkiem.

Warunki kapitulacji, których było 16, brzmią w następujący sposób:

„1) Munitia, która się na *Chodaku (sic)* zostaje, t. j. dział sześć spiżowych, a siedem żelaznych, gdy da P. Bóg z wojskiem Zaporozkiem ugodę, aby była obrócona podług intencji J. M. Pana Hetmana w. Kor.

„2) Abyśmy z Chorągwiami rozwinionemi, z bębniemi, lontami zapalonymi i ze wszystkim zwyczajnym naszym orężem wychodzili.

„3) Aby wszelaki jassyr, który P. Bóg uwolnił, lub z niewoli Tatarskiej lub z jakiej innej, wolno wychodził, tak jako i my sami, a osobiwie P. Stefan Czarniecki.

„4) Jeżeliby w owym czasie z jakiegokolwiek do nas wiadomość przychodziła, aby była zarazem przepuszczoną.

„5) Aby nas sam P. Maxym Nestorenko, zesłany pułkownik z ramienia P. Hetmana Chmielnickiego i wszystkiego wojska Zaporozkiego, a także P. Prokop Sumejko i P. Jaśko Wołoczenko pułkownicy, a także wszyscy Setnicy, Assawułowie, Atamani i wojskowa Czerń na Ewangelią, przed Krucyfiksem, przy popie, podług rot, przez nas podanej, każdy z nich z osobna przysięgli na dotrzymanie wszystkich kondycyj.

„6) Aby nas sam P. Maxym Nestorenko, począwszy od J. M. P. Gubernatora, wszystkich, aż do najmniejszych dusz w całości zdrowia, ze wszystkiemi naszymi chudobami, na miej-

see bezpieczne prowadził, nigdzieindziej od nas nie odjeżdżając, aż my sami za kompanią podziękujemy.

„7) Aby ciało sławnej pamięci J. M. P. Stefana Potockiego, Starosty Derażańskiego, było zaprowadzone do Kijowa, do OO. Dominikanów.

„8) Aby wszystkich zmarłych ciała w pokoju zostawały, które że leżą, a chciałiby napotem ktokolwiek krewnego swego ciało odzyskać z tego miejsca, aby mu wolno było.

„9) Księża, którzy są przy nas, aby ze wszystkimi dostatkami swemi bezpiecznie wychodzili z nami.

„10) Jeżeliby nam po tamtej stronie przyszło pójść Dniepru, aby nam wojsko promy wygotowało i lip do przeprawy sposobilo.

„11) Aby nas P. Max. Nestorenko od wszelakich wojsk lub Zaporozkich, lub Tatarskich, lub też *Łuhowników*¹ i jeszcze jakich kup swawolnych, także ludzi włościanych, powagą hetmańską i wszystkiego wojska J. Król. M. Zaporozkiego zastępował.

„12) Po wykonaniu przysięgi PP. Pułkowników i wszystkiego wojska, natenczas pod *Chodakiem (sic)* będącego, abyśmy tydzień mieli do wygotowania się w drogę.

„13) Aby nam P. Max. Nestorenko prowiant obmyślił.

„14) Konie wszystkie, które nam są podczas traktatów pobrane, aby były co do jednego przywrócone.

„15) Aby P. Max. Nestorenko, pułkownik, panów Sumejków i Wołoszenków pułki rozprawił, a sam tylko we 200 człeka przy nas zostawał.

„16) Aby nam 4 człeka, których sami sobie obierzemy z Starszyny, dał p. Nestorenko w zakładzie na bezpieczne doprowadzenie...“².

¹ *Łuhownikami* nazywano na Zaporozu kozaków, nieujętych w karby bractwa siczowego. Byli to pewnego rodzaju maroderzy siczowi, walęsający się po łakach (*łuhach*), po t. zw. *Pławniach*, (rodzaj to *Żułw* dniewprowych), gdzie bywali niekiedy plagą karawan wędrownych lub pojedynczych podróżnych.

² Patrz Rękopism w Bibliotece Jagiellońskiej, liczbą 90 oznaczony.

Rękopiśmienny zabytek, który nam ułatwił poznanie warunków, na których Kudak się poddawał, daje niemniej możliwość uzupełnienia tego obrazu; posiadamy bowiem rotę przysięgi Nestorenki, którą tu w całości przytaczamy. Brzmi ona:

„Ja, Maxym Nestorenko, pułkownik wojska J. Król. M. Zaporozkiego, zesłany będąc z ramienia Pana Hetmana Chmielnickiego i wszystkiego wojska J. Kr. M. Zaporoz. pod Kudak, aby go do dawnej wojska przywróciwszy dyspozycyi, tak samego Jmć P. Krzysztofa Grodzickiego, Gubernatora, jako i P. Łączyńskiego majora, Czarnieckiego¹, P. Stańława Koniecpolskiego Kapitanów, panów poruczników, chorążych, oficerów i wszystkich żołnierzów, aż do najmniejszej duszy w całości, ze wszystkimi ich chudobami na miejsce bezpieczne doprowadził. Zaczem, przykładając się do woli J. Pana Hetmana Chmielnickiego i wszystkiego wojska J. Kr. M. Zaporozkiego, przysięgam P. Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Św. jednemu, tak słowem jako i sercem, iż wszystkich wyż pomienionych ludzi podejmuję się na miejsce bezpieczne w całości zdrowia, ze wszystkimi ich chudobami doprowadzić, i biorę ich na sumienie, tak moje własne, jako i P. Hetmana i wszystkiego wojska J. Kr. M. Zaporozkiego, i pod przysięgą obiecuję bronić ich tak od naszych jak i Tatarskich Łuhowników, ludzi włościanych i wszelakich kup swawolnych, nigdzie od nich nieodjeżdżając, aż mnie sami za kompanią podziękują — i tym wszystkim postanowionym dosyć czynić kondycyom. A jeśli-bym miał fałszywie i niesprawiedliwie przysięgać, niech na mnie Pan Bóg i na wszystkie wojsko J. Kr. M. Zaporozkie wszystkie plagi od Starego aż do Nowego Testamentu ześle, niech się podemną ziemia zapadnie i pod wszystkimi. Niech

¹ Był to Marcin Czarniecki, brat Stefana młodszy, dziewiąty z dzieściu synów Krzysztofa Czarnieckiego, starosty żywieckiego. (Patrz: Niesiecki, „Herbarz polski“, t. III, str. 195). Co zaś do Łączyńskiego, jestto tenżesam Józef Łączyński, co się kształcił zagranicą w sztuce wojskowej, późniejszy generał-major (od r. 1665) i starosta buski, który męstwem się wślawił pod Chocimem, a za dni swych młodszych, pod Kudakiem; w jednej z wycieczek z twierdzy, umiejętnie prowadzonych, stracił rękę i dostał się do niewoli, z której później uciekł.

mię P. Bóg na ostatek na ziemi mojej i dzieciach aż do trzeciego pokolenia karze i duszę moję na potępienie wieczne pośle. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Krew Chrystusa Pana, Zbawiciela naszego, Przeczysta Bogarodzica i wszyscy Święci i ta św. Ewangelia, na którą przysięgam...“

Relacya współczesna, zacytowawszy całą rotę przysięgi, dodaje: „Tym trybem pułkownicy, potem setnicy, assawułowie i wszystka Czerń przysięgała...“¹.

Cała umowa poddania się, a właściwie mówiąc „wyjścia“ załogi kudackiej „na bezpieczne miejsce“ pod osłoną wojsk oblegających, wymownie świadczy o dzielności obrońców tego straconego najwidoczniej posterunku, który znikąd pomocy ani mieć, ani też spodziewać się nie mógł. Oczywiście, pomimo pozycyi bez wyjścia, tak jeszcze wierzone w swą siłę, polegającą na własnem, szczupłem liczbą, lecz mocnem ramieniu, iż nie wahano się rozdrażnionemu długiem oblężeniem nieprzyjacielowi proponować umowę tak korzystną dla siebie, jakiej obozy obleżone, w pozycyi ostatecznie zgubionej, nie zwykły nawet podawać.

Nieprzyjaciół, żywiąc w głębi ducha złą wiarę, chętnie zgadzał się na wszystkie warunki, byleby co prędzej stać się posiadaczem twierdzy. Niecierpliwość oblegających, którzy nie mogli nie wiedzieć, iż mają sprzymierzeńca w postaci głodu i wszelkich przywacj, jakich doznawała załoga kudacka, jest jednym z dowodów, że oblężenie zbyt wiele ich kosztowało krwi, czasu, niepowodzeń.

Opór załogi zawdzięczano nietylko męstwu, ale i umiejętności dowodzących. Niejeden z nich za granicą kształcił się. Krzysztof Grodzicki, Józef Łączyński w Belgii wojskowe odbywali studia. Pierwszy wsławił się biegłością w sztuce artyleryjskiej, co go wyniosło w latach późniejszych na wysoką w Rzplitej godność generała artyleryi; Józef Łączyński, niedość, iż górował wykształceniem wojskowem, lecz był pełnym

¹ Rękop. Bibl. Jag. 90.

siły i odwagi rębaczem, typem znikającym rycerzy, którzy na barkach osobistego męstwa przechylali w bitwach zwycięstwa szalę. To narażanie się ciągle w boju, chodzenie w zapasy z przemożnym wrogiem, bez względu na jego liczbę, dwakroć w życiu Łączyńskiego wywołało osaczenie go, gdy się wrąbywał w nieprzyjaciół szyki, i branie go do niewoli: pierwsza była pod Kudakiem, druga później tatarska.

Wpatrując się w te postacie rycerskie, z animuszu bojowego i umiejętności wojskowych znane, spotykamy w nich niemało rysów, świadczących o podniosłości uczuć i olbrzymio zimnej krwi, która, przy całej grozie położenia, nie gasiła owych uczuć. Nie zapominali oni nietylko o więźniach, wziętych w pętą niewoli u Żółtych Wód, których własnem męstwem wykupić niejako chcieli, lecz i pamięć o popiołach zmarłych, poległych współbraciach nie opuszczała ich w chwili tak krytycznej¹. Zastrzegali w kapitulacyi, aby ciała zmarłych ziomków „w pokoju zostawały“, i później aby wydano je rodzinom, w razie żądania. Ta cześć dla zmarłych, niezapominanie o nich, gdy własne istnienie *in extremis* stanęło, ma w sobie coś dziwnie szczytnego, rycersko-chrześcijańskiego. Przypomina owych męczenników wiary, za dni pierwszych chrześcijan, którzy wśród najwyższych niebezpieczeństw unosili szczątki poległych swych braci i owe relikwie czcigłą najwyższą otaczali.

Wróg wszakże nie rozumiał podniosłych uczuć bojowników kudackich, nie uszanował w niczem ich żądań, nie dotrzymał umów zaprzysiężonych. Ciała zmarłych nie ocalono od profanacyi, — żywi poszli w pętą niewoli²...

¹ Patrz wyżej 7 i 8 artykuły kapitulacyi Kudaku.

² Profanacya grobów, zakłócania spokoju szczątków zmarłych, wraz z profanacyą świątyń wszystkich wyznań, były podczas ruchu społecznego, wywołanego rebelią Chmielnickiego, na porządku dziennym. Tłuszcza, łupu żądna, ograbiała trumny możnych. Tak znieważone i ograbione zwłoki Łukasza Żółkiewskiego widzieli posłowie polscy (w r. 1649) w zburzonej świątyni OO. Jezuitów w Perejasławiu. (Patrz „Dyaryusz“ w „Księdze Pamiętniczej“ J. Michałowskiego, str. 373. — Tenże „Dyaryusz“ u M. Grabowskiego, w „Źródł. do dziej. pol.“, str. 7). Mówiąc o tym fakcie Jul. Bartoszewicz, tak się wyraża: „Chmielnicki nie kazał

Wszystkie przysięgi, zobowiązania nie przyniosły żadnej rękoi bezpieczeństwa. Zamiast dostawienia garstki walecznych bojowników, obrońców twierdzy, na miejsce bezpieczne, — jak orzekła kapitulacya, a uświęcała przysięga — jeńcami ich wszystkich uczyniono. Przedniejsi z wodzów załogi, Krzysztof Grodzicki i kilku innych, po wycierpieniu wielu śmiertelnych obaw, odzyskali wolność, lecz późno, po paru zaledwie latach, przechodząc z niewoli kozackiej do tatarskiej, z bardziej do mniej srogiej. I to późne odzyskanie wolności nastąpiło zaledwie po wielu królewskich wstawianiach się i różnych w tej mierze dokonywaniach; inni śmierć ponieśli... Los więźniów, zależny od samowoli tłumów, nader był opłakany. W „Dyaryuszu Komissarzów polskich“¹, wysyłanych do Chmielnickiego, na Zadnieprze (w r. 1649), czytamy kilka wzmianek o losie więźniów kudackich; wśród licznych tumultów nieraz tłum rzucił się na więźniów, groził im, niektórych topił; „draganów“ kudackich, „do dział przykutych osobliwie topiono“... — mówi owa relacya i inne współczesne.

Król, wstawiając się za temi resztkami rycerskich obrońców Kudaku, pisał do Chmielnickiego (w marcu 1649 r.), powołując się na przysięgę Nestorenki. „Więźnie kudackie — czytamy w liście królewskim — na przysięgę wzięte sama requiruje przysięga, żeby byli uwolnieni, i trzeba ich było przy komissarzach naszych wolno puścić i odesłać; co iż się nie stało nie wątpimy, że za wzięciem tego pisania naszego, onych nam, przy posłach swoich, nieomieszkanie odeślecie, i tem samem wiarę waszą i posłuszeństwo przeciwko Nam oświadczycie“...²

Łagodne napomnienia królewskie są ostatnim głosem

nawet pozasłaniać przed posłami Rzplitej tych śladów swego panowania. Nie było to urąganie z nich, ale dane sobie samemu świadectwo“. (Por. w Encykl. Orgelbranda, t. XXVIII, str. 1047).

¹ „Księga Pamiętnicza“ J. Michałowskiego, str. 382.

² List ten umieszczony w „Ojczystych Spominkach“, t. II, str. 115.

w sprawie związanej z losami twierdzy niżowej i naszych związków kolonizacyjnych u „progów“... Strącenie sztandaru Rzplitej z wyżyn niżowych, z wałów Kudaku, było wówczas stanowczem i ostatecznem. Strącenie owego sztandaru, usunięcie wszelkiego wpływu Polski z Dolnego Dniepru nie przyniosło ziemiom niżowym ani spokoju, ani światła, ani wolności...

Maryan Dubiecki.



PEDAGOGIA

W DRUGIEJ POŁOWIE ŚREDNIOWIECZA.

IV.

Dzieła pedagogiczne humanistów.

Od mistyków czas już przejść do humanistów, i to do humanistów włoskich, bo w tym okresie tylko we Włoszech humanizm zawładnął stosunkami społecznymi i rozwinął się zupełnie. Ten sam duch głębokiej pobożności, który uczynił Gersona ojcem prostaczków, odbił się mniej lub więcej czyto w praktycznem prowadzeniu uczniów, czy też w pismach pedagogicznych Pawła Vergeria, Guarina Filelfa, Wiktoryna z Feltre, Maffea Vegia, Eneasza Sylwiusza i innych humanistów chrześcijańskich.

1. *Pietro Paolo Vergerio* (1349—1420), nauczyciel synów Franciszka Carrary, wydał pierwszy z pomiędzy humanistów dzieło pedagogiczne p. t.: „O szlachetnych obyczajach“¹. W dziele tem — podobnie jak inni humaniści — lubo nie cytuje pedagogów mistycznych i scholastycznych, jednak poglądami swymi często przypomina żywo ich zapatrywania. Gdyby tedy stwierdzono, że Vergerio nie korzystał bezpośrednio z ich

¹ *De ingenuis moribus et de liberalibus studiis ad Ubertinum Carariensem*. Przełożył to dzieło Marcin Kwiatkowski i wydał w r. 1564 p. t. „Książeczki rozkoszne o pocziwem wychowaniu dzieciak“.

dział, to należałoby przyjąć, że dzieła te przeszły w tradycję wychowawczą średniowiecza, i silnie już wpłynęły na ukształcenie się praktyki wychowawczej tam, gdzie nie przeważała pseudoscholastyka. W każdym razie, kto czytał dzieła scholastyków i mistyków, przyzna, że Vergerio skorzystał rzetelnie z ich zdobyczy, rozszerzył je uwagami starożytnych klasyków i własnymi spostrzeżeniami, a tak posunął naprzód całą pedagogię. Daleki od formalizmu tak myślnego, jak słownego, wydatnił Vergerio w nauczaniu stronę realną, tj. bogactwo treści, zaniedbywaną przez pseudoscholastyków i przez humanistycznych formalistów. Zarazem jednak — jak już i tytuł dzieła wskazuje — zwrócił pilną uwagę na wychowanie moralne, pojmując je w duchu prawdziwej pobożności, i nie tylko podał wskazówki szczegółowe jak je przeprowadzać należy, ale nadto miał je bardzo na oku przy samym wyborze i układzie przedmiotów nauki. Celuje też przedewszystkiem licznymi obserwacjami nad wiekiem dziecięcym, któremi objaśnia podawane przepisy¹.

Dzieło Vergeria ma na celu podać całą pedagogię odnośnie do chłopców; milczy zaś o wychowaniu dziewcząt. Niema ono systematycznego podziału na wychowanie moralne, intelektualne i fizyczne, ale mówi naprzemian tak o wychowaniu moralnem, jak intelektualnem, i podaje niejedne trafne wskazówki, odnoszące się do wychowania fizycznego.

Zachęciwszy do wczesnego i to jak najstaranniejszego kształcenia chłopców, zwłaszcza w rodzinach wyższego stanu, każe się autor starać najpierw o poznanie zdolności chłopców, bo od tego ma zależeć kierunek kształcenia². Za oznaki większych zdolności uważa, gdy chłopiec snadnie się zapala żądzą pochwał, gdy jest posłuszny starszym i chętnie stosuje się do

¹ Z tym chrześcijańskim pedagogiem mieszają nieraz późniejszego humanistę pogańskiego tego samego imienia i nazwiska. Na tej podstawie chcą się w tym pedagogu dopatrzeć koniecznie odstępiania od zasad chrześcijańskich, i posuwają się nie tylko do insynuacji, ale i do przekręcania jego własnych twierdzeń.

² Zob. dzieło Wincentego z Beauvais, r. 5.

upomnień, gdy pała chęcią jak największego postępu, gdy nie chce próżnować, a przedewszystkiem, gdy uległe przyjmuje kary, i ma dobre, zapominające uraz serce. Zaleca wkońcu „radzić się i tych, którzy utrzymują, że z fizyognomii poznać można zdolność każdego, i wrodzone obyczaje“. Uzdolnionych chłopców przedewszystkiem kształcić należy, lubo nie godzi się zupełnie zaniedbywać i mniej zdolnych.

Wykazuje dalej podobnie jak mistycy, że każdy wiek, a więc i chłopięcy, ma właściwe sobie obyczaje, które trzeba rozwijać i poprawiać. Podnosi też myśl, wyrażoną już przez Wincentego z Beauvais¹, że wady chłopców pochodzą z natury, albo z braku doświadczenia, albo z obojga razem — i szeroko wywodzi, jak wskutek tych przyczyn jedni chłopcy są zbyt szczodrzy, inni zbyt skąpi, nieposłuszni i chełpliwi, skłonni do nieczystości, lękliwi, łatwowierni lub litościwi. Występiać każe przedewszystkiem kłamstwo, do którego pobudza dziecko żywość usposobienia i chełpliwość, a natomiast radzi przyzwyczajając chłopców do małomówności. Powstaje też bardzo na nieczystość, i chce, by chłopców powstrzymywać od tańców i t. p. zabaw, od przedstawiania z płcią drugą, od prowadzenia lub słuchania rozmów śliskich i t. p. Odzwyczajając też każe najpilniej od próżniactwa, niektórych i od samotności, wreszcie od dogadzania sobie w potrawach i napojach. Przyzwyczajając zaś chce do cnót przeciwnych, a przedewszystkiem do tego, „aby młodzieniec nie zaniedbywał służby Bożej i pamięci na nią, i aby się przejął tem od zarania życia“. Natomiast strofuje przeklinanie, ośmieszanie imion świętych i płoche przysięgi. Oprócz tego domaga się, aby chłopcy nawykali szanować starców, a wreszcie aby nabyli układnego obojętka się, ale bez przesady.

Przestrzega przed zbyt pobłażliwem i miękkim prowadzeniem, co często się zdarza wdowom, i radzi chłopców oddawać drugim na wychowanie.

Mówiąc o rachętach do nauk, powtarza niemal zdanie

¹ L. c. r. 25.

Wincentego z Beauvais, i każe pilnych z natury zapalać pochwałami, nagrodami i pieszczotą, innych zaś zniewalać groźbami i razami, tudzież używać tych środków naprzemian i względem tych samych uczniów. Przy prowadzeniu wogóle unikać trzeba tak zbytnej pobłażliwości, jak zbytnej surowości, która, zwłaszcza melancholików, doprowadziłaby do zupełnego o sobie zwątpienia.

Potępia formalizm ograniczający się na nauczaniu języków i dyalektyki, a to ze względu na obyczaje; bo nauki te nie umoralniają bezpośrednio, ale się stają dogodnym narzędziem w ręku dobrych do postępu w cnotach i mądrości, w ręku zaś złych do okazania głupstwa lub do zaspokojenia złych żądz. Natomiast zaleca studium historii, filozofii i etyki. „Inne nauki — mówi — nazywają się sztukami wyzwolonemi dlatego, że przystoją ludziom wolnym; filozofia zaś dlatego jest wyzwoloną, że jej nauka tworzy ludzi wolnych. W jednej (w etyce) znajdziemy przepisy, co czynić a czego się wystrzegać należy, w drugiej (w historii), przykłady tego“. Na trzecim miejscu kładzie studium wymowy, jako część wykształcenia politycznego (*civilis scientiae*).

Już w XII wieku w szkole św. Wiktora spotkaliśmy się z etyką, jako z drugim stopniem nauki — poruszał tę sprawę i Wincenty z Beauvais; u Vergeria występuje ona na pierwszy plan, co prawdziwie zaszczyt przynosi temu wychowawcy.

Zachodzi jednak pytanie, jak Vergerio pojmował naukę tych przedmiotów. Czy kazał ich uczyć z wykluczeniem i w miejsce siedmiu sztuk wyzwolonych? Wyjaśnienia musimy szukać przede wszystkim w dalszym toku jego dzieła.

Zastanowiwszy się nad stanem nauk u starożytnych, mówi dalej Vergerio: „Naprzód — jeżeli chcemy skorzystać co z nauk — potrzeba się starać o dobrą mowę (przez gramatykę), abyśmy spiesząc do rzeczy większych nie upadali haniebnie w mniejszych. Zaraz potem ćwiczyć się trzeba w nauce dysputowania (dyalektyce), przez którą snadnie i gruntownie poznajemy, co w każdej rzeczy jest prawdą, a co fałszem... Ona ułatwia drogę do wszystkich nauk. Retoryka zaś jest trzecią z rzędu między

naukami językowemi... (Tu żali się autor na jej upadek wskutek przewagi dyalektyki w sądach)... Bezpośrednio po niej następuje poetyka (metryka. Więcej ku rozweseleniu umysłu). Potem mówi kolejno: o muzyce, podnosząc jej wpływ łagodzący namiętności i uczucia, o arytmetyce, geometryi, także „o nauce bardzo pięknej, która nam daje poznać ruchy, wielkość i odległość gwiazd“, przedewszystkiem zaś o nauce przyrody, „przez którą poznajemy naturę istot żyjących i nieżyjących, początek i trwanie wszystkiego, co jest na niebie i na ziemi, przyczyny i skutki ruchów oraz przemian, tak iż potrafimy podać przyczyny wielu zjawisk, które pospółstwu cudownemi się zdają“. — Z tego wyliczenia szczegółowego widać, że Vergerio nie znosił jeszcze siedmiu sztuk wyzwolonych, ale odgraniczał, jako osobną naukę, historję naturalną i fizykę dzisiejszą, którą poprzednio łączono z geometryą. W tem wyliczeniu niema też wzmianki o historii i etyce; z czego wnosić musimy, że autor stosownie do starej praktyki średniowiecza kazał na tle tych dwóch nauk uczyć gramatyki, dyalektyki, retoryki i poetyki.

Mówi także Vergerio o innych jeszcze naukach, niekoniecznie wprawdzie potrzebnych, ale bardzo miłych i przydatnych, lub też odpowiednich pewnym stanom. Za takie uważa naukę „o ciśnieniach w powietrzu i na ziemi“, perspektywę i naukę o ciężarach, medycynę, znajomość praw; za najwznioślejszą zaś podaje — teologię. Kto ma zdolności, niech jak najwięcej nauk sobie przyswaja; tępszemu i jedna wystarczy. Ze względu na życie praktyczne przypomina autor zdanie Arystotelesa, że nie można zbyt usilnie i zbyt długo się oddawać studjom wyzwolonym, bo człowiek taki stałby się może znakomitym w prywatnym życiu, ale byłby mało pożyteczny państwu.

Uczyć się każe, równie jak jego poprzednicy, u najlepszych mistrzów, oraz z najlepszych autorów. Podnosi także potrzebę rozważania tego, co uczeń przeczytał, jeżeli się to ma obrócić na jego stały pożytek. Gani uczenie się równoczesne kilku przedmiotów. „Jednej rzeczy — mówi — oddawać się przystoi i przykładać do niej z całą usilnością; nauki zaś przy-

swajać sobie trzeba w tym porządku, jak je podali autorowie“. Utrwalać rzecz w pamięci każe przez powtarzanie, zaostbrać umysł przez rozmowy i dysputy; za najlepszy zaś sposób uczenia się poczytuje uczyć drugich. Podobnie jak Wincenty z Beauvais, gani zarozumiałość ucznia, a domaga się pokory. „Pierwszym bowiem stopniem do nauk jest mózdz wątpić. Nic nie jest szkodziwsiem dla uczącego się, jak zbyt wygórowane mniemanie o swem wykształceniu lub zdolności, gdyż pierwsze znosi, drugie zmniejsza chęć do nauki“¹.

Ponieważ dzieło Vergeria miało na celu w pierwszym rzędzie synów książęcych, przeto skreślił wkońcu autor, jak synowie tacy mają zaprawiać się do sztuki wojennej i hartować swe ciało. Wyraża jednak dziwne zapatrywanie, t. j., że w wieku chłopięcym trzeba najpierw kształcić rozum, w młodzieńczym zaś wyrabiać dobre obyczaje i siłę muszkułów. Nie licuje to ze wskazówkami poprzednich pedagogów i nie odpowiada naturze, bo pozwala zaniedbywać rozum wtenczas właśnie, kiedy on jest najsposobniejszym do pracy i rozwoju. Odwłoki zaś wychowania moralnego aż do lat młodzieńczych nie można brać ściśle, bo właśnie autor na początku dzieła kazał pierwiej zwracać uwagę na stronę moralną, niż na kształcenie rozumu.

2. *Guarino Filelfos* (1370—1460). Podobnie jak Vergerio walczył z dyalektycznym formalizmem. Mąż ten wielce pobożny i tak zapalony miłośnik klasycyzmu, iż umyślnie odbył podróż do Konstantynopola (do Chrysolorasa), był wychowawcą księcia Linonella z Ferrary, a jednocześnie, jako słynny swego czasu pedagog, miał i innych uczniów. Widział on w klasycyzmie główny a ponętny środek do odrodzenia studyów chrześcijańskich, i dlatego napisał objaśnienia do wielu klasyków oraz gramatykę łacińską. Jeżeli Gerson położył niespożyte zasługi przez to, że wykazał pedagogiczne znaczenie częstej spowiedzi, to Guarino ożywił chrześcijańskie wychowanie

¹ Przytaczamy tę cytate w całości dlatego, że niektórzy wyrwawszy zeń pierwsze zdanie: „Pierwszym stopniem do nauk jest mózdz wątpić“, użyli go na dowodzenie, że podstawą filozofii Vergeria był sceptycyzm (sic!).

przez to, że w zapobiegliwości swojej, by uczniowie przez studyum klasyków nie zakazili się religijnie lub moralnie, zaznaczył konieczność i pożytki studyowania Piśma św., a przede wszystkim własnem postępowaniem z uczniami wskazał, jak wiele na tem zależy, by często chodzili do kościoła i brali pilny udział w ćwiczeniach religijnych.

3. *Wiktoryn z Feltre* (1378—1446). Zasadom tym, głoszonym także przez słynnego Jana z Rawenny, dodał rozgłosu Wiktoryn z Feltre, obudwu mistrzów uczeń. Był to słynny matematyk, dziwnie zarazem rozmiłowany w studyach klasycznych, a przytem nawskróś przejęty duchem pobożności; tak dalece, iż — jak się domyślają nawet przeciwnicy pedagogii chrześcijańskiej — dlatego „poświęcił się szkolnictwu, aby przysporzyć światu dobrych chrześcijan“. Nie pisał on dzieł pedagogicznych, ale poświęcił całe życie praktycznemu wychowaniu dziatwy, i tyle zdziałał dobrego, że całe Włochy ze czcią i z uwielbieniem nań spoglądały, a papież Eugeniusz IV na publicznej audyencyi powiedział: „Gdyby na to pozwalała godność papieska i mój wiek, chętniebym powstał, aby okazać szacunek temu czcigodnemu mężowi“¹. Wiktoryn zajmował zrazu katedrę filozofii i retoryki w Padwie, gdzie też założył *paedagogium* celem wychowywania i nauczania zdolnych i moralnych uczniów bez różnicy stanu. Zrażony zepsuciem obyczajów, panującym w Padwie, już po roku przeniósł się do Wenecyi, i tam również założył instytut wychowawczy. Powołany stąd przez księcia Jana Franciszka Gonzagę na pedagoga jego synów: Ludwika i Karola, udał się do Mantuy i tam otworzył zakład, który mu wyrobił sławę nie tylko biegłego nauczyciela-dydaktyka, ale i znakomitego wychowawcy.

„Świat potrzebuje przede wszystkim ludzi, — mawiał on — trzymających się niewzruszenie odwiecznych zasad w różnieniu dobrego i złego, którzy stawiają mężnie czoło prądowi, porywającemu miliony do grzechu i hańby, którzy wśród najboleśniejszych ofiar na ołtarzu obowiązku złożonych, nie

¹ Kellner l. c. I. 208 i t. d.

upadają na duchu, lecz wciąż zacień myślą i działają, i niczego nie uważają za stracone, dopóki cnotę swą zachowali. Gdyby szkoły miały mieć taki ustrój, że kształcąc umysł psułyby obyczaje, to wołałbym, aby wszystkie zburzono i zniesiono, bo mniejsze to nieszczęście, gdy człowiek uczciwy i sumienny nie posiada nauki, aniżeli gdy uczony jest łotrem¹. Znalazłszy sam w środkach religijnych i w niezmordowanej pracy skuteczne uspokojenie namiętnego z natury temperamentu, starał się, aby religijność zrobić niewzruszoną podstawą moralnego uszlachetnienia chłopców. Wspólne modlitwy poranne, uczestniczenie w publicznych nabożeństwach, miesięczna spowiedź, nauka religii, której sam udzielał, a przede wszystkim przykład mistrza, — były środkami do wyrobienia religijności. Na tej podstawie szczepił Wiktoryn przedewszystkiem ową cnotę, która jest koroną wszystkich cnót chrześcijańskich, tj. miłość Boga i bliźniego, tudzież wynikającą z niej cichość oraz ducha pokoju. Ze świętem oburzeniem karmił wady przeciwnie, jak: złorzeczenie, przezywanie, dokuczanie. Chłopcy starsi mieli przykładem swoim prowadzić młodszych, a nigdy nie dawać im zgorszenia. „Niejeden człowiek — mówił — nie ugrzązłby może w grzechach, gdyby nie przykład innych, który budzi śpiące namiętności. Oby Bóg raczył pohamować tylu gwałtownych rodziców, opiekunów i nauczycieli, by nie dawali dzieciom pierwszego bodźca do zepsucia. Bo lubo nie dają go przez niemierność w zmysłowych uciechach, to jednak przez mowę i wyrażenia, stosowne raczej w szynku i karczmie, niż w domu rodzicielskim lub w szkole. Jakżeż często z bólem widzieć można, jak ci przełożeni, karcąc drobne wykroczenia podwładnych, czynią to słowami przez gmin tylko używanymi, a tak miasto poprawy i błogosławieństwa, ściągają tylko zartwardziałość i przekleństwo!“ Nie też dziwnego, że Wiktoryn

¹ Przypomina to bardzo zasady Gerhardytów i może służyć za wyjaśnienie, dlaczego Gerhardyci tak się stali pchopni do szerzenia humanizmu. Wysłańcy ich trafili we Włoszech widocznie na samego Wiktoryna lub na innych mistrzów jego pokroju.

śmiało przeprowadzał zasadę, — którą, o ile wiadomo, pierwszy postawił w chrześcijańskiej pedagogii — że kary cielesne są najmniej odpowiednie przy wychowaniu domowem, a wprost szkodliwe w szkołach. Ganił także karanie klęceniem, bo przez to poniża się ten akt największej zewnętrznej czci ku Bogu, a nauczyciel stawia się w miejsce indyjskiego bożyszcza, któremu składają hołd, trwogą wymuszony. A przecież w zakładach Wiktoryna panował wzorowy porządek i ściśle posłuszeństwo! Osiągał to przez zachowywanie we wszystkim konsekwencji, a wpływ kary, słusznie mierzył nie jej wielkością i surowością, ale pewnością nieuchronnego wymierzenia. Wogóle stosownie do całej tradycyi wychowawczej Kościoła mniemał, że lepiej wadom zapobiegać, niż je karać; dlatego też ustawicznie przebywał z uczniami i starał się o ciągle dla nich a miłe zarazem zajęcia. Najwięcej brzydził się kłamstwem. Duch miłości, jaki panował w zakładach Wiktoryna, zjednywał mistrzowi ślepe zaufanie uczniów, a tem samem dawał mu sposobność do głębszego wnikania w ich dusze i do snadniejszego zaradzania złemu. Wyrocznią będąc dla dzieci, stawał się następnie Wiktoryn upragnionym doradcą dla dorosłych; nawet poza grób towarzyszyły mu długo oznaki wdzięczności i uznania dawnych wychowañców.

Czuwał też bardzo Wiktoryn nad starannem wychowaniem fizycznym. Potrawy kazał dawać pożywne, ale proste, a trawienie ułatwiał nie winem, ale ćwiczeniami, wymagającemi ruchu, a rozwijającemi zarazem muszkuły. Codziennie odbywali uczniowie regularne ćwiczenia w pływaniu, jeźdźeniu konno, szermierce i t. p. Często dzielił uczniów na dwa oddziały wojskowe, które sobie budowały improwizowane zamki, a potem o nie walczyły. Na ucznia nieskorego i niechętnego do takich ćwiczeń, zwracał Wiktoryn szczególną uwagę, bo poczytywał to za znak niedobry. Nie lubił otyłości, uważając w niej z Pythagorasem „obłok dla duszy“, i dlatego czuwał bardzo nad tem, aby uczniowie wcześniej wstawali ze snu. Starał się również o zahartowanie ciała, i przyzwyczajał wychowañców do znoszenia upałów i zimna, trudów i niewygód, do odzieży lek-

kiej i niezbyt ciepłej. Uważał także bardzo na przyzwoite ułożenie zewnętrzne uczniów,—a ztąd potępiał ociężałość, gwałtowne gestykulacye, wykrzywianie twarzy i inne nieprzyzwoite nawyki, sądząc, że z niemi łatwo się wiązą złe skłonności. Jednem słowem, umiał czynić ciało zdrowem a posłusznem narzędziem duszy. I doprowadził do tego, że dwaj główni jego wychowawcy: Ludwik, otyły i niemierny w jedzeniu i piciu, i Karol, chudy i nieśmiały w obejściu, nabyli wnet milej powierzchowności, ręczności—i tak się bujnie potem rozwijali, że można ich było nazwać Hektorem i Achillesem.

Pod względem intelektualnym dążył Wiktoryn do harmonijnego rozwinięcia wszystkich władz duszy. Za przykładem Vergeria usiłował jak najwcześniej zbadać zdolność i moralne skłonności dziecka, i na tem opierał całe dalsze postępowanie oraz dobór przedmiotów nauki. Sądził zarazem, że całkiem tępe głowy są rzadkością, że owszem, z każdego człowieka da się coś zrobić, byle zacząć w właściwy sposób, podobnie jak każda niemal rola wyda zboże, chociaż nie każda pszenicę. Strzegł się też bardzo, by nie uważać odrazu za tępych uczniów takich, którzy z początku w jednym tylko lub w drugim przedmiocie słabe zrobili postępy. Naukę czytania ułatwiał przez to, że pojedyncze litery malował na kartonowych tabliczkach, pokazywał je z osobna i kazał potem składać w wyrazy ¹. Przy wyborze przedmiotów kładł nacisk na studia klasyczne nietylko w łacińskim, ale i w greckim języku. Wykluczając tedy podręczniki pseudoscholastyków, uczył gramatyki, logiki, retoryki i poetyki na Wirgilim i Cyceronie, na Homerze i Demostenesie. Okolicznościowo podawał wyjaśnienia historyczne. Muzykę cenił bardziej jeszcze niż Vergerio, a największy nacisk kładł na matematykę, uważając ją za przedmiot najwięcej wyrabiający bystrość i ścisłość myślenia. Natomiast nie uczył osobno nauk przyrodniczych, a lekceważył prawo i medycynę. Filozofii uczył na tle samych autorów: Arystotelesa i Platona.

¹ Rozwinęli to później Basedow i Dolc, przygotowali zaś już Kwin-tylian i św. Hieronim.

Metoda Wiktoryna była wykładowa, a baczyl przy niej głównie na dwie rzeczy: aby go wszyscy i najępsi rozumieli, oraz aby wszystkich zainteresować i do odpowiednich uczuć pobudzić. Mimo głębokiej wiedzy przygotowywał się sumiennie na każdą lekcję i nauczał żywą mową, bez żadnych podręczników. Zalecał to wszystkim kandydatom do urzędu nauczycielskiego. Zachęcał uczniów do zapytywania o rzeczy niezrozumiałe i do przedkładania swych wątpliwości. Dowiadywał się często, czy go uczniowie zrozumieli, a to w ten sposób, że kazał trudniejsze ustępy z autora uczniom odczytywać; akcent i sposób wygłoszenia były dlań pewną wskazówką. Nie puścił nigdy plazem fałszywego akcentu lub niestosownego wygłoszenia. Ćwiczenia pisemne grały u niego także wielką rolę; prace uczniów uważnie przeglądał, dokładnie poprawiał i sumiennie oceniał. Domagał się niezmordowanej uwagi od uczniów, a stopień uwagi poznawał często już z układu ciała. Niezmordowany był w powtarzaniu rzeczy ważniejszych, systematycznie zestawiał prawdy nauczane, i nawiązywał rzeczy nieznanne do znanych. Nie był za liryczną poezją dla młodzieży ze względów moralnych; natomiast zalecał bardzo poezję epiczną.

Działalność Wiktoryna z Feltre i wpływ jego na pedagogów humanistycznych nie dosyć jeszcze dotąd są ocenione. Badania jego korespondencyj, oraz zapisków wybitniejszych a współczesnych z nim osobistości, rzuca jeszcze niejedną prośmyk na tę postać tak wzniosłą i świetlaną. Już dzisiaj widzimy, że Wiktoryn doszedł do niejednych zasad pedagogicznych, które głoszone za zdobycz najnowszych czasów.

(Dok. nast.).

Ks. W. Gadowski.

WYCIECZKA W GÓRY SABIŃSKIE.

O włoskiej ziemi i jej pamiątkach napisano już tyle we wszystkich językach, że — zdawałoby się mogło — znaleźć i powiedzieć coś jeszcze nowego prawie niepodobna; a gdyby się i znalazło, to w każdym razie coś tak drobnego i małoważnego, że mówić o tem nie byłoby warto. A jednak ten kraj wspomnień i pamiątek — to nigdy niewyczerpana skarbnica dla historyka, archeologa i turysty.

To wielkie pod każdym względem bogactwo materiału oślepia badacza do tego stopnia, iż chwytta tylko to, co większe i efektowniejsze, pomijając mnóstwo przedmiotów, napozór drobnych, a jednak bardzo wiele w sobie kryjących piękna i interesu.

Sprawdza się to na wszystkich, lecz przedewszystkiem na turystach i archeologach.

Turysta np., co przedsięwziął zwiedzić Rzym i jego okolice, po zwiedzeniu Wiecznego Miasta, zwiedza zazwyczaj Starą Apię i porozrzucane po niej we wdzięcznym nieładzie pomniki i grobowce. Potem Albano, ten letni Rzym, pełen pałaców i ogrodów; ciche jezioro Albańskie, w którem przegląda się Monte Cavo: z tego to szczytu bohaterowie Romy rozpoczynali swój tryumfalny wjazd *in Urbem*, którym ich ojczyzna darzyła w nagrodę wielkich czynów. Dalej Castel-Sandolfo ze wspa-
niałą rezydencją papieżów; Aricią, rozkoszne Frascati, pełne

pałaców, fontan i czarownych ogrodów; nakoniec stare Tyburcyum, pełne pamiątek po Horacym, Propercyuszu, Katulusie i całej plejadzie znakomitych mężów Augustowej epoki.

Piękne to wszystko, bogate, a choć tak stare, zawsze jednak nowe; tak miło dumać w starych ruinach dawnych świątyń i pałaców. Te ruiny mają swój odrębny język, który więcej uczy, niż długa uczona książka; jest w nich coś, co czaruje, co widza w inne unosi światy, i zdaje się, że już nie piękniejszego nie zobaczy się na ziemi.

Upojony turysta, syt wrażeń i nowości, ani wątpi, że zobaczył wszystko, co zabaczenia jest godne. Wprawdzie wielkie pamiątki chrześcijańskie po znakomitym założycielu zachodnich zakonów, św. Benedykcie, przyciągają niekiedy turystę aż do Subjaco, lecz to już rzadziej się zdarza.

Góry Sabińskie, a zwłaszcza wspaniała droga z Tivoli przez Siciliano i Pisognano do San-Vito, bardzo rzadko bywa nawiedzana; choć podróżując tą drogą, najwspanialsze spotyka się krajobrazy. Natura tu swobodna, ręka ludzka nie ujęła jej w karby, owszem, sam nawet człowiek zastosował się do niej.

Ledwo kilka kilometrów poza Tivoli, a jakież odmienny obraz: tam ruch i zgiełk — tu cisza, spokój. Cała okolica zdaje się być bezludną, choć miasta i *paese*¹ są bardzo liczne; lecz poczepiane po skałach i urwiskach Sabińskich gór, zbudowane z szarego skalnego kamienia, zdaleka nie różnią się prawie od otaczających je odłamów szarego kamienia. Co chwila rozwijały się przed nami najpiękniejsze, najrozmaitsze widoki. Czasami krajobraz dziwnie przypominał kieleckie góry, skały Ojcowa lub wdzięczne pola u podnóża gór Świętokrzyskich; czasami znowu zmieniał się raptownie z wesołego, młodzieńczego na suchy, poważny, prawie dziki i niezaludniony. Czasami

¹ To, co u nas nazywa się wsią, we Włoszech nie jest znane. Zamiast wsi naszych, Włosi mają *paese*: jestto znaczna liczba domów, zbudowanych z kamienia, zupełnie w formie miasta. Ulice są zazwyczaj bardzo wąskie, brukowane skalnym kamieniem; domy nietynkowane, wszystkie dwu- lub trzy-piętrowe. *Paese* różni się od *Cita* t. j. od miasta tem tylko, że jest mniejsze.

wśród ogrodów i winnic wysuwała się ogromna skała, jak opuszczone ruiny starego zameczyska; czasami żyzne pola i niwy dotykały prawie podnóża skalistych popielatych gór; często oko jeszcze nie zdołało przejrzeć krajobrazu, gdy nadchodził nowy, piękniejszy jeszcze, — i wierzyć się nie chciało, że jedna okolica może mieścić tyle czarujących piękności w swem łonie, że nie jesteśmy w zaczarowanych ogrodach Armidy. Przy bogatej dolinie skaliste góry, przy zielonych ogrodach oliwnych potokiem potworzone przepaści, a wśród tej różnaitości, biała, równa szosa wije się jak wstęga w tysiące dziwnych zakrętów.

Było już południe, gdyśmy przybyli do Siciliano, małego *paese*, zbudowanego na szczycie góry tegoż imienia. Wszystkie widziane dotąd widoki w jedną zbiły się masę; już nawet rozróżnić nie było można przebytych dolin, bo cała okolica w godowej ukazała się szacie i zachwycała ogromem piękna i bogactwa. Zmęczeni podróżą i upojeni pięknem przebytej doliny, weszliśmy w głąb miasta, by wypocząć nieco, tem bardziej, że i żołądki nasze głośno dopominały się posiłku.

Siciliano, ściśnięte w małej przestrzeni, przecięte wąskimi ale pięknie brukowanymi ulicami, wygląda raczej na klasztor, niż na jedną ze znacznych osad (8000 lud.). Na ulicach spokojnie, prawie głucho, jakby mieszkańcy odprawiali rekolekcyę. W samym środku miasta jest coś nakształt hotelu lub oberży; ale nie patrząc nawet przez szpary na czystość wewnątrz domu, jeszcze nie zawsze można się zdobyć na dosyć odwagi, by zasiąść do zaimprovizowanego obiadu i spożyć dary Boże, któremi uracza dom gościnny, naturalnie za dobre pieniądze. O znajomość we Włoszech, a zwłaszcza w *paese*, nie trudno. Od pierwszej zaraz chwili gospodarz domu staje się niby przyjacielem przybyłego gościa, traktuje go, jak dawnego znajomego, i opowiada więcej, niżby się słuchać chciało. To bardzo ułatwia poznanie ludu włoskiego i jego obyczajów i zwyczajów. W wielkich miastach, lub nawet w mniejszych, lecz często nawiedzanych przez cudzoziemców, lud już zatracił swój nacyonalny charakter, zmienił malowniczy strój na nowomodny kostium, a z tą zmianą nowych nabrał zwyczajów i nawyków.

Wśród ludu, zamieszkalego w Sabińskich górach i dolinach, wielka panuje powaga i czystość rodziny. Cywilne małżeństwo, wprowadzone przez rząd włoski, nie zrobiło tu żadnego postępu; to też municypium nie zanotowało ani jednego wypadku cywilnego kontraktu, niepobłogosławionego poprzednio przez Kościół. Naturalnem tego następstwem jest, że powaga ojcowska nie jest tu czezem słowem, a mieszkańcy mają tradycye rodzinne, nie świetne wprawdzie, ani sławne w dziejach, ale uczciwe, bogobojne, pracowite i zacne. Mniejby to uderzyło w Niemczech, gdzie powolna natura mieszkańców, wiekowy ład i porządek usposabiają do życia cichego, domowego — ale dziwi we Włoszech, gdzie mieszkaniiec gorącego usposobienia i namiętnej natury tak się łatwo poddał pod ścisłość chrześcijańskiego życia. Do tej prostoty i czystości obyczajów wiele bardzo przyczynia się niesłychane zamięłowanie domowej zagrody, niekiedy doprowadzone aż do przesady. Nikt tu nie myśli szukać poza obrębem swojego rodzinnego miasta znajomości lub pokrewieństwa; każde miasteczko tworzy tu zupełnie odrębne państwo, osobną republikę, żyje jakby odrębnem życiem. To też złe i dobre idzie tu okolicami, miastami, prawie rodzinami; są całe *paese*, słynące z rozruchów lub spokoju, inne z uczciwości, inne przeciwnie z rozboju i rabunku. Wogóle cała okolica Sabińskich gór słynie z domatorstwa; dochodzi to niekiedy do prawdziwej śmieszności. Wielka część jednego miasta przez całe życie nie przeszła granic swego powiatu lub nawet *paese*. Kobiety zwłaszcza rodzą się i umierają w jednym domu, nie przekroczywszy nawet bram swojego miasta.

Mniej to dziwi między prostym ludem; ciężka praca w roli nie wiele pozostawia czasu na dowolne wycieczki, miasto zaspokaja skromne potrzeby codziennego życia, — więc chyba pobożna pielgrzymka do cudownego miejsca wyciągnie z domu prostego *contadina*¹. Ale domatorstwo nie jest cechą samej tylko niższej klasy. Owszem, zdarzało mi się napotkać ludzi

¹ Wieśniak.

zamożnych, wykształconych, co nie zajrzeli do stolicy od kilkunastu lat, choć tylko 10 mil (polskich) przedziela ich od niej. Co do zewnętrznego wyglądu mieszkancie Sabińskich gór nie jest tak piękny, jak mieszkańcy północnych Włoch. Twarz jego, zazwyczaj śniada, ale uderzająca i otwarta, uderza cudzoziemca parą wielkich wyrazistych oczu, przez które jakby całą duszę, uczucia i myśli wylewał na zewnątrz. Życie z nich tryska pełnym potokiem, gorącość serca sama o sobie daje świadectwo, namiętne usposobienie na zewnątrz się wydiera.

Nie równa zapewne u wszystkich zdolność, nie każdy rodzi się geniuszem; ale bystrość, szybkie oryentowanie się i nadzwyczajny dar łatwego kombinowania są wrodzone wszystkim. Postacie bierne, napół uspione, fizyognomie nijakie, nic o sobie nie mówiące, spotykają się tu bardzo rzadko.

Piękna, bogata natura oddziaływa na mieszkańców bardzo dodatnio, piękność kraju musi się odbić na duszy człowieka; to też Sabińczyk, od dzieciństwa zaprawiwszy oko do wspaniałych widoków, uczy się daleko sięgać wzrokiem, potrzebuje tego szerokiego widnokręgu, w którym nabiera nieco smętnego, melancholijnego usposobienia, które tak pięknie harmonizuje z jego całą postacią. Ruchy ma giętkie, lekkie, pełne wdzięku i szlachetności: czy stoi, czy jedzie na ośle lub odpoczywa w cieniu oliwy, to tak zawsze pięknie, jakby umyślnie pozował za model dla malarza. Ubiera się skromnie, ale malowniczo. Czarne, do kostek sięgające trzewiki (lub łapcie), niebieskie pończochy, czarne aksamitne spodnie do kolan, takąż kamizelka, i krótki myśliwski kaftan, zazwyczaj niedbale zarzucony na jedno ramię, stanowią strój jego zwyczajny; głowę przykrywa wysokim, czarnym kapeluszem, formy piramidalnej, ze spuszczonem na oczy rondem, zpod którego czarne zwoje włosów spadają aż na ramiona. W obejściu Sabińczyk jest bardzo miłym; pewna buta wrodzona, a przytem wyrobienie towarzyskie, naturalna łatwość w obcowaniu zadziwia mieszkańców północy. Anglicy np., przyzwyczajeni do sztywnego, zimnego obejścia, nie mogą pojąć swobody, z jaką tu lud przy-

bliża się do cudzoziemca; to też narzekają zwykle na familiarność Włochów, co właśnie stanowi ich urok.

Sabińczyk chytrą się nie odznacza, ale otwartość bynajmniej nie jest jego przymiotem. Te same wyraziste oczy, co zdają się wylewać na zewnątrz całą duszę, choć głębokie, jasne, zdradzić łatwo mogą, bo do ich dna dosięgnąć trudno. Sabińczyk zazwyczaj jest dobrym, natury gorącej, często nawet słodkiej, — ma w sobie jednak pewną dozę niedowierzania, podejrzliwości nawet; może żyć blisko z cudzoziemcem, wejść nawet z nim w zażyłość, — ale do prawdziwej przyjaźni nie dojdzie; potrafi wyświadczyć usługi, poświęci się czasem, — a jednak całem sercem nie ufa nigdy.

Pod względem religijnym Sabińczyk stoi dosyć wysoko; niema on może tego pietyzmu, co polski wieśniak; w kościele długo modlić się nie lubi, zazwyczaj w dni świąteczne słucha tylko cichej Mszy św., wcześniej odprawionej, a wieczorem śpiewa litanię na cześć Madonny; ale do Sakramentów św. przystępuje często, niekiedy nawet co tydzień, święta obchodzi uroczystie i pijatyką ich nie gwałci. Patryarchalne, w domowym ognisku skupione życie chroni go od zepsucia; to też dzięki temu, obyczaje są tu bardzo czyste; poszanowanie cudzej własności w wiejskim ludzie zadziwia cudzoziemca: przy publicznej drodze pełno jest winnic i ogrodów, zupełnie niestrzeżonych, a gospodarz nie obawia się żadnej szkody.

Co do pamiątek i zabytków przeszłości, Włochy, a szczególnie prowincya rzymska, są bardzo bogate. Wprawdzie każdy naród, którego karta dziejowa znaczniejszemi nieco zgłoskami zapisana w historii świata, posiada mniej lub więcej liczne zabytki swych czynów i sławy, ale podobno niema drugiego kraju na ziemi, jak Włochy, których pola całe pokryte są wiekowemi pamiątkami. Napisano o tych pamiątkach już tyle, że z samych opisów Włoch możnaby ogromną złożyć bibliotekę, a jednak — jak to na początku wspomnieliśmy — wiele jeszcze pozostaje przedmiotów, pod względem sztuki i archeologii bardzo ważnych, o których sami nawet Włosi niewiele wiedzą. Nietylko miasta i publiczne drogi posiane są pałacami

dawnych władców Romy: pełno ich wszędzie, — nawet niedostępne góry kryją wśród siebie gmachy i pomniki wszystkich niemal epok. Pamiątki te, wiekowym ujęte snem, ponure, straszne nawet, tętną duchem starożytnym; każdy ich gzyms, każda rzeźba, odwiecznym pokryta mechem, mówi o minionej świetności.

Jedną z takich pamiątek, prawie nieznaną, jest Mentorella. O 10 godzin drogi od Siciliano leży w Sabińskim paśmie olbrzymia góra (1800 st.) — zwie się Mentorella. Na samym jej szczycie znajduje się małe miasteczko, Guadagnola zwane. Zdaleka zdaje się być raczej gniazdem orlim, niż siedzibą człowieka. Cała góra jest prawie zupełnie naga, tylko u podnóża opasuje ją piękny kasztanowy las. Całym bogactwem dla Guadagnolczyków... są stada kóz. Trudno sobie wyobrazić większą nędzę, ale zarazem i równie wielką, prawdziwie bohaterską rezygnację. Guadagnolczyk mieszka w napół rozwalonym domu, bez okien, często i bez drzwi; całym jego sprzętem kilka gładkich kamieni, które mu służą za stół i krzesło; garść liści z kasztanowego drzewa i kilka skór kozich, stanowiących posłanie dla całej rodziny, dopełniają tego skromnego umeblowania. Cały rok Guadagnolczyk żyje chlebem, wodą i kasztanami; kukurudzę a zwłaszcza makaron jada bardzo rzadko — i to jest największy przysmak. A jednak kocha on swoje rodzinne *paese* i nie opuściłby za nie w świecie swoich ulubionych skał, po których skacze z równą szybkością, jak jego koza.

Nieco niżej szczytu Mentorelli, na zrębie stromej skały, w miejscu odludnem i pustem, wśród sterczących olbrzymich kamieni, stoi wspaniała świątynia z wyniosłą dzwonnica, — to stara konstantyńska bazylika: niegdyś świetna, z czasem rozsypała się w gruzy mało różniące się od otaczających ją kamieni. W 1661 r. odnalazł ją przypadkiem uczony Jezuita O. Atanazy Kircher, któremu Rzym zawdzięcza jedno z najznakomitszych swoich muzeów (*Museum Kircherianum*). Oto, jak sam opowiada o tym wypadku w swoim dziele, zatytu-

łowanym *Historia Eustachio Mariana*¹: „W r. 1661 zwiedzałem „okolice Poli i Palestriny. Wyjechałem z Tivoli, i drogą przez „Pisognano, udałem się w góry Sabińskie. Po kilkogodzinnej „podróży znalazłem się na wysokiej górze wśród nagich skał „i przepaści. Postępowałem z trudem po najeżonej ostremi ka- „mieniami ścieżynie, coraz to nowe napotykając przeszkody. „Nagle u szczytu jednej skały ujrzałem jakby ruiny kościoła; „zaciekawiony zbliżyłem się do nich, i jakież było moje zdu- „mienie, gdym się przekonał, że to w istocie był kościół, na- „wpół zrujnowany, z podziurawionym dachem i górskim za- „rosły zieleń. Wszedłem do jego wnętrza. Widok był straszny: „ściany zielonym pokryte mchem, pozapadana w wielu miej- „scach podłoga, popękany sufit groził zawaleniem; przez po- „tłuczone szyby wpadało ptastwo, szukając spoczynku w gnia- „zdach, które słało sobie w gzymsach dawnych ołtarzów. Po- „woli zbliżyłem się do wielkiego ołtarza, nawpół już zrujnowa- „nego, i ponad mensą w małej niszy dostrzegłem bardzo sta- „rożytną, z drzewa rzeźbioną statuetkę Madonny, której słodkie „rysy wzbudzały pobożność i uszanowanie. Po ścianach głó- „wnej nawy było jeszcze kilka fresków, już nieco mchem po- „rosłych; zacząłem je egzaminować, odczytując zarazem na- „pisy przy nich umieszczone. Po długiem rozpatrywaniu się „w tych szczątkach, przekonałem się z radością, że kościół ten „stał w miejscu, w którym objawił się Zbawiciel św. Eustachemu“.

Pełen radości, udał się uczony Jezuita do sąsiedniego mia-
steczka, Guadagnoli, celem zasięgnięcia wiadomości o men-
torellskim kościele. Tu dowiedział się od miejscowego pro-
boszcza, że mentorellski kościół — według bardzo starej
tradycyi — był zbudowany przez Konstantyna Wielkiego
w tem samem miejscu, gdzie Chrystus Pan objawił się św.
Eustachemu.

Dawne chrześcijańskie legendy, a między innemi jeden
bardzo stary manuskrypt (Medyceuszów), pisany po grecku, cy-

¹ Athanasi Kircheri e Soc. Jesu: *Historia Eustachio Mariana*. Roma,
ex Typographia Varesii. MDCLXV, pag. 2.

towany przez Bollandystów¹, podaje, że św. Eustachy — przedtem Placydus zwany — był jednym z wodzów armii Trajana.

Razu pewnego — mówi wspomniany manuskrypt — Placydus udał się był w liczne gronie swoich przyjaciół i domowników na polowanie. Gdy przybyli do lasu, ujrzeni stado jeleni. Placydus puścił się w pogoń za jednym z nich, i długo go ścigał. Lecz mimo usiłowań i zręczności nie mógł dosięgnąć strzałem uciekającego jelenia. Już się był bardzo oddalił od swoich towarzyszków, gdy wtem jeleni wskoczył na wysoką, stromą skałę i obrócił się przodem do Placydusa. Uszczęśliwiony myśliwy już miał ugodzić w swą zdobycz, gdy nagle ujrzał między rogami jelenia jaśniejący krzyż, a na nim twarz Zbawiciela. Przełęczony, rzucił się na kolana, i te usłyszał słowa: „Placydzie... ja jestem Chrystus, którego ty czcisz, nie wiedząc o tem. Twoje jałmużny, jakie tak hojnie rozdajesz ubogim, zjednały ci moją łaskę; ja cię przyjmuję do liczby moich wybranych“.

W ten sposób odbyło się nawrócenie Eustachego. Św. Jan Damasceński mówi o nim, iż: *in ipsa venatione venatur*.

Nie będziemy dalej opowiadali życia Świętego, który męczeństwem potwierdził swoją wiarę w Chrystusa; zaznaczamy tylko, że mentorellski kościół jest zbudowany w tem miejscu, w którym się odbyło nawrócenie św. Eustachego. Stwierdza to najdawniejsza tradycja i współczesne opisy, oraz pamiątki do dziś dnia zachowane w mentorellskiej świątyni.

Podług O. Kirchera, św. Eustachy wywodził swój ród z możnej patrycyuszowskiej, rzymskiej rodziny, która posiadała miasteczka Poli i Guadagnola, oraz przylegające do nich ziemie, między którymi jest i Mentorella. Mógł więc Święty polować w swoich dobrach, a jego nawrócenie mogło mieć miejsce, w którym dziś stoi kościół. Podług najdawniejszej tradycji, mentorellska świątynia była zbudowana przez cesarza Konstantyna W., a konsekrowana przez św. Sylwestra I, papieża. Świad-

¹ *Acta Sanctorum*. Septembris. Tom. VI. Antverpiae. Apud Bernardum Alb. van der Plassche. MDCCLVII.

czy o tem bardzo stara dębowa tablica, wmurowana w ścianę poza konfesją, bardzo dobrze jeszcze zachowana. Tablica ta ma długości blisko metr, wysokości pół metra, i dzieli się na dwie równe części. W jednej z nich, mianowicie w prawej, jest wyobrażony w płaskorzeźbie papież w pontyfikalnym stroju, otoczony gronem kapłanów w chwili, gdy konsekruje ołtarz. Nad głową papieża jest wyryty napis: *Sylvester*; na ołtarzu, przy którym stoi konsekратор, te można wyczytać słowa:

MENSE OC D
XXIII DE
DICATIO
BEAT MAR
IAE I VVLTVILA

co ma znaczyć: *Mense octobris, die XXIII. Dedicatio Beatae Mariae in Vultuilla.*

Z drugiej strony wspomnianej tablicy wyobrażona jest chwila nawrócenia św. Eustachego: Jeleń stoi na zrębie skały; w jego rogach stoi jaśniejący krzyż z twarzą Chrystusa. U podnóża skały klęczy św. Eustachy z podniesionemi do góry rękami. Tuż przy jeleniu są wyryte następujące słowa:

MAGISTER N
GVILELMVS
FECIT OC
OPVS

Cała tablica, jej ornamentacya, oraz kostiumy papieża i kapłanów, wskazują, iż zabytek ten pochodzi z epoki romańskiej, najdalej z VIII wieku.

Zaznaczyć należy, że Mentorella przedtem nazywała się *Mons Vultuilla*; z czasem nazywano ją *Bulturellą* albo *Vulturellą*. To tłumaczy, dlaczego na tablicy, wyobrażającej poświęcenie mentorellskiego kościoła, umieszczono napis: *in Vultuilla*.

Kościół mentorellski jest zbudowany w stylu dawnych bazylik, o 3 nawach. Nawy poprzednio były oddzielone kolumnami w stylu romańskim, które w średnim wieku zamieniono przy restauracyi łukami gotyckimi. Świadczy o tem jeden

fresk, umieszczony na trzecim od wielkich drzwi pilastrze nawy głównej; pod freskiem tym jest napis gotyckimi literami z datą 1400 r. Ze starych kolumn dwie tylko pozostały do dnia dzisiejszego. Tworzą one małą kapliczkę, poświęconą św. Sylwestrowi, papieżowi. Kapliczka ta jest tuż przy wejściu do bazyliki; ściana jej i sufit są ozdobione pięknymi freskami z 1400 r. Dwa z nich zachowały się najlepiej. Pierwszy przedstawia chrzest Konstantyna W., a pod nim napis:

*Con l'aque battismali vice dio lava l'imperatore
e'l rende pio.*

Drugi fresk tejże wielkości wyobraża konsekrację kościoła mentorellskiego przez papieża Sylwestra św. Pod tym freskiem jest następujący napis:

*Cosa il tempio a Dio il gra pastore
E tu lettor devi sagrar gli il core (? il cuore).*

Przy ostatniej restauracyi kościoła znaleziono pod wielkim ołtarzem szczątki przepysznej kolumny z wschodniego alabastru, które starannie przechowują w skarbcu mentorellskim.

Resztki tej dawnej świetności, bazylikowy styl kościoła, tak rzadki w tych stronach, samo zbudowanie tak wspaniałej świątyni w miejscu odludnem i pustem, prawie niedostępnem — wszystko to razem potwierdza tradycję, która mówi, że Mentorella jest zbudowana przez Konstantyna W. w miejscu, gdzie Chrystus Pan ukazał się św. Eustachemu.

Baroniusz mówi, że w spisie bazylik, założonych przez Konstantyna W., jest także wzmianka o bazylice, zbudowanej *in monte ad vicum Pisonis*. *Vicum Pisonis*, dziś *Pisognano* albo *Bisognano* zwane, leży właśnie tuż u stóp góry Mentorelli. Prawdopodobnie więc Baroniusz ma tu na myśli mentorellską bazylikę, tem bardziej, że w całej tej dzikiej i bezludnej prawie okolicy niema żadnego większego kościoła.

Skarbiec mentorellski świadczy także bardzo wymownie o wielkiej starożytności mentorellskiej bazyliki; do dziśdnia przechowane są w nim przedmioty bardzo cenne pod względem archeologicznym. Między innemi jest tam bardzo cenny

krucyfiks, pół metra wysoki, cały ze srebra; formą swoją przypomina on dawne krzyże greckie. Z jednej strony krucyfiksu wisi rozpięty Chrystus; w końcach ramion, zakończonych w formie listka koniczyzny, jest wyryty wizerunek Najświętszej Maryi Panny i św. Jana Chrzciciela. Na odwrotnej stronie krzyża, w jego przecięciu spoczywa na pięknej rozecie *agnus paschalis* z chorągwią; w czterech końcach krzyża są umieszczone symboliczne figury czterech Ewangelistów.

Lubo miejscowa tradycja utrzymuje, że krucyfiks ten jest darem Konstantyna W., to jednak z jego formy i ornamentacyi widocznem jest, iż nie należy on do epoki Konstantyna, lecz najprawdopodobniej -- jak to sam Kircher utrzymuje -- zaliczyć go należy do zabytków z IX wieku. W bazylice św. Jana Lateraneńskiego jest podobny krzyż, nawet ornamentacją nie różni się od mentorellskiego, a pochodzi z 872 r. i jest darem Jana VIII, jak to wskazuje mała tabliczka z napisem, umieszczona u stóp wspomnianego krzyża.

Drugim, równie starym jak ciekawym przedmiotem, przechowywającym się w mentorellskim skarbcu, jest półkole, zamknięte linią dyametralną, której szerokość dochodzi do 6, a długość do 28 centymetrów. W środku tego półkola, na bogatej rozecie, otoczony jasnością, stoi baranek z chorągwią; po obydwu jego stronach jest po sześciu Apostołów, cyzelowanych *en relief*; na linii dyametralnej jest dwunastu Proroków. Na odwrotnej stronie półkola, na linii, łączącej półkole z centrum linii dyametralnej i na półkolu jest masa innych postaci. Trudno oznaczyć, jakie jest przeznaczenie tego zabytku: miejscowa tradycja utrzymuje, że to resztką wezgłowia od tronu, na którym była umieszczona statua Najśw. Maryi Panny w siedzącej postawie. Prawdopodobniej jednak półkole to jest resztką wspianalego z miedzi złożonej cyborium, o którym wspomina O. Kircher. *Agnus*, umieszczony w jego środku, zdaje się to potwierdzać.

Trzecim zabytkiem archeologicznym, przechowanym w skarbcu Mentorelli, jest olbrzymi, półtora metra wysoki, siedmioramienny świecznik z miedzi, kiedyś grubo złożony, zupełnie

tej formy, co świecznik w świątyni Salomona. Stoi on na podstawie z białego marmuru, w kształcie kolumny pół metra wysokiej. Tylko górna część tej kolumny jest starą; dolna zupełnie nowa, ale dobrze harmonizuje z całością.

Wspomnieć jeszcze należy o dwóch lampach z brązu, bardzo delikatnie cyzelowanych, formy bardzo oryginalnej. Cyzelacya ich przedstawia rycerzów w wojennym rynsztunku. Zabytek ten niewątpliwie pochodzi z pięknej epoki średniego wieku.

Bazylika — jak to już wyżej wspomnieliśmy — jest zbudowana prawie u szczytu nagiej, skalistej góry. Jedną stroną, mianowicie absydą, przytyka do zrębu wysokiej (przeszło 30 metrów) skały, na której ukazał się św. Eustachemu Zbawiciel. W tem miejscu jest dzisiaj zbudowana niewielka kwadratowa kapliczka z wysoką dzwonnica; prowadzą do niej bardzo wygodne schody kamienne. Ze skały jest najpiękniejszy widok na sąsiednie góry i dolinę. Przeszło 50 miasteczek można z tego punktu naliczyć. Między innemi widać Subiaco ze swemi wspaniałemi klasztorami, laskiem św. Benedykta i *Sacro Speco*. Wewnątrz tej skały, prawie równolegle z dachem bazyliki jest niewielka grota: podanie miejscowe utrzymuje, że w grocie tej przemieszkiwał lat 3 św. Benedykt, zanim się udał do Subiaco.

W istocie Mentorella należała kiedyś do opactwa Benedyktynów z Subiaco. O. Kircher utrzymuje nawet, że mentorellski klasztor, tuż przy bazylice zbudowany, należy do liczby tych dwunastu, które św. Benedykt fundował. Potwierdzają to akta klasztorne Benedyktynów, które mówią, że Mentorella *ab antiquo* należała do Subiaco. Lecz już w X w. Benedyktyni utracili Mentorellę, gdyż w 984 r. należała ona do pewnej znakomitej damy rzymskiej, imieniem Rosa, która podarowała kościół z klasztorem zakonnikom rzymskim z klasztoru św. Andrzeja *in Clivo Seauri*. Około XIII w. miasteczko Guadagnola i Mentorella przeszły na własność możnej rodziny Conti'ch, duków Poli. Z rodziny tej było kilku papieży. Przy mentorellskim kościele przebywali podczas letniej pory zakonnicy

z *Clivo Scauri*, lecz przez całą zimę kościół stał opuszczony. Z czasem opuścili go zakonnicy, nie mogąc podejmować ogromnych kosztów na restaurację tak ogromnej budowy, która i tak ciągle stała pustkami, gdyż z wyjątkiem pasterzy nikt jej nie odwiedzał. Gdy O. Kircher odnalazł Mentorellę, była ona — jak już powiedzieliśmy wyżej — w stanie zupełnego opuszczenia i bliska ruiny. Uczony Jezuita postanowił podnieść z gruzów tę piękną pamiątkę przeszłości. Dla dopięcia tego celu użył wszystkiego, cokolwiek może podyktować gorliwość o chwałę Bożą. Nie posiadając potrzebnych środków na restaurację tak kosztowną z powodu, że bazylika leży na niedostępnem miejscu, gdzie niema ani materiału ani robotnika, lecz wszystko z dalekich trzeba sprowadzać miejscowości, udał się z prośbą o pomoc do przyjaciół i książąt, wielbicieli swojej nauki i cnoty.

Jego starania pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem: książę brunświcki przysłał mu 400 dukatów w złocie na rozpoczęcie pierwszych robót. Wtedy to O. Kircher wydał swoją *Historia Eustachio Mariana*, w której opowiada tradycyę, odnoszącą się do Mentorelli. Jeden egzemplarz tego zajmującego dzieła posłał nawet cesarzowi Leopoldowi, który w odpowiedzi przysłał mu 1000 imperyalów. Książę Elektor bawarski przysłał 400 dukatów, a Piotr Aragoński, vice-król neapolitański, 100 skudów. Arcybiskup z Pragi darował mu 700 dukatów, lecz nie był to koniec jego hojności dla mentorellskiej Madonny. Własnym kosztem kazał on wybudować kapliczkę i dzwonnice na szczycie skały, na której pokazał się Chrystus św. Eustachemu. Schody, prowadzące do tej kapliczki z szarego kamienia, są także darem hojnego arcybiskupa, jak o tem świadczy marmurowa, w skałę, tuż przy wejściu na schody, wmurowana tablica.

Dzięki tak troskliwym zabiegom, bazylika została zupełnie odrestaurowaną zewnątrz i wewnątrz. Miejsce starego ołtarza zajęła wspianała, z białego marmuru, z bogatą mozajką konfesya, przypominająca swoją formą konfesję bazyliki *San Lorenzo extra muros*. Wewnątrz konfesyi na bogatym tronie

umieszczono starą statwę Najświętszej Maryi Panny. Cesarzowa Marya Teresa darowała później do ubrania Madonny suknię ze srebrnej lamy, bogatym przyozdobioną haftem¹. Ściany bazyliki przyozdobiono pięknymi freskami; niektóre z nich są bardzo cennego pendzla. Podłogę wyłożono gładkim taflowym kamieniem, zakrystę zaopatrzone w drogie aparaty — dary pobożnych dam rzymskich. Jednym słowem, dzięki staraniom O. Kirchera, bazylika nową przybrała postać.

Gorliwość pobożnego Jezuity nie ograniczyła się na samem tylko wyrestaurowaniu bazyliki. W r. 1670 zapowiedział on misję w Mentorelli, która odbyła się w dzień św. Michała, przy licznym udziale duchowieństwa i 15.000 ludu. Na urządzenie co rok podobnej misji w mentorellskim kościele przeznaczył kapitał, dający 40 skudów (t. j. 200 fr.) rocznego procentu. Jeszcze na dwa lata przed śmiercią t. j. 1678 r. pisał do swego przyjaciela, Langelmantel'a, jak wielkiej doznał radości, gdy podczas misji, w tym roku odbytej, 12.000 ludu przystępowało do Stołu Pańskiego. Po śmierci O. Kirchera OO. Jezuici co rok urządzali walne misye w mentorellskim kościele.

O. A. Kircher przed śmiercią objawił życzenie, by jego serce było pochowane u stóp Madonny mentorellskiej. Pobożne to życzenie spełnionem zostało; w istocie serce O. Kirchera spoczywa w skromnym sarkofagu tuż przed ołtarzem w podziemnych grobach mentorellskiego kościoła.

Z czasem bazylika mentorellska znowu zaczęła się chylić ku upadkowi. Opatami komendataryuszami Mentorelli byli książęta Poli *de Comitibus*; jeden z nich, mianowicie Bernardus Maria de Comitibus, kardynał tytułu św. Bernarda ad Thermas, poprawił jej mury, a na odprawianie nabożeństwa zapisał 60 skudów (300 fr.), za które zarazem nabył prawa do nominacji kapelanów przy mentorellskim kościele. Marmurowa ta-

¹ Dziś z sukni tej zrobiony jest ornat. Madonny więcej nie ubierają materyą; stara statua, rzeźbiona z drzewa, jest odnowiona i pięknie pomalowana.

blica, wmurowana w drugi od wejścia pilastr, świadczy o tym fakcie. Oto jej napis:

In Sacra hac aede Betalissimae Virginis Mariae de Mentorella
 Juris patronatus familiae de Comitibus
 Jugi dum viveret pietate culta
 Suos nedum cineres condi humillime voluit
 Don Bernardus Maria tituli S. Bernardi ad Thermas
 S. R. E. Cardinalis de Comitibus
 Censu scutorum LX legato
 Perpetuam in ea laycalem capellaniam erigi mandavit
 Ad missam pro defunctis domus suae ter in hebdomada satisfaciendam
 A capellano oppidi Guadagnola
 Et in subsidium terrae Poli
 Per haeredem suum nominando
 Cui proviso sedula incumbat cura ecclesiae
 A fidelium erga Deiparam pietatem pro viribus
 Satagat promovere
 Don Carolus de Comitibus frater miles et magnae crucis ordinis
 Hierosolimitani ejusdem ecclesiae abbas commendatarius
 Princeps romanus et dux Poli Innocentii XIII P. M.
 Ac dicti D. Cardinalis ex fratre nepos et haeres
 Patruī obsequens desiderio latius expresso in testamento
 Perenne hoc monumentum reliquit an. Dom. M.DCCXXX

Papież Innocenty XIII także był opatem Mentorelli; umierając, polecił, by jego serce złożone zostało u stóp mentorellskiej Madonny. W istocie spoczywa ono tuż koło konfesyi, w małym z popielatego marmuru sarkofagu, pod którym ten znajduje się napis:

Cor Innocentii XIII De Comitibus.

Także przyrodni brat tego papieża, wyżej wspomniany kardynał Bernard Maria Conti, spoczywa w Mentorelli. Oto napis, na jego grobie wyrity:

OSSA

Dom. Bernardi Mariae Tituli S. Bernardi ad Thermas S. R. E. Card. de Comitibus — qui ab Innocentio XIII Pont. Max. germano fratre poenitentiarii majoris — dignitate fulcitus ac totius ordinis cassinensis quem fuerat professus — in protectorem apud S. Sedem receptus — post exactam annorum LXVI et dierum XXV aetatem universum sui desiderium — relinquens decessit in conclavi apostolico die XXIII mensis aprilis — anno M.DCCXXX —

dux Carolus de Comitibus frater miles et magnae crucis ordinis — Hierosolimitani abbas commendatarius hujus ecclesiae S. Mariae — de Mentorella princeps romanus et dux Poli — ejusdem Innocentii XIII ac dicti D. Cardinalis et fratre nepos — et haeres quo patrui erga se munificentissimi memoriae sit testator — hic humili funere, ut ex testamento praescripserat, tumulari curavit.

Na początku tego wieku wygasła rodzina Contich; ich dobra wraz z Mentorellą przeszły na książąt Torlonia. Papież Grzegorz XVI potwierdził w r. 1837 księcia M. Torlonię, jako opata komendataryusza mentorellskiego, za co tenże w tym samym roku odrestaurował nieco mury bazyliki. Lecz mimo to kościół chylił się ku upadkowi i gwałtownej wymagał repara-cyi. Zarządzając tej potrzebie papież Pius IX oddał Mentorellę OO. Zmartwychwstańcom w r. 1857, z początku tylko na lat 7, a po upływie tego czasu, t. j. w r. 1864, osobnem brewe zapewnił im posiadanie bazyliki i klasztoru.

Gdy OO. Zmartwychwstańcy objęli w posiadanie Mento-relłę, bazylika i klasztor do niej przylegający były w stanie prawie zupełnego opuszczenia; lecz dzięki hojnym dotkom niektórych polskich rodzin, zwłaszcza hr. Julii Pusłowskiej, bazylikę do pierwotnej doprowadzono świetności; a podniesiony z gruzów klasztor służy dla OO. Zmartwychwstańców za willegiaturę w czasie letnich upałów.

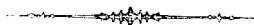
Misya w dzień św. Michała, jak dawniej tak i teraz, odbywa się co rok przy bardzo licznyim napływie ludu, nawet z bardzo dalekich przybyłego okolic. Misyom tym zazwyczaj przewodniczy JE. ks. Grasselli, arcybiskup kolosseński, były delegat Stolicy apostolskiej w Konstantynopolu, który swoją niezmordowaną gorliwością w słuchaniu spowiedzi i głoszenia słowa Bożego jest prawdziwym dla wszystkich zbudowaniem.

Trudno sobie wyobrazić coś równie pięknego, równie poetycznego, jak Mentorella. Wśród czarującej górzystej okolicy, na zrębie góry, najeżonej skałami, prawie w obłokach, a niekiedy wyżej od nich, stoi wspaniała świątynia w miejscu, uświęconem zjawieniem się Zbawiciela.

Było już koło wieczora, gdyśmy przybyli do podnóża Mentorelli. Uzbrojeni białymi parasolami i lornetkami, drapałiśmy się małą karawaną na osłach i mulach blisko godzinę pod górę; najpierw pięknym kasztanowym laskiem, potem już tylko małemi zaroślami, a nakoniec wśród skał i parowów. W miarę, jak się się pięli do góry, coraz to piękniejsze przedstawiały się oczom naszym krajobrazy. W oddali kilkudziesięciomilowa dolina w świetle zachodzącego słońca wybornie oddawała wszystkie zagłębienia i kontury to nagich i skalistych, to znowu żyznych i w różnych występujących barwach wzniesień. Nad dolinami błyszczą murami liczne miasta i *paesi*. Słońce, podobne okrętowi wśród pogodnego morza, spokojnie i poważnie przesuwają się po błękitach, lubując się w widoku, który swemi promieniami oświeca; cały krajobraz tętni niezrównanem życiem, wesołością, a zarazem pewnym spokojem i szczytnością, która mu wdzięku jeszcze dodaje. Chciałbym zawołać, że to najpiękniejszy widok z całych Włoch, ale w tym szczęśliwym kraju, gdzie oczy zwrócić, gdzie nogą stąpać, nowy i równie wspaniały, równie zajmujący odkrywa się widnokrąg. Każdy zakątek tej pięknej ziemi nęci i czaruje swym uśmiechem oczy podróżnika, i trzeba bardzo kochać oczyste zagony, by nadto wiele nie zostawić tu serca.

Gdyśmy się zbliżyli do progów mentorellskiej świątyni, uderzono w dzwony na *Ave Maria*; wkrótce potem kościół gorzał światłem, a przybyli okoliczni pasterze zanucili litanią Loretańską, do której tu dodają: *Sancta Maria de Mentorelle ora pro nobis*. Głos dzwonów i śpiew pasterzy roznosił się z przeciągłym echem po sąsiednich górach i parowach, a dzikie mu ptastwo wtórowało.

Adam Marczewski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O zaofiarowaniu się Jezusowi przez Maryą. Napisał *Błog. Ludwik-Marya Montfort-Grignon*. Przekład *O. Prokopa Kapucyna*. Warszawa, u Niemiey. 1890.

Kto w przekładach książek ascetycznych goni tylko za kwintnym stylem, i pomijając rzecz, śledzi jedynie za tem, czy dobrze i pod każdym względem wzorowo przetłumaczono, — niechaj się nie spieszy do tej książeczki. Choć z drugiej strony takich wybrednych literatów nie potrzeba, zdaje się, uprzedzać — sami oni przeczytawszy tytuł tej książki, nie pójdą dalej. Ale kto szuka gruntownego nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny, ten je tam znajdzie obficie, a nadto znajdzie bardzo cenne wskazówki jak odróżnić nabożeństwo fałszywe lub mniej dobre od najdoskonalszego, którem — jak to autor gruntownie dowodzi — jest oddanie się w niewolnictwo Królowej nieba i ziemi, z miłości ku Niej.

Jedno tylko wyrażenie (str. 153), a może i drugie (str. 30), zdaje nam się nie dość zgodne z prawdą, a przynajmniej z powszechnie używaną terminologią dogmatyczną. Zresztą wdzięczni tylko być możemy sędziwemu tłumaczowi, że nowem a gruntownem dziełem wzbogacił naszą literaturę ascetyczną.

Niestety, nie możemy tego samego powiedzieć o wydawcy. Najprzód na samym tytule uderza w oczy dziwna, choć zresztą mało znacząca, niekonsekwencya pisowni. Czytamy tam: „... przez Marją“, gdy w całej książeczce to, tylekroć powtórzone imię, pisane jest „Marya“. Mniejsza i o to, że gdziekolwiek zachodzi tekst łaciński,

musi się w nim znaleźć omyłka druku. Ale co najważniejsza, i czego po wydawcy dzieł katolickich można się było spodziewać, to szacunku dla tekstów Pisma św. Tymczasem, można śmiało powiedzieć, że ani jeden (a dość gęsto zachodzą), nie jest sprawdzony, a niekiedy tak przeinaczony, że ani w konkordancyi nie można znaleźć. Najciekawszy tego dowód jest na str. 175 i 251. Na pierwszej, w przypisku czytamy: „*Ja powiedziałem, Bogami jesteście*. (Psalm 14, 6)“ [sic]; — na drugiej, w takimże przypisku: „*Rzekłem, Bogami jesteście*. (Psalm 46, 4)“ [sic]. Tymczasem miejsce to nie jest ani w Psalmie 14, ani 46, tylko w LXXXI, w. 6, i brzmi: „*Jam rzekł: jesteście bogowie*“. A wiem skądinąd, jak Czcigodny O. Prokop wysoko sobie ceni przekład Wujka, jako w szczególny sposób dla Polski przez Kościół zatwierdzony.

X. H. P.

Podania i baśnie krakowskie, z opowiadań krakowskiego gminu. Spisał Dr. *Karol Mátyás*. Odbitka z „Gazety Lwowskiej“ 1890.

Czytelnicy nasi pamiętają pewnie interesujące etnograficzne studia: „Cholera w górach“ i „Nasze Siolo“, umieszczane w dawniejszych rocznikach *Przeglądu*; pracowity autor tych studyów nie przestaje uprawiać obranego przez siebie pola i raz po raz w krótszych i dłuższych artykułach i broszurach podaje do publicznej wiadomości otrzymane po mozolnych poszukiwaniach rezultaty. Przed kilku miesiącami wydrukował krakowski *Świat* początek obszerniejszej pracy: „Z poza rogatek krakowskich“; w broszurce, którą mamy pod ręką, przeszedł badacz nasz rogatki i samychże Krakowian pyta o ich baśnie i podania. Nie taki tu obfity płon, jak w Nowotarszczyźnie, lub Sądeczczyźnie; czuć, że największa część podanych baśni, jeżeli nie powstały, to do niepoznania zostały przekształcone w ostatnich kilkudziesięciu latach. Zawsze przecież, choć drobne to — jak Dr. Mátyás w przedmowie się wyraża — ale cenne perełki, i dobrze, że się ktoś znalazł, kto od zaguby je ratuje.

J.

Leliwita Spicimir, kasztelan krakowski, praojciec Melsztyńskich i Tarnowskich (1312—1352), oraz monografia Melsztyna. Ze źródeł autentycznych napisał *Ludwik Zarewicz*, członek kom. hist. Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków, 1890.

Cenny to przyczynek do dawnych dziejów naszych, taką jeszcze mgłą nieświadomości okrytych; cenny, a większe jeszcze wzbudzający nadzieje, bo — jak autor nas uwiadania — mamy przed

sobą obecnie tylko ułamek z obszernej, do druku już przygotowanej pracy, p. t.: „Melsztyńscy“, która obejmuje całkowite, ze źródeł archiwalnych czerpane dzieje tej rodziny od r. 1312 do 1534. — Z kolei — o ile nie bogate, mozolnie zebrane źródła, na to pozwalają — przypatrujemy się protoplaście Melsztyńskich i Tarnowskich, w publicznem jego zawodzie i prywatnem życiu; patrzymy, jak za jego staraniami powstaje Tarnów, wznoszą się mury melsztyńskiego zamczyska, stają dwa z kamienia zbudowane kościoły: w Jasieniu i w Piaskach Wielkich. Z melsztyńskiego zamku dziś tylko gruzy pozostały; autor odtwarza dawną jego postać, kreśli zmienne koleje; wylicza długi szereg różnych jego, zawsze możnych, wielkie wogóle w kraju mających znaczenie dziedziców.

Piękną tę i pouczającą książeczkę zdobią i wyjaśniają plany, nakreślone przez prof. Łuszczkiewicza, i widoki naszkicowane przez Matejkę. Starannie ułożona „tablica genealogiczna Melsztyńskich h. Leliwa“, nie mało też ułatwia dokładne zrozumienie rzeczy.

J.

Temu lat 27. Kartki z pamiętnika. Kraków. Nakładem K. Bartoszewicza. 1890.

W r. 1875 zwrócił na siebie niezwykłą uwagę czytelników *Dziennika Polskiego*, ogłaszany w nim nie długi, ale barwnie i interesująco spisany pamiętnik z powstania styczniowego p. t.: „Lat temu trzynaście“. Pamiętnik ten, ze zmienionym tylko, z konieczności rzeczy, tytułem, wyszedł obecnie jako odrębna książeczka, która również z pewnością na licznych i chętnych, w tego rodzaju nieco awanturniczych, a zawsze zaciekawiających opowiadaniach, rozmiłowanych czytelników i czytelniczek, może rachować. Autor, — którego nazwiska z pierwszych liter pod przedmową umieszczonych: Cz(esław) P(ieniążek), domyśleć się nie trudno, — nie zmienił nic, bardzo słusznie, w pierwotnej redakcyi pamiętnika — „obrazy młodości, a nie dzisiejszych lat piszącego“. I szkoda by było, gdyby miał co zmieniać: zatracilibyśmy wrażenia chwili, drobne szczególiki, charakterystyczne anegdotki, z których każda z osobna bez szkody dla dziejów mogłaby utonąć w zapomnieniu, ale które wszystkie razem wymowne rzucają światło na dzieje powstania, usposobienie powstańców, ówczesne uczucia, nadzieje, zawody. . . Co całemu opowiadaniu szczególnego dodaje uroku, to, że nie ma w niem blagi; nasz ochotnik nie wyobraża sobie, że najlepiej z całego oddziału, może z ca-

leż Polski, znał się na strategii i polityce, i że gdyby go tylko w odpowiedniej chwili posłuchano, losy powstania i całej Europy innym poszłyby torem; nie rzuca kamieniem potępienia na wszystkich i każdego z osobna, wyjąwszy na siebie samego i kółka najściślej-szych swych przyjaciół. Większa to i rzadsza zasługa, niż z pierwszego rzutu oka zdawaćby się mogło. Dziękując też za tę parę „kartek z pamiętnika“, a z tytułu sądząc, że więcej się ich, równie zapewne interesujących, u autora w biórku znajduje, szczerze o dalsze te kartki prosimy.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le bienheureux Jean Juvénal Amina, évêque de Saluces. Societé Saint Augustin. 1890.

Rośnie poczet świętych opiekunów chorego i zepsutego świata: raz po raz słyszymy o nowych patronach, wyrokiem Kościoła podniesionych na ołtarze Pańskie i czei wiernych poleconych. A tymczasem o wielu z nich nie zgoła nie wiemy: zpośród nich bł. Amina, biskup z Saluzzo, zupełnie nam jest nieznany. Zasłużone Towarzystwo św. Augustyna wydało świeżo drobną biografię tego wybrańca Bożego, którego cnoty św. Franciszek Salezy słauił w liście do papieża Piusa V. Ów list przedrukowano obok krótkiego życiorysu, spisane go przez O. Jugolda. Z książeczki tej dowiadujemy się, iż Jan Juwenalis Amina urodził się w r. 1545, w Pjemencie. Wysokie jego zdolności zachęciły rodziców do wysłania go na uniwersytet w Montpellier, obchodzący w tym właśnie roku wielowiekowy jubileusz. Następnie w Turynie otrzymał stopnie doktora filozofii i medycyny, tak świetnie składając egzamina, iż 24-letniego młodzieńca wnet powołano na profesorską katedrę. Przez trzy lata, jako lekarz w Turynie, pozyskał niezwykłą sławę — i wtedy to powziął myśl zupełnego poświęcenia się na służbę Bożą. Udawszy się z poselstwem sabaudzkiem do Rzymu, tam poznał się z św. Filipem Nereuszem i wstąpił do Oratoryanów. Zrazu, książkowym oddany pracom, przejrzał roczniki kościelne Baroniusza, następnie do czynnych przechodząc zapasów, całkiem się oddał nawracaniu heretyków. Wtedy to spo-

tkał św. Franciszka Salezego, z którym niebawem połączyła go najgorętsza przyjaźń, oparta na zobopólnym szacunku i miłości. Klemens VIII powołał go na stolicę biskupią w Saluzzo.

Patron to nowy, przydany lekarzom, w epoce, gdy sztuka lecznicza zbyt często do grubego materyalizmu prowadzi, badając ciała z pominięciem ducha i duszy. Inaczej myśleli wielcy uczeni dawnych wieków. Sławny Boerhave po sekcji anatomicznej wołał w uniesieniu: „Ach! gdybym mógł tyle Boga kochać, ilem Go poznał“. Ambroży Paré, gdy mu wieszowano powodzenia swych lekarskich usiłowań, powtarzał: „Jam chorego opatrzył, a Bóg go wyleczył“. Pismo św. w wielkiem poszanowaniu trzyma lekarzy, zalecając, aby ich czcić i słuchać. Bł. Amina nie pierwszy dosłużył się wieńca świętości, służąc cierpiącym i chorym sztuką lekarską. Zaraz w pierwszych wiekach chrześcijaństwa widzimy dwóch braci medyków, Kosmę i Damiana, wyniesionych na ołtarze sławą cnót i cudów. Spoganienie sztuki, której Bóg jeden daje skuteczność, jest jednym z oplakanych objawów naszego stulecia. Oby nowy patron lekarzy uprosił zwrot nauki, przez siebie uprawianej, ku szlakom prawdy, wiary i łaski!

M.

La France criminelle. Par *Henri Joly*. Paris, chez Léopold Cerf. 1890.

Jeden z najznakomitszych naszej epoki psychologów, Henryk Joly, który niedawno w grubej księdze, zatytułowanej: *Le Crime*, a rozbieranej na tem miejscu, przedewszystkiem walczył z determinizmem szkoły Lombrosa i Garofala, teraz znów występuje z obrazem zbrodni we Francyi i stan moralny swej ojczyzny śledzi. Warto niektóre ciekawe rysy tego bardzo poważnego studyum podnieść i przedstawić naszym czytelnikom. Wzrost bowiem zbrodni, tak znaczny we Francyi, w całym dziś świecie jednakie ma przyczyny, choć skutki może najwidoczniej na gruncie trzeciej Rzplitej się uwydatniają. Oczywiście, statystyka pierwsze tu zajmuje miejsce, dostarczając cyfr wymownych a strasznych. I tak w r. 1825 doliczano się 57.470 obwinionych o pospolite przestępstwa; w r. 1838 już ich było 80.000, a przyrost odtąd jeszcze spieszniej postępuje. W tym samym 1838 r. znajdujemy przeciętną 237 oskarżonych na sto tysięcy mieszkańców. Odtąd rok w rok liczba ta się wzmacza, z małemi wyjątkami. W dziewięć lat przybyło 138 przestępców, czyli na 30 milionów znalazło się 41.000 zbrodniarzy więcej. W r.

1848 pozorny spostrzegamy zastój — jak to stale się dzieje w epokach dezorganizacyi rewolucyjnej; nie żeby ubywało liczebnie zbrodni, lecz raczej tylko wymiar sprawiedliwości, wykołejony zawieruchą, ustaje. Stwierdza to statystyka lat następnych, kiedy np. w r. 1854 już znajdujemy cyfrę 480 zbrodniarzy na każde sto tysięcy mieszkańców. Światne dziesięciolecie początków drugiego cesarstwa, pozornie tak silnego, na razie wstrzymuje przyrost zbrodni. Ale liczba takowych od r. 1865 już znów stale się wznosi z przerwą lat wojny niemieckiej, kiedy samą ręką sprawiedliwości narodowemi klęskami była rozbrojoną. W r. 1887 doliczamy się już 552 oskarżonych na każde sto tysięcy mieszkańców. Jednem słowem, w pół wieku cyfra zbrodni skoczyła z 237 na 552. Że zaś ludność się nie powiększa, jestto istotnym wzrostem kryminalności.

Nie trzeba mniemać, aby lepsza organizacya policyjna tu rozstrzygała o stwierdzonym postępie zbrodniczej fali. W r. 1825 liczba spraw niewyjaśnionych, których wątku sąd dojść nie potrafił, wynosiła 9000. Odkąd poczet ten z roku na rok wzrasta, aż w końcu bywały lata, w których zbrodnie o nieodnalezionych sprawcach dochodziły do olbrzymiej cyfry 74.000. Nic tedy nie osłabia logicznego wniosku, iż obniżenie moralności właściwym i wyłącznym jest powodem przyrostu złego i zbrodni.

Cóż atoli może być przyczyną tak nagłego zniżenia i zanikania zmysłu moralnego? Autor sumiennie pyta i bada. Polityczne zawieruchy niezawodnie wielce się przykładają do rozstroju moralnego Francyi. Wszakże co kilkanaście lat powtarzają się rewolucyjne zamieszki, które między innemi mają i tę niebezpieczną stronę, iż rozbrajając na pewien czas rękę sprawiedliwości, sprzyjają rozwiehnomnieniu się zbrodni. Co więcej; po każdym takim przełomie zostaje w duszach osad zepsutych instynktów. Już Montesquieu uważał, iż rewolucye odejmują i osłabiają zmysł poszanowania prawa, zwalając przez to jeden z najsilniejszych szaców publicznej moralności. Przewroty społeczne podniecają chęć do odnawiania jednakich zamachów i prób zbrodniczych. — Atoli autor nietylko w rewolucyi upatruje nieprzyjaciela wszelkiego ładu i dobrego. Przedewszystkiem piętnuje on ową politykę państwową, która dziś w prywatne wciska się stosunki, na wszystkim i wszystkich ciąży, odejmując wszelką swobodę ducha, sumienia i czynu. Z wielu jednak grzechów owej współczesnej polityki najcięższym niewątpliwie jest stworzenie szkoły bezwyznaniowej. Ta to główna jest przyczyna bankructwa moralnego Francyi.

I cóż, że się sypią miliony na cele naukowe, budują pałace, mnożą stypendya, rozwija pedagogia; dopóki szkolnictwo nie zmieni swego dzisiejszego kierunku, wszystko pójdzie na marne, wszystko wyjdzie na szkodę tylko idących pokoleń. Bo jeżeli nauczanie może do pewnego stopnia pozostać bezwyznaniowem, wychowanie musi być przede wszystkim religijnem, inaczej wszystko przepada i na złe się obraca.

Polityka jednak nie ze wszystkim nam tłumaczy obecny rozstrój, nie za wszystko odpowiada. P. Joly wskazuje, iż na łonie społeczeństwa tkwią dziś mnogie złego zarody i początki. Samoż ułatwienie komunikacyi ściśle zwrotną drogę ku koczowniczemu życiu i wyrabia pierwiastek rozkładowy w nowoczesnej cywilizacyi. Uczciwość nie jest wyłącznym darem i całkiem osobistą zasługą jednostki: po części wynika ona i zależy od tradycyi, zwyczajów, zasad i opinii środowiska i otoczenia, w jakim się każdy człowiek znajduje. Osobnik, wyzwolony z tej zawiłej sieci zewnętrznych wpływów, najczęściej folguje odrazu namiętnościom i nurza się w zbrodni. Fakt to niezaprzeczony, stwierdzający się mianowicie, ilekroć dobrowolny wychodźca zawija do stołecznego miasta, gdzie go żadne znajome oko nie kontroluje ani śledzi, a wszystko do używania zaprasza. Autor wskazuje, iż wśród stu tysięcy emigrantów ze wsi do miasta, statystyka zbrodni odrazu się podwaja.

Inne źródło złego p. Joly upatruje w wadliwym urządzeniu więzień, zamienionych w szkoły zepsucia. Dalej wykazuje on nieszczęsne skutki wykolejania ludzi przez zbytne rozszerzanie nauki. Dzisiejsze nauczanie z ułatwieniami swemi, stypendyami, bezpłatnością i t. p., a zwłaszcza z zupełnem pominięciem moralnych potrzeb duszy dziecięcia, mnoży w nieskończoność chorobliwe mrzonki i ambicje, wyrывa z właściwego środowiska krocie ludzi, którzy, nie odnajdując się w obcych sobie warunkach i stosunkach, najczęściej na awanturników wychodzą i cygańskie pędzą życie. Na 36 przestępców zwykle ich bywa 28 spośród t. zw. liberalnych profesyj. Wykolejanie oczywiście jeszcze się zaostrza wśród dziewcząt, pijących chęciwie z nadmiaru podawanej im dziś nauki. Nie otwierają się dotąd dla nich męskie zawody; wracają tedy do domów swoich, gdzie się już odnaleźć nie umieją, ze wstrętem tylko i odrazą do stosunków, od których odwykli, z pogardą dla niższego otoczenia. Wobec podobnych zbrodni wyznać należy, iż sami sobie kształtujemy w zaślepieniu bezmyślnem rodzaj arystokracji zepsucia.

A nie tylko na łonie społeczeństwa wskazuje p. Joly zarody złego — i rodzina na dobre zaczyna rozkładowi ulegać. Słabość i osłabienie rodzicielskiej władzy, mnogość niezgód i rozwodów, zepsucie niewiast, coraz mniejsza liczba dzieci, coraz wcześniejsze zbrodni początki i młodszy wiek przestępców małoletnich, — wszystko to wskazuje, jak głębokie już tkwią korzenie złego na łonie samychże rodzin. Jakim sposobem aż do tej warowni dotarło? Zapewne, konieczności i wymagania przemysłu fabrycznego, rozdzielające na znaczną część dnia członków jednej rodziny, wyrzucające dzieci na ulice, mnożące niebezpieczne spotkania i stosunki, wiele wyrządziły złego. Wzrost bogactwa krajowego nie mało się też do zepsucia przyczynił; wiadomo, iż liczba narodzin zniża się głównie w najżyźniejszych i najdogodniejszych okolicach. Ale wszystko złe przedewszystkiem początek swój bierze w wyparciu Boga z świata duchowego i wygnaniu Go z wychowania i szkoły. Jedynym środkiem przykucia duszy ludzkiej do obowiązku, do wyższych dążeń i zapałów jest wyłącznie uznanie i poddanie się woli i przykazaniom Najwyższej Istoty, rządzącej światem. Bez tego zasadniczego pojęcia wszystko się w życiu i w sercu gmatwa, rozpada i psuje.

Zamykając wymowną konkluzją swe poważne studia, p. Joly dwa razy więcej się oburza na zwolenników Lombrosa: „W tych wszystkich zbrodniach, w tem upowszechnionem zepsuciu, gdzie nam szukać atawizmu, wsławionego przez włoską szkołę psychologiczną? W czem upatrywać zwrot do pierwotnego typu barbarzyństwa? zkąd wszystko zrzucać na dziedziczność? — kiedy w gruncie wszystko złe pochodzi z nadużywania wolnej woli“. Ten jest zbrodniarzem, kto nim chce zostać. P. Joly zapewnia, iż wzrost kryminalności wynika głównie z wzrostu nieszczęśliwości i podłej miękkości, streszczonych w niedającym się przepolaczyć dokładnie francuskim wyrazie: *lâcheté*, w którym tkwi i małoduszność i tchórzostwo i podłość i poniżenie. I znów cyfry tu najwymowniej się odzywają. Od r. 1838 gwałtowne czyny urosły o 51%, a niemoralne o 240%.

Jakże radzić na siłę złego i nadmiar zepsucia? — Należy przyłożyć siekiere do korzenia, ratować póki czas, wstrzymywać ostateczną ruinę moralną. A więc ograniczyć przyrływ ludności wiejskiej do stolic, wstrzymać gminoruchy, naprawić systemat karny po więzieniach, zreformować urządzenia robotnicze, a przedewszystkiem zmienić dotychczasowy ustrój szkoły, z której wyparto wszystko, co zdola okiełznać pychę i zabić egoizm, wszystko, co zbroi nadzieją szczę-

śliwej wieczności na próby doczesnej wędrówki. Trzeba Boga wrócić szkole, wrócić Go działwie i młodzieży; dopóki to nie nastąpi, rozszerzona i upowszechniona nauka dostarczać będzie tylko nowych i silniejszych narzędzi złego, mnożąc liczbę zazdrośników, próżniaków, wykolejonych, rozgadanych i rozpasanych, — a wraz i poczet zbrodni wzrastać nie przestanie. — Taki jest ostatni wyraz głębokich dociekań uczonego autora, który z suchej statystyki i psychologicznych studyów wysnuł istny dramat, dramat groźny i straszny, skoro jego rozwiązanie o losach Francyi stanowić będzie.

M.

The true history of the catholic Hierarchy deposed by Queen Elisabeth. By Rev. *T. E. Bridgett* and Rev. *T. F. Knor*. London. Burns and Oates. 1890.

Nieraz już na tem miejscu zdawaliśmy sprawę z ruchu naukowego, który dziś w Anglii wyświeca prawdę dziejową, prostując drogę innej, wyższej, prawdzie religijnej. Dwojaki strumień światła zda się spływać dziś na wybrzeża morskiego królestwa. Jeden płynie łaską z góry, coraz to nowe dusze wracając kościelnej jedności, — drugi wydobywa się z pyłu i kurzawy wieków, tryska z zapomnianych i zawalonych źródeł, wyjaśniając zawile historyczne kwestye, wskrzeszając rycerskie postacie męczenników i wyznawców, i stawiając ich przykłady na wzór idącemu pokoleniom. Witaliśmy tu niedawno archiwalne wydawnictwa, odnoszące się do panowania Henryka VIII, oraz prace O. Gasqueta o zniesieniu klasztorów i zakonów w Anglii w zaraniu reformacyi. Teraz przychodzi nam znów zwrócić uwagę czytelników na książkę, opisującą dokładnie ostateczną zagładę katolickiej hierarchii, za czasów królowej Elżbiety dopelnioną.

Trzysta lat czekać przyszło na biografie ostatnich biskupów katolickiej niegdyś Anglii, i dopiero gdy nić hierarchiczna z Rzymem nanowo zawiązaną została, podjęto studia, które jaskrawo uwydatniają bolesne dzieje odstępstwa i męczeństwa naprzemian. Nie odrazu bowiem rozpoczęte przez Henryka VIII dzieło zostało dokonaniem; następne panowania wykazują falujące prądy w duszach i dziejach zarazem. Gdy Henryk zrywał z Rzymem, jeden tylko Fisher z pośród biskupów okazał się gotowym na wszystkie próby, i zdolnym wszelkich ofiar w obronie prawdy i jedności. Tymczasem gdy królowa Elżbieta z kolei po bracie i siostrze wstąpiła na tron ojców-

ski, zmieniła się była postać rzeczy. Wprawdzie mnóstwo naczelných katedr biskupich, nie wyłączając prymasowskiej w Canterbury stolicy, znalazła wakującemi, — ale nadto biskupi, których zastała, okazali dużo mniej elastyczności sumienia, aniżeli ich poprzednicy z czasów Henrykowych. Owszem — jeden tylko jedyny uznał supremacyę królewską, ową przysięgą, która ostatecznie rozrywała węzeł jedności z Rzymem, przyznaniem rozstrzygającej władzy monarszej w dziedzinie sumień i wiary.

Co spowodowało tak łatwą uległość wśród biskupów Henrykowych, tak nieprzewidziany opór w chwili wstąpienia na tron drugiej jego, protestanckiej córki, — angielscy tłumaczą nam dziejopisarze. Biskupi, którzy bez szemrania poddali się rozporządzeniom Henryka VIII, ludzili się nadzieją, iż dawna wiara i obrządek dadzą się zachować tak samo pod władzą królewską, jak i papieską. Tymczasem rychło przejrżeli, że byli w błędzie; a postępowanie rządu za panowania małoletniego Edwarda VI dowodnie wskazało, iż katolicyzm się nie ostoi, jeżeli papież przestanie być głową onego hierarchii. Dla nas tem ciekawsze to dzieje, iż pod wielu względami przyrównać się dadzą do dzisiejszych zakusów prawosławia, któremu przede wszystkim chodzi o rozcięcie węzła, łączącego biskupów z Rzymem, i o postawienie władzy cara nad wszelką inną, nawet w dziedzinie dusz. Królowa Elżbieta nie przebierała w środkach; znajdując się wobec tak mało spodziewanego oporu, rozkazała odrazu wszystkich biskupów, z jednym zaledwie wyjątkiem, złożyć z urzędu i zastąpić nowymi pasterzami. Bezprzykładny to w dziejach gwałt zniesienia jednym zamachem całego hierarchicznego porządku Kościoła. Atoli zamach ten nie wywołał wśród ludności żadnego wzburzenia: lata religijnych sporów odniosły spodziewany skutek. Biskup i pasterz przestał wzbudzać przynależną cześć i uszanowanie, i ostudzone uczucie wiernych nie upatrywało już ojców swych w następach apostołskich.

Prócz ogólnego na wypadki poglądu, znajdujemy w niniejszej księdze dwa obszerniejsze życiorysy dwóch ostatnich biskupów katolickich w Anglii. Jeden z nich, Tomasz Goldwelt, opuścił potajemnie ojczyznę, i zasiadał później na soborze Trydenckim, co tak drażniło Elżbietę, iż usiłowała zaprzeczyć mu biskupiego charakteru, choć niema wątpliwości, iż otrzymał był święcenia i instytucję na stolicę St. Asaph. Po ucieczce z Anglii, życie Goldwelta zeszło na zabiegach, podjętych w celu ocalenia i przywrócenia w ojczyźnie

katolickiego Kościoła. Umarł w r. 1585, a wraz z nim zniknął ostatni żyjący szczątek prawowitej hierarchii. W rok bowiem wcześniej umarł był Tomasz Watson, biskup z Lincoln, który w godzinę strasznego prześladowania nie potrafił bezpiecznego znaleźć schronienia; zaczętem niemal całe życie przyszło mu spędzić w więzieniu. Zrazu uległ on był prądom czasu, i ustąpił królewskim zachciankom religijnej przewagi. Atoli dusza jego lgnęła do przepisów dawnej wiary, i jak tylko się przekonał, że nowe przysięgi z starym obrządkiem żadną miarą pogodzić się nie dadzą, rozwinął mężny opór; zaczętem pozbawiony został godności swej, urzędu i stolicy. Kilka lat przepędził w londyńskiej kaźni Toweru, a następnie oddano go pod nadzór dwóch protestanckich neo-biskupów. Praktyka to była wówczas upowszechniona, aby złożonych dostojników Kościoła poruczać pieczy ich kacerskich następców. Los ich w takich razach stawał się znośniejszym, aniżeli w więzieniach; ale położenie musiało być nad wyraz upokarzającym i dotkliwym. Ostatecznie ksiądz Watson przeniesionym został do Wisbech, fortecy niemal wyłącznie przeznaczonej dla opornych katolików. Z innych już ksiąg i biografij znana to miejscowość, zapisana krwawo i promiennie zarazem w rocznikach męczeńskich Anglii. Tam też, wśród nędz i niewygód, sławnej zarazem i osławionej kaźni, umarł biskup Watson w 71 roku życia, przeważnie za kratami spędzonego.

Dziś owe zasługi wschodzą żniwem powrotu na łono prawdziwego Kościoła. A choć nie widać jeszcze gromadnych przejść z ciemności do światła, znaczy się już ogólny upadek dawnych przesądów, zaślepień i namiętności. Protestanczy krytycy oceniają jak przynależy poważne studia przeszłości, uznają ich wartość, przyznają rzetelną prawdziwość, nie przysyłając sztucznemi kłamstw dzieła fałszu i pychy, które się w oczach naszych rozpada. To *fiat lux*, wyrzeczone za dni naszych, wobec historii, owego upowszechnionego od czasów reformacyi spisku przeciw prawdzie, dziś dosięga umysły, prostuje sądy, znosi uprzedzenia, i prowadzi do jasnego ocenienia niskich pobudek, niegodziwych środków działania, i oplakanych a rozstrajających skutków oderwania Anglii od jedności Kościoła i wiary. Studya bezstronne owego przełomu, stawiają pomost zwrotny ku Rzymowi i katolickiej prawdzie, ułatwiający sumiennym душom świadome do wiary ojców nawrócenie.

Z pism czasowych.

Roczniki kapłańskie, pismo poświęcone nauce kościelnej i sprawom społecznym. Redaktor i wydawca *Ks. Marceł Dziurzyński*. Zeszyt I, lipiec. Zeszyt II, sierpień. — Lwów. 1890.

Oddawna wzdychaliśmy, zwłaszcza tu u nas w Galicyi, za pismami peryodycznymi na polu katolickiej i kościelnej prasy. Rok bieżący okazał się szczęśliwym i płodnym nadspodziewanie. Czy ta płodność niema swoich braków, w to się nie wdajemy na razie; faktem jednakowoż jest, że w przeciągu paru miesięcy pojawiła się *Gazeta katolicka*, pojawił się *Krzyż*, pojawił się *Dzwon*, pojawiły się wreszcie najpoważniejsze rozmiarami, najobfitsze treścią — *Roczniki kapłańskie*.

Szanowny Redaktor w słowie wstępnem, które na czele pierwszego lipcowego zeszytu umieścił, wyłuszcza jasno i dobitnie nader obszerny i obiecujący program.

„Pismo, — mówi on — które czytelnicy mają przed sobą, poświęcone jest wyłącznie dla stanu kapłańskiego, a za program wzięło sobie omawianie przedmiotów wiedzy, wchodzącej w zakres jego posłannictwa duchownego. Z tego przeto względu *Roczniki kapłańskie* zawierać będą nie tylko teoretyczną naukę, ale także podawać będą wskazówki praktycznego życia, szczególniejszej duszpasterstwa. Filozofia, apologetyka, historia Kościoła, katechetyka, medycyna pastoralna, kwestye teologiczne i ustawodawstwo państwowo-kościelne, a nadto dołączone w dodatku „Kazania“ — znajdą tu przynależne miejsce, jako rzeczy najwięcej czeigodny kler obchodzące“.

Ma to więc być pismo fachowe, w całym słowa znaczeniu poważne. Prócz jednej chyba sztuki kościelnej i teorii kaznodziejstwa, wszystkie prawie inne działy ma obejmować. Program zatem obszerny, bardzo obszerny — powiedzmy szczerze, lękamy się nawet, czy w nim nie tkwi słaba strona *Roczników*; bo przecież do wypełnienia tak wielkich ram sił potrzeba wiele, i to sił doborowych — jeźli się tych nie znajdzie, wówczas pismo *mole sua laborat*, poczyną się chwiać, własnym przygniecione ciężarem. Wogóle rozstrzelanie sił we wielu kierunkach niebezpiecznem jest, a najbardziej w pismach świeżo powstających, — jak to już odnośnie do *Roczników* zauważono — zwłaszcza że tak często na dziełach ludzkich sprawdza się stare zdanie: *Inopes nos copia fecit*.

Bądźcobądź, przebiegając szczegółowo i z żywym interesem treść pierwszych dwóch numerów *Roczników kapłańskich*, z radością zauważyliśmy, że Szanowna Redakcja trzyma się dokładnie wytkniętego programu, co więcej, że w granicach tego programu umieszcza kwestye żywotne, będące dzisiaj na czasie i żywo obchodzące nasze Duchowieństwo. Rozpoczęty szereg artykułów filozoficznych, popularyzujący filozofię św. Tomasza, a mający z czasem objąć całokształt wiedzy filozoficznej, zaleca się przystępną formą, jasnym i zrozumiałym wykładem, i jako taki może choć w części zaradzić brakom filozoficznym wśród Duchowieństwa, które odczuwamy tak dotkliwie. Prócz artykułów filozoficznych, spotykamy w *Rocznikach* kilka jeszcze innych stałych rubryk, jako to: Gawędy katechetyczne, Medycynę pastoralną, Kwestye z ustawodawstwa państwowo-kościelnego, Kazuistykę moralną, Dubia liturgiczne. Rubryki te — jak z pierwszych dwóch numerów wnioskować możemy — wypełniane będą regularnie, prowadzone systematycznie, tak że z czasem wytworzyć mogą całość i stać się dla Duchowieństwa nader miłym towarzyszem i pożądanym w codziennych potrzebach podręcznikiem. Wkoło tych głównych filarów czasopisma grupują się mniejsze artykuły i artykułiki, rzucające światło na sprawy współczesne, miejscowe i ogólnie katolickie — jak np. Kwestya rzymska, Czerwony upiór, Katolicki związek uniwersytecki, O. Augustyn de Montefeltro, Szkoła wyznaniowa i t. d.

Wszystko to dobre i potrzebne. A choćby jaki surowszy krytyk zarzucił, że artykuły *Roczników kapłańskich* nie tryskają oryginalnością pomysłów, że nie torują sobie drogi po nowych, nieutartych szlakach, że treść niektórych, dotychczasowych przynajmniej wyrobów, w główniejszych zarysach napotkać można i w innych dziełach fachowych, że pióro nie wszędzie jeszcze wyrobione i t. d., — to jednak *Roczniki* zasługiwałyby mimo to na uznanie i poparcie. Gdyż zebrać nawet skrętnie rzeczy rozrzucone, skupić je razem obok siebie, do miejscowych i czasowych potrzeb zastosować i podać do rąk, do codziennej podręcznej pomocy, za małe stosunkowo pieniądze, niemałą jest zasługą. Zresztą to dopiero początki pisma, trudne zawsze i ciężkie, wiele wymagające pracy, obrotności i poświęcenia. *Roczniki* z czasem mogą się w całej pełni rozwinać, zwłaszcza przy łaskawym współudziale Duchowieństwa, które Szanowny Redaktor do czytania i do pisania gorąco — może nawet za gorąco — wzywa.

I tu właśnie przechodzimy do odwrotnej strony medalu.

Roczniki kapłańskie, obok prawdziwych swych zalet, mają też słabe strony i to dość drażliwej natury.

Najslabszą — naszym zdaniem — jest nie dość delikatny, czasami nawet nie dość może przyzwoity ton. Grzeszą tu przedewszystkiem owe odezwy do czytelników, których w pierwszym numerze — trudno uwierzyć — aż trzy. Można na wstępie pojawiającego się pisma zachęcać publiczność do czytania, ale zaraz tę publiczność lajać, jeśli się poważy nie czytać — a zwłaszcza, jeśli to sami księża, — zarzucać im niski poziom umysłowy, prawić im arcyniestrawne rzeczy „o ich niestrawności duchownej i obładowaniu“, zarzucać im w twarz „odrętwiałość ducha i ospałość, niegodną pochwały“, miotać na nich takie zdania, jak to, że „poprostu powiedziawszy nie się im naukowego i poważnego czytać nie chce“, — to są rzeczy, które tłómaczą się może gorliwością młodego pisarza, ale nie są na miejscu, po największej części nie są usprawiedliwione, a w żadnym razie nie prowadzą do celu, do którego zmierza Redakcyja, t. j. „aby mieć jak najwięcej czytelników“.

Druga wada *Roczników*, z poprzednią pokrewna a jeszcze ważniejsza, jestto bardzo niewłaściwe obchodzenie się z pojedynczymi osobami, nawet takimi, które powszechny szacunek otacza. Tym brakiem taktu odznaczyły się przedewszystkiem „Listy z podróży“; z natury rzeczy miały one być spokojnym opisem Wenecyi, a w rzeczywistości stały się polem niekoniecznie miłych wycieczek. Np. chodzi o obsadzenie katedr teologicznych na uniwersytecie lwowskim. Zgoda — niechaj *Roczniki* przedkładają swoje pragnienia, mogą może nawet stawiać i popierać i chwalić swych kandydatów; ale przy tem chwaleniu wynosić jednostki, a innych z bezpardonowym ostracyzmem w czambuł potępiać, protegowanych swoich kadzielnicą po twarzy uderzać, znęcać się nad upadłymi, wpadać w sposób lekceważący, ba, nawet ubliżający na innych, którzy ubiegać się o katedrę niezaprzeczone mają prawo, — to wszystko jest w wysokim stopniu niewłaściwem i, najskromniej już powiedziawszy, nie da się żadną miarą pogodzić z charakterem poważnego pisma, co więcej pisma, przeznaczonego dla duchowieństwa.

Wiadomo, że klęską naszego społeczeństwa, na którą wszyscy narzekamy, jest właśnie sprowadzenie wszystkiego do kwestyj osobistych, poniewieranie osobistości. Zdaje nam się, że pismo kościelne powinno pod tym względem dawać przykład miary i powagi, i póki kapłan jakiś nie wychodzi z korbów kościelnej karności, wystrzegać

się najstaranniej wszelkich osobistych zaczeppek. Wzdychaliśmy od dawna do katolickich i kościelnych publikacyj; dzisiaj jest najgorętszem naszym pragnieniem, aby te publikacye dorównały poważnym wydawnictwom świeckim jużto wartością naukową, jużto spokojem i taktem. W przeciwnym razie dyskredytuje się święta nasza sprawa wobec społeczeństwa, mimo najlepszej naszej woli i najszlachetniejszych zamiarów.

Pozwalamy sobie na tych kilka uwag jedynie dlatego, że *Rocznikom kapłańskim* życzymy jak najpomyślniejszego rozwoju. Obawiamy się zaś, żeby to pismo, które sprawom Kościoła i religii tak może być pożytecznem, nie podkopało się w samym zawiązku i nie zraziło sobie tych, którzy do jego istnienia są niezbędnymi, którzy swą ofiarnością mogą je podtrzymywać, a swemi pracami zasilać.

Wyraziwszy tedy szczerze nasze zapatrywanie, przesyłamy Szanownej Redakcyi serdeczne: „Szczęść Boże“ w dalszych jej pracach.

W. S. P.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wrzekoma wycieczka Papieska poza Watykan. — Walka z Kościołem w Rzymie. — Kościół katolicki w W. Ks. Badeńskim. — Prawa i wolności nieodzyskane jeszcze przez katolików w Niemczech. — Reskrypt ministra Csaky'ego. — Kardynał Simor o tym reskrypcie.

WRZEKOMA
WYCIECZKA
PAPIESKA. Dnia 15 lipca b. r. telegraf rozniósł na wszystkie strony świata sensacyjną nowinę: „Papież opuścił Watykan, zwiedził pracownię rzeźbiarza Aureli'ego i udzielił błogosławieństwa włoskiemu posterunkowi, który oddając mu należyte honory, broń przed nim prezentował“. Nowina ta tem pożądańsza, że zjawiała się w czasie największych upałów, gdy parlamenty nie obradują, dyplomaci i ministrowie w kąpielach, a zatem dziennikarze w kłopotach, czem karmić swych czytelników — przybrała, za pośrednictwem liberalnej prasy, kolosalne jakieś rozmiary i dała powód do najfantastyczniejszych kombinacyj i przypuszczeń. „Papież — wołali jedni — uznał zabór Rzymu; zrobił znowu pierwszy krok do zgody... Legenda o watykańskim więzieniu — pisali inni — przeszła z dniem 15 lipca do rzędu dzieciennych bajek, którym nikt już wierzyć nie może i nie będzie... Inaczej odtąd — argumentowali inni jeszcze — zarysować się muszą stosunki Papieństwa do Włoch zjednoczonych“. Ostatecznie okazało się, i ci, co

najgłośniej krzyczeli, wyznać musieli, że narobili „wiele hałasu o nic“; decydującem w tym względzie było oświadczenie papieskiego *Osservatore Romano*: „Pojąć nie możemy, jak i dlaczego nadano taką doniosłość drobnemu faktowi, który ani w sobie, ani w swych następstwach najmniejszego nie ma, i z natury swej nie może żadnego mieć znaczenia. Oto jak poprostu rzecz się miała. Ojciec św. oglądał w pracowni rzeźbiarza, p. Aureli, posąg św. Tomasza z Akwinu, a następnie kazał jechać przez ogród. Najbliższa droga prowadziła koło bramy *della Zecca*, i tą też drogą ruszył papieski powóz. Zatem Ojciec św., wbrew wszelkim fantazyom reporterskim, bynajmniej nie wyjechał poza granice Watykanu; a najlepszym tego dowodem, że papiescy szwajcarzy zamykają każdego wieczora wspomnianą bramę, i że posterunek włoski, strzegący mennicy, bramy tej nigdy nie przekracza i ograniczać się musi na schodach, poza nią wzniesionych“.

Z tego wyjaśnienia widać, jak rzecz sama w sobie była drobną i bez znaczenia; zresztą choćby istotnie ekwipaż papieski wysunął się poza granice Watykanu, to kiedy stało się to mimowoli, bez z góry obmyślanego zamiaru, więcej trzeba niż sofisty, aby z prostego przypadku snuć dalsze jakieś kombinacye. „Z powszechnej emocyi — pisze *République Française* — wywołanej tak nieznaczącem wypadkiem, jedno tylko jasno ukazuje się, a mianowicie, że Papież w dzisiejszych stosunkach, tylko jako więzien może w Rzymie pozostawać“. „Mówicie — dodaje ze swej strony *Liberté* — że Papież nie jest więzien; wolno mu wychodzić poza mury Watykanu; owszem, niech mu się tylko wyjść spodoba, a lud i wojsko oddadzą mu winne honory. Zapewne, Papież nie jest więzien w zwykłym tego słowa znaczeniu, nie jest w kaźni zamkniętym, poruszać się może, nie prosząc o pozwolenie swych dozorców. Gdyby zechciał, mógłby oczywiście przekroczyć granice papieskiego swego pałacu. Nie osoba jego jest więzien, ale jego powaga, władza, niezależność i niezależność Kościoła, którego jest najwyższym przedstawicielem“.

WALKA
Z KOŚCIOŁEM
W RZYMIE.

Dziś zresztą, a co prawda, nie od dziś tylko, rząd włoski nie tai się wcale, że walcząc z Papiestwem, walczy z Kościołem i wiarą; wprost też i bezpośrednio przeciw wierze występuje. Ponieważ Kościół zakazał palenia ciał, Crispi, wbrew woli ludu, wbrew zdaniu lekarzów i uczonych, stara się palenie ciał bądźcobądź w życie wprowadzić: kongresowi, obradującemu w tej kwestyi w Berlinie przysłał telegram z powinszowaniem i zachętą; przed zamknięciem parlamentu włoskiego ustanowił komisję, mającą zastanowić się, w jaki sposób należałoby przygotować drogę do zniesienia dzisiejszych bądźcobądź chrześcijańskich cmentarzów, a o b o w i ą z k o w e g o palenia trupów. — Wiernie wstępujący w ślady mistrza, zarządzający Rzymem, komisarz królewski, Finacchiaro-Aprile, ma podobno niezadługo wydać ukaz wypędzający bez miłosierdzia zakonników i zakonnice z wszystkich zakładów miejskich: szpitalów, przytułków, ochronek i t. d. Natomiast stanąć ma niebawem w Rzymie — w czem naturalnie rząd włoski przeszkód stawiać nie będzie — jeden jeszcze zbór protestancki, poświęcony specjalnie pamięci Lutra, choć i w wybudowanym już na Kapitolu zborze, miejsca nie brak, a uczęszczających doń na nabożeństwo, na palcach można policzyć. Ale „w Rzymie — czytamy w manifestie, wydanym przez komitet zajmujący się budową — wskrzesić należy z zapomnienia wielką postać i naukę Lutra“; — trzeba, jak się tego niegdyś wprost domagał kanonodzieja ambasady pruskiej w Rzymie, fanatyczny Buzen, „sprotestantyzować miasto wieczne!“...

KOŚCIÓŁ
W W. KSIĘSTWIE
BADEŃSKIM.

Protestantyzm w Rzymie, nie bardzo to na razie niebezpieczny nieprzyjaciel; o wiele groźniejszą jest walka wypowiedziana katolicyzmowi w Niemczech, w której nietyłe zasady luterskie, kalwińskie, lub starokatolickie, co pod zasłoną protestantyzmu ukrywająca się obojętność religijna święci tryumfy. Sprawozdanie Fryburgskiego związku św. Bonifacego, przynosi w tym względzie i wesołe ale też i bardzo smutne daty; ostatnie odnoszą się zwłaszcza do W. Księstwa Badeńskiego. Główną przyczyną zmniejszenia się tutaj żywiołu

katolickiego, a powiększenia żywiołu protestanckiego, są coraz częstsze małżeństwa mieszane; tak w r. 1864 liczba takich małżeństw wynosiła 11,772, a w r. 1880 doszła do 20,412. Z liczby tej, 16,404 małżeństw miało dzieci, a mianowicie 8,683 małżeństw, w których ojcowie byli protestantami. Między tymi 8,683 katolickimi ojcami, wychowywało dzieci swe po katolicyku tylko 3,808, o wiele większą część, t. j. 4,340 w religii protestanckiej, a 435 wychowywali synów w religii katolickiej, córki w protestanckiej. Z 7,721 katolickich matek, udało się tylko 2,758 zapewnić swym dzieciom, a 430 matkom zapewnić wyłącznie swym córkom katolickie wychowanie. W ten sposób traci Kościół katolicki w W. Księstwie Badeńskim przez małżeństwa mieszane, rok rocznie parę tysięcy dzieci.

PRAWA
NIEODZYSKANE
W NIEMCZECH. W walce przeciw katolickiej wierze przyniósł protestantyzmowi, wzniecony przez Bismarka *Kulturkampf* nieocenione usługi, a i dziś jeszcze mnogie, niezniesione rozporządzenia i prawa, krępując wolność katolickiego Kościoła, energicznie bronić, swobodnie rozwijać mu się nie pozwalają. Świeżo wyszła broszura limburgskiego kanonika, Dra Koehlera p. t.: *Religionskrieg in Sicht?* podaje nader ciekawy, porównawczy przegląd prawd i przywilejów, które Kościół katolicki w Prusach posiadał w r. 1870, które utracił następnie przez słynne ustawodawstwo majowe, a dziś zaledwie w drobnej części, lub nawet zupełnie ich nie odzyskał. Oto z broszury tej wyjęty ogólny obraz praw i wolności:

W r. 1870.

1. Wolność zagwarantowana duchowieństwu bronięcia nauk i instytucji Kościoła przeciw nadużyciom władzy świeckiej.

2. Zabezpieczone Kościołowi przez konstytucję prawo wykonywania wspólnie z państwem dozoru nad szkołami.

W r. 1890.

Utracona (par. 130 kodeksu karnego).

Utracone (Ustawa z 11 marca 1872).

3. Zabezpieczone zakonowi Jezuitów przez konstytucję prawo wolnego przebywania i swobodnej działalności w cesarstwie niemieckiem.

4. Toż samo prawo zagwarantowane Redemptorystom.

5. Toż samo prawo zagwarantowane Lazarystom.

6. Toż samo prawo zagwarantowane kongregacyi św. Ducha i Niepokalanego Serca Maryi.

7. Toż samo prawo zagwarantowane kongregacyi Najśl. Serca Jezusowego.

8. Zupełna wolność i niezależność zabezpieczona Kościołowi przez konstytucję, odnośnie do wychowania kleryków i obsadzania posad duchownych.

9. Zupełna, konstytucją przeznaczoną kościelną zagwarantowana wolność we wszystkich kwestiach, odnoszących się do kościelnej karności.

10. Zupełne i absolutne uwolnienie kleryków, począwszy od subdyakonów, od obowiązku służby wojskowej.

11. Wolność zagwarantowana księżom przebywania na terytorium niemieckiem.

12. Zupełna i absolutna wol-

Utracone (Ustawa z 4 lipca 1872).

Utracone (Reskrypt z 20 maja 1873).

Utracone (Tenże reskrypt).

Utracone (Tenże reskrypt).

Utracone (Tenże reskrypt).

Utracona (Prawo z 11 maja 1873). Prawo z r. 1882 upoważnia ministra wyznań do udzielenia pewnych dyspens i łagodniejszego tłumaczenia przepisów, regulujących wychowanie kleryków. Ustawa z r. 1887 daje rządowi prawo założenia *вето*, gdy idzie o obsadzanie duchownych posad stałych (probostw).

Utracona (Prawo z 12 maja 1873). Prawo państwowe określa najwyższą karę, którą władza kościelna podwładnym swym wymierzyć może.

Utracone (Prawa z 2 maja 1874 i 6 maja 1880). Przywrócone w części prawem z 8 lutego 1890.

Utracona (Prawo z 4 maja 1874). Przywrócona 24 kwietnia 1890.

Utracona. Prawo z 20 maja 1874 pozwala rządowi domagać

ność, pozostawiona kapitułom, wybierania administratorów dycezyj.

13. Wolność zostawiona Kościołowi w kwestiach, odnoszących się do małżeństw i ustanawiania przeszkód małżeńskich, uznanych tem samem przez prawo państwowe.

14. Zagwarantowana zakonom i stowarzyszeniom kościelnym przez konstytucję wolność nauczania.

15. Zupełna przez konstytucję zakonom i kongregacyom kościelnym zabezpieczona wolność zakładania klasztorów w Prusach i wykonywania regułą zakonną zakreślonej działalności.

16. Zupełna wolność w zarządzaniu majątkami kościelnymi przez odpowiednie organa kościelne.

17. Zupełna wolność zostawiona Kościołowi orzekania, kto do niego należy, a kto nie należy, z obowiązkiem dla władzy świeckiej uznania tego orzeczenia, odnośnie do następstw cywilnych.

18. Nieograniczone prawo Ko-

ściu od wybranego administratora złożenia przysięgi, sprzeciwiającej się prawom kościelnym. W razie odmowy, rząd ma prawo wyboru nie uznać.

Utracona (Prawo z 6 lutego 1875).

Utracona (Prawo z 31 maja 1875). Wedle prawa z r. 1871 minister pozwolić może zakonnikom uczyć dziewczęta w szkołach średnich.

Utracona (Prawo z 31 maja 1875). Prawo z 1887 upoważnia do przebywania w Prusach zakony, oddające się pracy na parafiach, uczynkom miłosierdnym, wychowaniu dziewcząt i zakony kontemplacyjne.

Utracona. Prawo z 20 czerwca 1875 powierza administrację dóbr kościelnych komitetowi, przez gminę wybranemu, a władzy kościelnej pozostawia tylko prawo brania udziału wspólnie z władzą świecką w dozorze nad administracją.

Utracona (Prawo t. zw. „Starokatolików“ z 4 lipca 1875).

Utraczone (Reskrypt z 18 lutego 1876).

ściola udzielania w szkołach nauki religii.

19. Zupełna wolność zagwarantowana przez konstytucję ordynaryszom w administrowaniu dóbr, należących do biskupów, biskupstw i kapituł, tudzież fundacyj miłosiernych.

20. Zupełna wolność zostawiona Kościołowi w wyborze podręczników katechizmowych w szkołach wyższych.

Ustawa z 7 czerwca 1876 używa państwu prawa nadzoru i inspekcji w nader licznych wypadkach.

Utracona. Prawo wyboru podręczników przysługuje ministrowi wyznań.

Protestanci — kończy dr. Koehler swą nader pouczającą broszurę — wołać nie przestają: Kościół katolicki osiągnął wszystko, czego chciał i chcieć mógł; teraz bronić się nam tylko należy przeciw nieuzasadnionym jego uroszczeniom! Trzeba mytowi temu koniec położyć; powiedzieć sobie trzeba: do prawdziwego pokoju religijnego, do naprawienia uczynionych nam i ciągle czynionych krzywd, jeszcze u nas daleko! — dopóki zwłaszcza niezniesionem zostanie prawo rządowego *ceto*, dotąd o zupełnym, o stałym pokoju niema co mówić. Może świeże, bardzo smutne, bo bardzo świetne zwycięstwa socjalistów w tych nawet okręgach wyborczych, z których od wielu lat wychodzili z urny posłowie Centrum, otworzą rządowi do reszty oczy i przekonają go, że nie należy utrudniać katolikom walki ze wspólnymi, groźnymi nieprzyjaciółmi: socyalizmem, anarchią. Cesarz Wilhelm w czasie ostatniej bytności swej w Belgii wyraził się — rzec można — ostentacyjnie w rozmowie z biskupem z Bruges: „W kwestyi socyalnej podzielam zupełnie zapatrywania Leona XIII i idę z nim ręką w rękę“; — jeżeli to nie czyni frazes tylko, natenczas, rzecz oczywista, że dotychczasowe, tak liczne jeszcze zapory, niedozwalające Kościołowi w Niemczech rozwinąć w całej pełni błogosłownego swego wpływu, jak najprędzej usunięte być winne. Prawda ta, w oczy zresztą bijąca, przedrzeć się podobno zdołała do bardzo wpływowych kół w rządzie i na dworze i co-

raz liczniejszych, nawet między żarliwymi protestantami, zyskuje sobie zwolenników. Ciekawym objawem nowego tego prądu, powstałego głównie z obawy przed rosnącą falą socjalistyczną; a wogóle objawem nowych prądów, nurtujących w Niemczech po ustąpieniu żelaznego księcia, jest następny list pewnego konserwatywnego protestanta z Pomeranii, umieszczony świeżo w dziennikach niemieckich:

„Z antypolską polityką Bismarka trzeba będzie bądź bądź zerwać, jeżeli nie odrazu, to przynajmniej pomału i stopniowo. Również prawo, zakazujące Jezuitom wstępu do Niemiec, jeżeli tylko nie zajdą niespodziewane jakieś trudności, musi niezadługo przejść w dziedzinę historii; w każdym razie spotkałem się w bardzo wysokich sferach ze zdaniem, że zostawiając wolne ręce czerwonej demagogii, nie podobna nadal prześladować Jezuitów. Co się tyczy funduszu Gwelfów, zgodne ze sprawiedliwością rozwiązanie tej kwestyi lada dzień ma nastąpić. Z drugiej strony, kwestya septenatu nie będzie nadal nastroczać trudności, a tak nieporozumienie między Radą federalną a parlamentem zejdzie i to w najgorszym razie, do bardzo drobnych rozmiarów... Nikt nie uwierzy, aby *Centrum* stać się kiedy miało stronnictwem rządowym. Pomimo tego, przewidzieć nie trudno, że *Centrum* w najbliższej sesyi, nie często znajdzie się w szeregach opozycyi... Mojem przynajmniej zdaniem, polityka zagranicą ugotowana przez cesarza, znaleźć może ogólne poparcie w całym *Centrum*, a nie tylko w prawym jego skrzydle. Nawiasem mówiąc, wyrażenia „katolicyzm państwowy“, „katolicyzm konserwatywny“, „ultramontanizm ministeryalny“ — są dziś już słowami bez znaczenia. Próby rozdwojenia *Centrum*, tak częste za Bismarka, nie powiodą się zapewne, ultramontanie nie posiadają zupełnej ufności; ale katolicy liberalni jeszcze mniej ją posiadają. Sam słyszałem, jak mówiono: „Trudno, aby król zaufać mógł człowiekowi, który zdradził swą wiarę“ — a słowa te odnosiły się właśnie do anti-ultramontańskich katolików.

„Wszystko com dotąd powiedział, nie będzie — wiem o to — katolikom niemiłym. Ale mniejsza o to, co będzie komu miłym, lub niemiłym; celem mego pisma jest zwrócić uwagę, że walki wyznaniowe wzrosły do rozmiarów dotąd u nas nieznanych. Nawet do naszej Pomeranii zaraza ta się dostała. Z niemałym mem zdziwieniem słyszę pastorów, ostrzegających przed oszustwami i podstępami Rzymu, —

choć przecież między nami nie ma katolików. Stucznie to od początku do końca wywołana agitacya. W czasie kulturkampfu, niechęć dla katolicyzmu była do pewnego stopnia popularną; dziś wywołują ją pastorki, palający nienawiścią dla Rzymu. Na wszystkie strony słyhać o przywilejach, udzielonych katolikom; podczas gdy w rzeczywistości nikt nigdy tych przywilejów nie widział. Nasi predykanci nigdy jeszcze nie mówili tyle i tak głośno, jak dzisiaj, o wrzekomem niebezpieczeństwie ze strony Rzymu. O istotnem i rzeczywistem niebezpieczeństwie socyalistycznym nie dowiesz się od nich ani pół słówka. Piszę tych kilka wierszy, ponieważ pragnę szczerze, aby katolicy z ewangelikami żyli w pokoju. Katolików błagam: Nie odpowiadajcie na prawokacye naszych pastorków. Największem niebezpieczeństwem, zagrażającem naszej ojczyźnie, to — antagonizm wyznaniowy“.

RESKRYPT MI-
NISTRA
CSAKY'EGO.

W Niemczech walka kulturalna jeszcze zupełnie niezakończona; we Węgrzech nie od dzisiaj wisi w powietrzu, a nieprzyjaciele wiary, skupieni w jawnie tu tolerowanych i popieranych masonskich lożach, starań nie szczędzą, aby klęska ta nie ominęła królestwa św. Szczepana. W lutym b. r. wydał minister Csaky rozporządzenie, nakazujące księżom trzymać się ściśle ustawy z r. 1868, wedle której synowie chrzczeni i wychowywani być mają w religii ojca, córki w religii matki. W razie naglącej potrzeby — jak łaskawie dozwolił już poprzednio minister Trefort — wolno wprowadzić katolickiemu księdzu ochrzcić dziewczynkę, zrodzoną z matki kalwinki; ale nie wolno mu zapisać aktu chrztu w księgach swego Kościoła, lecz akt ten odesłać powinien do kalwińskiego pastora, a ochrzczone przez siebie dziecko uważać winien, rodzice i państwo uważać je winni za należące do kalwińskiej sekty. Kapłani katoliccy nie mogli naturalnie trzymać się przepisów tej nowej „ministeryalnej“ teologii i w praktyce nigdy się też jej nie trzymali. Rząd powoływał opornych przed sądowe kratki, ale regularnie przegrywał nie dość jasno przez Treforta określoną sprawę; reskrypt Csaky'ego zapobiedz ma temu na przyszłość i zmusić katolickie duchowieństwo do uległości. Rzecz była ważną, naruszała najoczywiście i najdotkli-

wiej katolickie uczucia i zasady; niedziw, że wywołała i wywołać musiała; i to nie tylko w samych Węgrzech, żywe zainteresowanie się i energiczne protesty. Episkopat węgierski odniósł się do Rzymu, a z tamtąd w ostatnich właśnie dniach nadejść miała odpowiedź i instrukcja, o której idących przewodnich każdy, choć powierzchownie z katechizmem zapoznany, z góry wątpić nie mógł. Dziennik *Egyetertes* podaje w tym względzie następny urywek z ciekawej, a — jak zaręcza — autentycznej rozmowy jednego z swych współpracowników z kardynałem Simorem.

— „Nie mylimy się prawdopodobnie — pytał redaktor — sądząc, że Papiież stanął po stronie duchowieństwa.

— „Naturalnie. Czyż sądziliście może, że głowa Kościoła katolickiego zajmie stanowisko sprzeczne z katolickim dogmatem?...

— „Czy kler węgierski uważa dzisiejszy stan rzeczy, który stawia go raz po raz w kolizyi z państwem, za jeszcze możliwy do zniesienia?

— „Kler nasz, uważa dzisiejszy stan rzeczy za niemożliwy, nie do wytrzymania i dlatego dąży i dążyć musi do przeprowadzenia koniecznych zmian. Jeżeli jednemu ministrowi wolno wydać rozporządzenie w rodzaju reskryptu z 26 lutego, dla czegoż i inni ministrowie nie mogliby sobie postępować w podobny sposób w sprawach sobie poruczonych? Ale cóż stanie się z prawami, konstytucją zagwarantowanymi, jeżeli sam rząd z żadną gwarancją prawną nie będzie się liczył? Wiedeńczycy mogą apelować przeciw rozporządzeniom ministeryalnym do trybunału administracyjnego; my trybunału takiego nie mamy, stoimy bezbronni. Gdybyśmy mieli tego rodzaju trybunał, duchowieństwo nasze zwróciłoby się do niego ze skargą. Rozporządzenie ministeryalne — oto źródło złego. Mniemam, że dziś i sam minister kroku swego żałuje; w każdym razie ma do tego aż za wiele powodów. W swoim czasie wypowiedziałem ministrowi jasno swe zdanie; nie moja wina, że na nie uwagi nie zwrócił...

— „A czy nie możnaby wiedzieć, jak Korona zapatruje się na następstwa lutowego reskryptu?

— „Nic w tym względzie powiedzieć nie mogę, bo nie rozmawiałem z Jego Królewską Mością o reskrypcie Csaky'ego. Ale każdy Węgier, rozumnie myślący i znający religijne usposobienie królewskiej

rodziny, zgodzi się chyba ze mną, że cała ta historia absolutnie musi się cesarzowi nie podobać...

— „A czy można jeszcze spytać Waszą Eminencyę, czy i o ile spodziewać się można pokojowego załatwienia tej kwestyi?

— „Tego zupełnie, a zupełnie nie wiem. Co więcej, nie wiem nawet, czy nasze kompetentne kościelne organa zamysłają uczynić w tej mierze wspólne jakieś kroki. Co się mnie samego tyczy, to wspominałem już, że najprzód w listopadzie a następnie w grudniu r. z. zwróciłem uprzejmie uwagę ministra, na oplakane skutki, jakie rozporządzenie jego mogłoby za sobą pociągnąć. Odtąd żadnych innych kroków nie czyniłem, ani w celu pokojowego, ani jakiegobądź innego rozwiązania tej kwestyi...

Słowa kardynała, jasno i bez ogródki rzeczy po imieniu nazywające, wywołały w Węgrzech niezmiernie wrażenie; z urzędowych, żydowskich, liberalnych dzienników połały się z budującą zgodą potoki obelg, do których zresztą każdy gorliwy, prawdziwie katolicki biskup w Węgrzech zbyt już przyzwyczajony. *Pester Lloyd* wezwał rząd wprost do zaprowadzenia obowiązkowych małżeństw cywilnych i do prowadzenia metryk na swoją rękę przez świeckich urzędników. Natomiast *Budapester Tagblatt* ostrzega w energicznych słowach przed puszczaniem łodzi węgierskiej na burzliwe, niebezpieczne wody walki kulturalnej. Katolicki *Magyar Allam* donosi ze swej strony z radością, że reskrypt Csaky'ego ocucił węgierskich katolików z długoletniego uspienia, i że w parlamencie peszteńskim utworzy się wreszcie prawdziwie katolickie stronnictwo: dotąd mają mieć katolicycy posłowie w 17 okręgach wyborczych zapewnione zwycięstwo. Jeźliby się ta wiadomość potwierdziła, natenczas reskrypt Csaky'ego, stałby się może początkiem katolickiego odrodzenia Węgier;... ale czy nie za radosna to wieść, aby można jej zaufać? Dotąd, niestety, nieraz już donosiły dzienniki: „Katolickie stronnictwo w Węgrzech się formuje“; czyż rzeczywiście, dzięki Csaky'emu, doczekamy się wreszcie chwili, w której piękne te marzenia, energiczne projekty przejdą w krainę rzeczywistości?

Ks. Jan Badeni.

OBJAWIENIA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY

w Castel Petroso.

Jednym z zadatków miłosierdzia Bożego nad błędzącym i grzącym światem jest niewątpliwie mnogość powtarzających się za dni naszych objawień Najświętszej Panny, które stwierdza powaga uznającego ich wierzytelność Kościoła. Po La Salette i Lourdes, po naszym Gietrzwałdzie, — oto znów Włochy w ciężkiej dzisiejszych stosunków potrzebie, otrzymują łaskę niebiańskich nawiedzeń i cudów. Castel Petroso jest wioską położoną na stoku Apeninów, w prowincyi południowej, zwanej Campobasso. Starożytna to osada, a tak skalista — jak jej sama nazwa wyraża — iż biedni górale z trudnością uprawiają szczupłe polany, na których zakładają swe ogródki i winnice. Klimat tam bywa surowy, śniegi nie rzadko padają. Cichy ten i nieznany zakątek od dwóch lat w całych Włoszech zasłynął z cudownych objawień Najświętszej Panny i wytrysłego źródła o leczniczej, cudownej własności, tak iż pielgrzymki odtąd nie ustają.

Pierwszy cud miał miejsce w dniu 22 marca 1888 r. Dwie wiejskie kobiety gromadziły swe owce po zachodzie słońca, gdy nagle ujrzały przed sobą jasne światło, bijące w szczelinach skały. Zaciekawione, coby owego blasku było przyczyną, wdrapały się na wyżyny, i w wykowanej przyrodą pieczarze ujrzały postać Matki Boskiej Bolesnej, *Mara addolorata*, z umarłym Synem u stóp swoich. Klęczała smutku pełna i boleści, nie wymawiając i słowa. Przestraszone wieśniaczki śpiesznie wróciły do domów swoich, a ich opowieść rozszerzyła się niebawem po wsiach okolicznych. Zrazu nikt im nie dowierzał i wszyscy z ich mniemanych złudzeń szydzili. Gdy atoli jeden i drugi pielgrzym na własne oczy sprawdził rzeczywistość widzenia, ruszyła się fala pątników.

Biskup długo unikał wmieszania się w tę sprawę, ale gdy po wiadomiony o niej Leon XIII polecił mu zbadać pieczarę i źródło, udał się do Castel Petroso, i na własne oczy oglądał zbolalą i siedmiu mieczami przeszżytą postać Matki Najświętszej. Pierwszy to zapewne przykład, ażeby i biskup i całe zastępy wiernych naraz cudowne oglądały zjawisko. Dzienniki opisują niewymowne wzruszenie tłumów wobec dostępnego dla wszystkich widzenia. Mężczyźni nawet mdleją. Głośny odzywa się płacz i łkanie.

Sprawdziwszy tedy wiarogodność cudu, przekonany o jego rze-

czywistości, biskup z Bojano postanowił na tem miejscu wybudować kościół na cześć Najświętszej Panny, i pierwszy, węgielny kamień w maju b. r. został położony. Gotycki rysunek świątyni oglądać można w Propagandzie. Biskup wzywa wiernych do składek na budowę rozpoczętego kościoła. „Czego od nas chce Marya, ukazując nam boleść swoją, dość jest zrozumiałem“ — czytamy w owym liście pasterskim. — „Opłakując złości nasze, tknięta miłością, która ją wiedzie do osłonięcia nas przed zasłużonemi karami, chce Ona nas ostrzedz i do litości nad sobą wzbudzić obrazem swej boleści, której nasze grzechy są przyczyną. Czasy obecne złe są i smutne bardzo. Długi, zaciągnięte wobec sprawiedliwości Bożej, mnożą się i gniew Boży na opornych się zwraca. Najświętsza Panna nas kocha jak synów, acz niedobrych, chce ona naszego zbawienia, a zbawienie to osiągniemy, jeśli się Jej płaszczem okryjemy, jeśli się w Jej sercu schronimy“. Następuje zachęta do uczestniczenia w budowie kościoła, wedle myśli Ojca świętego. Mnogość łask na tem miejscu otrzymywanych, mnóstwo cudów, które się w Castel Petroso dzieć nie przestają, znalazła odgłos w łamach pisemka dwutygodniowego, wychodzącego w Bolonii p. t.: *Il servo di Maria*. Pisząc pod adresem wydawcy, p. Karola Aequaderni, otrzymać można szczegółowe opisy cudownych w Castel Petroso wypadków, oraz obrazki i medaliki Bolesnej Matki w postaci i postawie, w jakiej Ją widują pielgrzymi. Osobne korzyści mają być ustanowione przy nowopowstającej świątyni Najświętszej Panny, zapewniając doczesne i zagrobowe modlitwy tym wszystkim, którzy się do jej wzniesienia przyczynią.

M.

Ostatnia wyprawa naukowa i ostatnie chwile życia

O. SZCZEPANA PERRY T. J.

Z końcem roku zeszłego królewskie Towarzystwo Astronomiczne w Londynie powierzyło swemu członkowi, O. Perry, wyprawę naukową do „Wysp Zbawienia“, leżących na wybrzeżach Gujany francuskiej, w celu zdjęcia fotograficznego widoku całkowitego zaćmienia słońca i dokonania innych spostrzeżeń astronomicznych, z temżo zaćmieniem mających związek. Koszta wyprawy ponosił rząd angielski.

ski. W ostatnich dniach listopada O. Perry, zabrawszy potrzebne przyrządy, wyjechał do Barbados, a z tamtąd imy parowiec ~~z~~ ^{szedł} go do Wysp Zbawienia. Spostrzeżenia powiodły się ~~przebiegi~~ ^{nie}; lecz zabójczy klimat tych wysp, gdzie panującą chorobą jest rodzaj febrы żółtej, tak oddziałał na zdrowie O. Perry, iż tenże po kilku dniach słabości zakończył żywot swój doczesny na okręcie, w powrocie do Barbados. Ponieważ prace naukowe zjednały O. Perry uznanie nie tylko w Anglii, lecz w całym świecie uczonym, sądzimy, że czytelnicy nasi chętnie zapoznają się z ostatnią kartą żywota zasłużonego astronoma, a zarazem bogobojnego zakonnika i kapłana.

Trudnem jest, a nawet niemożliwem zawrzeć w ramach krótkiego artykułu całkowity i dokładny obraz bardzo licznych prac, dokonanych w ciągu życia tak pracowitego astronoma, jakim był zmarły niedawno O. Perry. Zamierzamy tu jedynie naszkicować jego działalność w obserwatorium w Stonyhurst, którem kierował przez lat 25, i które, z początku skromne i nieznaczące, wzniosło się następnie na stanowisko jednego z główniejszych w całej Anglii.

O. Perry zyskał sobie z początku wielką wziętość spostrzeżeniami nad magnetyzmem ziemi; w latach zaś ostatnich jego prace astronomiczne wielki zjednały mu rozgłos. W r. 1838 założono w Stonyhurst stacyę metereologiczną pod kierunkiem O. Howell'a, dalej prowadził ją O. Weld, którego miejsce zajął O. Perry w r. 1860, jeszcze przed swoim wyświęceniem. W tymże roku ukazało się pierwsze roczne sprawozdanie ze spostrzeżeń meteorologicznych. Studya meteorologiczne podniosły się znacznie w r. 1866, gdy obserwatorium w Stonyhurst zaliczono do siedmiu główniejszych stacyj meteorologicznych, należących do *Board of Trade*, i gdy rząd dostarczył mu całą kolekcję samopiszących przyrządów, która się składała z anemometru, deszczomierza (ombrometru), termografu i barografu. Od tego czasu zaczęto ze Stonyhurst przysyłać regularne sprawozdania do *Meteorological Office*, do *Registrar General* w Londynie, do francuskiego meteorologicznego Towarzystwa, i do innych zakładów naukowych. Wyniki z tych sprawozdań zużytkowano w r. 1872 i 1873 w dziele pp. Scott i Galloway, i wykazały związek, istniejący między wybuchami w kopalniach węgla w Anglii północnej, a meteorologicznemi spostrzeżeniami w Stonyhurst. Oprócz zwykłych obserwacyj meteorologicznych, sprawozdania, kreślone przez O. Perry, zawierają spostrzeżenia dotyczące rozkwitu drzew, krzewów, kwiatów, pojawiania się zorzy i innych fizycznych zjawisk.

W r. 1879 opracował O. Perry dla *Meteorological Office* tak zwaną „Błękitną księgę“, (*Blue-Book*) o klimacie w Kerguelen, zawierającą jego własne spostrzeżenia, jak również notatki oficerów królewskiego statku *Challenger* i sprawozdania z wyprawy J. Ross'a na morza południowe, dokonanej w r. 1840 na okrętach *Erebus* i *Terror*.

Skoro O. Perry ukończył swe studia teologiczne, a tem samem mógł już bez przerwy oddawać się swym ulubionym umiejętnościom. Towarzystwo królewskie (*Royal Society*) dało spostrzegalni w Stonyhurst samopiszące przyrządy do badań magnetycznych. Wiadomości o wynikach, otrzymywanych przez O. Perry za pomocą tych przyrządów, ukazywały się od czasu do czasu w *Philosophical Transactions and Proceedings* tegoż Towarzystwa, jak również w rocznych sprawozdaniach obserwatorium. Wszystkie zjawiska magnetyczne zostały też wyczerpująco opracowane w wydawnictwach tegoż Towarzystwa. Oprócz zajęć w tym kierunku w Stonyhurst, O. Perry z pomocą O. Sidgreaves'a robił także spostrzeżenia magnetyczne w innych miejscowościach. I tak w r. 1863 w zachodniej Francji, w 1869 we wschodniej części tego kraju, a w 1871 r. w Belgii. Zjawiska magnetyczne były również badane w rozmaitych miejscach podczas wycieczki do Kerguelen w r. 1874 i do Nos Vey w Madagaskarze w r. 1882. Dzięki swym pracom na polu badań magnetycznych O. Perry w r. 1874 został mianowany członkiem Towarzystwa królewskiego (*Royal Society*); członkiem zaś król. Towarzystwa astronomicznego (*Royal Astronomical Society*) został on już obrany d. 9 Kwietnia 1869.

Jeszcze przed rokiem 1867 t. j. przed założeniem obserwatorium w Stonyhurst dokonał on wielu spostrzeżeń astronomicznych ze ścisłym oznaczeniem miejsca i czasu. Odtąd też rozpoczęła się systematyczna działalność tego niezmordowanego pracownika. Długi jest szereg jego spostrzeżeń, odnoszących się do satelitów Jowisza, do okultacyj gwiazd przez księżyc, jak również jego notatek, ścigających się do komet, które, poczynawszy od komety Winnecke'go, obejmują wszystkie komety, dostrzeżone w przeciągu lat ostatnich. Największą jednak przysługę oddał nauce O. Perry swemi spostrzeżeniami zjawisk słonecznych. Główną jego myślą było wyniesienie Stonyhurstu na stanowisko obserwatorium słoneczno-fizycznego; w tym celu zakupił dwa spektroskopy, które mu oddały wielkie usługi podczas zaćmienia słońca w r. 1870 w Hiszpanii. Z czasem zbogacił on inwentarz swego obserwatorium dwoma teleskopami, wy-

bornym przyrządem Hilger'a i ogromnym automatycznym spektroskopem Browning'a, wreszcie w r. 1888 przepysznym fotograficznym spektrometrem Higer'a, zastosowanym do fotografowania plam słonecznych.

Już w r. 1880 rozpoczął on szereg badań, dotyczących słońca, których wyniki, zawierające wiele ciekawych rysów o plamach na słońcu, były wygłaszane na posiedzeniach królewskiego Towarzystwa i na mytingach król. astronomicznego Stowarzyszenia. Przedtem jeszcze w r. 1879, O. Perry określił grubość chromosfery, czyli świetlanej warstwy wodoru, otaczającej słońce. Dokonał też ciekawych spostrzeżeń co do wypukłości tej warstwy i kierunku słonecznych promieni. Nadzwyczaj bogaty materiał naukowy, przez niego zebrany, doprowadzi niewątpliwie do ważnych wniosków, skoro tylko naleyście opracowanym zostanie.

Rząd i stowarzyszenia naukowe astronomiczne powierzały kilka razy O. Perry misyje naukowe w różnych częściach świata. W r. 1870 uważał w Kadyksie zaćmienie słońca; w r. 1886 tego samego rodzaju spostrzeżenia robił w Carriacon; w Indyach wschodnich; w 1887 r. w Rosyi¹ a wreszcie w r. 1889 na wyspach Zbawienia w pobliżu Kajenny. Nadto w r. 1874 obserwował wraz z O. Sidgreaves'em przejście Wenus przez tarczę słoneczną na wyspie Kerguelen; w roku zaś 1882 obaj ci badacze robili takie same spostrzeżenia na Madagaskarze.

Jako prelegent, O. Perry pierwszorządne zajmuje miejsce, i najpochlebniej był znanym w hrabstwie Lankaster i Jork. Dodajmy do tego, że przez lat 20 wykładał matematykę w konwiktie Stonyhurst, poprawiał zadania uczniów, nietylko z wyższej matematyki, ale nawet w najniższych klasach.

Wymagał on zawsze od swych pomocników niezwyklej ścisłości w spostrzeżeniach; jego zaś własne badania tem większą mają wartość, że w dokonywaniu ich nie rządził się nigdy teorią z góry pochwytą, ale dopiero na podstawie dostatecznych faktów dochodził do wniosku. Wreszcie poświęcał on chętnie czas swój i pracę na usługi innych. Prowadził ogromną korespondencyę w kraju i zagranicą, udzielał wszystkim, którzy się do niego udawali, objaśnień i wska-

¹ W powrocie z Niżnego Nowogrodu przejeżdżał przez Warszawę, gdzie go oprowadzał ks. W. K. Wszystko, co się nas tyczy, niezmiernie go zajmowało; z podziwem i uwielbieniem przyglądał się pobożnemu ludowi, który, nie znajdując miejsca w samej świątyni, tłumnie zalegał ulicę, by mieć udział w ofierze Mszy św.

zówek żądanych. Na prośbę, np. kierującego stacją meteorologiczną w Tarnopolu zajął się zamówieniem u jednego z mechaników londyńskich anemometru do tejże stacji, i dopilnował starannego wykonania. W ogóle jego obejście i pożycie nie tylko wśród swych braci zakonnych, wśród wychowalców w Stonyhurst, lecz z wszystkimi, z którymi miał stosunki, nacechowane było miłością rzeczywiście chrześcijańską, i zjednało mu, oprócz wysokiego poważania, przychyłność i przyjaźń wśród innowierców.

Na pierwszym zaraz posiedzeniu królewsk. Towarzystwa astronomicznego dnia 10 Stycznia r. b. prezydujący astronom królewski, p. Christie zawiadomił członków o smutnem zdarzeniu, i postawił wniosek, ażeby przesłać do Rektora i jego współbraci zakonnych w Stonyhurst list następującej treści: „Rada Towarzystwa, dowiedziawszy się z największym smutkiem o śmierci Wielebnego Perry T. J., wysłanego przez Towarzystwo w celu badania całkowitego zaciemnienia na wyspach Zbawienia, wyraża swą boleść z powodu wielkiej straty, jaką astronomia ponosi przez śmierć tak gorliwego i znakomitego pracownika, i przesyła jego towarzyszmom w Stonyhurst wyrazy szczerzej życzliwości i ubolewania nad tym smutnym wypadkiem“. Wniosek ten, poparty wymownemi słowy admirała Sir Erazma Ommanney, długoletniego przyjaciela O. Perry, — jednomyślnie przyjęto i list wysłano. Następnie jeden z członków, p. Turner, astronom z Greenwich, w dłuższem przemówieniu podniósł zasługi zmarłego i przytoczył nieco szczegółów o jego śmierci.

O. Perry był uczonym astronomem, a przytem był zakonnikiem i kapłanem. Jego prace naukowe dowodzą, że stał na wysokości zadania, jakie mu powierzono; życie zaś jego i ostatnie chwile przekonują, że umiał pogodzić swe naukowe stanowisko ze swem wzniosłym powołaniem. Żył i umarł jak przystoi na zakonnika i kapłana. Szczegóły o ostatniej wyprawie naukowej i o ostatnich chwilach O. Perry podajemy tu według opowiadania brata Rooney T. J., który był jego pomocnikiem w obserwatorium w Stonyhurst, z nim razem odbył podróż na wybrzeża Ameryki i zamknął powieki.

Dnia 2 Grudnia na statku wojennym „Comus“ odpłynął z Barbados O. Perry, dążąc ku wyspom Zbawienia w pobliżu Kajenny, dokąd przybyli dnia 7 Grudnia 1889 r.

Grupa wysp Zbawienia składa się z trzech wysp: wyspa Królewska, wyspa św. Józefa i wyspa Djabelska: na tych trzech wyspach pomieszczony jest zakład karny francuski, przy którym znaj-

duje się szpital, obsługiwany przez Siostry Miłosierdzia. Rząd francuski jest bezwyznaniowym w samym kraju, lecz w koloniach chętnie używa misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, dla tej prostej przyczyny, iżby nie dostał świeckich posługaczek za żadne pieniądze. Klimat tu jest niezdrowy; epidemia dysenterji jest tu chorobą stałą, któraby była już dawno wypróżniła zakład karny, gdyby świeże ciągle transporty więźniów go nie napełniały. W czasie pobytu tamże wyprawy angielskiej codziennie umierało pięć albo sześć osób. Umarłych więźniów nie grzebią i nie palą, jak się to zaczyna praktykować w samym Paryżu, lecz po prostu rzucają do morza. Ten sposób chowania umarłych, oprócz pewnych oszczędności oddaje i tę usługę, że rekiны, znęcane wyrzucaniem trupów, które pożerają, dzień i noc czatują na ten przysmak, a tym sposobem uniemożliwiają wszelkie zachcianki więźniów, którzyby wpływ chcieli się ratować ucieczką.

Nazajutrz, w niedzielę dnia 8 Grudnia, a następnie dnia 15 Grudnia miał O. Perry w kościele kazanie w języku francuskim. Mieszkanie obrał sobie w szpitalu, i zajęte przezeń pokoje bardzo mu się podobały. Ponieważ przez cały czas podróży morze było wzburzone i okrętem silnie miały fale, ojciec Perry ucierpiał więc wiele od morskiej choroby i po przybyciu do celu podróży czuł się bardzo osłabionym. Dopiero dnia 20 Grudnia kapitan Atkinson i jego oficerowie dowiedzieli się, iż O. Perry jest słabym; ukrywał to bowiem przed swymi towarzyszami bo nie chciał nabawić ich trwogi. Ta właśnie troska o spokój innych skłoniła go, że odrzucił częste i usilne prośby kapitana Atkinaona, aby mieszkał na statku „Cosmos“ i wylądowywał każdego rana dla obowiązkowych swych zajęć. Gdyby był poszedł za ich radą, może byłby nie uległ zaraźliwej chorobie, która go o śmierć przypawiła.

Obserwatorium, które wówczas urządził, było odległe o pół mili od szpitala; droga doń wiodąca, była bardzo nierówna i przykłą. Przestrzeń tę należało przebywać cztery razy dziennie, bez względu na pogodę lub słotę. Porucznik Thierens, zastępca kapitana na parowcu, którego wyłącznym obowiązkiem było towarzyszyć Ojcu Perry wraz ze swymi ludźmi, sypiał zawsze na pokładzie okrętu, rano zaś przybijał do lądu — i temu zapewne zawdzięczyć należy, że wyszedł cało i zdrowo z tej wyprawy.

W piątek t. j. 2 dni przed zaćmieniem słońca O. Perry uskarżał się, iż mu bardzo niedobrze; jednak pracował do 3 rano, a gdy ludzie odeszli na okręt, wówczas położył się na krótko w hamaku

pod namiotem. Przed 6-tą był już na nogach, aby poczynić przygotowania do spostrzeżeń. O godzinie 6 i 45 minut przybyli ludzie z okrętu, o wpół do 8-ej ukończono starannie i pomyślnie wszystkie przygotowania, i oczekiwano uroczystej chwili zaćmienia.

Godną podziwu była nadzwyczajna skrupulatność i niezmordowana gorliwość w pracy O. Perry. Wydawał rozporządzenia w taki sposób, że nikogo nie przeciążał robotą; pomagał z całym zaparciem się samego siebie wszystkim, a tym sposobem zobowiązywał serca swych podkomendnych i ułatwiał wszelkie trudy, niezbędne dla powodzenia zamierzonego dzieła, tak iż zapominano nawet o szkaradnym klimacie, który dawał się im we znaki.

W sobotę przed południem porucznik Thierens przyszedł do szpitala i znalazł O. Perry bardzo osłabionym; ponieważ rzecz nagliła, poszedł on jednak do obserwatorium i przebywał tam do 3 popołudniu, ustawiając fotograficzne przyrządy. Następnie udał się na pokład „Komusa“, lecz tak był osłabiony, że przez cały czas przeleżał na sofie i prosił doktora o chlorodyn. Pomimo próśb i rad kapitana Atkinsona, O. Perry udał się na noc do swego mieszkania podczas ulewnego deszczu. Nazajutrz w niedzielę d. 22 grudnia nastąpiło oczekiwane zaćmienie. Porucznik Thierens wysiadł zrana na ląd i przybył do obserwatorium, gdzie się dowiedział od brata Rooney, że O. Perry miał się bardzo źle ubiegłej nocy. Przybył on jednak w swoim czasie na stanowisko, ale w stanie zupełnego osłabienia. Gdy się ważna zbliżyła chwila, zdawał się być silniejszym; w przeciągu zaś kilku minut zaćmienia znikły wszelkie ślady choroby i wyczerpania. Użyto wówczas pod jego kierunkiem dwóch fotograficznych przyrządów, któremi już poprzednio uieraz się posługiwano; sam zaś O. Perry zajął się zastosowaniem nowego fotograficznego przyrządu, na ten cel przygotowanego. W ciągu całego zaćmienia był tak rzeźki i wesoły, że jego przyjaciele zaczęli się ludzić, iż choroba żadnego nie przedstawia niebezpieczeństwa; wkrótce po skończeniu się zaćmienia udał się do szpitala, lecz już z wielką trudnością.

Dr. M. Sweeney, lekarz okrętowy na „Komusie“, chcąc nazajutrz o godz. 5 popołudniu odwiedzić O. Perry, spotkał go idącego wolnym krokiem ku okrętowi i bardzo osłabionego. Przyprowadził go troskliwie na statek i zawiadomił natychmiast kapitana Atkinsona o niebezpiecznym stanie chorego. Tymczasem O. Perry starał się mówić najmniej o swojej chorobie, aby nikomu nie sprawiać niepo-

koju. Nazajutrz rano choroba jeszcze bardziej się powiększyła, przybierając cechy dysenteryi. We wtorek stan jego tak się pogorszył, że brat Rooney po naradzie z doktorem zawezwał francuskiego kapłana dla udzielenia choremu ostatnich św. Sakramentów. Kapłan przybył niebawem wraz z komendantem Francuzem i dwiema Siostrami Miłosierdzia. O. Perry przyjął ostatnie Sakramenta św. z wielkiem nabożeństwem, uczynił głośne wyznanie wiary po francusku, dziękował Panu Bogu, iż dozwala mu umierać w Towarzystwie Jezusowem, a wreszcie prosił wszystkich o przebaczenie uraz, jakie względem niego mieć mogli.

We środę było Boże Narodzenie i Ojcu Perry zrobiło się lepiej, tak iż sądzono, że będzie mógł znieść podróż morską. O. Perry pragnął jak najprędzej ujrzeć ks. biskupa, swego niegdyś ucznia, oraz swych współbraci w Demerarze i wśród nich umrzeć. Rano we czwartek wyruszono zatem ku Demararze. O. Perry przebył dzień spokojnie, jednak doktor nie opuszczał go ani na chwilę. W piątek rano był spokojniejszy, lecz całkowicie wycieńczony i puls coraz słabiej począł uderzać. Chory mógł jednak rozmawiać ze swym asystentem, bratem Rooney, któremu dawał rozmaite polecenia do biskupa w Demararze i do Ojców w Anglii. O wpół do 2-giej znikła już wszelka nadzieja i chwila zgonu szybko się zbliżała. Brat Rooney wziął książkę do nabożeństwa, odczytywał modlitwy za konających; O. Perry był ciągle przytomny, modlił się razem z bratem, następnie odnowił z wielką pobożnością swe zakonne śluby, trzymał w ręku krucyfiks i często go całował, ofiarując Ukrzyżowanemu swe życie i cierpienia, poddając się woli Boga i modląc się gorąco. O godz. 3 popołudniu zaczął majaczyć; w godzinę potem odzyskał przytomność, potem jednak osłabł nagle i wkrótce skonał (d. 27 grudnia 1889 r.). Zwłoki jego, ubrane w szaty kapłańskie, złożono na pokładzie, gdzie pozostały dopóty, dopóki trumna nie była gotowa. Następnie włożono je do trumny, którą niezwłocznie zamknięto. Okręt na znacznej odległości od Demarary spotkał statek, którego cała załoga ze swym kapitanem wystąpiła na pokład, oczekując na O. Perry. Na statku tym spodziewano się go zastać żywym i zdrowym, i zawieść do Georgetown, gdzie obiecał mieć odczyt o zaćmieniach w ogólności. Ale niestety, zabrano już tylko jego zwłoki, którym towarzyszył brat Rooney.

Zaslugi O. Perry w dziedzinie umiejętności cenią już dziś wysoko uczeni; lecz właściwie dopiero potomni będą mogli ocenić je

należycie, skoro zaczął korzystać z jego spostrzeżeń, zestawiać je i wyprowadzać ztąd stosowne wnioski. Innego rodzaju zasługi, mianowicie wpływ moralny, jaki wywarł na warstwy uczone w Anglii, daje się czuć już i dzisiaj. Od czasu Henryka i Elżbiety wszystkie sfery angielskie przeniknione były nienawiścią do Kościoła katolickiego; pomimo wysokiej swej kultury cywilizacyjnej na każdym polu — skoro chodziło o katolicyzm — byli rzeczywiście barbarzyńcami. Do niedawna jeszcze włóczono po ulicach Londynu bałwana, przybranego w szaty pontyfikalne i palono go publicznie z dzikim okrzykiem: *no popery!* Szereg takich mężów, jak O'Connell, kard. Wiseman, jak żyjący dotąd kardynałowie Newman i Manning, stanowczo oddziałali na przełamanie tego złowrogiego usposobienia swych ziemków dla katolicyzmu; dziś już nie może być mowy w Anglii o takich *auto-da-fé*. O. Perry życiem swem i naukową działalnością należał niezaprzeczenie do pocztu tych mężów. Skoro rozeszła się wieść o jego śmierci, wszystkie dzienniki i różne czasopisma wszystkich wyznań i przekonań poświęciły długie nieraz artykuły działalności zmarłego. Wpływ moralny O. Perry ważnym jest dla Anglii, a nas, jako katolików, obchodzi bardzo. Anglia, jakkolwiek odpadła od Kościoła, jest jednakże głęboko chrześcijańską, hojnie łoży na misye, a ponieważ ma z czego, wydaje corocznie miliony funtów szterlingów na ten cel jedynie. Potęga Anglii jest ogromna we wszystkich częściach świata; poza Europą język angielski jest jedynym, jakim się można porozumieć w stosunkach towarzyskich i handlowych. Dawno to już powiedziano: „Anglia nawrócona to świat nawrócony“.

Z DZIENNIKA SYBERYJSKIEGO PROBOSZCZA¹.

... „Grudnia 3 v. s. 1889 r. wyjechałem z Tomska dla zaspokojenia potrzeb religijnych moich parafian w Maryjskim okręgu ku

¹ Z dalekiej Syberyi dochodzi nas — zbyt rzadki, niestety — odgłos nudów i prac, podjętych przez gorliwego kapłana dla moralnego dobra biednych skazańców i osiedleńców. Sam styl tego człowieka, zmuszonego niemal codzień walczyć z olbrzymimi przeszkodami tak fizycznej jak moralnej natury, ma w sobie coś dzielnego, rzeczyby można, szorstkiego: ale zarazem przebija się w nim wielka prostota w opisywaniu czynów, graniczących z heroizmem. Autor dziwnym wyjątkiem z wygnańca przemienił się w etatowego proboszcza.

Wschodniej Syberyi. Chciałem wyjechać przed południem, żeby stanąć wcześniej w pierwszej mojej stacyi, o 80 wiorst odległej wiosce, Małej Żyrowej; lecz nie udało się, bo mi nie dano koni w swoim czasie — wyjechałem dopiero przed wieczorem. Mróz był silny, do 30 stopni, droga okropna, takie wyboje, że konie się w nich chowały, ledwie z jednego wydobyliśmy się, jak znowu w drugi wpadaliśmy. Oprócz zmęczenia, lękałem się, żeby nie ustały konie, bo wówczas — nocleg w polu — perspektywa nie do pozazdroszczenia. Nareszcie dobraliśmy się do pierwszej stacyi pocztowej, 33 wiorst od Tomska: Siemiłuzki. Choć byłem zmęczony rzucaniem powózki na wszystkie strony, jednak kazałem podawać konie i jechałem dalej godzin 5. Do następnej stacyi Chaldziejowej, odległej wiorst 14, jechałem dwie godziny. Tu zatrzymałem się u mego parafianina Zygmunta Skawińskiego, żeby się napić herbaty. Skawińscy poczciwi ludzie, oboje katolicy, trudnią się małym handelkiem, i mają jedną nieletnią córeczkę. Chcąc im ulżyć, pożyczyłem 50 rubli, i zaręczyłem u pewnego kupca za towary na 200 rubli. Daj tylko Boże, aby mi nie zawiedli, bo byłoby mi ciężko.

Napiwszy się herbaty u Skawińskich, wsiadłem do mojej powózki i pojechałem do Małej Żyrowej, jeszcze o 30 wiorst odległej, gdzie zatrzymać mi się należało.

Przyjechałem tam o godzinie 5 z rana, dobrze zziębnięty i wygłodniały. Położyłem się spać, żeby za dwie godziny być gotowym do spełniania posług religijnych. O 7 wstałem, ustawiłem oltarz i zrobiłem przygotowania do Mszy św. Po odprawieniu wraz z ludem pacierzy, modlitw porannych i katechizmu — jak to przepisują synody prowincjonalne — odprawiłem Mszę św. Kiedy pobożni poszli do swych domów i zajęć, posiliwszy się, dopiero zacząłem odnawiać moje pacierze kapłańskie. Czasami tak bywa, że dopiero po wieczornych modlitwach mogę wziąć się do brewiarza, i dwa oficja t. j. bieżącego i przyszłego dnia odrazu mówię.

W Małej Żyrowej mieszka rodzina Osmólskich. Zesłani 1865 r. z Grodzieńskiej gubernii. Ojciec, lat kilka jak umarł, matka wdowa rządzi całym gospodarstwem. Dobrze się im powodzi: w Małej Żyrowej porządny mają dom, gdzie dla księdza pokój przeznaczony, w którym Msza św. się odprawia. Prowadzą gospodarstwo rolne, mają i zboża dostatek i pasiekę z pszczołami. Bóg im widocznie błogosławi, bo pobożna i cnotliwa matka na to zasługuje. Starsza córka Emilja, zamężna od kilku lat, z Syberyi odprawiała pobożną pielgrzymkę do

Jerozolimy, Częstochowy i Ostrej Bramy; stara matka zeszłego (1889) r. odbyła pielgrzymkę do Ostrej Bramy i Jasnej Góry. Kapłani prawdziwie znajdują tam wytchnienie po pracy i trudach. Będąc w tym domu czujesz, że jesteś w domu chrześcijańskim; wszystko tam tchnie pobożnością, miłością Kościoła i religii. Parę lat temu, w lecie, kiedy zbiorze już dojrzewało, z południa powstały groźne chmury i zapowiadały straszną katastrofę, bo w powietrzu huczało i szumiało. Wszyscy z trwogą oczekiwali straszej klęski. Już zaczął grad padać, kiedy syn, wchodząc do izby, mówi ze łzami do matki: „zostaniemy bez chleba — straszny grad na polach pada“. Pobożna matka spojrzawszy w okno każe zamykać okiennice, a zwracając się do swoich dzieci powiada: „Cóż robić, Bóg dał — Bóg wziął. Wola Jego święta“. Zbiera swoją czeladź, zapala gromnice przed obrazami, i klęcząc śpiewają „Kto się w opiekę“, pieśń do Matki Boskiej, i inne. Tym czasem grad młóci po dachu i po okiennicach jakby kamieniami. Kiedy grad ustał, po modlitwie wszyscy wstają i patrzą przez drzwi — ulica usłana lodem. Syn zaprzęga konia, aby obejrzeć zniszczone swoje pola, i donieść o klęsce matce. Jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał — a tu ani jeden kłosek nie zbity! gdy tymczasem zboże sąsiada z ziemią zrównane.

Zabawiwszy w Małej Żyrowej kilka dni, wypowiadałem trzydzieści osób, ochrzciłem dwoje dzieci, i odjechałem w stronę północną ku rzece Czulym, do wioski Kuskowej, o 50 wiorst od Małej Żyrowej.

Przyjechawszy tam o 8 wieczorem, wziąłem się wraz do bawiarza, zapowiadawszy na jutro nabożeństwo. Gospodarz, u którego miałem kwaterę, Żmudzin, Ludwik Ażusinis, jest w Syberyi od roku 1863. Trudni się rolą, pszczolami i połowem ryb, familijny, wszyscy katolicy. Nie wielki domek o dwu izbach; w jednej ja się pomieściłem. Prawda, że izba była schludna, ale ponieważ nie było podwójnych okien, więc trzeba było odsuwać się od nich i chować, bo zimno ciągnęło, jak gdyby zamiast szyb był w oknach cienutki papier. Do ogrzewania urządzono blaszany piecyk, który w jednej chwili się rozpalał i podnosił temperaturę do 40 stopni Reom. i więcej. W głowę paliło jak ogniem, a nogi po pas ziębły — było to prawdziwą męczarnią, całkiem nie wiadomo, co ze sobą zrobić. W nocy, kiedy wszyscy usnęli a w piecyku ogień zgasł, zimno przejmowało do szpiku. W skutek tego przeziębilem się, i drugi miesiąc już upływa, a ja nie mogę wyzdrowieć“...

„Wieś Kuskowa (w której mi się tak dostało) leży nad rzeką Czulyńm, która wpada do Obi. Dość to znaczna rzeka — chodzą po niej statki parowe z Tiumentiu do Aczyńska, miasta Wschodniej Syberyi. Z Tiumentiu idą towary rosyjskie kolonialne i wyroby przemysłu — z Aczyńska herbata i skóry surowe bydlęce i końskie.

„Za wioską Kuskową, po drugiej stronie Czulymu, zaczynają się koczowiska Ostyaków i Tunguzów. Ostyacy i Tunguzi są rasy mongolskiej, ale nie łączą się między sobą, i różnią się nie tylko zwyczajami i ubiorem lecz i językiem. Między Ostyakami jest wielu prawosławnych, choć prawda, że tylko z nazwy — a między Tunguzami ani jednego nie spotkałem. Tunguzi pod względem rozwoju umysłowego daleko wyżej stoją od Ostyaków. Bardzo wielu z nich, obok swoich narodowych kostjumów, mają paletoty kortowe, zegarki, buty i kalosze. Kiedy mężczyźni przychodzą do pobliskich wiosek, zawsze ubierają się po europejsku. Oba te narody trudnią się myśliwstwem i rybołówstwem. Tunguzi twarze swe tatuują, — czego nie robią Ostyacy. Pierwsi mają stada swoich jeleni, na których jeżdżą i cały swój majątek przewożą — Ostyacy, do tej samej posługi używają psów. Jedni i drudzy są bałwochwalcami, i mają swoich bożków. Namiećnie oddają się pijaństwu, a kiedy są w tym stanie, stają się nawet niebezpieczni. Kupcy za pomocą gorzałki w nieuczciwy sposób wyzyskują biednych tych dzikusów. Upoiwszy, za butelkę wódki biorą sobola, albo skórę lisią, albo popielic kilka.

Prawo krajowe zabrania dostarczać Ostyakom palonych truneków i surowo za takie wykroczenia karze; lecz nie było wypadku, by kto z tych handlarzy był schwytany na uczynku, tak zręcznie umieją wymijać prawo. Upajając tych dzikusów, można wyciągnąć od nich ostatnią koszulę, lecz można też przypłacić życiem. Dlatego spoiwszy ich do bezwładności, tacy wyzyskiwacze zmykają czemprędzej jak można najdalej. Niektórzy Ostjacy doszli do tej perfekcyi, że kupiwszy za skórę lisią parę pudów mąki, sami pędzą okowite. Siedząc z całą rodziną przy tem naczyniu, z chciwością przyglądają się, jak płynie ten odurzający trunek — i zaraz go wypijają, zaczawszy od niemowląt aż do najstarszych.

Ludność tych koczowników widocznie się zmniejsza i znacznie biednieje. Przeważnie niszczeją od pijaństwa i syfilisu — są to owoce naszej cywilizacji!

Popi tak dobrze handlują wódką i innym towarem, jak każdy kupiec, i bardzo się wzbogacają. Pod przykrywką swojej sutanny

najbezpieczniej sprzedają Ostyakom gorzałkę; strzeże ich od prześladowania stan duchowny, który u władz ma pewne względy oficjalne. W osadzie ostyackiej, Maksyminkinym-Jarze, na północ od Tomska, nad rzeką Kietem, pop lepiej kramarzy niż wszelki handlarz. Jeżdżąc w celach misyjnych między Ostyakami i Tunguzami, korzystnie zbywa swoje towary. Zręczni ojcowie duchowni znaczne na tej spekulacji robią fortuny“.

„Między wsią Kuskową i Maksyminkinym-Jarem jest obecnie urządzona komunikacya zimowa, gdy przed dziesięciu laty można było dostać się do tej osady t. j. Maksyminkinego-Jaru, tylko latem, na łódce albo statkiem parowym, jeśli przypadkowo dla jakiej potrzeby w tę stronę płynął. Z Tomska do Maksyminkinego-Jaru wodą liczą około 2000 wiorst.

W skutek robót przy kanale, który ma połączyć Jenisej z Obi (przez Kiet, który wpada do Obi), Maksymikin-Jar stał się jakby stolicą tego dzikiego kraju. Przy tym kanale pracuje, oprócz inżynierów komunikacyi, z górą tysiąc ludzi. Zapasy żywności robią się w ziemie, i dlatego to zarząd kanału urządził zimową drogę od wioski Kuskowej przez lasy (tajgę) i bagna (tundry) do Maksyminkinego-Jaru. Od Tomska odległy on jest o 500 wiorst. Tą więc drogą sprowadzają wszystkie prowianty, tak dla robotników jak i inżynierów. Od czasu komunikacyi, tj. kopania kanału, kraik ten cokolwiek się ożywił. Dawniej, oprócz urzędnika policyjnego, który raz na dwa lata tam zjeżdżał, nikt nie był, bo nie było po co, chyba jaki handlarz dla zdobycia skórek lisich, sobolich, popielicznych i innych; teraz wskutek urządzonej drogi zimowej, ową miejscowość nawiedzają kupcy i zbywają swoje towary. Droga do kanału idzie przez bagna i lasy. Od Maksyminkinego-Jaru do Kuskowej, tj. 400 wiorst, trzeba jechać jednemi końmi. Na przystankach, w odległości po 50 i 60 wiorst jeden od drugiego, pobudowano koszary dla przejeżdżających, w których są najęci stróże dla opalania ich. Siana dla koni jeszcze tam można dostać, ale żywność dla ludzi trzeba mieć z sobą. W końcu marca stróże ustępują do rezydencyi inżynierów, a koszary stoją puste aż do zimy. W tym czasie, chociaż śniegu jeszcze masa, lecz tak miękki, że nie tylko koń ale i człowiek w nim tonie, i dlatego droga do przebycia staje się niemożliwą.

Przy budowie kanału pracuje kilku inżynierów Polaków. Jeden z nich, Gordziałowski, już umarł; inni: Wołk, Koraczewski, Tomaszewski, Balicki i technik Borowski. Całe lato i wiosnę inżynierowie

mieszkają przy kanale; na zimę wyjeżdżają do Tomsku, zostawiając kilku służących, robotników i stróżów.

Kanał łączy Ob z Jenisejem, a przez miasto Tiumeń połączy się z Irkuckiem. Przewóz towarów wodą ma ułatwić komunikacyą i zmniejszyć koszta, lecz dopiero da się to widzieć w praktyce. Na ten kanał rząd asygnował 7 milionów rubli — utrzymują, że będzie kosztował 10 i więcej. Prócz tego trzeba będzie nie mało trzymać służby do odmykania i zamykania szluz. Niektórzy wątpią, czy on się opłaci. Bo po pierwsze, tylko dwa razy w ciągu lata statek może obrócić z Irkucka do Tiumentia, z powodu wczesnego zamarzania wody na Kiecie i kanale. Po drugie, przez kanał mogą przechodzić statki tylko małych rozmiarów, więc trzeba przeładowywać towary. Po trzecie, statki trzeba przeciągać ludźmi, bo grunt torfowy, więc fala od kół statku opłókiwałaby brzegi kanału. Po czwarte, porohy na rzece Angarze, która wpada do Jeniseju, czynią żeglugę na niej nie możliwą. Rząd wprawdzie zamysła oczyścić koryto Angary za pomocą dynamitu, ale to nowe koszta pociągnie. W sprawie tego kanału wielce jest zainteresowany sybirski milioner, kupiec Sybirjakow.

Ze wsi Kuskowej pojechałem na północ do wioski Archangielskiej (*alias* Bajurowsk). Niegdyś była to osada tatarska, pod władzą i rządem Tatara Bajura. Po zajęciu Syberyi przez Rosyan, tamci z czasem musieli ustąpić ostatnim — i obecnie nazywa się to miejsce „wsią archanielską“, z powodu, że pod wezwaniem Archaniola była założoną.

Zaspokoivszy potrzeby religijne katolików tam zamieszkałych, których w owej wiosce jest ze trzydzieści osób, po trzech dniach odjechałem przez lasy do wsi Zyrjańska, mającej zarząd gminny, w okręgu Maryjskim. Od Kuskowej położona jest w górę rzeki Czujłmu. W Zyrjańsku zatrzymałem się u niejakiego Józefa Mielki. Rodzice jego, wysłani byli w roku 1868 z Grodzieńskiej gubernii za swoją stałość w wierze. Obecnie już nie żyją. Syn, poczciwy człowiek, żonaty z katoliczką, ma kilkoro dzieci; kapłan zawsze ma w tym domu pomieszkanie i wypoczynek. W Zyrjańsku bawiłem cały tydzień, spowiadając i innych dopełniając posług religijnych dla ludzi przybywających z pobliskich wiosek, a znalazło się ich ze sto osób.

Po tygodniu pojechałem do wioski Czerdat, 30 wiorst w górę rzeki Czujłmu. Tu zachorowałem na gorączkę i myślałem, że już

nie wstanę. Chciałem wracać do Tomska, i gdybym to był zrobił, byłbym w drodze skonał. Wyleżawszy się w wieśniaczej izbie, poprawiłem się na zdrowiu i pojechałem dalej. Podczas choroby nie opuściłem ani jednej mszy św., ani też nikogo nie odprawiłem bez spowiedzi, chociaż mi bardzo ciężko było, bo gorączka paliła, a w głowie się mąciło. Wszystkie siły musiałem zbierać, żeby tylko nie opuścić czego *quoad formam praescriptam*.

Wróciłem przed Wielkanocą, a pod koniec maja znów w drogę, na Altaj, nad granicę Chin. Módlcie się za mną szczerze i gorąco!

Dnia 26 kwietnia 1890 r.

P. S. Mamy teraz 10 stopni Reaumura mrozu. Sanna lepsza niż koło Bożego Narodzenia — lękają się powodzi.

Z LISTU POLSKIEGO MISYONARZA

w Westfalii.

W pierwszych dniach marca b. r. wyjechałem z Berlina pociągami ku Westfalii, gdzie wzywało mnie i z niecierpliwością oczekiwało tysiące Polaków, pracujących w tamtejszych kopalniach i fabrykach. Po dziesięciu godzinach jazdy stanąłem w Bochum. „Będziesz miał tu księżę dużo roboty — powiedziano mi na wstępie — Polaków u nas w Westfalii dużo, podobno do 90,000, a pewnie ilu tylko będzie mogło, zechce się wypowiadać u polskiego księdza. Z doświadczenia wiedziałem, że to nie próżne obiecanki — cacanki; i istotnie jak dawniej, tak teraz poczcwi nasi Polacy, jak w Bochum, tak w Bottrop, w Gelsenkirchen, później w Hamburgu itd. tłumnie do kościoła się cisnęli, a widząc jak się modlili i za grzechy szczerze żalowali, to i samemu, — choć z niejednego pieca chleb misyonarski się jadło, w niejednym miejscu dziwne cuda łaski Bożej się widziało — trudno przecież było od łez się powstrzymać. Do Saksonii idą przeważnie kobiety i dziewczyny; tutaj sami prawie mężczyźni, ale nie mniej pobożni, a mówiąc wogóle i uczciwi. Sami niemieccy proboszczowie w Westfalii bardzo mi chwalili polskich robotników. „Lud wasz — mówili nieraz, — głęboką ma wiarę, jest pobożny, na dobre cele ofiarny“. Budowali się też niemało i księża i katolicy niemieccy, patrząc, jak polski nasz ludzek konfesyonał mój

oblegał od wczesnego ranku do późnego wieczora, nie zważając na chłód i głód, na znaczne nieraz straty materyalne. Budowali się szczerą modlitwą, wspólnym śpiewem, okazującą się na każdym kroku żywą i gorącą wiarą¹.

Co smutne i w niedalekiej przyszłości wielkiem grozi niebezpieczeństwem, to szybkie wynaradawianie się polskich robotników. Po paru miesiącach pobytu nie poznałbyś w kościele lub na ulicy naszych Bartków i Wojtków; w takich pięknych, wedle mody wykrojonych surdutach, czarnych pantalonach, zgrabnych bucikach, z laseczką w rękę, z zegarkiem w kieszeni, ci się prezentują. Ale o strój mniejsza, byle z dawnym strojem nie szła w odstawkę rodzinna mowa — rodzinne zwyczaje. Zanim sobie Wojtek zarobił na zgrabny surducik, siedział w domu, a po karczmach i różnych ogrodach się nie włóczył; przybrawszy się wedle niemieckiej mody, chcąc pokazać światu swą drogo kupioną w żydowskim sklepie krawatę i rękawiczki, idzie od szynku do szynku, wszędzie zostawiając trochę krwawo zarobionych groszów. Tymczasem rodzina, zwykle luterska, u której Wojtek nasz zamieszkał, widzi, że chłop to tęgi i marek sporo mógłby przynosić na cały dom pracując, gdyby zechciał np. z najstarszą córką się ożenić; zastawiają więc nań sieci, dogadzają, nadskakują, nieraz same matki zło bezwstydnie ułatwiają,

¹ Tembardziej nieprzyjemnie zdziwił mię list z Westfalii umieszczony w poznańskim „Przeglądzie kościelnym“ z maja b. r., w którym Szanowny Korespondent, zachwycając się tem wszystkim, co widział i słyszał w Niemczech i między Niemcami, na Polaków w Westfalii, a raczej może jeszcze na Polaków w ogólności, rzuca bez miłosierdzia kamieniem potępienia. „O harmonijnym śpiewie — czytam w tej korespondencyi — jaki tu (w Westfalii) po kościołach istnieje — w Polsce właściwie ani wyobrażenia nie mamy“. Zdanie to i za śmiało i wprost nieprawdziwe; jeśli który to nasz naród jest śpiewny, a śpiewy nasze kościelne wzruszające do głębi. Śpiewom ludu polskiego na misyach w Poznańskim, Gnieźnieńskim, w kościołach i na emętarzach kościelnych przysłuchiwali się nieraz do późnej nocy Niemcecy katolicy i niekatolicy i wyznawali bez ogródki, że tak pięknego a rzewnego śpiewu nigdy i nigdzie w życiu swem nie słyszeli. Gniewa się jeszcze Korespondent, że „nasz lud ciśnie się do konfesyonau, a Niemcy zdaleka stoją, albo siedzą“. Daj Boże! aby tylko nasz lud nigdy zbyt daleko od konfesyonaułów nie stał: nie to ciśnięcie się zresztą, jak mniema Korespondent, jest przyczyną świętokradzkich spowiedzi, jeśli takie się kiedy zdarzają, ale inne, zupełnie inne racye, o których długoby było rozprawiać, a tu ani miejsce, ani czas po temu.

byłe potem uwikłanych prośbą, a choćby groźbą procesu do ślubu przymusić. Taki biedak naturalnie dla ojczystego kraju, zbyt często i dla wiary stracony; dzieci jego tylko po niemiecku szwargocą i z niezdarnych, głupich Polaczków się naśmiewają.

W pielgrzymkach mych po Westfalii, w których nieraz wiele, bardzo wiele pociechy doznałem, dostrzegałem niestety! z niemłą boleścią, że mowa polska niknie i ginie, zwłaszcza między młodymi robotnikami. Ocierając się ustawicznie o Niemców, razem z nimi pracując, muszą z początku łamaną niemczyzną do nich się odzywać; później mówienie po niemiecku uważają sobie za pewnego rodzaju honor; później zaczynają się wstydzić ojczystego języka. „Nie mówię po polsku — tłumaczą się — bo by się Lutry ze mnie śmiały“. A cóż mówić o dzieciach, co się do Westfalii niemowlętami dostały, lub tu dopiero na świat przyszły? Nie opowiadać, ale płakać się chce, i rodzice nieraz płaczą, ale nie umieją, a prawie, że nie mogą złemu zaradzić. „Cóż nam po zarobku i dobrym zarobku — skarżyli mi się nieraz — kiedy nasze dzieci muszą tu iść do niemieckiej szkoły i tak tam niemceją, że mimo groźby, mimo różgi czasem, nie chcą i pacierza po polsku mówić“. Między kilkoma tysiącami, którzy się u mnie w czasie Wielkiego Postu po polsku spowiadali, nie było ani jednego chłopaczka, ani jednej dziewczynki. Namawiałem czasem dzieci, gdym się z nimi spotkał: „Chodźcie się spowiadać“. „Kiedy my — odpowiadały — nie umiemy po polsku się spowiadać, bo i do pierwszej spowiedzi i do komunii po niemiecku nas przygotowywali; mamy niemieckie książki do modlenia; w szkole i w kościele po niemiecku śpiewamy“.

Co tu robić, gdzie ratunku szukać? Bardzo wiele znaczą i dużo dobrego robią polskie „Stowarzyszenia“, które pracując pod hasłami i w duchu katolickim i narodowym, są silną fortecą dla moralności, wiary i języka swych członków. W każdej większej kopalni znajduje się osobny polski „Związek“ ze statutami przez rząd zatwierdzonymi. „Związki“ te noszą nazwę od różnych polskich Świętych, pod których opiekę się oddały. W niedziele i święta idą Związkowi, mając na czele swych urzędników: prezesa, wiceprezesa, sekretarza, skarbnika, w malowniczych strojach, w oryginalnych kapeluszach, do parafialnego kościoła: tu stają koło swej chorągwi przez stałego „Chorążego“ noszonej; w czasie Ewangelii wydobywają staropolskim zwyczajem karabele do połowy z pochew. Raz na miesiąc schodzą się Związkowi na posiedzenie w osobno w tym celu wynajętej sali. Ze-

branie rozpoczyna się wspólnem odpiewaniem pieśni do N. Panny, poczem prezes zagaja obrady; a po wysłuchaniu przygotowanych odczytów, po ukończeniu rozpraw, następuje pogadanka, czasem ochocza zabawa.

Na zebraniach tych duch się podnosi, ale nieszczęściem, jakże mało stosunkowo liczba Polaków, będących w Niemczech, udział w zebraniach tych bierze! W samym przecież Hamburgu pracuje — jak mi z najwiarogodniejszych źródeł zaręczano — głównie przy okrętach około 40000 Polaków; w Gelsenkircheń na 7000 robotników, znajduje się 3900 Polaków; w Herne na 4000 robotników, 2800 Polaków, i t. d. i t. d. Zresztą same „Związki“ choć dobre i pożyteczne wszystkim potrzebom zadość uczynić nie mogą. Najgwałtowniejszą w tej chwili potrzebą, to paru przynajmniej stałych polskich misjonarzy, którzy przez rok cały jeździliby od miasta do miasta, od wsi do wsi, z pomocą i nauką duchowną dla swych ziomków. Tutejsze duchowieństwo przyjąłoby takich pomocników jak braci, jak Aniołów z nieba zesłanych. Prawda, że praca ciężka, wyczerpująca, ale stokrotnie by się opłaciła... W Hamburgu zwłaszcza polskiego księdza gorliwego a roztropnego na gwałt potrzeba...

Kiedy słyszę i czytam o różnych potrzebach naszego ludu o braku polskich kapłanów w Ameryce, Anglii, Brazylii, to aż strach mię zbiera, czy się też ktoś znajdzie i dla Hamburga, i dla Westfalii, ... czy znajdą się siły i środki, aby ratować tyle tysięcy Polaków, których losy tu zagnały, ratować i dla kraju i zbyt często dla wiary... Ale patrząc, jak ja przez parę miesięcy patrzyłem prawdziwie ze łzami na tak straszny duchowny głód, jakże o ratunek i pomoc nie wołać?!...



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

KARDYNALSTWO I JEGO ZNACZENIE W KOŚCIELE KATOLICKIM. Przez <i>Ks. Antoniego Langera T. J.</i> (Dod.)	1*
NOWA AUTONOMIA POZNAŃSKA. Przez <i>W. S.</i>	41
ROBOTNICZY POLSCY W SAKSONII. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	313

Artykuły naukowe i literackie.

STANISŁAW GÓRSKI, kanonik płocki i krakowski. Przez <i>Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego</i>	1
WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO KOMPOSTELI. III. IV. (dok.). Przez <i>Ks. Dr. Józefa Pelczara</i>	26, 243
POJĘCIA RELIGIJNE PERSÓW ZA ACHEMENIDÓW. Przez <i>Ks. W. Zaborskiego T. J.</i>	49, 174
DZISIEJSI TRĘDOWACI I ICH APOSTOŁOWIE. Przez <i>M.</i>	64
PEDAGOGIA W DRUGIEJ POŁOWIE ŚREDNIOWIECZA. II. III. IV. Przez <i>Ks. W. Gadowskiego</i>	94, 223, 385
SZTUKA W PIERWOTNYM KOŚCIELE. I. II. Przez <i>Ks. Dr. Józefa Bilezewskiego</i>	153, 327

DWIE CHWILE Z DZIEJÓW POLSKIEJ KOLONIZACYI NA NIŻU (1638 i 1648 r.). Przez <i>Maryana Dubieckiego</i> . . .	194, 372
ŻOŁNIERZ CHRZEŚCJAŃSKI: PUŁKOWNIK PAQUERON. Przez <i>A. M. L.</i>	210
ZAŁOŻENIE BISKUPSTWA PŁOCKIEGO. Przez <i>Dr. Wojciecha</i> <i>Kętrzyńskiego</i>	363
WYCIECZKA W GÓRY SABIŃSKIE. Przez <i>Adama Mar-</i> <i>czewskiego</i>	398

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

PAMIĘTNIK CHŁOPCA. Napisał <i>Edmund Amicis</i> . Przełożyła <i>Maryja Obrąpalska</i>	115
DLA GŁODNYCH. Pismo zbiorowe z utworów kobiecego pióra, wydane staraniem „Towarzystwa Oszczędności Kobiet“ . . .	117
SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM. Przez <i>Teofila Lenartowicza</i> . .	118
Z NAJNOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH: „O niej“. 2 tomy. „Zona“. Galerya sylwetek z natury. „Majster do wszystkiego“. Przez <i>M. Gwalcwicza</i> . „Druty telegraficzne“. Przez <i>Wincentego Kosiakiewicza</i> . „Pyłki“, szkice i obrazki. Przez <i>Ursynę</i> . „Nowele“. Przez <i>Wiktora Gomulickiego</i> . „Ona“. Przez <i>M. Rodziewiczównę</i> . „Kochanek Małgosi“. (Typy gatunkowe). Przez <i>Edwarda Lubowskiego</i> . „Do światła“, powieść z XV wieku. „Hanza“, powieść z XV wieku. Przez <i>Wincentego Rapackiego</i> . „Żydziak“. „No- wele i obrazki“. Przez <i>Wilhelma Feldmana</i> . „Z boru i dworu“. Przez <i>Jordana</i> . „Własnymi oczyma“. (No- wele). Przez <i>Nagodę</i> . (Ks. <i>Jan Badeni T.J.</i>)	265
ROMANTYCYZM I FILOZOFIA W „DZIADACH“. Przez <i>Prawdostawa</i>	276
O ZAOFIAROWANIU SIĘ JEZUSOWI PRZEZ MARYĄ. Napisał <i>Błog.</i> <i>Ludwik-Marya Montfort-Grignon</i> . Przekład <i>Ó. Prokopa</i> <i>Kapucyna</i>	416
PODANIA I BAŚNIE KRAKOWSKIE, z opowiadań krakowskiego gminu. Spisał <i>Dr. Karol Między</i>	417
LELIWITA SPICIMIR, kasztelan krakowski, praojciec Melsztyn- skich i Tarnowskich (1312—1352), oraz monografia Mel- sztyna. Ze źródeł autentycznych napisał <i>Ludwik Zarę- wicz</i> , członek kom. hist. Akademii Umiejęt. w Krakowie	417
TEMU LAT 27. Kartki z pamiętnika.	418

Z piśmiennictwa zagranicznego:

ORIGINES DU CULTE CHRÉTIEN. ÉTUDE SUR LA LITURGIE LATINE AVANT CHARLEMAGNE. Par l'abbé <i>L. Duchesne</i> . (Ks. <i>Dr.</i> <i>Fijałek</i>)	119
--	-----

	Stronnica.
COMMENTARIUS IN JEREMIAM PROPHETAM. Per <i>J. Knabenbauer S. J. (Ks. Aug. Arndt T. J.)</i>	125
DIE WELTREICHE UND DAS GOTTESREICH NACH DEN WEIS- SAGUNGEN DES PROPHETEN DANIEL. Von <i>Dr. F. Düster- wald. (Ks. Aug. Arndt T. J.)</i>	127
LA SONATE À KREUTZER. Par le Comte <i>Léon Tolstoj. (Ks. M. Morawski T. J.)</i>	278
Z PRASY PRAWOSŁAWNO-ROSYJSKIEJ. (<i>A. Szarłowski</i>)	283
LE BIENHEUREUX JEAN JUVÉNAL AMINA, évêque de Saluces. Société Saint Augustin	419
LA FRANCE CRIMINELLE. Par <i>Henri Joly</i>	420
THE TRUE HISTORY OF THE CATHOLIC HIERARCHY deposed by Queen Elisabeth. By Rev. <i>T. E. Bridgett</i> and Rev . . .	424

Z pism czasowych:

ROCZNIKI KAPŁAŃSKIE. Redaktor i wydawca: <i>Ks. Marceli Dziu- rzyński</i>	427
---	-----

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Odrzucenie nowej ustawy „obroczej“. — Ewangelicki kongres socyalny. — Zakaz katolickiego kongresu w Monachium. — Belgijskie wybory. — Roz- wój Kościoła w Anglii, Szwecyi i Danii. — List pa- sterski biskupów austriackich o szkole wyznaniowej. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	128
Z PALESTYNY. Przez <i>O. Norberta Golichowskiego</i>	142
WYJĄTEK ZE „WSZECHPODDAŃCZEGO SPRAWOZDANIA“ PROKU- RATORA ŚW. SYNODU O STANIE PRAWOSŁAWIA W PAŃSTWIE ROSYJSKIEM w r. 1887: Środki utrwalenia i obrony pra- wosławia w guberniach zachodnich (litewsko-ruskich). Przez <i>A. Szarłowskiego</i>	145
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Zegary pneuma- tyczne Wiktora Poppa. — Compagnie parisienne de l'air comprimé. — Zalety motorów pneumatycznych. — Świa- tło elektryczne i transformatory. Przez <i>A. M. Ka- weckiego</i>	148

SIERPIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Laicyzacye szkół we Francyi. — Protest
papieski przeciw konfiskacie funduszów pobożnych. —
Okólnik konsula włoskiego do włoskich wikaryuszów
apostolskich w Chinach. — Wissman o katolickich a pro-
testanckich misyonarzach. — List biskupów japońskich. —

	Stronnica.
Protest episkopatu irlandzkiego w kwestyi szkolnej. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	295
WRAŻENIA Z DRUGIEGO ZJAZDU HISTORYKÓW POLSKICH WE LWOWIE. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	305

WRZESIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Wrzekoma wycieczka papieska poza Wa- tykan. — Walka z Kościołem w Rzymie. — Kościół katolicki w W. Ks. Badeńskim. — Prawa i wolności nieodzyskane jeszcze przez katolików w Niemczech. — Reskrypt ministra Csaky'ego. — Kardynał Simor o tym reskrypcie. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	431
OBJAWIENIA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY w Castel Petroso	442
O. SZCZEPANA PERRY T. J. ostatnia wyprawa naukowa i osta- tnie chwile życia	443
Z DZIENNIKA SYBERYJSKIEGO PROBOSZCZA	451
Z LISTU POLSKIEGO MISIONARZA w Westfalii	437

